OPINIA

KWARTALNIK
OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:
Marek Albiniak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny), *Karol Chylak, Andrzej Chyłek, Michał Janiszewski* (sekretarz redakcji), *Krzysztof Lancman, Adam Lewandowski* (sekretarz naukowy), *Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Na okładce: Herb II Rzeczypospolitej Polskiej ustanowiony przez Prezydenta RP na Uchodźstwie w latach 1956–1990

Wydawca:
Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:
Akces, Warszawa

Spis treści

Dr Andrzej Anusz, Michał Janiszewski
Wstęp 5

Uroczystości pogrzebowe ostatniej Pierwszej Damy II RP śp. Karoliny Kaczorowskiej 7

Dr Andrzej Anusz
W Polskim Londynie 1988 roku. Z Krzysztofem Turkowskim rozmawia Andrzej Anusz . . . 17

Krzysztof Turkowski rozmawia z Ludwikiem Łubieńskim 47

Krzysztof Turkowski rozmawia ze Stefanem Soboniewskim 90

Ryszard Czarnecki i Krzysztof Turkowski rozmawiają z Generałem
Klemensem Rudnickim 101

Krzysztof Turkowski rozmawia ze Zbigniewem Błażyńskim 128

Krzysztof Turkowski rozmawia z Tadeuszem Żenczykowskim 166

Dr Marcin Furdyna
Stanisław Cat-Mackiewicz i „Kultura” 264

Piotr Ciompa rozmawia z ostatnim premierem Rządu RP na Uchodźstwie
prof. Edwardem Szczepanikiem 390

Zbigniew Jackiewicz
W 100-lecie urodzin Prezydenta RP Ryszarda Kaczorowskiego 397

Leszek Moczulski
Wspomnienie o Ryszardzie Kaczorowskim 400

Zbigniew Jacek Jackiewicz
Prezydent Ryszard Kaczorowski niezwykła historia niezwykłej dzielności obywatelskiej . . . 407

Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia” 425

Dr Andrzej Anusz, Michał Janiszewski

Wstęp

23 kwietnia 2022 roku w warszawskiej Świątyni Opatrzności Bożej u boku męża ostatniego Prezydenta II Rzeczypospolitej urzędującego w Londynie Ryszarda Kaczorowskiego pochowana została Karolina Kaczorowska ostatnia pierwsza dama II Rzeczypospolitej. To jej dedykujemy ten numer specjalny Opinii poświęcony Polskiemu Londynowi.

Numer otwiera relacja z uroczystości pogrzebowych Karoliny Kaczorowskiej.

Następnie w wywiadach i artykułach przedstawione są sylwetki wybitnych działaczy niepodległościowych działających w Polskim Londynie. Są to: Ludwik Łubieński, Stefan Soboniewski, generał Klemens Rudnicki, Zbigniew Błażyński, Tadeusz Żenczykowski, Stanisław Cat-Mackiewicz, Edward Szczepanik i ostatni Prezydent II Rzeczypospolitej Ryszard Kaczorowski.

Zamieszczamy również rozmowy z historykiem Krzysztofem Turkowskim, który przeprowadził większość rozmów zamieszczonych w tym tomie, w której opowiada on o kulisach i okolicznościach tych wywiadów. W tym miejscu pragniemy podziękować Krzysztofowi Turkowskiemu za zgodę na opublikowanie tych materiałów.

Część materiału publikowaliśmy we wcześniejszych numerach „Opinii", niektóre ukazały się w „Niepodległości". Poszerzone o nowe materiały, zebrane w jeden tom, stanowią naszym zdaniem ciekawe stadium nad historią Polskiego Londynu. Życzymy udanej lektury.

„Interrex”

Niepodległościowe środowisko kombatanckie wobec Prymasa Stefana Wyszyńskiego w latach 1956–1981

Z okazji beatyfikacji kardynała Stefana Wyszyńskiego, Mirosław Lewandowski opublikował książkę, w której stara się opisać współpracę prymasa 1000-lecia ze środowiskiem niepodległościowym.

Cena: 70 zł (w tym koszty wysyłki)
Wpłaty na konto:
54 1440 1231 0000 0000 1075 6251

Uroczystości pogrzebowe ostatniej Pierwszej Damy II RP śp. Karoliny Kaczorowskiej

Wczesnym popołudniem 22 kwietnia 2022 roku na płycie Wojskowego Portu Lotniczego Warszawa-Okęcie zainaugurowane zostały dwudniowe uroczystości pożegnalne śp. Karoliny Kaczorowskiej, małżonki ostatniego prezydenta II Rzeczypospolitej Ryszarda Kaczorowskiego. Urna z prochami Pani Prezydentowej została sprowadzona z Londynu rządowym samolotem. W ostatniej podróży do Ojczyzny towarzyszyła jej rodzina, przyjaciele oraz szef UdSKiOR Jan Józef Kasprzyk wraz z przedstawicielami władz i instytucji rządowych. Hołd Pani Prezydentowej na warszawskim lotnisku oddał m.in. kon-

sul RP w Londynie Radosław Gromski, dyrektor Centralnej Biblioteki Wojskowej Jan Tarczyński oraz Jan Dziedziczak z Kancelarii Premiera. Ceremonia przyjęcia urny z prochami śp. Karoliny Kaczorowskiej odbyła się w asyście wojskowej żołnierzy Pułku Reprezentacyjnego Wojska Polskiego.

Szkatułę funeralną Ostatniej Pierwszej Damy II RP wyniosła z samolotu jej córka, Alicja Jankowska. Podczas ceremonii przenoszenia urny Orkiestra Wojskowa odegrała Marsz Żałobny, a następnie po umieszczeniu jej na katafalku Hymn RP. Modlitwę za zmarłą odmówił sekretarz biskupa polowego Wojska Polskiego ks. major Marcin Janocha.

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk podkreślił w swoim przemówieniu, że dzisiaj dopisujemy do kart historii Rzeczypospolitej kolejny ważny fragment: – *Wraz z pożegnaniem Ostatniej Pierwszej Damy II RP kończy się rozdział w dziejach Polski, który nazywamy II Rzeczypospolitą. W sensie symbolicznym tym pożegnaniem śp. Karoliny Kaczorowskiej kończy się instytucjonalnie Druga Rzeczpospolita. Pani Prezydentowo, Twoja droga do wolnej Polski dobiega końca. Długa była Twoja droga do Ojczyzny, do wolnej Ojczyzny. Zaczęła się w wolnej Polsce, w Stanisławowie i później wiodła przez nieludzką ziemię, przez Afrykę aż do Wielkiej Brytanii. Dziś ta droga kończy się w wolnej Polsce.*

Zaznaczył również, że ceremonia pogrzebowa w Ojczyźnie jest kolejną okazją do podziękowania jej za życie przepojone miłością do niepodległej Polski i drugiego człowieka: – *W jej życiu jak w soczewce skupiło się bolesne, ale i zwycięskie doświadczenie historyczne Rzeczypospolitej. Dziękujemy Ci za wspaniałe życie, za to, że możemy żyć w wolnej Polsce* –podkreślił.

Urna z prochami śp. Karoliny Kaczorowskiej została przewieziona z warszawskiego lotniska wojskowego do Świątyni Opatrzności Bożej, a następnie uroczyście wprowadzona do Kaplicy Najświętszego Sakramentu.

W ceremonii uczestniczył między innymi szef UdSKiOR Jan Kasprzyk, a także sekretarz stanu i pełnomocnik rządu ds. Polonii i Polaków za Granicą Jan Dziedziczak.

O Boże miłosierdzie dla zmarłej modlił się Jasnogórski Kapelan Żołnierzy Niepodległości o. Eustachy Rakoczy, były kapelan Prezydenta Kaczorowskiego i licznie zgromadzeni żałobnicy.

Po godz. 19:00 nastąpiło procesyjne przeniesienie urny z prochami na katafalk przed głównym ołtarzem. W intencji śp. Karoliny Kaczorowskiej oraz

jej męża, tragicznie zmarłego w katastrofie smoleńskiej Ryszarda Kaczorowskiego została odprawiona również Msza św. żałobna. Za spokój dusz śp. Pary Prezydenckiej będą modlić się m.in. środowiska harcerskie, niepodległościowe i emigracyjne. Zarówno Prezydent Ryszard Kaczorowski, jak i jego żona - Karolina Kaczorowska do końca życia pozostali zaangażowani w ruch harcerski na uchodźstwie.

W warszawskiej Świątyni Opatrzności Bożej 23 kwietnia 2022 roku pożegnaliśmy ostatnią Pierwsza Damę II RP Karolinę Kaczorowską, małżonkę ostatniego Prezydenta RP na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego. W uroczystościach pogrzebowych zorganizowanych przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych uczestniczył prezydent Andrzej Duda wraz z małżonką oraz przedstawiciele najwyższych władz i instytucji państwowych.

Uroczystościom żałobnym przewodniczył metropolita warszawski kardynał Kazimierz Nycz, a homilię wygłosił biskup polowy Wojska Polskiego, wieloletni delegat Episkopatu Polski do spraw Polonii Wiesław Lechowicz. Wspominając Karolinę Kaczorowską biskup polowy WP podkreślił, że dzisiejsza

uroczystość jest uhonorowaniem wysiłków całej polskiej emigracji po 1939 roku, której celem było podtrzymanie polskości oraz powrót do Ojczyzny, gdy ta będzie niepodległa.

Prezydent Andrzej Duda żegnając śp. Karolinę Kaczorowską zaznaczył, że z wielką radością przyjmuje fakt, że jest tu dziś, że przybyła i że tu pozostanie, by Polacy mogli przychodzić i oddawać jej hołd: – *Jej i jej mężowi. Za jej piękne życie, za ich piękną służbę dla Polski, którą to służbą tę Polskę z tamtej, londyńskiej skarbnicy, w której przez lata była przechowywana, symbolicznie przenieśli tutaj w 1990 roku, oddając insygnia na ręce właśnie wówczas wybranego po raz pierwszy przez Polaków w powszechnych wyborach Prezydenta odnowionej Rzeczypospolitej – Prezydenta Lecha Wałęsy. Pani Prezydentowo, Pierwsza Damo wolnej, niepodległej, suwerennej Rzeczypospolitej, dziękujemy za Twoje piękne życie, dziękujemy za Twoją piękną służbę dla Polski, dla Polaków, dla naszej ojczyzny.*

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk przypomniał, że żegnamy symbolicznie również II RP i jej ostatnią pierwszą damę w rocznicę podpisania Konstytucji kwietniowej, która umożliwiała wypełnianie misji władzom na uchodźstwie: – *Zastanawiamy jaki byłby testament Pani Prezydentowej. Mówiła często, że wzorem jej pokolenia musimy odbudować etos służby wspólnocie jaką jest Naród i państwo. Musimy zapomnieć*

o własnych korzyściach. Ten etos służby wyniosła również ze swych doświadczeń harcerskich.

Minister Kasprzyk wspominał londyńskie spotkanie z Panią Prezydentową i przywołał słowa, które wypowiedziała po odczytaniu wiersza Mariana Hemara: –*„Ojczyzna dopóki jest, to pół wieku można żyć poza nią i jeszcze w godzinie śmierci o niej nie pomyśleć i wadzić, ale dopóki jest. Gdy jej nie ma, ziemia jest głuszą daremną, a niebo jest ciemną otchłanią bez gwiazd i bez Boga...". Szanujcie to, że macie wolną Polskę. Moje pokolenie utraciło Ojczyznę i było zmuszone żyć na emigracji. Wy macie wolną Polskę. Szanujcie to bo nie ma na świecie szczęścia bez Ojczyzny. To są te słowa, które Pani Prezydentowa chciałaby nam zapewne dziś powiedzieć* – dodał szef UdSKiOR.

Podczas mszy pożegnalnej zostały także odczytane listy od marszałek Sejmu RP Elżbiety Witek, premiera Mateusza Morawieckiego oraz wicepremiera i ministra kultury Piotra Glińskiego.

W pożegnaniu Pierwszej Damy II RP Karoliny Kaczorowskiej uczestniczyła liczna reprezentacja Instytutu Historycznego NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego z Prezesem Andrzejem Chyłkiem na czele.

Po zakończeniu mszy rodzina wraz z delegacją przedstawicieli władz państwowych złożyła urnę z prochami Karoliny Kaczorowskiej u boku męża, prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego w Panteonie Wielkich Polaków.

Zdjęcia i relacja za serwisem UdSKiOR

**Osobista historia Porozumienia Centrum.
U źródeł Prawa i Sprawiedliwości.**

Andrzej Anusz opublikował książkę, w której stara się opisać historię Porozumienia Centrum, podkreślając jej związki z Prawem i Sprawiedliwością. Publikacja obejmująca prawie tysiąc stron zawiera m.in. nigdy nie publikowane dokumenty.

Cena: 70 zł (w tym koszty wysyłki)
Wpłaty na konto:
54 1440 1231 0000 0000 1075 6251

Dr Andrzej Anusz

W Polskim Londynie 1988 roku

Z Krzysztofem Turkowskim* rozmawia Andrzej Anusz

Andrzej Anusz: Jak znalazłeś się w Londynie w 1988 roku? W jaki sposób zdobyłeś zaufanie działaczy emigracyjnych? Czy miałeś jakieś rekomendacje?

Krzysztof Turkowski: Zaufanie przyszło w miarę szybko i okazało się znaczne. Wynikało z wielu rozmów, które ze mną prowadzono. Pojawiłem się tam trochę jako ciekawostka. Stale współpracował ze środowiskiem uchodźstwa politycznego Ryszard Czarnecki, który był dziennikarzem w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza", tam pracował i łatwo tam się ze względu na związki biograficzne usadowił. Zaś ja zjawiłem się – jak już wspomniałem – w charakterze takiej ciekawostki. Niewyobrażalna miłość emigracji londyńskiej do kraju łączyła się przecież z żywym zainteresowaniem, co się tam dzieje.

---

* **Turkowski Krzysztof**, ur. 17 V 1954 we Wrocławiu. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, kierunek historia (1977)

1973–1975 w SZSP

We IX 1975 współorganizator strajku studentów polskich na budowie w Karl-Marx-Stadt (obecnie Chemnitz) w NRD. W X po powrocie do kraju zatrzymany i przesłuchiwany pod zarzutem kolportażu wydawnictw niezależnych.

1977–1980 pracownik Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu.

1976–1980 współpracownik KOR/KSS KOR. NOW-ej; 1978–1980 działacz 5KS we Wrocławiu: 1979–1980 Klubu Samoobrony Społecznej we Wrocławiu. 1976–1980 kolporter niezależnych wydawnictw, m.in. „Biuletynu informacyjnego", „Robotnika", „Biuletynu Dolnośląskiego" oraz książek. 1979–1980 współpracownik redakcji niezależnego „Biuletynu Dolnośląskiego", 1979–1981 redaktor i autor w niezależnym piśmie „Tematy". 1976–1980 wielokrotnie zatrzymywany, poddawany rozmowom ostrzegawczym, rewizje mieszkania.

21–31 VI 1980 uczestnik strajku w Zajezdni nr VII MPK we Wrocławiu, członek MKS we Wrocławiu, przewodniczący grupy wspomagającej MKS, redaktor „Komunikatów Strajkowych MKS we Wrocławiu". Od IX 1980 w „S", członek Komitetu Założycielskiego, IX 1980–VI

Nie byłeś jednak pierwszy, który z kraju do nich przyjechał…

Oczywiście, przede mną pojawił się tam Kornel Morawiecki, różni inni działacze.

1981 wiceprzewodniczący Prezydium MKZ we Wrocławiu, III–VI 1981 także rzecznik prasowy. IX–XI redaktor ‚Solidarności Dolnośląskiej", 1980–1981 autor; II–III 1981 redaktor niezależnego „Serwisu Informacyjnego MKZ Wrocław". VI 1981 delegat na I WZD Regionu Dolny Śląsk, członek ZR; członek Komisji Zjazdowej, IX/X delegat na I KZD.

13 XII 1981 współorganizator strajku w Zajezdni nr VII MPK. na strajku Politechniki Wrocławskiej. V–VIII 1982 redaktor podziemnego pisma „Z Dnia na Dzień". 1983–1985 archiwista w Spółdzielni Inwalidów Usług Specjalistycznych we Wrocławiu. 1983–1989 współorganizator spotkań opozycji i wykładowca w ramach Duszpasterstw Akademickich: Wawrzyny, Dominikanie, ojców Kapucynów na Sudeckiej, Duszpasterstw Ludzi Pracy: we Wrocławiu na Al. Pracy, Franciszkanów na Karłowicach, a także w Bielawie, Dzierżoniowie, Legnicy, Jeleniej Górze, Głogowie, Nowej Soli, w Głubczycach, Strzelinie. Ząbkowicach. Lądku Zdroju. Współorganizator obozów dla młodzieży szkolnej i akademickiej. W latach 1983–1988 stały wykładowca w czasie sierpniowych pielgrzymek na Jasną Górę. Wykładowca Tygodni Kultury Chrześcijańskiej. 30 X 1984–1987 członek Komitetu Obrony Praw Człowieka we Wrocławiu. 1983–1987 kilkakrotnie zatrzymywany i przesłuchiwany, rewizje mieszkania. VIII 1988–IV 1989 pobyt w Austrii i Niemczach.

W V 1989 wyjechał za granicę (W. Brytania). 18 XII 1989–1991 członek Wrocławskiego KO „S"; 1990–1994 radny Rady Miasta Wrocławia z listy WKO „S", wiceprezydent. 1995–1998 prezes PAI FILM, od 1997 doradca prezesa Polsat, członek Rady Nadzorczej RSTV, od 2003 prezes spółki Antena 1. 2004–2006 członek zarządu TV Puls. 2006–2008 Przewodniczący Rady Nadzorczej PAP. 2008–2012 Przewodniczący Rady Nadzorczej TV Lubin. Członek Prezydium Dolnośląskiej Federacji Kultury we Wrocławiu, przewodniczący Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Wrocławia, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Nadawców Radiowych i Telewizyjnych, Stowarzyszenia Autorów Radiowych i Telewizyjnych. 2011–2015 w Radzie Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

Autor licznych publikacji w prasie solidarnościowej, podziemnej i emigracyjnej, cyklu rozmów z liderami emigracji londyńskiej, twórca audycji historycznych i politycznych w Radiu Wolna Europa, PR, Radiu Kolor i Radiu Wrocław.

W 1985 laureat Fundacji Polcul. W 1986 odznaczony Nagrodą Solidarności Dolnego Śląska.

Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski przez Prezydenta Kaczorowskiego / Rząd RP na Uchodźstwie w Londynie (1989).

W 2007 odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski przez prezydenta Kaczyńskiego.

10 X – 23 XII 1975 rozpracowywany przez Wydz. III KW MO we Wrocławiu w samach SOS krypt Danka, 24 II 1978 – 24 VIII 1984 przez Wydz. III KW MO we Wrocławiu w ramach SOS/SOR krypt 54; 7 XI1984-10 VII 1989 przez Wydz. V-l WUSW we Wrocławiu w ramach KE/SOR krypt. Mikołaj.

Czy był wśród nich również Moczulski?

Leszek Moczulski również. Jedni działacze z kraju byli entuzjastyczni, inni raczej powściągliwi. Mnie w POSK przy jakiejś okazji poznała pani Teresa Lechnicka-Affeltowicz, która pozostawała czołową postacią Skarbu Narodowego i jednocześnie wiceprzewodniczącą Rady. Była od zawsze działaczką i to w kolejnym pokoleniu. Wywodziła się z zasłużonej rodziny, jej ojciec i dziadek to senatorowie Drugiej Rzeczypospolitej i działacze ZET-u. Sama działała w dość niezależnej grupie,

Krzysztof Turkowski przed siedzibą Prezydenta RP na uchodźstwie w Londynie.

Krzysztof Turkowski w rozmowie z Teresą Lechnicką-Affeltowicz

którą tworzyło młodsze pokolenie. Rocznik dwudziesty czwarty, oficer Powstania Warszawskiego i konspiracji, z dobrej rodziny ziemiańskiej, więc jeśli można tak to ująć miała dar rozprowadzania innych. To ona poznała mnie z Lidią Ciołkoszową, z którą się przyjaźniła. Bardzo też była blisko z małżeństwem pani Darki i Tadeusza Żenczykowskich. Dlatego moja akceptacja za jej sprawą przebiegła tak szybko. Nawet już teraz nie pamiętam, jak to się stało, że zaprosił mnie pan Edward Raczyński. Minister, prezydent, ambasador, ogromna liczba tytułów – a myśmy się dość często spotykali. A potem poszło jeszcze szybciej, bo prowadziłem długie rozmowy z jednej strony z panem Stefanem Soboniewskim, szefem najważniejszej organizacji „przywojskowej", jeśli tak się można wyrazić oraz z drugiej strony szefem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, organizacji powojskowej i politycznej w jednym – panem Zygmuntem Szadkowskim, kolejną bardzo istotną osobą. Przy okazji pojawiali się wszyscy inni od pana Szolca z jednej strony, poprzez pana Zygmunta Szkopiaka po redaktorów z Wolnej Europy, którzy po przejściu na emeryturę osiedlili się w Londynie. A potem wszyscy inni, którzy znali się na sposobach rozmawiania i pozyskiwania wiedzy, ze Zbigniewem Błażyńskim na czele.

Jak rozumiem, występowałeś trochę w podwójnej roli. Jako wybitny działacz opozycji demokratycznej, tej jeszcze przedsolidarnościowej a potem oczywiście Solidarności również po stanie wojennym, ale też jako osoba mająca *background* historyka, jako profesjonalny historyk znający warsztat…

To prawda, dzięki temu łatwiej było rozmawiać.

Fajną miałeś sytuację, bo oni też na pewno chcieli się dowiedzieć, co słychać w opozycji, w kraju?

Słuchali mnie wyjątkowo uważnie. Zaś ja znałem ich wewnętrzny język, pojęcia, którymi się posługiwali nie były mi obce, bo zanim pojawiłem się w Londynie, przez 20 lat zajmowałem się bardzo poważnie historią Drugiej Rzeczypospolitej, więc w sposób naturalny potrafiłem się poruszać w ich świecie.

Wiedziałeś, o co ich pytać, jak rozmawiać.

Przeprowadzenie wywiadów, rozmów to temat, który oczywiście pojawił się nieco później. Najpierw zdarzały się wielogodzinne kolacje czy lunche, podczas których rozmawialiśmy. Miałem bardzo pozytywny stosunek do wychodźstwa, byłem zwolennikiem legalizmu, te spotkania okazywały się dla mnie ciekawe i inspirujące.

Legalizm to ważny element?

Trzeba o tym pamiętać, że legalizm tam panował, w polskim Londynie. Dla mnie oczywiście wielkim przeżyciem stała się pierwsza wizyta na Zamku, jak to się mówiło, czy na 43 Eaton Place, gdzie znajdowała się siedziba prezydenta na wychodźstwie. Zamek znajdował się w dobrej dzielnicy, a w Londynie ten podział pozostaje niezmiernie istotny. Jednak nawet, gdy odwiedzałem te osoby w domach, pozostawały dla mnie depozytariuszami legalizmu władz, bo dla mnie akceptacja władzy, funkcjonującej na podstawie PRL-owskiej konstytucji była niemożliwa, skoro jej rządy wynikały wyłącznie z użycia siły, nie z demokratycznego mandatu.

Jednak w tamtym czasie w polskiej opozycji taka postawa…

…nie była typowa.

Wtedy jej zwolennicy pozostawali w mniejszości nawet w szeroko pojętym ruchu „S". Nieliczne środowiska: KPN, później „Solidarność Walcząca" definiowały to równie jasno, jak ty. W tak zwanym głównym nurcie opozycji oczywiście szanowano rząd na emigracji, ale traktowano go jako ciekawostkę, bez prawnych, legalistycznych wniosków?

Wynikało to po pierwsze z ogromnej niewiedzy. Nie było świadomości, co wynika z konstytucji kwietniowej, której przecież Polakom nikt nie narzucał, jak tej z 1952 r., rozszerzonej jeszcze ćwierć wieku później o zapis dotyczący sojuszu z ZSRR. Brakowało wiedzy historycznej, białe plamy dopiero wypełniano. Propaganda komunistyczna przez długie lata nie była oczywiście skuteczna, ale obśmiewanie przez nią emigracji londyńskiej pozostawiło pewien ślad w świadomości Polaków. Środowiska opozycyjnej lewicy głosiły opinię,

że oczywiście Giedroyć jest pozytywną postacią, ale ten Londyn… Jakby się lekceważyło ten niewyobrażalny dorobek emigracji polskiej, największej od czasu tej Wielkiej po powstaniu listopadowym. Zresztą oni często to porównywali. Do niechętnego obrazu emigracji przyczyniły się też polityczne walki wewnętrzne, wieloletni konflikt między Augustem Zaleskim a jego oponentami bardzo zaszkodził wizerunkowi, stworzył problem. Nawet 30 lat temu brakowało wśród polskich historyków świadomości stanu posiadania emigracji politycznej, dorobku kulturalnego wychodźstwa. Zaczął w Kontakcie robić filmy Mirosław Chojecki, co trochę ten obraz zmieniło, podobnie jak docierająca do kraju literatura. Ale ja miałem taką przyjemność, że na początku lat 70., dzięki mojemu promotorowi profesorowi Henrykowi Zielińskiemu, dostałem chyba pierwszą promesę na korzystanie z dzieł bezdebitowych, więc zanurzyłem się na parę lat we wszystkim, co tylko można było znaleźć w Ossolineum…

Czy to ten sam profesor Zieliński, który napisał Historię II RP, jedną z lepszych?

Tak, mówimy o tej samej osobie. Napisał też Historię Polski. Notabene profesor Henryk Zieliński to siostrzeniec księdza Bolesława Domańskiego, przed wojną szefa Związku Polaków w Niemczech. A jego siostrzenica była bardzo ważnym łącznikiem Solidarności po stanie wojennym, teraz jest profesorem. To siostra Andrzeja Szostka, księdza-rektora KUL i ostatniego doktoranta Wojtyły.

Jesteś więc szczęściarzem, że trafiłeś na takiego promotora jak prof. Zieliński i szansę tę wykorzystałeś?

Gdy tylko profesor załatwił mi tę zgodę, od razu zanurzyłem się w tym drukowanym świecie. Wszystko to osobno przynosili mi do czytelni, bo tylko na miejscu mogłem się w te publikacje wgłębiać, na wynoszenie do domu zezwolenia uzyskać by się nie dało. I tak połykałem przedwojenne „Wiadomości Literackie", a że się interesowałem Skamandrytami, starałem się wszystko na ten temat czytać, to potem się zanurzyłem w to, co robił w „Wiadomościach" Mieczysław Grydzewski, który kontynuował to w Londynie. Potem się w tym

zaczytywałem, pracując w latach 70. w rękopisach i w Ossolineum, bo już wiedziałem, gdzie jest jaka biblioteka i kto jakie pisma wydawał. Dlatego po latach to było spotkanie niezwykłe, gdy u pani Lidii Ciołkoszowej zasiedliśmy sobie i poznałem panią Władę Majewską, muzę – mówili wtedy – naszego wielkiego emigracyjnego twórcy Mariana Hemara. Pokazywano mi wszystko to, co było dla mnie najbardziej wzruszające, mogłem tego wreszcie dotknąć. Pamiętam te wszystkie niezwykłe wymiary: Polska Macierz Szkolna i żołnierze, ćwiczący się do walki o niepodległość, oficerowie… Jak się wchodziło do prezydenta Sabbata, to było przeżycie… Pierwszą damą, żoną Sabbata była Anna, córka generała Nikodema Sulika, dawnego dowódcy 5. Dywizji Kresowej, który był również ojcem Bolesława Sulika, dokumentalisty, autora *In Solidarity*, a po powrocie do Polski przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji…

Tak, te związki niesamowite…

Z innego świata, ale dla mnie to było dość czytelne i łatwiej mi się było poruszać, bo znałem parę rodzin znaczących w najnowszej historii Polski.

Czy środowisko emigracyjne było w jakimś stopniu podzielone?

To oczywiste.

Czy odczułeś tę różnicę, że rząd, zamek, legaliści, grupa generała Andersa, jednym słowem historyczne spory?

Nie, tego już nie było.

Czy czułeś, że ktoś się do Ciebie odnosi z rezerwą, ktoś inny bardziej bezpośrednio?

Najlepsze były moje kontakty ze środowiskiem politycznej emigracji wojskowej czyli poandersowskiej i nie tylko poandersowskiej, bo istniał stereotyp, że to tylko żołnierze generała Andersa, ale ci londyńczycy byli bardzo różni. Przecież z jednej strony był Edward Raczyński, a z drugiej akowskie środowiska z Tadeuszem Żenczykowskim. Tu było bliżej pani Lidii Ciołkoszowej i pani Teresie Affeltowicz, bardzo ważnej w ich środowisku. A przecież był tam i Kazimierz Sabbat i ludzie, związani z Redutą, z takim działaczem ludowym jeszcze

przedwojennym – nazywał się Kazimierski, to był mocno schorowany pan. I to była ta tradycja. Pojawiały się w rozmowach nazwiska ludzi, których niestety nie spotkałem, bo odeszli, konsul Trembecki, starzy piłsudczycy związani z grupą Wendy, Wragi, to byli ci z Dwójki przedwojennej. Oczywiście podziały były, nie tylko w Londynie, bardzo duża grupa osadników, która przyszła z Andersem, rozeszła się po całej Wielkiej Brytanii… Istotną strukturą było oczywiście Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, bardzo ważny był Skarb – konkretna rzecz. Wojna się skończyła w czterdziestym piątym roku a oni zbierali pieniądze na Polskę w latach osiemdziesiątych. Proszę sobie wyobrazić, jak ja im opowiadałem, że u nas w siódmym roku po stanie wojennym są płacone składki na Solidarność.

Tak, to był wspólny punkt.

Takich wspólnych znaczeń było wiele. Do naszych wydawnictw podchodzili z wielkim szacunkiem.

Ale różniłeś się też w opiniach z emigrantami?

Krzysztof Turkowski i Paweł Chmiel w rozmowie z Tadeuszem Żenczykowskim

Reprezentowałem wtedy pogląd, który dzisiaj oceniam już jako naiwny, że liczą się ruchy społeczne. Na co oni, starsi państwo o znanych nazwiskach kategorycznie mi odpowiadali: nie, muszą być partie, jak ma być wolna Polska.

Nasze myślenie było inne: Solidarność była tym ruchem, który miał zniszczyć komunizm, a potem…

A potem… w roku osiemdziesiątym dziewiątym dalej byliśmy niewyrobieni. Dla pani Lidii Ciołkoszowej ważny był jej ukochany PPS. I była ostatnia walka Jana Józefa Lipskiego i paru innych ludzi, którzy tę ideę zniszczyli piłsudczykom. Przypominam sobie natomiast, że środowisko piłsudczykowskie Londynu z dystansem podchodziło do KPN. Nie chcieli tego herbu przekazać. Nie mieli zaufania. Ale poznałem też kręgi, w których KPN traktowano z sympatią. Do nich docierały przede wszystkim gazety, dyskusje, ciekawili ich autorzy. Zbigniew Błażyński chciał się ode mnie czegoś dowiedzieć o Dawidzie Warszawskim. Ich wiedza była różna, ale działało tam paru doświadczonych dziennikarzy. Żenczykowski, który budował Wolną Europę, to ciągle niedoceniana postać.

Krzysztof Turkowski w rozmowie z Lidią Ciołkoszową

U kresu swojego długiego życia otrzymał jednak order Orła Białego.

Ale nie doceniona tutaj w kraju. Tacy jak on, budując Wolną Europę, nie stworzyli tylko centrum zbierania informacji. Wolna Europa z Nowakiem-Jeziorańskim i nie tylko utrzymywała bardzo wielu wybitnych przedstawicieli polskiego życia intelektualnego. Tu w kraju.

Władysław Bartoszewski od lat 70 żył z felietonów i materiałów dla nich, a to postać sztandarowa, rzecz dotyczy też wielu innych.

Oczywiście, sam w 1988 roku dostałem 500 marek czy dolarów już nie pamiętam…

Ale w obu wypadkach przeliczniki były kosmiczne.

Za jedną audycję to ja miałem grubo ponad rok życia. Moja rodzina: ja i żona z dzieckiem, mogliśmy wszyscy spokojnie funkcjonować. Jak dostawałem Polcul, też 500 dolarów na rok stypendium, to porównanie z tymi pensjami w Polsce wypadało jednoznacznie.

O tym się nie pamięta, o roli tych instytucji, jak Polcul czy RWE, które w różny sposób pozyskiwały te środki…

Wolna Europa jak wiadomo była dotowana przez National Endowment for Democracy, ale też było wielu Polaków, którzy zbierali środki na opozycję w kraju.

Składali się, były też składki.

Ale był na przykład – prowadziła go pani Teresa Affeltowicz – fundusz dla żołnierzy Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy mieszkali w Polsce i dostawali zasiłki co miesiąc.

Bardzo ciekawe, nie wiedziałem o tym.

Tak, ona miała ich kartoteki. Oczywiście dostawali, tylko mówiła: no ciężko mi nieraz jest, bo ja żołnierz, również oficer Armii Krajowej wysyłam głównie na Śląsk, a oni wcześniej byli w wermachcie, korpusie Rommla…

To już niesamowite paradoksy polskiej historii.

Ale należało się, walczyli. Wobec Ślązaków na froncie obowiązywała zasada: przechodzicie i jesteście w polskim wojsku. I oczywiście oni walczyli pod Monte Cassino i w Bolonii. A potem te 15 funtów to dalej było bardzo dużo. Emigranci ze swoich skromnych pieniędzy dawali, zbierano. Bo to Skarb Narodowy – zwróć uwagę na ciągłe osadzenie w polskiej tradycji historycznej. Parokrotnie słyszałem od nich: my jesteśmy mała emigracja, bo Wielka Emigracja to była za Czartoryskiego, takie porównanie. Ale przecież… co to takiego Skarb Państwa?

Czuli tę ciągłość, tak?

Oczywiście. I jakie instytucje budowali. Pan Stachiewicz mi opowiadał o Wydziale Architektury na Uniwersytecie w Liverpoolu, w którym Polacy studiowali.

Czy tam nie skończył czasem studiów Jaraczewski?

Tak, to są takie historie, które gubimy. Z kolei Instytut Piłsudskiego w Londynie był bez porównania skromniejszy niż w Nowym Jorku. Tam były córki, oczywiście pułkownik Ignacy Matuszewski i major Henryk Floyar-Rajchman. Z kolei w Londynie imponujące było to, co robiła Reduta czy ci starsi pułkownicy, polska szkoła sowietologiczna, stworzona przez elity władzy Drugiej Rzeczypospolitej. Jednak różne środowiska

Krzysztof Turkowski w rozmowie z synem gen. Stachiewicza w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Londynie

pozostawały pokłócone. Dobrze nie poznałem tylko endeków, bo zawsze była mi bliższa tradycja legionowo-peowiacka. Z relacji tylko dowiedziałem się, że Tadeusz Bielecki to była duża głowa, tak o nim mówiono, był jeszcze Darkas, już trochę młodsze pokolenie. Prawie już nie było ludowców, o Kazimierskim już wspominałem.

Skoro o nich mowa, czy w londyńskich rozmowach pojawiały się jakieś oceny Stanisława Mikołajczyka?

W dobrym towarzystwie nie o wszystkim się mówi.

No właśnie…

Myślę, że to trochę pointuje jego specyficzne zachowanie. Poza tym tamci jak mówiono załapali się na Amerykę, poza Stanisławem Mikołajczykiem również Stefan Korboński… Natomiast problemem ośrodka londyńskiego okazał się konflikt prezydenta z liderami stronnictw, wynikał z uporu Zaleskiego, a przynajmniej od niego się zaczął, to sprawy wielokrotnie już opisywane. Oprócz sporów politycznych istniały jednak rzeczy trwałe: coś takiego jak Polska Macierz Szkolna, ośrodek w Fawley Court, który z tych składeczek oni zbudowali. Naprawdę dzięki składkom takie obiekty wznosili.

Gdy byłem w Anglii, odwiedziłem słynną szkołę zakonną pod Londynem…

Działało parę takich szkół…

..a tam znalazłem nawet małe muzeum, a oprócz nauki uczniowie również rzeźbili.

Z Twojego opisu rozpoznaję, to musiało być u marianów w Fawley Court. Inne ważne dla Polaków miejsca to knajpa lotników, gdzie się nasi bohaterowie wojenni spotykali, pomnik w Amersham, nasze cmentarze.

Wyliczmy, z kim udało Ci się spotkać.

Generała Klemensa Rudnickiego spotkałem już w końcówce jego życia niestety, rozmawiałem z generałem Stanisławem Maczkiem. Do pana Edwarda

Krzysztof Turkowski z wizytą w domu Państwa Żenczykowskich

Raczyńskiego byłem zapraszany na śniadania i długie rozmowy, towarzyszyła mu pani Aniela Mieczysławska, która się nim opiekowała i pod koniec została jego żoną. Bardzo ciekawy był dla mnie dom państwa Żenczykowskich, Tadeusza i pani Darki. Podobnie jak po drugiej stronie Tamizy dom pani Lidii Ciołkoszowej i całe jej otoczenie. Oczywiście Zamek, na którym mieszkał prezydent Kazimierz Sabbat, który był następcą Ostrowskiego i Raczyńskiego. Poznałem prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego i jego dom. Ważną postacią był profesor Edward Szczepanik, pracownik FAO, agendy ONZ do spraw wyżywienia i rolnictwa.

Szef rządu.

Tak, był premierem rządu londyńskiego w latach 1986–1990. Innym moim rozmówcą był Ludwik Łubieński, który zawsze pojawiał się w ważnych momentach historii drugiej wojny światowej. Ważny dla zorganizowanych struktur kombatanckich był pan Zygmunt Szadkowski. Cennym interlokutorem był pan Zbigniew Błażyński. Zaciekawił mnie pan Stachiewicz i oczywiście

jego przyjaciółki panie Wanda i Jadwiga Piłsudskie. Mnóstwo interesujących ludzi pojawiało się w domu pani Teresy Affeltowicz a także w Leamington Spa u pana Szolca czy w domu profesora Zygmunta Szkopiaka, który jako minister rządu londyńskiego zajmował się sprawami zagranicznymi. Półtora miesiąca spędziłem u pani Zofii Szogonowej, wdowie po staroście białostockim i ostatniej łączniczki generała Okulickiego.

„Niedźwiadka"…

To osoba, która rozwoziła ostatni rozkaz – rozwiązania Armii Krajowej. Legendą jeśli chodzi o dziennikarstwo polskie na wychodźstwie pozostał Tadeusz Nowakowski. Moimi rozmówcami byli też panowie Czyżewscy, dawni pracownicy Wolnej Europy, którzy potem redagowali „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza", a także redakcja „Tygodnia Polskiego".

Jak udało Ci się dotrzeć do tak imponującej listy rozmówców?

Oni mnie w pewnym momencie przekazywali sobie, to cała tajemnica. Po pewnym czasie wpadłem na pomysł, żeby ponagrywać z nimi rozmowy. Byłem przekonany, że warto, bo inaczej wiele ważnych spraw umknie naszej uwadze, zwyczajnie odejdzie wraz z nimi. Gdybym wtedy dysponował dzisiejszą wiedzą, zapewne zrobiłbym to staranniej. Nie posłuchałem Ryśka Czarneckiego, który radził, żeby rozmowy przeprowadzać z użyciem techniki wideo.

Czy spotykałeś się w Anglii z przedstawicielami innych narodów ujarzmionych przez ZSRR?

Różne takie spotkania się odbyły. Z Władimirem Bukowskim, rosyjskim dysydentem, autorem „I powraca wiatr" oraz broszury „Pacyfiści kontra pokój" przemawiałem na ogromnym wiecu. Spotkałem się z panią Sławą Stećko, liderką emigracji ukraińskiej bardzo propolską, której mąż był wcześniej drugą osobą po Stefanie Banderze. Takie to emigracyjne paradoksy.

Czy miałeś kontakty z późniejszą polską emigracją, środowiskami ANEKSU i BBC?

Wręczenie Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski Lotharowi Herbstowi w siedzibie rządu emigracyjnego w Londynie

Z marcowej grupy… Raz spotkaliśmy się z Eugeniuszem Smolarem, u niego w domu, ale to była krótka rozmowa. Natomiast intensywne kontakty utrzymywałem z osobami, które tak jak ja przyjechały z kraju. Jedną z nich był historyk Andrzej Friszke, z którym znaliśmy się od 1976 roku. Bardzo był lubiany przez panią Lidię Ciołkoszową i Teresę Affeltowicz. Sam wprowadziłem w to środowisko, w przekonaniu, że może być dla niego ciekawy Lothara Herbsta, mojego bliskiego przyjaciela. Wcześniej on mnie ciągał po Niemczech, teraz ja go ściągnąłem do Londynu. Lothar Herbst, gdy wręczyli mu Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski po prostu się popłakał. Wzruszył się: – Ja, syn żołnierza wermachtu, który zginął pod Stalingradem, dostałem takie polskie odznaczenie.

Znowu niesamowita historia… A jak układały się relacje polskiego Londynu z polskim Paryżem?

Oba środowiska żyły osobno. Wiadomo, że Jerzy Giedroyć doskonale znał rodzinę Raczyńskich, bo przecież współpracował z ambasadorem w Bukareszcie czyli bratem ministra i prezydenta Edwarda Raczyńskiego, ale szczególnej

zażyłości nie było. Po 13 grudnia to Paryż był najważniejszy dla nas, bo tam znalazł się Mirek Chojecki.

W Anglii jednak też działały środowiska typowo solidarnościowe jak Solidarity with Solidarity Tadeusza Jarzembowskiego-Jarskiego, bo tak pod podwójnym nazwiskiem występował?

Pamiętam Solidarity with Solidarity, ale stara emigracja podchodziła dość powściągliwie do Jarskiego. Oczywiście znałem przedstawiciela Solidarności Walczącej Tadeusza Warszę. Bo przedstawicielem środowiska CDN była Teresa Lechnicka-Affeltowicz, oficer AK… Oczywiście cały czas trwały dyskusje, bo Żenczykowski i Affeltowicz i jeszcze kilka osób byli raczej powściągliwi wobec wielu ruchów. O Janku Chodakowskim trudno właściwie powiedzieć, że to emigrant, skoro urodził się w Kuala Lumpur. Młodszy ode mnie, został ważnym wydawcą, twórcą Polonia Book Fund i rzeczywiście zrobił bardzo dużo. Wtedy pewna generacja się kończyła, młodsi ludzie wchodzili do „Tygodnia" i do „Dziennika Żołnierza".

Działało również wydawnictwo Orbis.

Ktoś z tego katolickiego wydawnictwa, niestety już nie pamiętam, jak się nazywał, zaprosił mnie na spotkanie. Strasznie ciężko pracowali, ale ich dzieło życia się kończyło, bo dzieci nie czytały po polsku, nie chciały, wolały korzystać z języka angielskiego i to był dodatkowy problem. Bo oni żyli bez żadnego wsparcia. Obowiązywał taki dekalog: nie chodzimy do ambasady, stajemy na głowie, żeby zostać na paszportach nansenowskich, uchodźczych… Przy okazji tego spotkania pojawiła się u mnie taka refleksja, że bardzo wielu ludzi skorzystało z naszej walki po 13 grudnia 1981 r, żeby wyjechać za granicę i różne były ich losy. A tamci, niezłomni z Londynu, byli tam, bo chcieli wolnej Polski…

Jak Londyńczycy odnosili się do przywództwa Solidarności, do głównego nurtu opozycji skupionego wokół Lecha Wałęsy?

W czasie mojego pobytu w Londynie przyjechał tam Wałęsa z kilkuosobową delegacją.

Pamiętam, że był z nim Bronisław Geremek.

Ja go nie widziałem, ale był Władek Frasyniuk, pozostający wtedy numerem 2. Byliśmy blisko związani i oczywiście się spotykaliśmy. Tam się człowiek przy okazji nauczył, jakie są gatunki win, z których roczników i jaką whisky pić, że naprawdę jeżeli wodę, to tylko szkocką źródlaną. Wałęsa wzbudził pewną nieufność. Gdy tylko zaczęły się pamiętne rozmowy w Magdalence, poprzedzające Okrągły Stół – ta niesłychana nieufność się pojawiła. Niektórzy w Londynie byli całkiem nieprzejednani, ale znaczna część raczej podkreślała, że trzeba uważać, bo to są gracze – duzi gracze. Trzeba pamiętać o tym, że Polacy z Londynu byli ludźmi, którzy mieli ogromne doświadczenie i potrafili analizować rzeczywistość, również tę krajową. Dla mnie pozostawali jedyną ocalałą elitą Polski, której reszta została wymordowana albo zglajchszaltowana.

Tę elitę cechowała pewna ciągłość myśli i analizy tego, co działo się na Zachodzie i w Rosji. W jaki sposób to odczułeś w trakcie swojego pobytu?

To nawet w języku się objawiało. Siedzimy na jakimś spotkaniu i nagle Lothar Herbst, którego tam ściągnąłem, mówi do mnie: – Krzysiek, słuchaj… Pytam więc, czego mam słuchać. A on na to: – Słuchaj. Bo ja prawie ślepy jestem, ale słuch mam dobry. Słuchaj tego języka polskiego, jakim oni się posługują, bo więcej się z nim już nigdzie nie spotkamy.

Miał rację?

Tak, to była piękna polszczyzna „Wiadomości Literackich", „Pana Tadeusza" i Mariana Hemara. Jak już dowcip – to Hemarowski, a nie jak często w kraju bywało prymitywny. U nas Kabaret Starszych Panów reprezentował tę lepszą tradycję. Emigracja ją zachowała. Kilkadziesiąt lat miłości i tęsknoty wyznaczało jej postawę wobec kraju. Obowiązywała przy tym reguła, żeby do gmachu ambasady nawet się nie zbliżać. To wciąż ten sam budynek, w którym urzędował Raczyński, ale nie zbliżano się tam, z ambasadą wiązała się też tradycja Kiszczaka.

Właśnie, czterdziesty szósty rok i Kiszczak…

To była inna już spuścizna: szpiegostwo, inwigilacja, napuszczanie jednych polskich emigrantów na innych. Dzisiaj to nie ma już żadnego znaczenia. Mia-

łem to szczęście, Andrzeju, naprawdę miałem szczęście, że zetknąłem się z ludźmi z zupełnie innego świata.

I to w momencie pewnego historycznego przejścia, bo pamiętamy, że tam w Londynie pewne pokolenie niestety odchodziło już w sposób naturalny, a w Polsce z kolei następowała pewna historyczna zmiana, wracaliśmy do wolności i niepodległości, akurat w tym momencie Ty patrzyłeś z bliska na świat londyński.

Pamiętam jak zrobiliśmy spotkanie z chłopakami z kraju na Zamku, bo legalizm pozostawał ważny, przyjechał Władek. Przyszli wszyscy, więc siedzieli Raczyński z panią Mieczysławską, dokładnie nie pamiętam, czy uczestniczyły siostry Piłsudskie, ale mogły wtedy być. I Sabbat, dobra głowa, wszyscy się pojawili. Zawiozła nas tam Ania, córka pani Teresy, urodzona w Stratford, ale mówiąca po polsku tak jak my, tylko ładniej, posługująca się jakby czystszą polszczyzną. Władek w latach 1988–1989 był już żywą legendą. Znałem go doskonale i pozostawałem osobą wspomagającą to spotkanie, więc mniej trochę niż inni uległem nastrojowi. A oni siedzieli zasłuchani. Pili, jedli i wsłuchiwali się jednocześnie w te opowieści. Niektórzy nawet byli zazdrośni, kto

Krzysztof Turkowski w rozmowie z Edwardem Raczyńskim i Anielą Mieczysławską

z kraju u kogo się pojawi i z kim się spotka. Ktoś z uczestników spotkania rzucił, że jest specjalistą od wyprowadzania fabryk z kryzysu, przez lata jeździł w tym celu po Ameryce Południowej. A Władek na to: – A tam jest cały kraj do roboty. Takie odbywały się spotkania…

Jak rozumiem tym, którego Frasyniuk zachęcał do podjęcia nowego wyzwania był Jeffrey Sachs, wcześniej doradca w Boliwii i u prezydenta Carlosa Menema w Argentynie. Istniało środowisko London School of Economics, które wywarło później spory wpływ na przemiany gospodarki w Polsce. Wywodził się z niego Stanisław Gomułka, doradzający wcześniej Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu, a potem Leszkowi Balcerowiczowi przy jego planie. Po latach został jeszcze zastępcą Rostowskiego.

Nie pamiętam Jacka Rostowskiego, wiem, że oni, środowisko London School of Economics, spotykali się w POSK-u w takim młodzieżowym klubie. A trzeba pamiętać, że wtedy też miałem trzydzieści parę lat, poszedłem z nimi na wędrówkę po górach. W tym środowisku działał Stanisław Berkieta, który był wiceszefem Citibanku i jednocześnie liderem harcerstwa.

Mówiło się nawet, że na emigracji działa grupa harcerska.

To byli Sabbat i Kaczorowski. Złośliwi oczywiście ironizowali, że ci harcerze po 65 lat mają, a ciągle kolana odsłaniają. Jednak to byli ludzie wcześniej niższego szczebla, ale działający przy Andersie, przy Komorowskim, przy Pełczyńskim, przy Arciszewskim, i to oni przechowali Drugą Rzeczpospolitą. Niebawem nastąpiło przekazanie insygniów, zdarzenie niedoceniane, ale Wałęsa niestety nie czuł, jakie to ma znaczenie. To był powrót Drugiej Rzeczypospolitej. Wiele ważnych instytucji jednak na emigracji zostało również wówczas, gdy komunizm w Polsce już upadł: oczywiście ogromny Instytut Generała Sikorskiego, Studium Polski Podziemnej, Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny, Instytut Józefa Piłsudskiego i oczywiście ogromne Stowarzyszenie Kombatantów Polskich, Polska Macierz Szkolna, której walki o polskość kolejnych pokoleń dzieci emigrantów wciąż się nie docenia, harcerstwo – to były kontynuacje organizacji najbardziej patriotycznych. Wolnej Polsce i Polakom znakomicie służyły skromne sobotnie szkółki…

Czy w okresie zmiany w Polsce pojawiła się w Londynie taka tendencja, że sprzedadzą mieszkania, wrócą do kraju, żeby pomóc?

Młody mógł pomóc, stary już nie, raczej tak to odczuwano. Wyczerpanie fizyczne, doświadczenia wojenne się do tego przyczyniały. Biologia okazywała się często nieubłagana, więc wbrew własnym marzeniom sprzed lat wracali, ale w urnach. Oczywiście bywało inaczej, pamiętam delegację z insygniami, pewnie wielu jej uczestników miało poczucie dumy i satysfakcji.

Czy po zmianie tak diametralnej emigranci z Londynu czuli się przedstawicielami wolnej Polski za granicą?

Nawet nie, mówili raczej: wypełniliśmy zadanie. Udało się, doczekaliśmy. Po latach Polacy w Dortmundzie bardziej żyli sukcesami Borussi, kiedy tam grali Robert Lewandowski i Jakub Błaszczykowski, niż przywiązaniem do tej tradycji, o której teraz rozmawiamy. Ale gdy jest wolny świat, wolna Europa – okazało się, że nie ma takiej potrzeby.

Znaleźli się jednak tacy, którzy dbali o uhonorowanie Polaków z Anglii?

Wielką rolę odegrał nowy konsul, pan Janusz Kochanowski, który zginął potem w Smoleńsku. Ambasadorem został mecenas Tadeusz de Virion, nastąpiła wymiana. Ci starzy przyznawali, że podszedł do emigracji z ogromnym szacunkiem. Docenili to ci, którzy mieli przez kilkadziesiąt lat nansenowski paszport uchodźcy i teraz naprawdę dostali paszport z orłem w koronie.

Poza ludźmi, wielkimi postaciami znanymi z historii, jakie zdarzenia wywarły na tobie największe wrażenie?

Struktura istniejąca, którą tam zastałem, chociaż wiadomo, że bywało przedmiotem żartów to, że rząd nie uznawany ma ministra spraw zagranicznych, chociaż przez jakiś czas Watykan czy niektóre kraje latynoskie to przedstawicielstwo jeszcze uznawały. Nawet jeśli część emigracji zachowała do tego dystans, było dla niej oczywiste, że mamy w sprawach polskich występować. Ciągłość robiła wrażenie, ten Zamek, gdzie Wendorf był cały czas dokąd mógł przy Auguście Zaleskim. POSK zbudowali z tych swoich skromnych składek, gdzie była biblioteka bardzo dla Polaków ważna, pan Jagodziński, niezmiernie

istotna postać. Działały Instytut Piłsudskiego i PUNO – Polski Uniwersytet Na Obczyźnie. Mam wrażenie, że to jedyna emigracja polityczna po drugiej wojnie światowej, która wytworzyła takie struktury. Nie mieli podobnych Litwini, Estończycy, Łotysze ani Ukraińcy.

Jak wyglądały ich relacje z naszą emigracją niepodległościową?

Oczywiście były dwa poziomy: jeden to kontakty dziennikarskie w Wolnej Europie, drugi to bezpośrednie spotkania. O istnieniu takiego bloku antykomunistycznego narodów Europy Środkowo-Wschodniej przekonałem się, gdy przemawiałem w ogromnej hali do paru tysięcy ludzi w towarzystwie rosyjskiego emigranta Władimira Bukowskiego, ukraińskiej liderki Sławy Stećko i parlamentarzystów ukraińskich z parlamentu brytyjskiego. Trochę już o tym spotkaniu Ci opowiadałem. Byłem tam jako jedyny Polak. Dla mnie stanowiło to ogromne przeżycie. I jeszcze po spotkaniu poszliśmy na piwo z Władimirem Bukowskim, który dla nas był wtedy absolutnie symboliczną postacią.

Czy w trakcie spotkań z Polakami miałeś poczucie pewnej ciągłości i łączności pokoleń? Znajdowaliście wspólny język, odkrywaliście go?

Absolutnie tak, bo wyobraź sobie, że mnie w dzieciństwie ojciec zmuszał do czytania „Zająca" Adolfa Dygasińskiego. Dzisiaj nikt nie wie, że coś takiego jest w polskiej literaturze. A moi londyńscy rozmówcy też to w dzieciństwie czytali. Okazało się, że mieliśmy podobne lektury, co stanowiło dla mnie jedno z najbardziej zaskakujących londyńskich odkryć. W kinie zawsze lepiej czułem się na filmie przedwojennym niż współczesnym. Dzięki zainteresowaniu Drugą Rzeczpospolitą rozróżniałem poszczególne kabarety. Rozmowę z panią Władą Majewską z pewnością to ułatwiało.

Przedwojenna Warszawa w jakimś sensie przeżyła i była obecna w tym emigracyjnym Londynie?

Emigranci nie idealizowali oczywiście bez miary tamtego utraconego świata. Pani Lidia Ciołkoszowa opowiadała o swoich doświadczeniach harcerskich, nadmieniała, że ponieważ była żydowską harcerką, musiała osobno iść, gdy odbywał się marsz – słuchanie tego nie było miłe, nawet jeśli się o takich faktach

wiedziało z lektur. Ciekawe, nawet pasjonujące było utrzymanie domu polskiego o takiej niepodległościowej tradycji pomimo podobnych przeżyć. A dla mnie kultowa była Warszawa drugiej wojny światowej, wiedzę o niej uosabiał Tadeusz Żenczykowski. Potem tam się pojawił z kraju Władysław Bartoszewski, odświeżały się przyjaźnie, anegdoty, wspomnienia.

Czy coś Cię zaskoczyło w funkcjonowaniu polskiego Londynu?

Pomimo obśmiewania polskiego wychodźstwa przez propagandę, jego samotności i trudnej sytuacji, gdy brytyjskie władze uznały, że partnera znajdą w rządzącym kraju, mniejsza o to, że komunista – objawił się na emigracji pewien profesjonalizm, którego w kraju wciąż brakuje. Środowisko miało tak zwany kontakt w Home Office, czyli nazwijmy to bezpiece szeroko rozumianej, wtedy, gdy trzeba było przyspieszyć wydanie komuś paszportu, ale i w sprawach poważniejszych, związanych – powiedziałbym ogólnie – z bezpieczeństwem NATO. Dzięki temu Błażyński, Soboniewski czy Żenczykowski uczestniczyli w różnych istotnych dla wspólnoty wolnego świata wydarzeniach. Natomiast niemile zaskoczyła mnie niesłychana pauperyzacja wielu ludzi z polskiej emigracji, to był dramat.

Czy to było odczuwalne, rzucało się w oczy?

Widać to było, zwłaszcza, że minęły lata. Pierwszy okres też był bardzo przykry, poniżający dla nich. Na przykład słynna srebrna polska brygada, chyba w Hotelu Dorchester, od majora wzwyż – to byli specjaliści od szorowania sreber. Niektórzy mieli głowy do interesów, jak pani Szagonowa, która zawsze kredyty załatwiała, miała dużo domów, w nich wszystkie meble osiemnastowieczne. Mąż pani Affeltowicz założył fabrykę radiotechniczną, w której sporo emigrantów dostało pracę. Również Sabbat robił biznes, miał bodajże fabrykę kołder. Niektórzy pracowali w instytucjach, w których traktowani byli trochę z przymrużeniem oka. Inni po początkowych upokorzeniach ujawnili swoje talenty w branżach, niemających związku z tym, czym się przed wojną zajmowali. Generał Rudnicki po dwóch latach pobytu dostał propozycję pracy w stajniach jako specjalista od kawalerii w stopniu generała. Zawsze miał zdolności malarskie, znał się na sztuce, więc pojechał do

Szwecji, gdzie kupował stare obrazy, których miejscowi nie doceniali. A potem – jak opowiadał – wprowadził je na rynek brytyjski w ten sposób, że pokazał je w dobrym dniu na Wimbledonie niedaleko kortów tenisowych i znalazły wzięcie. Porządnie na nich zarobił.

Czy emigranci starali się nawzajem sobie pomagać, czy różnie z tym bywało?

Jak w Polsce, jak w Polsce…

Rozumiem.

Elitą byli „wolnoeuropejczycy", inaczej niż BBC, bo oni mieli dobre emerytury, amerykańskie, więc mieszkali ładnie, a przy tym w dobrych lokalizacjach i pozostawali przedmiotem zazdrości. Rzeczą istotną pozostawała na emigracji dbałość o to, żeby dzieci się uczyły. Rodzice jak mogli inwestowali w to, żeby angielski kolejnego pokolenia był bogaty i poprawny. Skromniejsze polskie domy widziałem w środkowej Anglii. Wśród elity słyszało się czasem uwagi, no zobacz, mieszkają w tej Anglii trzydzieści lat, a jak idziesz u nich do toalety, to tam papieru nie ma, tylko gazety pocięte, ach ci z Polesia, to z Polesia.

No tak…(śmiech)

A z drugiej strony było Ognisko na Exhibition Road, to takie zresztą bardzo polskie, że w dzielnicy muzeów, Instytut Sikorskiego, w Ognisku przecież był kiedyś stolik generała Andersa, kabaret Hemara, spektakle teatralne. To oczywiście historia, ale podczas mojego pobytu zdążyłem być na wieczorze 11 listopada, królowała tam szefowa ZASP Irena Delmar, zwana przez wszystkich Delmarką, świetnie się prezentowała, ale ciągle nie mogła uwierzyć, że to już nie te czasy. Wiele takich osób spotkałem. Niektórzy mieli znacznie gorzej. Nie wszyscy musieli myć naczynia, ale nie każdy czuł się elitą. Zwłaszcza, że spadali z wysoka, to oczywisty problem emigrantów. Wiele znalazło się dzielnych osób, młodsza córka Marszałka studiowała architekturę w Liverpoolu, inni medycynę, ekonomię… W nauce świetnie poradził sobie Szczepanik i Szkopiak, który był chemikiem, inżynierem metalurgiem.

Krzysztof Turkowski w rozmowie z córką Marszałka Wandą Piłsudską w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Londynie

A życie codzienne emigrantów, co zwracało uwagę?

Pyszne pierogi, to oczywiste. Ale też polski chleb, kupowany u Ukraińców.

Spytam oczywiście o Kościół, zawsze postrzegany jako ostoja emigracji, jaka była jego rola?

Istotna niezmiernie przy wszelkich uroczystościach, co zrozumiałe. Kościół stał się też miejscem kształcenia polskiej młodzieży. Nie wiem, jak by to bez niego wyglądało, skoro dzieci emigrantów kończyły szkołę w Anglii, a potem przecież trzeba było z czegoś żyć. Polska edukacja dla większości mogła więc stanowić tylko uzupełnienie. Pamiętam ze swojego pobytu różne wydawnictwa dla dzieci, zawarte w nich wierszyki. Nie tylko „Kto ty jesteś", ale również bajeczki uwzględniające emigranckie realia.

Jak Polacy z emigracji patrzyli na Jana Pawła II?

No jak nie kochać.

Oczywiście, ale mam na myśli to, z jakiej perspektywy odnosili się do polskiego Papieża?

Jak Styka do Matki Boskiej, na kolanach. Doceniali, jak niezwykłą rolę odgrywał, jak wpłynął na poczucie godności Polaków na całym świecie i ich wspólnotę.

Czy w Londynie czuło się oddech służb PRL, a ściślej, czy emigracyjni politycy liczyli się z tym, że są inwigilowani?

Absolutnie, trzeba pamiętać, że w czołówce emigracyjnych struktur znajdowali się ludzie, którzy wiedzieli, jak tajne służby działają. Zawsze z tyłu głowy mieli, że ambasada to centrum szpiegostwa, zgodnie z prawdą zresztą. Skrajnie nieufny był dyrektor Jagodziński.

Jak postrzegałeś w trakcie pobytu relacje między polityką emigracji a tą brytyjską?

Chwaliłem przedtem już polskie instytucje, że tyle ich powstało, zwykle ze składek – ale był feler w tym, że nie udało się polskiemu środowisku wprowadzić parlamentarzystów do brytyjskiej Izby Gmin, a Ukraińcy to potrafili, mieli w parlamencie nad Tamizą dwóch czy trzech swoich. Gdy ja byłem w Wielkiej Brytanii, politykę miejscową ukształtowała aktywność pani Margaret Thatcher, nawet młode pokolenie niczym nie przypominało roczników lewicujących w 68 roku. Przeciwnikom komunizmu z Polski i emigracji było pewnie łatwiej niż przed laty.

A jak kształtowała się pozycja Polaków z Londynu wobec innych ośrodków polskiego wychodźstwa? Jak rozumiem kombatanci z kraju, w którym rezyduje rząd emigracyjny czuli swoją szczególną rolę?

Najważniejsze było Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Niemczech, w Ameryce, we Francji, w Kanadzie i w Argentynie. Byłem na zjeździe kombatantów. Mieliśmy tam specjalne zaproszenie z Władkiem Frasyniukiem, to było nasze kolejne spotkanie. Mówiliśmy w POSK-u do wielkiej sali. Zbierano tam pieniądze na pomoc Komitetom Obywatelskim. Kombatanci bardzo byli nami zaciekawieni, zwłaszcza że ten facet był żywą legendą. I co również

ciekawe – mówiliśmy dość podobnie. Środowisko tam się podzieliło dopiero wówczas, gdy przyjechał i spotkał się z nim premier Tadeusz Mazowiecki, mam nawet zdjęcia. Wiadomo, jakiego wtedy mieliśmy ministra spraw wewnętrznych. Z perspektywy czasu łatwiej wszystko analizować, wtedy dla wielu było ważne, że premier jednak jest nasz, Mazowiecki wywodzi się z opozycji. O PAX-ie też oczywiście mówiono, ale w sposób powściągliwy. Jak się zastanawiam, dlaczego mnie i Władka Frasyniuka tak dobrze kombatanci przyjmowali, łączę to z faktem, że myśmy byli młodzi, nie zdążyliśmy się pobrudzić w PRL, dlatego mogli nas inaczej czytać. Starsi londyńczycy byli niezwykle powściągliwi, jeśli chodzi o falę emigracji z 1968 i kilku następnych lat. Uważali, że jej przedstawiciele bardzo ich atakują i obśmiewają. Pokolenie ’68 nie cieszyło się szacunkiem w polskim Londynie. Lepiej przyjmowano osoby z kraju. Dla nich byłem dziwadłem, Don Kichotem w zbroi krążącym po ulicach Londynu, podobnie ze wzruszeniem przyjmowano Tolka Juzwenkę czy Lothara Herbsta.

Mówiliśmy o tym, jak pokolenie pamiętające wojnę odchodzi. Szczątki wielu z nich sprowadzono do Polski…

Pani Affeltowicz kazała, żeby ją tu przywieźli.

Szczepanik jest w Suwałkach.

Jeśli jednak zaczynamy rozmawiać o pośmiertnych losach, upamiętnieniach – to nie mogę ukrywać, że dziwi mnie, że choćby na Gocławiu wszyscy prawie mają swoje ulice, a Warszawa do tej pory nie dorobiła się ulicy Tadeusza Żenczykowskiego.

Może po tym wywiadzie w „Opinii” coś się zmieni, do Rady Miasta warto się zwracać o upamiętnienie działaczy emigracyjnych, po to jest komisja do spraw nazw. Zwłaszcza, że Żenczykowski – można powiedzieć – bardzo jest warszawski jako postać historyczna.

Warszawski aż do bólu. Całe pokolenie słuchało jego audycji historycznych. Gdy ruszył drugi obieg, poznało go jako autora „Samotnego boju Warszawy”.

Krzysztof Turkowski i Lothar Herbst przy Whitehall w Londynie

Order Orła Białego Żenczykowski dostał już od wolnej Polski.

A w II Rzeczypospolitej był najmłodszym posłem.

Zaś w Powstaniu Warszawskim szefem całej propagandy, to w ogóle niesamowita postać.

Dlatego ulica w Warszawie mu się należy.

Rozmawiamy o czasach Twojego pobytu w Londynie, kiedy komunizm w kraju osłabł a potem upadał. Jak z dzisiejszej perspektywy oceniasz działania tamtej polskiej emigracji?

Konieczne, niezbędne.

Czy to znaczy, że im dłuższa perspektywa, w sensie analizy historycznej i politologicznej, tym znaczenie emigracji powinno rosnąć?

Widzę to w ten sposób, że ważne było utrzymanie niezależności i godności tu w kraju, ale również podtrzymanie jej tam, na emigracji. Dostrzegam teraz,

już w obecnych czasach przywracanie jej szacunku. Oczywiście jeśli porównać z Wielką Emigracją po Powstaniu Listopadowym – to wychodźcy powojenni stworzyli mniej instytucji. Za to w wielkim stopniu zaangażowali się w cudze konflikty, nasi wybitni żołnierze służyli w różnych obozach przez następne lata, zwykle niewiele na tym zyskując. Pamiętam jednak poczucie, a raczej pewność, że kiedy cała Polska pójdzie niemalże cała pod tę czerwoną wodę, to my przeniesiemy wartości, na nasze dzieci…

Czyli „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy", tak?

Raczej przechowywanie honoru, godności, polskiej tradycji, także instytucji po czterdziestym piątym, to ostatnie zwłaszcza stało się trudne, gdy Watykan w pięćdziesiątym ósmym roku cofnął uznanie. To była emigracja struktur. Trochę się nie pamięta, ile było wydawnictw.

Tego wciąż się nie docenia? Zapomina się, że Jerzy Giedroyć nie działał samotnie?

Przecież Giedroyć nie stworzył Macierzy Szkolnej. To oni wpłacali często pieniądze na Giedroycia. Nie stworzył też Skarbu Narodowego, chociaż zapewne wpłacał tam własne środki. Jedno środowisko z kraju kształtowało dominujący obraz emigracji. Oczywiście Giedroyć był bardzo ważny, „Kultura", Maisons-Laffitte, „Zeszyty Historyczne", ale nie był to jedyny ośrodek, tego typu myślenie to bzdura.

Na Wyspach były też osoby z emigracji późniejszej, Leszek Kołakowski w Oxfordzie…

O nieufności starszych emigrantów wobec pokolenia '68 trochę już opowiadałem. Nie wiązała się może tak bardzo z Kołakowskim, ważną postacią, mocniej z takimi osobami jak Włodzimierz Brus, ich żonami – wiesz, o kim mówię – życiorysami takimi, jak Zygmunta Baumana. Poza tym profesorska emigracja raczej nie szanowała reszty wychodźstwa, trochę pogardzała emigrantami, którzy to dostrzegali. Poza tym, naprawdę nie chcę nikogo obrazić, ale oni się identyfikowali bardziej z generałem Świerczewskim niż z Andersem. Nawet jeśli z emigracji wpłacali pieniądze na podziemną Solidarność…

Uroczystość wręczenia Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski Krzysztofowi Turkowskiemu w siedzibie rządu emigracyjnego w Londynie. Odznaczenie wręczył prof. Edward Szczepanik, premier rządu emigracyjnego.

A Krzysztof Pomian? Jakie miał znaczenie dla emigracji?

Duże nazwisko, nawet wielkie nazwisko paryskie. Ale w intelektualnym świecie. Pisał z wielką aprobatą o fenomenie Solidarności, ale związany był raczej ze środowiskiem zachodnich intelektualistów pokolenia '68, wedle naszych kategorii lewicującym. Podobnie zresztą jak Jan Karski. Cały ten krąg charakteryzowało przekonanie, że Rzeczpospolita umarła po 17 września 1939 r. wraz z wyjściem rządu za granicę. Ewentualnie jeszcze ich bohaterem był Stanisław Mikołajczyk, a dla Polaków z Londynu – na pewno nie. To był wielki dramat tych ludzi: zakończyli wojnę bohaterską i ciężką, walcząc w niej najdłużej i nie wpuścili ich na defiladę.

Kult polskich lotników też stanowił ważny motyw życia emigracji?

Lotnicy mieli w Escorcie swoją restaurację. Polacy w Anglii zachowali ogromny szacunek dla nich. Dlatego, że była to formacja zbrojna doskona-

le przez Anglików kojarzona. A emigrantów cechowała wielka wrażliwość na dobre imię Polski, łączona z przekonaniem, że trzeba o Polsce jak najczęściej mówić i bronić jej za każdym razem, gdy inni źle ją przedstawiają. Z Londynu zapamiętałem wielkie główkowanie nad propozycjami różnych grup dla Polski. Pozostawali pewni, że przechowali ten pierścień czy złoty róg.

Ale mieli poczucie, że chcą go oddać w godne ręce, tak?

Namawiali delikatnie, żeby w Londynie zostać, rodzinę ściągnąć… Zależało im na kontynuacji ich dzieła. Minęło tyle lat, ale wciąż uważam, że emigracja nie została ani doceniona jak należy, ani do końca naukowo zbadana. Wiążę spore nadzieje z Muzeum Piłsudskiego, także z Instytutem Piłsudskiego, z zachowaniem i pomnożeniem przezeń dorobku zarówno z Nowego Jorku, jak Londynu, z obu miejsc. Wszystko to, o czym rozmawiamy, zasługuje na wielką debatę historyków.

Krzysztof Turkowski rozmawia z Ludwikiem Łubieńskim*

Krzysztof Turkowska: Panie Majorze, pochodzi Pan z rodziny dla Polski bardzo zasłużonej. Urodził się Pan na Wschodnich Kresach Rzeczypospolitej…

Ludwik Łubieński: Urodziłem się 6 maja 1912 roku w majątku mojego ojca, Kazimierza Wielka, woj. Kieleckie, ale w związku z tym, że mój ojciec dostał po matce duży majątek koło Orszy, w guberni smoleńskiej, tam spędziłem pierwsze lata mojego życia. Gdy wybuchła I wojna światowa, ojciec zaniepokojony losami rodziny, przeniósł nas, z trójką mojego rodzeństwa, do Finlandii, gdzie mieszkaliśmy przez dwa lata. W 1916 roku ojciec jako członek „Dumy" z Koła Polskiego objeżdżał wraz z carycą szpitale Czerwonego Krzyża. Postanowił wówczas sprowadzić nas z powrotem na wieś do Mierzowa, koło Orszy.

Tam jednakże sytuacja była bardzo niestabilna, gdyż zaczęły się rozruchy. Przyczyną były zgromadzone w majątku wielkie zapasy spirytusu, które zdobyła okoliczna ludność. W związku z niebezpieczeństwem opuściliśmy w nocy saniami nasz majątek i udaliśmy się do Mińska. W międzyczasie Niemcy zajęli miasto, a my wycofaliśmy się z powrotem do Kazimierzy Wielkiej. Tam dojechał do nas mój ojciec. W Polsce Niepodległej ojciec nadal pełnił funkcje polityczne – był senatorem z Nowogródczyzny, Kielecczyzny, aby następnie zostać przedstawicielem Polski w międzynarodowym Instytucie Rolniczym. Moja

* Ludwik Maria Łubieński (ur. 6 maja 1912 r. w Kazimierzy Wielkiej, zm. 22 stycznia 1996 r. w Londynie), pochowany w Kazimierzy Wielkiej – polski prawnik, major, oficer łącznikowy Wojska Polskiego, były Sekretarz przedwojennego szefa dyplomacji Józefa Becka, szef polskiej misji morskiej w Giblartarze, pracownik polskiej sekcji Radia Wolna Europa.

matka zorganizowała nam naukę w domu, lecz z czasem pojawiły się trudności z egzaminami i musieliśmy się przenieść do Krakowa. Tam pobierałem naukę w gimnazjum im. Sienkiewicza, podobnie jak moi bracia. Po zdaniu matury w 1930 roku zapisałem się na Uniwersytet Jagielloński, na Wydział Prawa i Administracji, a w ostatnich dwóch latach studiowałem jeszcze w Wyższej Szkole Nauk Politycznych. Po studiach odbyłem służbę wojskową w podchorążówce artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, skąd przeniesiono mnie do I DAK w Warszawie. Po wojsku wyjechałem do Wiednia, aby skończyć tam Wyższą Szkołę Handlową. Wtedy planowałem, że będę pracować w handlu, lub przemyśle. Do Wiednia pojechałem między innymi dlatego, że wszystkie egzaminy z Krakowa zaliczano w stolicy Austrii. Mogłem dzięki temu studiować na Akademii tylko rok.

Po pobycie we Wiedniu wróciłem do Warszawy, gdzie odbyłem staż praktykancki, a następnie zostałem szefem działu licencji w Państwowych Zakładach Inżynierii przy ulicy Terespolskiej. Budowaliśmy tam wówczas polskie „Fiaty", ale także ciężarówki „Saurera". Po pewnym czasie zakłady zostały w całości upaństwowione.

To w ramach polityki etatyzacyjnej premiera Kwiatkowskiego…

Byłem temu przeciwny – zawsze byłem za prywatyzacją przemysłu. Postanowiłem więc zrezygnować z tej, nb. znakomicie płatnej pracy, i zgłosiłem się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tam przyjęto mnie i natychmiast wysłano na pierwszą placówkę – jako urzędnika kontraktowego do konsulatu generalnego w Rzymie. Konsulem wówczas był p. Mazurkiewicz, zaś ambasadorem – Alfred Wysocki. Po nim przyszedł generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski. W Rzymie byłem przez ponad półtora roku i następnie zgłosiłem się do centrali do Warszawy, aby wziąć udział w tzw. kursie praktykanckim, który przygotowywał nas do egzaminu dyplomatyczno-konsularnego. 1 stycznia 1939 roku znalazłem się w Warszawie i tam razem z kolegami, którzy przybyli z całego świata, stworzyliśmy kurs praktykancki. Polegało to m.in. na tym, że pracowaliśmy kolejno w różnych departamentach, aby dobrze poznać nasze ministerstwo. Na jesień zaplanowany był ciężki egzamin, po zdaniu którego dostawało się 8. kategorię urzędnika państwowego.

Chciałbym wrócić do decyzji, którą podjął Pan po opuszczeniu stanowiska w przemyśle. Dlaczego przeniósł się Pan do służby dyplomatycznej?

Zawsze mnie to interesowało. Byłem ponadto przygotowany naukowo w tym kierunku. Znałem obce języki – mówiłem biegle po francusku, niemiecku. Uznałem, że jeżeli nie mogę pójść drogą handlową – jak wcześniej planowałem – to pomyślałem, że może przydam się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Spytałem, czy mnie przyjmą i okazało się, że przyjęto mnie bardzo ciepło.

W MSZ-cie zatrudnionych było wieli przedstawicieli polskich rodów arystokratycznych…

Mówiło się, że jest to następna szkoła dla arystokracji. Ale arystokracji w Polsce już prawie nie było. Konstytucja z 1921 roku zniosła nasze tytuły tak, że to określenie – arystokracja – już nie bardzo pasowało. Oczywiście MSZ było miejscem, gdzie znaleźli zatrudnienie ludzie wywodzący się z rodzin ziemiańskich, mówiący językami, przez co mieli łatwiejsze dojście do ministerstwa.

Wracając do naszego kursu. Został on rozwiązany w związku z sytuacją międzynarodową. 1 lipca 1939 podobnie jak moi koledzy, którzy posiadali przeszkolenie wojskowe, w czasie mobilizacji (tzw. kartkowej) otrzymaliśmy karty.

Minister Józef Beck podjął wówczas decyzję o przyjęciu nas do pracy w ministerstwie bez konieczności składania egzaminu dyplomatyczno-konsularnego. Część z moich kolegów poszła do jednostek wojskowych, a reszta została zaangażowana na Wierzbowej (siedziba ministerstwa) lub na placówkach. Ja tymczasem, w związku z tym, że min. Beck dobrze mnie poznał w czasie swej wizyty w Rzymie, a następnie w czasie pobytu niemieckiego ministra Spraw Zagranicznych Joachima von Ribbentropa i włoskiego ministra Galeazzo Ciano w Warszawie, zostałem wezwany do Becka, gdzie zaproponowano mi bym został jego sekretarzem. Była to dla mnie wielka niespodzianka. Byłem tym bardzo zaskoczony, pełen obaw czy podołam zadaniom. Minister powiedział, że „nie święci garnki lepią" – ma pan 24 godziny do namysłu. Po naradzie z ojcem i bratem zgłosiłem się do płk. Becka z dniem 15 czerwca 1939 zostałem jego sekretarzem.

Kiedy dotarła do mnie pierwsza karta mobilizacyjna, MSZ mnie wyreklamował i pozostawiono mnie w ministerstwie.

Gdy wybuchła wojna, minister Beck poprosił mnie abym został oficerem łącznikowym między nim, a Marszałkiem Śmigłym-Rydzem. Urzędowałem więc nie w pałacu Brühla na Wierzbowej, ale na Rakowieckiej – w siedzibie sztabu Naczelnego Wodza.

Panie Majorze, wróćmy jeszcze do wydarzeń wcześniejszych. Rzym w końcu lat trzydziestych to jedno z najważniejszych miast Europy. Pański pobyt w Rzymie był o tyle interesujący, że uczestniczył Pan poniekąd jako bezpośredni obserwator w wielu ważnych wydarzeniach. Czy mógłby Pan przypomnieć ówczesnych dyplomatów polskich – ambasadora Alfreda Wysockiego i innych znanych w Rzymie Polaków.

– Byłem wtedy zaledwie pracownikiem konsularnym, gdyż tak zorganizowana była nasza służba dyplomatyczna. Moim głównym zadaniem była opieka nad obywatelami polskimi, wydawanie wiz i paszportów. Częściowo zajmowałem się kwestiami ekonomicznymi, gdyż mój konsul był także radcą handlowym.

Miałem szczęście, że ambasador Alfred Wysocki był przyjacielem mojego ojca i trochę się mną zajął. Bardzo mi wtedy pomógł często zapraszając do siebie. Dzięki temu poznałem całą ambasadę.

W Rzymie były dwie ambasady – jedna przy Watykanie, druga przy Kwirynale. Przy Watykanie był ś.p. ambasador Władysław Skrzyński, wspaniały dyplomata. A przy Kwirynale, wspomniany Alfred Wysocki, który na własną prośbę (ze względu na wiek i stan zdrowia) został odwołany. Wtedy przybył do Rzymu nowy ambasador – generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

Ta decyzja wywołała pewne zdumienie. Miał on przeszłość wojskową. Był ukochanym adiutantem Marszałka Piłsudskiego. Wiele się o nim mówiło, gdyż robił rzeczy delikatnie mówiąc „niekonwencjonalne". Poważnie obawiano się, że może zachowywać się tak samo w Rzymie.

Gdy jednak przybył do Rzymu zaskoczył wszystkich swą metamorfozą. Do nowej roli był świetnie przygotowany. Ten lekarz z zawodu, mówił znakomicie językami, po włosku natychmiast się nauczył. To był także poeta o świetnym wyglądzie zewnętrznym. Był naprawdę wymarzony na Włochy.

Włosi lubią ludzi, którzy się dobrze przedstawiają, dobrze wyglądają. Dzięki temu Wieniawa był niesłychanie popularny. Opowiadano wtedy następującą anegdotę. Pewien Włoch przyjechał z Mediolanu. Idzie ulicą rzymską, a przed nim Mussolini i Wieniawa. Mediolańczyk pyta swego rzymskiego kolegi – kim jest ten człowiek, który idzie obok Wieniawy.

Wieniawa świetnie jeździł konno i zawsze rano dosiadał konia w Pincio. Nigdy nie mógł się powstrzymać od uwag, kiedy widział włoskich oficerów. Dawał im wskazówki – a to, że noga od konia odchodzi, a to pięta do dołu.

Różnica między Wieniawą a Wysockim polegała na tym, że poprzedni ambasador był wychowankiem starej austriackiej szkoły dyplomatycznej. Wysocki „urzędował", a Wieniawa wręcz przeciwnie. Kiedy składał listy uwierzytelniające królowi Włoch, podjechał wspaniałą karetą w nowym mundurze dyplomatycznym. Nagle widzę, że szef protokołu dyplomatycznego patrzy z przerażeniem w kierunku Wieniawy, a ten okazuje się założył sztyblety i do tego mało balowe ostrogi. Szef protokołu pyta go zaskoczony – jak to, ostrogi do munduru dyplomatycznego? Na to Wieniawa: „Najpierw w życiu byłem kawalerzystą, a potem dyplomatą, więc mam nadzieję, że Jego Królewska Mość nie obrazi się, że założyłem ostrogi do munduru.". I pojechał. Jest przyjęte, że po złożeniu listów uwierzytelniających przez 5 minut trwa rozmowa prywatna. Ówczesny król włoski był historykiem i zajmował się czasami napoleońskimi. Kiedy Wieniawa przybył na rozmowę, znikli w komnacie królewskiej. Minęło przepisowe 5 minut, 10, pół godziny, godzina. Szef protokołu był coraz bardziej zaniepokojony, otwierał drzwi, aby dać znać o końcu audiencji, a król machał ręką, aby mu nie przeszkadzać. W końcu Wieniawa wyszedł po przeszło godzinie. Było to wydarzenie bez precedensu i stało się przyczyną jeszcze większej popularności naszego ambasadora. Wieniawa był w bardzo dobrych stosunkach z Ciano (minister spraw zagranicznych Włoch, zięciem Mussoliniego). Było to dla nas bardzo istotne. Minister Beck chciał odciągnąć Włochy od związku z Hitlerem, oraz nie dopuścić do Anschlussu Austrii. Niestety, ta koncepcja nie mogła być zrealizowana, gdyż Włosi zbyt już byli od Niemiec uzależnieni gospodarczo, zwłaszcza poprzez współpracę przemysłu wojennego. Uważam, że Anglicy, a głównie Francuzi popełnili wtedy wiele błędów, gdyż prowadząc mądrzejszą politykę mogli do tego aliansu nie dopuścić.

Widać było jak Hitler w stosunkach z Włochami zdobywał coraz bardziej pozycję hegemona. Mussolini był co prawda bardzo ambitny, lecz wyraźnie Niemcom ulegał.

Wracając do generała Wieniawy trzeba wymienić inne jego zasługi. Kiedy po klęsce wrześniowej nasi żołnierze przedzierali się przez Węgry i Rumunię do Francji, Wieniawa namówił Ciano do zorganizowania pomocy dla Polski. Efektem tego było polecenie, aby włoskie konsulaty w Bukareszcie i Budapeszcie wydawały Polakom po sto wiz dziennie. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że ci wszyscy Polacy idą do wojska aby walczyć przeciwko sojusznikowi Włoch, Niemcom. Ogromnie pomogło to w naszej akcji ewakuacyjnej, która przez Włochy trwała do 10 maja 1940 roku, gdy Włochy włączyły się do wojny po stronie Niemiec.

Powróćmy jeszcze do 1939 roku. Ambasador Wieniawa-Długoszowski był organizatorem wizyty w Warszawie w kwietniu 1939 roku hr. Galeazzo Ciano i jego żony Eddy (córki Mussoliniego). Wizyta ta miała podkreślić związki polsko-włoskie. Pan w przygotowaniach do tego wydarzenia brał udział i w trakcie wizyty miał specjalne obowiązki.

Ministrowi Beckowi zależało, aby Ciano przybył do Polski pod pretekstem polowania na dziki. Polska strona pragnęła, aby do nas przybyła także żona ministra, prywatnie córka dyktatora Włoch. W związku z tym powstał pewien problem. Pani Ciano była kobietą o niezwykłym temperamencie, znakomicie się prezentowała. W czasie swej poprzedniej wizyty oficjalnej na Węgrzech Edda Ciano przysporzyła ogromnych kłopotów protokołowi dyplomatycznemu, mówiąc delikatnie. Chodziło o to, że syn admirała Horthy'ego, który był szalenie przystojnym mężczyzną, wywoził ją do rozmaitych cygańskich restauracyjek. Tam przez całe noce trwały szampańskie zabawy przy cygańskiej muzyce, które do rozpaczy doprowadzały szefa protokołu dyplomatycznego. Nie mieściło się to w jego wyobraźni, że pani Ciano przez całe noce uczestniczy w zabawach, zamiast być w hotelu przy mężu. W związku z zachowaniem córki w Budapeszcie Mussolini nie chciał, żeby udała się do Warszawy. Wtedy Wieniawa powiedział, że sam zorganizuje podróż, aby ojciec nie miał pretensji do córki o niestosowne zachowanie. Dzięki Bogu wszystko zostało tak zorganizowane, że pani Ciano po prostu nie miała czasu na specjalne „wyskoki". Dostałem wówczas bardzo ciężki przydział. Ze względu na znajomość z rodziną Ciano, zostałem przydzielony do osobistej opieki nad żoną włoskiego ministra. Nie przyjąłem tego ze zbyt wielką radością. Na szczęście dzięki Wieniawie i warszawskim szwoleżerom wizyta stała się wielkim sukcesem towarzyskim. Niestety jej polityczne konsekwencje były mniejsze.

Kilka tygodni wcześniej minister Beck powierzył Panu zadanie stałego przebywania w otoczeniu niemieckiej delegacji, która z Joachimem von Ribbentropem przybyła do Warszawy celem przyciągnięcia Polski do współpracy z Hitlerem. Dla Becka było to całkowicie nie do przyjęcia. Jakie wrażenie zrobił na Panu ówczesny szef niemieckiej dyplomacji?

– Pamiętamy doskonale, że wtedy Beck stanowczo odrzucił możliwość współpracy z Niemcami przeciwko Rosji i wykluczył jakiekolwiek koncesje ze strony Polski na rzecz Hitlera. Ribbentrop był w czasie wizyty szalenie buńczuczny, wyniosły, bardzo dbał o protokół. Był to po prostu sługus Hitlera wżeniony w bogatą rodzinę właścicieli winnic, dbający przede wszystkim o swoją karierę. Był to człowiek sprytny, ale znacznie mniej inteligentny niż Ciano. Zresztą był nielubiany w niemieckim MSZ. Był to czysty parweniusz i podobnymi do siebie ludźmi się otaczał. Całkiem innego formatu i klasy był ówczesny ambasador niemiecki w Warszawie – von Moltke. Widzieliśmy czasem, że nie jest mu przyjemnie reprezentować nazistowskie Niemcy.

Wraz z Janem Meysztowiczem mieliśmy polecenie przebywać w gronie delegacji niemieckiej, aby sami nie chodzili. Mieliśmy powstrzymać Niemców przed niewłaściwym zachowaniem. Zdarzył się taki wypadek w „Cafe Club", gdy jeden z hitlerowców porwał się na jakiegoś Żyda i musieliśmy interweniować, aby nie było awantury, która mogła mieć konsekwencje dyplomatyczne.

W początkach maja minister Beck wygłosił w Sejmie entuzjastycznie przyjęte przemówienie. Zapewne pamięta Pan ten dzień.

Oczywiście. Co prawda w Sejmie nie byłem, gdyż nie było tam dla nas miejsca, ale słuchałem transmisji.

Beck nie miał zaufania do zachodnich sojuszników Polski, głównie Francji. Starał się realizować ideę Marszałka Piłsudskiego i próbował utrzymywać równowagę między Niemcami, a Związkiem Sowieckim. Brak zdecydowanej postawy Francji wiosną 1939 roku, gdy Hitler dokonał zajęcia Nadrenii wprowadzając tam wojsko, wywołał szok w Wehrmachcie. Zaczęła tworzyć się legenda o jego politycznym geniuszu. To było bardzo niebezpieczne. Potem agresywność Hitlera narastała i nie napotykała na przeciwdziałanie mocarstw zachodnich. Anschluss, Monachium, wizyty Chamberlaina w Niemczech. Ponownie osłabiło to pozycję generalskiej opozycji przeciw Hitlerowi, przekonanej, że sprawa Czechosłowacji będzie „casus foederis".

Był to dla nas bardzo trudny okres. Beck upomniał się o kwestię polskiej mniejszości w Czechosłowacji, o Bogumin, Trzyniec. Jednakże wcześniej Edward Śmigły-Rydz, Ignacy Mościcki i Józef Beck chcieli utrzymać Czechosłowację jako taką, nawet okrojoną o Sudety Wtedy przecież prezydent Mościcki zaproponował Edwardowi Beneszowi w prywatnym liście, który ambasador Kazimierz Papeè doręczył osobiście Beneszowi na Hradczanach, ogłoszenie przez Polskę mobilizacji jak o konsekwencji podobnego kroku dokonanego przez Czechosłowację. Celem takiego kroku miało być ostrzeżenie Niemców, że jest to pierwszy krok do wojny. Benesz poprosił o 24 godziny namysłu, a po 48 godzinach powiedział, że ma gwarancje sowieckie, że nigdy Stalin nie pozwoli na wkroczenie Hitlera do Czechosłowacji. W związku z tym nie widzi potrzeby zrobienia mobilizacji. Wtedy Beck powiedział, że jeżeli nasi sąsiedzi nie chcą się bić to trudno, ale w takiej sytuacji rozpadania się Czechosłowacji jako państwa musimy odebrać to, co utraciliśmy po ataku czeskich wojsk na Zaolzie w 1919, gdzie zdecydowana większość ludności to Polacy.

Miał Pan okazję pracować z wieloma wybitnymi polskimi dyplomatami, którzy przed wojną tworzyli nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Czy mógłby Pan ich przypomnieć?

Nasz MSZ powstał dzięki temu, że wielu Polaków wstąpiło do służby dyplomatycznej odrodzonej Rzeczypospolitej, byli to często ludzie bardzo wybitni np. Skrzyński. Za czasów Becka pojawiły się zarzuty, że jest za dużo ludzi o pięknych nazwiskach. Mówiono, że chodzą tylko na kolacje, spotkania, że

nie pracują. To nie było do końca zgodne z prawdą. Przecież szef działu anglosaskiego – Józef Potocki – był pierwszorzędnym fachowcem. Jan Szembek miał wielką wprawę, znajomość historii, ponadto był bardzo lubiany przez cały korpus dyplomatyczny. Podobnie jak nasi ambasadorzy, przede wszystkim Edward Raczyński, Roger Raczyński w Rumunii czy Michał Sokolnicki w Ankarze, Tadeusz Romer w Tokio, Wacław Grzybowski w Moskwie. Ci ludzie naprawdę stali na wysokości zadania. Chodziło tylko o to, aby centrala odpowiednio przygotowywała materiały, aby były one na właściwym poziomie. Mając to na uwadze – Beck z dniem 1 lipca 1939 roku mianował swego sekretarza – Stanisława Siedleckiego – szefem personalnym z zadaniem zorganizowania centrali w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Wcześniej kierował tym działem zaufany Becka, kpt. Wiktor Tomir-Drymmer.

Mówiło się, że był „czerwony", że tępił tzw. „bubków" z MSZ. On był bardzo wymagający, ale wobec mnie był bardzo grzeczny i nigdy nie miałem z nim żadnych kłopotów. Beck przesunął Drymmera do działu konsularnego. Chodziło o to, żeby odmłodzić ministerstwo, pozbyć się trochę starych arystokratów i „pchnąć nowego ducha" – jak się mówiło.

Powróćmy teraz do wydarzeń bezpośrednio poprzedzających wybuch II Wojny Światowej. Był Pan wówczas od czerwca bezpośrednio przy Becku. Proszę przypomnieć ostatnie tygodnie na Wierzbowej.

Proszę Pana – to była zupełna mordęga. 6 sierpnia 1939 odbywał się wielki zjazd legionistów w Krakowie. Wtedy miała miejsce awantura w Gdańsku, gdzie prohitlerowski senat Wolnego Miasta występował przeciwko Polsce. Były to kwestie cła, Poczty Polskiej. Wtedy Edward Śmigły-Rydz wbrew radom Francuzów stworzył korpus ekspedycyjny na Pomorzu, aby ewentualnie interweniować w Gdańsku. Zwiększyliśmy załogę Westerplatte, przeprowadzono mobilizację naszej floty. To uspokoiło Niemców z Gdańska, gdyż wciąż nie mieli zapewnienia co do pełnego poparcia Hitlera. Beck czuł, że będzie wojna, lecz miał jeszcze nadzieję, że może drogą pertrakcji uda mu się odłożyć wojnę przynajmniej o rok. Nie miał wątpliwości, że za rok Polska będzie pod wzglę-

dem wojskowym lepiej przygotowana. Nasz przemysł się właśnie „rozkręcał". W tych dniach byliśmy do wyłącznej dyspozycji ministra wraz z drugim sekretarzem Domanem Rogoyskim.

Napięcie było ogromne. Ciągłe telefony, interwencje wielkich tego świata – Papież, Prezydent Roosevelt, królowa holenderska – ciągle starali się nie dopuścić do wojny.

Czy spodziewał się Pan wojny pod koniec lata?

Byłem tak zajęty pracą codzienną, że nie miałem żadnych wielkich „pomysłów". Bałem się wojny, bo wiedziałem, że będzie bardzo ciężka do przeżycia. Miałem jak wszyscy nadzieję, że może stanie się jakiś cud i wojna nie wybuchnie. W ostatnich dniach sierpnia trwały ciągłe rozmowy w sztabie i na Zamku. Była przeprowadzona mobilizacja. Warto tu przypomnieć jeden fakt – mało może znany. Beck naciskał na Śmigłego-Rydza, żeby mobilizację przeprowadzić znacznie wcześniej. Marszałek nie chciał zanadto prowokować Hitlera. Przeprowadził co prawda dwie mobilizacje kartkowe w marcu-kwietniu i w czerwcu-lipcu, ale mobilizacji powszechnej nie było. Dopiero w sytuacji powstałej po podpisaniu układu Ribbentrop-Mołotow, Beck postawił kwestię mobilizacji ultymatywnie, myśląc, że może to powstrzyma Hitlera. Marszałek ogłosił mobilizację. I wtedy miała miejsce rzecz, która zdarzyła się w naszej historii dyplomatycznej po raz pierwszy. Dwóch ambasadorów poprosiło jednocześnie o audiencję u ministra Becka – byli to przedstawiciele Francji i W. Brytanii. Normalnie, ambasador prosi sam o audiencję, a tym razem przyszli obaj umówieni. Okazało się, że przyszli prosić o odwołanie mobilizacji, bo to może spowodować wojnę. Beck zadzwonił po mnie i poprosił abym był świadkiem rozmowy. Chciał abym zapamiętał jego odpowiedź. Zaczął mówić: „Przed tym zanim zostałem ministrem spraw zagranicznych, byłem podpułkownikiem artylerii konnej. Na sprawach wojskowych także się znam. Uważam, że mobilizacja jest za późno ogłoszona. Będę się sprzeciwiał panów propozycji, gdyż mobilizacja już jest rozplakatowana. Jeżeli panowie chcą, mogą interweniować u pana Marszałka Śmigłego-Rydza czy Prezydenta. Ja jednakże jestem temu przeciwny i zawiadomię o tym pana Marszałka.".

Ambasadorzy pojechali do Marszałka. Wówczas Beck kazał się połączyć linią „dyktatorską" ze Śmigłym i powiedział: „Panie Marszałku melduję, że dwaj

ambasadorzy są w drodze do Pana z prośbą o cofnięcie mobilizacji. Jestem temu przeciwny". Jednakże marszałek Śmigły-Rydz zgodził się na ich żądanie i kazał mobilizację wstrzymać. 26 sierpnia ze ścian zdzierano afisze mobilizacyjne.

Fakt ten spowodował szalone zamieszanie mobilizacyjne. 31 sierpnia mobilizacja MSZ była pełna. Część ludzi po prostu przeprowadziła się do budynku ministerstwa, gdzie p. Jadwiga Beckowa zorganizowała wyżywienie. Zapięliśmy na ostatni guzik plany ewakuacyjne korpusu dyplomatycznego. Początkowo były propozycje by przenieść korpus do Nałęczowa, ale zmiana sytuacji na froncie spowodowała także zmianę tego planu i ustalono, że korpus dyplomatyczny ma zostać przeniesiony do Krzemieńca, na Wołyń.

Wieczorem 31 sierpnia Beck wrócił do mieszkania, które łączyło się z biurami. Był strasznie wymęczony. Przeprowadził jeszcze rozmowy z ambasadorami z Londynu i Berlina oraz z posłem Potworowskim ze Sztokholmu. Po rozmowach powiedział do mnie, że położę się w pokoju obok i poprosił jednocześnie, żeby go obudzić, gdyby coś się stało.

O 4 rano, gdy drzemałem przy telefonie, zadzwonił do mnie dyżurujący w centrali ministerstwa radca Jan Wszelaki mówiąc, abym zawiadomił Becka, że wojna się zaczęła. Kilka minut później ogłoszono pierwszy alarm dla miasta Warszawy.

Wszedłem do pokoju ministra, który obudził się gwałtownie, spojrzał na mnie i spytał: „Co, wojna?"

Płk Beck pojechał natychmiast na Zamek i rozpoczęły się dla niego dwa straszne dni. Przecież on gwarantował jako minister spraw zagranicznych, że w razie wojny z Niemcami, Anglia i Francja przyjdą nam z pomocą. Przychodziły tylko wiadomości, że Francja się waha, a W. Brytania sama się do wojny przystąpić nie zgodzi. Nasi ambasadorzy – Juliusz Łukasiewicz i Edward Raczyński robili co mogli, aby rządy sojusznicze przekonać do wypełnienia zobowiązań. Wreszcie 3 września przyszła wiadomość, że jeżeli do 12 w południe wojska niemieckie nie wycofają się z Polski, to wówczas Anglia będzie w stanie wojny z Hitlerem, a 5 godzin później dołączy się Francja. Pojechaliśmy do oblężonej poprzez wiwatujących mieszkańców Warszawy ambasady brytyjskiej, gdzie czekał na nas generał Adrian Carton de Wiart. O 17-tej pojechaliśmy do ambasady francuskiej, gdzie rezydował, bardzo nielubiący Becka, Leon Noël.

3 września był sukcesem Becka, gdyż mocarstwa zachodnie wypowiedziały w końcu wojnę Niemcom. A to, że nie przyszli nam z realną pomocą – to już nie była nasza, ale tylko ich wina. Przecież w umowie zawartej przez Śmigłego-Rydza z Gamelinem ustalono, że Francja w trzecim dniu po przeprowadzeniu mobilizacji przypuści pierwszą ofensywę przeciw Niemcom. Po 17 dniach wojny z Polską, niemiecki front zachodni miał być zaatakowany przez 90 dywizji angielsko-francuskich…

Przypuszczam, że gdyby Anglicy rzucili swe lotnictwo, a Francuzi wojska lądowe na praktycznie bezbronne zachodnie Niemcy, to Rosja nie weszłaby do wojny. Wojna zaś zapewne zakończyłaby się pod koniec 1939 roku lub na początku roku 1940. Właśnie wtedy mogłoby dojść do ewentualnego buntu generałów Wehrmachtu i admirała Canarisa.

Wracam do Wierzbowej. Mijają pierwsze dni. Anglicy i Francuzi wbrew deklaracjom nie przybywają z pomocą. Dochodzi więc do ewakuacji ministerstwa i korpusu dyplomatycznego.

Pierwsza była ewakuacja II działu, administracyjno-gospodarczego, do Nałęczowa. Odbywało się to pociągiem i samochodami. Pod bombami. Pomagałem wtedy moim samochodem przy rozwożeniu rodzin i dzieci. Beck w tym czasie bez przerwy krążył między Marszałkiem, a Zamkiem. To były bardzo trudne dni. Przypomina mi się takie zdarzenie. Było to 1 września, zaraz po telefonie Wszelakiego o niemieckim ataku. Dzwoni znów telefon. Podnoszę słuchawkę, słyszę: „Tu mówi Berlin. Przy telefonie Eugeniusz Lubomirski. Czy mogę przekazać wiadomość…", i przerwano rozmowę. Sama centrala niemiecka jeszcze nie wiedziała, że jest wojna i połączyła ambasadę z Warszawą.

Wracam do tej samej ewakuacji. Po zagrożeniu stolicy przez dywizje, które przełamały front pod Częstochową (armia „Łódź", gen. J. Rómmla), a z Prus Wschodnich szły zagony pancerne, wtedy podjęto decyzję o przeniesieniu siedziby rządu poza Warszawę. Beck, podobnie jak generał Kazimierz Sosnkowski, był wówczas zdania, że należy przenieść wszystkie władze polskie do Lwowa, aby nie rozpraszać się po poszczególnych miastach, co bardzo utrudni łączność. Walorem takiego rozwiązania było położenie Lwowa w bliskości granicy sojuszniczej Rumunii i życzliwych Węgier, skąd istniała możliwość

zorganizowania dostaw potrzebnego uzbrojenia. Jednocześnie neutralizowałoby to, poprzez obecność wojska polskiego, nieżyczliwych Polsce Ukraińców. A wtedy zaczęły się już napady ze strony bojówek ukraińskich na nasze placówki. Była to najlepsza baza operacyjna, amunicyjna i benzynowa. Zdaniem Becka i Sosnkowskiego można się było we Lwowie dość długo bronić przeciwko Niemcom. Śmigły tego nie chciał i namówił rząd, że ma się przenieść, gdzie indziej. Sam przeniósł się ze sztabem do Brześcia, do fortecy. Prezydent pojechał do Radziwiłłów, do Ołyki, nad samą sowiecką granicę. Ministerstwa były w różnych miastach – w Brześciu, Równem, Łucku i Lublinie. Pierwszy rzut ministerstwa przeniósł się do Krzemieńca, gdzie znalazł się także monopol tytoniowy i spirytusowy oraz cały korpus dyplomatyczny. Ministerstwo znalazło się pod tymczasowym władaniem Szembeka, bo sam Beck był w Brześciu. Sytuacja w Krzemieńcu była dramatyczna, gdyż brak było jakiejkolwiek obrony przeciwlotniczej. Był tylko jeden pastuch, który gdy nadlatywały niemieckie samoloty dął w wielką trąbę. Atak niemieckich samolotów spowodował wielkie straty w ludziach, gdyż odbywał się wówczas w Krzemieńcu targ i bardzo to wystraszyło korpus dyplomatyczny przebywający w tym wołyńskim mieście.

Byłem wtedy łącznikiem Becka, więc praktycznie od początku wojny prawie bez przerwy przebywałem w sztabie na Rakowieckiej i byłem w łączności telefonicznej z Ministrem. 6 września Marszałek Śmigły polecił mi zawiadomić mojego Ministra o ewakuacji z Warszawy. W pałacu Brühla zastałem już bardzo niewielu ludzi. Ruszyłem swoim samochodem w kierunku Brześcia, gdzie Niemcy przeprowadzili duży nalot na drogę zawaloną uciekinierami. Na mój samochód spadła bomba, a sam zostałem ranny. Po tych przygodach, zabrany przez ciężarówkę pełną lotników, dojechałem do Brześcia. Odnalazłem Becka, jego żonę, ścisły sztab i radiostację. Było to grono najbliższych współpracowników ministra – W. Drymmer, S. Siedlecki, Paweł Starzeński, Rogoyski i ja, oraz radca Weinstein z radiostacją MSZ i szyframi.

Doszło wówczas do dramatycznej sytuacji. Zadzwonił Szembek, że po nalocie na Krzemieniec korpus dyplomatyczny, wystraszony, chce opuścić Polskę. Spowodowałoby to trudną sytuację, gdyż wyjazd korpusu dyplomatycznego stworzyłby wrażenie, że w Polsce nie ma rządu. Beck udał się do

Śmigłego, gdzie spotkał się z Sosnkowskim i tam ponownie poruszono kwestię przenosin do Lwowa. Sosnkowski zaproponował marszałkowi, że uda się do stolicy by kierować obroną Warszawy, jeśli Śmigły nie chce tego robić. A jeżeli jest to niemożliwe, to prosi o dowództwo Frontu Południowego celem zorganizowania obrony Lwowa. Niestety Śmigły zgodził się na takie rozwiązanie dopiero 11 września. Sosnkowski mający do dyspozycji tylko 2 oficerów dostał na papierze dowództwo frontu południowego, ale w sytuacji gdy armie były już w rozsypce.

Pan z niewielkimi przerwami był cały czas z Beckiem.

Tak jest. Nocą pojechaliśmy do Krzemieńca, aby uspokoić korpus dyplomatyczny. Tam minister dostał polecenie od premiera, aby się zgłosił wieczorem tego dnia w Ołyce. Były to duże odległości, mosty już były częściowo zerwane, chłopi z widłami bronili tych mostów. Ruszyliśmy bez osłony. Mieliśmy tylko jednego agenta, który przez cały czas z nami jeździł. Ja miałem mój sztucer i rewolwer, Beck miał rewolwer. Byliśmy w mundurach. Ale to dużo nie pomagało. Dojechaliśmy do Ołyki o pierwszej w nocy bez świateł, bo był taki rozkaz obrony przeciwlotniczej. Tam już od dłuższego czasu był Śmigły i Składkowski. Odbyła się wtedy zasadnicza rozmowa – co dalej robić? Zapytano Becka jak postąpi Rosja? Czy Rosja przyjdzie nam z pomocą, czy zachowa neutralność?

Kto o to pytał?

Prezydent Mościcki. Beck referował na podstawie informacji od ambasadora Grzybowskiego z Moskwy, że poza bardzo małą mobilizacją częściową nie widzi żadnych większych przesunięć wojskowych. Ale tu się mylił. Na naradzie zdecydowano, że Marszałek przenosi się do Włodzimierza Wołyńskiego, Prezydent do Śniatynia, a MSZ pozostaje w Krzemieńcu. Było to w nocy z 9 na 10 września 1939 roku. W Krzemieńcu miało miejsce następujące wydarzenie. Gdy Beck zwołał korpus dyplomatyczny doszło rano do nalotu. Ofiar było bardzo dużo i to wyłącznie wśród ludzi, którzy przyjechali na targ zorganizowany przez tamtejszego starostę, aby pomóc w wyżywieniu rzeszy uciekinierów. Po nalocie Beck polecił przenieść wszystkie ofiary niemieckiego bombardowania do klasztoru do Krzemieńca. Następnie kazał nam przyprowadzić wszystkich ambasadorów i posłów do sal, gdzie ci ranni leżeli. Dotychczas ciągle mówiono, że Hitler zobowiązał się wobec Ojca Świętego i prezydenta Roosevelta, że nie będzie bombardował bezbronnych miast. Miało to na celu pokazanie, w jaki sposób Hitler prowadzi wojnę, z czego świat jeszcze nie zdawał sobie sprawy.

Wtedy dziekan korpusu dyplomatycznego – nuncjusz apostolski Filippo Cortesi zobowiązał się, że korpus nie opuści Polski, jak długo w naszych granicach znajdować się będzie rząd.

Wówczas do Becka zgłosił się sowiecki ambasador – Mikołaj Szaronow. Powiedział, że utracił ze względu na niedziałanie telefonów połączenie z Moskwą, że spalił szyfry i nie posiada radiostacji. W tej sytuacji chce pojechać samochodem do granicy polsko-sowieckiej i tam z pierwszego posterunku granicznego połączyć się z Moskwą. Beck wyraził zgodę, upewniając się tylko, czy sama ambasada pozostanie w Polsce. Szaronow zobowiązał się do powrotu za kilka dni, zastrzegając jednak, że decyzja ostateczna zapadnie w Moskwie. Szaronow pojechał zabierając ze sobą płka Jana Kowalewskiego, któremu nie mógł dać wizy. Tenże miał się udać do Rosji celem przeprowadzenia zakupów dla Czerwonego Krzyża. Szaronow oczywiście już więcej nie powrócił.

W nocy przyjechał generał de Foury – szef francuskiej misji wojskowej namawiając Becka, aby przeniósł MSZ i korpus dyplomatyczny z Krzemieńca za Lwów, bo z zachodu idzie dywizja pancerna, która może odciąć Lwów od północy. W czasie tej rozmowy po raz pierwszy podniesiono sprawę tzw. „casbelge". Polega to na tym, że rząd nasz mógłby korzystać z „prawa eksterytorialności" u aliantów. Taki precedens zaistniał w czasie I wojny światowej, gdy zaatakowana przez Niemcy Belgia skorzystała z gościnności francuskiej. Król i rząd belgijski kontynuował opór właśnie dzięki takiemu rozwiązaniu.

Beck wezwał ambasadora Noëla i polecił mu aby skontaktował się z premierem Daladier, celem zapytania czy rząd francuski na wypadek katastrofy Polski zechce potraktować Prezydenta i rząd RP podobnie jak Belgów w I wojnie światowej. Noël zobowiązał się skomunikować poprzez konsulat francuski w Czerniowcach i opuścił Krzemieniec.

13 września zadzwonił premier Sławoj-Składkowki z poleceniem opuszczenia naszego miejsca pobytu tj. Krzemieńca. Ruszyliśmy czym prędzej, niemal ścigając się z niemiecką dywizją pancerną w kierunku na Kuty. Pierwszymi

osobami, które napotkałem w Kutach byli ambasadorzy USA i W. Brytanii. Noël jeszcze nie powrócił. Minister Beck zlecił swemu dyrektorowi gabinetu, aby natychmiast wezwał naszego ambasadora w Bukareszcie, Rogera Raczyńskiego, rodzonego brata Edwarda, by przyjechał do Kut. Raczyński przyjechał spóźniony, gdyż jak tłumaczył, nie mógł dostać sleepingu. Dojechał dopiero 17 września rano.

Jechał prawie dwa dni.

Dokładnie półtora dnia, a mógł jechać 6 godzin. Wtedy czekał przebywający cały czas z nami rumuński ambasador Gheorghe Grigorcea. Miał on w imieniu króla i ministra spraw zagranicznych, Grigore Gafencu przedstawić dwie propozycje. Albo tzw. prawo gościnności, polegające na tym, że w czasie wojny możemy tam zamieszkać jako goście narodu rumuńskiego, albo tylko tranzytowy przejazd. Rumunię obowiązywał pakt zaczepno-obronny z Polską, obligujący do wypowiedzenia wojny Rosji na wypadek jej ataku na Polskę. Dowództwo nad obiema armiami miał objąć Marszałek Śmigły-Rydz. Może to był jeden z powodów, dla których Śmigły zdecydował się przekroczyć granicę polsko-rumuńską. Równocześnie przybył transport naszego złota. I powiem szczerze, że byliśmy przekonani, że Rumuni nam to ukradną.

Wówczas to Józef Beck w obecności Michała Łubieńskiego i Rogera Raczyńskiego, przekazał ambasadorowi Grigorcea, że zwalniamy Rumunię z obowiązku wypowiedzenia wojny Rosji. Uczynił to w imieniu Prezydenta i Rządu Rzeczypospolitej. Jednocześnie poprosił o umożliwienie jak najszybszego przekroczenia granicy państwa rumuńskiego i umożliwienie dotarcia do Konstanzy, a potem do Francji.

Wiedzieliśmy już, że Francja udzieli nam gościnności, gdyż w końcu poinformował nas o tym Leon Noël (który przekazanie tej informacji celowo opóźniał). 17 września, już po wkroczeniu wojsk sowieckich, Beck pojechał do Śmigłego do Kołomyi. Po południu spotkała się w Kutach rada Państwa, w czasie posiedzenia której ustalono, że Prezydent wraz z rządem musi jak najszybciej przejechać Rumunię, póki broni się jeszcze Warszawa. Nie wolno było dopuścić do sytuacji, że nie ma żadnego polskiego rządu. Po Radzie Mościcki podpisał manifest do Narodu o kontynuacji walki i przeniesieniu

władz do Francji. Jego tekst powstał na terenie Polski, w Kutach. Tekst ten został doręczony do konsulatu polskiego w Czerniowcach na polecenie Becka. Konsulat manifest rozesłał do wszystkich naszych placówek dyplomatycznych, co później Rumuni potraktowali jako pogwałcenie przez nas ich neutralności.

Wieczorem Marszałek Śmigły-Rydz pożegnał się ze wszystkimi. Wyglądało, że wraca do Kołomyi, aby potem przedrzeć się do generała Sosnkowskiego. Pytał nawet Becka jaką drogą najlepiej jechać. Powiedział, że zadzwoni, kiedy należy przekroczyć granicę i rzeczywiście o 9 wieczorem zadzwonił i powiedział, iż grozi nam ogarnięcie przez sowieckie czołgi. Zorganizowana została kawalkada samochodów i przejechaliśmy wszyscy przez granice.

Beck wysiadł z auta, aby oficjalnie wraz z ambasadorem Grigorcea powitać Prezydenta na pierwszym skrawku terytorium rumuńskiego. Prezydenta zabrał Grigorcea ze sobą, a myśmy pojechali do Czerniowiec. Tam zaprosił min. Becka i jego żonę, rezydent królewski, przedstawiciel króla na Besarabię.

Zostaliście w piątkę?

Tak. Minister, jego zona i córka żony z pierwszego małżeństwa oraz Rogoyski i ja. W nocy przyszła dramatyczna wiadomość telefoniczna, że marszałek przekroczył granicę w mundurze. Beck dowiedziawszy się, że mieszka w pałacu biskupa pojechał do niego rano na rozmowę. Nie byłem jej świadkiem, ale słyszałem podniesione głosy. Beck wyszedł, kazał mi ze sobą jechać. Chciał początkowo zwołać korpus dyplomatyczny, lecz Rumuni potraktowali to jako próbę złamania zasady neutralności. W takiej sytuacji Beck postanowił osobiście pożegnać ambasadorów. Pojechaliśmy do nuncjusza oraz do przedstawicieli USA, W. Brytanii, Francji i Turcji. Dowiedzieliśmy się, że jest postawiony pociąg, który ma wywieźć nasze władze, ponieważ robi się coraz ciaśniej w związku z napływem uchodźców. W Czerniowcach tłumy były potworne. Nie było pewności czy Rosjanie niespodziewanie nie wejdą do Besarabii. Beck nie zgodził się jechać pociągiem i w dalszą drogę postanowił pojechać swym samochodem. Jeszcze na stację, by pożegnać Prezydenta. Przybył Mościcki, który zajął miejsce w swej salonce, oraz część rządu, ale bez Składowskiego, który jechał samochodem z częścią ministrów.

Nagle pojawił się marszałek Śmigły ze swoim adiutantem i rumuńskim oficerem łącznikowym. Doszło do scysji słownej, gdyż Śmigły miał pretensje, że nie ma kompanii honorowej, która mu się należy jako Naczelnemu Wodzowi. Beck zwrócił mu uwagę, że to nie jest czas żeby myśleć o takich rzeczach. Wtedy marszałek wsiadł do innego wagonu ze swoim otoczeniem i odjechał.

Myśmy tymczasem pojechali samochodem w kierunku Bukaresztu, gdyż uznaliśmy, że naszym zadaniem jest przedrzeć się do polskiej ambasady, która była eksterytorialna. Nagle na drodze widzimy szlaban. Stoi policja. Oficer zaczyna nam tłumaczyć złą francuszczyzną, że sytuacja się zmieniła, że król teraz nie ma czasu przyjąć prezydenta, bo ma inne ważne zajęcia.

Prezydent został przeniesiony do królewskiego zameczku ze swoim najbliższym otoczeniem, natomiast cały rząd ma pojechać w kierunku Slanica-Moldova (to jest taka rumuńska Krynica), gdzie wtedy było całkiem pusto, żeby odpocząć. Stwarzali pozory, że naprawdę dbają o nas. Żona Becka i ja zaproponowaliśmy: „Panie ministrze nie pchajmy się do Slanica-Moldova, to jest niepewne miejsce. Spróbujmy przedrzeć się szosą, aby się dostać do Bukaresztu, bo tam przynajmniej mając ambasadę z telefonami do dyspozycji można dalej urzędować.

Czy Rumuni dali państwu policyjną obstawę?

Tylko jednego podoficera, który siedział przy kierownicy, zupełnie pijany. W końcu przyjechaliśmy do dopiero co otwartego, zresztą dość luksusowego hotelu, ok. godz. 3 nad ranem. Potwornie zmęczeni położyliśmy się spać. Rano budzimy się, a cały teren jest otoczony drutem kolczastym – stoi rumuńska żandarmeria. Chcieliśmy zatelefonować do ambasady w Bukareszcie, ale poczta nas nie łączyła. W Rumunii można wszystko załatwić za pieniądze, więc spróbowaliśmy przekupstwa i udało się połączyć. Ambasada w ogóle nie chciała z nami rozmawiać. Dzwoniłem dwa razy mówiąc kim jestem, a w naszej ambasadzie natychmiast przerywano rozmowę.

Czy udało się Panu ustalić kto za to odpowiadał?

Przypuszczam, że robiono to na polecenie. Alfreda Ponińskiego, który zastępował Raczyńskiego. Jeśli można tak powiedzieć, to całkowicie odszedł od legalizmu i przeszedł na stronę gen. Sikorskiego.

Nie wiedzieliśmy co się dzieje z Prezydentem. Przyjechał do nas przysłany z rumuńskiego MSZ urzędnik, którego zadaniem było niesienie nam pomocy w życiu codziennym. Właściwie Gafencu przysłał go do Becka. Przez niego dowiedzieliśmy się, że marszałek Śmigły został przewieziony do Craiovej, a Prezydent do Bikaz.

Pani Beckowa, kobieta o niesłychanej energii, osoba bardzo rzeczowa, wsiadła w samochód i pojechała do Bikaz. Zobaczyła się z Prezydentem i przekazała mu wszystkie wiadomości. Zastała tam już Rogera Raczyńskiego. Okazało się, że Mościckiego też internowano. Działo się to wszystko w sytuacji gdy broniła się jeszcze Warszawa.

Prezydent wykorzystując konstytucyjne prawo, przekazał dekretem swą funkcję Bolesławowi Wieniawie-Długoszowskiemu, naszemu ambasadorowi w Rzymie. Raczyński przywiózł szefa Kancelarii Cywilnej, min. Stanisława Łepkowskiego, do Bukaresztu i stąd wyprawił go do Paryża. Tam z polecenia Becka urzędowało trzech naszych ambasadorów – Edward Raczyński z Londynu, Juliusz Łukasiewicz z Paryża i Bolesław Wieniawa-Długoszowski z Rzymu. Ambasador Lipski z Berlina był wtedy w Kutach. Lipski miał duże przeżycia, gdyż Niemcy nie chcieli wypuścić naszej ambasady z Berlina. Dowiedzieliśmy się tego od Szwedów, którzy od wybuchu wojny reprezentowali nasze interesy w Niemczech. Beckowi udało się zatrzymać drugi eszelon, który wywoził personel niemieckiej ambasady na Litwę. Minister postanowił, że zatrzyma dyplomatów niemieckich tak długo, aż uzyskamy wiadomości, że Lipski i 16 konsulów wyjechało szczęśliwie z Niemiec. Wtedy Niemcy wypuścili Lipskiego i konsulów do Szwecji, skąd ambasador przez Litwę i wschodnią Polskę dojechał, wraz z Wysokim Komisarzem w Gdańsku – Marianem Chodackim, do Kut. Lipski koniecznie chcał zostać w walczącej Polsce, ale minister przekonał go, że bardziej się przyda za granicą. W końcu wstąpił jako szeregowy do wojska we Francji.

Jak płk. Beck reagował na internowanie go w Rumunii?

Było to oczywiście wiarołomstwo ze strony naszego dotychczasowego sojusznika. Wobec Becka wysuwane były pretensje ze strony niektórych członków rządu, że temu nie przeciwdziałał. Szczególnie atakował go E. Kwiatkowski

i ludzie z grupy „zamkowej". Bronił Becka oddany mu minister przemysłu, Antoni Roman, który zresztą został przy nim do końca pobytu w Rumunii. Premier Składkowski zachowywał się po swojemu, tzn. rzucał się w prawo i w lewo. Wtedy wszyscy byli załamani, nerwowo wyczerpani.

Beck nie załamał się. Był tylko wściekły, że nie może w dalszym ciągu pracować dla kraju. Dla nas było wiadomo, że zatrzymanie Becka jest wynikiem niemieckiej i francuskiej intrygi. Roger Raczyński, gdy po spotkaniu z nami w Kutach udał się do Gafencu, ministra spraw zagranicznych Rumunii, to zastał wychodzącego stamtąd niemieckiego ambasadora, Wilhelma Fabriziusa. Niemcy „nacisnęli" bardzo bezwzględnie na Rumunię, aby zatrzymała polski rząd i nasze złoto. Złoto udało się wywieźć dzięki łapówce, którą dostał odpowiedni rumuński minister w wysokości 5 milionów lei. Był to minister spraw wewnętrznych, Marinescu. Świetnie załatwił to wówczas Mirosław Arciszewski, który był poprzednim naszym posłem w Bukareszcie. Zresztą przy okazji wywieziono także Fundusz Obrony Narodowej.

Powróćmy jednak do rumuńskiej Krynicy…

Rada ministrów ciągle się zbierała, bo przecież nie mieli nic do roboty. Dyskutowano nad różnymi pomysłami ucieczek. Wszystko to było trochę niepoważne. Aż przyszła wiadomość, że S. Łepkowski dojechał do Paryża. Tam nasi ambasadorowie zdecydowali, żeby podać nazwisko generała Wieniawy-Długoszowskiego, który się zgodził objąć urząd prezydenta RP. Jednak po 24 godzinach rząd francuski bardzo zaingerował w nasze sprawy wewnętrzne stwierdzając, że tego prezydenta oni nie będą uznawali. Była to rzecz niedopuszczalna. Anglia wtedy uważała, że naszą sprawą jest, kto będzie głową Państwa Polskiego. Francuzi postawili w tym czasie na generała Sikorskiego. W nim widzieli głównego rzecznika spraw polskich. Wieniawa zrezygnował i akurat pojawił się w Paryżu Władysław Raczkiewicz. Człowiek z bardzo dużą klasą, świetnie się prezentujący. Była to jedyna kandydatura, bo o Sosnkowskim nie wiedziano, gdzie się znajduje. Raczkiewicz przyjął prezydenturę warunkowo, do czasu pojawienia się we Francji Sosnkowskiego, zaś Juliusz Łukasiewicz mianował generała Sikorskiego dowódcą pierwszej dywizji na Zachodzie.

Wieniawa wrócił do Włoch. Kiedy 10 czerwca 1940 roku Italia przystąpiła do wojny po stronie Niemiec, Wieniawa otrzymał od rządu włoskiego cały pociąg, do którego załadował wszystkich Polaków, którzy chcieli opuścić Włochy i wywiózł ich przez Hiszpanię do Portugalii. Tam zgłosił się do wojska. Sikorski nawet na to nie odpowiedział. […]

Wróćmy może do Rumunii, gdzie Pan nadal jest jednym z internowanych.

Tak, ale w bardzo luksusowych warunkach. Raczkiewicz po objęciu funkcji prezydenta udzielił dymisji rządowi Sławoja-Składkowskiego. Śmigły-Rydz zrezygnował ze swoich funkcji. W tym samym czasie uformował się rząd Sikorskiego. Przyjechał do Paryża Sosnkowski, lecz nie zgodził się zostać prezydentem, uważając, że ciągłe zmiany na tym stanowisku byłyby niepoważne.

Ministrowie zatrzymani w Slanica od tego momentu stali się ludźmi prywatnymi. W związku z tym powinni mieć prawo do natychmiastowego opuszczenia Rumunii. Władze rumuńskie podjęły decyzję o kolejnym przeniesieniu internowanych, tym razem na południe Rumunii. Podstawiono cały pociąg. Dla ministra Becka Gafencu przysłał salonkę. Beck nie zgodził się do niej wsiąść. Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą. Nagle na małej stacyjce koło Bukaresztu pociąg się zatrzymuje. Wyglądam przez okna i widzę, że stoi min. Gafencu i ambasador Roger Raczyński. Gafencu od czasu, gdy przekroczyliśmy granicę, nie chciał się nawet telefonicznie z nami porozumieć. I oto pojawia się niespodziewanie. Beck wysiada z wagonu. Gafencu podchodzi i pyta czy może Becka prosić o chwilę rozmowy. Stoi przy nich R. Raczyński. Wówczas Beck mówi: „Najwyższy czas, żeby pan ambasador nawiązał ze mną kontakt. Gdy byłem ministrem był to pana obowiązek, niestety pan tego nie wykonał.". Raczyński cały się zaczerwienił. Następnie wsiedli do samochodu i pojechali. Myśmy czekali na stacji. Nagle widzimy, że salonkę Gafencu odczepiają od pociągu. Od kilku dni poważnie obawialiśmy się, że Niemcy porwą Becka. Zawołałem wtedy do żony Becka, do Siedleckiego i Rogoyskiego, żebyśmy się natychmiast przenieśli do salonki, aby Beck nie był sam. Dołączyli do nas Jadwiga Grabowska, sekretarka, siostra Rogoyskiego, płk. Sokołowski, P. Starzeński. Wszyscy wsiedliśmy

do salonki. Po chwili Beck przyjeżdża, żegna się z Gafencu i widzi, że pociągu już nie ma, a salonka stoi sama. Rumuński minister powiedział, że nie chciałby, aby Beck był z całym rządem i dlatego kieruje go do ciekawszej części kraju. Gafencu tłumaczył Beckowi jak wielkie naciski wywiera na niego strona niemiecka i francuska. Rumun się bardzo grzecznie pożegnał, a my udaliśmy się do Braszow, gdzie czekała na nas bardzo silna obstawa, rzekomo dla bezpieczeństwa ministra. Portierem w hotelu, gdzie nas zatrzymano, był sympatyzujący mocno z nami Węgier. Dzwonił do mnie i mówił, że oficerowie francuskiej „dwójki" mieszkają w takim to a takim pokoju. Poza Francuzami pilnowała nas także polska „dwójka", żebyśmy nie uciekli. Ponadto pilnowali nas jeszcze Niemcy. Ciekawy był to zestaw strażników. Ilekroć Beck wychodził do łazienki to zawsze szło za nim dwóch agentów, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie ucieka. Nie wolno było wychodzić z hotelu na ulice. Warunki mieszkalne i żywnościowe były bardzo dobre, ale siedzieliśmy w złotej klatce. Można było telefonować, ale tylko do Rumunii. W końcu pojechałem z Beckową samochodem do Bukaresztu. Z trudnością dostałem się do naszej ambasady, która była oblężona przez tysiące Polaków. Poprosiłem o rozmowę z Rogerem Raczyńskim. Poniński do rozmowy nie chciał dopuścić. W końcu Beckowa zażądała bezpośredniej rozmowy z Raczyńskim, który chciał by przy spotkaniu był obecny A. Poniński. Na co żona Becka powiedziała, że przyjechała na rozmowę tylko z R. Raczyńskim. Dopiero wtedy Poniński odszedł. Beckowa zgłosiła wszystkie pretensje jakie miała do ambasadora, m.in. że nie naciskał na Rumunów, zwłaszcza teraz, gdy byli członkowie rządu są osobami prywatnymi.

W tym okresie przyjechał do Braszow turecki ambasador przy rządzie RP – Cemal Hüsnü Taray. Zakomunikował, że mówi w imieniu władz tureckich i pragnie się dowiedzieć czy minister Beck zgodzi się, aby rząd turecki zorganizował dla niego ucieczkę z Rumunii. Beck był bardzo wzruszony propozycją. Odparł, moim zdaniem zbyt lojalnie, że nie może wyjechać dopóki w Rumunii jest prezydent Mościcki. Przyznał, że ucieknie z radością, ale prosi by zawiadomił ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego, że rząd turecki chce ułatwić Beckowi ucieczkę. Jednakże A. Zaleski w imieniu rządu sprzeciwił się tym planom władz Turcji. Taray powrócił z powrotem. Wezwał mnie do Bukaresztu i powiedział: „Wstydzę się jechać do ministra Becka, ale niestety dostałem ustną odpowiedź negatywną. W tej sytuacji rząd turecki nie może działać wbrew uznawanym przez siebie władzom polskim.".

W tym czasie miałem o tyle korzystną sytuację, że w czasie pobytu w Polsce syna króla Rumunii, opiekowałem się następcą tronu. Dostałem wtedy jakiś rumuński order. Na znak protestu przeciwko decyzji internowania odesłaliśmy z Beckiem nasze ordery. Mimo tego chciałem utrzymać jakieś stosunki z królem, więc zgłosiłem się przez mojego znajomego i zostałem przez króla przyjęty. Przedstawiłem sytuację w jakiej znalazł się Beck i poprosiłem o prawo swobodnego poruszania się po całym terytorium Rumunii, w związku z moimi obowiązkami społecznymi. Poprosiłem o „żelazny list" podpisany przez Jego Królewską Mość dający mi takie prawo. Król poprosił mnie o oficerskie słowo (które oczywiście dałem), że nie ucieknę. Tak otrzymałem „list żelazny" ułatwiający mi poruszanie się po całym kraju. Mogłem dzięki temu jeździć od obozu do obozu. Szmuglowałem różnych oficerów, a nawet pojechałem na Węgry, gdy dowiedziałem się, że przyjechał mój brat. Tam mnie aresztowano i osadzono w więzieniu. Stało się to na skutek donosu, że przyjechałem z jakąś misją specjalną. Miałem jednak szczęście, gdyż dowiedział się o tym, że siedzę syn admirała Horthy'ego, którego znałem, gdyż konsultowałem się z nim kiedyś jak postępować z Eddą Ciano. Po trzech dniach pobytu w więzieniu w Budzie, w nocy przychodzi do mojej celi i pyta: „Lulu, co Ty tu robisz?" Na co odpowiadam: „To ja mogę spytać. Przyjechałem z oficjalną wizytą, a wasza żandarmeria zaaresztowała mnie w hotelu. Mam paszport dyplomatyczny i waszą wizę. Chciałem odwiedzić mego brata i zająć się sprawami polskich uchodźców. Nie mam tu żadnej misji politycznej.". Na to Horthy: „Uzyskałem od ojca pozwolenie, żeby ciebie wypuścić. Na dole stoi mój samochód z adiutantem, który odwiezie Cię na granicę węgiersko-rumuńską. W samochodzie jest też twoja walizka. Wyjeżdżaj i nie wracaj, bo drugi raz nie będę mógł Ci pomóc.". Dalej więc jeździłem tylko po Rumunii i pomagałem Beckowi.

Czy pułkownik ochłonął po wydarzeniach z września?

Tak. Zaczął dyktować pamiętniki. Po dymisji rządu wszyscy, razem z Beckiem, zgłosiliśmy się do wojska. Dostaliśmy odpowiedź, że mamy pozostać w Rumunii, gdyż we Francji jest za dużo polskich oficerów. Użyto nawet słów,

że jest zbyt mała ilość kamieni we Francji, by ukamieniować członków rządu polskiego sprzed września.

Nagle dostałem list od attaché wojskowego w Bukareszcie, ppłk. Tadeusza Zakrzewskiego, który przeszedł całkowicie na stronę Sikorskiego, że mam natychmiast przyjechać do Bukaresztu. Przybywam natychmiast, melduję się i słyszę, że zostałem powołany do czynnej służby w wojsku jako podporucznik rezerwy. Był to marzec 1940. Zaoponowałem, mówiąc, że jest na miejscu minister Beck, którym się opiekuję. Na to ppłk Zakrzewski, że moim obowiązkiem jako porucznika jest służba w wojsku. Powiedziałem, że muszę spytać o pozwolenie mojego szefa. T. Zakrzewski stwierdził, że to moja sprawa, lecz gdybym nie wstąpił do armii jako powołany oficer, to złamię polskie prawa i będę dezerterem. Powróciłem do Becka, który powiedział mi: „Mój drogi chłopcze (traktował mnie trochę jak syna), Twoim obowiązkiem jest służyć w armii. Ja dam sobie radę.".

Po tej rozmowie pojechałem do Bukaresztu. Poszedłem do króla. Tam zameldowałem, że proszę o zwolnienie mnie ze słowa honoru polskiego oficera i zwracam jednocześnie „list żelazny", gdyż muszę udać się na takie rozwiązanie.

Potem wróciłem do Braszow. Pożegnałem się z Beckiem. Przy ministrze został Doman Rogoyski, który nie służył w wojsku. Zmieniłem wygląd, zapuściłem wąsy i ruszyłem do Jugosławii, do naszego posła w Belgradzie, Dębickiego. Przed wyjazdem Beck prosił mnie, bym pojechał przez Jugosławię i Grecję, gdyż tam trzeba zorganizować sieć przerzutową na wypadek, gdyby Włosi uniemożliwili Polakom przejazd przez swój kraj.

Z Belgradu pojechałem do Salonik, gdzie został wcześniej wysłany mój kolega, by torować w Grecji drogę przerzutu. Z Salonik, udałem się samolotem do okupowanej przez Włochów Tirany i stamtąd dotarłem do Rzymu. Zgłosiłem się do ambasadora Wieniawy. Ambasador bardzo się ucieszył i mówi, że jest do mnie depesza od pani Beckowej. „Odradzam wjazdu do Francji, gdyż zaaresztowano twojego brata, a ciebie spotka podobny los". Pokazuję depeszę Wieniawie i pytam co mam robić. Generał powiedział: „Twoim obowiązkiem jest jechać do wojska, gdyż jesteś tam wezwany. Co się z Tobą stanie to jest ich sprawa, ale Ty musisz wykonać swój obowiązek. Zostaw mi tylko swoje

oświadczenie, że wiesz co Cię we Francji czeka. Chcę to mieć, żebym mógł interweniować.".

Mojego najstarszego brata – Jerzego, aresztowano pod zarzutem szpiegostwa. Wraz z kilkoma ludźmi pochodzenia nie polskiego przedarli się z Węgier do Francji i wstąpili do wojska. Faktyczne pretensje francuskie do mojego brata brały się stąd, że pewnego razu sekretarz ambasady francuskiej źle się zachował wobec pewnej pani, która na balu towarzyszyła memu bratu. Brat palnął go w mordę. Sekretarza odwołano z trzaskiem. I oto w Paryżu zobaczył on mego brata w mundurze i oskarżył go, że dowiózł do Francji dwóch szpiegów – Liechtensteina i Eickmanna. Była to oczywiście nieprawda.

Jego małżeństwo było bardzo udane. Jadwiga Beckowa, osoba bardzo przystojna, energiczna, była bardzo opiekuńcza wobec męża. Minister lubił bardzo czerwone wino, ale nic poza tym. Żona ministra była dobrym partnerem w jego pracy. Była mu bardzo oddana do końca życia. Robiła wszystko, żeby mu to życie ułatwić. Zwłaszcza w ostatnich latach. Podobnie przywiązana do ojczyma była pasierbica. […]

Może jeszcze spróbowałby Pan ocenić swego szefa. Był postacią często atakowaną w Europie.

Przede wszystkim był bardzo niepopularny w Polsce. Aż do majowej mowy z 1939 roku. Wiedział doskonale, że jest nielubiany. Był strasznie atakowany ze wszystkich stron. Głównie za Zaolzie. Pomawiano go, że jest płatnym agentem Niemiec, że zanadto się kłania Hitlerowi. Natomiast sam Beck był szalenie twardym człowiekiem. Uważał, że realizuje idee i intencje Marszałka Piłsudskiego. Miał pewne słabości, gdyż zanadto chciał reprezentować Polskę jako mocarstwo, czego ja nie uważam za złe. Uważam go za jednego z wielkich mężów stanu. Beck zbytnio ufał Anglii. Gdy Anglia zwróciła się o podpisanie przymierza, odetchnął. Powiedział: „Teraz będziemy mieli alianta z prawdziwego zdarzenia".

A jaki był w codziennej pracy?

Był człowiekiem niesłychanie uczciwym. Stał ponad sprawami prywatnymi. Miał kilku bliskich współpracowników, którym ufał. Należeli do nich:

„szef gabinetu – Michał Łubieński i Jan Szembek, wiceminister, którzy dobrze go uzupełniali. Szembek zajmował się kontaktami z ambasadami, poselstwami. To był doświadczony, wytrawny dyplomata. Beck natomiast zajmował się sprawami ogólnymi. Był niesłychanie twardy. Gdy tylko wyczuł, że jest jakiś atak na Polskę, wówczas bardzo zdecydowanie bronił naszego dobrego imienia. Ubóstwiał Piłsudskiego, wiedząc, że był jego pupilkiem. Po prostu pragnął wykonać wszelkie zalecenia, które przekazał mu Komendant. Bardzo go zabolała śmierć pułkownika Walerego Sławka, gdyż miał przekonanie, że na nim może się oprzeć.

Beck miał mało do czynienia z personelem. Dla mnie był ojcowski. Wymagał służby, ale przecież siebie nie żałował zupełnie. Był bardzo ludzki, nawet serdeczny. Gdy po jego majowym wystąpieniu sejmowym zaczęła spływać do nas lawina listów gratulacyjnych z całej Polski: „Widzi Pan – powiedział do mnie – nagle zrobiłem się popularny, co nie jest dobre.". Jak pojechaliśmy do Krakowa, na zjazd Legionistów, wówczas bardzo wiwatowano w czasie jego przejazdu do kasyna. Wtedy Beck pokręcił tym swoim dużym nosem i znowu powiedział: „Niedobrze Lulu, jestem za bardzo popularny.". Takiej popularności nie lubił.

Chciałbym powrócić do Pana losów. Przyjeżdża Pan do Francji.

Tak. Dotarłem do Francji, lecz nienormalną drogą. Stało się to dzięki kwestorowi Włoch. Gdy przyszedłem się z nim pożegnać, powiedział mi: „Słyszałem, że zamierzasz pojechać do Francji. Ty byłeś zawsze nam życzliwy, zawsze nam pomagałeś, więc pozwól, że zrobię ci w imieniu rządu włoskiego prezent.". Otworzył biurko i wyjął bilet kolejowy I klasy – sliping. Powiedział: „Jedź do Paryża nie przez Ventimiglię, a przez Genewę. Nie zatrzymuj się po drodze. Masz przecież paszport dyplomatyczny.". Gdy się opierałem przed przyjęciem biletu, kwestor przekonał mnie bym przyjął ten gest ze strony rządu Włoch. I tak wyjechałem, po pożegnaniach, z Italii.

Na granicy włosko-szwajcarskiej budzi mnie konduktur i mówi, że oficer szwajcarski chce się ze mną zobaczyć. Przyszedł oficer i powiedział, że moja wiza jest nieważna ponieważ jest wystawiona w Bukareszcie, gdzie szwajcarski konsulat przekroczył swe uprawnienia i wszystkie wizy zostały unieważnione. Po rozmowie oficer ostatecznie wydał zgodę na mój przejazd. Dojechałem do

Paryża. Tam zgłosiłem się do koszar Wojska Polskiego z moją książeczką oficerską. Wręczono mi pierwszy miesięczny żołd i wskazano miejsce w koszarach.

Wychodzę przed koszary i przypadkiem spotykam na ulicy żonę attaché brytyjskiego w Warszawie, słynną panią Norton, której mąż Clifford był bardzo nam życzliwy. Pani Norton była zakochana w Polsce i bardzo nam pomagała w pracy społecznej na terenie Węgier i Rumunii. Bardzo mnie to spotkanie ucieszyło. Gdy dowiedziała się, że na razie nie mam gdzie mieszkać, to zaprosiła do zamieszkania w pustej ambasadzie angielskiej w Paryżu. Wróciłem do koszar, gdzie podałem mój adres – od tej pory w ambasadzie angielskiej. Trochę trwało, zanim moje papiery przeszły z koszar do słynnej „Reginy". Nagle dowiaduję się, że podporucznik Ludwik Łubieński jest w Paryżu i na dodatek mieszka w ambasadzie angielskiej, podczas, gdy w Ventimigilia było polecenie by mnie tam zatrzymać. Nie czekało mnie nic miłego. Miano mnie przesłać do obozu, taki rodzaj francuskiej Berezy, oczywiście prowadzonej przez Polaków dla Polaków. Miałem być ulokowany wraz z Michałem Łubieńskim, którego tam osadzono.

Od tego momentu zaczęły dziać się ze mną różne dziwne rzeczy. W końcu, aby się mnie pozbyć z Paryża, abym nie robił zbyt dużo szumu wokół Becka, skierowano mnie do Vichy, do tzw. Legii Oficerskiej. Pojechałem tam, a że mówiłem płynnie po francusku, więc przydałem się jako tłumacz dowództwa. Jeśli chodzi o sprawy wojskowe to właściwie nic nie robiliśmy. Po prostu bardzo się nudziliśmy.

Po klęsce Francji ewakuował się Pan do Wlk. Brytanii. Służył Pan pod dowództwem gen. Regulskiego, Bohusza-Szyszki, Kukiela i Maczka. Nie udało się Panu wrócić na stałe do służby dyplomatycznej mimo interwencji ministra spraw zagranicznych Edwarda Raczyńskiego. W marcu 1943 został Pan mianowany Szefem polskiej misji morskiej w Gibraltarze…

Pojechałem do Gibraltaru. Tam okazało się, że cała misja składa się z dwóch ludzi. Ze mnie i jednego kaprala, narodowości żydowskiej.

Placówka w Gibraltarze miała do spełnienia specjalne zadania. Czy mógłby Pan o tym opowiedzieć?

Placówka powstała w celu zorganizowania przerzutu polskich oficerów i żołnierzy do armii. Przede wszystkim z Francji południowej. Początkowo prowadziła to marynarka wojenna. Mieliśmy dwa stateczki, które z francuskich plaż odbierały czekających ludzi. Część Polaków w obawie przed zajęciem całej Francji przez Niemców przedostało się do Algieru i Oranu, początkowo jako Legia Cudzoziemska lub w jakiś inny sposób. Ich także szmuglowało się do Gibraltaru. Po pewnym czasie Hiszpanie zorientowali się, że alianci będą zwycięzcami i trzeba być w dobrych stosunkach z Anglikami. Zmienili swoje postępowanie.

Masa Polaków była szmuglowana przez Hiszpanię z Francji. Często wpadali w ręce policji hiszpańskiej. Osadzano ich w obozie, co prawda nie koncentracyjnych, ale o bardzo ostrym reżimie, w Miranda del Ebro. Tam było przez pewien okres czasu do 5000 Polaków, ale także ludzie innych narodowości. Jednak głównie Polacy. Hiszpania nie chciała ich wypuścić, a Portugalia nie chciała przyjąć.

Wtedy nasz rząd przygotował umowę z Paragwajem i Urugwajem, przewidującą, że te kraje dadzą wizy pobytowe naszym ludziom przebywającym w Hiszpanii. Dołączono do tego tajny protokół, że żaden z Polaków z tego prawa nie skorzysta. Wówczas nasze poselstwo w Madrycie zaczęło wydawać paszporty. Hiszpanie to uznawali i na podstawie posiadanej wizy pobytowej z Urugwaju lub Paragwaju wydawali wizę tranzytową. Po stronie portugalskiej czekał mój kolega, Zbigniew Błażyński, który organizował przerzut przez południową Portugalię i wiózł do małego portu Villareale. Wtedy wysyłałem po nich statek z Gibraltaru, zabierałem ludzi, w Gibraltarze rejestrowałem, mundurowałem i czekałem na możliwość transportu do armii.

Czy Niemcy przeciwdziałali?

Niemcy o tym wiedzieli, ale nie mieli możliwości przeciwdziałania. Mieliśmy wokół wielu życzliwych Francuzów. Północna Afryka była w rękach Petaina. Istniała tam co prawda komisja niemiecka, ale nie była ona w stanie kontrolować sytuacji tak, jak i w samej Francji. W czasie swojej misji wyprawiła ok. 4500 Polaków jako uzupełnienie dla naszego wojska.

Przebywając na plecówce w Gibraltarze starał się Pan pomóc płk. Beckowi w wydostaniu się z Rumunii. Poznał Pan wówczas gen. W. Sikorskiego. Był Pan świadkiem tragicznej katastrofy 4 lipca 1943…

W dalszym ciągu starałem się poprzez Anglików, o wyciągnięcie Becka z Rumunii, widząc, że jest on ciężko chory. Pojawiła się nawet obawa raka gardła. W takiej sytuacji Anglicy chcieli koniecznie go ratować. W pewnym momencie nacisnęli na rząd polski w Londynie, nawet dali paszport angielski dla Becka i pieniądze, żeby go wykupić. Rząd polski musiał posłuchać Brytyjczyków. Ambasador w Bukareszcie Roger Raczyński dostał polecenia, by ułatwił Beckowi ucieczkę z Rumunii. Niestety oddał to w ręce ppłk Zakrzewskiego, który robił wszystko, by do ucieczki nie dopuścić i sprawą zajął się pan Bronisław Kuśnierz, delegat Stanisława Kota, który naturalnie ucieczkę zorganizował, lecz w taki sposób, aby nie mogła się udać. Dowiedziało się o tym gestapo i policja rumuńska. W momencie , gdy Beck przesiadał się do innego samochodu, aby uciec w kierunku granicy jugosłowiańskiej, został zatrzymany. Siedział 3 dni w areszcie.

Beckowa go z tego aresztu wyciągnęła. Od tego momentu grał w brydża i modelował statki. Do końca pozostali przy nim – żona, Doman Rogoyski oraz minister Antoni Roman z małżonką.

Wracając do Gibraltaru. Spotkał się Pan z generałem Sikorskim. Był Pan ostatnim człowiekiem, który widział Generała przed tragicznym wypadkiem, 4 VII 1943 r.

Generał Sikorski jechał na Bliski Wschód, by inspekcjonować wojska generała Andersa, ponieważ przychodziły wiadomości, głównie od pana Kota, że w armii jest bunt przeciwko Sikorskiemu. Początkowo Sikorski posłał gen. Tadeusza Klimeckiego, swego szefa sztabu, by zorientował się w sytuacji. Klimecki nie potwierdził informacji Kota, jednakże stwierdził, że dobrze byłoby, aby Sikorski przyjechał i ostatecznie rozmówił się z generałem Andersem.

Sikorski podjął decyzję o wyjeździe. Po raz pierwszy nie pojechał z nim Józef Rettinger, co jest dość ciekawe. Natomiast pojechała córka generała, by opiekować się ojcem.

Przyjechali do Gibraltaru. Gubernator, który znał Sikorskiego jeszcze z Moskwy, pan Mason Farlane, przyjął go niesłychanie gościnnie i dał mu mieszka-

nie w pałacu gubernatorskim. Jako gospodarz zajmowałem się Sikorskim i jego otoczeniem.

Zdałem Generałowi raport, jak postępuje ewakuacja. Akurat miałam załadowanych na statek ok. 180 żołnierzy, którzy byli w drodze do Anglii do wojska. Zaproponowałem Sikorskiemu spotkanie z żołnierzami. Sikorski chętnie się zgodził, więc zorganizowałem motorówkę i pojechaliśmy na statek. Potem w związku z ładną pogodą Sikorski zaproponował mi wspólny spacer.

Usiedliśmy. Zdaję sprawę z ewakuacji, a Sikorski patrząc na mnie mówi: „No, panie poruczniku, pan miał różne przykrości z powodu lojalności wobec pana Becka. Zapomnijmy, że ja jestem Naczelnym Wodzem, a pan jest podporucznikiem i pomówmy jak Sikorski z Łubieńskim. Jakie jest pana zdanie o panu Becku?"

Odpowiedziałem: „Panie generale, bardzo się cieszę, że mam okazję porozmawiać o tej sprawie. Moim skromnym zdaniem minister Beck był wybitnym mężem stanu. Jemu w dużej mierze zawdzięczamy, że ostatecznie do wojny weszła Anglia i Francja, że teraz jesteśmy w Anglii i możemy tam mieć rząd Niepodległej Polski. I w dalszym ciągu uważam, ze stało się bardzo źle, że Beckowi uniemożliwiono ucieczkę z Rumunii.". Na zakończenie popełniłem gafę mówiąc zbyt ostro: „Kiedyś panie generale historia oceni tych ludzi, którzy spowodowali, że Becka zatrzymano wbrew jego woli w Rumunii.".

Na to Sikorski wstał gwałtownie, zrobił się czerwony na twarzy i powiedział: „Pan obraził majestat Rzeczypospolitej w mojej osobie.". Adiutant Ponikiewski do mnie: „Postawię pana przed sądem wojskowym za obrazę majestatu Rzeczypospolitej Polskiej.". Stanąłem na baczność. Nic nie mówię. Ponikiewski podchodzi wolnymi krokami, widząc co się dzieje.

Sikorski patrząc na mnie mówi nagle: „Cóż, był pan taki wygadany, a teraz zamknął pan usta i ani słowa nie mówi?" -„Panie generale, ja nie mam nic więcej do powiedzenia. Była umowa, że mam rozmawiać z Sikorskim jako Łubieński. To jest zdanie Łubieńskiego i czy to się podoba Sikorskiemu czy nie, to jest pana generała sprawa, a nie moja. Ja powiedziałem to co uważam. Zreflektował się w tym momencie Generał: „Przepraszam pana, zapomniałem o naszej umowie. Mamy jeszcze czas, wiec siądźmy i porozmawiajmy o szczegółach. Dlaczego pan tak sądzi i kogo pan głównie obwinia o całą

akcję uniemożliwienia ucieczki Beckowi.". – „Mogę podać panu generałowi wszystkie szczegóły, których pan generał nie zna. Ale zapewne i gen. Izydor Modelski i Stanisław Kot, którzy są w pana generała najbliższym otoczeniu bardzo w tym zawinili. Szczególnie Kot, który zrobił wszystko, by Becka w Rumunii zatrzymać. Dał nawet polecenie swoim delegatom w Rumunii, aby w sytuacji, gdy była organizowana ucieczka przez rząd pana generała i za jego zgodą ją uniemożliwić. Co się stało. Mam na to dowody, że plan ucieczki zdradzono Rumunom.". Sikorski odpowiedział: „Ja się teraz namyślę. Jadę na Bliski Wschód, po powrocie pewnie się zobaczymy i porozmawiamy. A teraz, żeby panu wynagrodzić to, co pan do tej pory ucierpiał mianuję pana z dniem dzisiejszym porucznikiem". Powrócił i zawiadomił gubernatora Gibraltaru, że awansowałem.

Był Pan w dobrych stosunkach z gubernatorem?

Tak, w bardzo dobrych. Wszystko mu zameldowałem, co powiedział Sikorski. Po 6 tygodniach przyszła depesza szyfrowa, że generał Sikorski w drodze powrotnej jedzie przez Gibraltar, że jest zmęczony i zapytuje o możliwość noclegu. Przerwał swój urlop na skutek wezwania przez Churchilla. Było to typowe dla generała Sikorskiego. Żadnego wezwania Churchilla nie było. Był po prostu grzeczny list wyrażający zadowolenie przebiegiem inspekcji generała na Wschodzie.

Wtedy wezwał mnie do siebie gubernator Gibraltaru i powiedział, że ambasador Iwan Majski właśnie jedzie przez Kair do Moskwy i prosi go o nocleg w Gibraltarze. Spytał mnie co ma zrobić, mając w tym samym czasie pod jednym dachem Sikorskiego i Majskiego. – „To zależy od Pana, Ekscelencji. Kogo Pan woli?" – „Pan dobrze wie, kogo wolę. Rosjan nie lubię, zaś Sikorskiego i Polaków bardzo cenię. Ale jak mam to podać do Londynu nie zdradzając tajemnicy służbowej.".

Zaproponowałem wówczas następujące rozwiązanie. Przekonałem gubernatora by powiadomił Londyn, aby Majski ze względu na bezpieczeństwo leciał z Londynu do Gibraltaru w nocy i wtedy mógłby przylecieć nad ranem 4 lipca, trochę odpocząć i za dnia polecieć dalej, przez Maltę do Egiptu. Dzięki temu będzie można uniknąć wzmianek o Sikorskim.

Gubernator zrobił tak, jak mu poradziłem i po pewnym czasie przyszła odpowiedź od Majskiego, w której sowiecki ambasador podziękował za życzliwość ze strony brytyjskiego gubernatora i że decyduje się przylecieć nocą.

Myśmy mieli uprzedzić generała Sikorskiego i jego otoczenie, by zostali w swoich pokojach przez całą noc, aby nie doszło do kontaktu z Rosjanami. Majski miał w ogóle nie wiedzieć, że Sikorski jest w Gibraltarze.

3 lipca o czwartej po południu spotkaliśmy się z Sikorskim na lotnisku. Przyleciał nowy „liberator", wiozący Generała wraz z jego otoczeniem. Świetny czeski pilot doskonale wylądował na bardzo ciężkim lotnisku gibraltarskim. To było lotnisko o bardzo krótkim pasie startowym, na którym mogli lądować tylko bardzo doświadczeni piloci. Dopiero w następnych latach zostało przedłużone.

Przywitaliśmy Sikorskiego i udaliśmy się samochodem do pałacu. Gubernator zwraca się do Generała: „Mieliśmy z Łubieńskim trochę kłopotu, bo równocześnie prosił o nocleg w moim domu ambasador Majski. Nie chcąc, żeby się Panowie spotkali pod moim dachem, urządziliśmy to inaczej.".

Sikorski na to, jak zawsze, obruszył się i powiedział: „No to może ja przeszkadzam swoją osobą. Tylko nabiorę benzyny do samolotu i zaraz lecę do Londynu.". Gubernator zaczął tłumaczyć, że wszystko jest załatwione i nie dojdzie do spotkania z sowieckim ambasadorem. Dowódca lotnictwa brytyjskiego dostał polecenie jak najszybszego wyprawienia Majskiego do Egiptu.

I rzeczywiście udało się to załatwić. Na lotnisku stały skrzydło w skrzydło dwa samoloty (Majskiego i Sikorskiego). Przez cały czas były bardzo dokładnie pilnowane przez angielskich żołnierzy, zaś w samolocie był bez przerwy członek ekipy. Nie było możności przedostać się z jednego samolotu do drugiego.

Warto dodać, że wraz z Sikorskim przyleciał szef Inteligence Service na obszar Morza Śródziemnego ze swym zastępcą, korzystający z okazji, że do Londynu leci Sikorski. Postanowili oni użyć tego najbezpieczniejszego w tym momencie samolotu w rejonie Morza Śródziemnego.

Wieczorem Generał wraz ze swym otoczeniem udali się do pokoi, aby odpocząć (przebrać się i umyć). Po jakimś czasie przyszedł do mnie adiutant Sikorskiego i powiedział, abym przybył do generała. Udałem się na górę, do pokoju, gdzie Generał już leżał.

Powiedział: „Obiecałem Panu 6 tygodni temu, że sprawdzę na Bliskim Wschodzie wszystko to, co pan mi powiedział w sprawie Becka. Sprawdziłem wszystko co pan mówił i niestety w dużej mierze ma pan rację. Poparli pana ambasadorowie – Michał Sokolnicki i Tadeusz Romer. Wobec tego proszę zapytać pilota, czy ma jeszcze miejsce w samolocie. Jeżeli miejsce jest, to ja zabiorę pana ze sobą do Londynu i stamtąd pojedzie pan do Ankary i będzie starał się wyciągnąć ministra Becka z Rumunii.".

Powiedziałem wtedy: „Panie Generale, trochę późno, ale będę się starał. Natomiast moim zdaniem lot do Ankary jest łatwiejszy z Gibraltaru, niż z Londynu.". Sikorski jednak się uparł bym leciał do Londynu, gdzie musi ze mną omówić jeszcze szereg spraw związanych z uwolnieniem płka Becka.

Pilot zgodził się mnie zabrać i zacząłem pośpiesznie przygotowywać się do opuszczenia Gibraltaru. Jednakże w nocy przyszedł kurier z AK o pseudonimie „Gralewski", który posiadał zaszyfrowane wiadomości. Trzeba pamiętać, że był to okres kiedy aresztowano gen. S. „Grota" Roweckiego i gen. T. „Bór"-Komorowski obejmował dowództwo Armii Krajowej. Sikorski chciał mieć natychmiast wiadomości z kraju, jednakże ze względu na bezpieczeństwo kurier posiadał tylko szyfry, które można było odczytać dopiero w Londynie. Myśmy byli przekonani, że kurier z Warszawy przybył szybko, tymczasem jego podróż trwała ponad 3 miesiące. Jego wiadomości były więc nieaktualne.

Sikorski, który był ogromnie zaciekawiony widomości z Polski, postanowił, że na moje miejsce poleci „Gralewski". Ustalono natomiast, że ja kilka dni później przylecę do Londynu samolotem wojskowym.

W związku z tym, po śmierci Sikorskiego, rozpuszczano plotki, że ja wiedząc o zamachu na Sikorskiego nie poleciałem tym samolotem. 4 lipca, w dniu święta Stanów Zjednoczonych, generał Sikorski wysłał depeszę gratulacyjną do prezydenta Roosevelta. Córka generała, pani Leśniowska poszła jeszcze zrobić zakupy. W amerykańskiej misji odbyło się duże przyjęcie, na które Sikorski udał się wraz z gubernatorem. Wtedy po raz pierwszy ludność Gibraltaru dowiedziała się o pobycie generała. Po przyjęciu wróciliśmy do pałacu gubernatora, gdzie zorganizowana została prywatna kolacja, na którą zaproszono wszystkich dowódców różnych broni angielskich i przedstawicieli misji alianckich. Kolacja trwała aż do momentu, gdy pilot poprosił o przyjazd na lotnisko.

Pojechaliśmy wszyscy. Zebrała się duża grupa.

Zanim wyruszyliśmy, Sikorski powiedział do mnie, że mimo iż niedawno awansował mnie na porucznika, to jednak należy mi się dalszy awans na kapitana, ale dokona tego dopiero wtedy jak się zjawię w Londynie. Nie mogłem oczywiście o tym komukolwiek wówczas powiedzieć i awans na kapitana otrzymałem dopiero z rąk gen. Andersa 3 lata później.

Wracam do sceny na lotnisku. Podprowadzam Sikorskiego do samolotu, On odwraca się i mówi: „No, panie kapitanie, do zobaczenia za parę dni w Londynie. Proszę nie zwlekać i przyjechać jak najszybciej.". Wsiadł jako ostatni. Pilot włączył silniki, odrolował na początek lotniska, co trwało dość długo. Tam się zatrzymał i sprawdził wszystkie motory. Poprosił o prawo do startu. W tym momencie wygasły wszystkie światła na lotnisku i pozostały tylko zielone światła pasa startowego. Samolot zaczął startować. Mając jeszcze przed sobą kawałek pasa startowego wzniósł się do góry. Śledziliśmy wznoszący się na wysokość 300 stóp i tam powinien był poziomować, aby silniki nabrały większych obrotów. Chodziło o to, żeby w chwili kiedy samolot wyłaniał się zza skały gibraltarskiej i dostawał silne uderzenie wiatrów w stery mógł to uderzenie wytrzymać. Zaczęliśmy się żegnać, gdy nagle zauważyliśmy, że samolot zamiast się wspinać do góry, opada.

Zorientowaliśmy się, że coś jest nie w porządku i biegiem ruszyliśmy na koniec pasa startowego, ciągle mając nadzieję, że może samolot wylądował na samym końcu lotniska. Tam jednak zorientowaliśmy się, że czarny ptak leży na morzu jakieś 500–600 metrów od brzegu.

Z brzegu została wystrzelona szalupa, która dopłynęła na miejsce wypadku. Na powierzchni pływały cztery ciała. W kamizelce ratowniczej był pilot. Żywy, ale nieprzytomny. Drugi był ledwie dychający generał angielski, trzeci gen. Klimecki, czwarty roztrzaskany gen. Sikorski. W spodniach, bez kurtki, w jednym bucie, bo się rozbierał, żeby położyć się spać. Pilota, Sikorskiego i Klimeckiego zabrał ścigacz i dowiózł do portu. Podeszliśmy tam z gubernatorem. Gubernator powiedział: „No, teraz twoją rolą jest zidentyfikować, kto to jest.". Odkryłem koce, którymi były przykryte ciała. Pierwszy leżał gen. Sikorski, potem gen. Klimecki, obok pilot i angielski brygadier.

Jako szef misji musiałem zawiadomić Prezydenta Raczkiewicza i rząd. Chciałem odesłać zwłoki, gdyż w Gibraltarze nie chowa się ludzi na cmentarzu, tylko zwłoki wrzuca się do wody. W tym wypadku, oczywiście, nie można było tak postąpić. W Gibraltarze nie było żadnych trumien. Musiałem je zamówić w Hiszpanii. Chciałem załadować trumny do wojskowego samolotu. Upał był ogromny. Ciała były potrzaskane, wyjęte ze słonej wody. Bardzo bałem się komplikacji. Dlatego chciałem wysłać samolotem. No, ale polski rząd zapowiedział, że wysyłają kontrtorpedowiec po trumnę generała Sikorskiego. Obliczyłem, że kontrtorpedowiec będzie płynął co najmniej trzy dni. Ciała złożyliśmy w katedrze, gdzie zostały wystawione na widok publiczny. Wieczorem przyleciał samolotem generał Stanisław Ujejski, szef lotnictwa, pułkownik Michał Protasiewicz, Józef Rettinger i Tadeusz Ulman, żeby patrzeć mi na ręce. Przejęli oni całość przygotowań jako delegacja. Ja tylko przewiozłem z żołnierzami trumnę do katedry. I wycofałem się.

W nocy stało się to, czego się obawiałem. Pękły obie trumny, wszystko zaczęło się wylewać. A o 8 miała być duża msza, dopłynąć miał „Orkan" i nastąpić miało załadowanie na okręt. Trzeba było wywieźć trumny do kostnicy, wymienić je. Zalać ołowiem, oczyścić wcześniej kościół, zmienić kwiaty, oczyścić złe powietrze. Udało się to załatwić.

Wojskowy orszak ruszył na okręt. Marynarze byli bardzo przeciwni tej funkcji „Orkana", gdyż jest przesąd, że statek przewożący trumny zatonie. Rzeczywiście po 30 dniach „Orkan" został storpedowany.

W jakim okresie był Pan w Gibraltarze?

Byłem w Gibraltarze od marca do września 43 r. Po śmierci Sikorskiego poprosiłem o odwołanie i przysłali wtedy płka Bełdowskiego.

Wrócił Pan do Londynu?

Tak. Zgłosiłem się do generała Kazimierza Sosnkowskiego, następcy Sikorskiego i on powiedział do mnie z uśmiechem: „Ty jesteś urodzonym oficerem łącznikowym, mówisz językami, byłeś przy różnych generałach. Montujemy dwie misje łącznikowe, gdyż będą dwa uderzenia na Europę – jedno z północnej Afryki, a drugie z Anglii na Francję. Daję panu do wyboru: albo północ przy Montgomerym, albo południe przy Eisenhowerze". Powiedziałem, że Montgomerego niezbyt lubię i nie mam do niego zaufania, więc wolę Eisen-

howera. Wiedziałem, że wtedy nawiążę ścisły kontakt z armią generała Andersa.

I tak pojechałem na południe, z moim szefem płk. Ludwigiem. Najpierw byłem w Casablance, a potem w Algierze. Nawiązałem kontakt z generałem Andersem, kiedy pierwsze oddziały II Korpusu zaczęły lądować w Taranto. Po zdobyciu Sycylii gen. W. Anders przyjechał do marszałka Henry Wilsona, który był następcą Eisenhowera, zameldować że jego II Korpus wchodzi do walki. Anders wypatrzywszy mnie na lotnisku i znając mnie powiedział: „Ja chciałem tu zostawić oficera łącznikowego, ale wobec tego, że pan tu jest, to będzie pan również naszym oficerem łącznikowym.".

Pan powiedział, że generał Anders pana znał?

Anders był dość znany w mojej rodzinie, bo dowodził szwadronem ułanów Krechowieckich w majątku Czapskich pod Mińskiem. To była rodzina mojej matki. W czasie wojny Sikorski chciał, żeby Anders poznał nasze wojsko na Wyspach. Przyjechali razem do Szkocji i spotkali się z generałem Maczkiem, gdzie ja byłem oficerem do zleceń. Wtedy poznałem Andersa. Bardzo szybko zgadało się, że Józef Czapski to mój wuj i ojciec chrzestny, a Anders do rodziny Czapskich miał dużo sympatii. Tylko trzeba pamiętać, że ja byłem podporucznikiem a on generałem. Po prostu pomagałem w Szkocji. Potem dopiero spotkaliśmy się w Afryce Północnej. Krążyłem między Kairem, Algierem i Teheranem. Chodziło o jeńców wojennych z armii niemieckiej. Wiedzieliśmy dobrze, że Wehrmacht mobilizował na siłę Polaków i Ślązaków z terytoriów włączonych do Rzeszy. Oni mieli obowiązek służby w armii niemieckiej. Dawano ich przede wszystkim do organizacji Todta. Ale im Niemcy mieli mniej wojska, tym więcej Polaków było w ich armii. Także z Generalnego Gubernatorstwa dość dużo Polaków poszło na ochotnika do armii niemieckiej. W dużej mierze, żeby skorzystać z okazji i zbiec na drugą stronę. Niektórzy może z własnego przekonania.

Kiedy poddała się armia Rommla, tzw. Africa Korps, to 90000 żołnierzy niemieckich znalazło się w niewoli. Byli ulokowani na Saharze, na pograniczu między Algierem i Tunisem. Byli tam oficerowie i podoficerowie niemieccy, a pilnował ich batalion angielski. Ale się nie męczyli, bo gdzie stamtąd uciekać.

Dowiedziawszy się, że jest tam taka ilość jeńców (a przypuszczałem, że jest tam dużo Polaków) pojechałem na pustynię do tych obozów. Był to koniec 1943 roku. Poznałem angielskiego pułkownika, który tam dowodził i zapytałem czy wie ilu z tych ludzi to Polacy? Odpowiedział, że wątpi aby tam byli jacyś Polacy, ale spisy trudno udostępnić – jest ich 90000. Powiedziałem, że jest inny sposób. Zaproponowałem mu, żeby nazajutrz zwołał jeden z obozów na zbiórkę i zobaczy jaki będzie rezultat.

Następnego dnia uszykowało się jakieś dwadzieścia pare tysięcy jeńców ze swoimi dowódcami i ja przy tym pułkowniku wszedłem na taką drabinę i powiedziałem po polsku: „Ci, którzy rozumieją co ja mówię, trzy kroki naprzód wystąp.". A tu fala ludzka runęła naprzód. Przerażony pułkownik zaczął mnie pytać co powiedziałem, że ludzie tak zareagowali – odpowiedziałem, że spytałem kto rozumie po polsku. Dodałem, że w innych obozach jest pewnie podobna sytuacja. Teraz musimy tylko sprawdzić, jacy to są Polacy, czego będziemy próbowali dokonać. W tej sytuacji powiedziałem, że poproszę Londyn aby przysłali kilku oficerów celem sprawdzenia tych jeńców, którzy zadeklarowali polskość. Ci, którzy będą chcieli dalej bić się z nami, mają być przekazani do Włoch, jako uzupełnienie dla generała Andersa. Trzeba pamiętać, że Anders kiedy lądował we Włoszech miał 56 tysięcy ludzi i nawet Anglicy zajmujący się logistyką mówili: „Panie generale, czy nie lepiej żeby miał pan jedną mocną dywizję z dużymi rezerwami, a nie korpus, skoro i tak II Korpus zamiast trzech dywizji ma tylko dwie itd. Skąd pan weźmie uzupełnienia po pierwszej bitwie.". Wtedy Anders odpowiedział marszałkowi Wilsonowi: „Moje uzupełnienia są z przodu.". Anglicy w ogóle nie zrozumieli, o co chodzi. Anders dopowiedział: „Im dalej będę szedł przez Włochy, tym więcej Polaków będzie przychodziło do mojej armii, czy to z wojska niemieckiego, czy innymi drogami. A poza tym Francja jest pewnego rodzaju rezerwuarem ludzi.".

I tak się stało. Mimo wielkich i bolesnych strat we Włoszech. Zresztą przez rok okupacji Włoch w wypadkach samochodowych zginęło więcej ludzi niż w całej kampanii włoskiej. Nasi żołnierze popijali wino, jeździli jeepami i ciągle mieli wypadki. Z Włoszkami w samochodach.

A wracając do odzyskiwania żołnierzy z armii niemieckiej. Jakie były konkretne tego rezultaty?

Gdyby Pan zwiedził cmentarz w Bolonii to zobaczyłby Pan, że połowa grobów to są ludzie, którzy wywodzili się z armii niemieckiej. Łącznie przejęliśmy 22000 ludzi. To było uzupełnienie dla generała Andersa. Natomiast od rzeki Loary na północ to były uzupełnienia dla dywizji Maczka.

Wracając do pańskich obowiązków jako oficera łącznikowego przy generale Andersie. Co Pan robił po zakończeniu misji na Saharze?

Przygotowywano wówczas korpus ekspedycyjny, którego celem była południowa Francja. Nawiasem mówiąc nie podobało to się niektórym Anglikom. Od 6 czerwca trwała inwazja w Normandii, ale de Gaulle'owi i Amerykanom zależało na lądowaniu w południowej Francji, w rejonie Marsylii i Tulonu. Korpus złożony był z dywizji „Wolnych Francuzów" i armii amerykańskiej. Generał Anders wiedząc, że na południu Francji jest dużo Polaków, którzy mogą być rezerwą dla jego wojska, polecił mi dołączyć do 6 Armii Amerykańskiej, abym był oficerem łącznikowym przy generale Deversie.

Wyjechałem do Tulonu, zarekwirowałem samochód i jeździłem po południu Francji wyszukując tych Polaków, którzy byli przeważnie w mieszanych oddziałach francusko-polskich, w „maquis". Oddziały te były dowodzone przeważnie przez hiszpańskich komisarzy (najczęściej pochodzenia żydowskiego). Byli bardzo silnie związani z komunistami i naturalnie za nic nie chcieli pozbyć się dobrego żołnierza. Musiałem z nimi pertraktować, a nie było to łatwe. Na dodatek istniała poważna konkurencja między generałem de Gaulle, a generałem Henrim Giraudem, na którego stawiali Amerykanie. Jeżdżąc po Francji miałem dokumenty wystawione przez dowództwa obu generałów. Nigdy nie wiedziałem, kiedy wjeżdżałem do jakieś wsi, czy miasta i na barykadzie czekali ludzie z karabinami, jakie przedstawić dokumenty. Ale jakoś mi się udało.

Był pan przedstawicielem armii generała Andersa, a tamci byli w przeważającej części „czerwoni".

Tłumaczyłem. Zbierałem ludzi w większe grupy po stu, stukilkudziesięciu i oni z reguły chcieli przejść do naszego wojska, a popierali mnie i Anglicy,

i Amerykanie. Amerykanie kiedy atakowali to trzeba pamiętać, że nie zastanawiali się co jest za plecami, tylko pruli doliną Rodanu na Lyon.

Za nimi zostawały „dzikie pola" – tam były i garnizony niemieckie, „maquis" w terenie, podzielone i skłócone grupy partyzanckie i nasza siatka, generała Kleeberga i Kowalewskiego.

W tym terenie jeździłem ze „stenem", a miałem szofera Francuza, właściciela samochodu, który zarekwirowałem. Nigdy nie wiedzieliśmy czy wyjedziemy stamtąd żywi. Kiedy udało mi się zebrać większe grupy ludzi to kierowałem ich do Marsylii, gdzie Anders wysłał oficerów, którzy zajmowali się przysłanymi Polakami. Oni zajmowali się także dywizją, która opuszczała stopniowo Szwajcarię. W południowej Francji byłem ok. 3 miesięcy i tuż przed bitwą o Ankonę wróciłem do generała.

Po Powstaniu Warszawskim, po ustąpieniu generała Sosnkowskiego, Wodzem Naczelnym został mianowany generał Bór-Komorowski, zaś Anders został jego zastępcą i musiał pojechać do Londynu. Wtedy ja zostałem oficerem łącznikowym pomiędzy Andersem, a nowym dowódcą II Korpusu, gen. Bohuszem-Szyszko. Potem byłem delegatem II Korpusu do generała Andersa z zadaniem przekonania go, by powrócił do swoich żołnierzy. Stało się tak, ponieważ generał chciał opuścić wojsko. Spowodowane to było sprzeciwem wyrażonym przez partie polityczne działające w Londynie, które nie chciały, by Anders został Wodzem Naczelnym. Misja zakończyła się powodzeniem i Anders powrócił razem z nami do Włoch, gdzie objął z powrotem dowództwo II Korpusu. […]

Jakie były dalsze Pana losy?

Po zajęciu Niemiec okazało się, że w obozie w Murnau jest 9000 polskich oficerów z września '39 i z Armii Krajowej. Anglicy zgodzili się na zabranie 450 do armii Andersa. Generał wysłał mnie do Murnau, żebym „rozładował" tych oficerów. Jednych posyłaliśmy do 3 armii amerykańskiej, innych do 5, jeszcze innych do Maczka, nawet do Francji, ale gros chciało do II Korpusu. Do tego była wielka ilość ludności cywilnej. Kiedy byłem w Murnau, dostałem nagle depeszę radiową od generała Andersa, żebym zgłosił się natychmiast do generała Georgea Pattona, który jest w Czechach. Wojna jeszcze trwa-

ła. Okazało się, że gen. G. Patton zameldował Andersowi, że Amerykanom w zdobyciu Pilzna bardzo pomógł jakiś polski oddział. Jednocześnie Patton chciał się dowiedzieć od Andersa, co to za oddział. W związku z tym, że oddział ten był Andersowi nieznany, kazał mi udać się do Pattona i skontaktować z tym oddziałem. Z wielkimi kłopotami dotarłem do generała Pattona, który przydzielił mi „łazika" i pojechałem szukać rzeczonego oddziału. W końcu spotkałem ten oddział w lesie koło Pilzna i okazało się, że jest to „Brygada Świętokrzyska" (NSZ).

Oddziały te dotarły do Czech przy cichej zgodzie władz niemieckich, z tym, że trzeba dodać, iż dotarła dopiero II Brygada z płkiem „Bohunem". Zapadli w lasach, częściowo żywieni przez Niemców i kiedy Patton uderzył na Pilzno to oni uderzyli na Niemców od tyłu. Był to okres kiedy Patton był wściekły na gen. Eisenhowera, że zatrzymano ofensywę, gdyż mógł dotrzeć w ciągu trzech dni do Pragi i stamtąd na Węgry. Patton dostał depeszę, że w myśl umowy w Jałcie, Niemcy zostały podzielone na części, z których jedne mają Sowieci, a inne alianci.

Po raz pierwszy widziałem amerykańskiego generała płaczącego. On, Patton, przy mnie dostał rozkaz od Eisenhowera, że ma wstrzymać ofensywę i wycofać się z już zajętych terenów. Wtedy pojechałem do Brygady Świętokrzyskiej. Był lipiec. Lato piękne, gorące. Zajeżdżam pod odwach i pytam się żołnierza, gdzie jest dowództwo. Dowiedziałem się, że dowództwo kąpie się w jeziorze, za lasami. Pojechałem ich szukać. Podjechałem do jeziora i widzę, że leży parę gołych ciał na ziemi. Pytam, gdzie jest pan pułkownik „Bohun". Na to odzywa się jeden z leżących: „Od kiedy porucznik wojska polskiego nie stoi na baczność przed pułkownikiem?" Ja na to: „Jak mogę poznać, że pan jest pułkownikiem, kiedy Pan jest goły.". Wszyscy się uśmiali. Doszliśmy do porozumienia. Dość szybko.

Jakie wrażenie na Panu, oficerze służby czynnej, zrobił ten oddział?

Watahy Kmicica. Wisiała polska flaga, był kapelan, straż porządkowa. Mieli wspaniałe samochody, zdobyte po drodze, ale również jakieś dorożki. Mieli „schmeissery" i dubeltówki na sznurkach. Była tam bardzo duża dyscyplina. „Bohun" trzymał to wszystko „za mordę". Nie było to takie łatwe. Poza tym

oni pozbierali po drodze wiele młodzieży, ok. 1000 młodych chłopców. To był zlepek najrozmaitszych ludzi, często o różnych poglądach. Góra to był ONR, ale reszta to byli ludzie, którzy chcieli się po prostu bić. Potem był z nimi kłopot, bo oni awansowali się miedzy sobą, nadawali odznaczenia, które nie były naturalnie uznawane przez dowództwo wojskowe. W końcu namówiłem ich, żeby porozumieli się wprost z generałem Andersem i żeby oddział, który tymczasem był karmiony i utrzymywany przez Amerykanów, został uporządkowany. Zdałem raport Pattonowi i wyjechałem. Amerykanie przenieśli całą Brygadę Świętokrzyską w okolice Norymbergii. Wówczas szef sztabu „Bohuna" przekonał ich (a Amerykanie potrzebowali na terenie Niemiec dużo wojska do pilnowania składów wojskowych), żeby z Brygady stworzono oddziały wartownicze.

Powstał natychmiast problem. „Bohun" przyjechał ze swoim doradcą politycznym do Andersa, który powiedział im, że postara się brygadę włączyć do II Korpusu. Oni jednak postawili generałowi warunek, że wejdą do Korpusu, ale jako osobna jednostka. Oczywiście mają być utrzymane ich stopnie, odznaczenia. Anders to wykluczył. Podkreślił, że weryfikacja za działalność w kraju musi być zrobiona przez generała T. Bora-Komorowskiego i pułkownika Antoniego Iranka-Osmeckiego. Dowódcy Brygady tych warunków nie przyjęli i „Bohun" podzielił Brygadę. Na szczęście całą młodzież, którą pozbierał idąc na Zachód, przesłał do II Korpusu. Rozesłano ich tam do szkół. „Bohun" był przekonany, że wojna z Rosją będzie za rok. Dlatego chciał utrzymać swój oddział. Jego część to był oddział wartowniczy, część posłał do Nancy, do stalowni, a sam z bardzo małym sztabem kupił willę w Pirenejach i czekał tam na wojnę. Trzeba dodać, że oni byli zasobni w pieniądze – mieli bardzo dużo złota. Z czasem, kiedy pieniądze zostały wydane, willę sprzedał i zdaje się, wyemigrował do Argentyny.

Panie majorze, Pan przez wiele lat ściśle współpracował z generałem Andersem. Znał go Pan bardzo dobrze. Proszę przybliżyć tę postać.

Generał Anders był osobą niezmiernie popularną, umiał się świetnie zachować, wspaniale przemawiał. Trzeba pamiętać czym był II Korpus – tu nie chodziło o żołnierzy, ale o to całe życie, które tam się toczyło. To wojsko obrosło

cywilami. Anders bardzo dbał o naukę młodzieży, o pracę społeczną, o szpitale, ochronki. On tam żył. Dowództwo wojskowe zwalał na swoich oficerów, oczywiście zachowując decyzje, ale koncentrował się na sprawach społecznych. To on rzucił hasło tworzenia Społecznego Funduszu Żołnierza Polskiego. Wszyscy oddawaliśmy jakąś część naszych pieniędzy na cele społeczne. Mieliśmy paru świetnych generałów, np. gen. Sosnkowski, ale on tego zacięcia społecznego nie miał. Miał także silnie zakorzenioną (może dlatego, że pochodził z Kresów) potrzebę ratowania polskości.

Jaki był w życiu prywatnym?

Lubił bardzo grać w brydża. Grał „po generalsku". Innych gier nie uznawał. Nie uciekał od alkoholu, ale pił stosunkowo mało. Lubił czerwone wino, a kiedy w czwartek szedł na kołduny do „Ogniska" to wtedy wypijał jedną wódkę. Tam w „Ognisku" zawsze był przygotowany stół dla generała Andersa.

Był bardzo zakochany w swojej drugiej żonie i był szalenie przywiązany do swego syna z pierwszego małżeństwa, Jerzego, którego przypadkiem zabili w Ottawie. Bardzo pokochał córkę z drugiego małżeństwa, Annę, która wyszła za amerykańskiego pułkownika Costa. Bardzo lubił ładne panie. Bardzo. Cenił dobre towarzystwo. To był właściwie światowy człowiek, często zapraszany, ale nie przepadał za dużymi przyjęciami. Natomiast jeździł bardzo dużo w teren. Potrzebował kontaktu z ludźmi. A ludzie z nim. […]

Wracając do generała Andersa. Warto przypomnieć, że odebrano mu obywatelstwo razem z Maczkiem, Kopańskim, Kukielem. Po paru latach tutejszy konsulat PRL napisał pismo do obywatela Kopańskiego i Maczka, że powstała pewna pomyłka, i że ta decyzja zostaje cofnięta. Maczek odpowiedział, że „ani nie mieliście prawa mi polskiego obywatelstwa pozbawiać, ani nie macie prawa przywracać". Generał Anders nie przejął się tym, że mu odebrano obywatelstwo, ale był bardzo zawiedziony, że głosował za tym Mikołajczyk.

A propos, Generał odbył długą rozmowę z Mikołajczykiem przed jego wyjazdem do Polski. Anders, mimo wszystko, bardzo namawiał Mikołajczyka, żeby ten nie szedł na wszystkie sowieckie warunki. Było to niestety bezskuteczne.

Jakie generał Anders miał rozeznanie w sytuacji w kraju po 1945 roku?

Do nas stosunkowo mało ludzi z Polski przyjeżdżało. Anders koncentrował się na ustabilizowaniu emigracji politycznej i wojskowej. Był przekonany, że dojdzie do kolejnej wojny światowej. Wojny z Rosją. Tu się pomylił. On przecież był zażartym antykomunistą. A świetnie rozumiał mechanizm bolszewizmu. Warto przypomnieć, że kiedy zapadła decyzja o ewakuacji z Rosji to trzeba było ratować także ludność cywilną. Był wtedy przy generale sowiecki generał Żukow, który ostatecznie podpisywał listy. Anders zabierał go do kasyna, poił wódką. Żukow odpowiadał: „Chcesz mojej śmierci, ale podpiszę ci pół listy". I zaczynało się od nowa w kasynie…

Londyn, grudzień 1988

Krzysztof Turkowski rozmawia ze Stefanem Soboniewskim*

Krzysztof Turkowski: Udało się Panu wyjść prawie z pułapki pod koniec września 1939 roku. Udał się Pan w kierunku Slanica. Co było dalej?

Stefan Soboniewski: Dojechałem do Slanica, gdzie w czasie krótkiego tam pobytu dowiedziałem się, że rząd polski tam jest. Wszyscy byli bardzo zatroskani, jakby się zatracili. Zgubieni ludzie. Nie bardzo orientowali się co się dzieje. Kompletny chaos. Byłem tam około tygodnia. Zorientowałem się natychmiast, że trzeba stamtąd wyjeżdżać. Wiem, że się odbywały zebrania, takie posiedzenia Rady Ministrów.

Pożegnałem się bardzo serdecznie ze Sławojem Składkowskim i pojechałem do Bukaresztu i tam spotkałem swojego ostatniego wojewodę – Ludwika Bociańskiego. Spotkałem go przypadkowo w hotelu, kiedy szukałem miejsca noclegowego. Przebywałem w Bukareszcie przez miesiąc. Natychmiast nawiązałem kontakt z ambasadą i zorientowałem się, że bardzo trudno do Paryża dostać się starszym wojskowym.

Mnie udało się przywieźć do Rumunii papiery urzędowe z napisem Starosta Kaliski i miałem pieczęć starościńską / mam ją do dzisiejszego dnia/. Dzięki temu wydałem około stu świadectw na swoim urzędowym papierze. Chodziło o to, że pod fałszywymi zaświadczeniami ludzie mogli dalej jechać, gdyż wszystkie dokumenty były antydatowane.

Dzięki temu byli wojskowi mogli legitymować się dokumentami leśników czy lekarzy, a nie zawodowych wojskowych.

* Stefan Soboniewski – ur. 7 grudnia 1906 w Kamyku, zm. 7 maja 1998 w Londynie – polski prawnik, ostatni przed wrześniem 1939 starosta kaliski, pułkownik broni pancernej, działacz społeczny emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii.

Jeden z moich przyjaciół, zresztą z tego samego gimnazjum Zygmunta Augusta, ale tego młodszego z Wilna miał maszynę do pisania. Bardzo ta maszyna nam pomogła w wydaniu „lewych" dokumentów.

Ambasadorem w Rumunii był Roger Raczyński, brat Edwarda a w sekretariacie, był Jerzy Giedroyć. Znałem go zresztą z Polski bo był ze mną w Sejmie, tylko on reprezentował wtedy Ministerstwo Rolnictwa, w czasach Ministra Niezabytowskiego.

Mój wyjazd z Bukaresztu został przyspieszony w niespodziewany sposób. Miałem dobre stosunki z dyrektorem hotelu w którym mieszkałem, a on współpracował z policją dzięki czemu miałem spokój. Pewnego dnia wojewoda Bociański powiedział mi, że w szpitalu wojskowym jest od dwóch dni generał Gustaw Paszkiewicz. Znałem go z Polski, gdy był dowódcą 12 dywizji w Tarnopolu i tam zajmował się bardzo życiem społecznym, budował domy ludowe, zajmował się szlachtą zagrodową. I dzięki temu, że w swojej działalności społecznej musiał porozumiewać się z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, tam go poznałem. Poznałem go więc, kiedy byłem w gabinecie ministra. Patrzę wchodzi generał, wysoki, potężne chłopisko, na piersi trzy Virtuti Militari. Pan sobie wyobraża jakie to na mnie zrobiło wrażenie. On miał Virtuti Militari za lata 1919/20. Kiedy jednak przyszliśmy do szpitala, generał był bardzo zgnębiony, miał wtedy kłopoty z nogą, tylko że wcale nie był postrzelony, ale spadł z pierwszego piętra. W tym czasie Niemcy zaczęli mocno naciskać na władze rumuńskie, żeby powstrzymać ucieczki polskich oficerów. Ponieważ ze szpitala także uciekano to zrobili odpowiedzialnym najstarszego oficera, a więc Paszkiewicza. Kiedy to nam powiedział to spytałem go czym się martwi? Niech Pan nawiewa. Na to Paszkiewicz: „Łatwo Panu tak powiedzieć". Zaproponowałem mu, że w następną niedzielę w czasie odwiedzin, niech Pan idąc po cywilnemu wyjdzie przez bramę. Tam jest jakiś wojskowy, ale jego to wszystko niewiele obchodzi. Wahał się bardzo, ale udało się nam ustalić ostateczny termin wyjścia Paszkiewicza ze szpitala. Przygotowałem mu dokumenty inżyniera drogowego w powiecie kaliskim.

Załatwiłem wszystkie odpowiednie sprawy, ale okazało się, że nie można wyjechać do Francji, gdyż wstrzymano wizy. Wobec tego ponieważ ja miałem wizę do Jugosławii to postarałem się także o wizę dla niego.

Wojewodę Bociańskiego musiałem zostawić, gdyż jemu wizy nie dali. To znaczy zablokowały go polskie władze. W tej sytuacji musieliśmy ruszyć z Paszkiewiczem, dokładnie to go po prostu wywiozłem. On był w wielkim strachu przez całą jazdę w pociągu. W pewnym momencie musiałem powiedzieć: „Panie generale, pan jest inwalidą, niech się Pan kładzie, a mnie proszę dać dokumenty, ja wszystko załatwię". Kiedy tylko drzwi się gdzieś otworzyły on natychmiast wpadał w panikę, że idą po niego...

Dopiero kiedy przejechaliśmy granicę, to generał się wyprostował i stał się takim jakim go poznałem.

Z Jugosławii jechaliśmy razem przez Włochy do Francji. Poznałem go bardzo dobrze w czasie tej podróży.

A czym można tłumaczyć jego postawę po II wojnie światowej, kiedy zasiadł razem z komunistami w ławie sejmowej? Czy strachem?

Mnie się wydaje, że nie. Kiedy przyjechaliśmy do Francji on tam miał sprawę sądową, bo jemu się dywizja rozleciała na froncie, chociaż okazało się, że to nie była jego wina. Później poszedł do VI oddziału na czele którego stał generał Kazimierz Sosnowski.

Przyszedł rok 1940 dostałem się z grupą podchorążych do portu La Rochelle skąd dopłynęliśmy szczęśliwie do Wielkiej Brytanii, ściśle Szkocji, gdzie skupiono polskich żołnierzy po upadku Francji. Otóż został stworzony II batalion „kratkowanych lwiątek" ze względu na to, że byliśmy w Szkocji. Będąc w Szkocji /w obozie/, tam dowiedziałem się o powołaniu I Brygady Strzelców Zmotoryzowanych, jej dowódcą został wyznaczony generał Paszkiewicz. O tyle mnie to interesowało, że byłem w batalionie wchodzącym w skład tej brygady. Kiedy dowiedziałem się, że generał do nas przyjeżdża z wizytacją to robiłem wszystko, żeby go nie widzieć. Nie odpowiadała mi jego ostatnia przeszłość, ta nasza wspólna droga. I pomyliłem się bo on nie tylko przeszedł przed frontem wojska, ale poszedł zobaczyć jak jest w jadalni i jak wyglądają poszczególne namioty i mnie tam odkrył.

Przywitanie było bardzo serdeczne z jego strony. Zawołał: „Cóż Pan tu robi starosto?" Wytłumaczyłem, że z powodu zaziębienia nie mogłem być na zbiórce. On na to, że mam się do jego sztabu zameldować nazajutrz.

Na drugi dzień rzeczywiście zostałem odkomenderowany do dowództwa do działu wyszkolenia. Wtedy dowódcą kompanii saperów był obecny minister wówczas porucznik, a teraz pułkownik – Jerzy Morawicz. Skoro już byłem w sztabie to postanowiłem przysiąść „fałdów" i poznać pracę w sztabie brygady. Byłem tam prawie dwa lata z tym, że pół roku byłem na uniwersytecie w Edynburgu.

Zabrano mnie stamtąd, bo okazało się, że większość oficerów sztabu z gen. Paszkiewiczem jedzie na Bliski Wschód.

Jako dowódca brygady w sztabie generał Paszkiewicz zdał egzamin. Interesował się oddziałami, był tam lubiany przez żołnierzy. Dlatego został wyznaczony na wyjazd na Bliski Wschód, wtedy kiedy wojsko polskie wyszło z Rosji.

Z całym tym zespołem, gdzie jechali tylko oficerowie, znalazłam się i ja, jako młody porucznik.

W końcu 1941 roku Anders przyjechał do generała Kukiela, który był dowódcą korpusu w Szkocji. Andersowi zależało na ok. 160 oficerach, gdyż nie miał kadry oficerskiej, o których się obawiał już wówczas.

Dopłynęliśmy do Egiptu, skąd skierowano nas do Iraku. Paszkiewicza mianowano wówczas dowódcą Brygady Czołgów, była to zupełnie nowa jednostka. Moim zadaniem było dokonanie wyboru najbardziej nadających się do służby w tej brygadzie żołnierzy. Uczyliśmy się na starych typach włoskich czołgów, takich małych, białych. Tutaj muszę niestety powiedzieć, że Paszkiewicz nie zdał egzaminu. Nas ten rodzaj broni bardzo zainteresował, a tymczasem generał zajmował się bez przerwy zagadnieniami politycznymi, kwestią Sikorski–Anders a nie wojskiem. Doszło do tego, że generał Anders postawił warunek generałowi Sikorskiemu, żeby sobie Paszkiewicz zabrał. Sikorski wtedy przeniósł go do W. Brytanii, na stanowisko zastępcy dowódcy korpusu w Szkocji.

Kiedyśmy wrócili z Włoch w 1946 roku doszły do nas wiadomości, że gen. Paszkiewicz kręci się przy ambasadzie warszawskiej. Jemu po prostu chodziło o karierę. Na zachodzie na widział żadnych możliwości, i pojechał do Warszawy. A tam zapisał się jak najgorzej.

Chciałbym panie Prezesie powrócić jeszcze do września 39, nagle Panowie znaleźli się w Rumunii, chcieliście się bić dalej a tu okazuje się, że są przeszko-

dy i to nie zawsze ze strony niemieckiej. Już we Francji zaczynają się przesłuchania, izolacja ludzi związanych z obozem rządowym.

Ludzie mojego pokroju rozmaitymi drogami i z trudnościami szli do polskiego wojska. Myśmy spadali społecznie w dół, aż ludzie się dziwili tej degradacji. Na przykład Ambasador nasz w Berlinie–Lipski został zwykłym żołnierzem, ale to i dobrze, bośmy pokazywali w ten sposób, ze zawsze służymy Polsce.

Poza tym te nasze wojska we Francji wspaniale się spisały, nie było od nich lepszych żołnierzy. Bardzo przeżyliśmy fakt, że Francja nie chce się bić. Przeciętny dowódca czy żołnierz nie zdawali sobie z tego sprawy. Chociaż myśmy na tym najniższym szczeblu, widząc francuskiego żołnierza, „rozmemłanego", i często podpitego poważnie się zastanawiamy jaką oni mają wartość bojową. Czy w ogóle będą się bić?

Upadek Francji był nie tylko ciosem dla kraju, ale także dla walczących nas na zachodzie.

Tymczasem nasz Naczelny Wódz–Sikorski ciągle nas przekonywał o potędze francuskiej armii. Mnie do dzisiaj dziwi, że ten inteligentny żołnierz, doskonały generał, który znał Francję i Francuzów nie orientował się w „walorach" tej armii.

Ale przecież on musiał sobie zdawać sprawę z tego co się dzieje. Myśmy na szczeblach bardzo niskich widzieli ten stosunek Francuzów do żołnierza polskiego. Nam kazali się uczyć rozmaitych francuskich przestarzałych regulaminów, kiedy nasze były nowoczesne i lepsze. Czy naprawdę tego Naczelny Wódz nie widział?

Może to działo się bardziej za sprawą Kota, Klimeckiego, Modelskiego, jego otoczenia?

Jego otoczenie było wówczas skoncentrowane na rozprawie z piłsudczykami.

Czy Pan także musiał stawać przed komisją?

Tak. Mnie wezwano z podchorążówki do Paryża. Przyjechałem do Ministerstwa Spraw Wojskowych i zgłosiłem się do właściwego pokoju. Okazało się, że siedzi tam pan w cywilu, nie wymieniam jego nazwiska, bo jeszcze żyje, a wtedy blisko związany z jednym z dygnitarzy wojskowych będących w Paryżu. Powiada

do mnie, że ma obowiązek przesłuchania mnie. Jednak nie tylko chodziło mu o mnie, ile o moich wojewodów, a zwłaszcza o ministra spraw wewnętrznych.

Odpowiedziałem: „Bardzo Pana przepraszam. Jestem żołnierzem i nie przyjechałem do Francji omawiać działalność działaczy politycznych i państwowych, lecz przyjechałem do wojska polskiego. A na pańskie pytania nie będę odpowiadać. A poza tym, gdy patrzę się na Pana to mi się wydaje, że pańskie miejsce jest w szeregach a nie za biurkiem". Wstałem i poszedłem trzaskając drzwiami. Myślałem, że mnie zaaresztują, ale okazało się, że nic takiego się nie stało.

Było to plucie na własny kraj w sytuacji, kiedy jesteśmy poza granicami kraju. Jest wojna a tu dzieją się takie historie.

Ponadto na terenie Francji zrobiono obóz w Cerisay, była to po prostu taka mała Bereza. Tam zesłano mojego przyjaciela obecnie żyjącego we Francji, dra S. Paczyńskiego tylko za to, że był aktywnym działaczem na terenie Wilna. Był tam ok. 4 miesięcy. Udało się nam go wyciągnąć. Mnie ta „przyjemność" ominęła.

Skoro już jesteśmy przy Francji to warto przypomnieć, że w ostatnich dniach naszego tam pobytu, generał Sikorski pojechał do jednostek wojskowych i w skutek wielkiego zamieszania, które powstało nie mógł dostać się z powrotem. Byliśmy pełni obaw co się stało z Naczelnym Wodzem.

Kampania Sikorskiego we Francji to jedna z najbardziej przykrych rzeczy w dziejach naszego wojska. Rozproszono wojsko, a niektóre oddziały poprzydzielano wprost do Francuzów. To bardzo poważny błąd. Szefem ewakuacji został generał Kukiel, najmniej do tego powołany, chociaż świetny historyk, ale wywiązał z powierzonego zadania.

Potem już gdy znaleźliśmy się w Szkocji zajmowałem się sprawami wyszkolenia o, których mówiłem poprzednio. Wiązała się z tym dość zabawna sytuacja. Otóż byłem sierżantem-podchorążym i dowódcy oddziałów, którzy zwracali się do mnie o różne wyjaśniania używali nie stopnia wojskowego, ale mówili do mnie „Panie starosto".

Jak już mówiłem generał Anders zamówił kadry oficerskie z Anglii do swojej armii. Ja znalazłem się w tym gronie i 19 czerwca 1942 wypłynęliśmy statkiem „Queen Elizabeth", który został przystosowany do przewozu wojska. Na tym statku była jedna z dywizji szkockich, jednostka w pełnym składzie – kilkanaście ty-

sięcy luda, do tego ok. 200 Polaków, kobiety-żołnierze, łącznie 14500 osób. Takie pływające miasto. A był to okres, kiedy łodzie podwodne szalały na Atlantyku, a my wypłynęliśmy bez osłony i bez ochrony.

A pół godziny po tym jak wypłynęliśmy na Atlantyk pojawił się niemiecki „Focke-Wulf". Kapitan zawiadomił nas, że pojawił się niemiecki samolot wywiadowczy i, że z pewnością przyleci eskadra aby nas zaatakować. W tej sytuacji postanowił zmienić kierunek z zachodu na północ. Anglicy okazali się być szalenie sprawni. Natychmiast przygotowano szalupy, podzielono ludzi. Po godzinie okazało się, że Niemcy przylecieli, ale nas nie znaleźli i musieli zawrócić.. Dopłynęliśmy do Kanady z tym, że myśmy nie wysiadali, potem przypłynęliśmy na wody południowoamerykańskie i dopiero na Dakar, gdzie także działały niemieckie „łodzie podwodne" Nasze szczęście polegało wówczas na tym, że mieliśmy dwa razy większą szybkość niż niemieckie łodzie podwodne. Znakomity był przy tym kapitan i załoga „Queen Elizabeth".

Przepłynęliśmy dookoła Afryki, ale na wysokości Madagaskaru grasowały japońskie łodzie podwodne i znów trzeba było kluczyć. Na wysokości Adenu kapitan dostał rozkaz, żeby płynąć do Bombaju, bo Niemcy podchodzą do Aleksandrii. Ale w ostatniej chwili odwołano ten rozkaz, gdyż Niemców powstrzymano. W końcu wyładowano nas z Ismaili. Ta szkocka dywizja stała się podstawą wojsk brytyjskich w bitwie pod El-Alamein. Znakomici żołnierze.

Na miejscu byliśmy 21 sierpnia 1942 roku.

Z Ismaili, przez Synaj „drogą Mojżesza" dojechaliśmy do Palestyny. I dalej pustynną drogą przez Transjordanię, oznaczoną bańkami po benzynie dostaliśmy się do Iraku. Ja jeszcze zdążyłem pojechać nad Morze Kaspijskie do ewakuowanych z Rosji.

Jak wyglądali ci przychodzący z Rosji żołnierze dla Was wojskowych z Zachodu?

Opłakanie. Dlatego, że w drugiej ewakuacji znaleźli się różni uciekinierzy, kobiety, zabiedzone dzieci. To byli zagłodzeni nędzarze.

Po przejściu do Iraku zaczęło się przeorganizowanie wojska. Jesienią 1942 roku ludzi dziesiątkowała malaria. Byliśmy przerażeni, bo żołnierze leżeli pokotem, gorączkując.

Kiedy na jesieni 1943 r. przenosiliśmy się do Palestyny to wziąłem sobie urlop, żeby zobaczyć Liban i Syrię.

W Iraku wykańczała nas temperatura, często przekraczała od wiosny do jesieni 50°C. Dzisiaj kiedy o tym mówię to dziwię się jak myśmy to wytrzymywali. Zajęcia odbywały się do 10-tej rano a potem do 4-tej całe wojsko było pod namiotami, które jeszcze były skrapiane wodą. Dopiero po południu mając w ręku jakieś papiery to nawet światła nie potrzebowałem, bo tak było jasno. A było to około 10 kilometrów od Monte Cassino.

Byłem wtedy w sztabie jako kierownik działu prasy i propagandy. Wydawaliśmy wtedy swoje pismo „Taran". Umówiłem się z szefem sztabu, moim przyjacielem, że w czasie akcji będę w sztabie operacyjnym. Tak było przez cały okres działań wojennych. Po Monte Cassino zostałem porucznikiem. Na środkowym Wschodzie nie było awansów.

Skoro już jestem przy sprawach wojskowych to w przeciwieństwie do I wojny światowej – sztab, który był z tyłu, to teraz dzielił się na główny sztab, który był z tyłu oraz sztab wysunięty będący na linii. Miałem ten przywilej, że byłem zawsze w sztabie wysuniętym. Był to oddział prawie bojowy.

Kiedyś zdarzyła mi się taka sytuacja. Dostałem polecenie udania się do jednego nacierającego oddziału. Wziąłem łazik, żeby prędzej się dostać. Aby skrócić drogę pojechałem leśnym duktem. Przejechałem około 250 metrów. Kiedy powróciłem do dowódcy i zameldowałem wykonanie rozkazu zastałem tam szefa saperów, który gdy się dowiedział, jaką drogą jechałem zawołał „czy Pan zwariował"? Okazało się, że droga leśna którą jechałem była zaminowana i dopiero posłano tam saperów celem rozminowania jej. Wtedy poczułem jak mi włosy dęba stają.

A udało mi się dlatego, że miny były założone na czołgi, a więc obliczone na większy ciężar.

Naszym dowódcą był świetny żołnierz, znakomity analityk, generał Rakowski. Był to wykładowca w Wyższej Szkole Wojennej. Przeszedł Rosję w strasznych warunkach. Początkowo był szefem sztabu u gen. Andersa, ale potem zastąpił gen. Paszkiewicza. Jako d-cy Brygady Czołgów. To było jeszcze w Iraku. Przeszedł całe wyszkolenie w czołgach, jak zwykli żołnierze. Został wielkim znawcą broni pancernej.

W czasie akcji pod Loreto siedzieliśmy razem w ogrodzie. On na krześle, ja przycupnięty na stole prowadząc nasłuch. Było to w czasie nalotu. Jedna z bomb trzasnęła w ogród. Podmuchem powietrza zrzuciło mnie ze stołu. Na to gen. Rakowski do mnie: „Co Pan za gimnastykę uprawia"? Siadałem na trawie i widzę, że generał siedzi spokojnie jak gdyby nigdy nic i tylko zapalił cygaro.

Kiedy indziej, już pod Piedomonte pojechałem z rozkazem generała, razem z rtm. Januszem Rakowskim (nie tym który mieszka w Szwajcarii). Pojechaliśmy główną drogą, która idzie na Rzym od południa/Monte Cassino było już zdobyte/. W końcu trzeba było się zatrzymać i przeczołgać się ze sto metrów, gdyż na górze byli jeszcze Niemcy. Załatwiliśmy wszystko, wracamy i na wysokości Monte Cassino, słyszę nagle samolot. Patrzę w górę i widzę, że to Niemiec, który na nas pikuje, jak we wrześniu 39. Krzyknąłem stój, ale tak mocno, że Rotmistrz automatycznie zahamował. Rzuciło nas do rowu. Mieliśmy wielkie szczęście. Seria z pocisków znalazła się w miejscu, gdzie powinnyśmy być normalnie jadąc. Naturalnie rozwaliłby nas w kawałki. Taka to już jest wojna.

Miałem w tej wojnie sporo szczęścia.

Przed Bolonią jechał ze mną młody podporucznik (inż. Warszawskiej Politechniki), wioząc sprzęt na 3-tonówce. Zjechaliśmy z drogi szukając odpowiedniego miejsca dla wysuniętego sztabu. Byliśmy od siebie jakieś 10 metrów. Nagle słyszę huk, oglądam się a ta ciężarówka w powietrzu. Najechał na minę. Urwało mu nogę. To był taki młody, przystojny chłopak. Znowu miałem wtedy szczęście.

We Włoszech przeżywaliście Panowie Powstanie warszawskie.

Proszę pana, kiedyśmy byli w czołgach w czasie akcji tośmy nasłuchiwali, dosłownie nasłuchiwaliśmy o tym co się dzieje w Warszawie. Początkowo była z tego powodu wielka radość.

Walki w Warszawie i jej upadek były strasznym przeżyciem dla nas wszystkich. Żeby pan widział też zmianę wtedy wśród naszych żołnierzy. Zrobili się zupełnie ze stali. Trzeba przyznać, że raczej trzeba było ich rozkazem powstrzymać, żeby niepotrzebnie nie rwali się do przodu, żeby tylko dostać Niemców.

A kiedy przyszła Jałta?

Już wcześniej spodziewałem się co to będzie. Kiedy wojska sowieckie weszły na tereny polskie. Kiedy nie udało się Churchillowi w Casablance przeforsować koncepcji przerzucenia wojska na Bałkany, zamiast do Włoch już wtedy spodziewałem się najgorszego.

Ja nie znam takiego wroga Polski, który wjedzie na nasz teren i sam dobrowolnie wyjdzie. Musi być siłą wyrzucony, a tej siły nie było. Już konferencja teherańska wskazywała, że dzieje się bardzo niedobrze, że Zachód okazuje słabość. Wtedy nie zawsze było to wyraźne, ale już można się było spodziewać najgorszego. Jałta dopełniła reszty. Mimo to żołnierz 2 Korpusu spełniał swój obowiązek żołnierski, a gen. Anders odpowiedział Churchillowi, że Polacy wypełnią swój obowiązek do końca zgodnie z umową, gdy premier brytyjski zaproponował Andersowi aby zabrał swe dywizje, bo Anglia ma dość wojska.

A na ile wpływ miał sam generał Anders na wojsko, jego osobowość?

On zaważył w trudnych momentach. I wtedy pod koniec wojny także. Chociaż zbyt Anders wierzył, że powojenny układ sił musi się zakończyć szybką wojną. Ja nie znam drugiego dowódcy, który miałby taki mir wśród wojska, wśród społeczeństwa wojskowego, bo to była „mała Polska". Tak naprawdę było. Wszystko to zawdzięczano koncepcji generała Andersa. Pilnował pracy oświatowej, prasy, działalności kulturalnej, myśmy dzięki Andersowi mieli nawet we Włoszech codzienną gazetę.

W Polsce był znany tylko jako kawalerzysta i dobry sztabowiec. Chciałbym powiedzieć, że znałem go jeszcze z Polski, co prawda nie osobiście. Ale pamiętałem, że w czasie jednych ćwiczeń prowadzonych przez Marszałka Piłsudskiego, chyba w 1934 roku. Po omówieniu ćwiczeń Piłsudski posadził obok siebie w czasie pozowania do fotografii tego, który wypadł najlepiej. Usiadł razem z Andersem. Wiedzieliśmy jak to interpretować.

Nie dziwiłem się, że dostał nominację w Rosji. Natomiast zabłysnął najpierw jako społecznik, potem jako polityk. I to od razu w Rosji. To on na szczęście wyprowadził ludzi z Rosji, nie zgodził się na podzielenie wojska słusznie obawiając się jego zagłady. A opuszczając Rosję sam dopilnował, żeby ewakuować dzieci i kobiety z Sowieckiego raju.

To co to jest obecnie jest w wielkiej części jego zasługą. W dużym stopniu realizujemy jego testament. Polska nauka, oświata, kultura, wydawnictwa, życie społeczne – to wszystko było z jego inicjatywy, lub za jego zgodą i pomocą.

W naszej brygadzie byli młodzi chłopcy, gimnazjaliści – oni byli w kompaniach pomocniczych. Kiedy tylko skończyły się akcje natychmiast przyszedł rozkaz, aby chłopców odesłać do szkoły.

To jest myślenie nie generała, ale przywódcy państwowego. To co on stworzył we Włoszech to zostało przesunięte na teren londyński. On nie miał formalnego tytułu, ale nazywał się Anders i to wystarczało.

Ale chyba najwspanialsze to było co w stworzono we Włoszech; to nasze życie polskie. Z tych naszych skromnych poborów odkładaliśmy pieniądze na książki, na pomoc dla Polaków w Niemczech. Tu trzeba dodać, że nie było żadnego sarkania. Żołnierze cieszyli się z tego, bo wiedzieli bowiem że żony i dzieci mają opiekę. To nie było zwykłe wojsko, to była organizacja społeczno-wojskowa. W naszej historii żadna organizacja nie dokonała tego, co dokonał II Korpus dzięki Andersowi.

Ten sam polski żołnierz stworzył emigrację niepodległościową. Cała masa ludzi zaangażowana w pracę społeczno-polityczną jaka jest na emigracji po dzień dzisiejszy to w głównej mierze ci, którzy przeszli przez szkołę II Korpusu. Większość i to olbrzymia prezesów kół Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, a widzę to bo jeżdżę po całym świecie, wywodzi się przeważnie z II Korpusu.

Spotkałem w życiu swoim jednego generała i to był Anders, który tak dobrze wyczuwał życie społeczne. On miał charyzmat. Mówię o tym dlatego, że już w roli prezesa SPK raz w tygodniu spotykałem się z Generałem. On nigdy nie decydował w sprawach społecznych bez konsultacji. To było u niego niezwykłe.

29 XII 1988, Londyn

Ryszard Czarnecki i Krzysztof Turkowski rozmawiają z Generałem Klemensem Rudnickim*

Klemens Rudnicki: Urodziłem się w Żydaczowie, gdzie mój ojciec był w służbie państwowej austriackiej. Urodziłem się 3 marca 1897, a więc w XIX wieku, dorastałem w XIX wieku. Dlatego, że dwudziesty wiek zaczął się dla nas po I wojnie światowej. Wszystko co się działo do I wojny światowej to był XIX wiek.

Moje pokolenie młodzieży czuło, że przychodzi na niego pora podjąć tę pałeczkę, którą wszystkie pokolenia polskie od rozbiorów dokonywały.

Pochodzę ze starej rodziny szlacheckiej, bardzo majętnej. Mieliśmy szereg majątków na Podolu.

W tamtym okresie wystąpiła u nas w Galicji i Lodomerii tendencja, żeby przejąć od cesarza zarządzanie tymi prowincjami w ręce polskie. Zainicjował to Agenor Gołuchowski, Potem Andrzej Potocki i zaapelował do szlachty polskiej, by przeszła do pracy w Galicji.

Polonizujmy Galicję.

Mój ojciec był z tych, którzy poszli do służby w namiestnictwie, u Andrzeja Potockiego, i został w końcu starostą powiatu Trembowla, gdzie ja chodziłem do gimnazjum. Był to 1902/3 rok.

Atmosfera w naszym domu była taka, jak w starych rodzinach polskich na Kresach. Moja babka była z domu Mrozowicka, była siostrą tego Mrozowickiego, który z Jeżem konspirował. Był w 1848 roku w węgierskim powstaniu.

* Klemens Stanisław Rudnicki ps. „Klimek" (ur. 28 marca 1897 w Żydaczowie, zm. 12 czerwca 1992 w Londynie) – oficer dyplomowany kawalerii Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. 1 kwietnia 1945 roku mianowany generałem brygady, a 11 listopada 1990 roku mianowany przez Prezydenta RP na uchodźstwie generałem dywizji.

Ta tradycja tkwiła u nas. Moja babka Zosia Rudnicka chowała powstańców w kominie w 1863 roku.

Polski nie było na mapie, ale Polska żyła po dworach, ale już zaczął się ruch chłopski. Wyrósł Witos.

Wówczas powstało harcerstwo. Do mnie przyszło, do naszego gimnazjum w 1909/10 roku. Ono porwało nas. Myśmy w harcerstwie przygotowywali się do jakiegoś czynu dla Polski. Przyszło „Zarzewie" oparte na „Sokole".

Zaczęliśmy nie tylko biegać po lasach z kijami, zaczęły się tajne zebrania.

Zaczęły się przygotowania do wojska, na razie z pomocą austriacką.

Ryszard Czarnecki i Krzysztof Turkowski: Czy Pan generał jako gimnazjalista przewidywał, że będzie miał tak wspaniałą karierę wojskową?

Klemens Rudnicki: Byliśmy przekonani, że przyjdzie na nas kolej, że musimy stworzyć polskie wojsko. Czuliśmy wtedy, że nadeszła pora.

Za nim przyszło wojsko uczestniczył Pan w wielkim Jamboree w Birmingham w 1913 roku.

To, że przybyłem na ten zjazd to był jeden z wyczynów „Sokoła". Z Trembowi trzech z nas pojechało na ten zjazd. – Tadeusz Dobrowolski, który tworzył skauting w Trembowi, Adam Karpiński – mój kolega z klasy, wspaniały taternik, Sulimirski, późniejszy profesor Uniwersytetu, także Władysław Zaleski. Jestem ostatnim z żyjących polskich uczestników tego zjazdu. Polski skauting nie mógł być zaproszony, więc my mieliśmy napisane Poland, a także Trembowla, Lwów. Baden-Powell nas przyjmował po przybyciu do parku w Birmingham. Ulokowano nas obok Irlandczyków, dwa narody uciśnione. Irlandczycy przyszli do nas i mówili, żebyśmy uważali z Anglikami, bo to są zbrodniarze, którzy nas gnębią, jak gnębią zaborcy. Odwiedził nas książę Walii.

Dało to nam asumpt, że gdy się tworzył w 1914 roku Legion Wschodni we Lwowie pod Hallerem to wówczas moja grupa wstąpiła do tego Legionu. Pożegnanie było romantyczne, ksiądz przed kościołem Karmelitów żegnał tych kilkunastu idących do wojska.

Koncentracja Legionu Wschodniego odbyła się we Lwowie w koszarach przy ulicy Jabłonowskiej i stamtąd, gdzie dostaliśmy „manlichery" ruszyliśmy na zachód aż do Mszany Dolnej. Tam nastąpiło rozwiązanie Legionu Hallera.

Jak się potoczyły dalsze losy Pana w I wojnie światowej?

Jak się rozwiązał Legion Wschodni zostałem odcięty od domu, gdyż moja cała rodzina znalazła się pod okupacją rosyjską – poszedłem do Nowego Targu robić maturę. Nie podobało mi się w Nowym Targu więc poszedłem do Zakopanego i tam spotkałem na ulicy mojego księdza prefekta z Trembowli. Spytał mnie co tutaj robię. Kazał mi natychmiast zapisać się do gimnazjum Jarosza, to takie prywatne gimnazjum. Skończyłem tam 8 klasę i w styczniu zdałem przyspieszoną maturę.

I przyszła kolejka na mój rocznik do wojska austriackiego. Wstąpiłem do 15 pułku piechoty. Jako maturzysta i jednoroczny ochotnik poszedłem do szkoły oficerskiej w Wigensdorfie na Morawach. Stamtąd jako kapral, a potem plutonowy zostałem wysłany na front włoski.

Było to w 1916 roku. Szliśmy z Innsbrucku piechotą przez Brenner aż nad jezioro Garda. Tam przebiegał front. Właśnie tam zostałem ciężko ranny, aż do dziś dnia mam bezwładną lewą rękę. Wtedy zostałem podporucznikiem, przeszedłem przez szereg szpitali.

1 listopada 1918 roku byłem w szpitalu w Krakowie, wiedzieliśmy co się przygotowuje. Z drugim moim kolegą, także podporucznikiem austriackim zapukaliśmy do drzwi komendanta, sztabskapitana Merunowicza, to był Ukrainiec. Stanęliśmy na baczność i zameldowaliśmy, że monarchia się rozpada i spytaliśmy się czy wobec tego pozwoli nam zdjąć portret cesarza Karola ze ściany. On stanął na baczność i portret zdjęliśmy i postawiliśmy twarzą do ściany. I tak opanowaliśmy szpital. Stamtąd poszedłem na krakowski rynek, gdzie była kordegarda i tam był oddział polski, którym dowodził kapitan Zając. Późniejszy generał. I tak objęliśmy Kraków.

Równocześnie 2 listopada przeczytałem w gazecie, że na ulicy Garncarskiej nr 2 organizuje się 2 Pułk Ułanów Legionowych. Poszedłem tam, okazało się, że organizatorem jest mój dobry znajomy, rotmistrz Brzezicki z Osiecza, mój krajan.

Zaraz z początkiem listopada szedłem ze świeżo uformowanym półszwadronem pułku, który szybko nazwał się 2 Pułk Szwoleżerów Rokitniańskich

na front lwowski. Koleją nas przewieźli do Przemyśla i stamtąd, gdzie spotkałem Tokarzewskiego, i z nim razem biliśmy się pod Bartatowem, chroniąc linię kolejową Przemyśl-Lwów. Po walkach o Lwów zostaję z tym szwadronem, w którym dowódcą był porucznik Kunachowicz, mój wielki przyjaciel a ja jego zastępcą. Zostaliśmy przydzieleni jako kawaleria do 3 dywizji piechoty dowodzonej przez generała Zielińskiego, nazywanego przez nas „dziadkiem". Był wtedy stary miał chyba czterdzieści parę lat. Dla nas to był wtedy dziadek.

Z tą dywizją biliśmy się całą ofensywę ukraińską. W czasie odwrotu spod Brzeżan „dziadek" Zieliński nie chciał odchodzić. Wsiadł do powozu, otoczyliśmy go i tak odjechaliśmy. On był taki smutny i po drodze, gdy zatrzymaliśmy powóz, on wysiadł i powiada: „Wiecie co ułani, że Zieliński pierwszy raz się cofa.".

Do lipca 1919 roku biłem się w tej dywizji i doszliśmy tak do Zbrucza. Wojna się zakończyła i mój szwadron wrócił do pułku, który tymczasem był na Śląsku. Tam jeszcze braliśmy udział w ostatnich walkach z Czechami.

Panie generale wojna polsko-ukraińska o Małopolskę Wschodnią była specyficzna, toczona na ziemiach rodzimych żołnierzy obu armii. Tam było wiele elementów wojny domowej. Wtedy pogłębiły się pęknięcia między Polakami i Ukraińcami.

Dla nas była to normalna rzecz. Lwów był dla nas polski, Galicja Wschodnia była polska, bo rzeczywiście było to tak przemieszane. Myśmy nigdy z Ukraińcami nie wojowali. Sam miałem kolegów Ukraińców, z którymi byłem bardzo związany.

Myśmy wtedy rozumieli, że kość niezgody między naszymi narodami rzuciła Austria. Ale oczywiście Lwów był polski i o to się biliśmy. Ale nie było jakiejś nienawiści między nami.

Panie generale 26 kwietnia 1920 roku Józef Piłsudski i Semen Petlura wydają wspólny rozkaz i rozpoczynają walkę, której celem jest odebranie Ukrainy bolszewikom. Zaczęła się wspólna walka Polaków i Ukraińców przeciw bolszewikom. Gdzie Pan wtedy był?

Byłem wtedy z pułkiem nad Morzem Bałtyckim. Nasza brygada kawalerii brała udział w zajmowaniu Pomorza. Braliśmy udział w zaślubinach w Pucku. I tam nas zastał rozkaz koncentracji całej kawalerii nad Słuczą.

Kiedy tam wchodziliśmy na Kaszuby to było wspaniałe. Witali nas chlebem i solą. Wszędzie, w każdej wiosce.

W czasie zaślubin uczestniczył cały 1 Pułk Ułanów i delegacje z innych pułków, po szwadronie ze sztandarem. Dla nas to było wielkie przeżycie.

Ale wróćmy do kwietnia 1920 roku.

Przywieźli nas transporterami do Słucz, pod Szepietówkę. Tam nas wyładowano, organizowała się tam 1 dywizja kawalerii pod generałem Rómmlem, której zadaniem był rajd na Koziatyn, ok. 130 kilometrów.

Musieliśmy przebić się i nadruszyć cały front. Piłsudski miał genialny pomysł, chciał po prostu wstrząsnąć całym frontem. I tak się stało.

Nasza dywizja ruszyła – Winnica, Białocerkiew, do majątków Branickich. Wtedy przyszły pierwsze wiadomości, że zbliża się armia konna Budionnego i pod Czerkasami będzie przechodzić Dniepr, i ruszy na nas. „Trylogia" nam się przypomniała, Dzikie Pola.

Szedłem wtedy pamiętam z podjazdem na Roś i tam było moje pierwsze spotkanie z tym Budionnym, pod Taraszczą.

Jaki to był żołnierz z drugiej strony?

Kozacy. Typowi Kozacy. Tacy sami jakeśmy o nich czytali u Sienkiewicza. Identycznie. Dobrzy żołnierze na swój sposób. Tak samo nie wytrzymali impetu jak za dawnych czasów. Myśmy szarżami przechodzili przez nich tam i z powrotem. Oni się rozsypywali i otaczali nas na powrót.

I to była wspaniała wojna. Siedemnastowieczna wojna. Dobra szabla, dobry koń, który decydował o bezpieczeństwie, o wszystkim. To było wspaniałe.

Potem zaczął się odwrót. Okazało się, że przewaga bolszewików jest duża.

Ja myślę, że przyczyną był marsz Tuchaczewskiego na północy na Warszawę. Piłsudski musiał wycofać z południa armię.

Myśmy byli cały czas w walce z Budionnym, który następował na tyły. I tak wojowaliśmy aż do Komarowa i tam ta wielka kompania konna, o której tak ślicznie opisuje płk Krzeczunowicz, się zakończyła. A potem był pościg za Budionnym. To był romantyczny pościg, bośmy aż do Horynia go ścigali.

Kiedy on przeszedł przez Horyń i myśmy zatrzymali się.

Tam się nawiązała między nami a Kozakami całkiem przyjemna atmosfera.

Na czym to polegało?

Do 9 pułku ułanów, który miał odcinek nad Horyniem przyjechała podwoda i woźnica oddał kartkę od Kozaków z drugiej strony. Kozacki dowódca zaprosił jednego z oficerów, żeby sobie pogadać z nim. Dają czestne słowo kozackie, że go puszczą z powrotem. Porucznik Wiktor z 9 pułku ułanów nie namyślając się wiele wsiadł na konia, wziął trębacza i pojechał na drugą stronę.

Dojeżdża i pokazuje tę kartkę. Nie bardzo wiedzieli co z nim zrobić, przekazywali go od jednego do drugiego, aż dostał się do samego Budionnego do Korca.

I Wiktor pojechał już bryczką do Korca. Przyjeżdża. Prowadzą go do kwatery Budionnego. Za stołem siedzi Budionny, obok niego siedzi Szaposznikow i pytają go:

„Za czom Wy tut prijechali?"

Wiktor odpowiada: „Dostałem kartkę, że chcecie porozmawiać."

Porozmawiali dwie godziny z Budionnym, bardzo ładnie o naszych wszystkich przejściach i wreszcie Budionny mówi, teraz wracaj z powrotem. Czestne słowo kozackie to czesne słowo. Dla pewności dam ci mojego oficera sztabu, który cię poprowadzi. I na koniec dał mu kindżał swój w prezencie i pismo, które ja widziałem.

Było tam: „Porucznik 9 półka ułanów był u mnie dwie godziny i niczym tajemnic wojennych nie zdradził. Budionny."

Wiktor z tym przyjechał.

Od razu poszedł do raportu i dowódca dywizji Rómmel skazał go na 21 dni aresztu domowego, którego nigdy nie odsiedział za samowolne opuszczenie odcinka.

Zanim przyszło zawieszenie broni powstał cały korpus. 2 dywizja kawalerii, która skończyła z Gaj-Chanem robotę, powróciła tutaj i tak powstał cały korpus.

Pod koniec września 1920 roku Rómmel zaproponował, że zrobi zagon na Iskoroż, żeby ostatecznie przełamać front. To zostało przyjęte i nasz korpus, 15000 szabel rusza 150 kilometrów w głąb. Po drodze musieliśmy sowieckie pancerki wysadzić. Rozkręcać tory. Zdobyliśmy Korosteń. Kolosalna zdobycz, zdobyty węzeł kolejowy. Wróciliśmy i zastał nas rozkaz, że jest zawieszenie broni.

Straty nie były wielkie, najbardziej zmniejszył się stan szabel z powodu braku koni. Szarże nasze nie przynosiły wielkich strat.

To był koniec wojny polsko-bolszewickiej.

Koniec wojny zastał mnie jako rotmistrza. Miałem Virtuti Militari.

Jak się toczy pańska dalsza kariera?

Jestem ciągle w 2 Pułku Szwoleżerów i wracam do garnizonu pułkowego, który wtedy był w Bielsku-Białej. Miałem właściwie zamiar wystąpić z wojska. Zrobiłem swoje i trzeba by pogospodarować. Taką prośbę wniosłem do dowódcy pułku, którym był major Róg. A on do mnie, że jeszcze nie koniec na tym, zastanów się mówi mi. Zastanowiłem się i zostałem, zawodowym oficerem.

Posłali mnie na kurs do Grudziądza, 9-cio miesięczny kurs do szkoły kawalerii w 1923 roku. Wróciłem do pułku, który został w międzyczasie przeniesiony do Starogardu. Ożeniłem się, miałem dwie córki, zawodowa służba była marnie płatna a pojawiły się perspektywy, by pójść do Korpusu Ochrony Pogranicza. Złożyłem prośbę o przeniesienie mnie do KOP-u. Było to w 1926 roku.

A gdzie Pana zastał zamach majowy?

Zamach zastał mnie w Starogardzie. Mieliśmy bardzo proste wyjście. Mieliśmy depesze od Piłsudskiego i z Zamku, od prezydenta Wojciechowskiego, że mamy pilnować granicy. Dla nas sprawa była rozwiązana.

Potem byłem już w Korpusie Ochrony Pogranicza. Chciałem koniecznie pójść na Podole, gdzie szwadron stał w majątku mojej ciotki, bo wróciłbym na moje Podole, charty, polowania to co ja lubię.

Tymczasem odwrotnie, i zostałem wyznaczony na dowódcę 7 Szwadronu KOP-u w Podświlu w powiecie Głębockim. Poszedłem tam i byłem do 1928 roku.

Ach ta cudowna Wileńszczyzna, co za cudowni ludzie tam, ach te zaścianki, znowu Sienkiewicz.

Cóż to za cudowne polowania. Mój szef to był taki wielki myśliwy. Mieliśmy wtedy 5 psów gończych. Taki „Hałas" – najstarszy pies, który nigdy w piętkę nie gonił, jak on gonił za zającem czy lisem. Drugi pies to był „Lotka" i mieliśmy takiego młodego szczeniaka „Waldhorn" się nazywa. On wyszukiwał, gdzie są tropy zająca. Kiedy on zaczął szczekać to przychodził „Hałas" skontrolować i poszedł, a cała sfora za nim. I wiadomo było, że gonią tego zająca czy lisa. I stało się w dobrym miejscu i za dwie godziny z daleka słychać zbliżający się gon i zjawia się zając. I wilka wtedy strzeliłem, lisów nie mało, głuszce, cietrzewie, słonki.

A tu w 1928 roku to wspaniałe życie przerwał mi rozkaz z ministerstwa, żebym przybył na kurs do Wyższej Szkoły Wojennej do Warszawy. Szkoły ja nie idę, jest mi bardzo dobrze tutaj, że wolę być w Kopie. Wolę ganiać niż iść na gryzipiórka do Wyższej Szkoły, czy jakiegoś adiutanta. Ale musiałem pójść.

Poszedłem na kurs próbny do Warszawy z zamiarem, aby ten kurs próbny tak zrobić, żeby mnie wylali. Był tam już wtedy generał Kutrzeba. Komendantem kursu był Tomaszewski, w obronie Warszawy we wrześniu 39, szef sztabu Czumy. On był także z Trembowli i przekonał mnie, że muszę zostać. I rzeczywiście skończyłem ten kurs próbny. Zdaje się, że skończyłem dobrze, ponieważ zatrzymali mnie przy katedrze taktyki. Byłem tam asystentem. Potem przyszła na mnie kolejka i odbyłem służbę jako zastępca dowódcy pułku. Poszedłem do Poznania. To był rok 1931, gdzie dowódcą pułku był także mój dobry znajomy i nawet kuzyn – Kownacki, z kirasjerów rosyjskich. Wspaniały człowiek. Takiej postury, że z trudnością na konia siadał jak Sobieski, ale był znanym zagończykiem.

Spędziłem tam dwa lata.

Potem przyszedł do mnie rozkaz, bym wrócił do szkoły wojennej tym razem na Katedrę Taktyki Ogólnej. Byłem tam aż do 1938 roku.

To tam Pan kolegował z pułkownikiem Irankiem-Osmeckim, Rzepeckim. Z całą elitą naszego wojska. Czy mógłby Pan opowiedzieć o Wyższej Szkole Wojennej?

Osiągnięcia Szkoły to zasługa przede wszystkim wybitnego sztabowca i dowódcy, generała Kutrzeby. To był austriacki oficer. Saper. Światowej klasy oficer, jako sztabowiec.

Prowadziliśmy wtedy gry wojenne.

Były to z polecenia Naczelnego Wodza ćwiczenia dla dowódców. Bardzo je lubiłem.

Czy byli wówczas dowódcy wyraźnie się wybijający?

Wszyscy generałowie przeszli przez moje ręce. Wybijał się Anders, generał Wład, Bołtuć, Szylling. To byli wybitni taktycy. Dowódcy w takiej grze stawiani byli w trudnej sytuacji wojennej i egzamin polegał na podjęciu optymalnych decyzji.

Ale Pan mnie pytał o Kutrzebę i mnie się przypomniała taka historia którą mi opowiedział.

Kiedyś, kiedy dyżurowałem przychodzi do mnie Kutrzeba i mówi wiem, że to ciężka służba. Opowiem panu coś z moich doświadczeń.

„Pan wie, że ja byłem u Mackensena, dowódcy 8 Armii niemieckiej w Rumuni przed listopadem 1918 roku. I raptem dowiaduję się tam, że wybuchła Polska. Jestem z Krakowa to postanowiłem, że muszę wracać do mojego miasta. Byłem wtedy majorem austriackiego sztabu generalnego. Przyjeżdżam do Krakowa, a tam mi powiadają, że muszę natychmiast jechać do Warszawy, bo tam jest brak oficerów sztabowych. Tam jest pułkownik Teliczko, także austriacki a szefem sztabu jest generał Szeptycki, więc pojechałem. Melduję się i tej samej nocy dostaję rozkaz, że mam być dyżurnym w Naczelnym Dowództwie. Dopiero dowiedziałem się, że Polska wybuchła. Ja od Mackensena, nic nie wiem bliżej i oto mam dyżur w Naczelnym Dowództwie.

W nocy przychodzi depesza od generała Latinika ze Śląska, która brzmi tak: „Czy mam zawrzeć rozejm z Czechami i na jakich warunkach." I taka depesza przychodzi do nas.

Ja ledwo od tego Mackensena przyjechałem, nic jeszcze nie wiem co się w Polsce dzieje, więc nie wiem co robić.

Idę do pułkownika Teliczki, budzę go w nocy, a on mi powiada: „Idź Pan do szefa sztabu, bo sprawa jest poważna, polityczna.". A gdzie on jest. Dowiaduję się, że mieszka w Hotelu Europejskim. Idę do hotelu. Dzwonię do Szeptyckiego a on już śpi. W końcu go budzą. Nakłada na nos okulary, mówię o depeszy generała Latinika. On czyta depeszę i mówi, że to poważna sprawa polityczna i trzeba iść do premiera, który właśnie jest tutaj na 2 piętrze. I jest tam także Wódz Naczelny – Piłsudski.

Ja prosto od Mackensena, nie wiem kto ważniejszy, nie wiem co się tu dzieje. Poprawiłem się i pukam do drzwi.

Otwiera mi pani Paderewska i zaprasza mnie na herbatę.

Wchodzę do pokoju. A tu Piłsudski chodzi po pokoju, a Paderewski siedzi przy biurku. Melduję się – major Kutrzeba z depeszą. Piłsudski bierze i czyta. Po chwili mówi. To dla Was premierze. Paderewski czyta i zaczyna odpisywać. Napisał jeden arkusz, zmiął, wyrzucił. Drugi napisał i też wyrzucił. Potem napisał coś i daje Piłsudskiemu.

A na to Piłsudski: „O nie. Majorze przeczytajcie to."

Ja czytam, a to mniej więcej jest tak: „My, którzy nigdy nie chcieliśmy przelewać krwi bratniego narodu itd."

Piłsudski wtedy pyta się mnie czy pan to rozumie. Ja teraz nie wiem co mam robić.

Ja prosto od tego Mackensena, nie wiem, co i kto tu ważny. Powiem, że rozumiem to źle, powiem, że nie to jeszcze gorzej. Tak czy inaczej się narażę.

W końcu zebrałem się i mówię: „Panie komendancie melduję, że nie rozumiem."

A na to Piłsudski: „Widzicie premierze, to jest żołnierz, to nie rozumie tego. Do żołnierza trzeba mówić jasno."

Sam wziął i napisał: „Rozejm zawrzeć z wypowiedzeniem 24-godzinnym".

Rano idę do Szeptyckiego i daję mu to. Szeptycki czyta i woła: „A co to za dureń to napisał?"

I ja znowu nie wiem co robić? Na kogo powiedzieć – Piłsudski czy Paderewski?

I to są trudności oficera, który przyjechał od Mackensena, bo Polska wybuchła a on nic o tej Polsce nie wie." Kończył opowiadanie generał Kutrzeba.

Ale wracając do szkoły to chowała on rzemieślników sztabu a nie dowódców. Francuzi chowali dowódców, my sztabowców.

Piłsudski a potem Rydz chcieli właśnie szkolić dobrych sztabowców. Takiego, który potrafił zrobić analizę dla dowódcy, napisać rozkaz, dopilnować wykonania rozkazu. Takich fachowców nam potrzeba. To była zadanie Kutrzeby i nasze.

Sam miałem okazję siedząc w Wyższej Szkole sporo się nauczyć. Zbieraliśmy prasę z całego świata, dużo czytaliśmy prac naukowych. Opracowań sztabowych niemieckich, włoskich, francuskich.

Panie generale, jak Pan ocenia z perspektywy lat, jakość wojska Polski Niepodległej, jego przygotowanie do wojny – fachowe, sprzętowe, kadrowe?

Nie można stworzyć wojska i sztabu w ciągu kilku lat. Tego się nie da zrobić. Wspaniałe wojsko niemieckie potrzebowało dwustu lat. Jak tu żądać, żeby stworzyć w ciągu 2-3 lat wojsko. Nie.

Myśmy mieli doskonałych dowódców na szczeblu roku 1920-go, z których wyrośli generałowie, którzy potem osiągnęli dzięki temu, że byli dobrymi dowódcami batalionów albo pułków, stopnie wysokie a że byli jeszcze młodzi, to nie bardzo chciało się im pracować. Zaczynali korzystać z przyjemności.

Generalicja nasza nie cała była na poziomie. Zawsze znakomity był Anders, Szylling, Wład. Był cały szereg wybitnych, rozwijających się dowódców.

Mieliśmy znakomicie przygotowanych oficerów sztabowych dzięki Kutrzebie, żołnierz był u nas bardzo dobry, wręcz doskonały.

Natomiast według mnie niedobre były plany wojenne. Plan strategiczny Naczelnego Wodza w trzecim dniu wojny okazuje się nierealny.

Wróćmy do Pana losów. Przychodzi sierpień 1939 roku.

W 1938 objąłem dowództwo 9 Pułku Ułanów Małopolskich w Trembowli, po pułkowniku Tadeuszu Komorowskim, późniejszym „Borze", moim przyjacielu.

Przychodzi mobilizacja i zastaje mój pułk na ćwiczeniach w Miodoborach na Podolu. Podjąłem decyzję, że trzeba szukać Matki Boskiej. Pojechaliśmy z pułkiem do Jazłowca. Zapukałem do furty klasztornej i poprosiłem przełożoną, żeby pozwoliła złożyć nam votum.

I tak zaczyna się opisywany przez Pana Generała szlak bojowy w książce, która miała tyle wydań na emigracji i w podziemiu. Ale przypomnijmy po krotce losy Pana Generała w czasie wojny.

Wojnę zacząłem z pułkiem w Brygadzie podolskiej, która była częścią armii Kutrzeby. Przechodzimy Poznań, idziemy aż na Zbąszyń. Stamtąd się wycofujemy gdyż nie ma żadnej styczności z przeciwnikiem. Dopiero 12 września armia Kutrzeby weszła do walki. O tym, że brałem udział w bitwie nad Bzurą to dowiedziałem się dopiero z historii. Dla mnie to była zwykła walka z Niemcami. Razem z grupą kawalerii już wówczas pod dowództwem generała Abrahama, który był dowódcą Poznańskiej Brygady Kawalerii, dołączyła Brygada Podolska i część oddziałów Grzmot-Skotnickiego, ta która się uratowała. Z tą grupą przebijaliśmy się przez Puszczę Kampinoską na odsiecz do Warszawy. Przeżyliśmy ciężkie walki pod Sierakowen, pod Laskami przebiliśmy się przez Młociny do stolicy. Weszliśmy w skład obrony Warszawy. Obroną dowodził wtedy Rómmel. W związku z tym, że nie było zajęcia w oblężonej Warszawie dla kawalerii powstały plany, żeby się przebić na Wilanów. To się okazało nierealne i wobec tego byliśmy do końca obrony. Broniłem Fortu Dąbrowskiego, to był mój sektor obrony. Tam zastała mnie kapitulacja. Ponieważ znałem Rómmla i jego szefa sztabu – Pragłowskiego, bardzo dobrze, to był mój przyjaciel, wiec byłem na ostatniej odprawie. Byli tam Rómmel, Kutrzeba, Tokarzewski, Czuma i ja. Rómmel oświadczył, że nie ma sensu walczyć dalej, ludność nie ma wody, żywności. Nie ma żadnych szans. Wtedy Tokarzewski wystąpił tam, że pozostanie i będzie tworzył armię podziemną.

Ja wtedy konno z pułkiem w trzysta szabel szedłem do niewoli. Takośmy doszli pod Grodzisk czy Błonie. Dałem wtedy następujący rozkaz, że jak długo ułani są z nami to my, oficerowie nie uciekamy. Z chwilą, gdy oddaliśmy konie i ułani zostali puszczeni do domów dałem rozkaz ucieczki. I sam uciekłem.

Jak Pan uciekł?

Bardzo prosto. Jako ciężko chory, symulując, zostałem na noszach wywieziony do polowego szpitala przez mego oficera lekarza, Paczkowskiego, to był sławny „Wania". On mnie wyniósł na noszach z obozu do szpitala, jako umierającego człowieka. Szpital był polski. Jacobson, komendant, już wtedy był w porozumieniu z Tokarzewskim.

To wszystko była „jedna mafia". Pozostałem przez kilka dni w tym szpitalu. Posłałem do Warszawy cyklistę, który pojechał po ubranie cywilne, zawiadomił moją siostrzenicę, Ewę Szarkowską-Gelejewską, i panią Łubieńską, że jestem w szpitalu. Pewnego dnia przyjechał samochód z flagą Czerwonego Krzyża. W samochodzie siedział Ludwik Plater i moja siostrzenica. I powiedzieli, że przyjechali po mnie. Przebrałem się w ubranie cywilne, poszedłem w kierunku niemieckiego posterunku, kiwnąłem mu ręką, wsiadłem do samochodu i pojechałem. I tak znalazłem się w Warszawie u pani Łubieńskiej. Tam spotkałem pułkownika Godenoskiego, już ukrywającego się pod nazwiskiem Suchodolski i cały szereg innych żołnierzy. Nie było ani chwili załamania. Rozumieliśmy doskonale, że jedną bitwę w wojnie przegraliśmy, ale to nie znaczy, że przegraliśmy wojnę. Wygramy. Zastanawialiśmy się, gdzie wziąć udział w walce. Jedni uważali, że trzeba walczyć w podziemiu, inni że trzeba walczyć we Francji. Ja chciałem do Francji, z tym zamiarem uciekałem. Nie nadaję się na podziemie. Ale kiedy zobaczyłem „Loursa" i w innych kawiarniach tyle naszych poprzebieranych za cywili oficerów i rwących się do jakiejś roboty – postanowiłem, że muszę ich skierować do Tokarzewskiego, który właśnie organizuje podziemie.

Dostałem się do niego przez Albrechta, pułkownika. Powiązałem ich z Tokarzewskim, a sam do Krakowa, żeby stamtąd iść przez Karpaty na Węgry.

Gdy pod koniec października przyjechałem do Krakowa to spotkałem tam mojego znajomego pułkownika Epplera, który mówił mi, że jest dowódcą różnych tworzących oddziałów zbrojnych w konspiracji. Powiedział mi, że

musi wyjechać i poprosił mnie czy nie zechciałbym przejąć od niego konspiracji. Powiedziałem mu, że nie nadaję się do konspiracji i powiedziałem, że tu jest mój przyjaciel płk Tadeusz Komorowski w szpitalu Bonfratrów schowany. Poszedłem do niego i Komorowski się zgodził pod warunkiem, że zostanę z nim. I tak zostałem z Komorowskim w Krakowie. Nie wiedzieliśmy kto ma prawo organizować to podziemie. Endecy i stronnictwo Ludowe w Krakowie nie chciało słyszeć o Tokarzewskim, żeby legioniści z powrotem. Poszli do Komorowskiego, żeby to robił bo nie był legionistą. Rudnicki także nie był sanatorem.

Postanowiliśmy, że ja najpierw pójdę do Lwowa, żeby się dowiedzieć jaka jest sytuacja pod okupacją sowiecką, wrócę z powrotem i napiszemy wtedy raport przyzwoity do Sikorskiego i z tym raportem pójdę.

Pojechałem do Lwowa, a właściwie poszedłem przez San koło Przemyśla, bez przewodnika. Takim utartym szlakiem.

Tamta okupacja kolosalnie się różniła od niemieckiej. Tym się różniło, że tam był zupełny bałagan. Po Lwowie kręcący się żołnierze z karabinami na sznurkach. Idiotyzm zupełny. Moje wrażenie było takie, że to nie może trwać. Kompletna głupota. Spotykam mojego przyjaciela, profesora Halbana z Uniwersytetu Jana Kazimierza. Mówię mu: „ W „Czerwonym Sztandarze" jest informacja, że ty podpisałeś taki hołdowniczy list do Stalina". On na to, że wie, ale z gazety się dowiedział, że coś podpisał.

Uznałem, że groźniejsi są Niemcy, bo tu się musi rozlecieć. Z takim wrażeniem przyjechałem do Krakowa i Warszawy. Ale sam z raportem nie poszedłem, bo znalazł się kurier, który zabrał materiał. Kurierem był Władysław Techóchowski. Przywiózł nam w krótkim czasie odpowiedź, że prawo organizowania podziemia ma Rowecki, a Tokarzewski ma organizować konspirację w zaborze sowieckim.

Albrecht przywiózł mi sugestię od Roweckiego czy nie zgodziłbym się pójść do Lwowa, jako zastępca Tokarzewskiego, gdyż znam miasto. Pojechałem do Warszawy, gdzie Rowecki poinformował o sytuacji. Pojechałem do Tokarzewskiego, który mieszkał na Filtrowej. Powiedziałem, ze zwalczałem pana generała z powodów politycznych, ale jestem z Lwowa i chętnie pójdę z panem. On się zgodził.

Dostałem 20 dolarów w złocie na drogę, które wręczyła mi pani Karasiówna i poszedłem do Krakowa i stamtąd na Jarosław przez San. Była zima, śnieg, psy po śladach mnie znalazły.

Czy bolszewicy rozpoznali z kim mają do czynienia?

Nigdy. Siedziałem półtora roku w więzieniu w Dniepropietrowsku w śledztwie. Wiedzieli, że coś jest nie tak, ale dostałem bardzo łagodny wyrok. 5 lat wolnej zsyłki do Kirowa.

Sam im powiedziałem kim jestem, ale później.

Przychodzi porozumienie Sikorski-Majski. Pan gdzie jest wtedy?

Znajduję się w Kirowie i pracuję jako robotnik przy wyciąganiu drzewa z Wiatki. Występuję jako Józef Rumiński.

W momencie, gdy Pan się dowiaduje o amnestii co się dzieje dalej?

Najpierw nie uwierzyłem. Słyszałem przemówienie generała Januszajtisa, który wygłasza je gdzieś w Rosji. Mówił wtedy coś o panslawiźmie. Żeby z bratnim narodem wspólnie bić Niemców. Brzmiało to bardzo niedobrze. Potem dowiedziałem się z radia, że jest już ambasador, że przyjeżdża generał Szyszko-Bohusz i, że generał Anders został mianowany wodzem. A to już co innego. Wtedy poszedłem do mojego dyrektora fabryki i powiedziałem, żeby mnie puścił. Oni mi powiedzieli, że jestem starik a takich nie potrzeba w wojsku. Nie miałem innego wyjścia i postanowiłem opowiedzieć dokładnie kto ja jestem. Najpierw z Kirowa posłałem list polecony do ambasadora i do Szyszko-Bohusza. Po 5 dniach poszedłem do szefa NKWD i powiedziałem kto ja jestem i poprosiłem o odesłanie mnie do armii. On zbladł, potem się zastanowił, podał mi rękę i poprosił żebym siadł. Powiedział, że to trzeba przesłać do Moskwy, przejrzeć i zapytać. Zakazał mi, żebym cokolwiek komuś powiedział i kazał mi wrócić z powrotem.

Po dwóch tygodniach zostałem wezwany do NKWD. Przyjął mnie tow. Gawarik, szef kirowskiego NKWD, który ucieszył się bardzo. Świetnie po polsku mówił i powiedział, że szukają pana wszyscy z Andersem na czele. Spytał mnie czy jestem za naszym porozumieniem i czy wszyscy Polacy też popierają

porozumienie. Odpowiedziałem, że wszyscy. A on stwierdził, że nie wszyscy bo Zaleski, Sosnkowski nie są.

Powiedziałem, że nic o tym nie wiem.

Zaproponował mi podpisanie cyrografu, że będę wtyczką NKWD w wojsku polskim. Oczywiście odmówiłem. Ale powiedziałem, że podpiszę z tym, że natychmiast zamelduję o tym w Moskwie.

I posłali mnie pod konwojem do Moskwy. Konwój by bardzo elegancki. Strażnik był z rewolwerem i kiełbasą.

W Moskwie czekał na mnie samochód i zawieziono mnie do Narkomdiełu, gdzie przywitał mnie pułkownik Fedyczkin w wspaniałym polskim języku. Cieszył się, że mnie znaleźli, bo wszyscy się o mnie rozbijają. Kazał mi zaczekać, bo szef chce ze mną rozmawiać. Tym szefem okazał się Beria. Czekałem do 2 w nocy i zaprowadzili mnie do Berii. On siedział za stołem, nie wstał jak ja wszedłem tylko zaczął krzyczeć: „Wy nie czestnyj człowiek, wy obmauli. Sowietskuju włast. Pan ukrył kim pan był, pan wie jak się z takim postępuje?" Zdziwiłem się skąd taka zmiana. Więc ja powiadam: „Panie, byliśmy w wojnie ze sobą, wszystko mogłem zrobić, ponieważ prowadziliśmy walkę. Ale kiedy nasze władze zawarły układ, pierwszy powiedziałem kim jestem. Co pan ode mnie chce?" On na to, żebym się nie denerwował i poprosił żebym usiadł. Siadłem i zadał mi takie pytanie: „Czy wszyscy Polacy chcą tego co władze?" I znowu mi wyjechał z Zaleskim i innymi. Powiedziałem, że nic nie wiem, bo siedziałem w więzieniu. „Ja jestem za porozumieniem." Potem mnie spytał, jakie jest znaczenie operacyjne Skały, to takie miasteczko nad Zbruczem. Powiedziałem, że żadne. Powiedziałem to takoj jewrejskij gorodok. Spytał mnie wtedy, że jeśli miałby tam stać jakiś niemiecki sztab, to gdzie on miałby miejsce. Powiedziałem, że w pałacu Gołuchowskiego, gdzie nieraz polowałem. Wtedy on mnie poprosił, żebym narysował szkic. Pomyślałem, że jeśli narysuje szkic, każe mi się podpisać, to wyjdę na to jak szpieg. I odmówiłem. Wtedy on powstał i powiedział, że dziękuje bardzo i poprosił żebym zapomniał wszystko, co mnie u nich spotkało.

My zapominamy, że pan oszukał nas.

Wtedy ja powiedziałem, że jego podwładny tow. Gawarik w Kirowie zażądał ode mnie podpisana zobowiązania o współpracy z wami, ja to zrobiłem

i proszę być pewnym, że natychmiast jak mnie puścicie zamelduję o tym generałowi Andersowi i ambasadorowi polskiemu. Tak się nie robi wśród przyjaciół. On na to się uśmiechnął, otworzył szufladę i wyjął mój cyrograf, podał mi i ja to podarłem.

Odesłali mnie od razu na nasz punkt zborny, gdzie wypłacili mi 3 tysiące rubli odszkodowania. To były wielkie pieniądze – ja tygodniowo zarabiałem 6–7 rubli.

Zgłosiłem się do ambasady. Właśnie był Anders, który się bardzo ucieszył. Powiedział mi, że wyjeżdża do Buzułuku z powrotem i polecił mi wziąć samochód, który tu dostał i kazał mi tym autem pojechać do Buzułuka.

Dostałem wszystkie potrzebne papiery i dojechałem tylko do Kazania, gdzie aresztowali mnie z powrotem, na promie. Wyjaśniło się, że to wszystko w porządku i dalej jechałem samochodem. Oczywiście nie było sposobu, żeby przejechać, wiec zawróciłem do Kazania. NKWD wsadziło mnie na statek na Wołdze i tak płynąłem chyba dwa tygodnie do Kujbyszewa. Naszą ambasadę spotkałem tam, gdzie wynieśli się z Moskwy. Kot przyjął mnie bardzo ładnie. Złożyłem mu raport o wszystkich moich przejściach, a także o podpisaniu cyrografu.

Potem pojechałem do Buzułuku i tam Anders mianował mnie zastępcą Okulickiego, który był szefem sztabu.

Jak długo był Pan zastępcą Okulickiego?

Jak zapadła decyzja przeniesienia wojska do Uzbekistanu to zostałem wyznaczony na szefa ekipy, aby zorganizować sztab w Jangijul. Już zaczynała się wojna.

Panie generale, jak oceniał Pan w zimie 1941 roku sytuację na froncie?

Uważałem, że Rosja wytrzyma uderzenie niemieckie. Dlatego, że w Moskwie,kiedy byli pod miastem to tam był absolutny spokój. Żadnej paniki, porządek, żadnego zdenerwowania, nic. Z tego co wiedziałem na tyłach nie wyglądało to na rozbite państwo.

Potem, już w Jangi-Jul miałem swoje kłopoty z aparatami podsłuchowymi, zresztą pisałem o tym w moich wspomnieniach.

Miałem także załatwić sprawę rekrutacji Polaków do naszej armii. Tu napotkałem na pierwsze kłopoty. Na pierwszym zebraniu pytam się ich, kto ma prawo wstępować do naszego wojska. A oni na to, że tylko obywatele polscy narodowości polskiej.

Połączyłem się z Andersem i spytałem co mam robić. A on mi odpowiedział, żebym się zgodził na wszystko, bo ludzie i tak będą się pchali i do naszego wojska dojdą.

Z Jangi-Jul zostałem przeniesiony na zastępcę dowódcy 6 dywizji, to się łączy ze sprawą podsłuchów. W Buzułuku wszystko było na podsłuchu, wszędzie Sowieci je pozakładali, ale nasi „dwójkarze" od razu je znaleźli, wyjęli te aparaty z nad biurka Andersa. Anders w mojej obecności poprosił Okulickiego i sowieckiego oficera łączności przy sztabie armii. Anders wyciąga z szuflady mikrofon i mówi – „To znaleźli nasi ludzie. Po co wy to robicie?"

Przyjechała komisja z Moskwy, prowadziła badania i zameldowała, że to są stare rzeczy, że założono to kiedyś i nie ma to nic wspólnego z polską sprawą.

Obejmując Jangi-Jul wiedziałem, że tam trzeba uważać. I rzeczywiście w kilka dni po przyjeździe wiedzieliśmy, że jest to samo. Specjalnie to założono. Wobec tego Okulicki wezwał Wołkowickiego, tego oficera NKWD, łącznikowego i powiedział, że on sobie wyprasza takie rzeczy. I ten enkawudysta znikł. Ale i trzeba było wycofać Okulickiego. Poszedł na dowódcę 7 dywizji. Okulicki bardzo się zdenerwował i zagroził Wołkowickiemu wielką awanturą. On stawiał sprawę ostrzej niż generał Anders. A szefem sztabu został Szyszko-Bohusz. Ja poszedłem do Tokarzewskiego. I tam byłem aż do ostatecznej ewakuacji. Wyjeżdżałem z Rosji prawie ostatnim transportem.

Na końcu był jeszcze ppłk Zygmunt Berling.

Tak. On był szefem ewakuacji. Po raporcie, który miał on u Andersa, a byłem przy tym, kiedy Anders skazał go na 21 dni aresztu.

A było to tak. Generał Boruta-Spiechowicz zawiesił w czynnościach swego szefa sztabu – Berlinga. Anders wezwał ich obu do raportu. Boruta-Spiechowicz powiada: „Musiałem go zawiesić, ponieważ on nie wykonał mojego rozkazu." Za to Anders skazał Berlinga na areszt. Po raporcie Anders powiada

do mnie: „Wiesz jak Berling taki przyjaciel Stalina, to niech pilnuje w Krasnowodzku, żeby wszystkich nas ewakuowali."

Panie generale, czy panowie podejrzewali prosowieckie sympatie Berlinga?

Nie tylko podejrzewaliśmy. Wiedzieliśmy. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości. Wiedzieliśmy, że był w willi „Małachowka" z kilkoma innymi, że przeszkolono) ich tam. Wiedzieliśmy, że oni go trzymają w rezerwie. Myśmy wiedzieli absolutnie kto to jest Berling. Ja go dobrze znałem jeszcze sprzed wojny. To był bardzo inteligentny człowiek, z 5 pułku Legionów tych „zuchowatych". Miał jakieś trudności moralne, został zdjęty z dowództwa i posłany do Komendy Uzupełnień. To było zupełne dno. On się obraził o to. To jego koledzy od „zuchowatych" są generałami, wojewodami a on niczym.

I Sowieci to wykorzystali. On nigdy nie wierzył w żaden komunizm. Miał za to kolosalne ambicje. I postanowił się odkuć. Chciał wkroczyć z Sowietami do Warszawy i odegrać rolę Piłsudskiego.

Jak Pan Generał ocenia z perspektywy lat decyzję o ewakuacji?

To była konieczność. Nie było innej rady. Próba współpracy z Sowietami rozpoczęta przez Sikorskiego okazała się zupełnie nierealna. Gdyby Anders dał się kupić to zatracono by polską armię. A trzeba pamiętać, że Stalin robił wszystko co mógł, aby kupić Andersa. Wręcz przeciwnie, Andersowi udało się stworzyć bardzo mocną moralnie armię, której nie dałoby się rozbić bez rozlewu krwi.

Ewakuacji chciał Anders, chciał Sikorski, chciał Stalin. Innego wyjścia nie było.

Jak dalsza Pana kariera?

Jako zastępca Tokarzewskiego poszedłem do Persji i Iraku, gdzie nastąpiło przeorganizowanie. Z 5 i 6 dywizji stworzona jedną, Kresową pod Sulikiem. Ja dostałem 6 Brygadę Lwowska. Mieliśmy tam Batalion „Dzieci Lwowskich", z których powstał Pułk Pancerny „Dzieci Lwowskich", to wszystko Lwowiacy. Był cudowny lwowski nastrój. Tokarzewski świetnie takie rzeczy prowadził.

W Rosji przed każdym namiotem była mapa Polski z kamieni ułożona, ze Lwowem. Sowieccy pułkownicy straszne awantury o to robili.

Stacjonował Pan w Palestynie czy były u Pana wypadki dezercji żołnierzy narodowości żydowskiej?

Tak. Myśmy traktowali to tak, że szereg Żydów wbrew woli sowieckiej wyjechało z nami np. Begin byt u nas kapralem. To byli zwolennicy Żabotyńskiego. Tam się toczyła walka między okupantem, czyli Brytyjczykami a „Haganą". Są dwie wersje, jeśli chodzi o dezercję tych 800 Żydów: jedna, że Begin poszedł do Andersa i powiedział, że teraz jego ludzie idą do walki jako „Hagana" z Brytyjczykami. A na to Anders miał powiedzieć, że ich rozumie i nie będzie ich ścigał. Faktem jest, że Anders zakazał żandarmerii ścigania uciekinierów żydowskich.

Potem przychodzą Włochy i Monte Cassino.

Do Włoch zostałem posłany już w listopadzie 1943 roku, żeby zrobić rekonesans. Byłem wtedy w 78 dywizji brytyjskiej na stażu. Ale potem, na przełomie 43/44 wylądowaliśmy w Taranto i byłem tam, jako zastępca generała Sulika w 5 dywizji. I tak zacząłem tę wojnę. Mieliśmy układ z Brytyjczykami, że nasz Korpus musi przejść wcześniej rodzaj przeszkolenia wojennego, takie otrzaskanie z ogniem. Do marca 1944 roku byliśmy na takim drugorzędnym froncie. Dopiero po klęsce Nowozelandczyków pod Monte Cassino przyszła decyzja o majowej nowej ofensywie. I w tej ofensywie wezmą udział korpus brytyjski i polski.

Nie mieliśmy wyboru, czy się bić – zostawiono tylko Andersowi wybór w dolinie czy w górach?

Kto kiedy słyszał o dolinie rzeki Lizy, a o klasztorze Monte Cassino – wszyscy. Idziemy na klasztor.

Pierwsze natarcie prowadziła 5 brygada pod dowództwem płk. Kurka, bardzo dzielnego żołnierza. W czasie pierwszego natarcia byłem razem z Sulikiem. Powstaje pytanie czy można było obejść Monte Cassino, czy bitwa była potrzebna? Była. Z takimi wojskami, jakie mieli Brytyjczycy czy Amerykanie, Wszystko było na trakcie motorowym. Oni musieli mieć drogę. Piechotą można jak Marokańczycy we Francuskim Korpusie, ale nie nowoczesne wojsko.

Dlatego Monte Cassino musiało być zdobyte.

Nie wolno nam było zdradzić, że my tam jesteśmy, to była tajemnica. Wobec tego nie można było rozpoznać pozycji, aby nie utracić jakiegoś jeńca. Trzeba było iść na ślepo. O ile w 3 dywizji było 70 metrów od przeciwnika na Głowie Węża, to u nas było 3 kilometry. Myśmy nie znali nawet źródeł ognia.

Drugie natarcie, które ja prowadziłem, kiedy złamała się 5 dywizja, to zostałem wysłany 12 maja rano pod klasztor. Miałem zrobić porządek i objąć dowództwo. Odwołano planowane natarcie na popołudnie 12 maja i przesunięto je na 16-go. Miałem więc trochę czasu na przygotowanie natarcia. Przygotowaliśmy się do ataku bardzo porządnie. Ruszyliśmy w nocy. Pierwszy uderzył 16 batalion na Widmo i kiedy oni to zdobędą to 17 batalion pójdzie dalej, na San Angelo. Mój plan się udał, 16 batalion dowodzony przez Stańczyka zdobył po dużych kłopotach jedną część tego Widma. Kiedy mi zameldowali, że Widmo jest nasze to skierowałem 17 batalion o świcie. Powiedziałem mu, że ma przejść dolinę i pójść na San Angelo. Nie wolno wam się cofać. Macie pchać się do góry, wtedy unikniecie ognia niemieckiego.

Batalion poszedł. Pod wieczór sytuacja stała się bardzo kryzysowa. Żołnierze byli już pod samą górą, pod szczytem. Doszło ich tam niewielu. Zabrakło wody i amunicji. Kompania Leskiewicza zaległa pod samym szczytem i kiedy zabrakło amunicji, to zaczęli kamieniami rzucać w Niemców. Zaczęli wtedy śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła". Tak było.

Już 17 maja Niemcy podjęli decyzję o odwrocie.

To była bardzo ciężka bitwa i bardzo drogo nas kosztowała. 900 zabitych. Walczące bataliony miały po 25% strat.

Po tej bitwie dowódca zaproponował rozwiązanie Korpusu i stworzenie tylko jednej dywizji, to samo, co zrobili z Nowozelandczykami.

Anders odmówił i powiedział: „Ja będę miał uzupełnienie. Moje uzupełnienia są z przodu." Poszedł z tym do Alexandra, który to zrozumiał, że mamy masy w obozach jenieckich, w Afryce, Polaków siłą wciągniętych do wojska niemieckiego, i myśmy ściągnęli ich do naszego wojska.

W walce o Bolonię dowodziłem dywizją, gdzie dwie brygady były tylko z Polaków z armii niemieckiej. Łącznie z biskupem Szczepanem Wesołym.

Zostałem generałem i dowódcą dywizji specjalnie stworzonej do wali o Bolonię.

Jest początek 1945 roku. Sytuacja Polski na arenie międzynarodowej jest coraz trudniejsza. Coraz bardziej niekorzystna. Wracając z Jałty Churchill rozmawia z generałem Andersem.

To było dla nas – „bić się czy nie bić". Anders zorganizował odprawę, powiadomił nas o Jałcie, o popełnionej tam zbrodni. I wobec tego dla nas jest jeden problem – „bić się czy nie bić".

Postawił problem, czy mamy prawo żądać od żołnierza oddania życia, czy nie? Zwłaszcza wobec oddania Stalinowi połowy Polski.

Anders pytał nas o zdanie. Powiedziałem, że Niemcy nie są jeszcze pobite i musimy wojnę z nimi kończyć. Pozostaje nam nadzieja, że powstanie konflikt Wschód-Zachód i nasze sprawy załatwimy później. Najpierw obowiązek a potem przyjemność, czyli wojna z Sowietami. I tak zdecydował Anders. Takich rad oczekiwał, zresztą wcale rad nie potrzebował, gdyż doskonale wiedział co robić.

I biliśmy się, aż do końca. Po zajęciu Bolonii, zostałem przeniesiony nagle do Niemiec, aby objąć I Dywizję Pancerną, która właśnie wchodziła do Niemiec. Pojechałem tam z listem do Montgomerego od mego dowódcy 6 armii McLeary'ego, z którym bardzo się przyjaźniłem. To był pierwszorzędny człowiek.

W Holandii zameldowałem się u Montgomerego jako nowy dowódca dywizji. Montgomery przyjął mnie bardzo dobrze, ale zażądał, żeby Maczek dowodził do zakończenia kampanii.

Po kapitulacji Niemiec Maczek odleciał do Szkocji, żeby objąć korpus. Ten korpus miał przyjść do Niemiec, gdzie miał przyjąć II Korpus i miała być stworzona wielka armia polska. To był plan Andersa, i plan ten został zaakceptowany przez generała Alexandra. Ale obalił to Churchill. Na to Stalin nigdy by się nie mógł zgodzić.

W okresie, kiedy zapadła decyzja o zaprzestaniu uznawania rządu polskiego wezwał mnie do siebie Montgomery na rozmowę. Rozmowa odbyła się w obecności dowódcy mojego korpusu – gen. sir Ivory Thomasa. Rozmowa była bardzo prosta. Zapytano mnie jak traktuje obecne decyzję polityczne.

Montgomery spytał: „Czy mogę liczyć na Pańską dywizję?" Byliśmy jedyną jednostką w pełni gotową, gdyż Brytyjczycy byli już w trakcie demobilizacji, a nie było wiadomo co zrobią Niemcy.

Powiedziałem: „Panie Marszałku, mamy swój legalny rząd z siedzibą w Londynie. Jeżeli mi każą tu pozostać, to może pan na mnie liczyć. Ja was nie zdradzę." Montgomery był najmniej sympatyczny ze wszystkich generałów z którymi walczyliśmy. Montgomery zupełnie nie rozumiał naszej sytuacji. To był czysty żołnierz, który wykonywał rozkazy swego premiera. Nie miał do nas żadnych sympatii.

Panie generale, kończy się wojna. Co dalej z panami, z armią, z resztą ludzi?

Sytuacja Andersa jest dla mnie zupełnie jasna. On wierzył, ze musi dojść do wojny Wschód-Zachód, do tej „przyjemności". Wobec tego trzeba jak najwięcej ludzi utrzymać i nie dać się rozproszyć. Kazał mi robić to samo w Niemczech.

Ja miałem inną sytuację. Inny żołnierz. Było tam 1,5 miliona Polaków, obozy jenieckie. Ale moje stanowisko było takie samo jak Andersa. Nie wierzyłem, że Anglicy i Amerykanie zachowają się jak dzieci.

Ogromne obowiązki w Niemczech spadają na Pana, ma Pan kilkanaście tysięcy uzbrojonych ludzi pod sobą, 1,5 miliona Polaków patrzących na Pana.

Wezwałem mego szefa sztabu, płk Stankiewicza i powiadam: „Skończyła się wojna. Teraz obowiązkiem naszej dywizji to ratowanie naszej ludności tutaj. Czym tylko można."

Stworzyłem specjalny sztab ze Stankiewiczem na czele, potem Niedzielskiego, kwatermistrza z 10 brygady. Udało się nam fantastycznie zorganizować pomoc. Mieliśmy pocztę polową, opiekę społeczną, mniej więcej robiliśmy to samo co kilka lat wcześniej w Rosji.

Aby to wszystko funkcjonowało potrzebne mi było jakieś polskie miasto. Przyjechał do mnie generał Horroks, dowódca 30 Korpusu, któremu ja podlegałem, wielki przyjaciel Polaków i spytał co może zrobić dla mnie. Poprosiłem

go o jedno miasto. Generał powiedział: „Good idea", pojechaliśmy i wybraliśmy to miasto. Było to na samej granicy holenderskiej – miasto, które miało 4 000 mieszkańców. W ciągu 25 godzin Niemcy mieli się stamtąd wynieść i zostawić wszystko na miejscu. Wszystko zostało wykonane i miasto zostało mnie oddane. Jak je nazwać, oczywiście nazwano je Maczków.

I w ten sposób powstał Maczków i stał się ośrodkiem, przede wszystkim centrum szkolnictwa. Centrala była w Maczkowie, ale organizacja objęła całe Niemcy. Później utworzono harcerstwo. Opiekę społeczną. Masy ludzi przyjeżdżało, uciekinierów z Polski. Zrobiłem burmistrzem Maczkowa, mego przyjaciela Zygmunta Gałeckiego, z 2 Pułku Ułanów Legionowych. Wszystkie ulice pozmienialiśmy dając im lwowskie nazwy. To trwało do 1947 roku. Okazało się to straszną przeszkodą dla Brytyjskiej Komisji Kontroli i UNRRA, a ta ostatnio, która miała pomagać, w rzeczywistości przymuszała Polaków, żeby wracali do Polski. W końcu w 1947 przyszedł do mnie pułkownik z Komisji Kontroli i powiedział mi w zaufaniu, że zapadła decyzja, że Maczków musi być oddany Niemcom. Zapytałem go, kto to ma wykonać. I w odpowiedzi usłyszałem, że ja, jako gubernator. Zgodziłem się, że wykonam polecenie, ale pod warunkiem, że dostanę rozkaz na piśmie, i ten rozkaz poślę natychmiast do Londynu i tam będę interpelacje w parlamencie.

Nigdy na piśmie rozkazu nie dostałem. I Maczków trwał do jesieni 1947 jako miasto polskie.

Ilu tam było ludzi?

Naszych, Polaków było 9, może 10 tysięcy.

Było to jedyne wolne polskie miasto w świecie.

W końcu przyszedł rozkaz oddania broni i przeniesienia całej dywizji do W. Brytanii. Byłem wtedy zastępcą generała Kopańskiego, który był szefem Korpusu Rozmieszczenia i Przystosowania. Miałem przez dwa lata etat generalski i potem musiałem pójść do pracy jak wszyscy.

To był przeskok – generał przechodzi do cywila.

Powiedzieli mi, że pieniędzy nie dostanę, gdyż polskie emerytury przekazano do Polski. Zaproponowano mi, żebym pojechał, jako prywatna osoba

do Polski. A mnie pozbawiono obywatelstwa w międzyczasie. Wobec tego uznałem, że mam prawo być w Anglii i traktowany jak każdy obywatel brytyjski.

Poszedłem do pośrednictwa pracy, a tam pytają mnie kim jestem z zawodu.

Odpowiadam, że służyłem w kawalerii. A oni na to, że świetnie. Bardzo potrzeba nam groomów do koni. Cóż, musiałem im podziękować. Dali mi jednak 1000 funtów ex gratia i 2000 funtów pożyczki na 10 lat, bez procentu.

Kupiłem sklep na Fulham Road z antykami, z meblami. Rzeczywiście zarabiałem bardzo dużo, miałem ze dwunastu ludzi zatrudnionych. Wtedy nasi Polacy pozbawieni wszystkiego kupowali domy biorąc pożyczki, które łatwo było dostać. Tak właśnie powstały polskie majątki na Wyspie.

Sklep prowadziłem do początku lat 50-tych. Moją prawą ręką był mój dowódca brygady, generał Nowina-Sawicki. Ale z czasem zbyt silnie zaczęliśmy inwestować i ponosiliśmy straty.

Tymczasem ja chodząc po licytacjach, gdzie zdobywałem meble widziałem tam masę obrazów. Malarstwo zaś zawsze było moim hobby i zacząłem je skupywać. W związku z tym, że były bardzo zniszczone zacząłem prowadzić renowację. Spotkałem pułkownika Szylinga, sapera, mojego kolegę jeszcze ze Szkoły wojennej i okazało się, że on jest specjalistą od renowacji obrazów. Od niego nauczyłem się zasad konserwacji. Jak umiałem tak obrazy konserwowałem i sprzedawałem. Zobaczył to pewien właściciel galerii obrazów z New Bond Street i zaproponował mi, żebym rzucił sklep i przyszedł do niego. Okazało się, że chodzi o rzucenie dużej ilości olejnych obrazów na rynek skandynawski, a w Anglii minęła na to już moda. I tak poszedłem do niego. Pracowałem tam przez dwa lata. On nam dostarczał obrazy a myśmy je restaurowali. Co miesiąc jechał z obrazami do Sztokholmu i sprzedawał je tam z dużym zyskiem. Przez dwa lata wypełnił rynek skandynawski.

A ja przy okazji nabrałem wprawy przy konserwacji, która nie była konserwacją muzealną, tylko handlową.

Kiedy był jakiś ładny portret kobiety, to domalowywało się różę na dole, a kiedy był portret człowieka z wąsami to trzeba było te wąsy zgolić.

Ponieważ byłem już dość znany, zwróciło się do mnie ministerstwo opie-

kujące się dziełami sztuki, że jest do odnowienia sufit malowany w 1729 roku w Moore Park i zaproponowano mi renowację.

I w końcu, jako generał pracowałem na rusztowaniu. Bardzo dobrze na tym zarabiałem. Później pracowałem także w Ameryce przez kilka lat. Dużo się przy tym nauczyłem.

Panie Generale, a jaka jest recepta na taką jak Pana Generała aktywność?

To jak Pan Bóg da zdrowie. Ale mnie wydaje się, że podstawą jest miłość. Trzeba coś kochać, i to nie tylko jak dawniej za młodych lat kochało się kobiety, trzeba kochać życie, trzeba mieć pasję. Człowiek nie tylko żyje chlebem, ale i duchem. Jeżeli znajdzie się pokarm dla ducha, to sił fizycznych starczy. To jest moja recepta na życie.

A jakby Pan Generał scharakteryzował dorobek polskiej emigracji niepodległościowej?

Dorobek jest wielki, kolosalny. A to dlatego, że oparliśmy się na tym, że jesteśmy ciągle suwerennymi wojskami. I dalej zostaliśmy żołnierzami Wolnej Polski. To nam pomogło.

Wielką rolę odegrał u nas prezydent Raczyński. On pierwszy powiedział, że naszą rolą jest teraz służebność Polsce.

Panie Generale, stykał się Pan w życiu z wieloma ludźmi, lecz dzisiaj w rozmowie padło najczęściej nazwisko tu na emigracji i w kraju legendarne – Władysława Andersa. Czy mógłby Pan przybliżyć Generała jako człowieka i dowódcę?

Pochodził gdzieś z Bałtów, chodził w Rydze na uniwersytet, był w „Arkonii" – był wybitnym Polakiem. Był świetnym żołnierzem, jeszcze za rosyjskich czasów w tamtej armii skończył jako podpułkownik z wszystkimi najwyższymi odznaczeniami. Posiadał bardzo silną wolę. Miał zdolność dawania rozkazów, zadań i pozostawiał swobodę wykonania tych zadań. Swoje zdolności polityczne pokazał w Rosji, nikt by tak dobrze nie mógł rozwiązać problemu współpracy z Sowietami jak on.

Był na miarę hetmanów dawnej Polski. Zawsze służył tylko Polsce. A miał przy tym ogromną charyzmę. Przecież ci żołnierze, jak wariaci pchali się na to Monte Cassino, to można tylko raz zrobić. Ale to tylko dzięki niemu.

Naszą emigrację stworzył Generał Anders. Był on twórcą „polskiego Londynu".

Londyn, 1988 rok

Krzysztof Turkowski rozmawia ze Zbigniewem Błażyńskim*

Zbigniew Błażyński: Urodziłem się w województwie stanisławowskim, w powiecie Peczyniżyn, w Jabłonowie. Południowo-wschodnie kresy. Do gimnazjum, do piątej klasy włącznie, chodziłem w Przemyślu. Było to gimnazjum staroklasyczne. Maturę zdawałem w Kołomyi w gimnazjum humanistycznym. Kołomyja, na kresach – to miasto, w którym pociąg szedł przez sam środek rynku. Zawsze zatrzymywał się tam, bo żona maszynisty musiała kupować kurczaka.

Maturę zdawałem w 1932 roku i w tymże roku wyjechałem do Lwowa, gdzie na Uniwersytecie Jana Kazimierza studiowałem równolegle na dwóch wydziałach: prawo, gdzie zrobiłem magisterium w 1936, a jednocześnie 3-letnie Studium Dyplomatyczno-Konsularne, które można było rozpocząć po 1-wszym roku prawa. Dyrektorem tego studium był prof. Walerian Ehrlich. Otrzymywało się tytuł magistra nauk dyplomatycznych i konsularnych. Po ukończeniu studiów zostałem asystentem profesora Ehrlicha, ale tylko przez kilka miesięcy ponieważ przyjęto mnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Krzysztof Turkowski: Cofnijmy się do okresu szkolnego. Co Pan zapamiętał z tego okresu?

Zbigniew Błażyński: Parę elementów. W Przemyślu były dwa gimnazja. Jedno humanistyczne, a drugie staroklasyczne, gdzie nacisk był położony na naukę łaciny i greki, ponadto na naukę języka nowożytnego (w moim wypadku niemieckiego) i rozbudowane przedmioty humanistyczne – historia, geografia.

* Zbigniew Błażyński – ur. 8 stycznia 1914 w Jabłonowie k. Kołomyi, zm. 25 października 1996 w Londynie. Polski dziennikarz emigracyjny, w latach 50. przeprowadził dla Radia Wolna Europa rozmowy z Józefem Światłą, później pracownik i dyrektor sekcji polskiej BBC.

Gimnazjum kołomyjskie, było gimnazjum humanistycznym – bez nauki greki, a łacina zaczynała się dopiero w 5 klasie gimnazjalnej. Kiedy zmieniłem szkołę to miałem za sobą już 5 lat łaciny. Obok nas w Kołomyi było duże gimnazjum ukraińskie, z wykładowym językiem ukraińskim. Oba gimnazja utrzymywały bardzo dobre stosunki koleżeńskie. Wspólnie uprawialiśmy sporty. Mówię to na marginesie popularnych obecnie poglądów o gnębieniu mniejszości w Polsce przedwojennej.

Zaczęto w moich latach gimnazjalnych w Kołomyi formować samorząd uczniowski. Zbieraliśmy się regularnie. Naszym zadaniem było utrzymywanie porządku w klasach, a więc (stanowiska prefektów klas) polegało to na nadzorowaniu punktualności, odpowiedniego zachowania. W zebraniach samorządu uczestniczyli wszyscy uczniowie wyłączając komitet i przewodniczącego, którym byłem przez dwa lata 1930–1931. Przewodniczący Komitetu uczestniczył w zebraniach nauczycielskich. Komitet negocjował z dyrekcją szkoły uczniowskie zażalenia i projekty imprez. W obu gimnazjach do których uczęszczałem krzewiła się prasa uczniowska. Po raz pierwszy w życiu zostałem wówczas redaktorem. Była to szkolna gazeta wydawana raz w miesiącu pt. „Nasza niwa". Pisali do niej młodzi ludzie od 5-tej klasy w górę, ale pisali także chłopcy znacznie młodsi. Pismo nadzorowała wyłącznie redakcja uczniowska. Tylko profesor-polonista czuwał nad poprawną polszczyzną. Nie przypominam sobie ani jednego wypadku cenzury. Wydawaliśmy to na powielaczu.

W naszej redakcji pracował także Henryk Holder, który w latach gierkowskich był szefem Kancelarii Cywilnej w randze ministra.

Czy wtedy zaczął się Pan bardziej interesować problematyką społeczną?

Tak, w ostatnich dwóch latach szkoły nie tylko wydawałem pismo, ale także prowadziłem gimnazjalny samorząd.

W jakim kierunku szła wówczas pańska orientacja polityczna?

Muszę powiedzieć, że zawsze byłem przeciwnikiem ekstremów. Zarówno po lewej, jak i po prawej stronie. Później w okresie uniwersyteckim byłem zdecydowanym przeciwnikiem Obozu Wielkiej Polski i tego co nazywałem „chłopców z mieczykami". Mimo to jednym z moich najlepszych przyja-

ciół był jeden z nich, ale umiarkowany, filosemita i na pewno nie „aktywista", Zbyszek Pazdro, syn profesora prawa administracyjnego. Drugim moim najserdeczniejszym kolegą był Żyd z którym kolegowaliśmy się także tutaj w Londynie pracując razem w BBC – Ludwik Gottlieb. Zmarł niedawno w Londynie. A było to w latach nagonki antysemickiej zarówno we Lwowie, jak i w Wilnie.

W czasie studiów był Pan jednym z członków „Myśli Mocarstwowej".

Była nas mała grupa początkowo na Uniwersytecie Krakowskim, a potem w Poznaniu i w Warszawie o stosunkowo prawicowych poglądach. Marzyło się nam nawiązanie do tradycji jagiellońskiej. Jednym z organizatorów grupy był daleki krewny marszałka Piłsudskiego – Rowmund Piłsudski, który niedawno zmarł w Londynie. Ponadto byli tam – bracia Pruszyńscy, trzej bracia Bocheńscy (Adolf, Aleksander i Innocenty Maria), trzech Łubieńskich, Badeni, Niemojewski i przede wszystkim Jerzy Giedroyć.

Protektorami naszej małej grupy byli: ówczesny wojewoda poznański Roger Raczyński, książę Janusz Radziwiłł i prezydent miasta Krakowa Kaplicki. Wydawaliśmy wówczas „Bunt Młodych". W działalności „Myśli Mocarstwowej" brałem udział od początku lat trzydziestych do mojego wyjazdu z Krakowa do Wiednia.

Jak potoczyły się Pana losy po studiach?

W owych latach zachowanie policji (przynajmniej niektórych patroli) było bardzo poprawne. Kiedy bojówki młodych ludzi wyzywające Żydów, wybijające szyby, starali się ochronić ludność żydowską. Szok przeżyłem, kiedy przyszedłem na zajęcia uniwersyteckie po raz pierwszy. Okazało się, że uczelnia jest zamknięta, gdyż odbywa się wiec związany ze śmiercią studenta w Wilnie o którym mówiono, że był zamordowany przez Żydów. Po wiecu ruszył pochód na Politechnikę Warszawską. Skończyło się wybijaniem szyb w żydowskich sklepach, ale także biciem Żydów.

A z którym z nurtów politycznych w czasie studiów Pan się identyfikował?

Zawsze byłem przeciwny narodowej demokracji, m.in. ze względów o których mówiłem poprzednio. Przeciwny byłem socjalistom co dzisiaj bym nazwał/ kierunkiem liberalnym. byłem piłsudczykiem jakkolwiek nie mam do tego żadnych praw. Dla mnie Piłsudski był symbolem, legendą. Był kimś kto stworzył Polskę.

Nigdy nie należałem do Legionu Młodych, nie odpowiadali mi „pułkownicy" nie odpowiadało mi to ekstremistyczne odchylenie. Nie należałem do struktury.

Czy w czasie studiów prowadził Pan aktywną działalność społeczną, polityczną, dziennikarską?

W okresie uniwersyteckim nie prowadziłem działalności dziennikarskiej. Szczerze powiem, byłem młodym człowiekiem i używałem życia. A życie na Uniwersytecie Jana Kazimierza było interesujące intelektualnie, jak i ciekawe poza murami uczelni i to w każdej dziedzinie. Starałem się nie stracić tych lat które uważam z punktu widzenia przeżyć młodego człowieka za najbardziej interesujące w moim życiu. Najpiękniejsze. Oczywiście z punktu widzenia czysto osobistego.

Natomiast interesowałem się sprawami regionalnymi biorąc czynny udział w działalności Związku Pokucian. Zbieraliśmy się bardzo często na dyskusje, prowadziliśmy działalność odczytową. W szerszym kręgu przyjaciół dyskutowaliśmy na tematy międzynarodowe. Omawialiśmy przede wszystkim kwestie stosunku Francji i Anglii do Polski, stosunki polsko-niemieckie, polsko-sowieckie.

Wiele lat później tutaj w Anglii, kiedy już pracowałem w BBC zapoznawszy się dokładnie z historią i zwyczajami angielskimi zorientowałem się, że w tym samym czasie dyskutowaliśmy o tym samym co śmietanka intelektualna w Oxford i Cambrigde. Uznawano w tych dyskusjach, że jedynym ratunkiem dla świata jest komunizm. Stąd zresztą była rekrutacja sowieckich agentów wśród tych elit.

Kiedy zestawiałem to z dyskusjami jakie myśmy mieli w tychże samych latach to muszę powiedzieć, że intelektualnie i politycznie byliśmy znacznie bardziej uświadomieni i zaawansowani, aniżeli ta śmietanka brytyjska.

Patrzyliśmy dość trzeźwo co się dzieje za naszymi granicami – wschodnią i zachodnią.

Czy w czasie studiów uniwersyteckich stykał się Pan z działalnością grup radykalnych?

Na uniwersytecie, na bardzo wąskim odcinku. To nawet było niezauważalne. Lwów był na frontalnej pozycji w stosunku do Związku Sowieckiego, stąd brak poparcia dla radykalnych, komunistycznych działaczy i mała ich liczba.

Miał Pan szczęście studiować w okresie, gdy na lwowskim Wydziale Prawa był prof. Dąbkowski, wykładowca starego prawa polskiego, prof. Walerian Ehrlich wykładający prawo polityczne i prawo narodów, prof. Makarewicz twórca jednolitego kodeksu karnego w Polsce?

Był to poza Ehrlichem jedyny profesor na którego wykłady chodziłem wiernie. Był prof. Balzer, Pazdro – wykładowca prawa administracyjnego.

Spędziłem we Lwowie na studiach 4 lata. Wyjątkowe i niezapomniane miasto. Ludzie bezpośredni, normalni z niesłychanym poczuciem humoru, szalenie pomocni. Czułem się wśród nich tak jak u siebie w domu od początku. Spotkania, zebrania w Kasynie Artystyczno-Literackim na ul. Akademickiej, nie mówię o balach i zabawach. Spotkania, gdzie człowiek bawił się beztrosko, gdzie jednocześnie tworzyła się jakaś głęboka więź między ludźmi. Pozostało to właściwie nierozerwalne. Ilekroć spotykam się po latach z ludźmi z którymi zetknąłem się tam, to odnajdujemy się tak jakbyśmy rozstali się wczoraj. Więź pozostała.

Jednocześnie studiuje Pan w Studium Dyplomatycznym?

Magisterium z prawa i nauk dyplomatycznych uzyskałem w 1936 roku. Na prawie specjalizowałem się w prawie narodów, gdzie zostałem asystentem u prof. Ehrlicha. Byłem tam jednakże tylko kilka miesięcy, gdyż przeszedłem do MSZ-u.

Natomiast na Studium specjalizowałem się w historii dyplomacji oraz w stosunkach międzynarodowo-gospodarczych. Przeszedłem do MSZ, gdzie w owym czasie była następująca praktyka. Przy rekrutacji selekcjonowano grupę pracowników, którą wysyłano z miejsca na placówki. Po roku, pracownicy wracali do centrali na roczny okres w czasie, którego przechodzili przez wszystkie działy i departamenty na końcu zdawali egzamin dyplomatyczny. Byłem w ostatniej tego rodzaju grupie w przedwojennym MSZ-cie. Było nas 22.

Przydzielono mnie do Konsulatu Generalnego w Morawskiej Ostrawie, po czym byłem w Poselstwie Polskim w Pradze, powróciłem do Konsulatu i potem zostałem odwołany do Warszawy z początkiem roku 1939. Do egzaminu jednak nie doszło, gdyż w sierpniu 39 r. każdy z nas przestał studiować i dostał przydział do odpowiedniego departamentu. Znalazłem się w Departamencie Prasowym do Wydziału Prasy Polskiej.

Chyba dwa wspomnienia z tego okresu. Pierwsze, że uczestniczyłem w tym co się nazywa zajęciem Zaolzia. Uczestniczyłem bezpośrednio dlatego, że wówczas byłem nie tylko korespondentem PAT-u, ale także urzędnikiem konsularnym.

Był to zresztą mój pierwszy występ dziennikarski poważniejszego typu. Ale przede wszystkim uczestniczyłem w ten sposób, że wraz z konsulem generalnym, który akcję prowadził na Zaolziu, stykałem się z ludźmi zarówno na Śląsku Cieszyńskim, a wiec w Karwinie i w Jabłonkowie, w Czeskim Cieszynie. Były to zaczątki polskiej solidarności. Z tym, że w owym czasie dostarczaliśmy broń ręczną tu i ówdzie organizacjom (grupom małym) na wszelki wypadek, celem przygotowania samoobrony.

Problematyka ludności polskiej za Zaolziu wymagała wielkiej pracy ze strony konsulatu polskiego.

Liczba ludności polskiej na tamtych terenach przekraczała 70% przy czym mogę powiedzieć tylko jedną rzecz, że z chwilą kiedy wojska polskie wkroczyły na Zaolzie, do Czeskiego Cieszyna i do Karwiny, czego byłem świadkiem, to widziałem jak ludzie klękali na ulicach i modlili się. Byli to zwykli prości ludzie – babki w chustach, robotnicy, górnicy, młodzież.

To nie dlatego, żeby były brutalne represje ze strony czeskiej, ale dlatego, że nie dostają się pod niemiecką okupację.

Nie wchodzę w to czy z punktu widzenia strategicznego, z punktu widzenia nadchodzącej wojny, pomogło nam to czy nie, ale chodziło po prostu o skorzy-

stanie z momentu, kiedy ludność i część Polski można przyłączyć do macierzy. To była jedyna możliwość.

A oto inne wspomnienie. Kiedy już w Warszawie w lipcu 39 roku zostałem przydzielony do Wydziału Prasowego pamiętam, że zapowiedziany zjazd partii nazistowskiej w Norymberdze został odwołany. Było to m.in. bezpośrednią wskazówką, że zbliża się wojna. Moim zadaniem było telefonować do wszystkich redakcji, żeby tę wiadomość umieścić na czwartej, czy piątej stronie i to małym drukiem. Muszę przyznać, że wszystkie gazety opozycyjne podporządkowały się temu. Nie było z tym żadnego problemu, mimo, że dzwoniłem do nich o 11 w nocy.

Chciałbym wrócić jeszcze do rozpadu państwa czechosłowackiego. Pan był obserwatorem tych dramatycznych wydarzeń?

Powiedzmy sobie jedną rzecz – Czesi byli gotowi do stawienia zbrojnego oporu. Fortyfikacje czeskie na granicy niemieckiej były bardzo nowoczesne i armia czeska była w stanie pogotowia. Natomiast druzgocące dla mnie wówczas było stanowisko mocarstw. Przede wszystkim Francji. Z drugiej strony zupełna pasywność Związku Sowieckiego. A przecież panowały w Czechach silne nastroje prorosyjskie. Pewne wpływy miała partia komunistyczna działająca w Czechosłowacji legalnie. W moim przekonaniu panowały tam najsilniejsze nastroje prosowieckie w tej części Europy. Dla zwolenników tej orientacji był to straszliwy cios. Wszak Moskwa zaakceptowała sytuację. Tak się złożyło, że widziałem Niemców wkraczających do Pragi, dokąd mnie wysłano wtedy na dwa dni z Warszawy. Widziałem także w telewizji sowieckie wojska wkraczające do Pragi w 1968 roku. Reakcja przeciętnych ludzi była identyczna.

Skoro jesteśmy przy Czechosłowacji. Nasz MSZ prowadził działalność wspierającą słowackich irredyntystów. Czy Pan miał wtedy kontakt z tymi ludźmi?

Ja nie. Wiedziałem natomiast o wspieraniu przez polski wywiad i przez władze Podkarpacia w czasie, gdy Węgry dążyły do wspólnej granicy z Polską. Po przydziale do Departamentu Prasowego w roku 1939 moim bezpośrednim szefem w Wydziale Prasy Polskiej był Jan Bociański, brat wojewody wileńskiego

i poznańskiego. Był zresztą także przed tym moim szefem w konsulacie generalnym w Morawskiej Ostrawie. Natomiast podlegaliśmy dyrektorowi Wydziału Prasowego MSZ-u, Wiktorowi Skiwskiemu. Chodziło o to jak kierować pewnymi wiadomościami w obliczu nadchodzącej wojny, czy nie lepiej czasem podawać pewne wiadomości z punktu widzenia interesu polskiego, niezadrażniania, nieprowokowania itd. Nie naciskaliśmy, raczej sugerowaliśmy, telefonowaliśmy. Spotykałem się zawsze z pozytywną reakcją. 31 sierpnia do 12-tej w nocy siedziałem w MSZ-cie, pojechałem taksówką do domu i o 3-ciej zbudzono mnie, abym powrócił do ministerstwa. Od tego czasu byłem cały czas w ministerstwie, aż do ewakuacji z Warszawy. Mnie zlecono przy ewakuacji, która zaczęła się 7 IX opiekę nad korespondentami zagranicznymi. Jechaliśmy specjalnym pociągiem MSZ-u wraz z dziennikarzami do Krzemieńca. Po drodze w pobliżu Brześcia zostaliśmy zbombardowani, na szczęście nieszkodliwie. W Krzemieńcu – trzy dni i przypomniałbym dwa wydarzenia. Po raz pierwszy musiałem uciekać, gdy nadleciały samoloty i położyć się w przydrożnym rowie.

Becka, którego nie było w Krzemieńcu, zastępował wiceminister Szembek, zgłosił się do Szembeka sowiecki ambasador Szaronow, zapewniając o konieczności przejechania do Szepietówki, by nawiązać łączność ze swoim rządem i zorganizować pomoc medyczną i materiałową dla Polski. Wtedy Szembek powiedział w obecności kilku z nas – „to jest absolutny początek końca".

Ministerstwo Spraw Zagranicznych ewakuowano do Kut autobusem. Wraz z nami jechało kilku korespondentów prasy zagranicznej. Znalazłem się tam 16 września 1939 roku, zaś nad ranem 17 przyszła wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski. Dla mnie ostatnie wspomnienie Polski Niepodległej – to był most na Prucie, biało-czerwona flaga po polskiej stronie w Kutach. Jechałem za samochodami Becka i Szembeka, nie widziałem, że Śmigły-Rydz przejechał także.

Z Kut wprost do Czerniowec, gdzie przeżyłem szok. Dla młodego człowieka w którego także w ministerstwie wpajano kult mocarstwowej Polski był to szok wyjątkowy. Mijaliśmy oddziały wojska. Szli ludzie zmęczeni, straceni, zagubieni. W konsulacie w Czerniowcach, w szerokiej bramie prowadzącej na podwórze, leżący ludzie, wojskowi, cywile, uciekinierzy. Widok wstrząsający. Przypuszczam, że nie tylko dla mnie. Przyjechaliśmy do Czerniowiec.

Wierzyliśmy wówczas, że niedługo wrócimy do kraju, że mamy sojuszników, że z nami jest Francja. Trzeba było roku, dwóch, żeby się z tego wyleczyć. Wierzyliśmy głęboko, że zwyciężymy i dlatego trzeba jak najszybciej dobić do tworzącego się wojska. Nigdy nie miałem pretensji do mojego szefa, do Becka. Czułem natomiast rozczarowanie co do postawy Naczelnego Woda, bo zostawił broniącą się Warszawę, a tego Wodzowi nie wolno robić.

Kiedy internowano mojego ministra w Braszowie byłem u niego dwukrotnie. Zawoził nas samochodem Ludwik Łubieński. Byłem tam wraz z Edwardem Borowskim.

Po wyjeździe ze Slanica spędziłem parę miesięcy w Bukareszcie tj. do stycznia 1940 r., kiedy wyjechałem do Francji do armii. Nasz kolega radca prawny ambasady Bronisław Sobański, zaangażował Edwarda Borowskiego i mnie do pracy. Robiliśmy codzienny biuletyn dla ambasady i dla wszystkich Polaków w Bukareszcie.

Biuletyn wydawany codziennie oparty był na wiadomościach brytyjskich, relacjonował sytuację na froncie oraz Wiadomości. Robiliśmy to do stycznia 1940 r. Widziałem wówczas bardzo nieprzyjemną sytuację w naszej ambasadzie w Bukareszcie. Zjawił się tam jeden, jedyny raz – Beck. Minister stał w hallu i rozmawiał z radcą ambasady, a przechodził przez hall pierwszy sekretarz ambasady, spojrzał i zapytał: „a cóż ten pan tutaj robi?" Było to obrzydliwe.

Miano mi niesłychanie za złe, że widziałem się z Beckiem w Braszowie. Odbiło się to w ten sposób, że gdy zgłosiłem się do wojska miałem trudności z dostaniem się do służby. Do podchorążówki zostałem przyjęty dopiero w czerwcu 1940 roku. Już po kapitulacji Francji, kiedy myśmy jeszcze walczyli.

Wspomnienia z artylerii konnej w której służyłem we Francji mam jak najlepsze. Spotkałem emigrantów polskich z Francji, ale i moich kolegów z lwowskiego uniwersytetu. Spaliśmy na słomie w jakiejś oborze. Ja w Niepodległej Polsce nie byłem w podchorążówce i może uzna to Pan za śmieszne, ale ja zawsze rwałem się do wojska. Tej służby w Polsce nie odbyłem. Zdaje mi się, że coś w życiu straciłem,

Mimo tego, że szkoliliśmy się na działach przestarzałych, mimo trudności to był jeden z najwspanialszych okresów mego życia.

Jakie wrażenie na Panu zrobiły przygotowania Francji do wojny?

Pod koniec maja i w pierwszej połowie czerwca 1940 roku, kiedy artyleria I Dywizji Grenadierów szła naprzód, na front, żeby osłaniać flanki wycofujących się Francuzów, we wioskach i miasteczkach widziało się tłumy żołnierzy francuskich rzucających karabiny i wołających „Koniec wojny!". Patrzyli na nas ze zdumieniem, gdy maszerowaliśmy w rynsztunku bojowym na front.

Czy czerwiec 1940 roku wywołał szok porównywalny z Wrześniem?

W żadnym wypadku. Po pierwszych paru dniach zaczęliśmy się cofać. Potem zaś widok cieszących się na koniec wojny tłumów żołnierzy popijających wino – nie pozostawiało wątpliwości, że wojna jest przegrana. Kapitulacja Francji nie była dla nas niespodzianką.

Z chwilą, gdy skończyła się Francja – ja i moi bliscy koledzy wierzyliśmy, że nasza przyszłość jest w Anglii. Chcieliśmy się tam dostać, a jednocześnie pomóc tym, którzy chcą się tam dostać.

Jak to się stało, że Pan z jednostki frontowej znalazł się w strefie nieokupowanej?

Była to jedna z najbardziej uroczych wycieczek jakie w życiu zrobiłem. Zostaliśmy otoczeni przez Niemców w Lotaryngii, wysadziliśmy w powietrze działa. Kupiliśmy w miasteczku cywilne ubrania, i siedmiu (mieliśmy kompas i mapy wojskowe) ruszyliśmy szczytami Wogezów na południe. Jeden z najpiękniejszych czerwców jakie pamiętam. Farmerzy w górach przyjmowali nas życzliwie, pod każdym względem, aż ostrzegali gdzie był Wehrmacht, który jeszcze nie opanował gór. Górami szliśmy 10 dni.

Wyszliśmy na szosę w rejonie Belford i dalej maszerowaliśmy dwójkami (trzech z nas mówiło świetnie po francusku) i uchodziliśmy za Francuzów wracających do domów na południe. Wyznaczaliśmy sobie postoje w kolejnych miasteczkach, w kawiarenkach. Dwukrotnie jechaliśmy zatrzymanymi samochodami – raz z niemieckim oficerem, a raz z niemieckimi żołnierzami. W końcu doszliśmy do Lyone. Najbardziej krytyczny moment to był przejazd pociągiem między strefami. Był to pierwszy pociąg, który wówczas ruszył.

Dokumenty mieliśmy sfabrykowane przez nas samych i nagle pociąg zatrzymany został przed granicą obu stref. Oficer niemiecki chciał sprawdzić dokumenty. Otoczyła go gromada Francuzów i po prostu zakrzyczała. Wysłał motocyklistę do swego dowództwa, ale zanim posłaniec powrócił zakrzyczany oficer skapitulował i odprawił pociąg.

I w ten sposób znalazłem się w strefie bezpiecznej. Dzięki temu, że mieliśmy pieniądze wynajęliśmy w Lyonie samochód i dojechaliśmy do Marsylii, gdzie był polski konsulat i mogliśmy tam wystawić sobie odpowiednie dokumenty oraz zaświadczenia wojskowe, dzięki którym odebraliśmy od francuskich władz wojskowych należne nam pensje wojskowe. Natychmiast z Marsylii skontaktowaliśmy się ze Stanisławem Zabiełłą, który był w Vichy nieoficjalnym delegatem Rządu Polskiego z Londynu. Pod jego nadzorem zorganizowaliśmy akcję montowania wiz, zaświadczeń lekarskich. Zorganizowana przez Zabiełłę siatka rozciągała się na teren całej strefy nieokupowanej, gdzie było bardzo wielu Polaków. Sięgała także na Afrykę Północną.

W tym czasie Zabiełło zdecydował, że powinniśmy (E. Borowski, E. Przesmycki i ja) wyjechać do Afryki Północnej.

Do tego momentu przygotowywałem paszporty, utrzymywałem kontakty z ambasadami (Brazylii, Urugwaju i Argentyny), gdzie oczywiście zdobywaliśmy wizy.

W tym czasie Portugalia gotowa była wydawać wizy przejazdowe pod warunkiem posiadania wizy docelowej bez względu na jak długo była ważna. Najbardziej pomocna była wiza brazylijska, a także argentyńskie. Bez trudności dawali wizy roczne. Na tej podstawie ludzie otrzymywali wizy portugalską i hiszpańską. Niestety nie zawsze wystarczało to w Hiszpanii, gdzie często mimo wydanej wizy nie przepuszczano ludzi. M.in. i mnie 3 razy nie przepuszczono przez Hiszpanię i zawrócono z zagranicy. Nie spotkałem się z koniecznością finansowego wspomagania naszych próśb.

Przenosi się Pan do Algieru.

Najpierw przeniosło się dwóch moich kolegów, a tam z polecenia Zabiełły funkcjonował Emeryk Hutten-Czapski. Ja do nich dojechałem. Była to co

prawda strefa wolna, ale funkcjonowała niemiecka Komisja Rozjemcza. Kontrolowała ruch. To był 1941 r, chyba styczeń-luty.

Wyjechałem w następujący sposób. Przez pomocnego nam bardzo lekarza francuskiego dostałem zaświadczenie, że jestem nieuleczalnie chory. Ponadto w moim paszporcie dyplomatycznym podwyższono mi wiek. Chodziło o zabezpieczenie się przed Komisją Rozjemczą, przez którą musiały przechodzić dokumenty. Policja francuska, przynajmniej w Marsylii zachowywała się bardzo przyzwoicie.

W Algierze włączyłem się w prace placówki Emeryka Hutten-Czapskiego, który skierował mnie do Casablanki. Objąłem tam dawny polski konsulat, zwący się teraz biurem polskim.

Na czym polegała pańska praca w Casablance?

Miałem prawo wydawania dokumentów tożsamości, ale oczywiście nie paszportów. Działała komórka Polskiego Czerwonego Krzyża pomagająca niewielu przebywającym tam uchodźcom.

W biurze początkowo sekretarzowałem, a potem objąłem je jako dyrektor. Z tego okresu pozostały mi w pamięci jeszcze dwa wydarzenia.

Trzeba pamiętać, że nie było w Casablance brytyjskiego przedstawicielstwa, natomiast istniał konsulat amerykański zatrudniający kilku Anglików (oczywiście wywiad). Poprzez nich i dzięki nim mogłem szyfrem angielskim wysyłać informacje i instrukcje.

Mówię o tym, gdyż poza normalną pracą polskiego biura miałem poważny problem do rozwiązania. Na pograniczu Sahary, między Algierią a Marokiem znajdowało się ok. 400 internowanych polskich oficerów i żołnierzy. Znaleźli się tam bezpośrednio po kapitulacji Francji, gdy przybyli do Północnej Afryki.

W samej Casablance działała tajna oczywiście placówka jednego z wydziałów polskiego sztabu generalnego. Byli to – mjr. Adam Wysoczański i jego pomocnik – kpt. Jan Roehr. Ich zadaniem była próba przyjścia z pomocą naszym żołnierzom. Cała akcja montowana przy pomocy policji francuskiej, bardzo nam życzliwej z którą byłem w kontakcie a także z pomocą gabinetu dyplomatycznego, którego szefem był Robert Dugardier, powojenny ambasador francuski.

Tenże gabinet prowadził politykę zagraniczną Maroka, jako oczywiście protektoratu francuskiego. Dzięki ich pomocy i przy cichym współudziale niektórych czynników wojskowych francuskich – udało się te obozy wyewakuować. W jaki sposób? Przede wszystkim jako kierownik wydawałem dowody tożsamości. Ponadto trzeba było znaleźć zastępców kiedy będą znikać z obozów. To udało się załatwić przy pomocy Beduinów. Cała łączność z Gibraltarem (tak zmierzała ewakuacja) odbywała się szyfrem poprzez urzędników angielskich – i tę łączność prowadziłem. Wyznaczaliśmy miejsce i czas dla stateczku, który podpływał do wybrzeża marokańskiego, aby zabrać ludzi.

Uciekinierzy przybywali z pustyni pociągiem do Casablanki, skąd kierowaliśmy ich do „buzbiru" (to otoczona wysokim murem arabska dzielnica. W Casablance mieszkało wówczas ok. 3000 młodych kobiet u których przechowywaliśmy naszych żołnierzy przez kilka nocy). Stamtąd zabieraliśmy ich na statek do Gibraltaru.

Nasi żołnierze mieli tam znakomitą opiekę. Całą ewakuację przeprowadziliśmy w ciągu paru miesięcy w drugiej połowie 1941 roku. Po akcji oczywiście Wysoczański i jego pomocnik musieli uciekać z Maroka, gdyż w końcu Komisja Rozjemcza wpadła na ślad ewakuacji. Mogłem ich ostrzec, gdyż powiadomiono mnie o niebezpieczeństwie z Rabatu – Gabinet Dyplomatyczny oraz szef francuskiej policji. Schronili się w Oranie, gdzie się ukrywali. Z kolei po pewnym czasie Robert Dugardier, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem ostrzegł mnie, żebym także sam opuścił Maroko, bo komisja niemiecka zainteresowała się naszą czwórką. Byłem wtedy na polskim paszporcie dyplomatycznym.

Z Casablanki wyjechałem w początkach 1942 roku, statkiem popłynąłem do Lizbony. Okazało się, że moja wiza brazylijska straciła ważność, więc przy pomocy odpowiedniej techniki zmieniłem daty w paszporcie (przed wyjazdem oczywiście). Oczekiwał mnie w Lizbonie łącznik. Zjawiłem się w polskim poselstwie, w biurze wojskowym, gdzie szefował płk Fryderyk Mally.

W Lizbonie zajmowałem się ewakuacją polskiego i sojuszniczego personelu wojskowego z samej Francji i Hiszpanii poprzez Portugalię do Gibraltaru. Po operacji „Torch", a więc inwazji alianckiej na Afrykę Północną także ze strefy okupowanej.

Zadania nasze były stosunkowo proste, ale jednocześnie trudne. A to dlatego, że najpierw trzeba było wyewakuować kilkuset internowanych w obozie Miranda del Ebro z Hiszpanii. Był to bardzo trudny okres, gdyż z Francji różne sieci ewakuacyjne tworzone na gorąco wypychały ludzi do Hiszpanii, gdzie byli po prostu z miejsca internowani. Ta sprawa dzięki współpracy władz hiszpańskich została dość sprawnie załatwiona. Było to możliwe dzięki współpracy władz portugalskich, najbardziej znienawidzonej ostoi reżymu Salazara, tj. „Policji Internacjonal", czyli służbie bezpieczeństwa.

Portugalia była w czasie wojny siedliskiem wszystkich wywiadów i policja bezpieczeństwa tego kraju współpracowała ze wszystkimi. Ich materiały i raporty, które sprzedawali były niekiedy pisane przez kalkę. Mieliśmy w tej policji dwóch ludzi, którzy nam pomogli w decydującym stopniu, za „wynagrodzeniem", ale za to wyłącznie. Nie muszę dodawać, że w akcji tej i podobnych pracowałem ściśle w porozumieniu z brytyjskim attaché wojskowym i pomoc wywiadu angielskiego była niekiedy kluczowa. Ewakuacja odbywała się dwiema, a raczej trzema drogami: oficjalnie samolotami do Bristolu i statkami do Anglii; nieoficjalnie „na czarno" przez granicę hiszpańsko-portugalską i półoficjalnie za cichą wiedzą władz zarówno hiszpańskich jak i portugalskich. Tutaj poza Brytyjczykami pomocny był również bardzo amerykański attaché wojskowy, z którym się szczególnie zaprzyjaźniłem.

Tam formowano w grupy i dowożono ich pociągiem do granicy portugalskiej, gdzie ja ich odbierałem. Było to na wschód od Evora w Środkowej Portugalii.

Zabawna historia, otóż mianowano mnie majorem czasu wojny, składali mi meldunki. Ja przecież nie byłem oficerem, zaledwie kapralem. Stamtąd przerzucałem ich na południe Portugalii, do małego portu Villa Real de Santo Antonio. Rozmieszczałem ich w hotelikach, dostawali pożywienie i czekali na transport do Gibraltaru. Ludzi przerzucaliśmy statkiem rybackim, a dalej przejmował ich Ludwik Łubieński.

Czy były próby przeciwdziałania ze strony Niemców naszej akcji ewakuacyjnej?

W Portugalii nie. Byłem wówczas w bliskim kontakcie z wywiadem i kontrwywiadem polskim, a także z Brytyjczykami i Amerykanami. Wszystko odbywało się dość sprawnie, po cichu i spokojnie.

Były dwie inne drogi wyprawiania do Gibraltaru. W Portugalii istniało duże skupisko uchodźców polskich, głównie rodzin wojskowych, ale nie tylko, byli także urzędnicy i pracownicy ministerstw i urzędów. Ich ewakuowałem w miarę jak uzyskiwali wizy brytyjskie – samolotami lub statkami.

Jeszcze z okresu istnienia Miranda del Ebro, ale także i później część żołnierzy polskich, angielskich, francuskich, a także oficerów przechodziła nielegalnie przez granice. Mieliśmy punkty obserwacyjne nad granicą. Tak się złożyło, że na granicy hiszpańsko-portugalskiej było kilka dużych majątków ziemskich należących do Anglików, którzy w dużej mierze byli zawsze w służbie wywiadu angielskiego.

Jeden z nich należący do bardzo starej rodziny (tej która wprowadziła do Portugalii kartofle). Potem przewoziliśmy naszych ludzi do willi między Lizboną a Estrorilem – i tam czekali aż wyrobimy papiery.

Ile osób przeszło przez Pana ręce w akcji ewakuacyjnej?

Transportami kolejowymi przerzuciłem ok. 1500, a trudno mi powiedzieć ilu było tych pozostałych. Liczyliśmy ich na dziesiątki.

Do kiedy trwała Pańska działalność w Portugalii?

Pracowałem w Portugalii do początków 1944 r. Jeden ciekawy szczegół, jeśli idzie o ewakuację ludzi, którzy dojeżdżali do Portugalii pociągiem. Z chwilą zajęcia wolnej strefy francuskiej przez Niemców, nastąpiły pewne komplikacje w ewakuowaniu personelu wojskowego z terenu Francji. Tam przebywali ludzie wrzucani przez sieć z północnej Francji i Belgii. Trudność polegała na tym, że granica była obstawiona przez Niemców. Wtedy wielką pomocą dla nas byli po prostu przemytnicy, kontrolowani przez Andorę. Jest to mały rejon suwerenny, którego głową był miejscowy biskup oraz prezydent Francji. W Andorze negocjowałem z biskupem sprawę przemytu naszych oficerów i żołnierzy. Ustalałem tam ile będą płacili od głowy. Szło nie do prywatnej kieszeni, ale na Andorę.

Dawało to gwarancję bezpieczeństwa. Grupy przemytników (5–10) byli doskonale uzbrojeni w najnowsze amerykańskie karabiny maszynowe. Patrole niemieckie po prostu starały się omijać przemytników. Za moich czasów nie było ani jednej wpadki na granicy. Tę działalność prowadziłem do czasu mego wyjazdu z Lizbony, który nastąpił w czerwcu 1944 roku.

Czym ponadto zajmował się Pan na terenie Portugalii?

Lizbona była siedliskiem wszystkich wywiadów i kontrwywiadów. Trzeba zaznaczyć, że jedni doskonale znali drugich. Wiedziało się, będąc w tej restauracji czy w tamtym klubie, kto siedzi naprzeciw, gdzie i kto z kim rozmawia, a kto kogo reprezentuje.

W owym czasie działał w Lizbonie pułkownik Jan Kowalewski. Odgrywał on rolę dość tajemniczą, subtelną, a jednocześnie niesłychanie ważną. Rolę którą w Londynie nie zawsze rozbudowywał. Były to lata 1942–1943. Nawet jeszcze początki 1944. Chodziło o to, żeby dokonać próby oderwania od Rzeszy niektórych wymuszonych sojuszników takich jak Węgrzy i Rumuni oraz w dużej mierze Włosi. Szło o przygotowanie terenu w tych krajach i zapewnienie ich współpracy łącznie z wojskową, jeżeli inwazja kontynentu pójdzie „podbrzuszem Europy", a zatem od Włoch poprzez Bałkany. Udawało się to w dużym stopniu. Z Kowalewskim rozmawiali po kryjomu nie tylko najwyżsi rangą urzędnicy dyplomatyczni tych krajów w Lizbonie, ale przyjeżdżali na tajne spotkania specjalni wysłannicy z Budapesztu, Bukaresztu i z Rzymu. Spotkania odbywały się w różnych apartamentach w Lizbonie, nierzadko w hotelach w Estrorilu, kiedy to zawsze organizowaliśmy coś w rodzaju nie tyle „ochrony" ile nadzoru, aby nie śledzili spotkań niepożądani obserwatorzy, zwłaszcza wywiadu niemieckiego i portugalskiej Polizia Internacional. Odbywały się również w małych restauracyjkach na południu Portugalii, w Setubali, czasem na nadmorskim cyplu w Faro lub Praia da Rocha.

Rozmowy i ustalenia Kowalewskiego szły dość daleko. Jego rokowania z Włochami lizbońskimi przyczyniły się w jakiś sposób, w pewnym stopniu do kapitulacji Włoch. Węgrzy i Rumuni (oczywiście nie Antonescu) gotowi byli wojskowo i organizacyjnie wesprzeć infiltrację a z czasem i inwazję aliancką. Z początku nie przywiązywano w „polskim Londynie" wagi do tej akcji lizboń-

skiej, choć doceniał ją sztab brytyjski. Współpracował z nim wywiad brytyjski w Portugalii. Niestety z chwilą kiedy zapadła ostatecznie decyzja uderzenia przez Normandię a nie zgodnie z naciskiem Churchilla przez „podbrzusze Europy" poprzez Bałkany akcja Kowalewskiego przestała mieć praktyczne znaczenie. Była to decyzja amerykańska i przegrana Churchilla. Nie uchwycono szansy, która mogła zmienić bieg historii w Europie.

Jaki Pan miał obraz tego co się naprawdę działo wówczas w okupowanej Polsce?

Informacje miałem wszechstronne, z różnych źródeł. Nie uświadamialiśmy sobie np. zagłady Żydów. Zdawałem sobie sprawę z zasięgu eksterminacji inteligencji polskiej, żydowskiej, jak działają obozy koncentracyjne, ale nie w rozmiarach takich w jakich okazało się to w rzeczywistości.

W Lizbonie przeżył Pan zerwanie stosunków z Polską przez Związek sowiecki. Czy miał Pan świadomość czym może się to dla nas skończyć po wojnie?

Od 22 czerwca 1941 roku zaczęliśmy spadać w randze jako sojusznik Aliantów, zwłaszcza po wejściu Stalina, po stworzeniu Związku Patriotów Polskich w Moskwie, widoczne było, że sojusznicy zachodni (w większym stopniu Amerykanie niż Anglicy) porzucą legalny rząd polski.

Od tego czasu dla mnie i ludzi z którymi pracowałem stało się oczywiste, że losy kraju zostaną rozegrane w Moskwie. W Londynie było wiadome, że stracimy Ziemie Wschodnie, ale aż do Poczdamu nie mieliśmy pewności czy uzyskamy Ziemie Zachodnie.

Z mego punktu widzenia był to najbardziej tragiczny okres, kiedy przypomnę sobie co wtedy przeżywałem i o czym myślałem. Nie ulegało wątpliwości, że wojnę myśmy Polacy przegrali, ale nie tylko myśmy przegrali wojnę, ale w pewnym sensie, politycznie wojnę przegrał Zachód.

Pański pobyt na Półwyspie kończy się w czerwcu 1944 r. Gdzie Pan został odwołany?

Zostałem wezwany do centrali MSZ-u, do Londynu. Zostałem w owym czasie zastępcą naczelnika Wydziału Prasowego i jednocześnie tzw. Oficerem prasowym ministra spraw zagranicznych. W owych czasach był nim Tadeusz Romer.

Moje obowiązki polegały na łączności między ministrem spraw zagranicznych a Prezydium Rady Ministrów, przede wszystkim na referowaniu codziennie o godz. 8 rano bieżącej prasy angielskiej, koncentrując się na tematyce polskiej i wschodnioeuropejskiej, oraz wiadomości radiowych. Oczywiście musiałem utrzymywać ministra w kontakcie z wiadomościami prasowymi w ciągu całego dnia.

Ponadto miałem obowiązek sugerowania pewnych idei i myśli do prasy angielskiej co nie było w owych czasach najłatwiejsze. Był to już rok 1944, kiedy prasa brytyjska była niesłychanie prorosyjska. Silne było ponadto antypolskie nastawienie, gdyż uważano, iż wszelkie antyrosyjskie informacje komplikują sprawę polską. W dużym stopniu traktowano sprawę polską jako pochodną polityki wobec Rosji. W rozumieniu Anglików Polacy praktycznie przeszkadzali w porozumieniu ze Stalinem.

Poglądy antypolskie były formowane i lansowane przez dziennikarzy pochodzenia środkowoeuropejskiego, żydowskiego i niemieckiego (nie mówię o tym w znaczeniu antysemickim), ale także przez lewicujących adoratorów ustroju sowieckiego.

Nie ulega też wątpliwości, że ówczesna kampania, tj. właściwe słowo, była prowadzona za sowieckie pieniądze. Jedni robili to bezpośrednio, inni pośrednio.

Jak potoczyły się dalej Pańskie losy?

Po odejściu Romera ministrem spraw zagranicznych został Adam Tarnowski, u którego pełniłem w dalszym ciągu obowiązki oficera prasowego. Ponadto podobne obowiązki powierzono mi przy osobie premiera Arciszewskiego.

Spotykaliśmy się wówczas w mieszkaniu Tomasza Arciszewskiego.

Jak Pan oceniał ówczesną sytuację Polski?

Nie ulegało wtedy wątpliwości, że jest to koniec Polski suwerennej. Ani przez moment nie wierzyłem, że udział przedstawicieli legalnego rządu polskie-

go w rozmowach z komunistami może zmienić cokolwiek na korzyść Polski. I to nie tylko dlatego, że operowanie słowami wolne wybory i demokracja ma po jednej i drugiej stronie zupełnie odmienne znaczenie, ale także dlatego, że ostatecznie decydują ci, którzy są już na miejscu i opanowali kraj. Uważałem, że ludzie, którzy przybędą z Zachodu jak Mikołajczyk z góry mieli sprawę przegraną. Z punktu widzenia pojęć demokratycznych powojenne wybory przeprowadzone w Polsce były po prostu fałszerstwem.

Dla mnie i ludzi mego pokolenia nie ulegało wątpliwości, że Mikołajczyk musi ponieść klęskę. To przecież wtedy stworzono sztucznie pojęcie Europy Wschodniej do której przydzielono Polskę, a także Czechosłowację, Rumunię i Węgry.

Ale wracając do osób z którymi Pan współpracował, jak widzieli sytuację.

Operowali kategoriami bardzo realnymi. W czasie codziennych konferencji, w których uczestniczyłem po zreferowaniu mu prasy – kiedy np. referował rozmowy Mikołajczyka w Moskwie starał się podtrzymywać pewną dozę optymizmu. nadzieję, że może coś z tego wyjdzie.

Romer był człowiekiem, który nie rzucał słów na wiatr, który decydował po namyśle i po zasięgnięciu opinii ekspertów. Był człowiekiem, który nie wierzył w możliwość istnienia prawdziwie suwerennej i niepodległej Polski w okresie swego życia. Przynajmniej takie robił wrażenie. Adam Tarnowski, nie był już właściwie osobą, która dorosła do poziomu ministra spraw zagranicznych. Nie dorównywał swoim poprzednikom. Był miły, troskliwy, rozeznany politycznie – ale to był dyplomata, a nie minister.

Arciszewski to postać, która dla mnie w pewnym sensie była symbolem historycznym. Tak jak symbolem i legendą był i jest Piłsudski. Dla mnie był on ucieleśnieniem starego (nie w sensie wieku), wierzącego socjalisty, myślącego kategoriami socjaldemokratycznymi. To nie był w żadnym wypadku marksista. Był niewątpliwie politykiem na miarę premiera Polski. Natomiast minimalnie przygotowywany do spraw międzynarodowych, uczył się od ministrów spraw zagranicznych, także od dyrektora generalnego w ministerstwie – Gwiazdowskiego.

Pan był do 1946 roku przez cały czas przy rządzie polskim?

Po cofnięciu uznania rządowi przez W. Brytanię pracowałem w takiej bardzo angielskiej instytucji, w Komitecie zajmującym się likwidacją stanu posiadania rządu polskiego w Anglii. Na czele tej instytucji stał Anglik i ambasador Raczyński, ale faktycznie szefem był ambasador Raczyński. Chodziło o to, żeby w miarę możności jak najwięcej środków utrzymać dla Polaków, którzy pozostają w Anglii.

Jednocześnie trzeba było organizować emigrację dla części uchodźców, którzy chcieli z Anglii wyjechać. Ponadto to był okres kiedy przeniesiono do Anglii II Korpus gen. Andersa. Zajmowałem się wtedy organizowaniem emigracji dla tych, którzy chcieli wyjechać do Południowej Ameryki oraz do Australii i Nowej Zelandii. Wtedy także sam podjąłem decyzję pozostania w Anglii. Oferowano mi w tym czasie z ramienia rządu warszawskiego poselstwo w Lizbonie, ewentualnie jakieś stanowisko w Paryżu. Zwracano się do mnie za pośrednictwem osób, które uprzednio pracowały w rządzie polskim w Londynie. Nie byli to agenci, oni po prostu zidentyfikowali się ostatecznie. Było to dla mnie nie do przyjęcia zarówno ze względu na moje przekonania polityczne, jak i na moją psychikę. Dla mnie Polska mogła być tylko Polską suwerenną.

I abstrahując, że ustrój komunistyczny był dla mnie obcym przeszczepem, nie do akceptacji, to jednocześnie nawet, gdybym był bardziej kompromisowy i łagodniejszy niż byłem wówczas – powrót do Polski był nie do przyjęcia. To nie była moja Polska. Nie moja w sensie ustrojowym, politycznym i metod rządzenia. Dlatego zostałem poza granicami.

Liczyłem się z tym, że chcę do Polski jeździć i będę kiedy to będzie możliwe. Ja chciałem i chcę Polskę zobaczyć. Tak się szczęśliwie złożyło, że mogłem to robić zawodowo.

Ale wracam do okresu po wojnie. Tak się złożyło, że byłem w owej Komisji brytyjskiego ministerstwa finansów, gdzie pracowałem ok. jednego roku. Stamtąd przeszedłem do Komitetu kształcenia Polaków w Wielkiej Brytanii. Chodziło o to, że wielu uchodźców zostało rozmieszczonych w obozach – Urzędu Opieki Społecznej, wydział zajmował się uchodźcami polskimi.

Były to dawne obozy wojskowe, mieszkało się w „beczkach śmiechu". Tamże sprowadzono rodziny uchodźców, głównie rodziny i żołnierzy II Korpu-

su. Chodziło o przygotowanie tych ludzi do warunków życia w Anglii. Cały II Korpus w większości składał się z ludności pochodzenia chłopskiego. Mam na myśli żołnierzy, gdzie mało było elementu miejskiego. Ci ludzi w chwili, gdy się znaleźli tutaj, przeszli awans społeczny. Znaczna większość przekształciła się w wykwalifikowanych robotników przemysłowych.

W czasie kiedy się tym zajmowałem z ramienia komitetu Kształcenia Polaków w Wielkiej Brytanii – byłem tzw. Organizatorem oświaty w dwóch obozach w środkowej Anglii. Chodziło o to, żeby zapewnić z jednej strony dzieciom uczęszczanie do szkół. Żeby umożliwić naukę w szkołach średnich, a także wejście na uniwersytety. Mieliśmy odpowiednie fundusze pozwalające na utrzymywanie polskich szkół i na stypendia uniwersyteckie. Trzeba było tych ludzi przygotować do życia w Anglii, a więc – kursy języka, klasy szycia, gotowania, pisania na maszynie, itd. Niekiedy wprowadzałem ich na istniejące już w angielskich college'ach odpowiednie kursy. Organizowaliśmy wieczorki, herbatki, przedstawienia. Wszystko to celem zbliżenia Polaków i Anglików.

W środkowej Anglii tego typu działalność cieszyła się dużym powodzeniem. Może to też dzięki temu, że Anglicy w tym rejonie kraju są bardziej otwarci i bezpośredni. Łatwiejsi do współżycia niż londyńczycy.

I tak pracowałem, aż mój przyjaciel z okresu lwowskiego – Ludwik Gottlieb, żydowskiego pochodzenia, pracujący wtedy w serwisie zagranicznym BBC zaproponował mi złożenie podania do radia. Podanie złożyłem i po testach zostałem przyjęty na „reliefa", to jest człowiek, który przychodzi na zastępstwo kiedy kogoś brakuje, np. ze względów zdrowotnych.

Z tym, że ja pracowałem w środkowej Anglii. Gdy pracowałem na ośmiogodzinną rolę, to po prostu wsiadałem w pociąg, przybywałem do Londynu i później wracałem do siebie. Trwało to tak mniej więcej przez dwa lata.

W końcu zaproponowano mi tymczasowy kontrakt, ale nie zaproponowano mi jeszcze pracy stałej. A to dlatego, że w BBC są do tej pory takie zwyczaje, że najpierw się ogłasza konkurs. Zgłaszają się setki kandydatów, których przepuszcza się przez testy (próby głosu, tłumaczenia, pisania) po czym selekcjonuje się w dalszym ciągu i dopiero po kolejnej selekcji odbywa się „przesłuchanie" garstki kandydatów. Wtedy decyduje się kto zostanie wybrany. Skład przesłuchujących był następujący – szef departamentu personalnego, przedstawiciel administracji służby zagranicznej BBC, szef departamentu do którego rekrutowano kandydata i także szef sekcji językowej, któremu kandydat miał podlegać. Po przesłuchaniu wszystkich kandydatów te cztery osoby decydowały, z tym, że jeżeli były wątpliwości to głos rozstrzygający miał zawsze szef sekcji językowej.

W tym czasie dostałem ofertę stałej pracy w sekcji Polskiej Radio Wolna Europa, które zaczęło się tworzyć. Ofertę dostałem od Jana Nowaka, który gdy ja chodziłem na służby zastępcze do BBC, on był tam na stałe zatrudniony.

Propozycję Nowaka przyjąłem, gdyż z BBC nadal nie miałem, stałej pracy. Wyjechałem do Monachium i wkrótce (dokładnie w ciągu 4 miesięcy) zostałem starszym redaktorem odpowiedzialnym od grudnia 1952 za wszystkie komentarze polityczne.

Do moich obowiązków należało uczestnictwo w porannych konferencjach programowych, decydowanie co i jak się komentuje i wstępne „okejowanie", tj. zatwierdzanie do emisji.

Zarówno w Wolnej Europie i potem w BBC starałem się zawsze z kolegą, który pisał dany komentarz uzgodnić stanowisko. Jeżeli się nie zgadzaliśmy starałem się go zawsze przekonać. Niekiedy bywały sytuacje, że musiałem powiedzieć – mój kochany, możemy się nie zgadzać, ale ponieważ ja jestem odpowiedzialny za to co idzie na antenę to niestety musi być w powietrzu tak jak mówię.

Jaki był wtedy wpływ Amerykanów?

Duży. Radio Wolna Europa zostało stworzone jako instrument polityki amerykańskiej. Zostało stworzone przez CIA, przez amerykański wywiad i przez ten wywiad płacone. To było właściwie tajemnicą poliszynela. Błędem moim zdaniem było stworzenie fikcji, że jest zupełnie niezależną organizacją wspieraną finansowo przez rząd Stanów Zjednoczonych. Programowo było niezależne jakkolwiek musiało się trzymać ram polityki USA, ale jeżeli idzie o finansowanie, należało sprawę postawić jasno.

Dyrekcja była amerykańska, a Jan Nowak był szefem departamentu polskiego. Muszę powiedzieć, że był to jedyny człowiek jakiego znałem, który potrafił przez pierwsze dwa-trzy lata zmontować i „zamalgamować" tak niesłychanie różnorodny zespół. Różnorodny jeżeli chodzi o pochodzenie, poglądy

polityczne, nastawienia psychiczne. Był to zespół, który służył sprawie, w którą wierzył, służył Polsce, niezależnie od warunków finansowych, skądinąd państwowych. Pracowano z niesłychanym oddaniem.

Praca w radio stała się moim drugim zawodem. Zawodem, który sprawiał mi niesłychanie dużo satysfakcji i przyjemności. Najbardziej przejawiało się w tym, że się pracowało z minuty na minutę. Jak się robi program w radio to trzeba być z godziny na godzinę na bieżąco. W owym czasie dziewięćdziesiąt parę procent programów było nagrywane. Na żywo szły tylko niektóre dzienniki, ale dziennik nagrywano na pół godziny przed nadawaniem.

Wspominam te czasy bardzo miło z dwóch powodów. Po pierwsze, że sama praca niesłychanie mnie interesowała, pisałem dużo i komentowałem stale, a jednocześnie byłem jedynym z dwóch wówczas starszych redaktorów. Nowaka wtedy zastępował Marek Święcicki, który potem przeszedł do Głosu Ameryki. Dzięki tej pracy odzyskałem bezpośredni kontakt z krajem. Mówiłem do kraju, do ludzi. Zdumiewające ile listów zaczęło napływać do radia. Niekiedy reakcje były niesłychanie szybkie. Okazywało się, że jesteśmy w kontakcie.

Dla nas bardzo ważny był fakt, że można było mówić do Polaków po polsku. Po kilku latach przerwy poczułem, że jestem w tym kraju. Lata, kiedy pracowałem w Wolnej Europie to okres amerykańskiej polityki wyzwolenia, która w moim przekonaniu była polityką zwodniczą, fałszywą. Były różne próby i pomysły, ale realnie mówiąc nie można było mówić o żadnym wyzwalaniu. Była tylko retoryka bez żadnych konsekwencji praktycznych. Codziennie na naszych konferencjach programowych bywał kierownik działu politycznego – Amerykanin, nie jeden zresztą. Byli to ludzie do Polski i Wschodniej Europy niesłychanie pozytywnie i przyjaźnie nastawieni. Natomiast żaden nie był przygotowany językowo do swoich obowiązków. Nie znali języka polskiego. Codziennie, niekiedy co drugi dzień przychodziły dyrektywy z centrali w Nowym Jorku co i jak należy naświetlać i komentować. Później to się zmieniło, ale w owym czasie kontrola polityczna i konieczność dostosowania się do wymagań politycznych była bez porównania większa w Wolnej Europie niż w BBC. W dużym stopniu decydującą rolę odgrywał Departament Stanu. Nawet teraz, kiedy już nie CIA a Kongres Stanów Zjednoczonych finansuje Wolną Europę, wpływy Departamentu Stanu się utrzymały.

Wyjątkową rolę odegrał Jan Nowak, który bez przerwy jeździł tam i z powrotem i ciągle przeciwstawiał się różnym ograniczeniom. Czy w owym czasie Nowak potrafił zrezygnować z rzeczy mniej ważnych, aby utrzymać zasadniczą postawę w programowaniu w treści istotnie, jak i w prezentacji tego co idzie do kraju. Robił to wbrew naciskom i w różnych starciach nierzadko ostrych.

Pracował Pan w Wolnej Europie w latach 1952–1955. Był to okres wielu bardzo ważnych wydarzeń w Polsce i Europie Wschodniej, jak wy pracownicy radia ocenialiście to co się dzieje w Polsce?

Napływało do nas bardzo dużo informacji. Często nadawaliśmy wiadomości wcześniej niż radio warszawskie. Przełomowym momentem w pracy Wolnej Europy była sprawa Józefa Światły. I mówię o tym nie dlatego, że w tym uczestniczyłem, ale dlatego, ze w moim przekonaniu i nie tylko moim, to co poszło „na powietrze" w sprawie Światły było pewnego rodzaju zalążkiem i sprężyną odwilży.

Być może, że w tych zadymionych pokojach w Waszyngtonie, w mieszkaniach zmienianych z dnia na dzień, w których przesłuchiwałem, notowałem i nagrywałem to co mówił Światło, że wtedy gdzieś tam rodziły się pierwsze zaczątki polskiego października.

Wracając do sprawy Światły. Jak to się stało, że Pan został wydawcą jego relacji?

Poleciałem do Waszyngtonu. Tam spędziłem niemal osiem tygodni ze Światłą. Był on wtedy pod opieką wywiadu amerykańskiego. Początkowo silnie pilnowany, potem trochę mniej, ale stale. Moje z nim rozmowy toczyły się najpierw codziennie, a potem co dwa-trzy dni w innych apartamentach. Oczywiście były to apartamenty wywiadu – safe. Początkowo był przy nas obecny oficer wywiadu, ale z czasem tylko ja i realizator nagrań. Ja notowałem, dyktowałem, on nagrywał. Potem w towarzystwie oficera wywiadu szliśmy razem na lunch itd.

Jakie miał Pan wtedy uczucia, oto Pan przesłuchuje oficera bezpieczeństwa.

Moje mieszane uczucia polegały na tym, że wiedziałem z kim mam do czynienia. Wiedziałem, że to jest człowiek, który w owym czasie jeśli chodzi o aparat bezpieczeństwa w Polsce był ważniejszym od Radkiewicza, Mietkowskiego, Romkowskiego, człowiek, który o ile ja wiem, miał „gorącą linię" z Berią. Istotnie w dwóch żelaznych szafach w swoim biurze miał kartoteki całego polibiura aż do szczebla sekretarzy wojewódzkich. Z wyjątkiem kartoteki Bieruta. Było tam wszystko. Światło był to człowiek, który mógł na rozkaz czy z pomocą zewnętrzną zmienić układ polibiura. Mógł zniszczyć jednych a wysunąć drugich. Oczywiście nie mógł tego robić z własnej inicjatywy, ale miał wszystko w ręku. Miałem tego świadomość rozmawiając z nim. Był po Bierucie i Bermanie trzecim człowiekiem w Polsce. Faktycznie niepodlegający swym formalnym przełożonym (Radkiewicz, czy Romkowski).

Musiałem w jakiś sposób ustalić na co dzień swój stosunek do tego człowieka, z którym miałem współpracować przez szereg tygodni. Psychicznie nie chciałem mieć z nim nic wspólnego. Wszystko co reprezentował było mi obce i odrażające. A jednocześnie wykorzystanie go w maksymalnym stopniu było konieczne, jeżeli chcieliśmy wywołać trzęsienie ziemi w partii i w aparacie bezpieczeństwa i w ten sposób ulżyć nieco społeczeństwu, choćby na pewien okres czasu. Jak się później okazało – na znacznie dłużej. Dla mnie osobiście z punktu widzenia zawodowego było to pewnego rodzaju wyzwanie. Jeżeli odpowiednio je podejmę – sprawę wygram.

Wygrałem, bo po prostu, wbrew wszelkim psychicznym oporom, zdecydowałem potraktować go jak równego sobie człowieka, jak jednostkę ludzką, z którą chcąc nie chcąc musi się znaleźć formy współistnienia. Obaj pochodziliśmy ze wschodnich, dziś w granicach sowieckich, stron Polski. Stworzyłem wrażenie, przynajmniej próbowałem stworzyć, że ani mi nie imponuje, ani mnie nie obchodzi kim był i co robił. Natomiast chcę, podobnie jak i on, puścić na powietrze jak najwięcej z jego przeżyć i zawodowych wyczynów, jak najszerzej rozprzestrzenić informacje, które posiada o wszystkim, co się dzieje w partii i w bezpiece. Tu celowo nie ukrywałem, jak ogromne ma to znaczenie i widziałem niemal w oczach jak rośnie jego „ego".

Po dwóch, trzech tygodniach Światło się wygadał, dlaczego tak dobrze mu się ze mną pracuje. Otóż, on mnie „rozpracował" i doszedł do wniosku, że nie

jestem typowym przedstawicielem emigracji, że natomiast jestem pracownikiem przedwojennej… dwójki polskiej. Dlaczego? Jedną z rozmów skierowałem na Czechosłowację, bo chciałem się po prostu czegoś więcej dowiedzieć i wymieniłem parę nazw najlepszych hoteli, które Światło znał, a wśród nich Hotel Ambasador na Vaclavskim Namesti. Ucieszył się bardzo, bo znał ten hotel. Wszyscy dygnitarze bezpieki zawsze się tam zatrzymują. Tu pana rozgryzłem, powiedział Światło, bo przed wojną zatrzymywali się tam zawsze agenci i przedstawiciele polskiej dwójki. Zresztą powiedział, że nie tylko nie ma żadnych pretensji, ale ma nawet wiele podziwu dla przedwojennej dwójki polskiej. Może dlatego tam mu się dobrze ze mną pracowało. W takiej formie doczekałem się od Światły uznania!

W Warszawie została zainstalowana bezpośrednia linia między nasłuchem radiowym a Belwederem, gdzie słuchano na żywo tego co mówił Światło. Najbardziej zabawne, że po mniej więcej dwóch tygodniach od rozpoczęcia nadawania relacji zareagowała „Trybuna Ludu" stwierdzając, że Światło to amerykański agent. Tego samego dnia Światło nagrał odpowiedź – „Towarzyszu Tomaszu". Operacja „Światło" była dość unikalną w historii radia.

Czy Światło wiedział kto go przesłuchuje?

Niewiele wiedział o mojej przeszłości. Wiedział tylko, że jestem jednym z czołowych przedstawicieli Wolnej Europy. Odnosiłem wrażenie, że uważa mnie nie tylko za radiowca, ale także za człowieka będącego na służbie wywiadu brytyjskiego. W moim przekonaniu on sam był znakomitym fachowcem, niesłychanie sprytny, zręczny. Miał wrodzoną inteligencję oraz był znakomicie przeszkolony. Ponadto (co było wynikiem tego, że w życiu pisał tyle raportów) mówił w sposób bardzo zwarty, jasny. Mówił bardzo specyficznym językiem. Typowy język bezpieki, ale to nie była nowomowa. Miał także pewne poczucie tragicznego humoru, a ponadto poczucie tego, że może zrobić wiele, nie wszystko lecz wiele, np. zniszczyć ludzi.

Wracam do unikalności operacji „Światło". Była to pierwsza operacja na falach radiowych Wolnej Europy, która pociągnęła za sobą konsekwencje polityczne. Likwidacji aparatu bezpieczeństwa w formie w jakiej istniał (oczywiście potem to odbudowano), jednak w owym czasie zadano bezpieczeństwu śmier-

telny cios. Zlikwidowano Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, miały miejsce aresztowania i procesy ubeków.

Czy potem Pan zetknął się jeszcze ze Światłą?

Nie. Zabrano go z Waszyngtonu i umieszczono go w środkowo-zachodnich Stanach, o ile wiem ze zmienioną nieco konfiguracją twarzy i zapewniono mu tam utrzymanie. Wiem, że w 1986 roku żył jeszcze, ale był sparaliżowany. Natomiast jego siostra żyje w Izraelu.

Odszedł pan z Wolnej Europy. Mówiło się o próbie zamachu, którego celem było usunięcie Nowaka ze stanowiska dyrektora Polskiej rozgłośni.

Nie chcę już w te sprawy wchodzić, ale była to pewna rozgrywka między zespołem amerykańskim w Monachium, a Amerykanami w Nowym Jorku w co wplątano mnie zupełnie bez mojej wiedzy. Musiałem się wtedy rozejść z Nowakiem i powróciłem do Londynu. Miałem znajomości w BBC, więc zacząłem od początku „dochodzić" i pisać od czasu do czasu komentarze.

Polską selekcją BBC kierował wtedy Stanisław Fecher, przedwojenny redaktor „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", gdzie specjalizował się w sprawach sportowych. Jego zastępcą był Józef Zarański, którego znałem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pisałem początkowo komentarze, gdyż w BBC nie ma zwyczaju, że jak się przychodzi z wysokiego stanowiska w jednej radiostacji to od razu się wchodzi na podobne stanowisko. Tu zaczyna się od początku.

W każdym bądź razie zacząłem pisać komentarze i w szybkim czasie dostałem pierwszy kontrakt. Zacząłem pracę w kwietniu 1956 roku, swój pierwszy program pt. „W świecie komunistycznym". Jednakże ciągle nie byłem w stałym personelu. Robiłem program na kontrakcie. Finansowo bardziej się opłacało, niż być w stałym personelu. Można było wtedy pisać, gdzie się chciało. Pod koniec 1957 roku przyjęto mnie do stałego personelu. Zostałem zastępcą szefa sekcji, a objąłem polską sekcję BBC. Po kolejnych 6 latach zostałem dyrektorem departamentu środkowoeuropejskiego, nadzorującego programy czeskie, słowackie, węgierskie i polskie, oraz fińskie.

Rok 1956 był niesłychanie bogaty w wydarzenia.

Tak, był zupełnie kluczowy. Myśmy najpierw się koncentrowali na wydarzeniach poznańskich. Dyskusje, rozmowy, komentarze. Podprowadzaliśmy sytuację do października 1956. Opieraliśmy się przede wszystkim na własnych korespondentach BBC. Nie mieliśmy stałego korespondenta w Warszawie, ale mieliśmy we Wiedniu, który do Polski wówczas jeździł. Także w czasie Rewolucji Węgierskiej mieliśmy korespondenta w Budapeszcie. Ponadto otrzymywaliśmy serwisy ze wszystkich prasowych agencji światowych.

Korzystaliśmy również z wiadomości wielu biznesmenów, ludzi, którzy przekazywali informacje z różnych części Polski, oraz dziennikarzy amerykańskich, brytyjskich i francuskich w Warszawie. Ponadto BBC ma do dzisiaj najlepszy nasłuch radiowy na świecie. Mówię oczywiście o nasłuchu radiostacji, a nie wywiadowczym. Rano na biurku znajdowałem w pełnych tekstach nie tylko to co Warszwa mówiła przez cały dzień, ale także to co nadawały wszystkie rozgłośnie wschodnioeuropejskie, i oczywiście po angielsku.

Jak wówczas ocenialiście Panowie to co się działo w Polsce?

Wychodziliśmy z założenia, że partia polska miała duże szczęście, gdyż miała na składzie i w szufladzie Gomułkę. Tego nie miały inne partie. Uważaliśmy, że są pewne zmiany, które Gomułka sam chciał zrobić. Były ponadto zmiany, które zostały mu narzucone oddolnie poprzez nacisk mas. To był dla nas październik, po którym Gomułka zaczął niszczyć piedestał na którym się znalazł. Niewątpliwie Gomułka przeprowadził ważne reformy m.in. zdecydowanie ograniczył terror bezpieki. Zmniejszył się zasadniczo strach przed bezpieką. I to się zachowało.

W czasach Gomułki Pan po raz pierwszy znalazł się na terenie kraju?

Tak. To był 1964 rok. Jechałem z ramienia BBC, ale to nie był pierwszy wyjazd sekcji polskiej BBC do Polski. Pierwszy miał miejsce na targach Poznańskich w 1957 roku. BBC miało swoje stoisko. Wystawiano ulotki, fotografie ilustrujące to jak się pracuje w BBC oraz informacje o treści programów polskiej sekcji. Zanim jednak opowiem o swoim pierwszym pobycie w kraju musze wyjaśnić, że polityka BBC jeżeli chodzi o nadawanie do krajów poza W. Brytanią, czyli serwisu zagranicznego jest interesująca. BBC jest korporacją

prawa publicznego. Niezależną, gdyż opiera się na licencji i opłatach wnoszonych przez tych, którzy posiadają odbiorniki radiowe i telewizyjne. Natomiast serwis zagraniczny dostawał zawsze dotację uchwalaną przez parlament i Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Przez 26 lat przekonałem się na własnej skórze (choć trudno to było wytłumaczyć ludziom nie tylko ze Wschodniej Europy, ale także Francuzom i Niemcom), że jedyny wpływ jaki Foreign Office miał na zagraniczny BBC, to język. Trzeba było utrzymywać się w szerokich ramach polityki brytyjskiej. Tak się składało, że owe ramy brytyjskiej polityki pokrywały się z pojęciami Polaków pracujących w BBC. Nie było absolutnie żadnych dyrektyw co i jak należy robić. Owszem, co jakiś czas były próby ze strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych ograniczenia budżetu BBC. BBC wygrywało dzięki kolejnym dyrektorom serwisu zagranicznego. Duży wpływ miały także nasze doskonałe stosunki z większością brytyjskich ambasadorów.

Podam przykład. Pracownicy brytyjskiej ambasady przed wyjazdem do Warszawy przychodzili na lunch do BBC, zaś młodzi sekretarze którzy wyjeżdżali do Warszawy, przychodzili na briefing, aby porozmawiać w sekcji polskiej BBC o sytuacji w Polsce. Oczywiście i ja, i moi koledzy mieliśmy niekiedy telefony z własnego wydziału ministerstwa aby wstrzymać jak przekazać wiadomości. Pytałem czy są prawdziwe. Nigdy w czasie mojej pracy w BBC, podkreślam to jeszcze raz nie spotkałem się z próbami nacisku, czy cenzury ze strony władz brytyjskich. Natomiast w czasie konferencji programowych w BBC były dyskutowane sprawy naświetlania wydarzeń. Najpierw odbywało się to na szczeblu kontrolera wszystkich serwisów europejskich, a potem na szczeblu dyrektorów departamentów. Przychodził tam przedstawiciel działu wiadomości z najnowszymi informacjami i w ramach tych wiadomości ustalaliśmy co i jak będziemy komentować. Oczywiście są departamenty w BBC, które przygotowują codzienne komentarze centralne po angielsku na aktualne tematy, zarówno międzynarodowe, jak i regionalne. Jednakże nie ma obowiązku używania tych komentarzy. Szef każdej sekcji językowej decyduje jakich komentarzy będzie używał. Oczywiście, jeżeli ma właściwych ludzi to daje komentarze własne. W czasie kiedy kierowałem sekcją polską BBC procent komentarzy tłumaczonych był mniejszy niż pisanych przez nas w sekcji…

Kto pracował w polskiej sekcji BBC, kiedy Pan zaczął kierować radiem?

Miałem ludzi z Anglii, Niemiec. Było tam kilku bardzo znanych dziennikarzy. Kiedy zostałem zastępcą kierownika (szefował wówczas Józef Zarański), ale tak się złożyło, że pracował z nami Zbigniew Grabowski, był korespondentem „IKC"-a w Niemczech i w Londynie i tu pozostał. Autor wielu książek, znakomity dziennikarz. Był Stanisław Fecher, był Zdzisław Broneel, krytyk literacki, był Marek Żuławski – co prawda nie dziennikarz, ale znakomity malarz. Był oczywiście Czesław Halski z „Wesołej Lwowskiej Fali", Józef Opieński – spiker Polskiego Radia. To są te największe nazwiska z dawnych czasów.

Z nowych nabytków był Bolesław Taborski, znany poeta i tłumacz, absolwent Uniwersytetu w Bristolu, później Jan Krok-Paszkowski, którego przyjąłem do BBC z Wolnej Europy.

Potem zaczęto przyjmować młodszych.

Tak. Zaczęliśmy przyjmować młodych Polaków, którzy ukończyli tutejsze uniwersytety, a mówili bezbłędnie po polsku, ale to stawało się coraz trudniejsze. Stąd zaczął się napływ z Francji i Niemiec. Za moich czasów możliwe było przyjęcie do pracy Polaków z Anglii, których można było nauczyć zawodu dziennikarza. Niektórzy stali się znakomitymi dziennikarzami. Byli to ludzie stosunkowo młodzi.

Ile godzin nadawania miało wówczas BBC?

Kiedy zacząłem BBC miało dwie godziny dziennie, potem za moich czasów – 3 godz., a przez jakiś czas 3,5 godz. oryginalnego programu. Proszę nie zapominać, że radio Wolna Europa, która nadaje przez 16 czy 18 godzin, ma mieć 4 godziny. Powtarza się je czterokrotnie. W BBC dziennik radiowy to jedyna rzecz, która była centralnie i szła na cały świat. Nadawał to serwis światowy BBC, który nadaje bez przerwy, przez 24 godziny, do wszystkich krajów świata. Ten sam dziennik z dodanymi na końcu informacjami regionalnymi nadaje się do 45 krajów świata.

Jaka była pozycja polskiej sekcji wśród tych 45 „desków"?

W moich czasach, departament środkowoeuropejski był drugim pod względem wielkości po departamencie wschodnioeuropejskim (Rosja, Jugosławia, Rumunia, Bułgaria). Ta sytuacja się zmieniła z chwilą, gdy stworzono specjalny departament rosyjski i specjalny departament południowo-wschodnioeuropejski, obecnie bałkański. Obecnie departament środkowoeuropejski jest największym departamentem językowym. Natomiast największa jest sekcja polska.

Za moich czasów sekcja ta rozrosła się „na powietrzu" w różnorodności programów. Nie moja to była zasługa. Po prostu taka była sytuacja polityczna. To były lata 1956–1972.

Jak w Pańskich czasach wyglądała więź ze słuchaczami?

Opieraliśmy się na badaniu opinii publicznej przez radio Wolna Europa oraz na badaniach własnych. Byliśmy na drugim miejscu jeśli idzie o liczbę słuchaczy, po Wolnej Europie. Reakcje mieliśmy wieloma drogami. Przede wszystkim wielu ludzi z różnych sfer przybywało i rozmawiało z nami. Mieliśmy bardzo dużo kontaktów z Polakami z kraju. Byli to intelektualiści, artyści, aktorzy, pisarze, studenci, np. Kisielewski, Słonimski. Ale chętnie przed mikrofonami naszego radia występowali np. Małcużyński czy Rakowski. Drugi odbiór przychodził w raportach ambasady, gdzie nas informowano jak słuchany jest BBC w Polsce. Często jeżdżono do kraju i tam mieliśmy bezpośredni kontakt ze słuchaczami w różnych częściach Polski. Osobiście jeździłem.

Powróćmy do Pańskiego wyjazdu do kraju.

Była to wiosna 1964 roku. Byłem wtedy redaktorem dwóch programów – „W świecie komunistycznym" – 20 minut raz w tygodniu, drugi się nazywał „W Polsce i o Polsce". Wówczas wprowadziłem nadawany do tej pory „Kalejdoskop Dnia", dający obraz sytuacji w ciągu ostatnich 24 godzin, oraz późniejszym wieczorem.

Przyjechał wtedy z oficjalną wizytą Włodzimierz Sokorski do BBC. Sokorski przyszedł do naszej sekcji, oprowadzał go ówczesny dyrektor departamentu – Gregory MacDonald. Właśnie wróciłem ze studia, gdzie nagrywałem program „W świecie komunistycznym". MacDonald przedstawił mnie i na to

Sokorski – „To Pan pisze ten program, dlaczego Pan nie przyjeżdża do kraju i nie zobaczy na własne oczy. Pan musi zobaczyć jak to naprawdę wygląda."

I tak pojechałem pierwszy raz. Pojechałem wraz z żoną dla której to także była pierwsza wizyta w kraju od wyjazdu po wojnie. Nie miałem obaw przed przyjazdem do kraju. Zdawałem sobie sprawę, że pozycja jaką miała BBC w Polsce powodowała, że ówczesnym władzom PRL zależało, aby poprzez BBC podbudować stosunki polsko-brytyjskie. Była to moja pierwsza wizyta od 17 września 1939 roku. Wszyscy dookoła mówią po polsku. Niełatwo się wzruszam, ale muszę powiedzieć, że kiedy lecieliśmy, żona w pewnym momencie powiedziała – „Popatrz, to jest Wisła". Łzy stanęły mi w oczach.

Nie ustawiałem się przed przyjazdem do Polski jak większość ludzi tam jadących – patrzących z punktu widzenia ustroju i sytuacji w kraju w którym mieszkają. I później oburzonych, że przecież tam, w kraju żyć nie można. Z uwagi na mój zawód śledziłem to co się dzieje w kraju. Dlatego z innego punktu widzenia. Dlatego dla mnie, poza tym, że wszyscy mówią po polsku, że chodziłem ulicami Warszawy, które znałem z nazwy, ale których nie rozpoznawałem ważne było, że po prostu znalazłem się wśród swoich, znalazłem się u siebie. Miałem pewne zastrzeżenia. Po pierwsze – kwestia języka. To był inny język. Po drugie – arogancja u przedstawicieli władzy, im niżej tym większa arogancja. A zarazem poczucie niepewności, że to jest coś tymczasowego, coś prowizorycznego, to nie może trwać. To też się odczuwało w rozmowach z ludźmi na najwyższym szczeblu.

Natomiast mam jak najlepsze wrażenie, z przeciętnymi Polakami.

Jedna rzecz mnie doprowadziła do pasji, tj. pokazanie paszportu, czy powiedzenie, że jest się z Londynu, który ma wszystko co przywozi dewizy. Chciałem być normalnym Polakiem wśród Polaków.

A Pańskie spotkania z przedstawicielami władzy?

Spotkania były o tyle ciekawe, że z miejsca zarówno w MSZ-cie jak i w radio spotykałem się z zarzutami, że ingerujemy w sprawy polskie dlatego, że komentuję sprawy wewnętrzne itd.

Odpowiedziałem, że komentując wewnętrzne sprawy brytyjskie. Kiedy zadawałem pytania chcąc się czegoś dowiedzieć, to wówczas odpowiadano mi,

że tow. Gomułka powiedział to czy tamto. Prosiłem żeby mi nie mówili co mówi tow. Gomułka, gdyż muszę to czytać a chcę się dowiedzieć co Pan o tym wie czy myśli.

Pamiętam jak Sokorski pouczał mnie o sytuacji w Polsce, zresztą muszę przyznać, że mówił bardzo inteligentnie i interesująco przez niemal 3 godziny. Ułatwiono mi moje podróże po Polsce. Jeździłem pociągami do różnych miast w całym kraju. Kiedy pod koniec pobytu w kraju poszedłem podziękować do Wydziału Prasy MSZ, usłyszałem – „mamy nadzieję, że teraz ton pańskich komentarzy o Polsce zmieni się". Odpowiedziałem, że jestem przekonany iż radca prasowy nadal będzie interweniował, że mieszam się w sprawy Polski.

Spotkałem się u Antoniego Słonimskiego z kilku sygnatariuszami listu „34". Tamże spotkałem młodego wówczas chłopaka – Adama Michnika. W Krakowie zetknąłem się z bardzo interesującą młodzieżą studencką „Pod Jaszczurami". Miałem okazję być przyjętym także przez hierarchów – przez Prymasa – biskupa Wojtyłę. z księdzem Alojzym Orszulikiem, znanym nam do dzisiaj. W czasie moich następnych przyjazdów do Polski chodziłem masę do teatrów i byłem zdumiony na jakim poziomie działa polski teatr. Przypominam sobie wspaniale wystawionego przez J. Szajnę „Fausta", widziałem spektakle K. Dejmka, Hanuszkiewicza. Bardzo zaciekawiło mnie niesłychane ożywione dyskusje np. w środowisku literatów. Mówię oczywiście o spotkaniach półprywatnych, w mieszkaniach czy kawiarenkach, a nie tych oficjalnych. To robiło duże wrażenie.

Ja od 1939 byłem zagranicą. Ja „odrosłem". Nie jestem człowiekiem dwóch kultur. Jestem Polakiem, nigdy nie będę Anglikiem pomimo, że się w tym otoczeniu bardzo dobrze czuję. Ale Polska z którą się zetknąłem nie była już dla mnie.

Wyjeżdżałem z Polski w Słubicach, gdzie widziałem polską flagę wiedziałem, że trzeba tu jeszcze wrócić. Moja ułomność polega na tym, że nie byłem w Polsce „solidarnościowej", ani „postsolidarnościowej". Od tej Polski, którą widziałem ja już „odrosłem".

Powróćmy do BBC, jak Pan oceniał wszystkie wystąpienia w r. 1956, 1968, 1970, gdy posiadał Pan duży wpływ na informowanie rodaków w kraju?

Uważałem, że społeczeństwo polskie znalazło się na linii frontu. W moim przekonania wydarzenia w Polsce od tamtego okresu wyznaczają drogę, którą Europa Wschodnia czy raczej Europa Środkowa, będzie szła. Wschodnia część Europy wcześniej czy później musi pójść tą drogą. Dla mnie poznański czerwiec to zdławiony robotniczy protest, październik to intelektualiści, ale i partyjny aktyw, to rewizjonizm (dziś największym rewizjonistą z punktu widzenia ówczesnych czasów jest oczywiście Gorbaczow). Marzec to była młodzież, której nikt nie poparł za wyjątkiem intelektualistów, grudzień to była masa robotnicza, której nikt inny nie poparł i dopiero zmienił sytuację czerwiec 1976 roku. Ostatecznym wyrazem tego co się stało po czerwcu 1976 roku była moim zdaniem „Solidarność".

Dla mnie nie ulegało wątpliwości, że system zaczyna się rozpadać, to tylko kwestia czasu. Stało się to jasne w grudniu 1970 roku, a szczególnie w styczniu 1971 r. Natomiast „Solidarność" to zjawisko wyjątkowe i unikalne. Nie w sensie ruchu czy związku, ale w sensie solidarności społecznej. To samowyzwolenie obywatelskiego społeczeństwa w kraju w którym jeszcze rządziła partia komunistyczna, ale już nie jest w stanie dominować nad społeczeństwem i nad jego aktywnością.

Po odejściu z BBC nadal prowadzi Pan działalność dziennikarską, polityczną.

Pierwsze 8 lat po moim odejściu z BBC były dla mnie jeszcze bardziej absorbujące. Po pierwsze wydałem parę książek w j. angielskim, a potem także w polskim. Ponadto dlatego, że przez pierwsze pół roku na usilne próby Amerykanów byłem w dyrekcji radia Wolna Europa. Było to po odejściu Jana Nowaka, za dyrekcji Zygmunta Michałowskiego. Kontrolowałem rozgłośnię polską i węgierską. W tym czasie nadawała na żywo przez szereg dni reportaże z pobytu Papieża w Polsce, a potem w Stanach Zjednoczonych. Opierano się wówczas na transmisjach radia watykańskiego i telewizji austriackiej w dużej mierze. Mój pobyt związany był z reorganizacją pracy i programów.

W Wolnej Europie znalazłem się w 23 lata po moim odejściu w roku 1956 i muszę powiedzieć, że nastąpiły pewne zmiany na lepsze. Byłem zawsze przeciwny tłumaczeniu w każdej audycji słuchaczom, że rząd jest komunistyczny, że partia rządzi, że społeczeństwo znajduje się w kraju zniewolonym. Tłumaczyłem, że Polacy na miejscu znacznie to lepiej wiedzą od nas. Twierdziłem, że trzeba to mówić, ale wszystko zależy od tonu i formy, w jakiej to się mówi. Uważałem, że znacznie lepiej trafia do przekonania spokojna informacja i argumentacja, aniżeli używanie pejoratywnych przymiotników. Natomiast obniżył się poziom kadr z wyjątkiem kilku osób. Był to rok 1979. Początkowo kadra była na bardzo wysokim poziomie, byli tam znakomici pisarze, doskonali dziennikarze, radiowcy. Ich następcy nie zawsze i nie wszędzie wypełniali te luki na odpowiednim poziomie. Nie było tego, co ja widziałem w BBC. Chodzi mi o to, że młodsi ludzie po odpowiednim przeszkoleniu wchodzili w zespół i asymilowali się. W owym czasie nie widziałem zespołowej pracy w Wolnej Europie. Ciągle mówię o 1979 r.

Po kilki miesiącach powrócił Pan do Londynu.

Tak, przygotowuję książkę o detende, o polityce amerykańskiej lat siedemdziesiątych. Przebywałem przez dłuższy czas w Waszyngtonie, aby potem powrócić do Londynu i objąć dyrekcję Polskiej Fundacji Kulturalnej. Trwało to od połowy 1983 r. przez trzy lata do połowy 1985 r. Po chorobie, czyli ataku serca musiałem ograniczyć swoją działalność i koncentruję się obecnie na działalności w Królewskim Towarzystwie Spraw Międzynarodowych, gdzie kilkakrotnie w tygodniu uczestniczę w debatach.

W ostatnim okresie wydałem dwie książki po polsku – „Mówi Józef Światło" oraz „Towarzysze zeznają", które mają także wydania niezależne w Polsce. Natomiast książka „Mówi Józef Światło" osiągnęła rekordowe jak na emigrację nakłady i miała 4 wydania. Redaguję od pewnego czasu „Rzeczypospolitą".

Od wielu lat zajmuje się Pan polityką międzynarodową. Jest Pan obserwatorem ważnych wydarzeń w Europie i na świecie. Jak Pan widzi sprawę Polski na arenie międzynarodowej? Jaki jest wpływ wydarzeń międzynarodowych na naszą sytuację? Czy widzi Pan koniunktury dla sprawy polskiej, czy można się ich spodziewać?

Koniunktury są i trzeba na nie patrzeć z dwóch punktów widzenia. Problem pierwszy: w czym leży interes Zachodnich Demokracji, głównie Stanów Zjednoczonych, ale także Europy, głównie W. Brytanii, Niemiec, Francji. Element drugi, to w jakim stopniu i w jakim zakresie czasu dojdzie do rozkładu imperium sowieckiego, a jednocześnie do zasadniczych zmian w łonie ZSRR.

Z góry musze podkreślić, że cokolwiek się stanie i cokolwiek rozpęta Gorbaczow (a rozpętał pewne nurty, które mogą pójść bardzo daleko) ja obawiam się jednej rzeczy. Obawiam się reakcji tego co nazwałbym wielkorosyjskim nacjonalizmem. Dlatego, że komunizm, aby ratować twarz przechodzi na pozycję patriotyzmu i nacjonalizmu. Przecież my mówiąc o imperium sowieckim powinniśmy pamiętać, że to jest imperium wielkorosyjskie. Do tego trzeba dodać jeszcze jedno zjawisko – kulturowe, społeczne, a także polityczne jednoczenie się Europy. Musimy pamiętać, że Europa Zachodnia to jest Europa. Jestem przeciwnikiem określenia dwóch części Europy jako Zachodnią i Wschodnią. Europa Wschodnia to formuła stworzona w Teheranie i Jałcie, podyktowana układem stosunków międzynarodowych, geopolitycznych i przede wszystkim konfliktem między Stanami Zjednoczonymi, a Związkiem Sowieckim. Nie trzeba zapominać, że jest osobowość kulturalna, historyczna, a przede wszystkim polityczna do której należy Polska, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia – mianowicie Europa Środkowa, która w jednoczącej się Europie może odegrać rolę kluczową. A to dlatego, że Europa Środkowa jest znacznie bliższa Europie zjednoczonej, aniżeli Europie Wschodniej w której widzę Ukrainę, państwa bałtyckie, Białoruś, czy zachodnią Rosję. Użyłbym nawet na pierwszym etapie terminu finlandyzacja dla Europy Środkowej. Naszą szansą jest stać się pomostem między Zachodem, a Wschodem. W jednoczącej się Europie, Europa Środkowa ma swoje miejsce. Czy takie miejsce znajdzie także Europa Wschodnia (taka jaką tu określiłem to jest znak zapytania).

A jak to widzą politycy Zachodu?

Jeżeli idzie o politykę amerykańską to idea Europy Środkowej, nawet neutralnej, ale kulturowo, historycznie, gospodarczo i częściowo politycznie, współpracującej z Europą Zachodnią jest bliska establishmentowi Wschodniego Wybrzeża. A więc grupy rządzącej obecnie, ale także za czasów Reagana,

mimo napływu kalifornijskich specjalistów. Jednym z typowych przedstawicieli tego establishmentu jest Zbigniew Brzeziński. To Harvard, Yale, Columbia, Centre of Strategic and International Studies w Waszyngtonie – to oni w dużym stopniu wpływają na formowanie i formułowanie polityki amerykańskiej.

W rozmowach jakie miałem okazję mieć na przestrzeni dwóch lat we Francji i Niemczech spotykałem się z podejściem podobnym, z tym, że oczywiście dość specyficzny nurt myślenia jeżeli chodzi o Republikę Federalną Niemiec. Proszę nie zapominać, że idea Europy Środkowej tak jak ja ją przedstawiłem i tak jak ją widzą niektórzy, np. Anglicy i Amerykanie, to nie jest niemieckie pojęcie „Mitteleuropa", to nie jest pojęcie Europy Środkowej w której dominują Niemcy. Europa Środkowa w koncepcji zachodnioeuropejskiej, (w pewnych tezach establishmentu USA) to Europa jednocząca się z Zachodnią Europą całą. Na pewno nie jest to Europa zdominowana przez Niemcy. A są tendencje w RFN, które zmierzają w tym kierunku, wyrażają się chęcią zdobycia wpływów gospodarczych, poprzez stabilizację tego co jest, a nie poprzez zmiany, które następują i muszą nastąpić.

I na koniec jak Pan widzi możliwości dokonania zmian w Polsce?

Nie zgadzam się z opiniami, które się często spotyka poza Polską, a także i w różnych ugrupowaniach politycznych w kraju, niepodległościowcy i ugodowcy. Nie wyobrażam sobie i nie sądzę, żeby ugrupowanie polityczne, zawodowe czy inne, którego celem ostatecznym nie byłaby niepodległość kraju. Z tym, że trzeba brać jedno pod uwagę. Żyjemy w erze współzależności. Nie ma absolutnie niepodległych i niezależnych krajów. Są kraje współzależne. Nawet supermocarstwa nie są absolutnie niezależne.

Każdy chce niepodległości i suwerenności swego własnego kraju. Natomiast jest kwestią jak się do tego dąży. W obecnym układzie stosunków można i trzeba do tego dążyć etapami, gdyż nie ma w tej chwili takich rozwiązań na horyzoncie, które mogłyby geopolityczny układ nagle zasadniczo zmienić.

Rozpad imperium sowieckiego, obalenie elity komunistycznej w Polsce nie nastąpi z dnia na dzień. Może natomiast nastąpić stopniowo, w miarę szybko następujących procesów zanikania, uwiądu komunizmu. Żyjemy w epoce agonii komunizmu, jako doktryny i przede wszystkim jako praktyki życia co-

dziennego, życia społecznego. Żyjemy w okresie, kiedy Związek Sowiecki jest supermocarstwem jednowymiarowym, które nie jest ani rywalem, ani modelem społecznym, gospodarczym, ideologicznym.

Nagle zmienia się układ sił i niepodległościowcy powinni „grać" na wszystkie możliwe, ale realne i uczciwe fortepiany. Dlatego osobiście uważam, że rozmowy „okrągłego stołu" to jest pewien krok. Nie podzielam podnieceń, że teraz wszystko się załatwi. Ale jest to krok konieczny, bo ostatecznie żyje się w tym ustroju 45 lat. Nie można żyć w absolutnej negacji cały czas. Do niczego to nie prowadzi. Niepodległość będzie – ja w to wierzę.

Krzysztof Turkowski rozmawia z Tadeuszem Żenczykowskim*

Krzysztof Turkowski: Urodził się Pan w 1907 roku, a więc na kilka lat przed I wojną światową. Czy w pańskiej pamięci zachowały się wspomnienia z tego odległego okresu?

Tadeusz Żenczykowski: Jestem warszawiakiem z urodzenia, przyzwyczajenia i sympatii do tego miasta, które mnie nigdy nie opuściło i nie opuści.

Urodziłem się w czasie, kiedy Moskale byli jeszcze w Królestwie. Pamiętam, mieszkaliśmy przy ulicy Trębackiej, na tyłach gmachów teatralnych i tamtędy przechodziły zawsze, co mnie bardzo cieszyło, rosyjskie pogrzeby wojskowe. Prawdziwą atrakcją była dla mnie orkiestra wojskowa grająca marsze żałobne.

Potem przyszła I wojna światowa. Myśmy wtedy mieszkali w Górze Kalwarii pod Warszawą, ojciec mój był tam rejentem, a często bywaliśmy w Warszawie u moich wujków. Zapamiętałem taki moment. Nad Warszawą pojawił się zeppelin, o którym się mówiło. Byłem tym faktem zachwycony. Nagle usłyszałem jakby sypanie grochu o blachę. Były to próby ostrzeliwania zeppelina przez, jak to się wtedy mówiło, „pulomioty". Zapamiętałem widok tego wielkiego cygara, które tak spokojnie krążyło nad miastem.

Kolejny obraz, który utkwił mi w pamięci z Warszawy w czasie I wojny, to przemarsz rosyjskich oddziałów przez most 3 maja i Alejami Jerozolimskimi na front, który był już dość blisko. Szły olbrzymie, nieprawdopodobne masy piechoty, artylerii, jazdy na małych konikach. Cała Warszawa się wówczas temu

* Tadeusz Żenczykowski, ps. Kania, Kowalik, Zawadzki (ur. 2 stycznia 1907 w Warszawie, zm. 30 marca 1997 w Londynie) – polski prawnik, działacz polityczny i publicysta. Kawaler Orderu Orła Białego.

przyglądała. Jest jeszcze jedna ciekawostka, która dobrze utkwiła mi w pamięci to moda na pikielhauby. Gdy tylko ktoś zdobył pikielhaubę, które napływały z frontu, miał natychmiast wielki powód do dumy. Rozpowszechniła się moda na przerabianie na lampy czy świeczniki szrapnele.

W związku z ofensywą niemiecką zorganizowano ewakuacje. Myśmy pojechali początkowo do Wilna, a potem na Mińsk, a następnie znalazłem się na Ukrainie, w guberni czernichowskiej. Pamiętam, że było tam bardzo przyjemnie. Panował spokój, wojny się tam jeszcze nie odczuwało. Pamiętam, że wtedy za kopiejkę (a kopiejka wtedy to dla szczeniaka były wielkie pieniądze) można było kupić kilka dużych słoneczników. Właśnie tam zacząłem czytać „Trylogię". Książki sprowadzaliśmy z Kijowa, gdzie była stała, przedwojenna polska księgarnia.

W 1916 roku rodzice postanowili, że muszę pójść do polskiej szkoły. Stała szkoła była w Kijowie, ale były także 'wojenne" szkoły polskie dla uchodźców w Moskwie i Orle. Ja znalazłem się w polskiej szkole w Orle. Była to duża koedukacyjna szkoła. Lekcje mieliśmy po południu, gdyż z braku gmachów nasze zajęcia odbywały się w żeńskiej rosyjskiej szkole. Nasza klasa miała bardzo dobre dla nas położenie, gdyż okna wychodziły na słynną Okę, na którą można się było gapić. Mieliśmy uciechę gdy przychodziła wiosna i rzeka wylewała, kiedy płynęły kry. Widok był wspaniały. W Orle wstąpiłem do harcerstwa, jeszcze wtedy nazwanego skautingiem. Był już rok 1917, kończyłem II klasę, gdy zjawił się wśród nas imponujący nam facet. Jak się okazało – legionista. Po prostu jak wybuchła rewolucja to niektórych legionistów, którzy byli w niewoli zaczęto zwalniać, a oni przechodzili do pracy konspiracyjnej w Polskiej Organizacji Wojskowej. Został naszym drużynowym. Nauczył nas całej masy rzeczy. Nazywał się Józef Skwarnicki. To jego syn jest od lat redaktorem „Tygodnika Powszechnego". Skwarnicki wywarł w Orle wielki wpływ na polską młodzież. Tam właśnie przeżywałem pierwszą rewolucję rosyjską. Nie bardzo rozumiałem o co chodzi, ale nagle pojawili się na samochodach marynarze, którzy jeździli ulicami i strzelali. Zapamiętałem scenę zrzucania cesarskich orłów znajdujących się na cerkwi widocznej z naszej szkoły.

Wiosną 1917 roku, po przyznaniu Polsce prawa do niepodległości przez rząd rewolucyjny, po nabożeństwie w polskim kościele, my jako harcerze szliśmy w pochodzie (byłem niesłychanie szczęśliwy, gdyż mój zastępowy zachoro-

wał i ja mogłem nieść kijek, na którym była chorągiewka z flagą zastępu) przed siedzibę Rady Miejskiej. Tam przemawiali do nas różni działacze. Gorąco witali nas robotnicy.

W wiezieniu w Orle, w twierdzy o ciężkim rygorze znajdowali się polscy „bojownicy' – socjaliści z 1905 roku. Siedział tam Aleksander Prystor, którego żona była moją nauczycielką w szkole, oraz słynny później Jan Kwapiński. Prystor szybko wyjechał, a Kwapiński przychodził na nasze zebrania. Cieszył się wśród nas dużą popularnością. Ja co prawda byłem zbyt młody, by wszystko rozumieć, ale polegałem na opiniach moich starszych kolegów, dla których Kwapiński był wielkim autorytetem.

W 1918 roku ojciec, który był wtedy w Mińsku w tzw. „Naczpolu", zdobył dla nas jakieś przepustki, które umożliwiały nam przejazd do Warszawy. Po drodze przejeżdżaliśmy przez Bobrujsk i tam na stacji zobaczyłem żołnierzy z Korpusu Dowbora-Muśnickiego. Po raz pierwszy widziałem wtedy hełmy z namalowanym Białym Orłem. Było to zdaje się 8 maja, gdy takim rosyjskim wagonem towarowym, taką „tiepłuszką" dojechaliśmy do Warszawy. Po paru miesiącach zobaczyłem tam akcję rozbrajania Niemców.

Jak po przybyciu do Warszawy potoczyły się dalej losy Pańskiej rodziny?

Ojciec powrócił do pracy w Górze Kalwarii, gdzie był rejentem. W Górze Kalwarii były duże koszary rosyjskie, lecz w tym czasie znajdowała się tam tylko nieliczna straż niemiecka pilnująca składów. 11 listopada przed niemiecką komendą ustawiła się nasza ochotnicza straż pożarna, w hełmach na głowach. A z budynku mój ojciec wraz z kierownikiem szkoły powszechnej (o nazwisku Adamiec) wynosili z budynku karabiny i wręczali je strażakom.

W 1920 roku w „naszych koszarach" stacjonował bodajże I Dywizjon Artylerii Konnej. W tej jednostce służył jako ochotnik mój starszy brat cioteczny, Janek Kamiński wraz ze swoimi kolegami. Oni byli już wtedy po maturze. Pamiętam, że do tego dywizjonu przyjechali z własnymi końmi.

Pan był wówczas uczniem gimnazjum?

W gimnazjum zjawiłem się w 1919 roku. Rodzice chcieli, żebym chodził do jakiejś dobrej szkoły w Warszawie; mówiło się wtedy o szkole Kujawskiego, tzw. mazowieckiej. Pojechaliśmy tam z matką, ale dyrektor powiedział, że muszę zdawać egzamin. Mnie się to specjalnie nie podobało, miałem przecież promocję, zaczęliśmy więc szukać. I tak trafiliśmy na słynną wtedy szkołę Kulwiecia. Była to jedna z polskich szkół, które w czasie wojny prowadzone były w Moskwie przez znanego przed wojną geografa, Kazimierza Kulwiecia. Przyjął mnie do swojej szkoły bez żadnych problemów. Wielką jego zasługą było to, że wszystkich przyjeżdżających z Rosji przyjmował bardzo chętnie. Polubiłem tę szkołę. Śpiewaliśmy tam „my Kulwiecia granda z placu Aleksandra".

I przyszły wakacje 1920 roku…

Zaczęły się bardzo emocjonalnie. Przyjechała nasza rodzina z Wilna uciekająca przed bolszewikami. Potem do Kalwarii zaczęła napływać młodzież studencka i gimnazjalna zgłaszająca się do I Dywizjonu Artylerii Konnej. W mieście zorganizowana została Straż Obywatelska.

Pewnego dnia ojciec zabrał mnie do Grójca, gdzie mieliśmy odebrać karabiny i przywieść je do Góry Kalwarii. Miasteczko na szczęście nie było przez bolszewików mocno ostrzeliwane. Spadły tam chyba ze dwa pociski, a jedyna strata to trafiona świnia, która była wtedy na ulicy. I to po tych gorących wakacjach powróciłem do szkoły. W klasie zastałem około pięćdziesięciu młodych ludzi. Straszna to była mieszanina, gdyż obok nas pętaków, byli ochotnicy z wojska, nadrabiający zaległości szkolne.

Ale muszę się cofnąć do wiosny 1920 roku. Mieszkałem na stancji na Wilczej, zaś nasza szkoła mieściła się nieopodal placu Aleksandra, na którym miało nastąpić powitanie powracającego z Kijowa Piłsudskiego. Kolumny kościoła były bardzo ładnie udekorowane girlandami z kwiatów. Z daleka zobaczyłem jak między kolumnami, po stopniach wchodzi do kościoła Piłsudski. Kiedy już wyszedł i wsiadł do otwartego landa, studenci wyprzęgli konie i wieźli go Alejami do Belwederu. Ten obrazek zapamiętałem na całe życie.

Ale wrócę do szkoły. Moja szkoła miała opinię szkoły endeckiej. Taki był nasz dyrektor i wielu naszych nauczycieli. Taki był profesor Tadeusz Uhma, pani Jędkiewiczowa – radna miasta stołecznego Warszawy z ramienia endecji. Zoologii uczył nas lewicowy profesor Jan Dembowski, późniejszy wybitny uczony i znany komunista, był świetnym nauczycielem. Na 1 maja przychodził zawsze

do szkoły z czerwonym goździkiem w butonierce. Historii uczył mnie w ostatnich klasach profesor Włodzimierz Topoliński, człowiek o bardzo demokratycznych przekonaniach. W czasie II wojny światowej był w mojej Akcji „N", w Biurze Studiów. Jak już wspominałem, moja szkoła była określana jako endecka, choć były wyjątki. Oczywiście żyliśmy wtedy tym wszystkim, co pasjonowało Warszawę.

Pamiętam, gdy w grudniu 1922 roku, po drugiej lekcji, niespodziewanie zadzwonił dzwonek na przerwę. Do klas wpadają uczniowie najstarszych klas i wołają „Wychodzimy na ulicę". Okazało się, że na Placu Trzech Krzyży zbiera się nasza szkoła i inne oraz korporanci, aby iść w Aleje Ujazdowskie przeciwko prezydentowi Narutowiczowi, by nie dopuścić go do Sejmu. Ja miałem już wtedy dość lewicowe przekonania. Akurat spotykam kolegę o podobnych poglądach, Bohdana Żołądkowskiego (późniejszego komunistę) i mówię: „Słuchaj, musimy coś zrobić przeciwko temu, co się szykuje". Poszliśmy w Aleje Jerozolimskie 6, gdzie OKP PPS-u, ale tam nikogo nie było. Poszliśmy wobec tego na Warecką 7, do redakcji „Robotnika". A tam też pusto, nikogo nie ma. W gmachu zaś wszystko normalnie. W takiej sytuacji postanowiliśmy wrócić na plac. I tam zobaczyłem, że do Sejmu idą posłowie Rajmund Jaworowski z Limanowskim, a przeciwko nim rzuca się cała ta banda z placu. Jaworski z Limanowskim szybko weszli do bramy domu, w którym była apteka mgra Klawe, słynna w Warszawie. Następnie Jaworski starał się przemówić do ludzi. Wyszedł przed bramę sam, ale zaczęli w niego rzucać, chyba kartoflami. On machnął ręką i wrócił do bramy. Tymczasem myśmy czekali, co będzie dalej. Po jakimś czasie przyszła bojówka pepesowska, młodzi chłopcy, którzy wbili się w tłum, doszli do bramy i wyprowadzili posłów. To imponujące jak te szczeniaki endeckie zlękły się robotników.

Miałem wtedy przyjaciela, który mieszkał we Włochach – Janka Żebrowskiego, z którym umówiłem się, że następnego dnia pojedziemy zorientować się co się dzieje w mieście. Zobaczyliśmy duży pochód, w którym dominowali korporanci (od tych czasów bardzo ich nie lubię), idący na Sejm z protestem przeciwko Narutowiczowi. Bramy Sejmu były zamknięte, więc przed budynkiem pokrzyczeli i udali się w Aleje Ujazdowskie przed Pałacyk, gdzie wyszedł do nich Haller i przemawiał. A nas szlak trafiał, że Haller jeszcze ich podżega.

A zamordowanie Prezydenta?

Proszę Pana, nie było w tamtych latach bardziej wstrząsającego wydarzenia jak pogrzeb Narutowicza. Sceneria była jak na zamówienie. Wysokie gazowe latarnie były spowite kirem od Belwederu aż do katedry. Stałem wtedy na Nowym Świecie przy Alejach Jerozolimskich. To było coś wstrząsającego – dzień pochmurny, prószący lekki śnieg. A od Belwederu idzie milczący pochód. Na nim ogromna ilość zielonych i czerwonych sztandarów. Socjaliści i ludowcy szli w takim napiętym, groźnym milczeniu. To była potęga. Widać było robotnicze i chłopskie sylwetki. I absolutna cisza. Ciągle widzę ten obraz jak żywy. Tego nie da się zapomnieć. Tej trumny wysoko na karawanie.

A czy fakt zamordowania Prezydenta, świadomość popełnienia zbrodni zrobiła wrażenie na tej młodzieży, którą Pan znał.

Nie, to po nich spłynęło. Szkoła była przecież endecka. Ukazał się wtedy obrzydliwy artykuł Strońskiego, którego nie mogę zapomnieć, „Ciszej nad tą trumną". Przecież później ciągnęły się te historie z Niewiadomskim, to było oburzające.

A wracając do okresu szkolnego. Pan wtedy wstąpił do „Strzelca"…

Tak, w 1923 roku, byłem wtedy w VII klasie, wstąpiłem do „Strzelca, tj. Związku Strzeleckiego i byłem w nim aż do wojny. Jeszcze na początku II wojny światowej coś tam działałem. W 1924 roku zdałem maturę i dostałem się na prawo. Przeniosłem się wtedy do Pruszkowa. Był tam kiedyś oddział „Strzelca" i dostałem pełnomocnictwa by go odbudować.

Zacząłem od tego, że kupiłem stary bęben i bijąc w ten bęben zawiadamiałem ludzi, by przychodzili na zbiórki, zaś młodzi chłopcy rozlepiali ulotki agitujące. Z czasem powstał dobry oddział. Było to o tyle sympatyczne, że dominowała młodzież robotnicza. Bardzo chciałem by ci młodzi ludzie jakoś się zgrali, zżyli. Udało mi się znaleźć stary, opuszczony budynek w parku i tam zrobiliśmy „Strzelca". Znalazłem w miejscowej Fabryce Stowarzyszenia Mechaników jakiegoś legionistę i starszych robotników. Do pomocy włączyli się miejscowi nauczyciele i tak udało się w Pruszkowie zorganizować grupę młodzieży. Młodzież ze „Strzelca" miała w miejscowym środowisku bardzo dobrą

opinię. Starałem się nie dopuszczać moich strzelców do uczestniczenia w czysto politycznych akcjach. Bardziej koncentrowaliśmy się na działalności sportowej. Chodziło o to, by młodzież wyrobiła się i kształciła. I taka działalność podobała się zarówno władzom miasta jak i środowisku politycznemu. Najlepiej współpracowało nam się wtedy z socjalistami.

W 1925 roku zorganizowałem w Pruszkowie obchody imienin Marszałka Piłsudskiego. Wynajęliśmy salę, a TUR dał mi orkiestrę taką jaką mieli – mandolinistów. Zainteresowanie było tak wielkie, że sala nie mogła pomieścić ludzi. Na uroczystości przyjechał z Warszawy Tytus Czaki, a wiersze deklamował późniejszy wybitny komunista – Roman Zawistowski.

Skoro już jestem przy imieninach Marszałka to warto przypomnieć, że w tamtych latach 19 marca jeździło się do Sulejówka. Po pruszkowskich obchodach pojechaliśmy także do Sulejówka. Z okazji imienin wystawiono hektografię jednoaktówkę poświęconą Marszałkowi. Było to fantastyczne. Maszyniści zwykle zatrzymywali pociąg przed stacją, wtedy się zeskakiwało i było bardzo blisko do dworku Piłsudskiego. Stal tam honorowy posterunek – dwóch ułanów na koniach i strzelcy. Przyjechało dużo ludzi i każdy oczywiście wchodził do dworku z życzeniami. Następnie z hallu szło się na górę, ale przy drzwiach stał adiutant, który prosił, aby nie ściskać mocno Marszałka. Wszedłem i ja i zameldowałem się z życzeniami. Marszałek podziękował i uścisnął mi rękę.

W następnym roku 1926, manifestacja była olbrzymia. Przyjechaliśmy z Pruszkowa grupą do Warszawy, tam w Cytadeli mieliśmy nocować, by następnie z innymi oddziałami strzelców pojechać do Sulejówka. Dnia poprzedniego zorganizowano wieczór dla Piłsudskiego w Teatrze Wielkim, gdzie i ja przemaszerowałem z moimi „Strzelcami". Zobaczyłem, że loża w której siedzi Marszałek jest niepilnowana, więc wziąłem swoich żołnierzy i idę z nimi, żeby przynajmniej na razie ich tam postawić. Wychodzi naprzeciw nam generał Rożen, taki wysoki, chudy i ruga mnie, że to nasza wina i zaniedbanie. I moi chłopcy w ten sposób trzymali straż przy Komendancie. Potem byliśmy w salach redutowych, łączących się z Teatrem. Tam przybył Marszałek. My nadal byliśmy jego eskortą. To było wspaniałe. Marszałek siedział, a przed nim Ordonka zaczęła śpiewać „Jedzie, jedzie na Kasztance". To robiło duże wrażenie. Były także inne występy i przemówienia. Rano, gdy pojechaliśmy

do Sulejówka to już tam się zebrał cały batalion strzelców, którymi dowodziłem i miałem prowadzić defiladę strzelców przed Marszałkiem. W tym roku była to już oczywiście jawna demonstracja. Widać było, że to nie tylko garstka przyjeżdża.

Wcześniej odbywał się zjazd „Strzelca" w Sali Rady Miejskiej. Przybył do nas Marszałek. Na takich imprezach zwykle sekretarzowałem jako student – strzelec. Siedziałem więc przy stole blisko Marszałka. To pojawienie się Marszałka w Warszawie było specjalnie zaaranżowane. Nastroje robiły się coraz bardziej gorące. Któregoś dnia – chyba pod koniec kwietnia lub na początku maja – dostałem wiadomość bym trzymał „Strzelców" przez cały dzień w Pruszkowie i żebym przysłał łącznika do Warszawy łącznik wrócił wieczorem z wiadomością, że zbiórkę można już rozwiązać. Pojechałem więc na drugi dzień do Warszawy, by dowiedzieć się czy będę potrzebny, gdyż muszę zacząć się uczyć do egzaminów. Powiedziano mi, że mogę śmiało wyjechać. Wobec tego pojechałem do mojej rodziny pod Kalisz. Miałem tam idealne warunki do nauki.

I tak dowiedział się Pan, że w Warszawie wybuchły walki…

Tak, i tam nagle dowiedziałem się, że w Warszawie mają miejsce walki. Postanowiłem natychmiast wracać. Ale był powszechny strajk. Dojechałem więc do Opatówka, do stacji kolejowej, a ubrany byłem w mundur strzelecki. Poradzono mi bym wyszedł na szosę i szukał samochodu. W końcu zatrzymałem takiego małego fordzika – autobus – gdzie ludzie poupychani byli jak sardynki. Dojechałem do Łodzi. Tam poszedłem do komendy „Strzelca". Byli tam znani mi komendanci – Piątkowski i Graczyk. Chciałem dostać się do Warszawy. Oni do mnie, że muszę zostać na miejscu jako dowódca uzbrojonej kompanii, gdyż w Łodzi coś szykują monarchiści. I tak zostałem dowódcą kompanii na kilkanaście godzin. I rzeczywiście wtedy w Łodzi monarchiści chcieli zrobić jakiś zamach. Poszliśmy o świcie do Dowództwa Okręgu Korpusu. Tam słyszę rozmowę miejscowego dowódcy z generałem Galicą: „Panie generale, Marszałek jest zdziwiony, że pan tak postępuje". Chodziło oto, że Galica początkowo szedł z pomocą rządowi.

Na rozkaz pojechaliśmy wysadzić tory kolejowe od strony Poznania, skąd szły oddziały przeciw Marszałkowi. W trójkę, z jakimś oficerem i jednym

„Strzelcem", dostaliśmy samochód i udaliśmy się do Łaska. Wysadziliśmy szyny, a w wyrwę dla pewności wepchnęliśmy wagon towarowy. Skończyliśmy a tu leci do nas zawiadowca stacji i macha rękoma. Dobiega i mówi: „W Warszawie wszystko skończone". To był już koniec wypadków majowych. Postanowiłem wrócić po skrypty i pojechać do Pruszkowa. Jedziemy autobusem, obok siedzi jakiś żołnierz, a tu nagle auto zatrzymują poznaniacy. Jakiś sierżant zagląda do autobusu, gdzie siedzi żołnierz i ja w mundurze strzeleckim, a więc poznaniakom nieznanym. Myślę sobie – teraz będzie ładny bal. Sierżant nie bardzo wiedział jak zareagować na strzelecki mundur, więc wyciągam z kieszeni legitymacje studencką i on machnął ręką. Powróciłem nazajutrz szczęśliwie do Warszawy. Tam okazało się, że moimi strzelcami dowodził kto inny i oni brali udział w zamachu majowym na Pradze.

Przez moją działalność społeczną nie miałem już czasu na studia i to się troszkę mściło. Przez trzy lata byłem na trzecim roku prawa. Po prostu zupełnie nie miałem czasu na naukę. Wreszcie jednak dostałem dyplom. W dwa lata po zamachu majowym zainteresowałem się Związkiem Polskiej Młodzieży Demokratycznej, z tym, że przez cały czas pozostawałem działaczem „Strzelca". Sam jeszcze zaliczyłem dwa obozy strzeleckie p.w. jeden w Zagórzanach w olbrzymim, opuszczonym pałacu hrabiego Skrzyńskiego. Drugi pod Uściługiem.

Kto był wówczas we władzach ZPMD.

Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej wywodził się z trzech organizacji – OMN-u, Akademickiego POW i Związku Młodzieży Postępowej. Pierwszym przewodniczącym był Janusz Rakowski, a następnie po paru latach ja go zastąpiłem na tym stanowisku. Przemek Szczekowski był przede mną przewodniczącym Wydziału Wykonawczego.

ZPMD była organizacją darzoną sympatią przez ówczesne władze?

Trudno powiedzieć, by w okresie moich studiów akademickich ZPMD cieszyła się nadmiarem sympatii ówczesnych władz państwowych. W latach „przedmajowych" i bezpośrednio po tych wydarzeniach ZPMD było jedyną organizacją młodzieży piłsudczykowskiej, która samotnie prowadziła walkę na wyższych uczelniach z endecką prawicą, wspieraną przez korporantów. Słowo „walka" jest właściwe, gdyż staraliśmy się o wykazanie, że endecja nie ma monopolu i nie może totalnie dysponować życiem akademickim. ZPMD nie było wówczas zbyt liczne, ale działało we wszystkich miastach akademickich. Oczywiście darzyliśmy sympatią pomajowe władze państwowe z Marszałkiem Piłsudskim na czele, lecz ceniliśmy przede wszystkim własną niezależność ideową. Nie zawsze wszystko nam się podobało i zawsze broniliśmy się przed próbami narzucenia linii postępowania w życiu akademickim i ogólno-politycznym. Władze majowe * przynajmniej niektóre ich agendy – uważały, że muszą mieć własną, w pełni dyspozycyjną młodzież studencką. Z tych względów nasza niezależność nie zawsze im się podobała. Doprowadziło to do niezbyt fortunnej w skutkach inspirowanej akcji rozłamowej, w wyniku której powstał „Legion Młodych", bardzo bezceremonialnie forowany przez czynniki państwowe, „Legion" rozwijał się w warunkach cieplarnianych. Z czasem zarysowały się w nim wewnętrzne fermenty, które doprowadziły do rozłamu w 1936 r.

Jacy ludzie dominowali w związku?

Dominowała w naszych szeregach młodzież niezamożna; sporo mieliśmy kolegów ze wsi i ze świata robotniczego, byli także wśród nas koledzy pochodzenia żydowskiego. W sumie stanowiliśmy dość zwarty i ideowo jednolity zespół. Spośród najbliższych moich kolegów z ZPMD wielu poległo w walkach wrześniowych. Najboleśniej przeżyłem śmierć mego najserdeczniejszego przyjaciela, Jerzego Szpera, który poległ w obronie Warszawy. W walkach wrześniowych zginął też Jan Grzywaczewski, jeden z czołowych działaczy ZPMD. W latach konspiracji śmierć ponieśli w szeregach AK: Celina Zalewska, Józef Marszałek, Bronisław Budkiewicz, Władysław Zakrzewski.

Jak wyglądała działalność Związku? Pana wkład był chyba duży?

Gdy wstępowałem do ZPMD wydawało mi się, że działalność organizacji jest zbyt statyczna, zbyt ślamazarna. Wkrótce jednak udało mi się ożywić nasze środowisko. Przede wszystkim pod względem propagandowym. Nie mieliśmy żadnego pisma studenckiego, toteż powołaliśmy do życia „Głos Akademika". W okresie rozłamu „Legion Młodych" przywłaszczył sobie to pismo. Wówczas

założyłem „Życie Akademickie" i redagowałem je aż do pójścia do podchorążówki.

Jakie nakłady osiągały ówczesne gazety?

Nie pamiętam dokładnie jaki był nakład, ale na pewno ok. 500 egzemplarzy. Pismo rozsyłaliśmy do wszystkich okręgów ZPMD w miastach uniwersyteckich. Była to ważna akcja zewnętrzna, propagująca ZPMD i nasze poglądy w rozmaitych sprawach. Jak na ówczesne warunki był to niemały nakład, zważywszy w dodatku, że pism akademickich było bardzo mało. Brakowało nam zawsze funduszy, gdyż kieszenie studenckie były zwykle pustawe. Pomagali nam w tych kłopotach „seniorzy", tzn. starsi koledzy, dopingowani do tego przez Tomasza Piskorskiego, a nawet i ludzie związani z OMN-em przed wielu laty. W sumie w polskim życiu akademickim ZPMD zajmowało poważną i powszechnie liczącą się pozycję. Jak już wspomniałem głównymi naszymi agresywnymi przeciwnikami byli endecy i korporanci. Ci ostatni często zamiast argumentów posługiwali się laskami. Za moich czasów w ZPMD podejmowaliśmy na wszystkich zebraniach akademickich prezentowanie naszego stanowiska. Trzeba było również pomyśleć o samoobronie, gdyż przeciwnicy dotychczas napastowali nas fizycznie. Zebraliśmy w Warszawie kilkunastu kolegów, podzieliliśmy na piątki, które pouczał o środkach samoobrony nasz znajomy kapitan z czynnej służby. Poczuliśmy się pewniejsi, a przeciwnicy przekonali się wkrótce, ze potrafimy bronić się skutecznie przed napaściami fizycznymi.

Utrzymywaliśmy kontakty z kolegami socjalistami z ZNMS (Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej) i niezbyt licznymi ludowcami. Kontakty z konserwatywną „Myślą Mocarstwową" i z dywersyjnym wobec nas „Legionem Młodych" miały charakter raczej dyplomatyczny niż przyjacielski.

Stworzyliśmy również własną agencję prasową pod nazwą „Akademicka Centrala Informacyjna" (ACI), która przynajmniej raz na dwa tygodnie wydawała biuletyny, rozsyłane do wszystkich naszych okręgów i wielu pism codziennych lub tygodniowych.

W 1930 r. postanowiliśmy pojawić się na terenie zagranicznym. Istniała od szeregu lat Międzynarodowa Konferencja Studentów (Confederation Internationale des Etiudianta), w której uczestniczyli wyłącznie endecy. Pojechaliśmy więc po raz pierwszy do Brukseli na zjazd tej konferencji i nawiązaliśmy trochę bezpośrednich kontaktów zagranicznych. Dla ułatwienia tej akcji przygotowaliśmy w języku francuskim specjalny numer „Głosu Akademika" (który był jeszcze wówczas w naszych rękach). Rok później pojechaliśmy na bardzo podobny zjazd do Bukaresztu. Bogatsi w pierwsze doświadczenia byliśmy już lepiej przygotowani. Zrobiliśmy tam pierwszą wystawę prasy akademickiej wydawanej w Polsce.

Ostatnią moją akcją wydawniczą przed pójściem do podchorążówki było opracowanie krótkiego przewodnika akademickiego dla nowego rocznika studentów. Dawaliśmy w nim ogólny obraz organizacyjnego życia studenckiego i oczywiście obszernie omawialiśmy działalność ZPMD na wszystkich wyższych uczelniach w Polsce. Ta nasza inicjatywa bardzo się nie podobała młodzieży endeckiej, która reagowała na to w swój normalny sposób: parokrotnie pobito naszych kolegów, a nawet koleżanki, które ten przewodnik rozdawały. Należy tu dodać, że mieliśmy bardzo dobre i bliskie stosunki z Akademickimi Kołami Prowincjonalnymi, które zrzeszały studentów przybyłych na studia z różnych mniejszych miast w Polsce.

Głównym terenem batalii były w tamtych latach walne zebrania „Bratników" (Bratnia Pomoc), trwające zwykle przez cały dzień i część nocy. Choć nie mieliśmy przewagi to jednak narzuciliśmy pewien styl tym zebraniom przez rzeczowe przygotowanie materiałów do dyskusji i zaskakiwanie przeciwników krytyką opartą na argumentach. Na Uniwersytecie Warszawskim doprowadziliśmy do tego, że postanowiono wybrać tzw. Radę Konstytucyjną, która miała opracować nowy statut i program działalności Bratniaka. Wybory do tej Rady były rzetelne, gdyż w komisjach byli przedstawiciele opozycji. W ten sposób do rady weszło 3–4 naszych przedstawicieli i 2 z ZNMS. Byliśmy wprawdzie w mniejszości, ale nasza obecność w tym zespole miała swoje znaczenie.

Wobec dużego rozproszenia się akademickich grup piłsudczykowskich Adam Skwarczyński – znany ideolog tego kierunku – podjął próbę utworzenia jakiegoś wspólnego porozumienia. Przedstawicieli tych organizacji zaprosił na wspólną rozmowę do Pałacyku pod Blachą, w którym mieszkał. Zjawili się tam przedstawiciele Legionu Młodych ze Zbigniewem Zapasiewiczem na

czele, Henryk Dembiński z wileńskiego „Odrodzenia", przedstawiciele myśli Mocarstwowej (nazwisk nie pamiętam) i ja wraz z kilkoma kolegami z ZPMD. Apele Skwarczyńskiego były bardzo gorące, wszyscy odnosili się do niego z szacunkiem. Ale na tym jednym zebraniu cała akcja się skończyła.

W ZPMD działał wówczas późniejszy minister w rządach komunistycznych, Feliks Widy-Wirski…

Był wówczas studentem medycyny w Poznaniu i tam działał w naszym środowisku. Był bardzo energiczny i ruchliwy, ale politycznie dość nieopanowany. Przyjechał kiedyś do Warszawy i powiedział nam, że przy ZPMD organizuje grupę roboczą, nazywaną „młodzieżą syndykalistyczną". Przyjechał by przedstawić nam swój pomysł nadania rozgłosu krajowego tej grupie młodzieżowej. Miał to nastąpić przez wysadzenie w powietrze pomnika Chrystusa Króla w Poznaniu. Musieliśmy mu to skutecznie wybić z głowy. Przypuszczam, że już wtedy rozpoczął współpracę z komunistami. Później wstąpił do „Strzelca", gdzie był lekarzem Okręgu Poznańskiego. W jakiś czas potem znalazł się w Stronnictwie Pracy, a później w Związku Syndykalistów. Dalsza jego działalność potwierdziła jego udział w ruch komunistycznym.

Rok 1930-31 to lata w najnowszej historii Polski bardzo ważne. To proces brzeski, który wstrząsnął opinią publiczną.

U nas w ZPMD toczyły się na ten temat bardzo gorące dyskusje. Trzeba pamiętać, że Centrolew był wtedy już bardzo dobrze zorganizowany i że mógł zmierzać do przewrotu, jego wystąpienia mogły wyraźnie na to wskazywać. Przypominam sobie takie wydarzenia. W Dolinie Szwajcarskiej zorganizowany był wiec. Poszliśmy z moją obecną żoną, a wtedy jeszcze narzeczoną, zobaczyć co się tam dzieje. Zanim doszliśmy, ujrzeliśmy wychodzący pochód zmierzający przez Aleje Ujazdowskie w kierunku Nowego Światu. Wiem, że przy rozpraszaniu go padły jakieś strzały, ale myśmy byli już daleko. Wysłuchałem natomiast – jeszcze w Dolinie – jednego przemówienia. Było bardzo ostre, niemal prowokacyjne. To robiło wrażenie wezwań do obalenia władz i ustroju państwa.

Ja, po zastanowieniu, opowiedziałem się wówczas za Piłsudskim. Oczywiście nie wiedzieliśmy co naprawdę robi Kostek-Biernacki, co tam się w Brześciu

dzieje. Zadecydowaliśmy wówczas większością głosów, że nie występujemy przeciwko Brześciowi. I teraz tego nie żałuję, chociaż potępiam metody. W moim pojęciu Piłsudski nie był za zastosowane metody odpowiedzialny. On nie był człowiekiem brutalnym i mściwym. Przecież opozycja miała stosunkowo dużą swobodę, zwłaszcza w wypowiedziach. Uspokojenie sytuacji w Polsce było przeprowadzone brutalnie, ale nie doszło do rzeczy, na które się zanosiło. Przecież mogło dojść do próby przewrotu.

W tym samym okresie przeprowadzono pacyfikacje Małopolski Wschodniej.

Byłem temu przeciwny. Co prawda ja się specjalnie nie zajmowałem sprawami ukraińskimi, ale to czego się dowiedziałem było oburzające. Podobnie jak późniejsze burzenie cerkwi. Druga strona także była brutalna, wystarczy przypomnieć śmierć Hołówki czy Pierackiego, a więc rzeczników porozumienia z Ukraińcami.

Ale powróćmy do Pana dalszych losów. Skończył Pan studia…

Po studiach miałem szczęście, gdyż udało mi się dostać na aplikację sądową w Ministerstwie Sprawiedliwości. Była to dobra sytuacja, gdyż w ministerstwie dostawałem jakieś pieniądze, podczas gdy aplikanci byli bezpłatni.

Do wojska poszedłem na jesieni 1931-go roku. Służbę mogłem mieć skróconą, gdyż miałem za sobą dwa stopnie PW, były to te dwa obozy letnie, o których wspominałem. Poszedłem do podchorążówki piechoty w Śremie. Odbywali tam różni ludzie – tacy jak ja po studiach, świeżo upieczeni maturzyści, a nawet tacy, w 20 roku coś mieli zaliczone, a teraz musieli to uzupełnić. Była to podchorążówka z typowo poznańskim drylem. Udałem się tam z pewną myślą. Doszedłem do wniosku, że co roku przechodzi przez takie szkoły rezerwy i zawodowe ładne parę tysięcy młodych ludzi. I nikt ich nie wychowuje w duchu ogólno-politycznym. Wobec tego przed pójściem do szkoły podchorążych zacząłem czynić starania poprzez pułkownika Adama Borkiewicza (to późniejszy autor monografii o Powstaniu Warszawskim), a także Wacława Lipińskiego, aby stworzyć jakieś pismo dla podchorążych. Celem takiego pisma byłoby udzielanie tym ludziom informacji, wychowywanie ich. Ale

ciągle brakowało miarodajnych decyzji. Pojechałem do Śremu razem z moim przyjacielem, który wraz ze mną miał to pismo robić – Stefanem Sikorskim, też z ZPMD. Przyjechaliśmy, a sierżant do nas, że pójdziemy do paki, bo się spóźniliśmy. Do paki jednak nie poszliśmy, bo przyszła depesza z Warszawy, że możemy się spóźnić.

Jak się robiło pismo w ówczesnym Wojsku Polskim?

W końcu zaczęliśmy robić to pismo. W Śremie znalazłem świetnych współpracowników i późniejszych przyjaciół – rysownika Adama Siemaszkę i Bohdana Korzeniowskiego, później wybitnego teatrologa, oraz Stefana Putowskiego. I tak zaczęliśmy wydawać gazetkę, na razie na powielaczu. Drukowaliśmy to na powielaczu w miejscowej Fabryce Kawy Zbożowej. Dowódca kompanii był zadowolony,że to się u niego dzieje. Na święta Bożego Narodzenia pojechałem do Warszawy i udało mi się wówczas przeforsować pomysł. Dostaliśmy zezwolenie z Ministerstwa Spraw Wojskowych i trochę pieniędzy.

Po ostatecznej aprobacie skierowano mnie w tej sprawie do ówczesnego wiceministra – generała Felicjana Sławoj-Składkowskiego. Nauczony w Śremie stanąłem w jego gabinecie z czapką w ręku, a że głos mam dość mocny, pełnym głosem zameldowałem się. Od tego momentu można było wszystko szybciej załatwiać.

Mogliśmy w związku z otrzymaniem pieniędzy zacząć drukować „Podchorążego" w drukarni. Było to od numeru piątego, który ukazał się z datą 19 marca 1932 roku. Drukowaliśmy gazetę w Poznaniu, w drukarni Stowarzyszenia Kupców. Nie byliśmy frajerami, więc zawsze wyjeżdżało nas dwóch, trzech, zwłaszcza że było dużo roboty. Mieliśmy zresztą taki przywilej, że nie zawsze musieliśmy chodzić na ćwiczenia. Mogliśmy też siedzieć po capstrzyku na górze, w naszej redakcji. I tam sobie w ciszy odpoczywaliśmy, rozmawialiśmy i planowaliśmy. Zawsze jednak na stole leżał rozłożony karabin maszynowy.

Po szkole chcieliśmy być całą naszą czwórką w Warszawie. Tymczasem pewnego razu nasz dowódca podchorążówki kompletnie się zalał i zaczął grozić, że nas porozrzuca po całej Polsce, co uniemożliwiłoby redagowanie pisma. Wróciłem z Poznania i dowiaduje się o awanturze. A było to na ćwiczeniach w Biedrusku. Zdenerwowany natychmiast zadzwoniłem z miejscowej poczty do ministerstwa

i poskarżyłem się, gdyż dalszy los pisma zależał od tego, czy nadal pozostaniemy razem. I rzeczywiście telefon pomógł.

Tymczasem pismo chwyciło, gdyż niczego podobnego nie było. Może też dlatego, że nie uprawialiśmy żadnej dydaktyki, to było takie „pogodne" pismo. Później mieliśmy korespondentów za granicą. Pisał do nas m.in. Fajana, który przysyłał swoje reportaże ze świata. Siemaszko świetnie się sprawdził jako rysownik, a Korzeniewski prowadził dział literacki.

Stopniowo rozszerzaliśmy swój zasięg, ponieważ początkowo pismo skierowane było tylko do podchorążych rezerwy, ale z czasem skierowano je do szkół dla podchorążych zawodowych. Chciałem zmobilizować pracowników i dwa razy do roku organizowałem konferencje redakcyjne w Warszawie. Mówiłem wtedy: Spotkanie trwa do południa, a potem macie czas wolny. Postanowiłem upowszechnić 29 listopada, gdyż dotychczas podchorążowie z jednej tylko szkoły trzymali wartę przed Belwederem. Zaproponowałem zorganizowanie w dniu 29 listopada ogólnego „Dnia Podchorążego", który byłby centralnie obchodzony w Warszawie. Chciałem to połączyć z występami i popisami wojskowych zespołów artystycznych. Okazało się, że pomysł bardzo się spodobał. Doszło do tego, że zjeżdżały się zespoły i delegacje z całej Polski. Na Placu Piłsudskiego zorganizowana była zawsze defilada. Delegacje przyjmował na Zamku Prezydent. W przeddzień odbywały się występy artystyczne wojskowych zespołów, z początku w Magistracie, a z czasem w Teatrze Polskim.

A kto kontrolował tę działalność z ministerstwa?

Nikt. Za całość odpowiadałem sam i ja decydowałem o programie wystąpień. Kiedyś miałem zabawną historię. Wzywa mnie któryś z pułkowników z Wojskowego Instytutu Naukowo – Oświatowego i mówi, że nasz wywiad skarży się, iż ujawniłem na okładce „Podchorążego" tajemnicę: „nowe działo i maski gazowe". Ubawiło mnie to, gdyż było to zdjęcie z agencji fotograficznej zagranicznej, pokazujące angielskie działo. I od tego czasu miałem święty spokój.

Chciałem to pismo doprowadzić do dziesiątego roku, bo prowadziłem je przez osiem lat. W ostatnim naszym numerze przed wojną, wydanym 25-go sierpnia, taki młody oficer, chyba Rosen Zawadzki napisał świetny tekst o bro-

ni pancernej, omawiając m.in. jakie będą skutki jej zastosowania. Jednocześnie znalazłem artykuł gen. Sikorskiego w „Kurierze Warszawskim", który stwierdzał, by nie przesadzać z wyobrażeniami, o przyszłej wojnie, o wojskach pancernych, bo Niemcy nie mają paliwa. Mam ten artykuł zachowany do dziś! „Podchorąży" miał racje! Nakład chyba wynosił ponad półtora tysiąca.

Równocześnie prowadził pan jeszcze inną działalność.

Tak, ale musiałem pilnować swojego zawodu. Byłem aplikantem sądowym i tam zorientowałem się, że związki istniejące w tym prawniczym zawodzie są zdominowane przez endeków. W tej sytuacji trzeba było po prostu zrobić co innego. I tam założyłem Związek Młodych Prawników. Jego członkami byli asesorzy i aplikanci sądowi oraz adwokaccy. Oddziały terenowe działały wszędzie tam, gdzie były sądy apelacyjne – Wilno, Lwów, Kraków, Lublin, Katowice, Poznań i Warszawa. Zacząłem wydawać pismo. Miało tytuł „Współczesna myśl prawnicza". Już nawet dokładnie nie pamiętam, raz w miesiącu albo raz na kwartał. Pisali tam młodzi bardzo ciekawi autorzy. Zaczęliśmy walkę o prawa aplikantów. Trzeba pamiętać, że aplikanci byli w zasadzie bezpłatni, gdyż było bardzo mało etatów. Prowadziliśmy całą kampanię o prawa tej grupy zawodowej. Jeszcze później, gdy już byłem posłem wygłosiłem w Sejmie przemówienie w sprawie aplikantów.

Jednocześnie zacząłem szukać kontaktów zagranicznych. Wysłaliśmy listy do różnych organizacji prawniczych w Europie. Dostaliśmy dwie pozytywne odpowiedzi, z Budapesztu i Berlina, a mętne z Francji. Zaprosiliśmy więc delegacje z obu krajów. Pierwsi przyjechali do nas hitlerowcy. Rzeczywiście byli dobrze zorganizowani. Jeden z nich przyjechał w mundurze. Zdenerwowało mnie to, jak można przyjeżdżać w mundurze kiedy jest zaplanowane spotkanie z ministrem sprawiedliwości. Doszło w końcu do tego, że ten hitlerowiec musiał przepraszać naszego ministra.

Później miały miejsce rewizyty. W Berlinie zaprosił nas minister sprawiedliwości na lunch, na którym był m.in. prezes Niemieckiej Akademii Prawa – Hans Frank. Powiedziałem wtedy, że uważam, iż nasze sąsiedzkie narody powinny porozumiewać się swoimi językami i mówiłem po polsku w części oficjalnej. Oczywiście w czasie posiłku mówiliśmy też po niemiecku. Chodziło tu o podkreślenie

naszej niezależności. Wtedy też mogłem zobaczyć doroczny zjazd hitlerowców w Norymberdze. To był rok 1935.

Jakie to robiło wrażenie?

Bardzo groźne. Już wtedy było widać jaka siła została przygotowana. Poza miastem urządzono pierwsze wojskowe pokazy. Wówczas Werhmacht pierwszy raz defilował przed Hitlerem. O tych pokazach mówiłem z pułkownikiem Szymańskim, attache naszej ambasady w Berlinie mówiłem, że bardzo duże niebezpieczeństwo tkwi w podporządkowaniu się Werhmachtu. Szymański bardzo inteligentnie oceniał dalszy rozwój sytuacji i grożące niebezpieczeństwo.

Jak dalej układała się Pańska kariera zawodowa?

W tym czasie działały trzy organizacje prawnicze w Polsce. Nasza, endecka, a trzecią zrobił Leon Chajn dla żydowskich prawników. Ja tymczasem awansowałem na asesora, a zaczem na podprokuratora z przydziałem do ministerstwa, gdzie zajmowałem się problemami młodzieży prawniczej. Mogłem wtedy mieć wpływ na poprawę ich warunków bytu.

Prowadziłem wojnę z moim nowym ministrem – Grabowskim (następcą Michałowskiego, także wypłynął po Brześciu). Przydzielony byłem wtedy do Biura Personalnego, gdzie przyszedł nowy szef – Siewierski (po wojnie był w Sądzie Najwyższym PRL), był zresztą moim belfrem u Kulwiecia, gdzie wykładał „naukę o Polsce i świecie współczesnym". Zgłosiłem się do Siewierskiego i mówię, że jestem politycznie związany z „Naprawą" i jeśli to się ministrowi z jakiś względów nie podoba, to mogę odejść. Na co usłyszałem, że minister nie widzi żadnych przeszkód w mojej dalszej pracy. Wkrótce potem nagle dowiaduję się, że musze odejść. A byłem wtedy podprokuratorem w Piotrkowie z przydziałem do Warszawy. Uzyskałem tylko przeniesienie do Warszawy. Wracam z urlopu i dowiaduję się, że zostałem przeniesiony do Zamościa. Był to po prostu kopniak. Absolutnie nie miałem zamiaru się na to zgodzić, byłem zbyt mocno związany z Warszawą. Zacząłem robić wszystko co można, by ministrowi utrzeć nosa i utrzymać się w Warszawie. Dzięki pomocy przyjaciół udało mi się dostać stanowisko w Ministerstwie Skarbu, jako zastępca rzecznika dyscyplinarnego. W ten sposób doszedłem do rad-

costwa. Ministrem był wtedy Kwiatkowski, a ja pracowałem u byłego prezydenta Lwowa, dyrektora personalnego, pana Drojanowskiego. Był to bardzo sympatyczny i dzielny człowiek.

Jak przyjął Pan śmierć Piłsudskiego, co ona dla Pana oznaczała?

Mimo młodego wieku byłem „starym piłsudczykiem". Po prostu moja świadomość zawsze wiązała się z okresem Piłsudskiego. Jego śmierć była dla mnie dużym wstrząsem. Zastanawiałem się co będzie dalej i kto może sprawy Polski dalej poprowadzić. Obawiałem się „sejmowładztwa", nie chciałem by powrócił okres lat 1923–1926, gdyż mogło by to oznaczać zmarnowanie całego dorobku Polski osiągniętego za czasów Piłsudskiego.

Byłem wówczas przekonany, że obóz piłsudczyków wyłoni jakieś przywództwo, przygotuje jakąś deklarację. Kiedy jednak Koc ogłosił swą deklarację, to nie byłem nią zachwycony, gdyż pisana była bez zrozumienia społeczeństwa. Zbyt wiele tam było elementów wojskowych, nawet w stosowanym słownictwie.

Więc dlaczego jednak OZN…

Uznałem jednak, że nie ma innego wyjścia, gdyż OZN jest spadkobiercą polityki Piłsudskiego i dlatego należy zainteresować się OZN-em. Wówczas kuzyn Koca, który zaczął organizować Obóz Zjednoczenia Narodowego, Adam Siemaszko, mój przyjaciel zaproponował mi pracę w propagandzie OZN-u. W OZN-ie diabli mnie brali, gdy Koc zaczął dogadywać się z Piaseckim. Jako działacz ZPMD nie mogłem pogodzić się z tym, że on porozumiewa się z gorszymi od endeków, bo z oenerowcami, i to z tymi „z pod ciemnej gwiazdy". Był tam też taki major Kruk-Strzelecki, a ja miałem mu coś pomagać. Zobaczyłem wtedy, że jego propaganda to rzecz niepoważna. Nie było żadnej propagandy tylko codziennie ogłaszano kto przystąpił do obozu. Wobec tego wycofałem się z tego stanowiska. Powróciłem kiedy nowym szefem sztabu OZN-u został pułkownik Jan Kowalewski, którego dobrze znałem. To był bardzo inteligentny jegomość. Znałem go gdy poprzednio był attache Wojkowym w Bukareszcie, gdzie nieraz bywałem. I tak zostałem szefem propagandy OZN-u.

Jakimi środkami pan wówczas dysponował?

Żadnymi. Właściwie miałem takich dwóch facetów, którzy zupełnie się do tej roboty nie nadawali. Musiałem stworzyć nowy zespół. Później powiedziałem, panie pułkowniku ja musze pojechać i przedstawić się w redakcji. Byłem w „Robotniku" u Niedziałkowskiego, w prasie endeckiej, pojechałem do „Kuriera Warszawskiego", do wieczorówek. Uważałem, że niezależnie od poglądów politycznych prasa powinna znać się wzajemnie.

Postanowiłem tworzyć propagandę skuteczną. Dbając o to, by w jak najmniejszym stopniu była totalna, aby nie można było jej o totalizm posądzić. Chciałem docierać do środowisk robotniczych, ale także i ich opinie reprezentować. Gorzej było dotrzeć do wsi, gdzie silne były „Wici", choć działał i „Siew". W samym OZN-ie widoczne było, że reprezentowana jest tam nie tylko prawica. Byli tam również „naprawiacze" z Wilna, Lubelszczyzny i Poznania, a więc lewica piłsudczykowska.

Muszę przyznać, że w mojej pracy jako szefa propagandy miałem absolutnie wolną rękę. Tylko ode mnie zależało co zrobię. Dość szybko powstał kryzys. Wycofano Kowalewskiego i przyszedł Wenda.

Z II Oddziału.

Równocześnie z otoczenia Śmigłego. Zrobiłem wtedy pewnego rodzaju manifestację. Miałem już 23 pracowników, z tym że większość to byli „dochodzący". Złożyłem dymisję swoją swoich pracowników na ręce pułkownika Wendy. Nie było to przeciwko Wendzie, tylko w obronie Kowalewskiego. Oczywiście zrobiłem to tak, by zaraz dwie wieczorówki o tym napisały. Wenda natychmiast zaczął mnie przekonywać bym został. I ja się zgodziłem.

Z jakiego powodu musiał odejść Kowalewski?

Kryzys, który powstał wówczas w OZN-ie był zmianą pewnej linii. Płk. Kowalewski miał bardzo demokratyczne poglądy, chciał by do OZN-u wprowadzić rozmaite organizacje młodzieżowe, m.in. „Siew" – pro piłsudczykowski, ale wyraźnie demokratyczny, a nawet lewicowy. Znałem tę organizację, bo wielu członków jej kierownictwa było w ZPMD. Kowalewskiemu chodziło o to, by nie zamykać się we własnym gronie. Nie wiedziałem wtedy tego,

ale na tym tle doszło do różnic zdań między nim a Kocem. Niespodziewanie dowiedziałem się, że Kowalewski odchodzi. Byłem tym zaniepokojony, gdyż ukazywało to jak Koc się zmienił. To nie był już ten legionowy Koc, o demokratycznych przekonaniach. Zgłaszając dymisję po odejściu Kowalewskiego chciałem przeciw jego dymisji zaprotestować, ponieważ uważałem jego linię za słuszną. Chciałem by to rozeszło się po Warszawie, by następca Kowalewskiego, a już wiedziałem, że to będzie Wenda, prowadził prace OZN-u inaczej niż chciałby Koc. Więc, jak mówiłem, powiedziałem wszystkim moim kolegom, że podaję się do dymisji, gdyż przychodzi nowy szef. Koledzy dołączyli się do mnie. Informacja ukazała się w kilku popołudniówkach, także sprawa odejścia Kowalewskiego stała się głośna. Muszę dodać, że później z Wendą pracowało mi się bardzo dobrze, nabraliśmy do siebie wzajemnego zaufania. Był inteligentny i rzetelny. Dawał mi swobodę inicjatywy i pomagał w jej realizowaniu.

O pułkowniku Zygmuncie Wendzie mówiło się jako o szarej eminencji Polski, o jego wpływie na marszałka Śmigłego.

W dużym stopniu to było prawdziwe. Ja spotkałem w życiu trzech pułkowników – nie licząc Grota – których uważałem za wyjątkowo inteligentnych i z którymi można było dobrze pracować. Kowalewski, Wenda, Rzepecki. Wenda był bardzo inteligentny, przyzwoity w postępowaniu z ludźmi, bardzo oddany Piłsudskiemu, ale i Rydzowi. Poza Wendą największy wpływ na Rydza miał Miedziński, który sam mi o tym mówił. Z Wendą dobrze mi się pracowało. Dawał mi zupełną swobodę. A przecież nie zawsze wiedział co ja zrobię. Wiedział natomiast, że ja jestem związany z „Naprawą". Ja byłem oczywiście lojalny. Zawsze mówiłem gdy chciałem zrobić coś ważniejszego.

Wróćmy może do pańskiej działalności. Jak Pan tworzył tę nową propagandę.

Tak, tworzyłem wtedy nową propagandę. A to dlatego, że mnie to zafascynowało. Interesowało mnie to od czasów studenckich. Widziałem jak u nas partolą robotę, jak nie umieją do ludzi podejść i ich przekonać. A zarazem wiedziałem jakim propaganda jest ważnym instrumentem, pod warunkiem, że prowadzi się uczciwą propagandę. Nie wolno w niej oszukiwać. Nie wolno

kłamać. To jest zasadniczy warunek dobrej propagandy. I to każdej. Chyba, że jest dywersyjna.

Zgromadziłem młodych ludzi, paru z ZPMD, jednego czy dwóch z „Siewu" i jednego harcerza (nie nadawali się do tego ludzie z Myśli Mocarstwowej). Budowałem aparat do działania. Mieli pracować tak jak chciałem. Jak ktoś był słaby to go spławiałem. Dostałem nieograniczone możliwości i zupełnie wolną rękę, aby ustawić propagandę. Dotychczasowa propaganda robiła wrażenie, że oddziaływają ale tak naprawdę była bezskuteczna. Na początek postanowiłem stworzyć dobre pisma tygodniowe związane z OZON-em. Wobec tego zlikwidowałem cztery pisma ludowe finansowane przez nasze ośrodki, ale nie prenumerowane. Utworzyłem jedno pismo, tygodnik o tytule „Wieś Polska". Nie było również żadnego dobrego pisma robotniczego. A ponieważ istniały prorządowe związki zawodowe – Zjednoczenie Polskich Związków Zawodowych, które było przy OZON-ie, trzeba było coś zrobić dla nich. Podobnie jak z pismami chłopskimi postąpiłem z pismem dla robotników. Redaktorem został Józef Sosnowski, profesor z gimnazjum im. Władysława IV na Pradze.

Uważałem, że pisma nie mogą rozchodzić się za darmo, gdyż będą lekceważone i poniewierane. Zdobycie prenumeratorów nie było łatwe. Ludzie byli zdemoralizowani tym, że dotychczas dostawali gazety za darmo. W związku z tym „Wieś Polską" zacząłem robić tak, by dawać prerogatywy prenumeratorom. Ci, którzy płacili prenumeratę za kwartał mogli uczestniczyć w losowaniu sprzętu rolniczego – pługów, bron, młockarni. Nic mnie to nie kosztowało, gdyż znalazłem firmy, które się u nas ogłaszały i mogły płacić gotówką lub sprzętem. Po losowaniu sprowadzałem zwycięzców do Warszawy, tam otrzymywali wygrany sprzęt a następnie prezentowaliśmy to w gazetach, itd. Dzięki takim sposobom ilość prenumeratorów zwiększyła się do trzydziestu paru tysięcy, co na ówczesne czasy było bardzo dużą liczbą.

Z robotnikami zrobiłem inaczej. Mieliśmy Zjednoczenie Polskich Związków Zawodowych, które było szczególnie silne na Śląsku. Zawarliśmy tam następującą umowę. W składkę związkową wliczona była prenumerata (obniżona zresztą) za numer „Robotnika Polskiego". Osiągnęliśmy w ten sposób 103 tysiące płatnych prenumeratorów. Dzięki temu mieliśmy już realnych odbiorców.

Udało mi się również załatwić z Wojskowym Instytutem Naukowo-Wydawniczym następującą transakcję. Oni posiadali ścienną gazetkę to się nazywało „Nowiny". Jedno wydanie było dla żołnierzy, drugie dla ludności cywilnej było na rozpaczliwie niskim poziomie. Zaproponowałem, żeby oddali mi te cywilne „Nowiny", że my to będziemy redagować. Rozwieszaliśmy ją w rozmaitych urzędach, starostwach, tam gdzie gromadzili się ludzie. Kiedy ruszyłem z gazetą ścienną, to bardzo dbałem o dobry materiał ilustracyjny. Olbrzymi nacisk kładłem, by w każdym wydawnictwie były zdjęcia. Miałem jeszcze zaplanowane nowe pismo wzorowane na niemieckich tygodnikach, składających się prawie z samych obrazków. Takie rzeczy częściowo ukazywały się u nas w dawnym zaborze pruskim, ale to było jeszcze za mało. Miało to być tylko przyjemnością do czytania i obejrzenia. Tego jednak już nie zdążyłem zrobić.

Jak wyglądały Pańskie stosunki z Polskim radiem?

Stałych audycji nie miałem, natomiast w każdej chwili miałem dostęp do radia. Przeważnie dwa razy w miesiącu robiłem wieczorek takie krótkie pięciominutówki. Po prostu dzwoniłem, że mam coś interesującego i umawiałem się na odpowiednią godzinę. Często poprawki tekstu robiłem jeszcze w taksówce jadąc do radia.

Ale zatrzymajmy się jeszcze przy propagandzie. Zwróciłem uwagę na plakat. Prosiłem różnych moich znajomych. Korespondentów, ludzi jeżdżących w świat, aby przysyłali mi plakaty z różnych stron świata. Chodziło mi o zgromadzenie jak największej ilości plakatów, by służyły jako wzór tego jak nowocześnie robić nasze. Wydałem parę takich plakatów.

Pańskie doświadczenie zostało spożytkowane w wyborach 1938 roku …

To była ważna politycznie sprawa. Uważałem, że wydawanie i rozrzucanie ulotek po ulicach jest szkodliwe. Postanowiłem wydać broszurę w nakładzie miliona egzemplarzy i rozesłać je imiennie przez pocztę. Kiedy to powiedziałem Wendzie, to spojrzał na mnie jak na wariata. „A co pan z tym zrobi?", spytał mnie Wenda. „Roześlę na adresy domowe', odparłem. Treść tej broszury była spokojna. Zawierała omówienie sytuacji w kraju, zadania OZON-u, odpowiedź na pytanie dlaczego potrzebne są wybory. Teraz trzeba było zdobyć

adres. Zakładałem, że ktoś kto otrzymuje do domu broszurę adresowaną do niego, to ją przeważnie przeczyta – 16 stron drukowanego słowa za darmo, to warto przeczytać. Zaczęliśmy szukać adresów. Książki telefoniczne częściowo tylko rozwiązały problem. Zacząłem szukać po rozmaitych instytucjach, np. w Banku Rolnym, który posiadał adresy pożyczkobiorców, PKO, Bank Gospodarstwa Krajowego. Dość, że broszurek poszło drogą pocztową ponad 900 tysięcy. Była to olbrzymia praca organizacyjna. Pracowało przy tym kilkadziesiąt osób. Robili to młodzi chłopcy, których wynajmowaliśmy.

Propaganda ta zdała egzamin czego dowodem była frekwencja wyborcza, wyraźnie większa niż w poprzednich wyborach. Oczywiście był to wynik także ogólnej sytuacji politycznej. Ważne były także przemówienia, np. Kwiatkowskiego, Wendy, Miedzińskiego, Skwarczyńskiego, które szły na całą Polskę przez radio.

To były wybory, w których startował także Pan, wtedy całkiem młody człowiek, który na dodatek dysponuje najpotężniejszym w ówczesnej Polsce aparatem propagandy.

Przyszedł do mnie kierownik organizacyjny w OZN-ie i zapytał czy chciałbym startować w wyborach do Sejmu. Zgodziłem się. Powiedział mi wtedy, że mamy do wyboru Nowogródek albo powiat warszawski. Nie zgodziłem się w żadnym wypadku na Nowogródek, z powodu opinii na temat tego jak się głosuje na kresach wschodnich. Wybrałem powiat warszawski, w którym przed dziesięciu laty pracowałem i działałem. Tam był przecież mój Pruszków, gdzie tworzyłem „Strzelca".

Miałem wówczas masę roboty z ogólną propagandą i dlatego mogłem wyjeżdżać tylko wieczorami na spotkania w terenie. Udało mi się być we wszystkich ważniejszych punktach wyborczych. W czasie swych spotkań przedwyborczych nigdy nie mówiłem o sobie. Mówiłem o konieczności głosowania, dlaczego powinniśmy to robić. Tłumaczyłem, że nie muszą głosować na mnie, ale wysoka frekwencja jest potrzebna by wykazać siłę Polski.

Kiedyś w czasie spotkania miałem taką przygodę. Zebranie odbywało się na przedmieściu Bródna, tam gdzie jest wielki cmentarz, a było to w okolicach 1 listopada. Po spotkaniu jeden z organizatorów wręcza mi doniczki z chryzan-

temami i prosi bym zabrał je dla małżonki. Takie właśnie doniczki stawiano na grobach.

Moi znajomi z Pruszkowa przygotowali ulotkę apelującą o poparcie dla mnie i rozesłali na różne adresy.

Z całej pracowitej kampanii przedwyborczej miałem bardzo dobre wrażenia. W wyborach zwyciężyłem wyprzedzając o 20 tysięcy głosów następnego na liście (było 5 kandydatów). Dostałem 70 tysięcy głosów. I tak zostałem posłem na Sejm.

Najmłodszym posłem Rzeczpospolitej i czekało Pana ślubowanie.

Zaraz opowiem jak to było. Wcześniej wiedzieliśmy, że marszałkiem Sejmu będzie wybrany Makowski, profesor prawa. Wicemarszałkami byli Wysl Mudryj (Ukrainiec), Wenda, Surzyński Jedynak i Długosz. Ten ostatni był z „Naprawy" z Poznania, no Wenda z OZN-u ponadto było ośmiu sekretarzy. Ja jako najmłodszy byłem także sekretarzem. Zawsze na każdym posiedzeniu siedziało nas dwóch. Po złożeniu przysięgi wyczytywałem kolejnych posłów, którzy mieli składać przysięgi. Sala miała dobrą akustykę, ja zaś dysponowałem niezłym głosem, więc wszystko to dobrze wyszło. Zostałem też członkiem Sądu Marszałkowskiego i czterech komisji sejmowych, starałem się być we wszystkich czynny.

Pan często występował w komisjach sejmowych?

Obowiązek poselski traktowałem poważnie i chciałem korzystać z okazji do poruszania rozmaitych spraw. Zawsze bardzo starannie przygotowywałem się do wystąpień, zwłaszcza w Komisji Budżetowej, gdzie należało być bardzo ścisłym w stawianiu spraw. Miałem absolutnie wolność słowa, gdyż w kierownictwie OZN nikt nie wtrącał się do mojej działalności sejmowej, a parokrotnie nawet zlecono mi wystąpienie w imieniu OZN.

W Komisji Budżetowej miałem kilka przemówień, które zmusiły ministrów do uznania mej krytyki za słuszną. Swe wystąpienia zacząłem w styczniu 1939 r. przy rozpatrywaniu budżetu prezydium Rady Ministrów, do którego włączone były sprawy Polskiej Akademii Telegraficznej (PAT). Szczególnie obrazowo i dotkliwie skrytykowałem niewłaściwy poziom filmowego „Tygodnika Aktualności" tej agencji. Uważam, że nie jest na właściwym poziomie tematycznym, gdyż niezwykle mało mówi o wydarzeniach w całym kraju, a koncentruje się na tzw. galówkach. Opowiadałem m.in. jak przedstawia się społeczeństwu takie wydarzenia, jak np. budowa nowego mostu. Na ekranie pokazują nam ministrów i dygnitarzy w uroczystych melonikach, a nie wiemy nic na temat kto planował ten most, jak robotnicy pracowali przy jego budowie, czy inżynierowie. To wystąpienie nazwano ogólnie „filmowaniem meloników". Odpowiadał mi na tę krytykę premier Sławoj-Składkowski. Przyznał mi rację i zapowiedział, że w przyszłości będzie już mniej meloników, a więcej robotników i zdjęć z ich pracy.

Przy rozpatrywaniu budżetu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przedstawiłem ministrowi, czyli Sławojowi, rozmaite potrzeby regionu podstołecznego, mojego okręgu wyborczego. Zabierałem również głos przy rozpatrywaniu budżetu Ministerstwa Oświaty, wzywając by w programach wyższych uczelni uwzględniono także najważniejsze podstawy wiedzy wojskowej. Podkreślając, że zajścia antyżydowskie na uniwersytetach są „plamą na honorze polskiego akademika", wyraziłem nadzieję, że minister znajdzie właściwe metody, by zapobiec temu i zapewnić spokój na uczelniach.

Również w styczniu zgłosiłem na plenum Sejmu interpelację poselską z powodu długotrwałych opóźnień i nieregularności w węźle warszawskim, na co przez parę tygodni narzekali wszyscy dojeżdżający do Warszawy. Domagałem się od ministra (płk Ulrycha) wyjaśnień w tej sprawie. Była to pierwsza i chyba jedyna interpelacja posła do ministra świadcząca, że posłowie OZN mają absolutną wolność krytykowania swych ministrów.

W lutym z ramienia OZN przemawiałem na plenum sejmowym w dyskusji nad budżetem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Te zagadnienia od dawna bardzo mnie interesowały i miałem okazje, by w imieniu OZN przedstawić pewne wytyczne programowe w stosunku do polityki społecznej Rządu. Jej ogólne założenia miałem przemyślane wcześniej i teraz rozwijałem je obszernie z głębokim przekonaniem, ze przyjęcie przez Sejm i Rząd moich propozycji wpłynie istotnie na poprawę sytuacji świata pracy, jak również będzie miało korzystny wpływ na popularność OZN-u. prasowe sprawozdanie z mego wystąpienia były bardzo obszerne. Przed kilkunastu laty w Paryżu

znalazłem numery „Gazety Polskiej" z tego okresu. W jednym z numerów była mowa o tym moim wystąpieniu sejmowym z 16 lutego. Przytaczam z niego kilka fragmentów, utrwalonych w tym numerze „Gazety".

„Robotnik musi mieć świadomość, że swoją pracą przyczynia się do wzmożenia siły gospodarczej Polski i potencjału jej obronności… Pracodawca musi nauczyć się zasiadać z robotnikami przy wspólnym stole narad. Wyzysk powinien być tępiony nie tylko przez ustawy, ale piętnowany w opinii publicznej.

Na czoło zagadnień ustawodawczych wysuwa się konieczność powołania Izb Pracy. Dojrzała również do załatwienia sprawa ustawy o instytucji rad zakładowych. Na ustawodawstwo oczekuje również sprawa przymusowego rozjemstwa i obowiązkowego zawierania umów zbiorowych. Państwo musi uregulować politykę władz tak, aby normy zarobkowe zapewniały stałe podnoszenie poziomu życia robotników.

Należy usprawnić i rozszerzyć uprawnienia Inspekcji Pracy. W instytucjach ubezpieczeniowych (w Kasach Chorych) powinien obowiązywać samorząd".

Przemówienie moje zostało dobrze przyjęte przez Sejm. Ówczesny minister pracy i opieki społecznej Marian Zyndram-Kościałkowski, człowiek o postępowych przekonaniach, podszedł do mnie, by wyrazić całkowitą aprobatę dla moich postulatów. Zapytał mnie jednak czy zdaję sobie sprawę. Że jeśli przeprowadzimy wybory do władz w Kasach Chorych, to opozycja może uzyskać większość. Odpowiedziałem mu, że liczę się z tym, ale powinny odbyć się wolne wybory, a rzeczą OZN będzie zabiegać o zwycięstwo w nim. Wybory jednak są koniecznością.

Zgłaszał Pan wówczas problem robotników dniówkowych.

W związku z moimi zainteresowaniami sprawami robotniczymi zwróciłem uwagę na problem robotników dniówkowych, których w Polsce było bardzo wielu. Chodziło o to, że robotnik dniówkowy jest płacony tylko za te dni, które przepracuje. Jest więc społecznie pokrzywdzony w porównaniu z robotnikami stałymi. Poprzez ambasady polskie w innych państwach zbadałem jak wygląda sprawa takich robotników i zgłosiłem projekt specjalnej ustawy w tej sprawie. Zaproponowałem na początek wprowadzenia przymusu wypłacania dniówkowym wynagrodzenia za drugie dni Bożego Narodzenia i Wielkanocy za dzień

Święta Niepodległości. Komisja Sejmowa uchwaliła mój projekt i wpłynął on pod obrady plenum Sejmu. Jak się jednak okazało wice minister komunikacji, Julian Piasecki, po niewczasie przeraził się, że jego ministerstwa zatrudniające wielu pracowników dniówkowych będzie miało kłopoty, gdyż przekroczy swój budżet. Zwrócił się więc do premiera Składkowskiego, by prosił mnie o zgodę na odroczenie głosowania dla ponownego przedyskutowania ustawy w komisji. Zgodziłem się na to, ale niechętnie, wzywając do szybkiego rozważenia mego projektu. Nadchodził jednak gorący okres przedwojenny i moja ustawa nie zdążyła ujrzeć światła dziennego.

Muszę stwierdzić, że dobrze czułem się w Sejmie. Miałem bezpośredni wgląd w szeroki zakres rozmaitych zagadnień państwowych, przekonałem się, ze mam pełną swobodę nie tylko krytykowania różnych spraw, ale i projektowania ich rozwiązań, a przede wszystkim nabrałem pewności jak wiele ważnych zagadnień można rzeczywiście w Sejmie załatwić. Oczywiście pochłaniało to dodatkową ilość mego czasu, ale dawało mi wiele satysfakcji.

Miał Pan również kierować propagandą wojskową na parę miesięcy przed wybuchem wojny?

W marcu 1939 roku przyszedł do mnie Wenda i powiada: „Panie Tadeuszu, jedziemy do Ministerstwa Spraw Wojskowych, bo prosi o to minister Kasprzycki". Na miejscu Kasprzycki poprosił mnie bym pokierował propagandą wojskową. Proponowaliśmy to Wańkowiczowi – mówił Kasprzycki – ale on odpowiedział, że dopóki nie będzie miał na to miliona złotych, to się za propagandę wojskową nie weźmie. Powiedziałem wówczas, że miliona nie potrzebuję, lecz nie mogę jednocześnie prowadzić dwóch propagand. Albo OZN, albo wojsko. Dodałem jednocześnie, że w propagandzie OZN-u już siedzę, a wojskową trzeba budować od początku. Niech więc pułkownik Wenda decyduje. Wenda nie wyraził zgody. Teraz, z perspektywy lat, uważam, że dobrze się stało, bo tamtej propagandy nie udałoby się tak szybko uruchomić. Wtedy nie było żadnej propagandy wojskowej. Tam trzeba było ludzi dopiero uczyć. W OZN-ie zgranie i wyszkolenie ludzi trwało około dwóch lat.

Skoro już jestem przy propagandzie wobec zbliżającej się wojny, to w 1939 roku sporo jeździłem jako taki „pyskacz" na rozmaite zebrania. Na jeden z ta-

kich wieców pojechałem do Gdyni. Tam dowiedziałem się,,ze Hitler w Reichstagu zerwał pakt o nieagresji z Polską. Dla mnie jako mówcy był to istny raj na ziemi. Frekwencja była bardzo duża. Mogłem sobie poużywać na Hitlerze i cała sala dosłownie huczała. Bardzo mnie pochwalił wtedy Kazimierz Rusinek, późniejszy komunista, a wówczas pepesowiec.

Ale działał Pan nadal w Związku Strzeleckim…

Tak. W 1933 roku objąłem redakcję tygodnika „Strzelec", który był organem Związku Strzeleckiego. Czasopismo przejąłem po Wojciechu Stpiczyńskim. On nie miał czasu na prowadzenie tej gazety i dlatego mnie to powierzono. Tygodnik ten miał zasięg ogólnopolski. Trzeba było temu pismu nadać jakiś charakter, ożywić je. Chodziło o kształtowanie typu żołnierza – obywatela. Była to bardzo przyjemna robota. Pokusiło mnie jednak, aby zrobić jakieś ciekawsze, specjalne numery. W 1934 r. przypadała 20 rocznica wymarszu „kadrówki", więc z tej okazji zdecydowałem się zrobić numer specjalny. Chciałem zdobyć ciekawe materiały ilustracyjne, wypowiedzi żyjących członków kadrówki i to mi się udało. Bardzo ciekawe relacje historyczne napisali Englert i Pomarański. Była to pierwsza pełna historia kompanii kadrowej.

Potem robiłem specjalny numer poświęcony Strzeleckiej Oficerskiej Szkole w Stróży, koło Limanowej, którą utworzono w 1913 roku. Prowadził ją sam Piłsudski, był tam Sosnkowski. Udało mi się odtworzyć historię tej szkoły, programy wykładów, itd. Teraz chyba nigdzie nie ma pełniejszego obrazu tej szkoły.

Zrobiłem jeszcze kilka takich specjalnych numerów m.in. o POW.

Praca w "Strzelcu" sprawiała mi dużo przyjemności, ale kiedy zająłem się propagandą ozonową, to musiałem się ze „Strzelcem" pożegnać.

W czyje ręce przekazał Pan „Strzelca"?

Przyszedł wtedy Roman Goldman, który później był w AK i WIN-e. był to bardzo solidny i ideowy człowiek.

Wracając do działalności w OZN-ie, Pan zajmował się problemami środowiska wiejskiego i robotników.

Do robotników miałem szczególny sentyment, gdyż zetknąłem się z nimi w Pruszkowie. Bardzo chciałem te środowiska postawić wyżej w hierarchii społecznej, aby sami poczuli, że są równorzędnymi partnerami inteligencji.

Włosi wtedy zaczęli organizować akcje spędzania wolnego czasu przez robotników. Wysłałem jednego ze współpracowników by przyjrzał się temu co robią Włosi. Niemcy mieli „Kraft durh Freude". Denerwowało mnie, że kiedy organizowano rejsy „Batorym" czy „Piłsudskim", to jadą tylko tzw. burżuje. A robotnik czy chłop, któremu mówiło się, że ma polskie morze nie mógł o tym nawet zamarzyć.

Pod koniec 1938 roku, tj. w parę tygodni po tym, jak wszedłem do Sejmu, marszałek Makowski zrobił takie zebranie w swoich apartamentach dla prezydium Sejmu, do którego ja wchodziłem jako sekretarz oraz dla ministrów. Powiedziałem sobie teraz albo nigdy – trzeba ich „pogolić". Chciałem po prostu zdobyć pieniądze na zorganizowanie po Bałtyku dla robotników i chłopów. Przecież trzeba takie rejsy dofinansować, by taki robotnik mógł w ogóle pojechać. I tak zacząłem szturmować różnych ministrów o pieniądze na taką akcje. Dopadłem jeszcze dyrektorów PKO i Banku Gospodarstwa Krajowego. W ciągu paru tygodni wiedziałem, że będę miał na to pieniądze. Zebrałem ok. trzydziestu paru tysięcy. Na ówczesne czasy była to niemała kwota. Kiedy już miałem pieniądze trzeba było zastanowić się jak to wszystko zorganizować.

Chciałem zawieść moich robotników do Szwecji, więc wysłałem jednego z moich [podwładnych, by tam pojechał i zobaczył jak wygląda sytuacja (domy robotnicze itd.), potem zaś wysłałem go do Kopenhagi, aby zorientował się jak tam z kolei wygląda sytuacja chłopów. Mówiło się wtedy dużo o rolnictwie duńskim. Chciałbym, aby ludzie nie tylko płynęli po morzu, ale także zobaczyli jak żyją ich koledzy za granicami Polski.

Ostatecznie ustaliliśmy, że robotniczy rejs odbędzie się do Szwecji, a rolnicy popłyną do Danii.

Jak liczne były to grupy?

Statek miał chyba ok. 300 ludzi. Wynająłem „Pułaskiego". Polegało to na tym, że ja tym statkiem władam, tzn. robię imprezy, lokuję ludzi, a kapitan

zajmuje się żeglugą. Przygotowaliśmy specjalne wyposażenie statku, by każdy z przybyłych ludzi mógł czuć się dobrze.

Pozostała kwestia werbunku na rejs. Jeśli chodzi o robotników sprawa była o tyle prosta, że na wyjazd kierowały związki zawodowe, gdyby była ich za dużo zdecydowaliśmy się na losowanie. Rozdzielaliśmy ich w ten sposób, by z każdego większego ośrodka robotniczego byli jacyś ludzie. Wszyscy płacili, ale niewiele. Chodziło o to, żeby to nie była „darmocha". Z chłopami zrobiłem w ten sposób, że pierwszeństwo mieli prenumeratorzy naszej prasy, a gdy chętnych było zbyt wielu, to robiło się losowanie.

Czy było dużo chętnych?

Nadmiar. Mnie jeszcze chodziło oto, żeby ten robotnik czy chłop czuł się pełnoprawnym uczestnikiem wycieczki, więc musi korzystać ze wszystkich udogodnień, z których normalnie nie korzysta. Wobec tego, ze na statku były trzy pokłady, postanowiłem, że nie może być takiej sytuacji, by gorsze miejsca zajmowali tylko robotnicy czy chłopi, lecz muszą być przemieszani z zabranymi na rejs notablami. Notabli zabrałem dlatego, żeby robotnicy wiedzieli, że ministrowie jadą z nimi, siedzą przy stole, kontaktują się z robotnikami. Byli tam ministrowie, marszałkowie Sejmu, jak np. Wenda, Tadeusz Lechicki – wiceminister. Nie musiałem ich zresztą do tej idei specjalnie przekonywać.

Pozbierałem artystów, aktorów, organizowaliśmy kabaret. Oczywiście jechały orkiestry – na wyjazd robotniczy ze Śląska i dwie wiejskie.W Sztokholmie i kopenhaskim rejsie organizowaliśmy występy naszych zespołów.

Wyjazdy cechowała duża dyscyplina. W Sztokholmie spóźniła się jedna grupa na statek, postanowiłem więc odpłynąć bez nich. Dogonili nas motorówką. Mocno ich obrugano, gdyż kompromitowali nie nas, lecz Polskę wobec Szwedów.

Kiedy natomiast z chłopami dopłynęliśmy do Kopenhagi, czekał na nas ktoś z ambasady i grupka ludzi. Gdy zszedłem po trapie, by się przywitać z czekającymi ludźmi okazało się, że są to dziennikarze pragnący zadać mi pytania. Było to w czerwcu więc pytano mnie o sprawę Gdańska. Moje odpowiedzi poleciały w wieczorówkach na pierwszych stronach. Potem polski ambasador dziękował mi, gdyż od miesięcy starał się zdobyć prasę – bezskutecznie.

Ciekawe jak zmieniły się oceny ludzkie. Początkowo mało kto wierzył w sukces tego pomysłu, ale gdy wróciliśmy Wenda zaczął mnie namawiać bym zrobił kolejny wyjazd. Ale powiedziałem, że w 1939 roku już nie zdążę. No i później też nie zdążyłem.

Chciałem wrócić do wydarzenia, o którym już Pan wspominał. Do śmierci Komendanta.

To było w niedzielę wieczorem. Wracaliśmy od przyjaciół Nowym Światem. W niedzielę zawsze był mały ruch i nagle zobaczyłem, że pędzą jakieś dwa czy trzy samochody w kierunku Belwederu. Bardzo się tym zaniepokoiłem. Wiedziałem, że Marszałek jest chory, ale nie wiedziałem w jakim jest stanie. Wróciliśmy do domu i koło dziesiątej wieczorem przyszła wiadomość o śmierci.

Później dwukrotnie byłem jeszcze w Belwederze. Raz z Komendą Główną Związku Strzeleckiego i jeszcze raz z Ministerstwem Sprawiedliwości, by złożyć hołd leżącemu tam na wzniesieniu Marszałkowi. Byłem śmiercią Marszałka bardzo głęboko poruszony i zaniepokojony. Nie wiedziałem co będzie dalej. Nie było nikogo kto mógłby go zastąpić. Potem krytycznie patrzyłem na nominację Śmigłego na Marszałka. Uważałem, że jest to za szybko. U mnie w pokoju w OZN wisiał tylko portret Marszałka Piłsudskiego.

Pan spotykał osobiście Rydza?

Tak, parokrotnie. To nie był tej miary człowiek. Był bardzo uczciwy i spokojny. Był dobrym dowódcą armii, ale bez dorobku intelektualnego.

A ostatni premier Rzeczpospolitej, Sławoj-Składkowski?

Spotykałem się z nim. Był to człowiek bardzo energiczny i bardzo dobry jako gospodarz. Przesadzał co prawda z tymi 5 minutami, że nie można się było spóźnić do biura. Ale zrobił sporo porządków. Te jego „sławojki" czy wyasfaltowanie wszystkich podwórek w Warszawie, to były bardzo rozsądne zarządzenia. Żaden magistrat by tego nie wprowadził. To był dobry administrator, ale nie polityk.

Innym wybitnym człowiekiem, z którym Pan się stykał był Adam Skwarczyński.

To był teoretyk a nie polityk, kiedy przypominam sobie spotkania z nim to pamiętam, że on widział wszystko jakby „przez mgłę". Może miało wpływ na to jego kalectwo, bo nie miał swobody ruchu. To był bardzo inteligentny człowiek, szlachetny. Gdy go widziałem był już bardzo chory.

A kogo z polityków ostatnich lat Polski Niepodległej ceni Pan najwyżej?

Na pewno Kwiatkowski. Drugi Beck. Świetne były koncepcje gospodarcze Kwiatkowskiego. Widać było jak COP rośnie. Jeździłem tam ze dwa razy do roku. To był fenomen gospodarczy. Podobnie Beck. Ukończył Wyższą Szkołę Wojenną i to z dobrą lokatą. Rozumiał dobrze jak wielkie są nasze braki w wyposażeniu wojennym z powodu braku funduszy i zdawał sobie sprawę, że z olbrzymim wysiłkiem finansowym następuje szybko wzrost naszego potencjału wojennego. Stąd wywodziły się te wszystkie jego pozorne ustępstwa, niezrozumiałe właściwie przez znaczną część naszego społeczeństwa.

Jakżeż niesłusznie oskarżono Becka i potępiono za Zaolzie. Zapomniano, że to Czesi po raz pierwszy złamali umowę z Polską o podział ziemi cieszyńskiej z 5 listopada 1918 r. złamali ją zbrojnie w styczniu 1919 r., a nową linię demarkacyjną próbowali naruszyć w miesiąc później. Wbrew umowie z Polską, podpisaną przy udziale Francji, w krytycznym okresie sierpnia 1920 r. odmówili tranzytu transportom z bronią i amunicją idącym do nas z Francji i skorzystali z krytycznej sytuacji pod Warszawą, by wymusić na Polsce krzywdzącą nas nową linię graniczną. Nie pamięta się, że Benesz w 1938 r. kapitulował przed Hitlerem. Odzyskując Zaolzie podtrzymywaliśmy – przynajmniej na pewien czas – zagrożenie ze strony niemieckiej.

Widziałem Becka z bliska w dniu 5 maja 1939 r. gdy wygłaszał swe pamiętne, historyczne przemówienie w Sejmie, mocne i godne, zakończone słowami o polskim honorze. Ilekroć slysze bezpodstawne zarzuty stawiane Beckowi tylekroć mam poczucie krzywdy, jaka pośmiertnie go spotyka. Wszyscy na nim wieszają psy. A nikt nie chce pomyśleć jakby wyglądała sytuacja wojenna gdyby on nie odwlekał początku wojny. To co on zrobił, było dla nas konieczne. Mam dla niego wielkie uznanie. On przecież poniżał się (a był człowiekiem bardzo dumnym) byle tylko dać Polsce czas na przygotowanie do obrony. Gdybyśmy mieli jeszcze rok czy dwa…

Jaka panowała atmosfera w tych ostatnich dniach przed wybuchem wojny, co Pan wtedy robił?

W lipcu 1939 roku zwrócił się do mnie minister komunikacji płk Ulrych z prośbą żeby mu dopomóc w propagandowej części Zjazdu Legionistów w Krakowie. Zjazd miał być duży, atmosfera i stosunki polsko – niemieckie były napięte. Pachniało już trochę prochem. Zwrócił się do mnie, gdyż uznał, że moja propaganda w OZN-ie zdaje egzamin, jest na dobrym poziomie.

Przygotowaliśmy afisze, plakaty, szybką obsługę radiową. Wyszło to zupełnie dobrze. Gdy patrzyłem na uczestników Zjazdu, na mieszkańców Krakowa, to widziało się, że są to ludzie świadomi odpowiedzialności za losy kraju. Powiedzenie Rydza o guziku którego nie oddamy przyjmowano na serio. Czuło się tam tradycje i poczucie obowiązku.

W sierpniu byliśmy już po tajnej mobilizacji kartkowej. Byłem wtedy pod Ciechocinkiem u znajomych. W związku ze zbliżaniem się 15 sierpnia zasugerowałem im zorganizowanie Święta Żołnierza. Z okazji tego święta musiałem obsłużyć parę takich zebrań. Po powrocie do domu musiałem podobne spotkania odbyć w swoim okręgu poselskim we Włochach pod Warszawą. Pamiętam, że mówiłem wtedy – Kiedy zabraknie broni to będziemy się bronić choćby kamieniami z bruku.

Jeden moment bardzo utkwił mi w pamięci. Byłem wtedy na Matejki, w naszej siedzibie OZN. Poszedłem do pokoju Wendy. A on zmartwiony mówi do mnie: „Panie Tadeuszu (to był akurat 23 sierpnia 39) to nie dobrze. To jest najgorsza wiadomość, jaka mogła przyjść'. Były to już ostatnie dni przed wojną. Trwały przygotowania do mobilizacji.

Gdzie się Pan znajdował gdy zaczęła się wojna?

Mieszkaliśmy nad Wisłą, w pobliżu kolejowego mostu Poniatowskiego. Rano ok. 5 obudziłem się, gdy usłyszałem strzelaninę karabinową. Była to obsada karabinów maszynowych ochrony mostów i gdy na niebie pojawiły się niemieckie samoloty to polska obrona otworzyła do nich ogień.

Włączyłem radio i właśnie powtarzano przemówienie prezydenta Mościckiego o wybuchu wojny.

Ale muszę cofnąć się jeszcze do okresu poprzedzającego wybuch wojny. Zastanawialiśmy się co będziemy robić w momencie wybuchu wojny. Powiedziałem Wendzie, że chcę iść do wojska. Zanim jednak do tego doszło, dostałem kartę do mego 21-go Warszawskiego Pułku Piechoty, stacjonującego w Cytadeli. Natychmiast tam się zjawiłem. Pełno tam już było moich kolegów, znanych i nieznanych. Idę do oficera mobilizacyjnego chorążego Dudzika. A on na mój widok mówi: „Proszę pana, pan nie może iść do wojska, bo pan jest posłem". Starałem się jeszcze go przekonać, ale bezskutecznie. Wobec tego wróciłem do domu. Pojechałem na Matejki i powiedziałem co się dzieje. Tam przygotowaliśmy się na wypadek, co będziemy dalej robić. Trzeba przyznać, że OZN nie był przygotowany politycznie i organizacyjnie.

Ale raz jeszcze muszę się cofnąć. Na wypadek wojny miałem przygotowany w tajemnicy duży plakat Ozonu. To był żołnierz z karabinem w ręku i z okrzykiem „Do broni". Autorem był mój przyjaciel Adam Siemaszko. Miałem umowę z dużą drukarnią „czerwonaków", gdzie była przygotowana klisza plakatu, który na mój rozkaz mieli drukować. Około 6-tej zatelefonowałem. O godzinie 12 plakaty już wisiały na mieście.

Pojawił się problem nagłego zwołania Sejmu. Posiedzenie miało miejsce 2 września, w sobotę po południu. Miałem tam osobistą przyjemność, gdyż zostałem wyznaczony przez OZN jako referent ustawy, a właściwie poprawki do ustawy o „Powszechnym obowiązku służby wojskowej". Normalnie posłowie i senatorowie byli zwolnieni od służby wojskowej, gdyż mieli być w każdej chwili do dyspozycji Sejmu. W związku z tym, abyśmy mogli pójść do wojska, został przygotowany projekt ustawy pozwalający posłom i senatorom na służbę wojskową w czasie wojny. A jednocześnie powoływało się zmniejszone zespoły Sejmu i Senatu. Szedłem na to posiedzenie mocno zemocjonowany. Zjechali się prawie wszyscy posłowie. Posiedzenie odbywało się po południu. Kopuła Sejmowa była cała oszklona. Siedzieliśmy na sali aż w pewnym momencie dało się słyszeć warkot samolotów. Pomyślałem sobie wtedy, jak by to wyglądało gdyby rąbnęła tutaj taka bombka.

Projekt referowałem krótko i z ogniem. Po moim wystąpieniu deklarowały swoje stanowiska poszczególne kluby poselskie. Bardzo bojowe było wystąpienie posła żydowskiego. Wszystko to było w podniosłym nastroju.

Następnego dnia – 3 września – musiałem być w sztabie OZN-u, aby przygotować moje odejście do wojska. I w poniedziałek rano pojechałem do Cytadeli. Pojechałem wiedząc, że teraz będę przyjęty do wojska.

Komu przekazał Pan Wydział Propagandy?

Przejmować mieli Staś Smoleński i Ciechomski.

Przyjechałem do swojego pułku w Cytadeli. Podchodzę do Dudzika i mówię „Widzi pan, mogę już iść do wojska". A on na to, że nie ma żadnej ustawy. Ja nie mam żadnego papierka urzędowego. „Słyszałem pana przemówienie, ale to nie ustawa". Próbuje dzwonić z pułku do gen. Kasprzyckiego, ale nie mogę się dodzwonić. Na co Dudzik zaproponował mi bym pojechał do swojego RKU. Więc udałem się na Pragę. Tam był wtedy jakiś inteligentny pułkownik, co się pułkownikom też wtedy zdarzało i starałem się przekonać go, że ja muszę być w wojsku. Dobrze mnie zrozumiał. Dałem mu telefon do mojego chorążego, no zadzwonił i mogłem pojechać do mojego pułku. Tak zaczęła się moja wojna z bronią w ręku.

Pojechałem wieczorem do pułku. Ale natychmiast pojawił się problem, gdyż chciałem od razu iść na front. Tymczasem moja jednostka była gdzieś pod Ciechanowem. Dowiedziałem się, że wychodzi z pułku batalion marszowy, taki który uzupełnia pułk w polu. Major Duch, kierujący batalionem początkowo mi odmówił gdyż miał już pełną obsadę. W końcu z pomocą majora Ducha zostałem jako dowódca plutonu i czekałem na ranny wymarsz.

Mieliśmy maszerować w kierunku Ciechanowa. Nad ranem sytuacja się zmieniła. Dostałem wiadomość, że idziemy na obronę Warszawy. Pod Tomaszowem nastąpiło przerwanie frontu i trzeba robić improwizację obrony. W związku z tym cały nasz batalion ruszył na obronę Warszawy. Kierowano nas na Mokotów.

Weszliśmy raniutko z plutonem gdy miasto jeszcze spało. Zmęczeni dochodzimy do Placu Trzech Krzyży i nagle jeden z żołnierzy proponuje: „Panie poruczniku może pojedziemy tramwajem". Zatrzymałem nadjeżdżający tramwaj i tak dojechaliśmy na ulicę Puławską do parku Dreszera.

Mój odcinek obrony obejmował Aleje Niepodległości od parku Dreszera do Rakowieckiej. Na razie miałem obserwować i alarmować na wypadek zbliżają-

cego się niebezpieczeństwa. Byliśmy niezbyt dobrze wyposażeni, nie pamiętam już czy mieliśmy nawet granaty, amunicji było mało. Porozstawiałem drużyny i zacząłem szukać miejsca dowodzenia dla siebie. Na rogu Alei Szustera i Niepodległości zobaczyłem ładny dom z ogrodem, który postanowiłem zająć jako punkt dowodzenia. Siedziałem w zajętym przez siebie ogrodzie, gdzie składano mi meldunki. Kiedy tak siedziałem czekając na dalsze meldunki, słyszę, że skrzypi furtka i widzę, że wchodzi jakiś major. Podrywam się i zaczynam składać meldunek i nagle zaczynam się śmiać, To był Stefan Starzyński. Myśmy się dobrze znali i ze „Strzelca" i Ozon-u: „Chciałem iść do wojska, ale się nie zgodzili i kazali mi pozostać w mieście. Oddaję do pana dyspozycji cały mój dom". I wten sposób zaczęła się moja kwatera bojowa w wilii Starzyńskiego na ulicy Szustera.

Bardzo byłem wtedy zainteresowany co się dalej dzieje z OZN-em. Więcej już nigdy ludzi z OZN-u nie widziałem. Skwarczyńskiemu dano początkowo dowództwo grupy wypadowej, która miała iść na Gdańsk, ale potem to cofnięto. Wenda był bez przerwy przy Śmigłym. Sztab OZN-u wyewakuował się dość wcześnie w kierunku na Lublin, że gdy przyjechałem na Matejki to już tam nikogo z kierownictwa nie było. Ani szefa Wydziału Politycznego, Delingera, ani Matrasia, szefa Wydziału Organizacyjnego. Byli tylko urzędnicy. Któregoś dnia pojechałem jeszcze raz do OZN-u, ponieważ do mnie zadzwonili. Nie wiedzieli co zrobić z pieniędzmi, które zostały w kasie. Pojechałem na Matejki, zorientowałem się, że jest tego kilka tysięcy złotych. Podjąłem decyzję, by oddać pieniądze w imieniu OZN-u na tworzące się Bataliony Robotnicze. I tak się stało. Nawet Zaremba o tym kiedyś pisał, że bardzo się zdziwił, że OZN dał pieniądze. Widać było wtedy w OZN-ie niedorozwój politycznego myślenia. Skoro jesteśmy dużym obozem politycznym to musimy w okresie wojny działać. Trzeba wspomagać wojsko, występować w Sejmie, robić propagandę. A tu nagle nie ma nic, wszystko to się rozwiało. Właściwie nie ma OZN-u. szef Wydziału Politycznego – Delinger – nie nadawał się w ogóle na to stanowisko, Matra's też nie. To był olbrzymi błąd. Albo było przekonanie, że się przegra, albo brak politycznego myślenia. Pierwsza ewentualność chyba nie była wtedy tak silna. Ale skoro zakładano, że będzie ciężka walka, to trzeba się było do tego przygotować. Do pracy w podziemiu tej części kraju. Która będzie zajęta, a w tej która będzie się broniła, trzeba jawnie działać.

Czy można postawić tezę, że OZN był nieprzygotowany na wypadek wojny?

OZN nie przewidywał przebiegu wojny.

Kto ponosi za to odpowiedzialność?

Szef przede wszystkim. Szef obozu. W dużym stopniu także Śmigły, który powinien był zwrócić uwagę, że trzeba mieć jakieś zaplecze polityczne.

Jeśli patrzeć na OZN z perspektywy czasu to był to twór sztuczny?

Nie, proszę pana. W terenie się to ostało. Sporo tam później działo się, już nie pod firmą OZN-u. ludzie w terenie pozostali i pracowali dalej w czasie okupacji. Nie było jednak planu na wypadek klęski.

Często stawiany jest zarzut, że OZN prowadził przed 1 września „propagandę sukcesu".

Nie, myśmy nie robili żadnej propagandy zwycięstwa. Była to tylko propaganda walki. Obrony i walki. Propagowaliśmy obronę. Zresztą nastroje były w społeczeństwie wspaniałe. Widziałem cały czas te nastroje w Warszawie. I jak mówiłem po raz ostatni pojawiłem się w gmachu na Matejki, żeby dać pieniądze na Bataliony Robotnicze. I to była ostatnia moja czynność o Ozonie.

A Pana dalsze losy?

Musieliśmy się przygotować do obrony przed czołgami niemieckimi. Kiedy Starzyński spytał mnie czy może mi w czymś pomóc, to powiedziałem, że trzeba powstrzymać czołgi, budując przeszkody. Albo rowy przeciwczołgowe, albo przeszkody z osadzonych w ziemi szyn. Poprosiłem Starzyńskiego o odpowiednich ludzi, którzy mieli te szynowe przeszkody wykonać. Także Szustera posiadała odpowiednią obronę przeciwczołgową. Ale miałem wielką pustą przestrzeń od Szustera do Racławickiej, gdzie było wolne pole. Zaradzałem więc, by przysłano mi ludzi do kopania rowów. Przyprowadzili ich policjanci, jedni byli ochotnikami, inni złapani na ulicy, ale wykopali nam bardzo prawidłowy rów zatrzymujący czołgi.

Potem trochę się zagęściło, gdyż przyszły inne plutony. Zaszliśmy się dozbrajać, gdyż brakowało mi uzbrojenia. Zarekwirowałem będące na moim terenie samochody i motocykle i zacząłem jeździć do pułku w Cytadeli, by dozbroić mój pluton. Koszary naszego pułku były już puste. Ale znalazłem u jakiegoś sierżanta trochę broni. W jednym z magazynów znalazłem dwa wielkie karabiny przeciw pancerne. To był wtedy wielki cymes.

Ale muszę się cofnąć. Kiedy wybuchła panika pod Tomaszowem, to myśmy dozbrajali się od żołnierzy, którzy napływali do Warszawy. Zabieraliśmy im karabiny, granaty, amunicje. Na jednym z wozów żołnierze znaleźli skrzynkę z dziwnymi, wielkimi nabojami. Oni nie wiedzieli co to jest. Ja też nie wiedziałem do czego jest ta dziwna amunicja. Ale na wszelki wypadek zatrzymałem.

Wracam więc do Cytadeli. Sierżant mi mówi: „Panie poruczniku, tu mamy takie dwa karabiny przeciwpancerne, ale nie mamy do nich amunicji". Ucieszyłem się, bo pomyślałem, że to jest ta amunicja. Zabrałem więc karabiny przeciwpancerne, dozbroiłem się w inne karabiny. Kiedyś zgłosiłem Starzyńskiemu, że brakuje mi ręcznych karabinów maszynowych. Zaprosił mnie wtedy do magistratu, gdzie przechodzące przez Warszawę oddziały zostawiły broń. Poszedłem do Pałacu Blanka, gdzie oddziały z Pomorza zostawiły rkmy. Skorzystałem z nich i dzięki temu w każdej drużynie były po dwa – trzy rkmy. Byliśmy więc wyjątkowo dobrze uzbrojeni.

Linia frontu była wtedy na Alei Niepodległości. Mnie jako radiowca niepokoiło, że przed nami jest Fort Mokotowski, na którym są anteny radiowe Warszawy II. Pomyślałem, że trzeba by spróbować to zająć i zabezpieczyć. Poszedłem więc do mojego dowódcy batalionu, majora Ducha i mówię, że chcę zrobić nocny wypad, aby zająć Fort, gdyż inaczej stracimy możność nadawania z Warszawy przez radio. Była to wtedy jedyna stacja która nadawała.

Nie wiedziałem jak zrobić rozpoznanie. Gdybym w dzień wysłał żołnierzy to Niemcy by ich ukatrupili i nie będą miał wiadomości. Wobec tego wpadłem na następujący pomysł. Sprowadziłem jakieś dwie dzielne babiny, które mieszkały w pobliżu i paru chłopaków, wyrostków, takich gazeciarzy. Powiedziałem im, żeby wzięli motyki i worki i poszli na Pole Fortu pozorując kopanie kartofli. I dzięki temu miałem dobre relacje gdzie byli Niemcy. Jak daleko. Dowiedziałem się, że Fort jest niezajęty, a Niemcy są na zachód od Fortu.

Wobec tego zrobiłem wypad w nocy. Trzeba trafu, że gdy przeprowadzałem rozpoznanie zauważyłem jakiegoś majora, który kręcił się w okolicy mojej pozycji. Podchodzę do niego, a tu się okazuje, że to jest major Wacław Lipiński, którego dobrze znałem. On pomagał mi założyć „Podchorążego". Okazało się, że major jest zaniepokojony losem stacji nadawczej. Trzeba tam było coś naprawić. Przysłał mi dwóch inżynierów, którzy z nami poszli na Fort Mokotowski. Był to stary Fort rosyjski, gdzie do głębokich podziemi sprowadzili się mieszkańcy pobliskich domów. Pomyślałem, że jest tu za mało wojska gdyż miałem tylko 20 ochotników. Zaalarmowałem dowództwo i przysłali w końcu całą kompanię, a myśmy wrócili na swoje pozycje. Antena nadawcza działała do końca obrony Warszawy.

Starzyński co jakiś czas przyjeżdżał do swojej wilii, ale stopniowo coraz rzadziej. Ja parokrotnie bywałem u niego w Magistracie. Udało mi się zorganizować mały szpital polowy, gdzie lokowałem rannych. Postarałem się o to, żeby nam przysłali jakiegoś lekarza, gdyż miałem tylko sanitariusza. I w tym szpitaliku miałem zawsze kilkanaście osób rannych, przeważnie cywili. Zrobiłem sobie mały park motorowy bo miałem kilka motocykli i samochodów. Musiałem jeździć do Starzyńskiego albo do Cytadeli po ekwipunek.

Od uciekinierów zdobyłem kuchnie polową, musieliśmy sami się wyżywić. Mogłem wyżywić żołnierzy tylko z tego, co nam chętnie dawała ludność, bo nie było normalnego zaopatrzenia.

Ponadto starałem się uciekinierów nie tylko rozbrajać, ale także wcielać do swojego oddziału. Zatrzymuję jednego idącego żołnierza, chcę mu odebrać broń, a on nie chce oddawać, bo szuka swojego pułku. Spytałem go czy chce się bić i wcieliłem go do swojego plutonu. I w taki sposób powiększyłem swój pluton o kilkunastu ludzi. W tym także dwóch podchorążaków, którzy się wycofali. Okazało się, że jednym z tych, którzy zostali u mnie był Wincenty Kraśko, późniejszy komunistyczny dygnitarz za czasów Gomułki. Był to wtedy bojowy spokojny żołnierz.

Chcąc umocnić obronę zacząłem szukać min przeciwczołgowych. Kładło się je dość gęsto, to były takie polskie, przeciwpancerne.

Dostałem ponadto pomoc w postaci trzech podoficerów ze straży granicznej sierżanta plutonowego i dwóch kaprali. Wspaniałe wojsko. Byli już w walce

na granicy polsko-niemieckiej i mieli pierwsze starcia za sobą, w początkach września. Przy ich pomocy mogłem wszystko łatwiej zorganizować. Jeden z nich plutonowy, znał się na minach i je pozakładał. Nazywał się Arnszajtis. Był to doskonały żołnierz. Na mój wniosek dostał Krzyż Walecznych za obronę Warszawy. Miny zostały tak rozłożone, że czołg musiał na nie wjechać.

Nagle w nocy budzi mnie jakiś hałas, krzyk jak cholera. Budzę się zły. Wychodzę i patrzę – pośrodku pola minowego stoi samochód osobowy. Jakiś pijaczyna wyrwał się spoza Warszawy i wjechał w środek pola minowego. I nic mu się nie stało. Jak to pijakom szczęście sprzyja.

Przedostatni raz Starzyński przyjechał do swojego domu gdzieś w połowie września. Wtedy powiedziałem mu, ze chciałbym przez radio przemówić do mojego powiatu, z którego byłem posłem. Starzyński bardzo chętnie się na to zgodził. Po południu dostałem wiadomość, żebym się stawił na Zielnej. Szybko coś tam napisałem, by zwrócić się do tych, którzy już mają u siebie Niemców i do tych, którzy są jeszcze wolni. Mówiłem, że ci którzy są pod okupacją niemiecką nie skończyli jeszcze wojny, że będą dalej walczyć, choć inaczej. Było to moje pożegnanie z wyborcami.

Kiedy Pan był na froncie mokotowskim przyszła wiadomość o wkroczeniu do Polski wojsk sowieckich. Jak Pan to przyjął?

Już wtedy wiedziałem jak jest to groźne i niebezpieczne. Wiedziałem, że się już nie obronimy na dwóch frontach. Ostatnie dni były bardzo ciężkie, gdyż olbrzymi ogień artylerii szedł na naszą linię obrony na Mokotowie. Tak naprawdę było ciężko. Pociski zabiły mi dwóch żołnierzy. Szły wtedy na nas czołgi. Przekonałem się jak skuteczna może być obrona przeciwczołgowa. Od Fortu Mokotowskiego szły trzy czołgi. Wówczas okazało się jakiej klasy są nasze karabiny przeciwpancerne. Jeden z naszych żołnierzy wystrzelił dwa pociski. Czołgi się zatrzymały, postały i zawróciły.

W moim plutonie miałem trzy drużyny. Jedna z drużyn złożona była z samych warszawskich Żydów. Dowódcą tej drużyny był jakiś krawiec z Pragi. Był to doskonały żołnierz. Niemcy otworzyli niespodziewanie ogień. Rąbnęło w dom, gdzie byli na posterunku moi żydowscy żołnierze, którzy mieli pilnować przedpola. Widzę, że trafiło w ten dom, unosi się kurz i dym. Zaniepokojony tym co się stało z żołnierzami, wpadam na pietro. Pełno dymu i kurzu, nikogo nie widzę. Myślę, Rany Boskie, co się stało. Kurz powoli opadł i widzę, że wszyscy żołnierze – choć obsypani pyłem – dalej tkwią przy oknach i mimo pocisku nikt się z nich nie ruszył. Zachowywali się wspaniale. Bardzo mi zaimponowali odwagą. Wszystko to byli młodzi robotnicy z żydowskich rodzin.

Przewaga Niemców była wówczas ogromna.

Był to już ostatni tydzień obrony Warszawy. W momencie gdy został przerwany ogień i zaczęły się rokowania, pojechałem do Starzyńskiego motocyklem. Urzędował w Magistracie, oficynie, bo front gmachu był zbombardowany. W drodze do Prezydenta Warszawy przejeżdżałem koło zboru ewangelickiego na placu Małachowskiego. Kompletna cisza, pusto i ciemno. Tylko po wielkich drewnianych drzwiach powoli tlił się ogień. Był to jakby grottgerowski obraz. Przyjechałem do Magistratu. Starzyński przeniósł się do małego pokoju. Pytam go, jakie są zasady umowy. Pokazuje mi odpis dokumentu. Była to pierwsza wersja umowy, kiedy ustalono, że linia frontu jest na Wiśle. Wszyscy mieszkańcy Pragi mogli przenieść się na drugą stronę Wisły. Starzyński odczytał mi tekst umowy. Pytam go wtedy: „A co pan ma zamiar robić? Będzie pan narażony". Na to on mi mówi: „Nie, ja miałem już propozycję, mówiono mi żebym szedł na Litwę. Ja muszę zostać w Warszawie. To jest mój obowiązek". To były ostatnie słowa, jakie z nim zamieniłem. Później go już nie widziałem, gdyż musiałem szykować się do niewoli.

Potem wyszły zarządzenia. W oddziałach byli żołnierze z Warszawy i z Pragi. Mieli się podzielić na dwie części. Mieszkańcy Pragi mogli wrócić do siebie. A my przeszliśmy z Alei Niepodległości na Powiśle. Tam mieliśmy się uporządkować, żołnierze mieli być zwolnieni poza miastem. Powstał problem, co mamy zrobić. Czy iść z żołnierzami czy od razu zwiać. Wiadomo było, że pójdziemy do oflagów. Ale ponieważ zaczęto mówić, że oficerowie dbają o siebie, że zaniedbują żołnierzy to z kolegą Stasiem Smoleńskim postanowiliśmy pójść z żołnierzami. Chcieliśmy być z nimi do końca. Nocą przemaszerowaliśmy przez Pruszków, pod Grodziskiem puszczono żołnierzy i dalej już szliśmy sami. Skierowano nas do Błonia i zebrano w fabryce zapałek. Czekaliśmy na transport. Byliśmy tam dwa dni. To był już początek października.

Nagle wpędzając do nas na teren fabryki masę żołnierzy. Okazało się, że Hitler miał przyjmować defiladę w Warszawie i Niemcy nie chcieli, by przechodzący żołnierze przebywali wtedy w mieście. Wtedy zaczął nam chodzić po głowie pomysł. Może jednak wrócimy. Idę do majora Ducha i mówię, że musimy zwiać. Na to on: "Nie, niech panowie idą do niewoli, to długo nie potrwa, tam też trzeba będzie pracować, podtrzymywać ducha". Myśmy jednak postanowili uciekać. Chcieliśmy uciec z żołnierzami, bo wiadomo było, że oni dostaną przepustki i wrócą. Przeszliśmy na pole, gdzie byli żołnierze, zdjęliśmy odznaki, przybrudziliśmy sobie za Smoleńskim twarze. I stanęliśmy do ogonka po przepustki. Stoję z żołnierzami, a tu podchodzi jakiś oficer, którego znałem z Warszawy i pyta: „Co wy tu robicie?". Spojrzałem na niego i gdyby wzrok mógł zabijać już by nie żył. Nic nie odpowiedziałem. Dostałem przepustkę, mój przyjaciel także i wychodzimy, podchodzimy do bramy. Przy bramie stoi ten oficer i bardzo mnie przeprasza, nie zorientował się w naszych planach.

I tak zaczęła się dla mnie druga wojna. Ta podziemna.

Chciałbym się cofnąć o kilka dni. Jakie wrażenie na Panu zrobiło opuszczenie Polski przez Wodza Naczelnego i pułkownika Wendę?

Byłem tym rzeczywiście zaskoczony. Uważałem, że powinien zostać i bić się do końca. Taki był mój pierwszy odruch. Trudno, trzeba było zachować postawę do końca. Były też inne argumenty. Że wojsko we Francji, że dalsza walka na Zachodzie. Ale przeważała reakcja, że nie powinien był wychodzić.

A jaka była Warszawa we wrześniu 1939 roku?

Ja to miasto zawsze kochałem, ale wtedy pokochałem je jeszcze bardziej. Cała ludność była nastawiona na walkę, na pomoc żołnierzom. To było miasto, które bez żadnego patosu traktowało żołnierzy i mieszkańców tak samo. Ludzie wykazywali niezwykły charakter. Były przecież bombardowania, sypały się domy, a duch miasta był nadal nienaruszony. Myślę, że tu swoje zrobiło dwadzieścia lat niepodległej Polski. To odczucie, że to nasz kraj, nasze miasto. Kiedy później szedłem do niewoli, to miałem przekonanie, że zaraz zacznie się nowa konspiracja, ani przez moment nie miałem co do tego wątpliwości. Stąd brały się moje wahania czy nie zostać. Jak już mówiłem, wtedy zaczęło się mówić, że oficerowie pozostawiają swoich żołnierzy swojemu losowi. Wiele złego wyrządziła owa decyzja Rydza o przejściu do Rumunii. Był wtedy taki moment rozpaczy, kiedy żołnierze, słusznie zresztą, zaczęli krytykować, więc trzeba było iść z nimi do niewoli.

Jak wyglądała ta Pańska ucieczka z niewoli, ten powrót do Warszawy?

Gdy wracałem z Błonia do Warszawy, a było to na początku października, kiedy została wyznaczona godzina policyjna, szliśmy wieczorem z moim przyjacielem Smoleńskim i zapukaliśmy do pierwszej lepszej zagrody chłopskiej. Pytamy, czy gospodarz może nas przenocować. Przyjął nas chętnie. Trochę porozmawialiśmy i nagle patrzę, a u niego na stole leży „Wieś Polska" – moje pismo. Było to dla mnie przyjemne, zwłaszcza w tych okolicznościach.

Rano chcieliśmy wyjść, żeby jak najszybciej dostać się do miasta. Idziemy sobie szosą i widzimy, że jedzie jakaś furka do Warszawy. Właściciel zgodził się nas podwieźć. Okazało się, że wiózł kartofle. Zaproponowaliśmy mu kupno, by mieć jakąś żywność po przyjeździe do Warszawy. Kiedy dojechaliśmy furmanką do wolskich rogatek okazało się, że jest niemiecki posterunek, który zatrzymuje żołnierzy. Wziąłem od chłopa kapotę i jego czapkę, zaś mój kolega, który na siebie coś narzucił, nie miał nakrycia głowy. Doskoczył do pracujących obok robotników i z jednym z nich zamienił się na czapki, zostawiając mu swoją wojskową. I tak szczęśliwie udało nam się wjechać do miasta. Dojechaliśmy do siostry ciotecznej Stasia. Mieliśmy kartofle, więc byliśmy już zaprowiantowani. Smoleński, który był niższy ode mnie, mógł się szybko przebrać i poleciał zawiadomić moją teściową o naszych losach oraz powiedzieć naszej służącej, by przyniosła mi moje ubranie cywilne.

Wydarzyła się wówczas ciekawa historia. Teściowa po otrzymaniu wiadomości ode mnie udała się do mojej żony, aby ją zawiadomić o tym, że wróciłem. Kiedy teściowa pojawiła się w magistracie u żony, poprosiła ją na korytarz i mówi, że musi jej coś powiedzieć. A żona na to: „Tadeusz wrócił". Teściowa zaskoczona chciała się od żony dowiedzieć kto jej o tym powiedział i wtedy usłyszała relację żony. Okazało się, że żona miała w nocy następujący sen. Śniło jej się, że ja jechałem furmanką chłopską, otulony w jakieś dziwne ubranie.

I wtedy zaczęło się konspirowanie.

Przez kilka pierwszych dni przemieszkiwałem po znajomym i byłem pewien, że zaraz zacznie się ogólne konspirowanie. Oczywiście wcześniej dużo na ten temat czytałem, szczególnie o Polskiej Organizacji Wojskowej, o latach wcześniejszych. Wiedziałem, że będę musiał szybko zmienić miejsce zamieszkania. przenieśliśmy się na Żoliborz. Z magistratu wyciągnięto moją kartotekę, to była miejska ewidencja ludności, skąd można było uzyskać adres danej osoby. Pozostaliśmy na razie nadal na papierach na nasze nazwiska.

Na 14 grudnia 1939 Niemcy zarządzili, aby wszyscy oficerowie zarejestrowani po wrześniu stawili się na dworcu Gdańskim skąd mieli jechać do oflagu. Dużo się takich znalazło. Nazywano ich „ochotnicy 14 grudnia".

W nowym mieszkaniu przebywałem do początku 1942 roku. Później musiałem się coraz bardziej ukrywać, gdyż byłem coraz bardziej „namierzony". Kontaktowaliśmy się wtedy z żoną przeważnie raz w tygodniu.

Od początku zaczęła się Pańska działalność konspiracyjna.

Oczywiście. Nie chciałem, żeby żona narażała się i poszła do konspiracji, więc jednak znalazła własną drogę do Podziemia. 15 października zacząłem organizować ZOR – Związek Odbudowy Rzeczpospolitej. Tymczasem moja żona poszła na krótki kurs (u p. Stanisławy Paleolog, przedwojennej komendantki Policji Żeńskiej) wywiadu wojskowego. W listopadzie żona była już w wojskowym wywiadzie. Zajmowała się ruchami wojsk niemieckich.

Pomysł stworzenia ZOR-u powstał natychmiast po moim przybyciu do Warszawy. Skontaktowałem się z kilkoma kolegami, m.in. z Józefem Marszałkiem, już nie żyjącym działaczem Zet-u, „Siewu" i ZPMD, który dał mi aktualne adresy kilku naszych kolegów, m.in. Przemka Szczekowskiego, który pracował w grupie technicznej. I tak opierając się o znajomości ZPMD i Związku Strzeleckiego rozpoczęliśmy działalność organizacyjną. Przyjęliśmy wtedy nazwę – Związek Odbudowy Rzeczpospolitej.

I dalej korzystając z kontaktów ZPMD i Związku Strzeleckiego budowaliśmy struktury tzw. „piątki". W pierwszym okresie bardziej koncentrowaliśmy się na sprawach wojskowych a nie politycznych. Wierzyliśmy – jak prawie wszyscy – w wiosenne uderzenie Francji i Anglii na Niemców, którzy tego

nie wytrzymają. Byliśmy pewni, że do jesieni przyszłego roku (1940) to się rozstrzygnie.

Wiedziałem, że nie ma mowy o odbudowaniu OZN-u, który sam się rozpadł. Muszę jednak przyznać, że w ostatnim okresie przed wybuchem wojny coraz silniejsze były tam tendencje demokratyczne, m.in. dzięki dawnym zetowcom, zwłaszcza z terenu. Jednak gdy przyszła wojna OZN się samo zlikwidował.

Moja nowa organizacja miała charakter wyraźnie demokratyczny, z pewnymi sympatiami do PPS-u, opartymi o dawne dobre stosunki. Trzeba jednakże podkreślić, że myśleliśmy przede wszystkim o zagadnieniach wojskowych, a nie politycznych.

Jak wyglądało tworzenie tych struktur organizacyjnych?

Ciągle chodziłem po Warszawie – Mokotów, Ochota, Praga – aby zaprzysięgać „piątki", ustalałem powiązania organizacyjne. Robiłem to z najwyższą przyjemnością, gdyż widać było jak się łatwo trafia do elementu robotniczego. Na szczęście miałem już trochę doświadczeń w tym zakresie z czasów pruszkowskich.

Fascynujące było dla mnie to, że kiedy przeprowadzałem zaprzysiężenia po rozmaitych małych mieszkaniach, najczęściej robotniczych, to w prawie każdym mieszkaniu widziałem portret Marszałka.

Po zorganizowaniu struktury w Warszawie rozpoczęliśmy tworzenie łączności podwarszawskiej. Oczywiście do Pruszkowa, idąc potem dalej do Błonia, Ożarowa, Piastowa i Żyrardowa, przeszliśmy na drugą stronę Wisły. Na przykład w Markach organizował ZOR dr Pleszczyński, dawny działacz ZPMD z Poznania.

Po wstępnych czynnościach organizacyjnych i stworzeniu „piątek" postanowiliśmy uruchomić własne pismo. Pierwszym był „Komunikat Wolnej Polski" robiony na powielaczu (wtedy można je było stosunkowo łatwo zdobyć). Pierwszym redaktorem „Komunikatu Wolnej Polski" był Bohdan Korzeniewski, aż do momentu aresztowania. Była to następująca historia. Niemcy przypadkowo go wygarnęli przy masowym „oczyszczaniu" bloków na Żoliborzu. Na jego biurku leżał przygotowany kolejny numer „Komunikatu", ale Niemcy

tego nie zauważyli i kiedy po paru miesiącach powrócił z Oświęcimia, to znalazł na biurku ten niedokończony numer.

Bardzo mi zależało, żeby rozpocząć wydawanie tego pisma drukiem, a nie tylko na powielaczu. Zacząłem szukać różnych możliwości. W końcu dzięki jednemu ze „Strzelców" z Warszawy, który był drukarzem, znalazłem drukarnię, której właściciel zdecydował się drukować naszą gazetę, ale mógł to robić tylko w niedzielę.

Przygotowaliśmy – ale było to zaraz po ataku niemieckim na Norwegię – siedziałem w drukarni i nagle drukarz mówi, że muszę wszystko natychmiast zabrać. Byłem tym bardzo zaskoczony, gdyż normalnie miały przyjść łączniki i rozprowadzać nakład. Nie mając innego wyjścia, musiałem cały nakład „Komunikatu" wynieść sam z drukarni. Zapakowano mi gazetę – było tego sporo, taka wysoka kolumienka – wsiadłem w tramwaj i pojechałem na Żoliborz. Muszę przyznać, że z duszą na ramieniu. Stałem na platformie, z daleka było widać, że to co wiozę, to druki. I tak wyszedł pierwszy numer „Wolnej Polski" w drukarni, ostatni zaś ukazał się w czasie Powstania.

Do jakich odbiorców dochodził „Komunikat Wolnej Polski"?

Przede wszystkim do miast. Ja sieci kolportażu nie organizowałem, ale robili to komendanci okręgów (Warszawa, Warszawa-podmiejska, Kraków). W gronie działaczy ZOR-u warto wymienić zajmującego się wtedy młodzieżą Jana Kostrzewskiego (prezes PAN), który w Powstaniu był lekarzem AK na ul. Mokotowskiej.

A co robił Pan wówczas poza ZOR-em?

Bardzo wcześnie trafiłem do BiP-u. To był chyba rok 1940. Chciałem wtedy szukać kontaktu dla ZOR-u ze Związkiem Walki Zbrojnej. Udało mi się znaleźć kontakt poprzez mojego byłego doktora z Ministerstwa Skarbu, Drojanowskiego (b. prezydenta Lwowa). Skontaktowałem się z płk Alojzym Horakiem, który był komendantem na obszar wojewódzki, zaś w mieście miałem kontakt z płk Zajączkowskim, którego znałem z okresu „Podchorążaka" (on był przez jakiś czas w MS Wojsk., w Departamencie Piechoty). Horak był niesłychanie przyjemny, inteligentny, bystry, grzeczny. Mimo iż wiedział, że

jestem z OZN-u nie miał do mnie żadnych zastrzeżeń. On zajmował się gromadzeniem danych o walkach w Polsce we wrześniu 1939. Dostarczałem mu materiałów z prasy niemieckiej, bardzo przyjemnie nam się współpracowało.

Kiedyś zaproponowano mi spotkanie z kimś z Komendy Głównej. Poszedłem na umówione spotkanie. Łączniczka wprowadziła mnie do pokoju, gdzie siedział mój stary znajomy, major Kruk-Strzelecki, pierwszy szef propagandy OZN-u, którego znałem jeszcze z okresu, kiedy był w Instytucie Naukowo-Oświatowym (oni wydawali „Żołnierza Polskiego", „Wiarusa", to były pisma dla żołnierzy i podoficerów, robili to Ciepielowski, Adam Kowalski – autor znanych pieśni). Propozycję złożył jako szef BiP-u. Agencja już istniała, ale była robiona – jak to się mówi – na kolanie, bardzo amatorsko. Zbierano materiały i robiono komunikaty. Zaczynałem tę pracę z pewnym niepokojem, bojąc się konfliktów personalnych a grupą już istniejącą, gdyż byłem nowoprzybyły. Był tam Miedza-Tomaszewski.

Na początku oni robili całą technikę, a ja zbierałem i redagowałem materiały. Powoli zaczęliśmy to rozkręcać.

Konspiracja w tym czasie nie była najlepsza. Wchodzę kiedyś do lokalu „Miedzy" w Alejach, otwiera mi służąca i słyszę jak mówi: „Proszę pani, przyszedł ten starszy pan, starszy konspirator". Ale to zarazem dowód na poziom zaufania.

W tym okresie jako przedstawiciel BiP-u miałem spotkanie z Próchnikiem. Chodziło o ustalenie obchodów rocznicy wybuchu wojny. Spotkaliśmy się w okolicy Alei Szucha. Przez godzinę zastanawialiśmy się, nie mogąc nic sensownego wymyślić. Wpadliśmy wówczas na pomysł „bojkotu" ulic Warszawy. Chodziło o to, żeby nieobecnością ludzi na ulicach w określonych dwóch godzinach zamanifestować opór wobec okupantów. Po naszym apelu ulice co prawda nie były zupełnie puste, ale ruch był znacznie mniejszy.

Potem nastąpiła zmiana na stanowisku szefa BiP-u. W miejsce Kruka-Strzeleckiego przyszedł Rzepecki „Prezes". Zaszło tu pewne nieporozumienie, z tego poczciwego Strzeleckiego zrobiono demona. Sikorski i Kot uznali, że jest to najbardziej politycznie szkodliwy człowiek w konspiracji propiłsudczykowskiej w ZWZ-cie. A był to człowiek przyzwoity, spokojny i miły, jednakże daleki od dynamizmu i znajomości propagandy. Przez parę tygodni był kiedyś szefem propagandy OZN-u, w której wiele nie zrobił. Nie było to jego winą.

Stąd też wojna Kota prowadzona depeszami, żeby usunąć Kruka-Strzeleckiego z BiP-u bardzo mnie śmieszyła, gdyż ten człowiek był absolutnie nieszkodliwy. Nie miał żadnych jaskrawych aspiracji politycznych, nie był intrygantem. Wyraźnie go demonizowano. Po wojnie spotykaliśmy się, nawet ułatwiłem mu przyjazd do Anglii. Prowadził w Londynie działalność w SPK i Kole AK. Jednak myślę, że to usunięcie było z korzyścią dla BiP-u. On nie byłby w stanie tak rozwinąć działalności jak Rzepecki.

A jaką rolę w ówczesnej konspiracji odgrywały kobiety?

Niezwykle ważną i cenną. Nauczyłem się wysoko cenić ich wydajną działalność, połączoną zazwyczaj ze skromnością w ocenianiu ich własnej niebezpiecznej pracy. W zakresie mojej aktywności podziemnej miałem z nimi bardzo wiele do czynienia. Nie sposób wymieniać wszystkich, więc wspominam tylko o kilku, z którymi miałem najbliższe kontakty w codziennej pracy.

Hanna Łukaszewiczowa, z pozoru niezwykle skromna i nieśmiałą osoba była w ZOR-ze jako „Władysława" kierowniczką całego zespołu wszystkich naszych koleżanek. Jako „Ludwika" była szefową moich Peżek (skrót od nazwy „Pomoc Żołnierzowi"). Sprawnie organizowała wszystkie kursy dla nich i czuwała nad akcją Peżetek we wszystkich komendach okręgowych AK. Zginęła w niewiadomych okolicznościach w początkach 1945 r. w Pradze.

Stale, niemal codziennie miałem do czynienia z trzema moimi głównymi łączniczkami. Irena Rzepecka (żona szefa BiP-u) ps. „Ela", pośredniczyła w łączności z Wydziałem „R". Zmarła po powstaniu w obozie jenieckim. Niestrudzoną i niemal nieodłączną łączniczką była Barbara Wolska, ps. „Jula" w moich stałych kontaktach z Wydziałem „Rój" (mob propagandy) i z siecią organizacyjną ZOR-u. Wyróżniała się sprawnością, dokładnością i odwagą. Dwukrotnie odznaczona Krzyżem Walecznych. Zginęła w Powstaniu 17 sierpnia. Jej siostra, Jadwiga Wolska, ps. „Greta" była doskonałą łączniczką od spraw Wydziału „N".

W Krakowie przewodziła grupie kobiecej ZOR dr Jadwiga Beauoré ps. „Jadwiga", „Malina".

Wymieniam tylko pięć nazwisk, gdyż nie pamiętam ani pseudonimów, ani nazwisk bardzo wielu innych dzielnych Akaczek, których ofiarną pracę zawsze wysoko ceniłem.

Kiedy odbyło się Pańskie zaprzysiężenie do ZWZ-u?

Do Związku Walki Zbrojnej wstąpiłem w połowie 1940 roku. Zaprzysięgał mnie jegomość którego znałem z widzenia, a na dodatek było to w domu, w którym mieszkałem przed wojną. I tak stałem się podporucznikiem ZWZ.

Po odejściu Kruka-Strzeleckiego pracował Pan już z „Prezesem".

Tak. Rzepecki robił dobre wrażenie. Człowiek bardzo inteligentny. Znałem jego publikacje z okresu przedwojennego. Był bardzo spokojny, sumienny, zewnętrznie nie robił wrażenia dynamicznego. Powiedział mi, że się na propagandzie nie zna i zostawił mi szerokie uprawnienia, pod warunkiem informowania go o tym co robię.

Pewnego dnia Rzepecki przekazał mi informację, że „Grot" chce abym zaczął robić Akcję „N". To była bliska mi myśl, gdyż – jak już mówiłem – jeszcze przed wojną interesowałem się teorią propagandy ściągając materiały z różnych krajów celem poznania różnych technik propagandowych.

Kiedy w październiku 1939 roku powróciłem do Warszawy myślałem sporo o rozpoczęciu akcji propagandowej skierowanej do Niemców. Chciałem do tej akcji wprowadzić Osmańczyka, który współpracy takiej odmówił. Ja go znałem z okresu kiedy miałem do czynienia ze „Swiatpolem". Odbywał się duży zjazd Polaków z Niemiec połączony z „chrzczeniem" sztandarów w Wiśle i tam dał się zauważyć J.E. Osmańczyk. Nie mógł przebywać w Niemczech, nawet jego życie było zagrożone i wtedy przybył do Warszawy jako stypendysta „Swiatpolu" i wówczas bliżej go poznałem. We wrześniu przychodził do mnie na front ze Stanisławem Sachnowskim („Jacek Wołowski"), warszawskim reporterem. Na początku 1940-go roku spotkałem się z nim i zaproponowałem współpracę w antyniemieckiej propagandzie, ponieważ świetnie znał Niemcy i niemiecki. Osmańczyk powiedział, że musi zapytać żonę, gdańszczankę, z którą się ukrywał. Potem mnie powiadomił, że niestety nie może ze mną w tej sprawie współpracować. Toteż kiedy otrzymałem propozycję robienia takiej propagandy od Rzepeckiego, natychmiast chętnie się zgodziłem. Jeszcze przez trzy miesiące zajmowałem się „Agencją" i od kwietnia 1941 przeszedłem do Akcji „N".

Jaki miał Pan plan działalności „N"?

Chodziło mi o stworzenie zasad tej propagandy kierowanej do Niemców, ale głównie do „Wermachtu", z którym mieliśmy najwięcej do czynienia. Wiedziałem, że nasza propaganda musi prezentować się tak, jakby była dziełem wewnątrz niemieckiej opozycji antyhitlerowskiej. Polska propaganda byłaby natychmiast odrzucona.

Problemem było dostarczanie Niemcom naszych materiałów, które powinny docierać różnymi drogami do Niemców, np. pocztą, indywidualne wkładanie do kieszeni żołnierskich płaszczy, podrzucanie do domów. Zacząłem szukać odpowiednich ludzi. Bardzo ważni byli odpowiedni działacze. Znaleźli się ludzie tłumaczący bez żadnych błędów. Najlepszym dowodem była wysoka ocena naszych materiałów zrobiona w gestapo. Oparłem się głównie na ludziach, z którymi pracowałem przed wojną – ZPMD, Wydział Propagandy OZN-u i „Strzelec" – tych ostatnich głównie do akcji organizacji.

Musieliśmy stworzyć zupełnie odrębną sieć organizacyjną. Nie wolno było łączyć z akcją „N" żadnego polskiego kolportażu. Działalność była wydzielona i wtrącić się do niej mógł tylko mój szef – Rzepecki i szef mojego szefa – Rowecki.

Stworzyłem różne redakcje dla poszczególnych niemieckich pism „Der Soldat", Die Durburch", tytuły oczywiście były zmieniane. Przerywaliśmy wydawanie „Der Soldat", a zaczynało się wydawanie „Der Frontkampfer", a niekiedy wydawaliśmy oba tytuły jednocześnie. Niemcy wydawali popularne wśród żołnierzy pismo „Die Erika", bardzo bogato ilustrowane. Postanowiliśmy, zrobić coś podobnego już w 1942 roku.

Kiedy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, to po kilku tygodniach od rozpoczęcia walk wydaliśmy pierwszą ulotkę, drukowaną „szwabachą". To był nasz debiut.

Potem postanowiliśmy stworzyć partię zwolenników Rudolfa Hoessa, który uciekł do Anglii. Była to okazja, którą należało wykorzystać. W czterech wydanych ulotkach przeciwstawiliśmy Hoessa Hitlerowi. Jednakże największą popularnością cieszyło się wydane przez nas ilustrowane, kolorowe pismo satyryczne „Klaubartemann". Tytuł wzięliśmy od niemieckiego duszka ukazującego się na okrętach, które miały zatonąć. Jeden z moich kolegów zaproponował

tę nazwę uważając, że Niemcy dobrze ten tytuł skojarzą. To było rzeczywiście rozchwytywane pismo.

W jakim nakładzie był drukowany „Klaubartenmann"?

W tej chwili nakładów nie pamiętam, ale w kwietniu 1944 roku skończyliśmy druk milionowego egzemplarza w Akcji „N". Spotkaliśmy się wtedy całym zespołem redakcyjnym opiliśmy milionowy egzemplarz naszych wydawnictw. Byli tam Kazimierz Kumaniecki, Zygmunt Ziółek, Halina Auderska, była pani Freydowa – świetna tłumaczka na niemiecki – był Sobociński-Kawczyński, łączniczka „N" – „Greta", Sławomir Borkowski.

Akcja w sprawie Hoessa była dość ważna, gdyż była jedną z pierwszych. Staraliśmy się uwiarygodnić ją, m.in. poprzez nieregularność druków, gdyż zbyt regularne konspiracyjne druki w Niemczech byłby zbyt podejrzane. W kolportażu obowiązywała zasada pojedynczego rozpowszechniania druków, większe ilości byłby także podejrzane. Poszczególne numery były roznoszone, podrzucane w szatniach do płaszczy, do otwartych samochodów.

W Krakowie zatrzymano jednego z kolporterów Akcji „N", gdy na parkingu podrzucał ulotki. Został przez Niemców zamordowany. Nazywał się Władysław Fischer.

Jaka tematyka dominowała, jaką treść przekazywaliście?

W naszych tekstach staraliśmy się organizować wszelkie intrygi. Pewnego razu zaczęliśmy rozpowszechniać informacje na temat konfliktów między niemieckimi generałami. Porozumiałem się z szefem wywiadu, który wskazał mi popularnych w wojsku generałów. Wybrałem sobie Reichenau'a i zrobiliśmy cały numer „Der Soldat" poświęcony temu generałowi. Przypadek zdarzył, że w tym samym okresie Reichenau zmarł i niektórzy uważali, że jest to nasza zasługa. Potem wybraliśmy sobie za bohatera marszałka von Bocka, o którym pisaliśmy, że jest prześladowany, staraliśmy się go popularyzować.

Nasze intrygi bywały dość skuteczne. Im gorsza była sytuacja na froncie, tym bardziej stawało się to wiarygodne.

Staraliśmy się tworzyć także lewicową konspirację w wojsku – takim pismem było „Der Hammer".

Muszę przyznać, że miałem doskonałych tłumaczy, świetnych znawców języka niemieckiego – Niemcy to doceniali. W pismach ostrzegawczych dla niemieckich oficerów wymieniali nasze pisma jako złowrogie i skuteczne.

Ulotki przez nas wydawane często komentowały bieżące wydarzenia. Kiedy zaczęły się mrozy w Rosji, natychmiast w naszych ulotkach zaczęliśmy narzekać na złe zaopatrzenie wojska. Rzuciliśmy hasło aby zbierać futra od żon urzędników hitlerowskich i posyłać do żołnierzy.

Następnie zaczęliśmy dawać instrukcje jak markować choroby. Równocześnie rozpoczęliśmy akcję straszenia rosyjskimi mrozami i ich konsekwencjami na całe życie. Nakłady tych ulotek wahały się od 10000 do 20000 egzemplarzy. Ograniczaliśmy nakłady ze względu na trudności kolportażu.

A jaki był zasięg kolportażu?

Na całym terenie ziem polskich, a więc na zapleczu frontu wschodniego, ale dochodziły także do Berlina i Wrocławia. Otrzymaliśmy informację spod Odessy, że tam także znaleziono nasze ulotki, ale także z frontu zachodniego, z nad Atlantyku. W Berlinie było chyba najlepiej z naszymi ulotkami, gdyż myśmy się specjalnie na to miasto nastawili. Wiązało się to także z taką iskrą sportową, aby jak najbliżej stolicy Hitlera dotarły nasze druki.

Rozpowszechnialiśmy nasze druki dzięki temu, że w każdym BIP-ie okręgowym był Referat „N" i do niego kierowaliśmy nasze druki.

Chcąc mieć pełną gamę antyhitlerowskiej propagandy otworzyliśmy różne nurty polityczne. Od skrajnej lewicy do prawicy, nie pomijając Rad Żołnierskich, rzekomo istniejących w poszczególnych armiach.

Skoro już mówię o Akcji „N" to mieliśmy dużo szczęścia. Gra, którą prowadziliśmy mogła kosztować wiele istnień ludzkich, ale niewielu ludzi zginęło. Był aresztowany, zupełnie przypadkiem, „Notecki", czyli Jan Kawczyński, przy którym na szczęście nie wykryto „N-owskich materiałów i on przeszedł obozy, ale przeżył. Nie łączono go z Akcją „N". Ujęto także jednego z naszych kurierów, który złapany został „na czysto" i zbiegł z ciężkiego więzienia w Radomiu. Pamiętam, że kiedy go spotkaliśmy to miał ślady na rękach po kajdankach i musiał się leczyć zanim wrócił do działalności.

Od którego momentu Niemcy zaczęli łączyć Akcję „N" z polską dywersją?

Oni nigdy nie powiedzieli, że jest to polska akcja. Naszą działalność określali jako wrogą propagandę (komunistyczną, żydowską), ale nie polską. Myślę, że trochę się wstydzili, że mimo terroru takie rzeczy wychodzą w Polsce. Abwhera chyba wiedziała kto robi, ale nie chciała tego ujawnić. Zreesztą ta dezinformacja była tego typu, że w Łodzi, w której myśmy zapoczątkowali działalność partii Hoessa, Niemcy robili już zebrania tej partii, wierząc, że ona istnieje naprawdę.

Bardzo nam zależało na skuteczności naszej propagandy na terenie samych Niemiec. Ten teren obsługiwał nasz jedyny kurier, który jednocześnie obsługiwał kraj i Niemcy, występował pod pseudonimem „Fonsio". On m.in. zwoził nam gazety niemieckie podające nekrologi żołnierzy niemieckich, którzy ginęli na froncie. Zbieraliśmy adresy i wysyłaliśmy na nie, oczywiście nie z Warszawy, listy kondolencyjne, w których informowaliśmy rodziny, że zamordowali go gestapowcy. Takich listów wysłaliśmy sporo. Było to w wielu wpadkach skuteczne.

Ponadto staraliśmy się wytworzyć w żołnierzach na froncie wrażenie, że w domu jest bieda, a na dodatek żony puszczają się z Włochami, których sporo sprowadzono jako robotników do Niemiec. Miałem dobry kontakt z kontrwywiadem, z panem Klausalem (znałem go sprzed wojny), on specjalizował się w wyłapywaniu „Felpostu", który przechodził przez Warszawę i dawał mi listy. Bardzo dbaliśmy o to „niemieckie życie rodzinne" w odpowiedni sposób. Nie jest to miłe, ale to była wojna i nas w tej wojnie nie oszczędzano.

Po pewnym czasie stworzyliśmy specjalny odział zajmujący się volsdeustschami, „Die Zuknft", które rozsyłały na znane nam ich adresy domowe. Celem tej akcji było przypominanie tym ludziom, że zbliża się koniec wojny i co będzie jak się skończy okupacja. Założyliśmy fikcyjne specjalne sądy, które sądami, wcale nie były. Polegały na tym, że wydrukowaliśmy specjalne blankiety, np. komisarza do zwalczania niemczyzny, inny znów – sąd najwyższy. Kiedy dostawaliśmy nazwisko osobnika szczególnie szkodliwego dla Polski, to otrzymał pierwsze zawiadomienie zawierające stwierdzenie, że prokurator

otrzymał skargę i wszczyna dochodzenie. Po miesiącu delikwent otrzymał list przypominający, że dochodzenie nie zostało jeszcze zakończone. Potem przysłaliśmy informację, że akt oskarżenia jest sporządzony i sprawa będzie rozpatrywana przez specjalny sąd wojenny. Następnie nasz klient" otrzymał wyrok sądu podziemnego wraz z informacją, że wykonanie kary może nastąpić w każdej chwili.

Dawało to świetne rezultaty. W Warszawie w administracji domów mieszkalnych był bardzo wredny Treuhander. Dali mi jego nazwisko i przeprowadziliśmy całą opisaną poprzednio procedurę i po jakimś czasie bardzo się zmienił, zmiękł. Niektórzy zmieniali miejsce pracy czy zamieszkania.

Cel, jakim było sianie zamieszania w niemieckiej administracji był realizowany. Zwłaszcza od chwili, gdy wojna zaczynała powoli zbliżać się ku końcowi.

Stosowaliśmy jeszcze listy ochronne. Jeżeli któryś z Niemców dobrze się sprawował i był przyzwoity wobec Polaków, to otrzymał taki glejt. Taki osobnik otrzymał pismo, zawiadamiające, iż uznajemy, że działalność nie jest szkodliwa dla Polski i rozważana jest decyzja czy nie wpisać danej osoby na listę tych, którzy powinni uniknąć odpowiedzialności karnej teraz lub po wojnie. To także pomagało.

Jak to było ze zorganizowaniem obchodów imienin Adolfa Hitlera?

Wpadłem kiedyś na pomysł związany z imieninami Hitlera – 30 kwietnia. W Niemczech obchodzono je zawsze bardzo uroczyście. Pomyślałem, że w kilku fabrykach robotnicy polscy mogliby odpocząć. Wydaliśmy w związku z tym zarządzenie podpisane przez gubernatora radomskiego i warszawskiego L. Fishera. Wysłaliśmy pisma do kilku fabryk przemysłu wojennego w Warszawie i jednej w Pruszkowie, nakazujące ze względu na dobrą pracę robotników dać im w dniu imienin Hitlera wolny dzień i jednocześnie za ten dzień zapłacić. Udało nam się – co było ważne – dotrzeć do dyrekcji tuż przed zamknięciem fabryk i zarządzenie wykonano. Efekt nastąpił dopiero późnym wieczorem, kiedy przez megafony Niemcy wzywali robotników, żeby jednak przyszli do pracy 30 kwietnia. Oczywiście nie przyszli. Kilkadziesiąt tysięcy takim sabotażem „uczciło" Hitlera.

A jak było z drukowaniem. Jedna z drukarń musiała być zapewne wydzielona?

Tak. Była to jedna z drukarń u „Kmity". Później niestety to nam się urwało, gdyż w pierwszym kwartale 1944 roku drukarnie „zasypywano". Komuniści nas oskarżali, że była dyrektywy aby zmniejszyć akcję „N", ale w rzeczywistości przyczyną byłą wpadka drukarni.

Przed samym Powstaniem wydaliśmy odezwę Wermachtu, jednak miała być ona rozrzucana tuż przed walką lub w czasie jej trwania. Była to pierwsza i ostatnia ulotka w języku polskim robiona przez „N". Później nadawaliśmy do Niemców przez „Błyskawicę" i przez megafony. Zawsze ceniłem megafony i w czasie wojny kupiliśmy ich kilka – chyba ze cztery – w warsztatach, gdzie je produkowano. Mieliśmy takie patrole megafonowe, składające się z technika, redaktora, ludzi noszących baterie i megafon. Takie patrole posyłaliśmy na linię frontu, a ludzie mówiący dobrze po niemiecku, przemawiali do drugiej strony. Niemcy się o to wściekali i natychmiast otwierali ogień. Na Nowogrodzkiej zginęła w ten sposób sanitariuszka, będąca w takim patrolu. W warunkach powstańczych była to oczywiście mini akcja, lecz była również pożyteczna.

Chciałbym cofnąć się do okresu przed Powstaniem. Pan był na konspiracyjnych papierach, ścigany przez Niemców.

Pierwsza wiadomość, że jestem, jak to się mówiło, „na widelcu" przyszła w 1942 roku na wiosnę. Musiałem wtedy wyprowadzić się z domu. Zmieniłem papiery (to nie było trudne) i zacząłem mieszkać na Polnej, skąd musiałem się wynieść po aresztowaniu mojej żony i jednego ze współpracowników. Chodziłem na papierach pracownika firmy pracującej na rzecz uzbrojenia Niemiec. Przyjemnie to było pokazać. Przez długi czas występowałem „policyjnie" jako Kulesza, ale zawsze trzymałem się swojego imienia.

Mieszkania musiałem zmieniać często, np. Sandomierskiej gdzieś na daleki Mokotów, potem na Aleję Szustra przy Puławskiej. W tym czasie otrzymałem wiadomości z naszego kontrwywiadu, że jakiś agent widział mnie w tramwaju, rozpoznał, ale na szczęście gdy ja wysiadłem nie zdążył wyskoczyć. W ten sposób Niemcy wiedzieli, że przebywam na Mokotowie, musiałem więc znów

zmienić dzielnicę. Powstanie zastało mnie gdy mieszkałem przy placu Narutowicza. Musiałem uważać przy chodzeniu na mieście, ale jakoś się udało.

Oprócz Akcji „N" czym Pan jeszcze zajmował się w okresie 1942–1944?

W tym czasie kierowałem nadal Związkiem Odbudowy Rzeczypospolitej (ZOR). Myśmy przekazali do AK, do I Oddziału Sztabu, do płk „Kortuma" 10000 ludzi, mężczyzn i kobiet. Miałem takie pokwitowanie. ZOR wówczas to Warszawa, Tomaszów Mazowiecki, Piotrków, Kraków, Zakopane, nawet jakieś gminy na Lubelszczyźnie oraz Żyrardów, Błonie, Pruszków i kilka innych miejscowości.

A na czym konkretnie polegałą działalność ZOR-u?

Prowadziliśmy normalną robotę wojskową, propagandową, bez przerwy wydawaliśmy „Wolną Polskę", którą cały czas redagowałem. Ludzie w ZOR doskonale płacili składki. Na działalność nie mieliśmy żadnych subwencji. Wydawaliśmy pamiątkowe znaczki, z których dochód przeznaczony był na pomoc rodzinom aresztowanych członków ZOR, którymi opiekowaliśmy się.

Z łączącym się z ZOR-em Zjednoczeniem Demokratycznym mniej się interesowałem, gdyż na to nie miałem już czasu. Przyszła na mnie Akcja „R".

Od jesieni 1943 roku miałem pod sobą trzy wydziały. „N" – od samego początku do końca. Od 1942 roku Mob. Propagandy czyli „Rój". A od listopada 1943 jeszcze Akcję „R".

Może przypomni Pan narodziny Akcji „R".

Jesienią 1943 roku zwrócił się do mnie Rzepecki informując, iż otrzymał polecenie „Bora", aby BiP uczestniczył w akcji propagandy antykomunistycznej. Poinformował mnie, że tworzy się specjalny komitet aby propagandowo przeciwdziałać komunistom. Zaproponował mi uczestnictwo w pracach komitetu z ramienia BiP-u. Utworzono wtedy Społeczny Komitet Antykomunistyczny, na czele którego stanął Franciszek Białas z PPS-u. Znajdowali się tam przedstawiciele Delegatury Rządu, ja byłem z AK oraz przedstawiciele partii politycznych. W skład komitetu wchodzili m.in. Stefan Korboński, Stanisław Kauzik (bądź jego zastępca, Zbigniew Kunicki) Leopold Rutkowski – „Zawadzki"

(przedstawiciel Komitetu Społecznego Organizacji Samoobrony, tzw. SOS-u), Fichna z Konwentu Organizacji Niepodległościowych (dawny senator z ramienia NRR) i rzadko tam bywający Tadeusz Miklaszewski. Do tego Komitetu wchodzili także Franciszek Urbański z chrześcijańskich związków zawodowych i Henryk Glass – to było naszą największą „zgagą". Henryk Glass pochodził z Kijowszczyzny, gdzie w czasie rewolucji całą jego rodzinę wymordowali bolszewicy. Po przybyciu do Polski Niepodległej od razu rozpoczął walkę z bolszewizmem. Tak zresztą nazwał swoje pismo („Walka z bolszewizmem"), które własnym kosztem wydawał przez okres Polski Niepodległej. Miał klapy na oczach. Z nim było najwięcej trudności, działał samodzielnie. Mieliśmy w Komitecie ustalać pewne rzeczy, jakieś hasła, taktykę działania. A on bez przerwy żądał „krwi komunistycznej". Wydawał taką Agencję „A" i tam nawet podawał adresy poszczególnych komunistów. Były to wyraźne donosy dla gestapo. Żadne perswazje nie pomagały i w końcu się od niego odcięliśmy. Po wojnie przez długie lata przebywał w Londynie.

W swojej propagandzie antykomunistycznej ustaliłem z Rzepeckim, że będziemy prowadzić dwa pisma – jedno dla robotników, drugie zaś dla chłopów. Stąd się wzięły „Wolność Robotnicza" (jej redaktorem był Sosnowski) i „Głos Ludu".

Między nami były duże różnice, na temat prowadzenia walki z komunistami. Wychodziłem z założenia, że polemiki nie powinny być zbyt ostre, albowiem tego typu teksty nie trafiają do przekonania ludzi rozważnych. Doszedłem do wniosku, że nie należy zajmować się polemikami ideologicznymi, ale skoncentrować się na tym, co się wydarzyło w Rosji Sowieckiej, gdzie komunizm od wielu lat funkcjonuje. Dlatego też uważałem, że kryptonim powinien być „R" – Rosja – a nie „K", jak w BiP-ie uważano.

Jedną z ciekawszych ulotek opracował dla mnie pan Krygier z PPS-u, po wojnie działał w cyrankiewiczowskim PPS. Nosiło to tytuł „Dwa totalizmy", gdzie porównywał Niemcy i Rosję Sowiecką. Bardzo się przy tym napracował.

Równocześnie pracowała Agencja „R", której działalność polegała na tym, że zbierane były różne teksty, artykuły, wiadomości itp., które następnie były rozsyłane do pism celem wykorzystania. Chodziło o dostarczenie artykułów na

odpowiednim poziomie. Rzeczywiście korzystały z nich również pisma Stronnictwa Ludowego.

W tym czasie napisałem broszurę pt. „Dokumenty mówią", zawierającą omówienie – na podstawie faktów historycznych – polityki wewnętrznej w Rosji Sowieckiej oraz jej polityki wobec Polski.

Wydawaliśmy materiały „R" raz na dwa tygodnie.

Kto odegrał szczególną rolę w Akcji „R"?

Moim zastępcą był Wacław Kozłowski, ps. „Kaniewski", ale razem pracowało nas 7–8 osób. W odróżnieniu od Akcji „N" nie mieliśmy własnego kolportażu, nasze materiały szły na ogólny kolportaż BiP-u.

A jak zaczął Pan prowadzenie „Roju"?

To się zaczęło na początku 1942 roku. Rzepecki powiedział mi, że Komendant chce przygotować pomysły na propagandę na okres wybuchu walk z Niemcami, na wypadek Powstania. Rzepecki zaproponował moją osobę i Rowecki się zgodził. Dostałem wolną rękę. Zastanawiałem się jak to przygotować. Wiedziałem jak to ma wyglądać merytorycznie, ale zastanawiałem się jakie mają być środki techniczne i organizacyjne. To był trudny problem, bo przed wojną agandy państwowe prowadziły reklamę a nie propagandę.

Do pomocy wziąłem mojego współpracownika jeszcze z OZN-u (później mnie bardzo ładnie „załatwił") Zygmunta Ziółka. Pracował ze mną Sosnowski.

Musieliśmy opracować problem propagandy polowej w wojsku. W 1920 roku to były tylko pogaduszki literackie dla wojska, ale nie było prawdziwej propagandy dla żołnierza. Musiałem przeszkolić szefów referatów „Roju" w okresach i w tym celu robiłam w Warszawie tygodniowe kursy, na które przysyłano mi wybranych do tej roboty ludzi. Przez tydzień siedzieli w Warszawie po rozmaitych lokalach (nie więcej niż 7, żeby utrzymać zasady konspiracji), a myśmy tłoczyli im do głowy rzeczy, które były najważniejsze. Byli tym bardzo zainteresowani, to była dla nich nowość. Oczywiście najpierw sami musieliśmy się solidnie przygotować. Współpracował ze mną przyjaciel, Andrzej Pomian (on wtedy zajmował się propagandą na mniejszości narodowe i na Węgry).

Przychodziły takie pomysły. Znalazłem pewną panią (Hannę Łukasiewiczową, ps. „Władysława"), znaną mi jeszcze ze Związku Srzeleckiego, i poprosiłem o objęcia kierownictwa organizacji, którą nazywaliśmy Pomoc Żołnierzowi (PŻ). Zorganizowaliśmy dla nich oddzielne kursy. Przez kursy dla „peżetek" przeszło kilkadziesiąt kobiet (w tym i moja żona).

Koniecznie trzeba było organizować radio. Musieliśmy mieć redaktorów i techników. Nie wiedzieliśmy jakie będziemy mieć radiostacje. Dziennikarzy wziąłem z Polskiego Radia, w tym Stanisława Zadrożnego (został kierownikiem referatu radiowego) i Zofię Żebrowską (moją cioteczną siostrę, przedwojennego radiowca). Niektórzy spikerzy też byli z radia. Następnie organizowałem film i fotografię, tj. część propagandy wizualnej. Ludzie musieli się sporo nauczyć. Tego typu propaganda musi oddziaływać na żołnierza, na społeczeństwo i na przeciwnika. Tego ostatniego elementu nie włączałem tu, gdyż miałem do tego dwa innego kierowane przeze mnie wydziały.

Organizowaliśmy oddzielne kursy dla fotografów prowadzone przez Wacława Żarskiego (po wojnie postać mniej ciekawa). Przed wojną był fotografem w OZN-ie. Był dobrym specjalistą i kursy prowadził na wysokim poziomie.

Do filmu szukaliśmy dawnych filmowców i udało nam się kilku złapać. Cholerne kłopoty mieliśmy ze sprzętem. Musieliśmy wszystko kupować, a to było bardzo drogie. Marzyłem o aparatach do nagrań polowych, wiedziałem, że są w armii amerykańskiej, ale niestety ani jednego mi nie przysłali.

Potrzebni byli specjaliści do robienia plakatów. Żołnierz musi śpiewać, potrzebna jest mu piosenka. Trzeba było myśleć o teatrze dla żołnierzy. To robił oczywiście Bohdan Korzeniewski.

W grupie zajmującej się piosenką, którą prowadził Rutkowski, był Stanisław Ryszard Dobrowolski. To był wtedy bojowy facet. Napisał „Szturmówkę" i „Warszawskie dzieci" oraz kilka innych dobrych piosenek. Udało nam się nawet zorganizować orkiestrę dętą. Raz czy dwa nawet zagrała w czasie Powstania.

Mieliśmy sporo przygotowanych ludzi. Samych tylko fotografów mieliśmy przeszkolonych ponad siedemdziesięciu. Postanowiłem jednak, że trzeba żołnierzy-fotografów oswoić z linią frontu. Poleciłem więc, żeby na początek w Warszawie robili fotografie obiektów niedozwolonych do fotografowania.

Mieli się oswoić z niebezpieczeństwem. To samo było z filmem. Zaczęliśmy później wysyłać patrole propagandowe do oddziałów partyzanckich. Jeden z aparatem fotograficznym, drugi piszący, ponadto musieli oni na miejscu szukać aparatu do nasłuchu (już wtedy wierzyłem w nasłuch). Pierwszy taki patrol pojechał na Lubelszczyznę, a drugi do 27 Dywizji na Wołyń. I stamtąd mieliśmy pierwsze reportaże, a nawet zachowały się zdjęcia. Na Wołyniu udało się nawet sfotografować węgierskich jeńców prowadzonych przez nasz oddział.

Dużą wyprawę szykowałem w styczniu czy lutym 1944 na Nowogródczyznę, ale niestety aparat filmowy został uszkodzony. Nasi wysłannicy jechali jako Todt Organisationi w warunkach podróży uszkodzono kamerę. Zostały tylko zdjęcia fotograficzne. To były reportaże z działalności naszej partyzantki.

Celem tych wyjazdów, poza gromadzeniem materiałów było przede wszystkim oswojenie ludzi z walką.

Wydaliśmy dwa numery „Polski Ilustrowanej" zawierający zdjęcia z walk i wydarzeń w Generalnej Guberni.

Teatr żołnierski miał dwa czy trzy spektakle przygotowane i kiedy 27 Dywizja cofnęła się na Lubelszczyznę to wysłaliśmy do nich ciężarówkę z zespołem teatralnym. Musieli niestety zawrócić z drogi, gdyż zaczęła się obława niemiecka na Lubelszczyźnie.

Postanowiliśmy zrobić „fabrykę piosenek". Spotkaliśmy się w trójkę. Rutkowski, Dobrowolski i ja. Na ulicy Chopina, bo to dzielnica niemiecka, więc tam zawsze najspokojniej. Sugerowałem Dobrowolskiemu, by napisał coś bardzo bojowego, z ikrą – i tak powstały „Warszawskie dzieci". Dobrowolski („Goliard") pisał teksty, a Rutkowski („Korycki") szukał muzyków, którzy mogliby napisać melodię. Często piosenki miały dwie wersję – jedną dla sceny i drugą dla potrzeb „polowych" – dla żołnierzy do marszu. Zostało wyprodukowanych ponad 30 piosenek. Ja oczywiście byłem tam tylko „od zatwierdzania" i zachęcania. Dobrowolski był doskonałym pracownikiem, do czasu Powstania. Wtedy się zląkł i ukrył.

Wtedy były nawet konkursy na piosenkę i sztukę teatralną. Pamiętam, że zwycięzca dostał nagrodę w złotych rublach. W jury była Dąbrowska, Schiller, Korzeniewski i ja. Chyba jeszcze ktoś był – nie pamiętam.

Nie powiedziałem o bardzo ważnej sprawie w naszej działalności propagandowej – o pismach. Na Powstanie przygotowałem gazetę ścienną, która zresztą się nie ukazała.

Ale zanim dojdziemy do Powstania, czy moglibyśmy jeszcze pozostać przy wydarzeniach poprzednich. Jak przyjęto śmierć Sikorskiego?

Dla większości ludzi z AK to był duży szok, gdyż przywiązywano do niego duże znaczenie. W kołach politycznych nie było czarnej rozpaczy, dlatego że pamiętano Sikorskiemu nie fortunne posunięcia na początku rządów, chociaż później on się bardzo zmienił. Ale 1939 i 1940 rok, kiedy on był jednostronny politycznie (i to bardzo) i tym zepsuł sobie opinię. Żałowano go pośmiertnie, ale była to żałoba „w miarę". Myśmy wtedy żyli tym, że kraj ma więcej do powiedzenia niż emigracja. W prasie nie raz się o tym pisało. Przyjdą nasi żołnierze i nam pomogą, ale coraz silniej wierzono w siłę kraju. W tym '40 roku otrzymaliśmy szkołę. Uświadomiliśmy sobie, że nie ma co zbytnio liczyć na pomoc z zewnątrz, ale na to co sami reprezentujemy. Nie stracono nadziei na jakąś pomoc Anglików i Amerykanów, ale pamiętano żeśmy się na Francuzach gorąco sparzyli. Był to czas coraz bardziej pogłębionej walki konspiracyjnej. U nas dosłownie wyrastało Państwo Podziemne w swoim szkieletowym stanie.

A jak Pan wtedy przyjął wiadomość o aresztowaniu „Grota"?

Dowiedziałem się o tym 10 dni później. Mało kto o tym wiedział, ukrywano to. Zresztą rozsądnie.

Pan się z nim zetknął.

O tak, parę razy. Ja wiedziałem kto jest tym „Grotem". Na pewnych szczeblach nie dało się tego ukryć. Było to w jakiejś pół roku po rozpoczęciu akcji „N". Rzepecki powiedział mi, że mam się zgłosić do „Grota". Było to na Grochowie. Wieczorem poszedłem na adres, który dał mi Rzepecki. Wszedłem do domu, który był częściowo zrujnowany, ale miałem udać się do oficyny na pierwszym piętrze. Otworzył mi drzwi „Szymon" – słynny adiutant wszystkich komendantów AK. W pokoju czekali na mnie Rowecki z Rzepeckim. Odbyła

się bardzo przyjemna, właściwie towarzyska rozmowa. Omówiłem swoją działalność i jednocześnie poprosiłem, żeby traktować wszystkich żołnierzy propagandy jak i liniowych, chociaż nie walczą z bronią w ręku. Poprosiłem go o dwa Krzyże Walecznych dla „enowców" z terenu. Rowecki chętnie się zgodził. Wtedy właśnie podjął decyzję o przekształceniu referatu „N" w Wydział.

On wiedział kim Pan jest?

Tak. Przypuszczam, że wiedział wcześniej o mojej działalności przedwojennej, kiedy typował mnie na szefa „N". Widzieliśmy się jeszcze parę razy. Zawsze mnie prosił co pół roku, abym osobiście zdawał relację ze swojej działalności. To były krótkie 10–15 minutowe spotkania. Ostatni raz widziałem się z nim na parę tygodni przed aresztowaniem. Spotkaliśmy się na początku czerwca, kiedy razem z moim przyjacielem i współpracownikiem – Bronkiem Budkiewiczem, zameldowaliśmy mu zakończenie wcielenia ZOR-u do AK. Spotkaliśmy się gdzieś w okolicy Chłodnej. To było trochę dłuższe spotkanie. Mówiliśmy wtedy o konieczności zmian politycznych w Polsce powojennej, zmianie sytuacji społecznej, o demokratyzacji. „Grot" zgodził się z naszym stanowiskiem, mówił o konieczności poważnej przebudowy Polski powojennej. To była bardzo przyjemna i ciekawa rozmowa.

Jego aresztowanie było bardzo wielką stratą. Znałem „Bora" wcześniej jako zastępcę Komendanta Głównego i jednocześnie Komendanta Obszaru Zachodniego. Spotkałem się z nim kiedy chciałem rozbudować „N" na Zachodzie w Poznańskiem. Wtedy miałem z nim spotkanie na Saskiej Kępie. To był bardzo miły człowiek, ale było też widać, że to nie jest format „Grota". Bardzo spokojny, grzeczny, ale nie był dynamiczny. „Grot" był przywódcą, a „Bór" dobrym żołnierzem i opanowanym dowódcą. Natomiast nigdy nie zetknąłem się z Okulickim, nawet w Powstaniu, gdyż on się szykował na późniejsze wyjście z ukrycia i był siłą rzeczy odizolowany.

Ale wracam jeszcze do „Grota". To była wyjątkowa osobowość. Szerokie horyzonty. Dużo pisał jak na wojskowego. Zajmował się także propagandą, stąd znałem go z lektur. W kontakcie osobistym odczuwało się, że to nie tylko komendant, ale przede wszystkim PRZYWÓDCA. To z niego emanowało.

Chciałbym Pana zapytać o radykalizację polskiego społeczeństwa w latach II wojny światowej. Na ile obserwował Pan przesunięcie się społeczeństwa na lewo w latach wojny?

Wyrazem tego były uchwały Rady Jedności Narodowej. Absolutnie większość społeczeństwa szła na lewo, oczywiście nie do komunistów. Co sprzyjało demokratyzacji polskiego społeczeństwa? Przede wszystkim zrównanie warunków życia w czasie okupacji. Wszyscy mniej więcej podobnie przeżywaliśmy okupację. Była to solidarność w niewoli i biedzie, solidarność w walce. Trzeba przyznać, że lata Niepodległości owocowały w konspiracji i to było zjawisko niesłychanie ważne. Marcowa uchwała Rady Jedności, która była wspólnym kompromisem (marzec 44). Była jednak atakowana później przez endeków.

Tu przypomina mi się kwestia dotycząca także działalności „R". Był to okres, kiedy ukazała się uchwała komunistycznej Krajowej Rady Narodowej i postanowiliśmy w ramach Akcji „R" natychmiast na to odpowiedzieć. Napisałem odezwę, którą podpisało dwadzieścia parę organizacji i partii politycznych. Wydaliśmy ją bardzo szybko po uchwale KRN.

Pan jest ciągle zakochany w Warszawie, wtedy było to miasto niezwykłe. Jak zapamiętał Pan Warszawę lat okupacji, przed Powstaniem?

Ja się czułem na ulicach bezpiecznie. Czuło się ludzką solidarność. Dam przykład. W 1943 roku Niemcy robili takie wielkie łapanki. Szli niemieccy żołnierze przez całą szerokość ulicy i wszystkich zgarniali. Mieszkałem wtedy przy ulicy Puławskiej i wracałem z okolic Al. Niepodległości. Zauważyłem, że idą lotnicy (ta formacja była najgorsza). Myślę sobie, że może być nieprzyjemnie. Postanowiłem wejść do pierwszego najbliższego domu. Zapukałem i spytałem, czy mogę przeczekać łapankę. I tak mogłem być spokojny.

Uważam, że teraz w Warszawie brak jednego pomnika – pomnika szmuglerki, tej co żywiła miasto.

To było piękne i niezapomniane miasto w czasie okupacji. Np. egzekucje uliczne nie zmniejszały działalności. Wawer wstrząsnął bardzo ludźmi, bo to był pierwszy raz. Z czasem było coraz więcej ostrożności, a mniej brawurowania. To miało różne formy. Pamiętam jak moja żona z koleżankami

z ZOR-u składała kwiaty pod pomnikiem Lotnika – uważały, że tak trzeba. Ale jeżeli brawura jest połączona z wytrwałością – to dobra cecha. Pamiętam gdy jeździłem odbierać przysięgi „zorowskie" (najczęściej do ludzi prostych), oni mieli wspaniałą postawę bojową.

Ale nasz kolportaż „N", on naprawdę miał mało wpadek jak na ilość zaangażowanych ludzi i wydawnictw, które się ukazywały.

Wielu ludzi znakomicie wytrzymywało śledztwa. Oczywiście nie wszyscy, ale znakomita większość. To było bojowe miasto. Nawet kiedy Powstanie wygasło, ludzie zapełniający piwnice nie mówili „wyście nas zgubili".

Pamiętam jak po kapitulacji Powstania wywozili na Śląsk do Łambinowic. Wysadzono nas z wagonów i szliśmy piechotą do obozu. Po drodze zobaczyliśmy jakiś prowizoryczny obóz. To byli wywiezieni wcześniej warszawiacy. Lecieli do nas, tych, którzyśmy „zburzyli miasto" i cieszyli się, że nas zobaczyli, tych żołnierzy z opaskami.

Latem 1944 roku, gdy Sowieci zbliżają się od wschodu, przez Warszawę uciekają na zachód tysiące Niemców. Widać sypiący się front.

Proszę Pana, my zarządziliśmy ewakuację Warszawy wcześniej, w ramach Akcji „N". Przygotowałem plakat, w którym wyręczałem gubernatora Fishera. „Zarządziliśmy", ze względu na zagrożenie ludności i urzędów ewakuację z Warszawy. Wyglądało to jak autentyczne zarządzenie. Wywołało to prawdziwy popłoch wśród Niemców. Niezastąpiony „Wawer" rozplakatował to moje zarządzenie w Warszawie.

Mieliśmy właśnie naradę „bipowską", a tu wpada Kamiński i od drzwi woła: „zobaczcie, ewakuację Niemców z Warszawy!". Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. W rezultacie gratulował sukcesu. Niemcy, naród zdyscyplinowany, natychmiast zaczęli wykonywać zarządzenie. To była przyjemna zabawa, dająca dużo satysfakcji.

Byliśmy przygotowani, że walka o Warszawę musi wkrótce nastąpić. W moim otoczeniu zdawaliśmy sobie sprawę, że Niemcy łatwo z Warszawy nie będą chcieli odejść. Wisła przecież stanowiłą dobrą linię obrony, to była naturalna przeszkoda. Bić się chcieli wszyscy, tym bardziej że kiedy 24 lipca w czasie wielkiej paniki Niemcy uciekli przez Warszawę, to można było by

podejść do wozu i brać karabin, a oni wcale by nie reagowali. Niemcom udało się później opanować panikę, ale dla nas było jasne, że z naszej strony musi nastąpić uderzenie.

Kiedy został Pan szefem propagandy Powstania?

Od chwili wybuchu Powstania. Zostałem autentycznie od pierwszej godziny szefem propagandy, co wynikało z mojego stanowiska. Byliśmy u „Montera" na kwaterze wraz z Rzepeckim, miałem cały aparat w rękach i kierowałem naszą propagandą o Powstaniu. O decyzji rozpoczęcia walki dowiedziałem się na osiem godzin wcześniej. Zdążyłem rozesłać łączniczki na przygotowane punkty. Na przykład ekipa „Błyskawicy" czekała na Polnej, gdyż łączność zapowiadała, że otrzymamy krótkofalówkę na politechnice, więc chodziło o to, żebym miał blisko niej obsadę. Miałem jeszcze drugą krótkofalówkę, na której myśmy „grali". Walczyłem z łącznością o sprzęt ładnych parę miesięcy i w końcu na szefie łączności go wymusiłem. Dostałem go w Częstochowie i musieliśmy przewieźć do Warszawy. To była krótkofalówka i trochę w podróży przemokła, gdyż wieziono ją w beczce z kapustą, ale udało się ją naprawić. Mobilizacja mojego wydziału wypadła sprawnie.

Zaczyna się godzina „W".

W Powstaniu zdarzały się rozmaite dziwactwa. Nasz wydział miał gmach PKO na rogu Jasnej. Dzięki zorowcom tam pracującym udało się nam zająć ten olbrzymi gmach. Wieczorem byliśmy tam wszyscy. „Monterowi" znaleziono kwaterę na Jasnej 22, a potem w pobliskim hotelu „Victoria" przeznaczonym dla żołnierzy niemieckich. Po zbombardowaniu został bez kwatery. Wtedy zabrałem go do nas i był w PKO do połowy września.

Jaki był zakres Pańskich obowiązków?

Odprawiałem patrole propagandowe (megafony). Rano przeglądałem numer ściennej gazety „Warszawa walczy". Z redaktorem „Błyskawicy" omawiałem program audycji. Codziennie sprawdzałem co robili filmowcy i fotografowie. Codziennie prowadziłem konferencje prasowe. Tak wyglądał mój dzień.

Z konferencji prasowych miałem wspaniałe doświadczenia. Te spotkania bardzo się rozrosły – były tam reprezentowane wszystkie pisma, od NSZ-u do komuny (z którymi przychodzi Weber). Początkowo konferencje odbywały się na Szpitalnej, a potem w Eriksonie w alejach Ujazdowskich przy rogu Wilczej. Redakcje były bardzo solidne i zawsze spełniały prośbę, gdy prosiłem aby czegoś nie drukowano, bo to tylko do ich wiadomości. Omawiałem na tych konferencjach sytuację na froncie akowskim w całej Polsce (znaliśmy ją dzięki depeszom), sytuację w świecie (dzięki nasłuchowi radiowemu) oraz co się dzieje w Warszawie. Co jakiś czas ściągałem na konferencje ludzi, np. szefa saperów, który omawiał swoją działalność (budowanie barykad, robienie katapult, jak ratować zasypane domy), szefa sanitariuszy, itd.

Ponadto każda redakcja miała swoją teczkę (to były takie skrzynki) umieszczaliśmy w nich komunikaty, wszelkie materiały. Przychodzili dwa razy dziennie i dostawali sporo materiałów do wykorzystania w redakcjach.

A jak sprawdziły się inne formy działalności – teatr, piosenka?

Mieliśmy trzy seanse w kinie „Palladium" zajętym przez nas. Prezentowaliśmy nasze filmy, nawet udźwiękowione. Wśród nas był niezawodny Bohdziewicz, szef naszych filmowców. On montował film – kronikę wydarzeń z kilku dni. Jednocześnie sam pisał komentarz, który sam odczytywał przez głośnik i nikt się nie orientował, że nie jest to prawdziwy film dźwiękowy. Wydaje mi się, że to był prawdziwy sukces. Na projekcje ściągaliśmy ludzi późnym wieczorem, gdyż baliśmy się, żeby przez agenturę nie dowiedzieli się o tym Niemcy i nie zbombardowali kina.

W konserwatorium mieliśmy orkiestrę dętą – raz czy dwa razy nawet występowała.

Na ile trzeba było poprzez propagandę podtrzymywać ludzi na duchu?

Tego nie trzeba było robić. Nawet mocno przetrzepane oddziały nie przeżywały załamania. Np. ludzie ze Starówki, kiedy wracali kanałami, byli zmaltretowani, początkowo chyba nawet rozgoryczeni, ale kiedy się umyli, odpoczęli to chętnie szli dalej bić się na Czerniaków. Oni tylko chcieli walczyć, dalej w swoich oddziałach. Powstańczy żołnierz był wspaniały.

A jak Pan w propagandzie tłumaczył brak pomocy dla Powstania?

Nie było żadnej jasnej odpowiedzi. Myśmy właściwie nie wiedzieli. dlaczego tej pomocy nie ma. Myśmy myśleli, że to z powodu niedbałości Anglików. Nie wiedzieliśmy, że przelot samolotu z Brindisi do Warszawy był wówczas prawie niemożliwy.

Przygotowaliśmy się natomiast na wejście Rosjan do miasta w czasie ofensywy. Mieliśmy olbrzymie plakaty z fotografiami naszych przywódców i z naszymi hasłami. Chodziło o to, żeby Rosjanie zobaczyli, że to jest Polska. Ale ich nie wykorzystaliśmy.

Przygotowywaliśmy się też na wypadek, gdyby Rosjanie zatrzymali się w Warszawie. Mieliśmy się skoncentrować w jednym kwartale bloków (Komenda Główna, Delegatura Rządu), otoczonych naszymi oddziałami i czekać na rozwój wypadków. A gdyby zaatakowali, to będziemy się bronić do końca. Taką możliwość braliśmy też pod uwagę.

A skoro już jesteśmy przy Powstaniu, czy pamięta Pan jakieś szczególne dramatyczne sceny, momenty?

Pamiętam gdyśmy zajęli gmach „Adrii" na Moniuszki (to było po tym jak oddałem „Monterowi" gmach PKO). W podziemiach w dawnej restauracji była nasza stołówka „peżetek". Nasze kwatery były na pierwszym piętrze. To była siedziba naszego wydziału. Byłem na korytarzu, gdy odczuliśmy silny wstrząs. I nagle pociemniało, nic nie było widać. Zapanowała śmiertelna cisza. Zawołałem by skrapiać wodą. Kurz i pył zaczął opadać, na podłodze co prawda porobiło się błoto, ale zaczęliśmy się widzieć. Okazało się, że trafił nas jeden z trzech pierwszych pocisków ze specjalnego działa fortecznego, które Niemcy ściągnęli z Sewastopola (pociski miały ok. 2 m długości). Myśmy jeszcze tych pocisków nie znali (jeden trafił w Marszałkowską 127, a drugi na Starówkę, trzeci w nas). Ten pocisk lecący z kierunku Ożarowa przebił jeden dom, wpadł do nas i osiadł w restauracji. Ten ogromny pocisk zabił dwie osoby, w tym jedną naszą „peżetkę" – panią Iwanko. Miałem wtedy w „Adrii" ok. 200 ludzi, a w budynku siedzi ogromny niewypał, który może w każdej chwili wybuchnąć. Pośpiesznie ewakuowałem ludzi do innych budynków z poleceniem poszukiwania nowych kwater. Kiedy udało się wszystkich ulokować, minęło

sporo czasu, zrobiła się już noc. Pozostało nas kilku (Leszek Sadowski, Nowak, łączniczka „Greta" i jeszcze ze dwie osoby). Zdecydowaliśmy, że prześpimy się na materacach w towarzystwie pocisku. Nic nam się nie stało, ale było to emocjonujące. Saperzy rozkręcili następnego dnia pocisk i masa materiału wybuchowego poszła do naszych granatów ręcznych. To był najbardziej emocjonujący moment w całym Powstaniu.

A ostatnie dni, kiedy już było wiadomo, że Powstanie kapituluje?

Wtedy chciałem przede wszystkim zabezpieczyć materiały, które zostają, m.in. filmy, których do tej pory nie odzyskaliśmy. Trzeba było przygotować sprawę ludzi, którzy nie szli do niewoli. Należało się przygotować do niewoli – zbierano jakieś ciuchy, zwłaszcza kobiety. Wychodziliśmy z Warszawy czwórkami, z fasonem. Trzymaliśmy się przyzwoicie. Idąc w kierunku placu Narutowicza ulicą Śniadeckich wprowadzono nas na podwórze dawnej Podchorążówki Saperskiej – tam składaliśmy broń. W otaczających budynkach, dosłownie we wszystkich oknach stały niemiecki cekaemy wycelowane w nas składających broń.

Byliśmy wtedy bardzo skupieni, ale nie załamani. Jeszcze myśleliśmy, że to tylko przegrana bitwa. Mieliśmy poczucie tego, żeśmy się dobrze bili, że wrócimy. Byliśmy przekonani, że to co się stało w Warszawie nie pójdzie na marne.

Doszliśmy do Ożarowa, gdzie nocowaliśmy, a potem wsadzono nas do wagonów towarowych i powieziono nas na Śląsk. Gdy tylko pociąg po drodze stawał na stacjach, to natychmiast zaczynaliśmy śpiewać, mimo, że Niemcy tego zakazywali. W Łambinowicach oficerów sztabowych oddzielono od nas, a myśmy pojechali do Grossbronn. Jechaliśmy przez Poznań, ale tam zatrzymano nas przed stacją, żeby nie było śpiewów.

Kiedy już dojechaliśmy, to dalej musieliśmy iść pieszo do obozu, gdzie byli już starzy „gefangeni". Ich było 4500 a nas 500. To byli „wrześniowcy" – pełno było tam moich znajomych.

Tam w obozie fizycznie odżyłem. Wyszliśmy z Warszawy głodni, praktycznie głodowaliśmy pod koniec (jedliśmy papkę owsianą czy żytnią).

Jak Was witano w obozie?

Bardzo serdecznie. Rozrywali nas, zapraszali żeby iść do nich na kolację. To byli bogaci „gefangeni", mieli paczki amerykańskie, zagospodarowali się. Robili wystawne przyjęcia.

„Zarabiałem" gadaniem na jedzenie. Miałem jak mówiłem pełno znajomych z Warszawy, którzy mnie zapraszali. Jednym z moich tematów był Berling i jego wojsko w Rosji. Znałem szczegóły od rotmistrza Łopianowskiego – cichociemnego, który był w „willi szczęścia" z Berlingiem. „Gefangeni" czekali z wystawną dwu daniową kolacją, mnóstwo kawy (z tych paczek amerykańskich). I po takiej kolacji ja opowiadałem. Trwało to od 19-tej do 21-ej, do tzw. „szczalnej trąbki", kiedy otwierano baraki na 15 minut, żeby ludzie mogli pójść do latryn.

Słuchacze byli różni – przyjemni i nie. Był tam zięć Sikorskiego – Leśniewski (zajmował się robieniem swetrów). Był też Mossor.

Jak potem ułożyły się wzajemne stosunki między akowcami, a tymi, którzy w niewoli byli już od lat?

Wychodziły różne kompleksy. Spoglądali na nas z wyższością, że niby tylko oni to prawdziwe wojsko, a AK to tylko cywile. Zresztą zajmowali się swoim życiem obozowym – tworzyli takie getto, z zawodami sportowymi, własnymi pieniędzmi (papierosy), handlem rzeczami z paczek. Posiadali także własny zupełnie dobry teatr. Prowadzili też różne wykłady i kursy.

W obozie zastaliśmy akowską konspirację. Mieliśmy zorganizowany nasłuch radiowy. Świeże wiadomości bardzo szybko obiegły obóz wieczorem, w czasie „szczalnej trąbki".

Kiedyś zaprosił mnie do siebie Mossor – mieszkał osobno. Wtedy nie wiedziałem, że on jeździł do Katynia. Myślałem, że przedstawiciel prawicy chce się czegoś dowiedzieć o poczynaniach komuny, więc mu opowiadałem. Relacjonowałem jak wygląda wojsko Żimirskiego na Lubelszczyźnie. Słuchał, ale nie dyskutował.

Zbliżał się koniec stycznia i wówczas przypędzono do nas cały obóz akowców, z Ziemskim na czele. Po trzech dniach wyprawiono ich dalej na Zachód.

Chciałbym jeszcze nawiązać do nastrojów panujących wśród części starych „gefangenów", obok baraków były wykopane rowy na wypadek bombardowa-

nia obozu. Kiedyś miało miejsce silne bombardowanie Szczecina i widziałem „gefangenów", którzy kryli się w rowach. Tymczasem wśród warszawiaków, panowała radość, że szkopów tak rąbią, a nikt nie myślał o kryciu się.

Kilka dni później zaczęła się ucieczka Niemców ze Wschodu na Zachód – zastraszeni ludzie, wozy i inwentarz. Wtedy też zabrali nam wojskową straż, a dali jakichś staruszków w mundurach i karabinami. Wchodził taki staruszek do naszego baraku, stawiał karabin w kącie, dostawał coś do picia, siadał – następowało rozprężenie dyscypliny.

Kiedy zaczęła się do nas zbliżać kanonada artyleryjska, to poprzecinaliśmy druty, żeby wyjść z obozu pod pretekstem, że nas mogą zbombardować. Właściwie nie było już nikogo ze straży, lecz w tym momencie zaczął działać Mossor. Miał zorganizowaną grupę swoich ludzi i nagle stał się szefem tego obozu. Postawił straże, żeby pilnować poprzecinanych drutów. Chciał nas zatrzymać.

5 lutego zobaczyliśmy jak podchodzi do nas tyraliera od wschodu. Postanowiliśmy uciekać. Było nas ośmiu (4 akowców i 4 „gefangenów"). Wychodzimy, a tu przy jednym z wyjść stoi dwóch „mossorowców" i nam zakazuje. Nie zwracam na to uwagi. Przechodzimy i widzę zbliżających się „berlingowców". Podjeżdża do nas porucznik na koniu, w polskim mundurze, z orzełkiem na czapce i pyta: „A wy kto taki je?". Na co ja: „My wojennoplennyje z 39 goda". Owże porucznik: „A szto diełajeżie"? Odpowiadam: „Idiom na rodinu" i usłyszałem: „to stupejtie".

Nie czekaliśmy i szybko odeszliśmy, aby zniknąć im z oczu. Z daleko zobaczyliśmy kiwającego na nas Mossora, który był już z „berlingowcami". Chciał żebyśmy wrócili do obozu, ale myśmy postanowili pójść swoją drogą do kraju. Doszliśmy do wsi, wchodzimy do jakiejś chaty i trafiamy na sierżanta, który mówi: „O, panowie, nareszcie będziemy mieli polskich oficerów. Jak to dobrze.". Spotkałem tam także mojego szkolnego kolegę, dra Uszyckiego, który mówi do mnie: „Słuchaj Tadeusz, wiejcie stąd jak najszybciej, bo zaraz tu przyjedzie >>rozwietka<<". Sierżant dał nam bryczkę z parą koni i szybko odjechaliśmy. Dojechaliśmy do Jastrowa, było tam zupełnie pusto. Patrzę, z naprzeciwka idzie jakiś pułkownik w polskim mundurze. Podchodzę i melduję się, a on „Szto wy gawaritie?". Dopiero jego oficerowie zaczęli mu tłumaczyć.

Znów podszedł do nas jeden z nich i mówi, żebyśmy wiali dalej, bo wkrótce pojawi się tu NKWD.

Dotarliśmy do batalionu samochodowego w Bydgoszczy. Tam ugościli nas serdecznie podoficerowie. Dali nam kwaterę jakiegoś gestapowca. Potem dojechaliśmy samochodem do Inowrocławia, i tam zgłosiliśmy się do „berlingowskiej" komendy miasta i poprosiliśmy o kwatery. Przez dwa dni jadaliśmy w kasynie i w czasie posiłków staraliśmy się zasięgnąć „języka". Przedstawiliśmy się jako starzy „gefangeni" i narzekaliśmy na decyzję o wybuchu Powstania, ale nie raz słyszeliśmy od młodych „berlingowców", że nie można tak mówić, gdyż inaczej trzeba oceniać Powstanie. Byliśmy ich opiniami niezwykle uradowani.

Czekaliśmy na uruchomienie wąskotorowej kolejki do Łodzi, gdzie chcieliśmy dojechać. Zobaczyłem afisz o poborze do wojska i warunki jakie musi spełniać ochotnik. Otóż kandydat na oficera politycznego musiał: mieć niższe wykształcenie, i „być politycznie wytrzymały". Chciałem to zabrać, ale ktoś mnie wyprzedził.

Z Łodzi pojechałem do Krakowa, chcąc znaleźć znajomych i odszukać żonę. Do żony, która była w Oświęcimiu, wysłałem list z oflagu i tam jej go przeczytali. Wiedziała więc, że żyję, ja jednak nie wiedziałem co się z nią teraz dzieje.

Jak znalazł Pan nową rzeczywistość po powrocie do kraju?

Po powrocie do Krakowa miałem bardzo symboliczną styczność z nową rzeczywistością. Właśnie tego dnia, gazety ogłosiły uchwały jałtańskie. Nie miałem najmniejszej wątpliwości co to znaczy. Nastrój nie był najlepszy. Wiedziałem, że nie będzie to republika, ale wiadomo było, że będą to rządy sowieckie.

Co można było robić w takiej sytuacji? Najpierw trzeba było się ukrywać i natychmiast zorientować się gdzie są moi koledzy, oczywiście w samym Krakowie. Jasne było, że pod Warszawę nie ma co jechać. Wszyscy mówili, że Milanówek to „drugi Londyn" – pełno bezpieki a samo miasto zniszczone.

Spotkałem się z niektórymi kolegami i zaczęliśmy zastanawiać się co będziemy mogli dalej robić. Spotkałem się wówczas z żoną, która wróciła z Oświęcimia – po ucieczce z transportu – i wyjechaliśmy na dwa tygodnie pod Kraków, aby żona mogła odpocząć. W okresie Wielkanocy przyjechał do mnie jeden

z przyjaciół, z wiadomością o porwaniu „16”-tu. Powiedziałem sobie: Dość pasowania, trzeba się bronić do nowej konspiracji. Takiej, która miała by charakter polityczny.

Wróciłem do Krakowa. Zacząłem organizować nasłuch radiowy, ludzi – i tak powstał „Głos Wolności”. Redagowaliśmy go głównie na podstawie nasłuchu radiowego. Staraliśmy się wydawać pismo nie rzadziej niż raz na dwa tygodnie, a w niektórych wypadkach raz na tydzień. Staraliśmy się, aby docierał także pod Warszawę. Odbijaliśmy w Krakowie na powielaczu, a łączniczki dowoziły matryce do innych ośrodków.

W październiku 1945 roku aresztowano w Łodzi dwoje moich przyjaciół z pracy okupacyjnej i obecnej (dostali po pięć lat), ale mieli szczęście, gdyż objęła ich amnestia. Była to jedyna wpadka. W Krakowie mało kręciłem się po mieście z powodu zagrożenia aresztowaniem.

A czy miał Pan kontakt z innymi akowcami z Krakowa?

Nie chciałem mieć kontaktu z nimi. Muszę się cofnąć. Zanim dojechałem do Krakowa, po drodze zatrzymałem się na noc w Częstochowie. Wyszedłem rano na miasto i przypadkiem natchnąłem się na Rzepeckiego, który świeżo wrócił z Woldenbergu. Nie dogadaliśmy się w tej rozmowie. Nie odpowiadał mi jego plan. Przede wszystkim dlatego, że nie był sprecyzowany (opozycja polityczna, dotrwać do wyborów). Nie podobała mi się koncepcja polityczna, której celem jest dotrwanie tylko do wyborów. Rozstaliśmy się wtedy przyjaźnie, ale ozięble. Od tego czasu więcej już go nie widziałem.

W WiN-ie nie podobała mi się sama koncepcja. Wiadomo przecież, że zawodowi wojskowi nie mogą robić organizacji politycznej, gdyż nie są do takich rzeczy dobrze przygotowani z braku rutyny politycznej. Wówczas nie widziałem sensu politycznego tego typu organizacji. Natomiast wiedziałem i rozumiałem, że musi być jakaś forma oporu politycznego, którego celem jest podtrzymywanie nastrojów społeczeństwa, ponieważ zręczna propaganda komunistyczna odbierze nam nasze hasła polityczne i będzie nimi operować. W tym też duchu rozmawiałem wtedy z „zorowcami” i mówiłem im, że musimy się nastawiać na działalność polityczną, na negację polityki komunistycznej i propagowanie naszych haseł z okresu akowskiego – niepodległościowych.

Wypłynęła wtedy sprawa Zjednoczenia Demokratycznego.

Zbliżał się wrzesień 1945. Moi znajomi z Warszawy, przysłali mi wiadomość, żebym przyjechał, gdyż robi się wielki zjazd kombatancki. Zaproponowano mi, abym przemawiał na tym zebraniu w imieniu ZOR.

To miał być mój drugi pobyt w Warszawie. Poprzednio byłem tam na posiedzeniu Rady Naczelnej Zjednoczenia Demokratycznego (oczywiście konspiracyjnym). Dowiedziałem się, że istnieje propozycja, abyśmy ujawnili się i przystąpili do legalnej działalności jako Zjednoczenie Demokratyczne. Byli tam: Kapitaniak – to przyzwoity człowiek, mój przyjaciel, ale naiwniak polityczny – i był rzecznik tej propozycji, Włodzimierz Lechowicz z konspiracyjnego Stronnictwa Demokratycznego. Zjawili się także przedstawiciele „Jutra Polski Niepodległej” – bardzo z nami związani politycznie polegający na naszych ocenach. Perorował (a mówiliśmy cały dzień) głównie Lechowicz, namawiając nas żebyśmy się ujawnili. Szło to szalenie opornie (ja byłem temu przeciwny), ale zdołaliśmy osiągnąć pewien kompromis. Udało mi się przeprowadzić uchwałę o zawieszeniu działalności Zjednoczenia Demokratycznego. Myślałem wówczas, że już jej nigdy nie odwiesimy. Chodziło przede wszystkim o uspokojenie się tych wahających się pomiędzy kolaboracyjnym stanowiskiem Lechowicza i moim. To zebranie odbyło się, akurat dokładnie pamiętam 22 lipca. Zapamiętałem tę datę tak dobrze, gdyż mówiono, że to dobry dzień na tajne zebranie, bo komuniści zajęci będą swoimi galówkami i łatwiej będzie się przemknąć na spore zebranie.

Czy wcześniej nie miał Pan nigdy zastrzeżeń co do samego Lechowicza?

Miałem wątpliwości natury politycznej, a nie wywiadowczej. Uważałem, że on jest bardzo ambitny (stosunkowo młody i dynamiczny), dobrze przemawiał i był w stanie przekonać ludzi. Mówię o tym, gdyż później, po tym naszym zebraniu ukazał się artykuł w „Odrodzeniu”, będący propagandową publikacją Lechowicza pt. „Okrakiem na barykadzie”. Było to w lecie 1945 roku (sierpień czy wrzesień). Ale nie bardzo mu się to siedzenie okrakiem przydało w życiu.

Parę tygodni później planowano zjazd organizacji kombatanckich.

Koledzy przysłali mi zaproszenie wraz z biletem przejazdu. Jednocześnie przysłano mi zapewnienie, że wszystko będzie w porządku.

Przyjechałem do Warszawy na 2–3 dni. Na miejscu okazało się, że zjazd organizuje Jóźwiak – „Witold". Właśnie kształtował się początek koncepcji ZBOWiD-u. Początkowo nazwa była trochę inna.

Na miejscu okazało się, że nie ma zgody na moje przemówienie i na udział ZOR-u w zjeździe. Postanowiłem zorientować się, czy jest jakiś znajomy w komitecie organizacyjnym. Były major AK Łątowski. Kwaterował obok mnie w Powstaniu (na Wilczej). Napisałem do niego protest przeciw dyskryminowaniu ZOR-u i zaproponowałem rozmowę z Komitetem. Zażądałem tylko gwarancji bezpieczeństwa (chodziłem ciągle na „lewych papierach"). Łątowski („Mechanik") załatwił to. Poszedłem. To było gdzieś w ocalałych budynkach w okolicy Topolowej, Koszykowej.

W budynku obstawa żołnierzy z pepeszami. Wchodzę do pokoju, gdzie siedzi kilku panów. Przewodniczący Kirchmayer (jeszcze jako pułkownik), jest Władysław Bieńkowski, Cezary Szyszko (z RPPS-u), Banach (Bataliony Chłopskie), także pułkownik Narbutt z alowskiej partyzantki. Chyba jeszcze ktoś. Powiedziałem im, że wiem o ich sprzeciwie wobec ZOR-u z uwagi na moją osobę: „Panowie, nie mam zamiaru walczyć o moją osobistą obecność, ale panowie nie mogą krzywdzić organizacji która miała swoje 10000 ludzi w czasie wojny. Dlaczego więc ze względu na mnie ma zostać wyłączona?".

Atakował mnie głównie Władysław Bieńkowski, którego postawę dobrze zapamiętałem. Był najbardziej agresywny, zjadliwy, uszczypliwy. Bieńkowski pytał „jak to było z komunistami w okresie wojny?" „Byłem przeciwko" – odpowiadam. Bieńkowski dalej: „A kto kazał pisać na murach >>PPR – Płatne Pachołki Rosji<<". „A to ja" – znów odpowiadam. – „Ale nie ZOR". Było sporo tego typu pytań i w pewnym momencie mówią do mnie, że muszą wyjść na naradę. Było jeszcze ze mną dwóch ludzi z ZOR-u, żeby zobaczyć co się stanie. Przeraziły ich moje ostre wypowiedzi. W przerwie na korytarzu podchodzi do mnie Łętowski i biadoli, że powiedziałem to wszystko za wcześnie, za mocno, że pewnie stąd nie wyjdę, itd. Po przerwie Kirchmayer zakomunikował mi, że ani ZOR, ani ja nie będziemy dopuszczeni do zjazdu.

Przypominam sobie ten emocjonujący moment z przyjemnością, ponieważ mogłem mówić prawdę i widziałem jakie to robi wrażenie. Wiedzieli o mnie sporo, ale sądzę, że chcieli mnie załatwić. Przede wszystkim za Wydział „R".

Po próbach warszawskich rozmów powróciłem do Krakowa i dalej prowadziłem dotychczasową działalność. Musiałem poszukać jakiejś pracy i dzięki ojcu jednej z moich dawnych łączniczek z Krakowa dostałem etat radcy prawnego w Stowarzyszeniu Kupców Krakowskich. Miałem tam prowadzić porady prawne. Zapamiętałem z tej pracy fakt, że miałem też bony na bezpłatne obiady w restauracji. Niestety to nie trwało długo.

Czy po tej wizycie w Warszawie coś Pan postanowił? Na przykład w sprawie ujawnienia się?

Tak, do tego właśnie zmierzałem. Po mojej bytności w Warszawie postanowiłem się ujawnić. Zbliżał się koniec terminu amnestyjnego i po naradzie z przyjaciółmi zdecydowałem się na ten krok. Pojechałem do Warszawy na Bielany, gdzie byli ludzie przyjmujący zgłoszenia. Tam rozmawiałem z członkami komisji, kapitanem awansowanym już na pułkownika, który w czasie wojny był w Woldenbergu. Powiedział mi, że mogą mi uznać tylko stopień podporucznika (taki stopień miałem we wrześniu), gdyż nie uwzględniają akowskich awansów. A te właśnie miały dla mnie duże znaczenie. Postanowiłem interweniować. Chodziło nie tyle o stopień wojskowy, ale o wyrażony w ten sposób stosunek do Armii Krajowej.

Udałem się do komisji „Radosława", gdzie zastałem znajomego, „Wolańskiego" (jednego z szefów personalnych AK). Tam powiedziałem głośno z pretensją, że jakiś cymbał nie chce uznać naszych akowskich stopni. Wtedy „Wolański" dyskretnie wskazał palcem na siedzącego obok nieznajomego osobnika (domyśliłem się, że to ubek), więc przestałem mówić co myślę. Nazajutrz otrzymałem odpowiednie zaświadczenie i pojechałem na Bielany. Tam usłyszałem od osobnika, który ze mną poprzednio rozmawiał, że stopień kapitana mi uznają, ale w wojsku na mnie nie reflektują. Odpowiedziałem, że się dobrze składa, gdyż i ja na to reflektuję. Po wydaniu odpowiednich papierów otrzymałem na drogę bochenek chleba i jakieś konserwy – i tak zakończyła się moja legalizacja.

A wracając do sytuacji społeczeństwa trwał dramat Polaków.

Zaczynał się. Wraca Mikołajczyk, niektórzy żołnierze z oflagu. Opowiadał mi Kapitaniak, że był w Alejach Jerozolimskich gdy otwartym samochodem z lot-

niska wraz z Mikołajczykiem jechał Bierut. Ludzie entuzjastycznie witali Mikołajczyka, który machał im ręką, dołączył się do tego siedzący obok niego Bierut, który wstał w samochodzie. I nagle rozległ się okrzyk jakiegoś witającego warszawiaka: „Boleś siadaj, to nie dla Ciebie!". To był wyraz nastroju społeczeństwa.

Ciekawą akcję opozycyjną robił wówczas PPS. Ukrywający się Zygmunt Zaremba wydawał „AS" (Agencja Socjalistyczna) – bardzo dobre pismo, inteligentnie robione, bojowe. Spotykałem się z nimi wielokrotnie w Krakowie, także ze znanym mi dobrze Białasem. Wtedy nie mieli jeszcze jasnej koncepcji działalności politycznej na dalszą przyszłość. Nie byłem jeszcze dokładnie zorientowany jak wielu akowców, w obawie o własne życie nadal pozostaje w ukryciu. Nie była to lekkomyślność z ich strony, lecz połączenie chęci walki o niepodległość z obawą o własne życie zagrożone przez komunistów. Był to czas niejednoznacznych ocen. Np. „Radosława" krytykowano za jego akcję (ja również należałem do jego przeciwników), ale wielu jego współpracowników liczyło na jej pozytywne efekty w przyszłości.

Kiedy zdecydował się Pan na opuszczenie kraju?

Wczesną jesienią 1945 roku, gdy pracowałem jako radca w Stowarzyszeniu Kupców dostałem dwa bardzo poważne ostrzeżenia. Raz od łączniczki, która przyjechała (w otoczeniu Radkiewicza pracował ktoś z dawnych demokratów) przekazać mi wiadomość o wypowiedzi Radkiewicza, że „Żenczykowski długo na wolności nie pochodzi.". My wiemy gdzie on jest i co robi. Potem przyjechał do mnie Kapitaniak i mówi: „Tadeusz musisz wiać. Wiadomości, które Ci przekazywaliśmy są prawdziwe". Kapitaniak pracował już wtedy w Sądzie Najwyższym (przed wojną był podprokuratorem, a po wojnie sędzią Sądu Najwyższego). To był szczery przyjaciel, uczciwy człowiek, ale niezmiernie naiwny politycznie. Prowadziliśmy z nim wielokrotnie całonocne rozmowy w naszym ciasnym pokoiku, gdzie z braku miejsca sypiał na podłodze.

Po drugim ostrzeżeniu zdecydowaliśmy się z żoną (to był koniec października) wyjechać. O tym, że mamy zamiar „zwiać" wiedzieli rodzice Barbary i Jadwigi Wolskich, wiedział Białas przez właściciela mieszkania. Mieszkaliśmy wtedy u Ustupskich, przedwojennego wybitnego wioślarza, medalisty olimpijskiego, żołnierza AK, potem był niefortunnym burmistrzem Zakopanego.

Wyjechaliśmy z żoną do Wrocławia (mieliśmy tylko walizeczkę), gdzie mieszkała moja dawna sekretarka z OZN-u, a zarazem łączniczka z pierwszego okresu zorowskiego. Pamiętam, że przed dworcem stały Niemki z wózkami wiozące bagaże i muszę przyznać, że mieliśmy pewną satysfakcję, że nasi prześladowcy teraz muszę wozić.

Z Wrocławia dalszy przerzut organizowali Ustupski i Zubek (także sportowiec, narciarz). Ale samo przetarcie drogi ułatwił mi jeden z moich współpracowników z ZOR-u, Jan Kostrzewski. Z Wrocławia pojechałem przez Wałbrzych do Kamiennej Góry, a stamtąd do Lubawki, gdzie komendantem posterunki milicji był stary akowski partyzant, którego podkomendni zostali na tym posterunku milicjantami.

Mieliśmy z żoną wtedy tylko walizeczkę z niezbędnymi rzeczami i sto czy dwieście dolarów, oraz co ważniejsze mieliśmy papierosy i boczek. Te dwie ostatnie rzeczy to była dobra „waluta".

Czekaliśmy w tej miejscowości na okazję. Komendant posterunku miał człowieka, który handlował samochodami. Posiadał mundur z armii amerykańskiej i jakieś legitymacje – tu kupował samochody, wywoził do Czechosłowacji, itd. Obaj z komendantem byli „zblatowani". Czekaliśmy tam dwa czy trzy dni. Moja żona przeziębiła się wtedy i komendant, chyba nazywał się Laga, lecz był to chyba jego pseudonim z czasów akowskich, postanowił leczyć moją żonę w ten sposób, że od rana dawał jej bimber i tak do wieczora. A trzeba dodać, że Laga był tam królem bimbru. Posiadał monopol na pędzenie tego trunku w tej okolicy i tylko u niego. Milicjanci kiedy nie pracowali na posterunku to także siedzieli w bimbrowni i produkowali napój. Od samego rana moja żona chodziła zamroczona. Ja miałem szczęście, że byłem zdrowy, gdyż nie musiałem pić bez przerwy.

Wreszcie przyjechał jegomość handlujący samochodami. Wówczas Laga powiedział do tego „Amerykanina": „Masz tu pułkownika, którego z żoną masz przewieźć. Musisz specjalnie uważać, gdyż jest to zadanie do wykonania. Nie możesz nawalić, bo ja ci… itd.". Tak więc jechałem jako „pułkownik" – nie protestowałem dla dobra sprawy (bez problemu wjechaliśmy do Czech i przyjechaliśmy do Pragi). Tam udaliśmy się do hotelu „Waldorf – Astoria", gdzie portier nie chciał przyjąć koron, ale kiedy dostał od żony kawałek boczku, to

natychmiast dostaliśmy na dwa dni pokój. Hotel bardzo elegancki, choć nie ogrzewany. Następnego dnia rano wychodzimy na Vaclavske Namesti i słyszymy radosne krzyki ludzi. Podchodzimy, a to „Ruda Armada" opuszczała Pragę. Powiedzieliśmy sobie – jaka była by radość w Polsce, gdyby to tak Armia Czerwona opuszczała nasz kraj. Mieliśmy spore kłopoty z wyżywieniem, gdyż bez kartek mogliśmy dostać tylko kartoflankę i piwo.

Jak jechaliście państwo dalej?

Z Pragi dostaliśmy przepustkę do Pilzna, gdzie stali Amerykanie. Między tymi dwoma miastami były kordony graniczne. W związku z tym, że Rosjanie opuszczali Pragę to przejście było dodatkowo ułatwione. W Pilźnie dowiedzieliśmy się gdzie spotykają się Polacy. W hotelu okazało się, że nie ma miejsc, ale posiadaliśmy jeszcze papierosy i boczek, dzięki czemu udało się wszystko załatwić.

Spotkaliśmy tam oficera I Dywizji Pancernej, który zaprowadził nas do PUR-u (Urzędu Repatriacyjnego), gdzie zaczęliśmy bezpłatnie stołować się. Na stacji z wagonu Polskiego Czerwonego Krzyża otrzymaliśmy papierosy, czekoladę. Musiała jednak istnieć jakaś sieć informacyjna, gdyż w parę tygodni później w krajowej prasie napisano, że Żenczykowski „pokręcił się po Dolnym Śląsku i wyjechał na Zachód". Musiał nas tam ktoś rozpoznać, gdyż nikomu nie meldowaliśmy się, więc formalnie nie wiedziano kim jesteśmy.

Wówczas celem mojej podróży był Londyn, gdzie miałem zobaczyć się z Prezydentem Raczkiewiczem i Premierem Arciszewskim. Miałem do przekazania polecenia i sprawy od Zaręby i Białasa. Szukałem więc okazji aby dotrzeć do Londynu jak najszybciej. Z Pilzna do Norymbergii jechaliśmy samochodem pod zasznurowaną plandeką. Dalej pociągiem pojechaliśmy do Frankfurtu, do naszej Misji Wojskowej.

Pociągami jechało się strasznie. Wchodziło się tylko oknami, gdyż drzwi były zamknięte. Udało mi się podsadzić żonę do okna, która po prostu wleciała do wagonu na jakieś ciała, a ja za nią. Dopiero wtedy zorientowaliśmy się, że jesteśmy w przedziale pełnym wojskowych inwalidów niemieckich. Siedzieli w milczeniu i czym prędzej zaczęli nam robić miejsce. Pobity Niemiec jest bardzo potulny. W końcu przybyliśmy do naszej Misji, która mieściła się w amerykańskim dowództwie okupacji Niemiec. Nie mogli nas nigdzie umieścić, więc wysłano nas pod Frankfurt, do żeńskiego obozu „akaczek" w Darmstadt. Tam okazało się, że komendantką obozu była „Ina", moja „pezetka", bardzo miła, nauczycielka z zawodu.

Po moich interwencjach wysłano nas do dowództwa I dywizji pancernej do Meopen, gdzie miano nam pomóc w przedostaniu się do Londynu. Niestety nic w tym kierunku nie zrobiono.

Jak was – akowców – przyjęto w I dywizji pancernej?

Nie uznawano nas za prawdziwych żołnierzy. Tam było nawet tak, że oficerom – akowcom – nie wolno było iść do kasyna oficerskiego. Nas tam nie wpuszczano. Moja zona była podporucznikiem, ja kapitanem, ale żywiono nas w ogólnej jadalni dla cywilów. Raz tylko generał Rudnicki zaprosił nas na drinka i trochę porozmawialiśmy o sytuacji w kraju. Powiedziano nam, że nie mogą nas przerzucić do Londynu, mimo, że oficerowie z Dywizji jeździli do Londynu na urlopy, ale uznano, że nie mogą stracić urlopu.

Poradzono nam, żebyśmy pojechali do Misji Wojskowej do Paryża. Ruszyliśmy więc brytyjskim wojskowym pociągiem, bardzo wygodnym. Przeżyłem tam „spotkanie z herbatą". To było chyba jeszcze w Belgii, gdzie zatrzymano pociąg i w dużym namiocie można się było napić prawdziwej angielskiej herbaty. To była pierwsza prawdziwa herbata od kilku lat.

Tak dojechaliście do Paryża.

W Misji okazało się, że przerzuty do Londynu załatwia jakiś major, który stwierdził, że nie może tego szybko załatwić. Skierowano nas do hotelu dla wojskowych. Kiedy okazało się, że jestem blokowany w Paryżu, postanowiłem wysłać wiadomość do II Korpusu, gdzie był mój przyjaciel Gierat (z ZPMD), z którym widziałem się we Frankfurcie.

Zaproponowano nam przyjazd do II Korpusu. Droga była bardzo ładna. Przybyliśmy do placówki do Avignon, gdzie nasz kolega z ZPMD – Kopeć – był oficerem łącznikowym.U niego spotkaliśmy Gałczyńskiego, który chciał się dostać do II Korpusu. Parę razy deklamował nam swoje „Flagi". Niestety nie chcieli go przyjąć do Korpusu.

Stamtąd przez Marsylię pojechaliśmy do Nicei. Pojechaliśmy tam późnym wieczorem w Sylwestra. Pieniędzy nie mieliśmy wiele. Kupiliśmy sobie bagietki i sardynki. To była uczta sylwestrowa. Następnie poszliśmy do wojskowego, bezpłatnego kina na „Dziewięciu Murzynków" wg A. Christie. Taki był nasz „Sylwester w Nicei".

Z Nicei pojechaliśmy samochodami II Korpusu przez San Remo, gdzieś trzeba było zatrzymać się na nocleg. Był styczeń, a jednak było tam przepięknie, gęsto kwitły mimozy i z daleka odczuwało się ich delikatny zapach. Zrobiło to szczególnie silne wrażenie na mojej żonie, Darce, która po powrocie z Oświęcimia bardzo była wyczulona na piękno przyrody. Dojechaliśmy wreszcie do Ankony która stała się miejscem naszego pobytu. Bardzo nam pomógł nasz stary przyjaciel z czasów ZPMD, prezes „Siewu", Stanisław Gierat. Był blisko związany z szefem sztabu Korpusu, gen. Wiśniowskim. Dzięki temu bardzo szybko zostałem przyjęty jako kapitan do II Korpusu. Przyjęto również moją żonę jako podporucznika. Były to nasze stopnie z AK. Oboje otrzymaliśmy przydział do Oddziału Społecznego, którym kierował bardzo przyjemny, inteligentny płk. Buterlewicz. Zameldowaliśmy się u gen. Andersa, by podziękować mu za przyjecie nas do Korpusu. Wywiązała się dłuższa rozmowa na tematy ogólne i wojenne. W jej trakcie Generał powiedział: „panie kapitanie, to dobrze, że Pan jest, bo bardzo nam potrzeba oficerów, gdyż na wiosnę będzie wojna". Przyjąłem te słowa w milczeniu, ale z dużym zdziwieniem. W nową wojnę nie wierzyłem i przecież dlatego wyjechałem z kraju.

Szef Sztabu, gen. Wiśniowski powiedział mi, że obejmę stanowisko szefa propagandy Korpusu. Mijały jednak tygodnie i dookoła tej obietnicy zapanowała cisza. Miałem więc taki wypoczynkowy okres bezrobocia, który umożliwiał mi zapoznanie bliższe z Korpusem. Zauważyłem jak silne są w nim nastroje prawicowe, czy nawet wręcz endeckie, co szczególnie zaznaczyło się po przybyciu do Ankony. Zbigniewa Stypułkowskiego w sposobie jego przyjęcia i potraktowania.

Tam zetknął się pan z żołnierzami II Korpusu. Jakie na Panu zrobili wrażenie?

Nabrałem dużego uznania dla żołnierzy i oficerów Korpusu. Byli to ludzie niezwykle ofiarni i uczynni. Sami przeszli ciężką szkołę życia w Rosji teraz chętnie pomagali innym. Nie szczędzili zwłaszcza pieniędzy na Polaków rozsianych po Europie, szczególnie wywiezionych na przymusowe roboty do Niemiec. Miałem sporo znajomych w Korpusie i oni zorganizowali mi szereg bezpośrednich odczytów dla żołnierzy. Przekonałem się, jak bardzo są oni zainteresowani bieżącymi sprawami w kraju i jego przeszłością. Stanowiło to duży kontrast z nastrojami, panującymi w I Dywizji Pancernej, z którymi poprzednio miałem okazję zapoznać się.

Gdzieś pod koniec lutego okazało się, że wreszcie mogę jechać do Londynu. Nie ułatwiła mi tego I dywizja, ani Misja Wojskowa w Paryżu. Stało się to możliwe dopiero w II Korpusie. Dzięki temu mogłem spełnić zlecone mi w kraju zadania.

Czy został Pan przyjęty także przez Prezydenta Rzeczpospolitej?

Byłem u Prezydenta Władysława Raczkiewicza. Znałem go jeszcze z okresu przedwojennego. Jako prezes Związku Młodych Prawników parokrotnie chodziłem do niego. Był ministrem spraw wewnętrznych i z nim załatwiałem zagadnienia prawników administracyjnych. Znałem go również z działalności w „Światowym Związku Polaków z Zagranicy" (Światpol). W ostatnim roku przed wojną byłem wraz z generałem Stanisławem Skwarczyńskim jego gościem gdy był wojewodą pomorskim w Toruniu. Przyjechaliśmy wówczas gdzieś na wiosnę 1939 r. na duży wiec zorganizowany przez miejscowe władze Obozu Zjednoczenia Narodowego. Był to człowiek bardzo miły, spokojny, inteligentny, o znakomitej prezencji. Nie należał do polityków dynamicznych, ale niejednokrotnie w polityce polskiej odgrywał poważną rolę z gościny u Raczkiewicza pamiętam moje zdziwienie na widok licznych i ciekawych fotografii Marszałka Piłsudskiego, zapełniających jego mieszkanie. Zdziwiło mnie, że były ukryte za zasuwanymi firaneczkami. Widząc moje zdziwienie, Raczkiewicz wyjaśnił, że w ten sposób chroni bliskie jego sercu fotografie od wyblaknięcia w świetle dziennym.

W Londynie Raczkiewicz mieszkał w swej siedzibie przy 43 Eaton Place, czyli, jak to się później mówiło, „na Zamku". Mogę tu dodać, że byłem ojcem chrzestnym tej nazwy. W okresie, gdy pracowałem w „Dzienniku Polskim", często mówiono, że ten czy ów chodzi na Eaton Place do Prezydenta. Zacząłem

wówczas mówić, że są to wizyty na Zamku i ta terminologia pozostała do dziś dzień.

Rozmowa z Prezydentem była bardzo przyjemna, wysłuchał uważnie tego, co miałem mu przekazać i wypytywał się szczegółowo o sytuację w kraju i o moje na nią poglądy. Jego postawa i wygląd doskonale maskowały niebezpieczny stan jego zdrowia, o czym wówczas nie wiedziałem.

Oczywiście miałem również spotkanie z premierem Tomaszem Arciszewskim, który bardzo się ucieszył zarówno z wiadomości jakie mu przekazałem od jego przyjaciół w kraju, jak i z tego, co mu od siebie mówiłem.

Wówczas po przerwie, mógł się Pan zetknąć ponownie ze swoim dowódcą z Armii Krajowej, gen. „Borem".

Recz jasna, że meldowałem się również u gen. Bora-Komorowskiego, którego znałem osobiście z czasów AK. Spotkała mnie tam niespodzianka, gdyż gen. Bór w obecności gen. Pełczyńskiego i moich kolegów akowskich, Andrzeja Pomiana i Jana Nowaka, udekorował mnie Krzyżem Virtuti Militari.

Odbyło się również moje spotkanie z Piłsudczykami. Brało w nim udział wielu moich przedwojennych znajomych, m.in. minister Kościałkowski, wojewoda Grażyński, dyrektor Paprocki i inni, których nazwisk już dziś nie pamiętam.

Moje ogólne wrażenia z tych innych spotkań londyńskich było złożone. Zaciekawienie Polską Podziemną i powojenną było bardzo duże, ale zrozumienie sytuacji krajowej w latach wojny i zaraz po wojnie niezbyt głębokie, raczej powierzchowne. Nie spotkałem się natomiast z atakami na rozpoczęcie Powstania Warszawskiego. Wiele też wówczas rozmawiałem z gen. Pełczyńskim, który był szczególnie zainteresowany tym wszystkim, co się działo w kraju w 1945 r.

Na tle tych rozmów londyńskich i poprzedniego (w listopadzie 1945 r.) spotkania we Frankfurcie n/Menem z dwoma dawnymi moimi znajomymi, działaczami z tzw. „Naprawy" i ze starym przyjacielem, Stanisławem Gieratem,rozumiałem jak bardzo lata wojny wpłynęły niejako automatycznie na zmiany w nastrojach i odcieniach politycznych. Pamiętam, że gdy kończyliśmy tę „nocną Polaków rozmowę" we Frankfurcie, Gierat powiedział mi „Tadeusz, tyś

się zrobił strasznie radykalny". Odpowiedziałem mu wówczas, że to nie ja, ale taki stał się kraj.

Po blisko czterotygodniowym pobycie w Londynie wracałem do Ankony przez Paryż, gdzie finalizowałem szczegóły programu przyjazdu wycieczki delegacji robotników polskich z Francji do II korpusu. Pomysł ten przedstawiłem już w końcu lutego szefowi Sztabu II Korpusu, gen. Wiśniowieckiemu. W grudniu 1945 r. przed przyjazdem do Ankony, zorientowałem się w dużym udziale robotników polskich we francuskim ruchu oporu, tzw. Resistance, w rozmowach z moim dawnym znajomym z Legionu Młodych, Stefanem Mrożkiewiczem, podówczas członkiem PPS. Przyszło mi wtedy na myśl, że byłoby dobrze by polscy robotnicy z Francji poznali wojsko polskie we Włoszech. Mrożkiewicz przyznał mi rację i zadeklarował, że chętnie by mi pomógł w organizacji takiej wyprawy.

Z takim pomysłem udał się Pan do stacjonujących w Italii polskich wojsk.

Tak. Po powrocie do Ankony energicznie zabrałem się do realizacji tej wycieczki. Uznałem, że przyjazd robotników, a w dodatku socjalistów do Korpusu będzie pożyteczny dla obydwu stron. Robotnicy polscy przekonają się, jak wiele ich łączy z postawą i nastrojami żołnierzy Korpusu, a żołnierze nabiorą szacunku dla zwykłych robotników, którzy stali się żołnierzami podziemia, walczącego o niepodległość Polski i Francji. Przypuszczam również, że rozgłos tej wizyty przysporzy popularności Korpusowi, któremu nieraz zarzucano prawicowe ciągoty. Gen. Wiśniowski rozumiał te moje intencje.

Wycieczka odbywała się w okresie pięknej włoskiej wiosny. Robotników spotkałem w Nicei, skąd ruszyliśmy samochodami do m.p. V Dywizji Kresowej gen. Nikodema Sulika. Miała ona ustalony charakter jednostki bardzo zżytej, uspołecznionej i o dość wyraźnym demokratycznym charakterze. Było to w dużym stopniu zasługą bardzo lubianego przez żołnierzy dowódcy i aparatu oświatowego, w którym było paru ludzi z ZPMD – moich dawnych kolegów, wśród nich szczególnie ruchliwy był lwowianin, Michał Lang.

Górnicy byli szczerze wzruszeni i zaskoczeni przyjacielskim powitaniem gen. Sulika. Senior tej grupy, Schabowicz, dziękował za to Generałowi i jego żołnie-

rzom. Przy żołnierskiej kolacji nastrój był wspaniały. Chciałbym tu wspomnieć o jednym zabawnym incydencie. Któryś z francuskich gości w przemówieniu obrazującym działalność Polaków w Resistance, w pewnym momencie wskazał na rosłego, barczystego górnika: „A oto Panie Generale, z nami przybył kolega Łabądź, który był pierwszą jaskółką ruchu oporu we Francji". To porównanie tęgiego Łabędzia do jaskółki wywołało ogólną wesołość.

Objechaliśmy niemal całe Włochy. Górnicy spotkali się z III Dywizją Karpacką, Warszawską Dywizją Pancerną, byli w obozach dla uchodźców pod Bari, oczywiście na Monte Cassino, w Rzymie i przed odjazdem zjawili się znów w Ankonie.Delegację wycieczki zaprowadziłem do gen. Andersa, gdyż górnicy musieli mu podziękować za gościnę, która zrobiła na nich duże wrażenie. Generał bardzo miło z nimi rozmawiał, ale przy pożegnaniu powiedział im: "proszę Panów, pamiętajcie, że już niedługo – po żniwach – będzie wojna. Nie zauważyłem jednak, by ta zapowiedź trafiła robotnikom do przekonania. Przypomniałem sobie, że w styczniu, gdy meldowałem się u Generała, tez usłyszałem zapowiedź nowej wojny. Ale wówczas była mowa o wiośnie. Przyznaję, że ten miraż wojny bardzo mnie zasmucił. Byłem przekonany, że jest nierealny, co świadczy o złej ocenie sytuacji międzynarodowej i będzie musiało przynieść rozczarowanie.

Czy mógłby Pan jeszcze wyjaśnić, jak doszło do tego że pomimo poważnych propozycji, które panu składano, nie znalazł się pan na czele propagandy II Korpusu?

Dopiero po jakimś czasie, już w Londynie, dowiedziałem się dlaczego. Jeden z moich przyjaciół znalazł wówczas w aktach Korpusu materiały, z których wynikało, że wkrótce po moim przyjeździe do Ankony wpłynęło przeciwko mnie oskarżenie, że jestem agentem Bieruta, że przyjechałem by wywołać intrygi i rozkład w Korpusie i występuję jako Zawadzki, choć rzeczywiście ukrywam w ten sposób swoje prawdziwe nazwisko. Autorem tego donosu – jak się okazało – był dawny oenerowiec, kpt. Kozubowski, ps. „Mocarz", z kontrwywiadu okręgu warszawskiego AK. Dzięki temu odkryciu dowiedziałem się dlaczego nie zostałem szefem propagandy II Korpusu

Do kiedy przebywał pan na terenie Italii?

Wyjechaliśmy w pierwszych dniach września 1946 r. Przyjechaliśmy do Londynu. Nie chciałem iść do PKPR i rozpocząłem pracę dziennikarską w „Dzienniku Polskim". Redaktorem był wtedy Jan Czarnocki, mój stary znajomy z przed wojny z którym zawsze byłem w bardzo dobrych stosunkach. To był człowiek o bardzo demokratycznych przekonaniach. Przed wojną pracował długi czas w „Kurierze Porannym", właśnie stamtąd go znałem.

Pracę w „Dzienniku" rozpocząłem już w końcu września. Napisałem wtedy tekst „potępiający Potockiego". Otóż dowiedziałem się, że Potocki chciał wywieść z Łańcuta część swoich dzieł sztuki poza granice Polski i udało mi się przekonać redaktora, aby za taką działalność potępić go. Było to novum w dotychczasowej pracy „Dziennika". Parę miesięcy później niestety Czarnocki umarł.

W tamtym okresie w „Dzienniku" pracował przyjemny i dobry zespól. Zastępcą Czarnockiego był Tadeusz Morko, wywodzący się z przedwojennego Legionu Młodych. Energiczny, bystry, dobry dziennikarz. Pracował Aleksander Bregman – nie wymaga przedstawienia, były dyrektor PAT-a – Oborski. Dział sportowy prowadził Karol Zbyszewski, też dobry dziennikarz, oraz młody Marek Święcicki, korespondent wojenny. Mieliśmy świetnego ekonomistę – Alfreda Zaubermanna, był też pepesowiec Ignacy Klibański. To był dobry zespół ludzki, świetnie współpracujący.

„Dziennik" był miniaturą prawdziwego pisma. Miniaturą dlatego, że jego objętość stanowiły cztery strony. Aby zyskać na miejscu stosowano bardzo dużo petitu zamiast garmontu. To była żywa gazeta, z której opinią liczono się.

Jaki był wówczas system pracy w „Dzienniku"?

Spotykaliśmy się wszyscy przed 9-tą, o wpół do dziesiątej była konferencja redakcyjna u Czarnockiego albo u Morki i tam ustalało się co kto pisze. Redaktor ostatecznie przeglądał i ewentualnie adiustował teksty. Miał zawsze prawo do zmian, ale rzadko z niego korzystał. Mieliśmy wówczas wielu dobrych współpracowników. Pisał do nas Rojek, Mękarski, (bardzo prawicowy senator), mieliśmy dobrych korespondentów zagranicznych, np. Kudlickiego.

Moim celem stało się zwiększanie ilości wiadomości z kraju. Chciałem, żeby emigracja żyła z krajem, ale także żyła krajem.

W tym czasie radio warszawskie nadawało późnym wieczorem takie wolno czytane wiadomości, artykuły. Wraz z żoną siedzieliśmy do późnej nocy i notowaliśmy najciekawsze informacje, z tego powstawały depesze. Jednocześnie dzięki moim staraniom zaprenumerowaliśmy w redakcji główne pisma każdego z województw oraz większość ukazujących się w Warszawie. Czerpaliśmy stamtąd i komentowaliśmy materiały do gazety. Lektura tych gazet dawała obraz, przynajmniej częściowy, sytuacji w Polsce. Np. dawałem dokładne sprawozdania z procesu Rzepeckiego z zaledwie jednodniowym opóźnieniem.

Czy było duże zainteresowanie działem krajowym?

Tak. Ludzie nie mieli wówczas własnych bezpośrednich kontaktów z krajem i chcieli wiedzieć co tam się dzieje naprawdę. To przecież było pokolenie, które walczyło, które myślało, że wróci z bronią w ręku do własnego kraju. Często ogólne sprawy Polski bardziej zajmowały ich niż to, co się dzieje z rodziną w kraju. Naprawdę panował duch walki o wolność.

Istniały stronnictwa polityczne, które co prawda były nieco zmurszałe, gdyż przypadkowy był ich skład, ale po wojnie ich zespół się odmłodził na skutek przybycia na emigrację ludzi, którzy byli w stronnictwach w podziemiu. Wzmocniło się bardzo Stronnictwo Narodowe. Bezpartyjni demokraci zebrali się w NiD-zie, było tam sporo kolegów z Armii Krajowej.

Być może do tego zainteresowania krajem przyczyniła się również duża ilość informacji o kraju zawarta w „Dzienniku". Nie było numeru, żeby nie było przynajmniej dwóch artykułów o sprawach krajowych, a ponadto przecież były depesze.

W jakich latach pracował Pan w „Dzienniku"?

W 1946 roku, w końcu września zacząłem i byłem do czerwca 1952. Początkowo redaktorem naczelnym był Czarnocki, który jednak umarł w parę miesięcy po moim przyjściu (był chory na raka), zastąpił go Tadeusz Horko i w tym składzie trwaliśmy dość długo.

Potem wyjechałem do Monachium. A było tak. Kiedy powstało radio „Wolna Europa" w Monachium, to dyrektor administracyjny i finansowy „Dziennika" pan Kirkienda doszedł do wniosku, że można z radia wydobyć jakieś pieniądze. Wymyślił sobie, że jeżeli my będziemy pisywać do radia jako „free lancerzy", to będzie to okradanie gazety. Prawdopodobnie nie orientował się, że w RWE mieli obsługę wielu agencji prasowych, nie tak jak my, którzy mieliśmy zwykle Reutera, prasę zagraniczną oraz krajową. Kirkienowi ubzdurało się, że trzeba żądać zapłaty od radia, które rzekomo od nas czerpie wiadomości. Była to oczywiście nieprawda. W tym czasie było nas dwóch, którzy pisywali do radia – Bregman i ja. Pewnego razu Kirkien zaprosił nas, redaktorów i powiedział, że „Wolna Europa" nas okrada i dodał: „Zabraniam wszystkim pracownikom „Dziennika" pisywania do tego radia. A jeśli ktoś chce, to musi wybrać; albo „Dziennik" albo „Wolna Europa". Byłem wtedy w „Wolnej Europie" takim „free lancem" i pisywałem tam rzadko. Oburzyło mnie jednak takie postawienie sprawy. Poszedłem wtedy do Horki i mówię: „Ja niewiele pisuję do radia,gdyż nie mam czasu, ale takiego warunku przyjąć nie mogę, bo to ogranicza moją swobodę pracy". Przyszedł akurat Kirkien i powiedział, że wobec tego musimy się pożegnać. I tak pożegnałem się z „Dziennikiem".

Jednocześnie prowadził Pan dalej swą działalność polityczną.

Tutaj zetknąłem się z NiD-em. Wówczas PPS był mało aktywny i niezbyt mi się podobał. Natomiast w NiD-zie byli młodzi ludzie mający za sobą doświadczenia wojskowe i ogólne z lat wojny. Zainteresowali się mną, a ja nimi i doszedłem do wniosku, że można coś zrobić. W czołówce byli wówczas Stefan Gacki, Jerzy Lerski, Rowmund Piłsudski, Andrzej Pomian (który był wysłannikiem z kraju) oraz Jan Nowak.

Jak w tym pierwszym okresie NiD ustosunkował się do Prezydenta?

Póki był Raczkiewicz to wszystko było w porządku, aż do 1947 r. Potem wstrzymywaliśmy się od uznania Zaleskiego. Nie zwalczaliśmy go, ale tez nie uznawaliśmy go za prawowitego prezydenta. Z czasem zaczęło się to ugruntowywać. Zrobiliśmy m.in. Koncentrację Demokratyczną (PPS). Zajmowałem się tam sprawami krajowymi. Wielu moich kolegów, np., Rowmund Piłsudski,

którzy przebywali w czasie wojny cały czas za granicą interesowali się przede wszystkim sprawami międzynarodowymi, wobec tego ja skoncentrowałem się na kraju. Wraz ze mną włączyli się w sprawy krajowe Jerzy Lerski i Andrzej Pomian. Bardzo chcieliśmy emigrację nastawić na tematykę krajową. Podam przykład. Po wyborach w Polsce, które były 19 stycznia 1947 roku, my. w Londynie już na początku lutego zorganizowaliśmy wielki wiec, w czasie którego Gacki, Lerski i ja omawialiśmy te wybory. Przedstawiliśmy całe komunistyczne fałszerstwo i terror, by uświadomić ludzi na emigracji. Od tej pory występowaliśmy dość często w sprawach krajowych.

Wpadliśmy wówczas na pomysł, aby stworzyć forum, na którym zwykli ludzie, nie tylko działacze partyjni, mogliby zabierać głos w sprawach publicznych. Zwoływaliśmy tzw. „parlamenty dyskusyjne". To było zupełne novum. Zostałem wyznaczony marszałkiem tych spotkań, którym przewodniczyłem. Ogłaszaliśmy w prasie. Że danego dnia odbędzie się zebranie poświęcone pewnemu problemowi. Każdy kto wcześniej przysłał zgłoszenie, mógł zabrać głos. Spotkania nasze były wówczas sensacją. Początkowo odbywały się w „Ognisku", ale później musieliśmy szukać większej sali.

Nasze „parlamenty" przezwyciężały marazm w partiach politycznych. Wyznaczaliśmy każdorazowo jakiś aktualny temat polityczny. Naszym celem przy powoływaniu „parlamentu" było umożliwienie wypowiedzenia się zwykłym emigrantom, nie objętym kluczami partyjnymi. Z NiD-u najczęściej uczestniczyli w tych spotkaniach R. Piłsudski, T. Terlecki, J.Lerski. działacze poszczególnych partii byli nam przeciwni, gdyż uważali, że odbieramy im wpływy na masy.

Jaka była wówczas liczebność NiD-u?

W Anglii około setki, zaś poza Anglią byli pojedynczy ludzie. To nie była silna ilością organizacja, ale bardzo dynamiczna.

W czasie drugiego naszego „parlamentu" (a trzeba dodać, że przychodzili na to spotkanie znani działacze partyjni, aby śledzić dyskusje) wyszła kwestia stworzenia parlamentu emigracji politycznej. I w końcu wysunięto hasło zorganizowania powszechnych wyborów. Wydawaliśmy wtedy redagowaną przez

Rowmunda Piłsudskiego „Trybunę", niestety ukazującą się nieregularnie, gdyż nie mieliśmy pieniędzy.

Na czym jeszcze polegała działalność NiD-u?

Mieliśmy dużo odczytów na prowincji. Bardzo pracowaliśmy nad koncepcjami politycznymi. Był to okres kiedy stare stronnictwa bały się nas. Byliśmy młodsi i bardziej dynamiczni.

Nasz kontakt z krajem był bardzo dobry. Było u nas sporo akowców, którzy przybyli z Polski niedawno.

Natomiast w polityce międzynarodowej zorientowaliśmy się (Piłsudski, Gacki, Wierzbiański) na powstający wówczas ruch europejski. Wierzbiański prowadził wtedy agencję, która rozsyłała na cały świat. To była bardzo dobra robota. Ukazywała się także „Polska Walcząca", pismo SPK, które prowadził Tymon Terlecki. Ja pisałem co tydzień o sprawach krajowych, a Bregman o międzynarodowych.

Aby przełamać kryzys „martwoty politycznej" wywołany poprzez postawę Zaleskiego zdecydowaliśmy się stworzyć Koncentrację Demokratyczną, w skład której wchodził PPS, NiD i bardzo słabe Stronnictwo Demokratyczne. To powstało chyba w 1947/1948 roku. Naszym celem było zmienienie prezydenta, gdyż uważaliśmy, że powinien być nim Tomasz Arciszewski, zgodnie z poprzednią decyzją Raczkiewicza.

Później utworzyliśmy Radę Polityczną, (PPS, ludowcy, SD i NiD), do której z czasem dołączyło się Stronnictwo Pracy. Rada Polityczna działała dość długi okres czasu, a ja byłem w Wydziale Wykonawczym z ramienia NiD.

Jak do Koncentracji Demokratycznej odnosili się tacy ludzie jak Anders czy Bór-Komorowski?

Bór Komorowski był apolityczny i właściwie społecznie działał jako prezes Rady Naczelnej Koła AK. Kiedy jednak zaproponowano mu premierostwo, to my jako akowcy (Iranek, Pomian i ja) poszliśmy, żeby mu to odradzić. Uważaliśmy, że nie był zorientowany w skomplikowanych układach emigracyjnych i różnych grach. Nie chcieliśmy, aby przez działalność polityczną utracił ka-

pitał, który wyniósł z Armii Krajowej. Ja osobiście miałem z nim doskonałe stosunki.

A kto z PPS-u opowiadał się za Koncentracją?

Przede wszystkim Arciszewski, Kwapiński, Białas, Zaremba. Koncentracja rozpadła się pod koniec lat 40-tych i wówczas właśnie utworzyliśmy Radę Polityczną z inicjatywy PPS-u i NiD-u. Dołączyli do nas endecy i grupa ze Stronnictwa Pracy. Stało się to za przyczyną Tadeusza Bieleckiego, który uważał, że trzeba coś zrobić. To był rozsądny, bardzo twardy polityk, inteligentny stosunkowo jeszcze młody jak na stosunki emigracyjne. Głównym naszym motywem była konieczność oddziaływania na zagranicę, gdyż „Zamek" czyli Zaleski, nic w tym kierunku nie robił. To były oczywiście – jak teraz widać – złudzenia, ale w tamtym okresie były one jeszcze możliwe.

Zaprosiliśmy ad personam kilka osób wybitnych, np. Bora-Komorowskiego czy Wiktora Sukiennickego. Z Andersem kontakty były wówczas żadne. On był Naczelnym Wodzem, więc musiał być lojalny wobec Zaleskiego i starał się do takiej polityki nie mieszać.

Radzie przewodniczył Tomasz Arciszewski, a zastępowali go Berezowski z endecji i Terlecki z NiD-u, a ponadto ze Stronnictwa Pracy był Kuśnierz Wydział Wykonawczy Rady tworzyli Sojka i Stypułkowski ze Stronnictwa Narodowego, a Piłsudski i ja z NiD-u oraz Białas i Ciołkosz z PPS-u. Zdziechowski był przewodniczącym Wydziału Wykonawczego (to był były minister skarbu).

Czyniliśmy próby, aby stworzyć oddział Rady Politycznej w Ameryce, ale nie dały one pozytywnego rezultatu. Po prostu zabrakło tam chętnych. Mieliśmy Jeszcze spore kontakty z Anglikami, np. Adam Ciołkosz, Edward Raczyński. Anglicy mówili z Borem, także z Rowmundem Piłsudskim, Wierzbiańskim, który zorganizował Związek Dziennikarzy, także starał się oddziaływać w środowisku brytyjskim.

Sam pamiętam jak w 1952 roku jeździłem z Wierzbiańskim do Genewy na obrady komisji ONZ, gdzie badano niewolnictwo pracy. Mówiliśmy tam o obozach pracy w Polsce. Pojawienie się "Policy of liberation" ożywiło nasze kontakty z zachodnimi politykami, a zwłaszcza z Amerykanami.

A wracając do NiD-u. bardzo ważny był rok 1956 kiedy rozważano kwestię powrotu do kraju.

Wtedy NiD już prawie się wybierał do Polski. Byłem wówczas w „Wolnej Europie", gdzie nas, nidowców było kilku, Szyszko-Bohusz, Romiszewski, ja i paru innych. Byliśmy sceptyczni jeśli chodzi o politykę Gomułki. Różniliśmy się tu w ocenie z Nowakiem, który bardzo stawiał na Gomułkę.

Wtedy przyjechał któryś z pezetpeerowskich propagandzistów do Londynu, aby szukać kontaktów z nidowcami i niestety tutejsi koledzy "kupili to". Zaczęli nawet z nim rozmawiać i rozważać możliwości jakiegoś luźnego porozumienia. Bardzo tym byliśmy przejęci w Monachium. Udało się na szczęście powstrzymać te tendencje.

Jednocześnie warto przypomnieć, że ze względu na młody wiek większości członków NiD odgrywał istotną rolę w życiu emigracji. Udało się nam utrwalić wpływ w Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów, także w Zjednoczeniu Polskim. Często tam przewodniczyłem na różnych zjazdach.

Trochę wówczas różniłem się od „nidowców". Miałem znajomych z II Korpusu i postanowiłem zrobić im taką małą:rewolucję", gdyż z SKP chciano zrobić organizację typu wojskowego, z utrzymaniem hierarchii jeszcze z wojska. Mieliśmy trochę mandatów akowskich z Wielkiej Brytanii i Niemiec. Lerski, Lang i ja przygotowaliśmy się. Kiedy w czasie otwarcia zjazdu wszystko było gotowe i przewodniczyć miał płk Piątkowski. Nagle wstał Lang i zgłosił moją kandydaturę. Na sali poruszenie, ja zrezygnowałem z kandydowania, ale dzięki temu mogliśmy się zorientować gdzie na sali jest opozycja. Udało nam się obalić szereg szkodliwych wniosków. Zrobiliśmy straszne zamieszanie, zyskaliśmy silne poparcie na zjeździe. Udało nam się „odmilitaryzować" organizację i wybrać dobrych kolegów do Rady Naczelnej SPK.

W tym czasie organizuje się także Koło Armii Krajowej.

Kiedy przyjechałem z Włoch do Londynu to tu już powstawał Komitet Organizacyjny Koła AK, do którego wszedłem. „Akowców"na wyspach było wtedy nie więcej niż dwa tysiące. Naszym celem było utrzymanie tradycji AK, gdyż obawialiśmy się, że wojsko „zachodnie" będzie chciało dominować,

a o nas się zapomni. Chodziło nam o przypominanie losów kolegów wywiezionych do Rosji (ok. 50000 ludzi) oraz uwiezionych w kraju przez komunistów.

Nasze zebrania różniły się od pozostałych w Londynie. Polegało to na przykład na zwracaniu się per „kolego". Pamiętam szok jaki wywołałem kiedy – jako przewodniczący I Zjazdu AK – zaprosiłem do głosu kolegę Bora-Komorowskiego. Doszło później do próby zamachu ze strony starszych oficerów AK, którzy chcieli aby organizacją mogli kierować tylko ci najstarsi stopniem. Stawiliśmy opór. Bór-Komorowski nas poparł. Często potem w Radzie było więcej „niższych szarż niż pułkowników". Świadczyło to wymownie o demokracji AK.

Przełom lat 40-tych i 50-tych to okres kiedy tysiące akowców przebywało w więzieniach w kraju. Czy próbowano organizować im jakąś pomoc?

Staraliśmy się coś w tym kierunku zrobić, choć nie było to łatwe. Wiele natomiast robiliśmy w sprawie akowców w Rosji. Umieszczaliśmy artykuły i uchwały w prasie. Generał „Bór" w czasie pobytu w Ameryce bardzo dużo na ten temat mówił.

Pomoc materialna dla kolegów w kraju była dla nas trudnym problemem, gdyż myśmy sami nie mieli pieniędzy. Pieniądze mieli ci z II Korpusu. Były organizacje przez które staraliśmy się posyłać pomoc, ale tak naprawdę to nie było tego wiele z naszych składek.

Czy istniały kontakty Koła AK z działającym na zachodzie WiN-em?

Organizacyjnie nie mieliśmy żadnej łączności, personalnie, tak. Maciołek nie uczestniczył w pracach Koła. Ja znałem ich kilku: Maciołka, Solskiego, Bokszanina (którego poznałem gdy był szefem BiP-u w Krakowie).

Kiedy doszło do odwilży w połowie lat 50-tych i na Zachód zaczęli przybywać ludzie zza „żelaznej kurtyny" to wówczas miał Pan okazje spotkać się z dawnymi przyjaciółmi i pracownikami.

Tak. Ale spotykaliśmy się oczywiście nie w Monachium, gdzie byłem redaktorem „Wolnej Europy", ale sam do nich jeździłem. Najczęściej miało to miejsce we Francji, Włoszech lub w Londynie.

Pozostając jeszcze przy sprawach AK. W dwudziestą rocznicę Powstania Warszawskiego ustawiono krzyż AK.

Zbliżała się ta rocznica. Byłem wówczas po zawale, ale przybyłem do Londynu, by spotkać się z gen. Borem i gen. Pełczyńskim. Zaproponowałem im, żeby ustalić odznakę akowską w formie krzyża, która była by dostępna dla wszystkich oficerów i żołnierzy AK. Bór zapalił się do pomysłu. Niestety Pełczyński który początkowo zgodził się wkrótce zaczął blokować inicjatywę. I tak zaczęła się „kołomyjka" trwająca z górą rok, ale na szczęście dzięki stanowczej postawie Bora udało się sprawę przeprowadzić. Tak doszło do ustanowienia Krzyża AK.

Jest Pan jednym z twórców Studium Polski Podziemnej.

Tak. Chodziło nam o przechowanie udokumentowanej akowskiej spuścizny. Kiedy przyjechałem pierwszy raz do Londynu w 1946 roku, to już działała w sztabie taka podkomisja historyczna, gdzie był Pełczyński, Iranek, Pomian. Gromadzili materiały dotyczące Armii Krajowej. Wtedy powstała myśl, żeby stworzyć jakieś stale archiwum. I tak w 1947 roku, Bór zdobył trochę pieniędzy. Po jakimś czasie kupiliśmy dom na Leopold Road 11 i to był początek Studium. Oczywiście nie mamy wielu dokumentów. W Polsce jest ich znacznie więcej. Najciekawsze zapewne zagrabiło UB i trzyma w zamknięciu w archiwum MSW.

W Pańskich czasach londyńskich wybucha niesłychanie groźna sprawa tzw. „Afera Bergu".

O niej będę mógł powiedzieć niewiele z uwagi na pewne nazwiska w Polsce, które jeszcze są związane z tą sprawą. Chodziło o to, że Rada Polityczna zawarła porozumienie i umowę o współpracy z pewnymi czynnikami amerykańskimi, które bez żadnych warunków chciały pomóc w działalności Rady Politycznej z myślą o jej działalności na kraj. W Radzie był wydział krajowy, w którym było nas trzech – Sojka, Białas i ja.

O kontaktach z krajem trudno było by mi jeszcze mówić. Stawiano nam rozmaite zarzuty, na które w tamtym okresie nie mogliśmy odpowiadać, gdyż w rachubę wchodziły rozmaite nazwiska polityczne w kraju.

Ja starałem się nawiązać kontakt z ludźmi z dawnego ZOR-u i ze Zjednoczenia Demokratycznego. Ale chciałbym podkreślić, ze za działalność, którą oni wtedy podejmowali żaden z nich nie został nigdy aresztowany.

Stawiano zarzut, że doszło do podporządkowania się amerykańskiemu wywiadowi.

Nie. A to dlatego, że założenia były czysto polityczne. Nie mogę stwierdzić czy i w jakim stopniu Stronnictwo Narodowe prowadziło swoją działalność w tym kierunku, gdyż nie miałem z nimi bliższych kontaktów. Nikt z nas nie wnikał w działalność innego stronnictwa. Wiem dobrze, bo miałem bliższe kontakty z PPS-em, że oni żadnej akcji wywiadowczej nie prowadzili. W każdym razie Wydział Krajowy i Rada Polityczna była przeciwna akcji wywiadowczej. Ja sam żadnej działalności wywiadowczej nie prowadziłem.

Chcieliśmy natomiast prowadzić działalność polityczną na kraj. Były nawet pomysły by nadawać audycje do kraju z samolotu. Szykowaliśmy nawet specjalną ekipę.

Najtrudniejsza była dla nas oczywiście łączność. Było to możliwe ale rzadko. Oddziaływaliśmy tylko poprzez łączników.

Pan przenosi się do Monachium w okresie, gdy na emigracji dokonuje się poważny podział polityczny. Z jednej strony „Zamek" z Zaleskim, z drugiej większość wojskowych i partii politycznych. Jak Pan na to patrzy z perspektywy lat?

Nie widzę wielkości gry. Ja sam oczywiście chciałem, żeby był jeden ośrodek nie dwa, żeby Sosnkowski miał więcej twardości i zdecydowania. Jego próby spaliły na panewce. Zawsze uważałem, ze tutejszy ośrodek rządowy jest tylko symbolem, który jest potrzebny krajowi w pewnych momentach. Ale ten ośrodek nie może narzucać koncepcji krajowi, bo nie zna go dobrze a ponadto nie ma uznania międzynarodowego.

Już wtedy problem polegał na tym, by znaleźć jakieś zasady trwałości tego ośrodka niepodległościowego i prowadzić taką działalność, która może dać pożytek krajowi. Uznałem, ze taką pożyteczną rolę może spełniać „Wolna

Europa", z którą zacząłem współpracować za nim jeszcze było Monachium. Wówczas audycje były nadawane z Waszyngtonu.

A jak to się stało, że Pan zaczął swoją współpracę?

W pierwszym okresie był to mały program, gdzie szefem był nieznany mi osobiście pan Bodeński, ale u niego pracował jeden z moich współpracowników z BiP-u, Śmiałowski. No i wtedy zacząłem do nich pisywać jako „Free lanser", oczywiście sprawy krajowe, komentarze. Oni wówczas na tych problemach mało się znali, więc moje teksty były na pewno pożyteczne. Dopiero w 1952 roku, a może nawet pod koniec 1951 r., gdy zaczęła się „Policy of Liberation". I gdy przyjeżdżał do Londynu Jackson, to zaproponowałem naszego kandydata na dyrektora. Poparłem wtedy Nowaka, który bardzo się do tego palił, a był w BBC jako zwykły redaktor. Amerykanie chcieli mieć opinię wydziału krajowego, w którym byłem z Białasem i Sojką oraz opinię WiN-u. Przekonałem Białasa i Sojkę, ze Nowak będzie na tym stanowisku dobry. Jednocześnie (wraz z Białasem) udało nam się przekonać (a to nie było łatwe) szefa WiN-u – „Jóźwę" czyli płk Maciołka, który nie darzył Nowaka zaufaniem. Dzięki poparciu WiN-u i rady politycznej kandydatura Nowaka została przyjęta. Kiedy Nowak już został szefem, to pomagałem mu w doborze ludzi. I nadal współpracowałem z radiem.

Jak zaczęła się Pańska stała współpraca w „Wolnej Europie"?

To był dla mnie ciężki okres. Zmarła moja matka, potem ojciec. Mogłem w tej sytuacji wrócić do swojego nazwiska, przestałem pracować w „Dzienniku". Pisywałem do Bolesława Wierzbiańskiego, do prowadzonej przez niego Agencji Prasowej, do "Polski Walczącej" redagowanej przez Tymona Terleckiego. Wszystko to było jednak praca dla emigracji, która nie dawała mi pełnej satysfakcji. Skoro pojawiła się możliwość mówienia do kraju, to napisałem do Nowaka, czy nie znalazłoby się jakieś miejsce dla mnie. I dostałem normalny redaktorski etat.

Przyszedłem jako nowy do zżytego już środowiska. Przyjechałem tam bez żadnych ambicji, ponieważ tytułów i władzy miałem już jak na swój wiek dosyć. Zacząłem pracować jako zwykły redaktor.

Jednakże przeciwko Nowakowi zorganizowano bunt kierowany przez ówczesnego zastępcę Nowaka (a mojego protegowanego do RWE) Marka Święcickiego i Zbigniewa Błażyńskiego, więc starałem wraz z paru kolegami przeciwdziałać temu. „Buntownicy planowali, że Święcicki zostanie dyrektorem, a Błażyński jego zastępcą. To był bunt na tle ostrego traktowania ludzi przez Nowaka. Nowak się utrzymał. Święcickiego i Błażyńskiego usunął. Tego ostatniego z cichym żalem, gdyż Błażyński pisał zawsze tak, jak Nowak chciał.

Jak się wtedy pracowało w „Wolnej Europie"?

Większość pracujących tam ludzi była nastawiona ideowo. Dominowali ludzie wywodzący się z konspiracji, akowcy i wojenna emigracja. Wtedy nie bardzo patrzono na to kto ile dostaje premii, pensji, żyło się pracą. Kiedy działo się coś ważnego to ludzie sami przybiegali do radia, nie trzeba było ich wołać i przypominać, że mają dyżury. Pracę traktowaliśmy jak w swoim radio w „Głosie Wolnej Polski". To była naprawdę dobra ekipa. Nastój był wspaniały. To utrzymywało się przez pierwsze 10–12 lat.

Pracował Pan w okresie gdy w Polsce miały miejsca bardzo ważne wydarzenia.

Nasza polityka była bardzo rozważna. W 1953 roku nie popełniono żadnego błędu w czasie powstania berlińskiego.

W 1956 wspólnie z Nowakiem decydowaliśmy o linii radia. Staraliśmy się nie podżegać, lecz dobrze i szybko informować. Był w radio dyrektor polityczny, mr. Griffiths, który w normalnych warunkach dawał ogólne wytyczne, wobec których nie raz stawialiśmy opór. Zresztą wobec polskiej rozgłośni był bardzo ostrożny i powściągliwy.

W październiku 1956 roku myśmy z Nowakiem prawie mieszkali w radiu. Wtedy Griffiths przychodził się z nami konsultować, zasięgać naszej opinii. Nie próbował nawet niczego sugerować. Natomiast Węgrom dawał dyrektywy, traktował ich całkiem inaczej. Główną przyczyną tego było zgranie naszego zespołu.

Warto tu przypomnieć strajk, który przygotowaliśmy w polskim „desku". Amerykanie chcieli wówczas wprowadzić cenzurę naszych audycji jeszcze przed emisją. Nie mogliśmy się na to zgodzić i wygraliśmy dzięki solidarności zespołu.

Pamiętam jak wyskoczyła agresja na Czechosłowację. Obudzono mnie rano (Nowak był na urlopie) i natychmiast poleciałem do dyrektora, gdzie była konferencja i zastanawialiśmy się co robić. Powiedziałem, że muszę zrobić komentarz dla kraju natychmiast. Amerykańska dyrekcja zgodziła się i przed 9-tą emitowany był już pierwszy komentarz.

Naszą zasadą pracy w radio była szybkość działania i rozwaga w tym co robiliśmy. Ta praca dawała nam przyjemność, satysfakcję.

W jaki sposób organizowaliście serwis informacyjny?

Robiliśmy to w rozmaity sposób. Np. poprzez przyjezdnych przyjaciół, którzy pojawiali się na Zachodzie. Prowadziliśmy studium prasy krajowej. Kiedy przyszedłem do radia to natychmiast ściągnąłem pisma ze wszystkich województw. Podobnie jak to robiłem w „Dzienniku". Sporo materiału dostawaliśmy poprzez agencje. Ze wszystkich źródeł można było zmontować w miarę poprawny serwis informacyjny.

Celem naszych działań było demaskowanie zamiarów komunistycznych wobec społeczeństwa. Ja zawsze byłem zwolennikiem piętnowania największych przestępców politycznych czy zbrodniarzy i starałem się zawsze wyciągać te nazwiska, pokazywać ich działalność. Uznawałem, że to odbiera śmiałość i poczucie całkowitej bezkarności. Zrobiliśmy sporo takich programów.

Często pracowaliśmy w następujący sposób. Opiszę to na przykładzie tajnego referatu Chruszczowa. Dostaliśmy tekst od Amerykanów i nadawaliśmy tekst na bieżąco. Podzieliłem tekst na trzy grupy. Siedzieliśmy w różnych pokojach. Jeden tłumaczył, drugi poprawiał, a maszynistka pisała. Następnie szło to do „okeju", tj. do sprawdzenia i dopiero potem do studia. Kolejno wskakiwały następne ekipy z gotowymi tekstami i skończyliśmy pracę w studio nad ranem.

Londyn, 1988 rok

Dr Marcin Furdyna

Stanisław Cat-Mackiewicz i „Kultura"

1. Cat-Mackiewicz

Podczas zamachu majowego oburzona Kazimiera Iłłakowiczówna, sekretarka Józefa Piłsudskiego, grozi odejściem. Jednocześnie oświadcza, że jest konserwatystką i czyta tylko „Słowo" wileńskie. Piłsudski na to: „Toż i ja czytam «Słowo», bo mi je darmo przysyłają do Sulejówka"[1]. Redaktorem naczelnym „Słowa", organu prasowego tzw. „żubrów", był od powstania pisma aż do wybuchu drugiej wojny Stanisław Mackiewicz, używający pseudonimu Cat[2].

W pierwszych dniach po zamachu majowym napisał on: „Za władzę silną, za życiodajną władzę silną, gotowi jesteśmy zapłacić dziesiątkami trupów, jeżeli dani takiej Polska potrzebować będzie, ale Ty nam daj tę władzę silną, Panie Marszałku!"[3] Konserwatyści ziem północno-wschodnich ustami Mackiewicza opowiedzieli się za Piłsudskim i byli magnesem przyciągającym niepewne w tych pierwszych dniach pomajowych środowiska konserwatywne: krakowskie i poznańskie[4]. Pod koniec października 1926 r. premier Piłsudski przyjechał do Nieświeża celem uhonorowania trumny swego byłego adiutanta księcia Stanisława Radziwiłła orderem Virtuti Militari. Wśród licznie zgromadzonego na zamku ziemiaństwa Piłsudski wzniósł toast: „Piję za dom Radziwiłłów, który tak dawno przeszłości naszej służy"[5].

Prasa polska grzmiała wtedy o zagrożonej demokracji, zdradzie interesów robotniczych i włościańskich, między wierszami nawet o próbie wprowadzeniu monarchii tylnymi drzwiami[6].

Ile w tym wszystkim było prawdy?

Piłsudski twierdził, że Polska nie jest przygotowana na eksperymenty socjalne, jakie miały w tym czasie miejsce za wschodnią granicą w Związku Sowieckim. Poszedł na sojusz z konserwatystami i tworzył prawe skrzydło swego obozu politycznego. Jednak zarzuty o chęć wprowadzenia monarchii były całkowicie chybione. Konserwatyści z kolei nie mieli pola manewru – weszli do odrodzonej Rzeczypospolitej z piętnem lojalizmu i aktywizmu, bez szans na odgrywanie jakiejkolwiek roli politycznej w warunkach demokratycznych. Współpraca z Piłsudskim była jedyną szansą pozwalającą im na nowo zaistnieć na politycznej scenie[7].

Jednym z głównych inicjatorów zjazdu w Nieświeżu i jedynym uczestniczącym w nim dziennikarzem był Cat-Mackiewicz właśnie. Był to bezsprzecznie największy i jedyny na taką skalę sukces polityczny w całym jego życiu.

W 1928 r. Mackiewicz uzyskał mandat posła z list Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, w którym wraz z kilkudziesięcioosobową grupą konserwatystów zajął prawe skrzydło stronnictwa[8]. Sekretarzował Komisji Konstytucyjnej i choć uważał, że Sejm w ówczesnym kształcie nie był w stanie

[1] J. Karbowska, *Przedmowa*, [w:] S. Mackiewicz, *Klucz do Piłsudskiego*, Warszawa 1992, s. 5–6. [17]„Żubry" – określenie konserwatystów ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej. Na temat dziennika „Słowo" zob. M. Wojtacki, op. cit., passim; J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 51–80.

[2] „Żubry" – określenie konserwatystów ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej. Na temat dziennika „Słowo" zob. M. Wojtacki, op. cit., passim; J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 51–80.

[3] S. Mackiewicz, *Panie Marszałku!*, „Słowo" z dn. 17 V 1926. Por. A. Górski, op. cit., s. 43–49.

[4] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 96-99. Zob. również: W. Władyka, *Działalność polityczna polskich stronnictw konserwatywnych w latach 1926–1935*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1977, s. 16–104.

[5] S. Mackiewicz, *Dom Radziwiłłów*, Kraków 2012, s. 8. Na temat zjazdu w Nieświeżu zob. J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 106–119.

[6] Por. [Bez autora], *Co to wszystko ma znaczyć?*, „Robotnik" z dn. 26 X 1926; M. Niedziałkowski, *Nieśwież i polityka*, „Robotnik" z dn. 28 X 1926; X.Z.K., *Po Nieświeżu*, „Rzeczpospolita" z dn. 28 X 1926.

[7] Franciszek Potocki wypowiedział wtedy słowa: „Tabernakulum nasze jest próżne. Nie mamy w nim niczego do przekazania społeczeństwu. I dlatego też współpraca z rządem Piłsudskiego jest jedyną taktyką, jaka nam pozostaje". Por. J. Bartyzel, *Konserwatyzm bez kompromisu. Studium z dziejów zachowawczej myśli politycznej w Polsce w XX wieku*, Toruń 2002, s. 169.

[8] W. Władyka, op. cit., s. 109.

przeprowadzić reformy ustroju państwa, to widział taką możliwość w oktrojowaniu konstytucji[9]. W tzw. „wyborach brzeskich" dwa lata później powtórzył sukces wyborczy. Sejm trzeciej kadencji był szczególnie ważny z dwóch powodów. Po pierwsze – w czasie jego trwania uchwalono nową konstytucję. Po drugie – w 1932 r. podpisano, a dwa lata później przedłużono pakt o nieagresji ze Związkiem Sowieckim. Natomiast 26 stycznia 1934 r. podpisano na dziesięć lat deklarację o niestosowaniu przemocy z Niemcami. Dokładnie tego samego dnia fortelem przegłosowano projekt nowej konstytucji. Nazajutrz Cat pisał w „Słowie": „Dzień dzisiejszy, 26 stycznia 1934 roku, urósł do dat pamiętnych w dziejach narodu polskiego. Będziemy go kiedyś ryli w brązie, kuli w marmurze. W dniu tym naród nasz otrzymał silną i mocną władzę, uzyskał pokój".

Śmierć Piłsudskiego była istotną cezurą w działalności Mackiewicza – już nie tyle politycznej, bo do następnego Sejmu nie wszedł, ale na polu publicystyki. Zwrócił się z całą siłą przeciw okólnikowi z dnia 13 lipca 1936 r., który windował marsz. Śmigłego-Rydza na osobę numer dwa w państwie, a także przeciw Obozowi Zjednoczenia Narodowego, oskarżając jego działaczy m.in. o wypaczenie konstytucji kwietniowej[10]. W parze z krytyką polityki wewnętrznej sanacji szedł atak na politykę ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. Mackiewicz uważał, że Beck sprzeniewierzył się testamentowi marsz. Piłsudskiego, a właściwie postępował całkowicie wbrew niemu[11]. W kwestiach polityki zagranicznej Cat zajął z początku wyraźne stanowisko proniemieckie, jednak z czasem zaczął od niego odchodzić. Powodem niewykorzystane odprężenie polsko-niemieckie z 1934 r. – Niemcy doprowadzały do wzrostu swej potęgi (m.in. przeprowadzając Anschluss Austrii) przy jednoczesnym braku wzrostu potęgi Polski[12].

Monachium rozwiało wszelkie wątpliwości Mackiewicza. Pisał wówczas: „Dziś zostaliśmy w Europie środkowej i wschodniej sam na sam z Niemcami, którzy mają coraz silniejszych przyjaciół, coraz mniej z nami potrzebują się liczyć"[13]. Po zajęciu Czech i Moraw przyznał, że plan wspólnego działania polsko-niemieckiego przeciw Związkowi Sowieckiemu został definitywnie przegrany[14]. Ostra krytyka władz w kwestii nieprzygotowania do ewentualnego konfliktu z Niemcami zaprowadziła Mackiewicza do obozu w Berezie, w którym przesiedział około dwóch tygodni[15]. Pobyt tam postawił go w wyraźnej opozycji do reżimu sanacyjnego, który sam niegdyś współtworzył. Pozwoliło mu to na odgrywanie pewnej roli politycznej w pierwszym okresie na emigracji.

Zaraz po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski Mackiewicz opuścił kraj *via* Litwa i dotarł do Francji. W grudniu 1939 r. został powołany do Rady Narodowej. Na początku 1940 r. wznowił „Słowo" jako tygodnik i wziął się – co zresztą robiła wówczas cała emigracja – za rozliczanie okresu przedwojennego. Szukał winnych[16].

W połowie czerwca 1940 r. rozmawiał z prezydentem Raczkiewiczem w Libourne, kiedy próbował przekonać go do kapitulacji. Będzie to potem jednym z punktów oskarżenia przeciw niemu przed sądem honorowym[17]. Poważniejszy krok proniemiecki wykonał miesiąc później, kiedy razem z Tadeuszem Bieleckim, Ignacym Matuszewskim, Jerzym Zdziechowskim, Stanisławem Strzeleckim, Emerykiem Hutten-Czapskim i Jerzym Kurcjuszem złożył podpis pod tajnym memoriałem do Niemiec w celu stworzenia na terenach okupowanych

[9] S. Mackiewicz, *Oktrojowanie konstytucji*, „Słowo" z dn. 13 III 1928. Idem, [Bez tytułu], „Słowo" z dn. 27 I 1934.

[10] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 194–198. Zob. również: B. Gałka, *Konserwatyści w Polsce lat 1935–1939*, Toruń 2013, passim.

[11] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 208–210.

[12] Ibidem, s. 210–216.

[13] S. Mackiewicz, *Nad czym się nie zastanawia triumfująca dziś ulica*, „Słowo" z dn. 3 X 1938. [32] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 219–220. Więcej o stosunku Mackiewicza do Niemiec zob. Idem, *Cat-Mackiewicz w „Słowie". Publicystyka niemiecka w latach 1938–1939*, [w:] „Dzieje Najnowsze", t. 5, nr 1 (1973); E. Czapiewski, *„Słowo" wileńskie a Anschluss Austrii*, „Acta UniversitasWratislaviensis. Historia", nr 36 (1981); idem, *„Słowo" wileńskie wobec problemu porozumienia polsko-niemieckiego*, ibidem, nr 74 (1990).

[14] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 219–220. Więcej o stosunku Mackiewicza do Niemiec zob. Idem, *Cat-Mackiewicz w „Słowie". Publicystyka niemiecka w latach 1938–1939*, [w:] „Dzieje Najnowsze", t. 5, nr 1 (1973); E. Czapiewski, *„Słowo" wileńskie a Anschluss Austrii*, „Acta Universitas Wratislaviensis. Historia", nr 36 (1981); idem, *„Słowo" wileńskie wobec problemu porozumienia polsko-niemieckiego*, ibidem, nr 74 (1990).

[15] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 230–240.

[16] Ibidem, s. 241–249.

[17] Ibidem, s. 251–254, 264–268. Spotkanie z Raczkiewiczem miało miejsce 16 czerwca, czyli w dniu, kiedy gen. Pétain formułował rząd mający podjąć rozmowy z Niemcami dot. kapitulacji. Sąd honorowy nie zdążył wydać wyroku przed rozwiązaniem I Rady Narodowej.

rządu kolaboracyjnego. Memoriał – podobnie jak zabiegi Władysława Studnickiego – trafił w próżnię[18].

Na początku września 1940 r. Mackiewicz przybył do Anglii. Wskutek braku możliwości wydawania własnego pisma i obiekcji dotyczących publikowania w prasie rządowej, zaczął pisać książki. W rekordowo krótkim czasie, na podstawie własnej tylko pamięci powstała „Historia Polski" – znakomity esej o czasach międzywojennych[19]. Kontynuując wystawianie rachunku wolnej Polsce napisał krytyczną książkę o polityce Józefa Becka pt. „O jedenastej – powiada aktor – sztuka jest skończona"[20]. Mackiewicz niemal od razu po wybuchu wojny zajął stanowisko opozycyjne. Swoje poglądy przedstawiał w wydawanych własnym sumptem broszurach politycznych. Krytykował w nich m.in. odejście od zapisów konstytucji kwietniowej w przypadku tzw. „umowy paryskiej", podpisanie układu Sikorski-Majski, ustawianie się względem Anglii w roli petenta.

Na początku lipca 1945 r. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone cofnęły uznanie Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźctwie. Mackiewicz cały czas należał jeszcze do środowiska „niezłomnych", nie godził się z porządkiem jałtańskim, porozumienie z zaborcą sowieckim traktował jako zdradę. Ponadto jeszcze intensywniej atakował Anglię i aliantów, między innymi w książce zatytułowanej „Lata nadziei"[21].

W okresie 1946–1950 wydawał tygodnik „Lwów i Wilno", którego linię tłumaczył dobitnie już sam tytuł. Jednak w miarę upływu czasu jego pryncypialność słabła, zaczęły pojawiać się wątpliwości. Nie wierzył w możliwość wybuchu trzeciej wojny światowej, przewidując względną normalizację stosunków między państwami zachodnimi a Związkiem Sowieckim, co według niego

[18] B. Wiaderny, *Nie chciana kolaboracja. Polscy politycy i nazistowskie Niemcy w lipcu 1940*, „Zeszyty Historyczne" [dalej: „ZH"], nr 142 (2002). Jako pierwsi z nieznaną szerzej propozycją współpracy mieli wyjść Niemcy. Por. J. Karbowska, op. cit., s. 139–140. O zabiegach W. Studnickiego zob. Idem, *Tragiczne manowce. Próby przeciwdziałania katastrofom narodowym 1939–1945*, Gdańsk 1995, s. 57–70.

[19] S. Mackiewicz, *Historia Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939*, Warszawa 1989.

[20] Idem, *O jedenastej – powiada aktor – sztuka jest skończona. Polityka Józefa Becka*, Londyn 1942. [39] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 268–272.

[21] Ibidem, s. 280-281. Zob. S. Mackiewicz, *Lata nadziei: 17 września 1939 – 5 lipca 1945*, Londyn 1946.

było równoznaczne z końcem roli emigracji polskiej[22]. Wtedy też pojawiły się pierwsze próby sondowania sytuacji w kraju i przemyśliwania o powrocie.

2. Giedroyc i „Kultura"

W „Autobiografii na cztery ręce" Jerzy Giedroyc pisał o pamiętnych dniach w maju 1926 r.: „Zamach majowy był dla mnie konfliktem bardzo dramatycznym. Byłem wprawdzie piłsudczykiem, ale zarazem miałem bardzo mocne poczucie legalizmu. Legalizm zwyciężył. Pierwszego dnia wydarzeń, wraz z kilkoma kolegami, poszedłem do Belwederu. Wchodziło się tam jak do młyna. Dano mi jakiś karabin i kazano stać na warcie od strony Łazienek. A Stanisław Grabski chodził od jednego z nas do drugiego i powtarzał: «Przecież to jest bez sensu, my nie możemy się tu utrzymać». I to mówił szczeniakom, studentom. Wyleczyło mnie to zupełnie z parlamentaryzmu, pogłębiło nastawienie pro piłsudczykowskie i przekonanie o konieczności rządów autorytarnych"[23].

Poglądy piłsudczykowskie kłóciły się z działalnością Giedroycia w narodowym ruchu korporacyjnym. W 1927 r. został prezesem Korporacji Akademickiej Patria, przewodząc jednocześnie Warszawskiemu Kołu Międzykorporacyjnemu[24]. Na tle konfliktu między wyznawanymi poglądami a uczestnictwem w narodowym stowarzyszeniu studenckim w ostateczności postanowił wystąpić z korporacji[25]. W tym czasie pracował w dziale zagranicznym Naczelnego Komitetu Akademickiego Polskiego Związku Młodzieży Akademickiej. W połowie 1928 r. rozpoczął pracę w Biurze Prasowym Rady Ministrów[26]. W latach 1928–1931 działał w stowarzyszeniu Myśl Mocarstwowa – razem z jej członkami został nawet przyjęty na audiencji u pre-

[22] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 282–287. Por. A. Zaćmiński, *Emigracja polska w Wielkiej Brytanii wobec możliwości wybuchu III wojny światowej 1945–1954*, Bydgoszcz 2003, s. 289.

[23] J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, Warszawa 1999, s. 27. Por. B. Toruńczyk, *Rozmowy w Maisons-Laffitte 1981*, Warszawa 2006, s. 110-111.

[24] M. Żebrowski, *Jerzy Giedroyć. Życie przed „Kulturą"*, Kraków 2012, s. 120–121.

[25] J. Giedroyc, op. cit., s. 24-–25.

[26] Wiadomości biograficzne podaję za: J. Krawczyk, *Jerzy Giedroyć 1906–2000*, [w:] „Jerzy Giedroyć. Redaktor. Polityk. Człowiek", red. K. Pomian, Lublin 2001.

zydenta Ignacego Mościckiego[27]. Wtedy też stawiał swoje pierwsze poważne kroki dziennikarskie.

Już w 1925 r. pisywał do „Kuriera Warszawskiego" i „Warszawianki" na tematy akademickie. W 1930 r. zredagował pierwszy numer kwartalnika „Wschód", który przejął Włodzimierz Bączkowski[28]. Następnie prowadził dodatek do „Dziennika Polskiego" pt. „Dzień Akademicki", który przekształcił potem w niezależne pismo „Bunt Młodych", od 1937 r. pod szyldem „Polityka" – tytułów tych nie można dziś pominąć mówiąc o polskim runku prasowym lat 30.[29]

W 1929 r. został referentem prasowym i parlamentarnym w Ministerstwie Rolnictwa, a w 1934 r. sekretarzem Rogera Raczyńskiego, który w tym ministerstwie zajmował wówczas stanowisko podsekretarza stanu[30]. Pod koniec 1935 r. rozpoczął pracę w Wydziale Prezydialnym Ministerstwa Przemysłu i Handlu, którego został następnie naczelnikiem.

Podobnie jak Mackiewicz, Giedroyc był zarazem admiratorem Piłsudskiego i krytykiem rządów sanacji, które miały miejsce po śmierci Marszałka. Pisał po latach: „Byłem zwolennikiem konstytucji kwietniowej. Ale zarazem byłem przeciwny wprowadzonej równocześnie ordynacji wyborczej, której nie wahałem się określić mianem totalitarnej. Odsunięcie Sławka było następstwem zwycięstwa zwolenników orientacji totalitarnej, którzy inspirowali Śmigłego (…)". Ostatnią „piłsudczykowską nadzieję", na której ostatecznie się zawiódł, pokładał w gen. Sosnkowskim[31].

Giedroyc opuścił Polskę we wrześniu 1939 r. wraz z Ministerstwem Przemysłu i Handlu. Pod koniec miesiąca dotarł do Bukaresztu i został osobistym

[27] R. Tomczak, *Myśl Mocarstwowa. Z dziejów młodego pokolenia II Rzeczypospolitej*, Szczecin 2008, s. 114–116.

[28] Włodzimierz Bączkowski (1905–2000) – pisarz i publicysta polityczny zaangażowany w ruch prometejski. W 1932 r. założył „Biuletyn Polsko-Ukraiński.

[29] R. Habielski, *Dokąd nam iść wypada? Jerzy Giedroyc. Od „Buntu Młodych" do „Kultury"*, Warszawa 2006, s. 9–10. O myśli politycznej tych pism zob. M. Król, *Style politycznego myślenia. Wokół „Buntu Młodych" i „Polityki"*, Paryż 1979.

[30] O stosunkach Giedroyc-Raczyński zob. J. Giedroyc, op. cit., s. 33–36 [50] J. Giedroyc, op. cit., s. 41.

[31] Ibidem, s. 41–42.

sekretarzem polskiego ambasadora w Rumunii – Rogera Raczyńskiego. Na początku 1941 r. trafił do Stambułu. W marcu 1943 r. zaczął pracę w Wydziale Informacji i Prasy Armii Polskiej na Wschodzie, a w czerwcu objął stanowisko kierownika Redakcji Czasopism i Wydawnictw Wojskowych. W 1944 r. przeprawił się z wojskiem do Włoch[32].

W „Autobiografii na cztery ręce" czytamy: „W ostatnim okresie wojny zacząłem myśleć o zorganizowaniu czegoś na wypadek katastrofy, tj. cofnięcia przez aliantów uznania rządowi polskiemu"[33]. Katastrofa przyszła z początkiem lipca 1945 r. Rok później staraniem Giedroycia, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Czapskiego oraz Zofii i Zygmunta Hertzów powstał w Rzymie Instytut Literacki z zadaniem wydawania książek dla emigracji polskiej[34]. Wtedy też wydrukowano pierwszy numer pisma „Kultura", które miało mieć profil czysto literacki[35]. Po przenosinach do Paryża formuła działalności uległa zmianie. Na pierwsze miejsce wysunął się miesięcznik, ale już jako pismo wszechstronne[36].

Przeprowadzka do Francji nie była przypadkowa[37]. Giedroyc chciał trzymać się z daleka od sztywnego myślenia emigracji legalistycznej, pozostawiając sobie możliwie maksymalną niezależność działania. Już pierwsze decyzje postawiły zespół redakcyjny „Kultury" w wyraźnej opozycji do emigracji londyńskiej, której wyrazicielem poglądów i sentymentów były „Wiadomości" Mieczysława Grydzewskiego[38].

Rafał Habielski w swej książce „Dokąd nam iść wypada?" zauważył bardzo ciekawą rzecz: „Jest doprawdy niezwykłym, a przy tym na ogół niedostrzeganym zbiegiem okoliczności, że gdy w czerwcu 1947 roku w Rzymie z maszyn drukarskich schodził pierwszy numer «Kultury», emigracja londyńska,

[32] J. Krawczyk, op. cit.

[33] J. Giedroyc, op. cit., s. 131.

[34] Por. K. Pomian, *W kręgu Giedroycia*, Warszawa 2000, s. 18–25.

[35] J. Giedroyc, op. cit., s. 136.

[36] Por. Ibidem, s. 146–147.

[37] R. Habielski, op. cit., s. 231. Por. J. Giedroyc, op. cit., s. 140.

[38] Por. R. Habielski, op. cit., s. 229–279. Zob. również: A. S. Kowalczyk, *Jerzy Giedroyc – Mieczysław Grydzewski: dwa style bycia emigrantem*, [w:] „Pisarz na emigracji. Mitologie, style, strategie przetrwania", red. H. Gosk, A. S. Kowalczyk, Warszawa 2005.

pogrążona w żałobie po śmierci zmarłego kilka tygodni wcześniej prezydenta Władysława Raczkiewicza, wstępowała w stan kryzysu, który już niebawem sparaliżować miał możliwość politycznego działania państwa na wygnaniu"[39].

„Kultura" ściągnęła na swoje łamy głośne nazwiska. Na bieżąco reagowała na zmieniającą się sytuację na świecie, zajmując często stanowisko kontrowersyjne[40]. Mniej więcej w połowie lat 50-tych pismo zaczęło zajmować wiodącą rolę na rynku prasowym polskiej emigracji powojennej.

3. Próby dramatyczne

I

Przedłużający się pobyt na emigracji w – jak sam to określił – Londyniszczu stawał się prawdziwą męczarnią dla Mackiewicza. Najbliżsi przyjaciele opuścili wyspę: Jadwiga Dziewulska wyjechała do Argentyny, Michał Pawlikowski do Stanów Zjednoczonych, Wacław Zbyszewski przebywał we Francji. Dochodziły do tego problemy materialne i zdrowotne oraz postępujące zniechęcenie do zajmowania się polityką[41].

W 1949 r. Mackiewicz wygłosił cykl wykładów na temat rosyjskiej literatury i publicystyki w Instytucie Bliskiego i Środkowego Wschodu „Reduta". Bez przerwy wertował papiery w British Museum. Jaruzelski napisał w biografii: „Biblioteki wszystkich szerokości są dachem pilnych studentów, mędrców, obsesyjnych przyczynkarzy, wariatów oraz rozbitków"[42]. Myślę, że w tym okresie można zaliczyć Cata do ostatniej kategorii. W każdym razie z kwerendy tam przeprowadzonej urodził się najpierw „Dostojewski", później „Stanisław August"[43].

W tej atmosferze beznadziejności pojawiły się pierwsze próby sondowania możliwości powrotu do kraju. Mackiewicz kontaktował się w tej sprawie

[39] R. Habielski, op. cit., s. 229.

[40] Zob. J. Korek, *Paradoksy paryskiej „Kultury". Styl i tradycje myślenia politycznego*, Lublin 2000.

[41] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 285. Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego, [za:] J. Jaruzelski, *Listy przedostatnie…*

[42] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 286

[43] S. Mackiewicz, *Dostojewski*, Londyn 1947 (wyd. ang.), Zurych 1952 (wyd. niem.), Lizbona 1955 (wyd. port.), Warszawa 1957; idem, *Stanisław August*, Warszawa 1956.

z Aleksandrem Bocheńskim i Jerzym Putramentem. Rozmowy prowadzone z bezpieką w latach 1947-1949 zakończyły się jednak fiaskiem[44].

Wobec tych okoliczności rzucił się w dziedzinę, którą zawsze żywo się interesował, ale tylko jako obserwator i recenzent – w literaturę.

II

W 1951 r. ukazała się w Londynie „Melina: pięć odsłon dramatycznych"[45]. Zdobycie dziś tej publikacji w Polsce graniczy z cudem – nie udało mi się ostatecznie do niej dotrzeć. Jaruzelski napisał o niej tyle krótko, co zagadkowo, jako książce „o wątku sensacyjno-szpiegowskim"[46].

„Melinę" wystawiono w jednym z polskich teatrów w Londynie. Bliższych informacji nie posiadam, prócz tych z listu Mackiewicza do Pawlikowskiego, w którym pisał: „Pytasz mnie o wykonanie «Meliny» w teatrze. Był to koszmar. W życiu nie byłem na czemś podobnie gówiennym. Kiedy Włada Majewska powiedziała ulubiony przeze mnie w tej sztuce frazes «Ach, kaloszy» to powiedziała to w taki sposób, że chwyciłem obok mnie siedzącą Renatę Ostrowską za rękę i tak ścisnąłem, że miała przez trzy tygodnie sińce na przedramieniu"[47].

Jednocześnie wypytywał Pawlikowskiego, czy nie pomógłby mu wydać „Meliny" na rynku amerykańskim lub przynajmniej napisał jakiś o niej artykuł. Nie miałem dostępu do listów Pawlikowskiego do Mackiewicza, które znajdują się w posiadaniu rodziny, ale z dostępnych materiałów wnioskuję duży sceptycyzm Pawlikowskiego do tego przedsięwzięcia[48].

Wyprzedając nieco narrację napiszę jeszcze, że sprawę publikacji „Meliny" w kraju pod pseudonimem poruszał Mackiewicz w korespondencji z Marią

[44] Por. K. Tarka, *Mackiewicz i inni…*, s. 9–35. Zob. również: S. Cenckiewicz, P. Gontarczyk, *Na granicy zdrady. Stanisława Mackiewicza powroty do Polski*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej", nr 3–4 (2006); A. Paczkowski, *Kuszenie Cata*, „Rzeczpospolita", nr 37 (1993).

[45] Zapewne o „Melinie" pisał Mackiewicz do Grydzewskiego w czerwcu 1951 r.: „Wobec tego zapytuję Pana, czy zechciałby pan ją [jednoaktówkę] drukować, bo gdyby nie, to będę ją musiał posłać do parrrszywej «Kultury»". List S. Mackiewicza do M. Grydzewskiego z dn. 3 VI 1951, [za:] *Z listów do Mieczysława Grydzewskiego 1946–1966*, red. R. Habielski, Reading 1990.

[46] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 286.

[47] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 16 II 1952, [za:] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 313.

[48] Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 28 II 1952, [za:] ibidem, s. 314.

Pruszyńską[49] w 1954 r. Cat oceniał w niej swoje próby dramatyczne jako dość marne – zupełnie inaczej niż w listach do Pawlikowskiego. W każdym razie do realizacji jego planów wydawniczych w kraju i tak w końcu nie doszło[50].

III

Na początku listopada 1950 r. Mackiewicz zapytywał Giedroycia, czy nie zechciałby wydrukować jego sztuki. Miała ona być nawet grana w teatrze Kielanowskiego[51], ale ten zbankrutował, a aktorzy „uciekli do fabryk". Dodawał przy tym, że wedle opinii osób, które tę sztukę czytały, posiada ona „wiele napięcia dramatycznego", a sam Cat pisał z właściwą sobie przesadą: „Uważam, że po «Dostojewskim» jest to najlepiej udane dzieło mego życia"[52].

Chodziło o sztukę „Vicisti", której także nie miałem możliwości przeczytać. Giedroyc wyraził duże zainteresowanie. Był bardzo ciekawy jak Mackiewicz, wspaniały publicysta polityczny i autor książek, poradzi sobie na polu literackim. Po otrzymaniu rękopisu oraz konsultacjach z Czapskim i Wacławem Zbyszewskim uznał rzecz za nader interesującą (choć zaznaczył, że na teatrze nie zna się w ogóle). Stwierdził jednak, że sztuka posiada akcenty antysemickie – a przynajmniej fragmenty, które mogły być jako antysemickie odebrane, więc ze względów zasadniczych i taktycznych chciałby uniknąć jej publikacji[53]. Mackiewicz zaklinał, że w jego dziele nie ma absolutnie żadnych wątków antysemickich. Sugerował równoległą publikację jego listu z objaśnieniami w tym

[49] Maria Pruszyńska – wdowa po Ksawerym Pruszyńskim. Jak podaje na podstawie dokumentów IPN K. Tarka: „Pruszyńska została zwerbowana przez Departament III Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego". Por. K. Tarka, *Mackiewicz i inni…*, s. 35.

[50] Por. AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Listy S. Mackiewicza do M. Pruszyńskiej z dn. 27 i 28 IV 1954.

[51] Leopold Kielanowski (1907–1988) – aktor i reżyser. Przed wojną dyrektor Teatru na Pohulance w Wilnie. Następnie od 1945 r. dyrektor Teatru Dramatycznego 2. Korpusu, a od 1946 r. dyrektor i reżyser Teatru Polskiego ZASP w Londynie.

[52] List S. Mackiewicza do J. Giedroycia z dn. 4 XI 1950, [za:] *Nie jestem pisarzem słodkim. Jerzy Giedroyć – Stanisław Mackiewicz*, „ZH", nr 171 (2010).

[53] Por. Listy J. Giedroycia do S. Mackiewicz z dn. 6 XI, 22 XI i 4 XII 1950, [za:] ibidem. Giedroyc zaznaczał: „W tej chwili, wchodząc na teren amerykański, będąc w Kongresie Kultury, zbliżając się do realizacji naszej idée fixe, tj. uniwersytetu, każde takie posądzenie może mi przekreślić robotę".

temacie, ewentualnie wprowadzenie poprawek jeśli redaktor wskaże miejsca, gdzie wątki te mają się pojawiać[54].

Nie będę omawiał całej korespondencji związanej z „Vicisti", bo wiele z poruszanych wątków odnosi się do fabuły. Ciężko mi o tym pisać, kiedy tej fabuły nie znam. Zaznaczę tylko, że „Vicisti" ostatecznie w „Kulturze" się nie ukazała, a korespondencja na ten temat urwała się w grudniu 1950 r.

Mackiewicz pisał wówczas do Giedroycia: „Raz jeszcze powtórzę, że marzyłem, aby moja sztuka drukowana była w «Kulturze» i nigdy się nie spodziewałem, że właśnie u Pana spotka mnie cenzura polityczna tak wyostrzona"[55].

IV

We wrześniowym numerze „Kultury" z 1952 r. ukazały się dwie jednoaktówki Stanisława Mackiewicza, z którymi nie było już podobnych przejść jak z „Vicisti"[56]. W korespondencji do Giedroycia z kwietnia tego roku Mackiewicz zauważył, że jest chyba jedynym autorem na emigracji, który nie opublikował żadnej pracy na łamach „Kultury". W związku z tym zamierzał wysłać do redakcji swoje dwie jednoaktówki, które – znana śpiewka – uważał za swoje *opera magna*: „Na ogół nie bardzo lubię swoich rzeczy, a te mi się podobają wyjątkowo". Ponadto zależało mu na ich publikacji również ze względów osobistych[57].

Giedroyc odpowiedział szczerze i wprost – sztuki są po prostu słabe i choć uważał brak tekstów Mackiewicza w „Kulturze" za swe redaktorskie niedociągnięcie, to wolałby jednak wydrukować inną jego pracę[58]. Dał się jednak uprosić – Mackiewicz napisał wtedy do niego: „Jednym słowem: Mussolini, nigdy Ci tego nie zapomnę"[79].

[54] List S. Mackiewicza do J. Giedroycia z dn. 25 XI 1950, [za:] ibidem.

[55] List S. Mackiewicza do J. Giedroycia z dn. 18 XII 1950, [za:] ibidem. Cat nieustannie zachwalał „Kulturę", podkreślając znakomite umiejętności jej redaktora.

[56] S. Mackiewicz, *Kamil Arago – Jednoaktówka*, „Kultura", nr 9/59 (1952); idem, *Siżyś – Montaż sceniczny*, ibidem.

[57] Listy S. Mackiewicza do J. Giedroycia z dn. 23 IV i 9 VIII 1952, [za:] *Nie jestem pisarzem słodkim…* Możemy domyślać się, że chodziło o Renatę Ostrowską. Por. rozdział pt. „Renata".

[58] Por. Listy J. Giedroycia do S. Mackiewicza z dn. 23 i 27 V 1952, [za:] ibidem. [79] List S. Mackiewicza do J. Giedroycia z dn. 28 V 1952, [za:] ibidem.

O czym mówią te sztuki?

„Kamil Arago" jest zabawnym epizodem emigracyjnym. Akcja rozgrywa się po drugiej wojnie światowej w Monte Carlo. Dwie młodziutkie prostytutki: Muette i Andrée spotykają się na skale nad morzem. Muette ma za sobą przeszłość w Résistance, gdzie wykonywała wyroki śmierci. Teraz oznajmia, że czuje niepohamowane pragnienie uśmiercenia kogoś zdobytym zastrzykiem z trucizną, zarabiając przy okazji trochę pieniędzy. Wybór padł na pewnego Węgra, który od czterech dni wygrywa w kasynie duże kwoty. W pewnym momencie Muette znika gdzieś na chwilę, a na jej miejsce pojawia się starszy jegomość, który okazuje się być owym bogatym Węgrem. Zagląda w szczelinę skalną i wypowiada słowa: „Kamil Arago". Andrée wchodzi z nim w rozmowę. Starszy pan tłumaczy, że przed laty rozstał się z żoną, Rumunką, która następnie wyszła za mąż za rumuńskiego ministra, rozstrzelanego przez bolszewików. Co więcej – już po rozstaniu była żona urodziła jego dziecko, którego nie widział na oczy. Przyrzekli sobie, że dokładnie po dwudziestu pięciu latach spotkają się właśnie przy tej skale, a wyryty na niej napis „Kamil Arago" miał służyć jako rozpoznanie. Żona jednak nie pojawiła się.

Po chwili wraca Muette. Andrée prosi ją, aby nie robiła Węgrowi krzywdy, gdyż bardzo jej na nim zależy. Zdziwiony staruszek oddaje się do dyspozycji dziewczyny – jest zrezygnowany i pragnie umrzeć. Wcześniej pyta jeszcze: „Ale, słuchaj, czy to ty jesteś ta Muette zaklinaczka, co umie zakląć, aby człowiekowi zdarzyło się to, o co mu chodzi". Ta potwierdza i godzi się na odegranie przedstawienia. Sprawdza jego bilet wizytowy, na którym widnieje nazwisko: Andrzej baron Szandossy Epenszony. Kiedy Muette odgrywa swoją rolę zaklinaczki, Węgier mówi: „Niech tu do mnie przyjdzie moja przeszłość".

Wtem odzywa się Andrée: „W formie o której pan przed chwilą marzył, ta przeszłość przyjść nie może. Żona pańska umarła dwa lata temu w Jassach. Ale pozwoli pan, że się przedstawię. (Dyga). Jestem baronówna Szandossy Epenszony… pańska córka… prostytutka".

Muette wybucha śmiechem, kurtyna opada.

Drukowana zaraz po „Kamilu Arago" sztuka „Siżyś" jest napisana w dużej mierze zdaniami wyciągniętymi z listów Zygmunta Krasińskiego do Delfiny

Potockiej i zadedykowana Renacie Ostrowskiej[59]. Na umieszczeniu tych sztuk obok siebie i w całości w jednym numerze bardzo zależało Mackiewiczowi[60].

Akcja „Siżysia" rozgrywa się w małym hotelu w górach pod Sorrento niedaleko Neapolu. George (która w sztuce jest wbrew prawdzie kochanką Krasińskiego) pyta oberżystę, gdzie podziewa się poeta. Ten odpowiada, że pojechał do Trente Tre, gdzie mniszki przepowiadają przyszłość i niedługo wróci. George dowiaduje się również, że wieczorem w Sorrento ma zjawić się jakaś wielka osobistość, lecz nie wiadomo jeszcze kto konkretnie.

Wraca zrozpaczony Krasiński – mniszka powiedziała mu, że Delfina znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie: „śmierć stoi za nią". W tej scenie dopiero czytelnik pojmuje, co autor miał na myśli pisząc, że czerpał z listów Krasińskiego, który wyrzuca z siebie potok zdań poetyckich i egzaltowanych.

Na scenie pojawia się doktor Pagello, były kochanek George, oznajmiając, że jest osobistym lekarzem hrabiny Potockiej, która lada moment się tu pojawi. Krasiński jest oszołomiony tą wiadomością. Wchodzi oberżysta, który zawiadamia przybycie gości, poeta i George wybiegają, aby ich witać.

Doktor Pagello odzywa się do oberżysty: „Dobry kuzynie, drugi zwiadowco, która jest godzina?" Wywiązuje się tajemnicza rozmowa masońska. Oberżysta tłumaczy się z początku, że nic nie rozumie, potem, że jest już stary i zerwał z tymi sprawami. Nie przekonuje to jednak doktora, który każe mu przyprowadzić do niego hrabinę Potocką i przypilnować, aby w hoteliku na noc zostali tylko: poeta, George i Delifina.

Odsłona druga: ta sama izba tylko wieczorową porą. Przy kolacji siedzą: Krasiński, Delfina, Pagello i George. Rozmawiają m. in. o karbonariuszach oraz o drogocennych i słynnych perłach hrabiny, które ta prezentuje w czasie dyskusji, a zainteresowanie którymi zdradza mimochodem Pagello. Po skończonej kolacji z izby wychodzą doktor i George, poeta zostaje sam na sam z Delfiną, którą po krótkiej dyskusji porywa na ręce i wynosi z pokoju.

[59] Zabawna ciekawostka: Mackiewicz dostał sztuki w maszynopisie przed ich publikacją. Przy „Siżysiu" zamiast dedykacji: „Renacie Ostrowskiej" było napisane: „Armacie Ostrowskiej". Por. List S. Mackiewicza do J. Giedroycia z dn. 9 VIII 1952, [za:] ibidem.

[60] Por. List S. Mackiewicza do J. Giedroycia z dn. 23 IV 1952, [za:] ibidem.

W trzeciej odsłonie widzimy ten sam pusty pokój, w którym pali się jedna świeca. Do pokoju wchodzi na palcach George. Siada pod ścianą, trzymając w dłoniach dwa pistolety. Następnie pojawia się Pagello w masce, który chce ukraść perły hrabiny Potockiej. George przejrzała jego plany i celując do niego zmusza do ucieczki.

Następnego dnia Pagello znów pojawia się w pokoju, w którym siedzi George. Prosi o ratunek – szukają go po całej okolicy. Rozwścieczona przepędza go z krzykiem. Kiedy w jednej z następnych scen Pagello pojawia się raz jeszcze, w pokoju znajduje się już sama Delfina, która zwraca się do niego: „A pan doktór znowu łaskaw, czy znów po perły?" Zrezygnowany prosi o ukrycie – Delfina prowadzi go do swego pokoju i nie pozwala karabinierom przeszukać domu.

Krasiński oznajmia, że jeszcze tego samego dnia musi wyjechać do Karlsbadu i na życzenie ojca oświadczyć się Elizie Branickiej. Delfina dziwi się, że poeta pozostaje w tym względzie tak bardzo uległy w stosunku do ojca i żegna go chłodno.

Sztukę kończy krótki dialog George z Delfiną. Ta pierwsza odzywa się po wyjściu Krasińskiego: „Dzień dzisiejszy jest dniem upokorzenia mojej dumy kobiecej. Widziałam dwuch moich dawnych kochanków, którym obu swego czasu całowałam ręce i nie wiem, który z nich zachował się bardziej niegodnie. Pani Delfino, nie chcę być niedelikatna, ale proszę mi wierzyć, że ją rozumiem i współczuję jej w takiej chwili". Na to odpowiada Delfina: „Tak, życie czasami bywa bardzo buffo, jak powiada Siżyś". Kurtyna.

V

Sztuki zostały przyjęte źle. Jaruzelski określił rezultaty roboty literackiej Mackiewicza mianem: „opłakane"[61]. Zresztą nie znalazłem świadectw, aby jednoaktówki odbiły się szerszym echem – zostały raczej lekceważąco przemilczane. Melchior Wańkowicz w jednym z listów do Giedroycia napisał, że Cat „poniósł klęskę na nie swojej drodze"[62].

[61] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 286.

[62] List M. Wańkowicza do J. Giedroycia z dn. 24 IX 1952, [za:] J. Giedroyc, M. Wańkowicz, *Listy 1945–1963*, red. A. Ziółkowska-Boehm, J. Krawczyk, Warszawa 2000.

Sam Mackiewicz we wspomnianej korespondencji do Marii Pruszyńskiej skreślił zdania następujące: „Jeśli Pani strawi «Melinę» bez większego obrzydzenia, to ośmielę się Jej posłać tamte dwie sztuczki. Ale wątpię, czy Pani będzie się podobać. Nawet ludzie tak uprzejmi jak Eustachy[63] i jego żona Teresa, którym się bardzo podobał «Stanisław August» wręcz mi powiedzieli, iż im się nie podobają tamte rzeczy"[64].

Jeden Miłosz stanął w obronie jednoaktówek, pisząc do Giedroycia: „Mackiewicz b[ardzo – red.] zabawny, zwłaszcza «Siżyś», ale po przeczytaniu ma się wrażenie niedosytu, mówi się sobie, że jest to niezwykle utalentowany jegomość, który nie bardzo wie, co ma powiedzieć, albo po prostu nie ma wiele do powiedzenia, a po drugie mówi się sobie, że jest to jegomość, który nie ma świadomości swego talentu, który jest przede wszystkim talentem humorysty – co pokrywa się zresztą z punktem pierwszym"[65].

Utwory te ożyły później na chwilę w kraju. Jerzy Antczak wystawił w 1959 r. „Siżysia", rok później „Kamila Arago" – obie na deskach łódzkiego Teatru Nowego, prowadzonego przez Kazimierza Dejmka. Ostatnią próbą literacką Mackiewicza była etiuda sceniczna „Dogrumowa" na postawie „Stanisława Augusta", opublikowana w 1961 r., którą Jaruzelski uważa za najbardziej udany spośród utworów dramatycznych Cata[66].

4. „Sprawa Miłosza"

I

Po problemach z uzyskaniem paszportu z początkiem 1951 r. Czesław Miłosz wyjechał do Paryża, gdzie wystąpił o azyl polityczny. Następnie z miejsca udał się do Maisons-Laffitte.

[63] Chodzi o Eustachego Sapiehę, który po wojnie osiadł w Kenii, ale bywał z wizytami w Londynie.

[64] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, List S. Mackiewicz do M. Pruszyńskiej z dn. 27 IV 1954.

[65] List Cz. Miłosza do J. Giedroycia z IX 1952, [za:] J. Giedroyc, Cz. Miłosz, *Listy 1952–1963*, red. M. Kornat, Warszawa 2008. Miłosz proponował pod koniec lat 60-tych, aby włączyć sztuki Mackiewicza do antologii „Kultury". Giedroyc podszedł jednak do pomysłu sceptycznie. Por. List Cz. Miłosza do J. Giedroycia z dn. 21 II 1968 i odpowiedź Giedroycia z dn. 26 II 1968, [za:] J. Giedroyc, Cz. Miłosz, *Listy 1964–1972*, red. M. Kornat, Warszawa 2011.

[66] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 293. Zob. S. Mackiewicz, *Dogrumowa*, „Dialog", nr 7 (1961).

Kontakty Miłosza z „Kulturą" zostały nawiązane już wcześniej przez Józefa Czapskiego, który dał mu do zrozumienia, że w razie jakichkolwiek problemów będzie mógł liczyć na pomoc. Poeta zjawił się w Maisons-Laffitte w obawie przed reakcją polskich władz komunistycznych, prosząc o możliwość tymczasowego pobytu, dopóki nie otrzyma azylu[67].

Giedroyc przyjął Miłosza z otwartymi rękoma – uważał go za świetnego poetę. Jednak w wielu sprawach się z nim nie zgadzał. Pisał w swych wspomnieniach: „Staraliśmy się w miarę naszych możliwości pomagać mu, gdyż jego pierwszy okres na Zachodzie był bardzo trudny. A zarazem awantury między Miłoszem a nami, zwłaszcza Zygmuntem i Zosią, były stałe. On negował istnienie łagrów, trochę z przekory, a trochę dlatego, że nie bardzo w to wierzył. Ale faktem jest, że występowały między nami różnice w ocenie Związku Sowieckiego i stalinizmu, do którego on podchodził w sposób bardzo łagodny"[68].

W tej atmosferze w maju 1951 r. doszło do publikacji w „Kulturze" artykułu Miłosza pt. „Nie", który był eksplikacją powodów ucieczki autora na Zachód, a który Giedroyc oceniał bardzo krytycznie[69]. Poeta pisał w nim: „W ciągu pięciu lat służyłem lojalnie mojej ludowej ojczyźnie, starając się według najlepszego mego rozumienia wypełniać moje obowiązki i jako pisarz, i jako *attaché* kulturalny w Stanach Zjednoczonych i we Francji. Przychodziło mi to tym łatwiej, że cieszyłem się, iż pół-feudalna struktura Polski została złamana, że robotnicza i chłopska młodzież zapełnia uniwersytety, że została przeprowadzona reforma rolna, a Polska zmienia się z kraju rolniczego w przemysłowo-rolniczy. Poza tym mój stosunek do politycznej emigracji polskiej był co najmniej ironiczny: na kimś, kto rozumiał dynamikę przemian zachodzących w Polsce, spory kilkuosobowych stronnictw robiły wrażenie bezużytecznej zabawy, a same postacie tych polityków wyglądały na figury z wodewilu. Miałem więc powody, aby trzymać się nowej Polski zmierzającej ku socjalizmowi i tak

[67] J. Giedroyc, op. cit., s. 174. Miłosz mówił o dniu, w którym poprosił o azyl: „Wróciłem w styczniu, a pierwszego lutego po prostu nie poszedłem po pensję do ambasady. Atmosfera była bardzo ciężka. Nawet trudno powiedzieć, do jakiego stopnia to było trudne, bo w niektórych takich przypadkach po prostu bili po głowie i odwozili samolotem tam gdzie trzeba". A. Fiut, *Czesława Miłosza autoportret przekorny* , Kraków 1988, s. 118.

[68] J. Giedroyc, op. cit., s. 175.

[69] Por. B. Toruńczyk, *Rozmowy w Maisons-Laffitte 1981*, Warszawa 2006, s. 92.

było do czasu, gdy postanowiono mnie, tak jak i innych podobnych do mnie pisarzy, ochrzcić"[70].

Nie była to więc spowiedź człowieka, który zgrzeszył, przyznał się do winy i kajał się, ale oskarżenie systemu, który ewoluował w niepożądanym kierunku, ku „naśladowaniu wzorów sowieckich"[71]. Miłosz nie zrywał z socjalizmem jako takim, lecz z jego ówczesną formą, ograniczającą swobodę twórczości artystycznej. Ponadto atakując bezpośrednio emigrację postawił się w opozycji do każdej ze stron.

Artykuł ten, będący swego rodzaju wyznaniem wiary[72], rozpoczął burzliwą dyskusję na emigracji, sprowadzającą się przede wszystkim do ostrej polemiki między jej dwoma głównymi ośrodkami intelektualnymi, tj. londyńskimi „Wiadomościami" i paryską „Kulturą". W historiografii jest ona określana mianem „sprawy Miłosza". Dyskusja dotyczyła zarówno spraw związanych z samą osobą i przeszłością poety oraz publikacji w „Kulturze" bezpośrednio po ucieczce z kraju, jak i spraw zasadniczych. Chodziło przede wszystkim o to, jak emigracja powinna reagować na nowych uchodźców, a szerzej o stosunek do kraju w ogóle. „Wiadomości" zajmowały tutaj stanowisko zachowawcze, pryncypialne, ekskluzywne. „Kultura" natomiast, gorąco krytykując taką postawę, starała się zrozumieć sposób myślenia Polaków w kraju – zamiast podchodzić do rzeczywistości życzeniowo próbowała się do tej rzeczywistości dostosować i na nią oddziaływać[73].

Giedroyc miał celowo rozdmuchiwać całe zamieszanie wokół Miłosza, aby przysporzyć popularności swemu pismu[74]. Ostatecznie nie pomylił się w swo-

[70] Cz. Miłosz, *Nie*, „K", nr 5/43 (1951).

[71] Mieroszewski pisał do Giedroycia na temat artykułu „Nie": „(…) wyczuwa się (…) więcej tragedii apostaty niż radości powrotu marnotrawnego syna na «łono» chrześcijańskiej, zachodniej demokracji czy cywilizacji". List J. Mieroszewskiego do J. Giedroycia z dn. 2 V 1951, [za:] J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, red. K. Pomian, J. Krawczyk, P. Wandycz, cz. 1, Warszawa 1999.

[72] Zresztą Miłosz posługuje się w nim nomenklaturą religijną, pisząc o stosunkach w kraju jako „Nowej Wierze", jej propagandystów nazywając „kapłanami", a ich działalność „nawracaniem".

[73] Na temat „sprawy Miłosza" w kraju i na emigracji zob. J. Pyszny, *„Sprawa Miłosza", czyli poeta w czyśćcu*, [w:] „Poznawanie Miłosza 2. Część pierwsza 1980–1998", red. A. Fiut, Kraków 2000. Por. A. Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011, s. 461–473.

[74] A. Franaszek, op. cit., s. 467.

ich rachunkach, choć początkowo nie obyło się bez strat. W związku z całą sprawą kontakty z „Kulturą" zerwał Jerzy Niezbrzycki (pseud. Ryszard Wraga), który w 1952 r. okrzyknął poetę „agentem bolszewickiego aparatu dywersyjnego na Zachodzie"[75].

II

Mackiewicz chciał zabrać głos w „sprawie Miłosza", ale ostatecznie go nie zabrał. Napisał krótki artykuł pod tytułem „Procesy de-komunistyczne", ale ani Grydzewski w „Wiadomościach", ani Giedroyc ostatecznie go nie wydrukowali[76].

Giedroyc tłumaczył to koniecznością wcześniejszego złamania numeru w związku z jego dłuższym wyjazdem do Berlina. Można mu wierzyć, zwłaszcza czytając zdanie z listu do Cata: „Jest mi niezmiernie przykro, że nie mogę zamieścić Pana artykułu o Miłoszu, mimo, że jest on dla mnie niezmiernie cenną pomocą w nagonce, zorganizowanej przez Londyn na «Kulturę» (…)"[77]. Natomiast Grydzewski nie mógł puścić tekstu, gdyż kłócił się on całkowicie z linią przyjętą przez „Wiadomości".

Mackiewicz dowodzi w swym tekście, że Miłosz jest wielkim poetą, a ten nie może tworzyć z „myślą w obcęgach". Dobrze stało się więc dla kultury polskiej, że Miłosz znalazł się zagranicą[78]. Cata dziwi, że przed wojną osoby podchodzące do „pro-komunistów" w sposób bardzo liberalny, teraz rzuciły się na Miłosza, zarzucając mu, że był urzędnikiem rządowym i urzędnikiem komunistycznej propagandy w Ameryce. Pierwszy z tych zarzutów Mackiewicz kompletnie lekceważy. Pisze: „Cała inteligencja polska w kraju pracuje w charakterze urzędników Bieruta i nie tej inteligencji to wina, lecz tych którzy nas w Jałcie sprzedali". Zarzut drugi wydaje mu się już poważniejszy. Uważa za bardzo kuszący pomysł stosowania jakichś sankcji karnych dla Polaków uprawiających zagranicą propagandę komunistyczną. Ale zastosowanie takich sankcji jest niemożliwe, jeśli nie będą one uderzać w pierwszej kolejności w największych szkodników oraz jeśli nie będą stosowane w równej mierze do wszystkich.

[75] Ibidem, s. 466. Por. J. Giedroyc, op. cit., s. 118.

[76] List S. Mackiewicza do J. Giedroycia z dn. 13 VIII 1951 z załączonym artykułem pt. „Procesy dekomunistyczne", [za:] *Nie jestem pisarzem słodkim...*

[77] List J. Giedroycia do S. Mackiewicza z dn. 22 VIII 1951, [za:] ibidem.

[78] Mackiewicz przez krótki czas współpracował z Miłoszem przed wojną, kiedy poeta udzielał się w dodatku do „Słowa" pt. „Żagary". Zob. J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 60–62.

Szkodliwość działalności Miłosza podczas jego urzędowania w Ameryce z ramienia rządu komunistycznego była zdaniem Cata niewielka w porównaniu z winą tych, którzy m. in. przez utrzymywanie kontaktów gospodarczych z Chinami czy Związkiem Sowieckim umożliwiają egzystencję komunizmu, łamiąc tym samym „wspólny front antykomunistyczny". Mackiewicz nie rozumie, dlaczego sankcje mają być wyciągane wyłącznie w stosunku do polskich poetów, z pominięciem zachodnich polityków, jak Winston Churchill, którego wypowiedzi i działania podczas drugiej wojny były bardzo pro-komunistyczne.

Podsumowuje: „A więc społeczeństwo polskie ma amnestiować wszystkich, a tylko nie polskich poetów. Coś tu jest w nieporządku – jakaś nadczułość i nadgorliwość w karaniu obywateli własnych". Podkreśla jednocześnie, że wcale nie jest gorącym zwolennikiem ucieczek zza żelaznej kurtyny. Mogą one odbywać się tylko jako wyjątek od reguły. Talent Miłosza potrzebny jest kulturze polskiej, ale inne ucieczki mogą być dla sprawy polskiej szkodliwe, bowiem „każdy uciekający utrudnia ogromnie życie w kraju, utrudnia zetknięcia się kraju z zagranicą, [przyczynia – red.] się do uszczelnienia i przyskrzynienia kurtyny żelaznej".

W 1953 r. emigracja dalej spierała się o Miłosza, ale już z innego powodu – w Bibliotece Kultury wydano jego „Zniewolony umysł"[79].Cat pisał wówczas: „Książkę Miłosza *Zniewolony umysł* wydała «Kultura» bardzo pięknie, powiedziałbym – luksusowo; w zupełnie inny sposób niż są wydawane inne polskie książki emigracyjne, gdzie dobra wola wydawcy walczy z nędzą pieniężną. (…) Otóż książka Miłosza jest czymś zupełnie innym. Stanowi od-pom-pa-tycz-nie-nie literatury emigracyjnej. Nie protestuje, nie krzyczy, nie wyciąga rąk, nie zaciska pięści. Nie jest żadną *Marsylianką wolności*"[80].

[79] Por. J. Pyszny, op. cit., s. 71–81.

[80] S. Mackiewicz, *Odpompatycznienie*, „Wiadomości" z dn. 19 IV 1953, [za:] M. Ptasińska-Wójcik, *Z dziejów Biblioteki Kultury 1946-1966*, Warszawa 2006, s. 121.

5. Premier

I

8 czerwca 1954 r. uformował się rząd Stanisława Mackiewicza w składzie: Mackiewicz jako premier i minister spraw zagranicznych, Dziadosz – minister spraw wewnętrznych i szef ministerstwa dla obywateli polskich zagranicą oraz Libkind-Lubodziecki – minister sprawiedliwości i minister skarbu[81].

Wieczorem tego dnia Mackiewicz przyszedł do Tadeusza Zabłockiego ze słowami na ustach: „Tadeusz, pierwszy raz Polska ma inteligentnego premiera"[82]. Natomiast do Pawlikowskiego pisał: „Zostałem w dniu 8 czerwca premierem i pracuję po 16 godzin dziennie (…) na ogół tutaj trzeba nie premiera a weterynarza do chorych pawianów. (…) Ale to już ostatnia możliwość polskiej emigracji"[83].

II

Po objęciu przez Mackiewicza urzędu Juliusz Mieroszewski zaproponował mu napisanie tekstu do „Kultury". Ten odpowiedział: „Nie wiem, czy jako premier mogę bawić się w publicystykę. Bismarck, gdy sprawował analogiczny urząd, artykułów nie pisywał"[84].

Ostatecznie opublikował artykuł pt. „Kraj i Berg", będący czymś w rodzaju konferencji prasowej. Przed tekstem właściwym znajduje się nota redakcyjna: „Poniżej zamieszczamy artykuł p. Stanisława Mackiewicza, który został mianowany premierem polskiego Rządu w Londynie w dniu 8 czerwca 1954, a więc w ostatnim dniu kadencji prezydenta Zaleskiego. Artykuł ten został napisany na zaproszenie redakcji «Kultury», która – zajmując najbardziej wyraźne stanowisko – pragnie jednak dać czytelnikom jak najwszechstronniejsze naświetlenie obecnego kryzysu na emigracji"[85].

[81] S. Mackiewicz, *Kraj i Berg*, „K", nr 7/81-8/82 (1954). Por. P. Ziętara, *Misja ostatniej szansy. Próba zjednoczenia polskiej emigracji politycznej przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego w latach 19521956*, Warszawa 1995, s. 114. O sytuacji politycznej emigracji w tym czasie zob. A. Friszke, *Życie polityczne emigracji*, Warszawa 1999.

[82] *Reakcjonista* (film), scen. i realiz. G. Braun, 1996, Polska.

[83] Za: M. K Pawlikowski, op. cit.

[84] J. Mieroszewski, *Polacy i…poganie*, „K", nr 9/83 (1954).

[85] S. Mackiewicz, *Kraj i Berg*… Por. S. Mackiewicz, *Primum non nocere,* „Wiadomości", nr 451 (1954).

„Kraj i Berg" był programem politycznym premiera Mackiewicza. Pisze w nim: „Ideologia tego rządu, tak jak ja ją rozumiem, polega na haśle: kraj, kraj i kraj". Rząd polski na wygnaniu nie jest żadną organizacją emigracyjną, ale legalnym sukcesorem państwa polskiego. Powinien on pełnić rolę *negotiorum gestor*[86] względem społeczeństwa polskiego, pozostającego pod rządami komunistów. Takie rozumienie roli rządu emigracyjnego Mackiewicz obrazuje swym niegdysiejszym postulatem, aby domagać się od Amerykanów oświadczenia, że w przypadku wojny ze Związkiem Sowieckim bomba atomowa nie będzie zrzucona na terytorium Polski.

Swój stosunek do kraju przedstawia przez przytoczenie dialogu Kerstena z królem rumuńskim Michałem[87] w czasie jego przesłuchania przed tzw. „komisją Kerstena"[88]:

– „Królu Michale, co by Pan powiedział swemu narodowi, gdyby na tym stole stał nadawczy aparat radiowy".

– „Nothing".

– „Jak to nic, dlaczego nic?"

– „Oczywiście, że nic, bo gdybym był optymistyczny, to mógłbym łatwo wywołać w kraju jakieś zrywy niedorzeczne, a pesymistycznie mówić bym nie chciał, bo nie chciałbym gasić dobrych wobec nas zamierzeń polityki amerykańskiej, które zresztą, jak dotychczas, więcej znajdują wyrazu w słowach niż w uczynkach".

Z hasłem: „kraj, kraj, kraj" ma się łączyć bezpośrednio hasło „Berg, Berg, Berg", które Mackiewicz tłumaczy następująco: „Berg to system polityczny, przy którym pewne stronnictwa polityczne uważały za możliwe i stosowne wydzierżawić swoje firmy polityczne pewnym wywiadom obcym"[89]. Uważa, że współpraca z tymi stronnictwami uniemożliwia rządo-

[86] (Łac.) Osoba prowadząca cudzą sprawę bez zlecenia.

[87] Mackiewicz miał przemyśliwać o zrobieniu króla Michała następcą prezydenta Zaleskiego, a w każdym razie chciał z nim blisko współpracować. Por. List J. Giedroycia do K. A. Jeleńskiego z dn. 11 VIII 1954 i odpowiedź Jeleńskiego z dn. 15 VIII 1954, [za:] J. Giedroyc, K. A. Jeleński, *Listy 1950–1987*, red. W. Karpiński, Warszawa 1995. Por. M. K. Pawlikowski, op. cit.

[88] Komisja Kerstena ds. Komunistycznych Agresji działała w latach 1953–1954.

[89] O „sprawie Bergu" i jej krytyce Mackiewicza zob. A. Friszke, *Życie polityczne emigracji*…, s. 147–155. Zob. również: S. Mackiewicz, *Od małego Bergu do wielkiego Bergu*, Londyn 1956.

wi zajmowanie poważnej pozycji względem mocarstw zachodnich: „Nie można przecież być jednocześnie łapsem używanym do posług szpiegostwa wojennego i reprezentantem interesów swego kraju i swego narodu". Mackiewicz staje w obronie prezydenta Zaleskiego. Na konferencji w dniu 8 czerwca 1954 r. przeczytał jego oświadczenie odwołujące zapowiedź ustąpienia z dniem 9 czerwca tr., które było uzasadnione tym, że prezydent „musi dokonać wyznaczenia swego następcy bez nacisku z jakiejkolwiek strony"[111]. Cat podkreśla wielką wagę odpowiedzialności, jaką nakłada na prezydenta przysięga przez niego składana – obowiązek „bronienia niezależności (…) polityki kosztem nawet życia własnego, a w każdym razie największych poświęceń osobistych". Twierdzi dalej, że Zaleski od samego początku zwalczał ideę zjednoczenia, której konsekwencją było: po pierwsze, de facto oddanie władzy stronnictwom Bergu, po drugie – oddanie władzy „arystokracji kilku partyj" kosztem „mas emigracyjnych". Działania te miały być źle rozumiane przez emigrację polską na skutek wzmożonych ataków pod adresem prezydenta, który jednak podjął walkę i odmówił ustąpienia z funkcji.

Sprawa wyboru następcy prezydenta – jak czytamy w artykule – została podjęta przez Mackiewicza natychmiast po jego nominacji na premiera. Artykuł „Kraj i Berg" powstał 20 czerwca 1954 r. i przedstawia wyniki jego starań do tego czasu[90]. W dniach 11, 12 i 14 czerwca, wśród wystąpień różnych środowisk emigracyjnych manifestujących wygaśnięcie kadencji prezydenta Zaleskiego, toczyły się rozmowy premiera z gen. Andersem. Zgodził się on zostać następcą prezydenta, zgodził się również na wygłoszenie podczas przekazania władzy opracowanych przez Mackiewicza przemówień, w którym prezydent Zaleski tłumaczyłby swoje posunięcia polityczne.

Anders zgodził również na krótki okres, jaki miałby minąć od ogłoszenia nominacji do przekazania funkcji. Premier zaproponował trzy miesiące, nie gwarantując jednak, że nie będzie zajmował się w tym czasie „sprawą Bergu".

Wracam jeszcze na chwilę do „sprawy Bergu" w rozdziale pt. „Pod własnym nazwiskiem". [111] Por. A. Friszke, *Życie polityczne emigracji…*, s. 189–190.

[90] O roli Mackiewicza w upadku idei zjednoczenia zob. P. Ziętara, op. cit., s. 111–116. Por. A. Friszke, *Życie polityczne emigracji…*, s. 156–168.

Na tej podstawie 15 czerwca rozmowy z gen. Andersem zostały przerwane. Wobec tego zaczęły pojawiać się inne kandydatury następcy prezydenta, m.in. gen. Hallera czy gen. Sosnkowskiego. Mackiewicz uważa, że najlepszym rozwiązaniem byłaby nominacja na urząd prezydenta wybitnego człowieka z kraju: „Podkreśliłoby to ten fakt, że Prezydentura Rzeczypospolitej nie jest w dyspozycji emigracji polskiej, lecz jest naszym konstytucyjnym urzędem, reprezentującym wszystkich Polaków i ogół obywateli polskich". Przemyśliwał nawet o konkretnej osobie, jeśliby rozwiązanie takie byłoby realne, nie podając jednak żadnego nazwiska. Możemy się domyślać, że chodziło prawdopodobnie o Janusza Radziwiłła, którego zmysł polityczny Mackiewicz zawsze cenił[91].

Komentując sytuację międzynarodową premier oddziela sprawę „bergowców" od stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Potwierdza, że wyzwolenie Polski może przyjść jedynie ze strony USA, ale zaznacza jednocześnie, że Ameryka musi przestać traktować rząd polski jako agenta, a zacząć traktować wyłącznie jako kontrahenta[92].

Kończy: „Krytykowałem często różne sztubackie pomysły naszej pseudopolityki, różna «międzymorza» i tego rodzaju naiwności. Od dwóch tygodni poznałem trochę akt naszego ministerstwa spraw zagranicznych. Wydaje mi się, że możliwości realnej polityki zagranicznej rządu na emigracji są wprost ogromne, znacznie większe niż przypuszczałem". Niedługo przyszło mu czekać na weryfikację tego poglądu.

III

W swoim artykule pt. „Polacy i… poganie" z września 1954 r. Juliusz Mieroszewski pisał: „Za biurkiem zasłanym gazetami siedzi przede mną nowy pre-

[91] Por. rozdział pt. „Promienie zachodzącego słońca".

[92] A. Janta-Połczyński pisał do Giedroycia na marginesie artykułu Cata: „(…) Mackiewicz ostatnie zdania zupełnie żałosne, ale dobrze, że go Pan umieścił. *Nota bene* nikt w Ameryce, gdzie istnieje w prasie polonijnej zmowa milczenia o Bergu, nie wie, co to jest i o co tam poszło. W dziale *Najnowszej historii [Polski]* zdałoby się «Kulturze» przytoczyć relację samych faktów, bo większość czytelników Waszych i wszelkich innych w ogóle ich nie zna". List A. Janty-Połczyńskiego do J. Giedroycia z przełomu lipca i sierpnia [brak dokładnej daty], [za:] J. Giedroyc, A. Janta-Połczyński, *Korespondencja 1947–1974*, red. P. Kądziela, Warszawa 2006. O stosunku mocarstw do emigracji polskiej zob. P. Machcewicz, *Emigracja w polityce międzynarodowej*, Warszawa 1999.

mier polskiego rządu, Stanisław Mackiewicz, i nad nim – na ścianie – wisi sztych przedstawiający króla Stanisława Augusta. O piętro wyżej urzęduje prezydent Zaleski, a za oknami jest londyńska ulica i rok Pański 1954. Lecz tu siedzi przede mną Cat – ten sam, który redagował wileńskie «Słowo». Wspominamy dawne czasy – Adolfa Bocheńskiego, braci Pruszyńskich, «Politykę» Giedroycia – tak, jakby obecna chwila była naturalnym następstwem i bratnim ogniwem w łańcuchu wydarzeń. Wówczas ministrem spraw zagranicznych był Józef Beck – dziś ministrem spraw zagranicznych i premierem jest Cat. Spektakl polskiej Historii ciągnie się nieprzerwanie i potoczyście – ożywiony nie dialektycznym mechanizmem tezy i antytezy, lecz… wolą aktorów".

I dalej: „Z wszystkich naszych emigracyjnych premierów Cat jest najbardziej autentyczny. Nie robi fałszywie zażenowanych min, nie zgrywa się jak marny aktor, któremu «rola nie leży». Jest sobą na tej polskiej wędrownej scence i jeżeli cokolwiek jest iluzją, to tylko kulisy, a nie dramat i aktor.

Patrzyłem na portret Stanisława Augusta i na krzepkie bary Cata. A więc tak: ostatnim królem był ów wiotki pan w pudrowej peruce, potem był Piłsudski i kilkunastu premierów. Ostatni z nich siedzi oto naprzeciw mnie. Legitymizm tego sequensu historycznego opiera się na jednej przesłance, a mianowicie, że wrócimy…"[93]

Giedroyc po latach sportretował byłego premiera emigracyjnego: „Stanisława Mackiewicza, Cata, trudno scharakteryzować. Postać człowieka «rozwichrzonego», wszechstronnie utalentowany. Przykład, że będąc znakomitym publicystą, można być złym politykiem"[94].

IV

Podobnie jak z początkiem swego urzędowania Mackiewicz ogłosił artykuł w „Kulturze" po odejściu z funkcji rok później. Jego tytuł w języku francuskim brzmi „Un travail raté", co po polsku znaczy: spudłowane przedsięwzięcie[95]. Przedstawił w nim swoje zwycięstwa, porażki, ataki na jego osobę. Pomijam jego omówienie w tym miejscu, uważając, że wymagałoby to przygotowania osobnej pracy.

[93] J. Mieroszewski, *Polacy i… poganie*… Mackiewicz nie był zadowolony z tej charakterystyki. Por. S. Mackiewicz, *Zielone oczy*, Kraków 2012, s. 330–331.

[94] E. Berberyusz, *Książę z Maisons-Laffitte*, Gdańsk 1995, s. 93. P. Ziętara zauważa w swej książce: „Bez zbytniej przesady można powiedzieć, że jego błyskotliwość i talent publicystyczny uratowały prezydenturę Zaleskiego". P. Ziętara, op. cit., s. 114.

V

Bezpośrednio przed powrotem do kraju Mackiewicz opublikował na łamach „Dziennika Polskiego" następujące oświadczenie:

„Urodziłem się jako Polak, szlachcic litewski, i miłości Wilna nikt nie wyrwie z mego serca.

Urodziłem się jako katolik i umrę jako katolik.

Wiele lat prowadziłem walkę z Rosją i komunizmem rosyjskim i polskim. Zwłaszcza intensywnie walczyłem w tym kierunku podczas ostatniej wojny, wydając tu na emigracji przeszło 40 broszur przeciwko polityce generała Sikorskiego i premiera Mikołajczyka.

Ale dziś nie możemy liczyć na chęć państw zachodnich wyłączenia kraju polskiego z systemu państw prosowieckich. O tym daleko lepiej i realniej wiemy my, emigranci, niż naród polski w kraju.

Pozostając na emigracji, przemawiając przez radio do kraju, stykając się z ludźmi, którzy stworzyli Berg i nadal ten Berg rehabilitują, dezorientujemy tylko kraj, wytwarzając tam fałszywe mniemanie o rzeczywistości.

Nie możemy narażać bytu narodu polskiego dla polityki mirażowej.

Chcę także wierzyć, że zapowiedziana w kraju liberalizacja stosunków będzie trwała przyniesie naszemu narodowi ulgę, o ile nie będzie zerwana przez jakąś nieobliczalną prowokację.

W tych warunkach zdecydowałem się na powrót do kraju.

[95] S. Mackiewicz, *Un travail raté*, „K", nr 11/97 (1955). Podobne rozważania przedstawił w swej książce wydanej już w Polsce. Zob. S. Mackiewicz, *Zielone oczy…*, s. 327–356. Napisał tam: „Niedługo po ustąpieniu ze stanowiska prezesa rządu emigracyjnego ogłosiłem w «Kulturze» paryskiej historię mego urzędowania: *Un travail raté* (*Praca spudłowana*). Formalnie w tym tytule mieściło się trochę optymistycznej przesady w ocenianiu możliwości zrobienia czegokolwiek; materialnie mieściło się w nim dużo kokieterii; w każdym razie tytuł ten nie nadaje się do powtórzenia w relacji przeznaczonej dla czytelnika w kraju, bo nie jest historycznie obiektywny". Rozdział w „Zielonych oczach" nosi nazwę: „Moje urzędowanie".

Kanclerz Wielki Litewski książę Michał Czartoryski mówił: «Polska jest Polską»"[96].

Oświadczenie i sam powrót wywołały burzę na emigracji. Znakomita większość głosów atakowała Cata za jego decyzję. Wśród napaści tylko kilka osób próbowało podejść konstruktywnie do tego wydarzenia, nieliczni stawali w obronie publicysty[97].

W „Kulturze" Mieroszewski zestawił powrót Cata z samobójczą śmiercią Jana Lechonia, która miała miejsce mniej więcej w tym samym czasie. Pisał: „Nie zamierzam bronić tej decyzji, niemniej, załamanie się pisarza emigracyjnego obciąża nas wszystkich". Londyńczyk dowodził, że jeśli liberalizacja w kraju – na którą powoływał się w swoim oświadczeniu Cat – będzie postępować, będzie wielkim wyzwaniem dla emigracji. Skrytykował jednocześnie środowisko „niezłomnych": „Białogwardziści zacierają ręce a na dnie duszy kolebią nadzieję, iż przyjdzie może taki dzień, kiedy na emigracji zostaną wreszcie sami. Będą mogli wykląć jako zdrajców, sprzedawczyków i «wtyczki» wszystkich liberałów, pięknoduchów, pisarzy, literatów, buntowników z pretensjami do niezależnej myśli. Emigracja składać się będzie z tych «dzielnych» co się urządzili i z niezłomnej reakcyjnej «elity»"[98].

W prywatnej korespondencji sądy Mieroszewskiego były już bezpośrednie i brutalne. Oświadczenie Cata nazwał „kretyńskim" i tylko sympatia do publicysty oraz przekonanie, że nie należy rozdmuchiwać całej sprawy powstrzymywały go od „jadowitej złośliwości, która pcha się pod pióro"[99]. W innym liście pisał do Giedroycia, że należało zatrzymać Mackiewicza na emigracji za wszelką cenę: „Byłoby znacznie taniej dla FE [Free Europe] mieć Cata po tej stronie kurtyny i płacić mu choćby słono – niż mieć go jako polemistę w Warszawie. Jak Mackiewicz zechce objeżdżać FE, w całym Monachium nie ma faceta, któ-

[96] S. Mackiewicz, *Zielone oczy*..., s. 355–356.

[97] Por. K. Tarka, *Mackiewicz i inni…*, s. 67–88.

[98] Londyńczyk [J. Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K", nr 7/105-8/106 (1956).

[99] List J. Mieroszewskiego do J. Giedroycia z VI 1956 [bez dokładnej daty], [za:] J. Giedroyc, J. Mieroszewski, *Listy 1949–1956*, red. K. Pomian, J. Krawczyk, P. Wandycz, cz. 2, Warszawa 1999.

ry mu sprostać może talentem, ciętością, gazem. A na pewno będzie to robił, bo zieje nienawiścią do tej instytucji, jak niegdyś"[100].

Próby zatrzymania Mackiewicza na emigracji miały jednak miejsce, tyle że nie przyniosły żadnego efektu. Otrzymał propozycję utrzymania przez Wolną Europę od Zbigniewa Raciąskiego i Stanisława Jóźwiaka – „byleby tylko nie wracał do kraju". Odmówił kategorycznie[101].

W jednym z listów do Pawlikowskiego słanym jeszcze z Londynu Mackiewicz pisał żartem: „Przegrywali zawsze ci, z którymi byłem: Sławek, ziemianie kresowi, ziemie wschodnie. Doprawdy może lepiej, abym stanął po stronie bolszewików. Jeśli to nie spowoduje ich upadku, to już nic nie spowoduje"[102]. W każdym razie 14 czerwca 1956 r. opuścił emigrację i wrócił do Polski. Bezpieka swój cel osiągnęła. W notatce sporządzonej kilka miesięcy po powrocie Cata czytamy: „Działalność «Robra» [Mackiewicza] wywarła też znaczny wpływa na emigrację. Pogłębiła z jednej strony rozbieżności w łonie samej emigracji politycznej, jak również spowodowała znaczną «zmianę poglądów wielu emigrantów w stosunku do kraju»"[103].

Jednocześnie zastanawiano się nad formą dalszej współpracy z Catem, aby pogłębiać rozbicie emigracji. W związku z tym pożądanym było, aby Mackiewicz regularnie pisywał do tytułów, które chciały prowadzić odrębną od środowiska „niezłomnych" politykę, m. in. do „Kultury" czy „Tygodnika" Jana Matłachowskiego[104]. Ponadto powinien kontynuować swoją kampanię „antybergową" w myśl hasła: „emigracja nie może szkodzić, lecz musi pomagać krajowi"[105].

[100] List J. Mieroszewskiego do J. Giedroycia z dn. 10 VI 1956, [za:] ibidem.

[101] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka dot. ostatnich spotkań z Robrem w Londynie z dn. 15 VI 1956.

[102] M. K. Pawlikowski, op. cit.

[103] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka dot. Cata-Mackiewicza z dn. 12 XI 1956.

[104] Jan Matłachowski (1906–1989) – działacz narodowy. Od 1935 r. członek władz Stronnictwa Narodowego (również w czasie wojny i na emigracji) oraz Rady Jedności Narodowej w czasie II wojny światowej. Od 1945 r. w Londynie. Zszedł się na boczny tor po „aferze Bergu". W 1961 r. wrócił do kraju. Od lat 50-tych tajny współpracownik bezpieki, która finansowała wydawany przez niego w W. Brytanii „Tygodnik".

[105] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka dot. ostatnich spotkań z Robrem w Londynie z dn. 15 VI 1956.

6. Promienie zachodzącego słońca

I

Na początku lat 60-tych Krzysztof Teodor Toeplitz przeprowadził dla „Przeglądu Kulturalnego" cykl wywiadów z księciem Januszem Radziwiłłem, mieszkającym wówczas w małym, dwupokojowym mieszkanku na Mokotowie, które później okazały się sensacją. Na samym wstępie do indagowanego zwracał się per „książę", później już konsekwentnie per „pan". Dziennikarz i aktor Adam Pawlikowski żartował, że rozmowy skończą się najprawdopodobniej: „Słuchajcie, no, Radziwiłł"[106].

Aby odpowiedzieć na pytanie: skąd wzięło się zainteresowanie wielkim magnackim rodem litewskim w państwie socjalistycznym, musimy przenieść na chwilę naszą uwagę za ocean. W 1961 r. po zaciętej kampanii wyborczej John F. Kennedy wygrał z Richardem Nixonem wyścig o fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kilka lat wcześniej Kennedy poślubił dziennikarkę Jacqueline Lee Bouvier. Ta z kolei była siostrą aktorki Caroline, żony Stanisława Radziwiłła, najmłodszego syna Janusza, znanej dziś pod nazwiskiem Lee Radziwill[107].

Kilka miesięcy po wyborach prezydenckich w Ameryce siostry Kennedy'ego Eunice Shriver i Jean Smith odwiedziły Janusza Radziwiłła w Warszawie. Stwierdził on wtedy, że w życiu nie widział „dwóch tak głupich i tak źle wychowanych kobiet", z trudem powstrzymując się przed głośnym wyrażeniem swych myśli[108].

II

W latach 60-tych Radziwiłłowie byli już przedmiotem gry politycznej. Ale kilka lat wcześniej Janusz Radziwiłł miał ambicje odgrywać jeszcze jakąś rolę polityczną w kraju, w którym przebywał przecież dobrowolnie. Podczas pobytu zagranicą miał on bowiem odrzucić propozycję Kawalerów Maltańskich

[106] J. Jaruzelski, *Książę Janusz (1880–1967). Szkice*, Warszawa 2001, s. 79–80.

[107] John F. Kennedy był ponadto ojcem chrzestnym córki księcia Stanisława Radziwiłła Anny Krystyny, a S. Radziwiłł chrzestnym syna prezydenta. Por. S. Mackiewicz, *Dom Radziwiłłów*, Kraków 2013, s. 362–363.

[108] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka z rozmowy z J. Meysztowiczem z IX 1961. Zob. Sekwencja: *Turystki*, Polska Kronika Filmowa 61/36B, 1961, Polska, dostępny w Internecie: www.kronikarp.pl [13 IX 2013].

pozostania zagranicą w luksusowych warunkach stwierdzając, że miejsce Radziwiłłów jest w Polsce[109].

Zaraz po powrocie Mackiewicza do kraju Janusz Radziwiłł zorganizował z nim spotkanie w swoim mieszkaniu, na którym obecni byli również prof. Witold Kamieniecki i Aleksander Bocheński. Mackiewicz przekonywał na nim, że politycy brytyjscy nie liczą się w ogóle ani z rządem, ani polskimi partiami na emigracji. Jedynym Polakiem, który podsiada jakiś autorytet wśród Anglików jest – zdaniem Cata – Alfons Koziełł-Poklewski[110], który pozostaje w bliskich kontaktach z królową i politykami brytyjskimi, m.in. z Edenem. To właśnie Eden miał odradzać Poklewskiemu wiązanie się z rządem emigracyjnym, kiedy Zaleski proponował mu objęcie teki ministra spraw zagranicznych. Według Cata Eden miał być też inspiratorem demonstracji polskiej emigracji podczas wizyty Chruszczowa i Bułganina w Wielkiej Brytanii w kwietniu 1956 r.[133]

Wiadomości te mocno zaskoczyły Janusza Radziwiłła, który z rozmów z osobami przybyłymi z Londynu wyrobił sobie dużo bardziej pozytywny i obiecujący obraz emigracji. Wobec powyższego *dictum* zrozumiał, że jeśli jest jeszcze jakaś praca polityczna do wykonania, to tylko na terenie kraju. Plany jego sprowadzały się do prób powołania koncesjonowanej opozycji chadeckiej. Mackiewicz deklarował, że raz na zawsze skończył z polityką i ma zamiar zająć się pracą naukową, ale Radziwiłł szczerze wątpił, żeby Cat ze swoim temperamentem długo pozostawał z dala od polityki. Chciał odsunąć go od swych planów, gdyż „jest on narwany i mógłby przez jakieś swoje nieobliczalne wystąpienie na przykład na temat Lwowa czy Wilna położyć całą robotą, która wymaga olbrzymiej finezji i elastyczności"[111].

[109] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka z rozmowy z J. Meysztowiczem z IX 1961..

[110] Alfons Aleksander Koziełł-Poklewski (1891–1962) – przemysłowiec, działacz emigracyjny, zaprzyjaźniony z rodziną królewską od czasów studiów w Anglii na początku lat 20-tych XX w. Por. *„Dardanele". Delegatura WiN za granicą 1946–1949*, red. S. J. Rostworowski, Wrocław 1999, s. 518–519. [133] O wizycie przywódców sowieckich w W. Brytanii zob. R. A. Miedwiediew, *Chruszczow. Biografia polityczna*, tłum. W. Zagórska, Warszawa 1990, s. 104–105. Por. W. Roszkowski, *Półwiecze. Historia polityczna świata po 1945 roku*, Warszawa 1997, s. 93.

[111] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka ze spotkania u Janusza Radziwiłła z dn. 23 VI 1956. [135] S. Mackiewicz, *Dom Radziwiłłów*…, s. 358.

Mackiewicz uważał Radziwiłła za polityka z krwi i kości, za męża stanu – a przynajmniej człowieka o przebłyskach męża stanu. W napisanej dla niemieckiego wydawcy książce „Dom Radziwiłłów" wyrażał się o nim z przesadą: „Książę Radziwiłł uchodził wśród ludzi rozsądnie myślących za najlepszego kandydata na ministra spraw zagranicznych. Gdyby prezydent Polski, Mościcki, naznaczył go ministrem jeszcze w marcu 1939 roku, to Polska nie poszłaby pierwsza do wojny w 1939 roku i może Anglia i Ameryka nie miałyby okazji do sprzedania nas za bezcen"[135].

Na spotkaniu w 1956 r. ten zawsze pewny siebie i swoich sądów politycznych Mackiewicz miał przyjmować wręcz uniżony stosunek do Janusza Radziwiłła, pytać jak ma postępować w tym czy innym wypadku. Według zebranych traktował Radziwiłła jako autorytet w sprawach politycznych[112]. Niewykluczone, że chodziło tutaj o nic innego, jak tylko uwiarygodnienie swojego rozwodu z czynną polityką.

Notatka z powyższego spotkania kończyła się symptomatyczną uwagą: „Należy zaznaczyć, że Kamieniecki i Radziwiłł znają bardzo dobrze Poklewskiego z okresu przedwojennego, gdyż Poklewski przebywał w ich środowisku i reprezentował wspólne poglądy polityczne"[113].

III

Pod koniec maja 1958 r. w Krakowie miało miejsce „poufne zebranie" arystokracji polskiej. Wziął w nim udział m. in. Janusz Radziwiłł. Cat został poproszony o wygłoszenie referatu na temat spraw międzynarodowych. Całe wydarzenie skwitował w rozmowie z funkcjonariuszem bezpieki w zadaniach: „Staruszkowie o spróchniałych zębach i z przedwiecznymi poglądami politycznymi"; „Dyskusje były prowadzone na zupełnie dziecinnym poziomie i wprawdzie hrabina Potocka mówiła piękną polszczyzną, to jednak mówiła głupio"; „Związek Radziecki to według nich apokaliptyczna bestia, do której pokonania niezbędna jest jednak i święcona woda"[114].

[112] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka ze spotkania u Janusza Radziwiłła z dn. 23 VI 1956.

[113] Ibidem.

[114] Ibidem, Raport ze spotkania z Catem-Mackiewiczem w Warszawie z dn. 20 VI 1958.

Rok później o części dawnej arystokracji z Januszem Radziwiłłem na czele mówił już dużo lepiej jako o środowisku „poważnych ludzi, umiejących myśleć kategoriami wychodzącymi poza partykularne interesy klik i koterii". Wypowiadał te oceny w związku z planami powołania przy kard. Wyszyńskim komitetu doradczego o charakterze mediacyjnym[115]. Ale sprawami tymi zajmę się nieco później[140].

IV

W połowie 1959 r. Mackiewicz relacjonował funkcjonariuszowi bezpieki rozmowę Janusza Radziwiłła podczas jego pobytu zagranicą z Józefem Potockim[116], byłym ambasadorem rządu emigracyjnego w Madrycie, a prywatnie zięciem Radziwiłła. Zaznaczył przy tym, że sprawa jest bardzo poufna[117].

Cat scharakteryzował Potockiego jako człowieka ciekawego i rozsądnego, który rozumie położenie geopolityczne Polski, a nawet – jak przekazał mu Radziwiłł – „jest może nawet zbyt skłonny do komunistów na rzecz wspólnej z ZSRR polityki wewnętrznej i zagranicznej". Posiada przy tym rozbudowaną sieć ważnych kontaktów w Hiszpanii, Włoszech i Francji. Sam papież Jan XXIII miał się z nim konsultować w sprawie ambasadora rządu emigracyjnego w Watykanie Kazimierza Papéego – Potocki polecił całkowite zlikwidowanie placówki. Uważał, że papież dużo bardziej rozumie sytuację w Polsce niż kard. Wyszyński i „papieska ocena tej sytuacji jest bardzo pozytywna w zestawieniu z sytuacją kościołów w innych krajach demokracji ludowej". Ponadto zaznaczał, że papież poważnie przemyśliwuje polepszenie kontaktów z Warszawą, rozumując w tej kwestii chłodno i spokojnie. Mackiewicz relacjonował również podejście Potockiego do gen. Andersa, które miało być raczej negatywne.

Cat wyszedł wyraźnie poza ramy relacji, sugerując potrzebę wykorzystania tego kontaktu „w interesach narodu". Raport kończy uwaga: „Oceniam bardzo

[115] Ibidem, Raport z rozmowy z Catem-Mackiewiczem z dn. 1 VII 1959. [140] Zob. rozdział pt. „Kardynał Wyszyński".

[116] Józef Alfred Potocki (1895–1968) – polski dyplomata, spowinowacony z Radziwiłłami przez żonę Krystynę Marię. W 1944–1945 ambasador, a w latach 1945–1955 *chargé d'affaires* rządu emigracyjnego w Madrycie.

[117] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Raport z rozmowy z Catem-Mackiewiczem z dn. 1 VII 1959.

pozytywnie zachowanie się C. M., który informując mnie podkreślał, że dla dobra sprawy, dla dobra (w jego rozumieniu) interesów państwa – idzie niekiedy na niedyskrecję i pewną nielojalność wobec własnego środowiska. Robi to z przykrością, ale czuje nadchodzącą śmierć i uważa, że to go rozgrzesza w dużym stopniu".

V

Po wyborze Kennedy'ego na prezydenta związki Radziwiłłów z polityką nabrały nowego zupełnie znaczenia. Napisałem wyżej, że byli oni w tym czasie nie podmiotem, ale wyłącznie przedmiotem gry politycznej.

W grudniu 1960 r. Mackiewicz przedstawił plan wpływania na prezydenta Kennedy'ego poprzez wykorzystanie swoich sięgających czasów przedwojennych zażyłych relacji ze Stanisławem Radziwiłłem i z rodziną Radziwiłłów w ogóle.

Książę Stanisław mieszkał na stałe w Londynie. Po jego powrocie ze Stanów Zjednoczonych Mackiewicz zamierzał nawiązać z nim kontakt korespondencyjny za pośrednictwem Janusza Radziwiłła, który miał dawać *placet* na wykorzystanie kontaktów swego syna dla interesów Polski. „W jednym punkcie Cat nie uświadomił Janusza Radziwiłła" – czytamy w notatce służbowej – „a mianowicie, że ostateczne sprecyzowanie «interesów Polski» będzie w dyspozycji władz polskich i że to one będą właściwie dysponentem możliwości Cata". Bardzo wygodne niedopowiedzenie. Mackiewicz przekonywał, że za kontaktem listownym musi pójść spotkanie osobiste: we Francji, Włoszech lub Szwajcarii, bo wyjazd Mackiewicza na Wyspy Brytyjskie po wygłoszonych przez niego w książkach i artykułach sądach o Anglii jest bardzo wątpliwy[118]. Wystąpiłby wtedy jako reprezentant głowy rodu, księcia Janusza. Co prawda – kontynuował – kontakty między ojcem i synem ostatnio bardzo się ochłodziły w związku z rozwodem i kolejnym ślubem Stanisława, jednak na chwilę obecną stosunki są jak najbardziej unormowane[119].

[118] Zob. S. Mackiewicz, *Londyniszcze*, Warszawa 1957.

[119] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa dot. propozycji Cata-Mackiewicza z dn. 3 I 1961. Bezpieka próbowała wpłynąć również na S. Radziwiłła poprzez Andrzeja Zamoyskiego, który miał wybadać go na temat opinii Kennedy'ego o granicy na Odrze i Nysie oraz Niemcach i Polsce w ogóle. Por. Ibidem, Notatka z rozmowy z A. Zamoyskim z X 1961.

W następnych rozmowach na początku 1961 r. Mackiewicz powrócił do tego tematu. Informował bezpiekę o swoich planach wyjazdu w kwietniu… do Anglii, gdzie miał wówczas przebywać również Stanisław Radziwiłł. Watykan był wtedy jednym z państw, które nie posiadało stosunków dyplomatycznych z PRL – w Watykanie cały czas urzędował ambasador rządu emigracyjnego. Mackiewicz deklarował, że postara się wpłynąć za pośrednictwem Radziwiłła na prezydenta USA, aby ten „nacisnął" na Watykan w kwestii nawiązania stosunków w ten sposób, aby inicjatywa wyszła ze strony Watykanu[120].

Stosunki dyplomatyczne między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Watykanem zostały jednak nawiązane dopiero w lipcu 1989 r. Wszelkie próby wpływania na Kennedy'ego, nawet jeśli miałyby jakieś szanse powodzenia, musiały przegrać z czasem. W listopadzie 1963 r. prezydent został zastrzelony w Dallas. Razem z nim umarło polityczne znaczenie Radziwiłłów, choć zapewne nie w takim wydaniu, w jakim by sobie tego życzyli.

VI

Pamiętamy deklarację Cata o definitywnym zerwaniu z czynną polityką. Radziwiłł ani trochę nie pomylił się w ocenie tego oświadczenia. W 1960 r. Mackiewicz zgłosił chęć ubiegania się o mandat posła. Twierdził, że posiada sporą grupę zwolenników, którzy oddadzą na niego swój głos. Po drugie – znajomi ze „Znaku" i „Paxu" namawiają go, aby był ich kandydatem, ale odmawia, powołując się na swą niezależność. Dopuszcza jednak sytuację, w której zaproponowano by mu mandat posła niezależnego – w takich warunkach przyjmie go bardzo chętnie.

Zachęcony pochlebnymi wypowiedziami posłów „Znaku" o wysokim poziomie prac sejmowych stwierdził, że mógłby jeszcze pomóc krajowi swym doświadczeniem publicysty i prawnika, tym bardziej, że nie ma obecnie konfliktu między jego poglądami a polityką państwa polskiego, ponieważ „jego artykuły, jego analizy polityczne są jakoś bardzo równoległe do linii «Trybuny Ludu» a miejsce Polski w Europie widzi Cat tylko u boku ZSRR"[121].

[120] Ibidem, Notatka z rozmowy z Catem-Mackiewiczem z dn. 2 III 1961.

[121] Ibidem, Notatka służbowa dot. propozycji Cata-Mackiewicza z dn. 3 I 1961.

Nie udostępniono mu jednak ław poselskich, więc można zakładać, że cała idea umarła zaraz po narodzinach.

7. Renata

I

W jednym z rozdziałów „Domu Radziwiłłów" jest zdanie odnoszące się do korespondencji Zygmunta Augusta i Barbary Radziwiłłówny: „Jak trzymałem ich listy w ręku, to mi było wstyd, że po czterystu latach naruszam intymność, do której każdy człowiek ma prawo"[122].

Muszę powiedzieć, że pisząc niniejszy rozdział miałem podobne uczucie. Będę tutaj bowiem zaglądał w intymne listy prywatne. Ale po kolei.

Jerzy Jaruzelski ujmuje stosunek Mackiewicza do płci pięknej w sposób następujący: „Wobec kobiet szarmancki na miarę dzisiaj nie znaną; patentowanym idiotkom potrafił prawić wyszukane komplementy. Stosunek do głupoty zależał więc od płci"[123]. W innym miejscu: „Mackiewicz przez całe życie, szczególnie w kwestiach damskich, był aktorem wybornym"[124].

Sam Cat wyłożył swoje podejście do kobiet w jednej z rozmów z Jadwigą Karbowską, podpierając się mową wygłoszoną na jednym z „obiadów literackich" braci Goncourt: „Grunt to zaprzątać kobietę, którą się kocha, żądać od niej wszystkiego czasu, wszystkich myśli, narzucać jej w tym celu drobne zajęcia, na przykład zmuszać ją, niech wstaje rano, aby pisać listy na siedem czy osiem stronic. Potem robić jej ciągłe sceny, zabraniać jej przyjmowania znajomych, wymagać wszelkiego rodzaju poświęceń, dąsać się, łajać, burczeć, przepraszać, potem znowu obrażać, trzymać ją wciąż na krawędzi zerwania albo pojednania. Bębnić wciąż po jej sercu, żeby się nie nudziło"[125].

W wieku osiemnastu lat miał dokonać próby samobójczej z zazdrości o dwunastoletnią wtedy Wandę Krahelską, z którą znał się od dziecka i z którą w 1919 r. wziął ślub[126]. Małżeństwo Mackiewicza mijało właśnie w tej atmosferze, jaka została oddana w przytoczonych wyżej słowach z obiadu u braci Goncourt. Jego żona wypowiedziała pewnego razu do Karbowskiej następującą charakterystykę swego męża: „Przy jego nieopanowaniu nasze córki rosną w atmosferze szarpaniny. Z niebywałą łatwością przechodzi od roli idealnego ojca czytającego im wieczorami Sienkiewicza czy Kiplinga do bezpodstawnych ataków zazdrości w stosunku do mnie, histerycznych awantur, urojonych podejrzeń i zarzutów. Mój mąż jest nie tylko świetnym dziennikarzem, jest, niestety, również niezawodnym aktorem"[127].

Przez cały okres międzywojenny Cat wziął udział przynajmniej w siedmiu pojedynkach. Nie znamy powodów większości z nich, ale przynajmniej w tym z Kazimierzem Okuliczem[128] chodziło o kwestie prywatne, najprawdopodobniej o kobietę. We wrześniu 1939 r. opuszczał Polskę bez rodziny. Miał się z nią zobaczyć dopiero po powrocie do kraju[129].

Interesujące są krótkie charakterystyki, jakie pojawiły się w filmie Grzegorza Brauna poświęconym Mackiewiczowi pt. „Reakcjonista"[130]:

Jerzy Giedroyc: „Był niesłychanym kobieciarzem. Jego rozmaite przygody były dosyć głośne".

Stefania Kossowska: „Nie wiem czy to czar słowa, czy inne jakieś zalety, w każdym razie było zdumiewające dla wszystkich, że on te podboje robił".

Zdzisław A. Siemaszko: „Z tego okresu [londyńskiego] pochodzi jego znane powiedzenie: «Jest jeszcze coś gorszego od kuchni angielskiej – to jest kurwa angielska»"[131].

Dopełnieniem tego obrazu niech będą słowa Cata, jakie skreślił zaraz po powrocie do kraju do Pawlikowskiego: „Ściskam Cię serdecznie. Żonie ręce

[122] S. Mackiewicz, *Dom Radziwiłłów…*, s. 77.
[123] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 58.
[124] J. Karbowska, *Z Mackiewiczem na ty…*, s. 25.
[125] Ibidem, s. 35.
[126] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 37.

[127] J. Karbowska, *Z Mackiewiczem na ty…*, s. 112–113.
[128] Kazimierz Okulicz (1890-1981) – dziennikarz i polityk. Przed drugą wojną światową redaktor „Kuriera Wileńskiego". Poseł w latach 1928–1930. W 1954 r. minister sprawiedliwości w rządzie J. Hryniewskiego. Przed wojną przeciwnik S. Mackiewicza, po wojnie – jeden z jego najbliższych przyjaciół. J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 59. Por. List S. Mackiewicz do M. K. Pawlikowskiego z dn. 16 II 1952, [za:] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 312–313.
[129] Ibidem, s. 241.
[130] *Reakcjonista* (film)…
[131] Por. M. K. Pawlikowski, op. cit.

ucałuj. Kotowi wyrazy szacunku. Już mu nie zazdroszczę, bo tutaj do przechędożenia zgłaszają się wszystkie pudła, które kiedyś dawać nie chciały. Chędożę te pudła, ale tylko po jednym razie"[132]. W liście z początku 1964 r. czytamy natomiast: „Widać życie bez chędożenia straciło dla mnie siłę atrakcyjną, a ja już nie mam nadziei, aby skurwysyny lekarze przywrócili mi choć trochę potencji"[133].

Na emigracji Mackiewicz pozostawał pod urokiem Renaty Ostrowskiej, która we wrześniu 1939 r. była pielęgniarką Szpitala Maltańskiego w Warszawie. Z korespondencji do Pawlikowskiego z początku lat 50-tych: „Pawełek Jankowski mówił, że pisałeś do niego, że podobno mam «nową dziewczynkę». Nie można powiedzieć, że to jest dziewczynka, ani nawet, że nowa, aczkolwiek jest tylko o dwa lata starsza od mojej starszej córki i jeśli nie tak ładna jak jej wileńska odnofamilka[134], którą znałeś, to w każdym razie o urodzie bardzo oryginalnej i wyjątkowej klasy. Cóż kiedy to jest tylko morfina i to morfina zażywana z niesłychanie przykrymi awanturami"[135]. Mackiewicz informował przyjaciela, że „jest całkowicie nieprzytomny" z powodu tego uczucia, choć ma ono charakter jednostronny i platoniczny.

Układające się nie po jego myśli relacje z Renatą Ostrowską były jednym z powodów powrotu publicysty do kraju[136]. Próbował przekonywać ją do podobnego kroku, jednak bezskutecznie.

[132] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 11 XI 1956, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego…*

[133] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 28 I 1964, [za:] ibidem.

[134] Chodzi o Janinę Ostrowską, o którą Mackiewicz miał zatarg z Kazimierzem Okuliczem. Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 16 II 1952, [za:] J. Jaruzelski, *Stanisław CatMackiewicz…*, s. 312–313.

[135] List S. Mackiewicz do M. K. Pawlikowskiego z dn. 10 I 1952, [za:] ibidem, s. 310. O jednej z takich awantur zob. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 27 VIII 1953, [za:] ibidem, s. 326. Por. Listy S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 16 II 1952 i 10 VI 1953, [za:] ibidem, s. 313, 324. Por. J. Karbowska, *Z Mackiewiczem na ty…*, s. 254–259.

[136] Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 11 XI 1956, [za:] *Listy Stanisława CataMackiewicza do Michała Pawlikowskiego…*

II

Jeśli spojrzeć na książki Mackiewicza z perspektywy jego uczucia do Renaty Ostrowskiej, można wytłumaczyć sobie kilka pozornie nic nieznaczących wątków. W liście do Ameryki Mackiewicz tłumaczył tytuł swej książki o emigracji pod tytułem „Zielone oczy" tym, że „Renata ma oczy tego koloru"[137]. Z kolei na kartach „Herezji i prawd" znajdujemy słowa historyka literatury Villemaina z XIX wieku, które pozwolę sobie tutaj zacytować:

„Geofroy Rudel był chwalony za pomysłowość swych pieśni i słodycz głosu. Wymyślał on także długie historie, których nie śpiewał, lecz opowiadał w czasie wieczorów na zamkach. Pewnego dnia pokazano mu portret pewnej damy francuskiej z Ziemi Świętej, hrabiny Trypolisu. Spojrzawszy na ten portret, postanowił pojechać na krucjatę. Wypłynął z portu w Marsylii, pisał wiersze czarowne, opisywał podróż. Zachorował w drodze. Do Trypolisu przyjechał umierający. Rozniosło się po tym mieście pół francuskim, pół saraceńskim, iż przypłynął okręt z Zachodu, a na nim rycerz i poeta ściągnięty z dala sławą cnót hrabiny Trypolisu, że jest ciężko chory i chciałby ją ujrzeć przed śmiercią. Hrabina Trypolisu, wzruszona tym przywiązaniem i tym nieszczęściem, wstąpiła na pokład i ofiarowała pierścień rycerzowi, który umarł w nią się wpatrując. Hrabina kazała go pochować w kościele Templariuszy i niedługo później przyjęła welon zakonnicy".

Komentarz Cata: „Proszę! Gdzie teraz znaleźć taką hrabinę lub takiego członka Związku Literatów"[138].

W „Domie Radziwiłłów" jest rozdział mówiący m. in. o ślubie księcia Hieronima Radziwiłła z arcyksiężniczką Renatą Habsburżanką z 1909 r. zatytułowany podobnie jak rozdział niniejszy: „Renata"[139]. Otwieram dalej książkę „Europa in flagranti": „Mój Boże! Przed koronacją obecnej królowej, Elżbiety II, wystawy wielkich sklepów londyńskich były pełne płaszczy z gronostajami dla lordzic i sukien dla kobiet, które miały wziąć udział w dostojnym obrzędzie. Myślałem sobie, jakie to wszystko byłoby ładniejsze, gdyby to był Paryż i gdyby koronował się nie król angielski, lecz francuski. I myślałem sobie także,

[137] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 5 VIII 1958, [za:] J. Jaruzelski, *Stanisław CatMackiewicz…*, s. 300.

[138] S. Mackiewicz, *Herezje i prawdy*, Warszawa 1975, s. 12–13.

[139] Idem, *Dom Radziwiłłów…*, s. 317–330.

o ileż to wszystko byłoby bardziej gustowne, estetyczniejsze, bardziej dostojne i wdzięczne, gdyby w to miały ubierać się panie i panny z naszej arystokracji rodowej. Jakże by to umiały na siebie włożyć nasze Radziwiłłówny, Sapieżanki, Tyszkiewiczówny. Niestety dziewczęta z naszej arystokracji były wówczas kelnerkami w Londynie"[140]. Renata Ostrowska prowadziła w Londynie kawiarnię.

Nareszcie rzecz ostatnia. Zarówno w „Stanisławie Auguście" jak w „Domie Radziwiłłów" znajduje się rozdział noszący tytuł: „Nike, Nike, Nike". Leżą przede mną listy Mackiewicza pisane zaraz po powrocie do kraju do Renaty Ostrowskiej, w których Cat zwraca się do niej: Nike.

III

Mackiewicz starał się przekonać Ostrowską do krótkiego przynajmniej przyjazdu do Polski – choćby w ukryciu przed emigracją. Brał na siebie kwestie związane z podróżą i zakwaterowaniem. O odbudowanej stolicy wyrażał się bardzo pochlebnie: „Warszawa jest całkiem zachwycająca. Odbudowana jest pięknie. Restauracje i lokale są przepięknie urządzone – wszystko, co ma jakiś związek ze sztuką jest wspaniałe"[141].

Atmosfera przedwojennego życia arystokratycznego, polowania, wspaniałe warunki kulturalne – wszystkie te argumenty miały wpłynąć na zmianę perspektywy Ostrowskiej, która z odległości emigracji była według niego całkowicie błędna i mijała się z prawdą[142]. Nie wiem na ile były to sądy zgodne z rzeczywistymi odczuciami Mackiewicza, ale zdaje się, że sporo w tym wszystkim jednak kokieterii obliczonej na sprowokowanie Ostrowskiej do powrotu.

Mackiewicz pisze o swoim położeniu: jest rozchwytywany ze wszystkich stron, wszyscy traktują go z honorami właściwymi niemal członkowi rodziny królewskiej: „Ludzie zatrzymują mnie na ulicy, urządzają owacje. Bóg wie co. Nadziei ich spełnić nie mogę, wyjazd mój oznacza raczej kapitulację przed rzeczywistością, a oni twierdzą, że ze mną im raźniej. Sądzę, że gra tu uczucie

[140] Idem, *Europa in flagranti*, Warszawa 2000, s. 75.

[141] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, List S. Mackiewicza do R. Ostrowskiej z dn. 20 VI 1956.

[142] Ibidem, List S. Mackiewicza do R. Ostrowskiej z dn. 24 VI 1956. Ibidem, List S. Mackiewicza do R. Ostrowskiej z dn. 20 VI 1956.

podświadome, że mój przyjazd jest świadectwem, że epoka terroru należy do przeszłości".

Opływa w dostatki, za chwilę ma kupić samochód i dostać mieszkanie na Starym Mieście. Spotyka się z księciem Januszem Radziwiłłem i bierze udział w polowaniach. Przekonuje Ostrowską, że wartość jej dobytku na emigracji pozwoli jej w kraju na dostatnie życie, a w razie czego i tak nie musiałaby się o nic martwić, bo jego dochody z książek wydawanych w fantastycznych nakładach nie pozwalają martwić się o sprawy materialne[143].

Cat próbuje grać również na sentymencie Ostrowskiej do jej rodzinnego majątku w Korczewie nad Bugiem, obiecując posłać jej stamtąd fotografię. Pisze nawet: „Gdybyś tu przyjechała to po roku odwojowałbym dla Ciebie kawałek Korczewa, który najwięcej kochasz"[144].

Dochodzimy w końcu do spraw najbardziej intymnych, co do których zawsze istnieje wątpliwość, czy należy je badać, czy też zostawić w spokoju. Dla dopełnienia obrazu tu szkicowanego decyduję się niepewnie na pierwsze rozwiązanie, choć niektóre zdania brzmią wręcz brutalnie. W jednym z listów Mackiewicz pisze: „Moja żona wygląda wprost potwornie". W inny miejscu: „Jutro mam rozmowę sam na sam z cudowną prześliczną Alą[173], której powiem, że będę mieszkał sam. Ale ta decyzja nie jest związana z Twoją osobą – po prostu nie mógłbym już mieszkać z żoną – to okropne jak ona teraz wygląda. Twarz została mniej więcej podobna, ale potem rozszerzający się stożek do ziemi". Chwali córki, które są „wzorami charakteru, godności uczciwości, wspaniałości prowadzenia się"[145].

Mackiewicz klnie się, że nie zbliży się do Ostrowskiej, nie będzie próbował jej nawet pocałować bez wyraźnego przyzwolenia, jednocześnie sugerując co jakiś czas ewentualny ślub[146]. „Marzenie moje, ukochanie moje najserdeczniejsze, biedactwo moje schorowane – przyjedź tu na kilka dni" – zaklinał[147].

[143] Ibidem, List S. Mackiewicza do R. Ostrowskiej z dn. 24 VI 1956.

[144] Ibidem, List S. Mackiewicza do R. Ostrowskiej z dn. 30 VII 1956. [173] Aleksandra – jedna z córek Mackiewicza.

[145] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, List S. Mackiewicza do R. Ostrowskiej z dn. 20 VI 1956.

[146] Ibidem, List do R. Ostrowskiej z dn. 24 VI 1956.

[147] Ibidem. Na początku lipca Mackiewicz wysłał do Ostrowskiej telegram następującej

W jednym z listów do Pawlikowskiego z listopada 1956 r. donosił o swoim wypadku samochodowym. Kierowca – w przeciwieństwie do pojazdu – wyszedł z całego zdarzenia tylko trochę potłuczony: „Dumny jestem z tego, że jak [samochód] stawał na dachu i znowu stawał na dachu, to się tego ani trochę, ani troszeczkę nie przestraszyłem i tylko sformułowałem myśl: a więc ta głupia historia z Renatą tak się kończy. (…) Ale historia z Renatą się nie kończy. Jest to wariactwo a nie miłość. Wyjeżdżam znowu do Londynu, aby Ją ubłagać, żeby do mnie przyjechała. Bardzo małe szanse, a jednak jadę”[148].

W następnym liście: „Boję się tego wyjazdu do Londynu bardzo. Co się ze mną stanie jak Ta mi znowu zrobi świństwo. *O Ty posliedniaja liubow' – błażenstwo ty i bieznadieżnost'*[149]. Jak mi się nie uda, to będę bliższy samobójstwa niż kiedykolwiek w życiu”[150].

Nie mam wiadomości, czy Cat spotkał się z Renatą Ostrowską po swoim przyjeździe do Polski. W każdym razie podczas jego wizyt zagranicznych Ostrowska raczej odmawiała spotkania[151]. Wróciła do kraju wraz z siostrą Beatą dopiero w r. 1990. Odkupiły pałac oraz część parku w Korczewie i przystąpiły do odbudowy majątku, a w swej pracy miały ponoć „dokonać cudów”[152].

8. Pod własnym nazwiskiem

I

Mimo opozycji ze strony bezpieki Mackiewicz uparł się, aby bezpośrednio przed wyjazdem do kraju odwiedzić na chwilę Francję. W Paryżu rozmawiał m. in. z Niezbrzyckim i Giedroyciem. Pierwszy ostrzegał, że jego „powrót byłby końcem emigracji”. Giedroyciowi zaproponował posyłanie korespondencji z kraju[153].

Kilka dni po powrocie Cata do kraju Giedroyc pisał do Konstantego Jeleńskiego: „Dziś rano telefon… z Warszawy, przy telefonie Mackiewicz, że jest w trakcie wysyłania artykułu do mnie, zaznacza, że bynajmniej nie na tematy polityczne, wskazówki, gdzie mam przekazać honorarium, złość, że dopiero będę drukował we wrześniu. Namówiłem go, by przysłał mi kilka artykułów – w ten sposób dam serię, coś w rodzaju «Dziennika». Spodobało mu się”[154].

Następny telefon redaktor otrzymał po strzałach w Poznaniu w czerwca 1956 r., o których Cat opowiadał ze szczegółami[155]. Widocznie na telefonach się skończyło, bo pierwszy tekst Mackiewicza w „Kulturze” – nie licząc listów do redakcji i jednego przedruku z prasy krajowej – pojawił się dopiero trzy lata po jego powrocie[156]. Wszystkiego za okres 1956-1963 było raptem kilka artykułów, które można policzyć na palcach jednej ręki.

Nie będę zatrzymywał się dłużej przy wszystkich tych tekstach, ale tylko przy tych, które odbiły się donioślejszym echem.

II

Numer marcowy „Kultury” z 1958 r. przyniósł przedruk artykułu Mackiewicza z prasy krajowej pt. „Głos rozsądku”, który pierwotnie ukazał się w „Słowie Powszechnym” w styczniu tego roku[157]. Zamieszczenie tego tekstu sugeruje, że redakcja przynajmniej w jakimś stopniu podpisywała się pod argumentami autora.

Cat zajmuje się w nim tematem Biblioteki Polskiej w Paryżu, której sytuacja była – najogólniej rzecz ujmując – niepewna. Dowodzi, że placówka dla sprawnego funkcjonowania czy funkcjonowania w ogóle potrzebuje dużych

treści: „Nike nie bądź taka zła i bezlitosna”. AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Telegram S. Mackiewicza do R. Ostrowskiej z dn. 4 VII 1956.

[148] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 11 XI 1956, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego*…

[149] (Ros.) „Ach, ostatnia miłość – jesteś błogosławieństwem i beznadziejnością”.

[150] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 28 XI 1956, [za:] *Listy Stanisława CataMackiewicza*…

[151] Por. AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Przesłuchanie Z. Staniszewskiej z dn. 22 VI 1965.

[152] Por. B. Wachowicz, *Korczew na Podlasiu – marzenie Norwida*, „Nasz Dziennik” z dn. 15 XI 2012.

[153] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Parafraza szyfrówki z Londynu z dn. 7 VI 1956. Por. ibidem, Parafraza szyfrówki z Londynu z dn. 15 V 1956. Por. K. Tarka, *Mackiewicz i inni*…, s. 61.

[154] List J. Giedroycia do K. A. Jeleńskiego z dn. 18 VI 1956, [za:] J. Giedroyc, K. A. Jeleński, op. cit.

[155] B. Toruńczyk, op. cit., s. 131.

[156] Zob. rozdział pt. „Wczorajsi przyjaciele”.

[157] S. Mackiewicz, *Głos rozsądku*, „K”, nr 3/125 (1958).

pieniędzy, których emigracja nie jest w stanie wyłożyć. Na tej podstawie przedstawia „plan Cata", który mówi, aby przynajmniej na tym polu znaleźć pole dla współdziałania kraju i emigracji, nie robić z tego sprawy politycznej czy prestiżowej. Pisze: „Moje zdanie, człowieka z ulicy, w tej sprawie jest, aby nadal tej sprawy nie prowadzić przez sądy francuskie, ani wiece, ani demonstracje polityczne. Uważam, że byłoby najlepiej, aby Biblioteka znalazła się w zasięgu Akademii Nauk, ale by jej była pozostawiona jakaś daleko idąca autonomia, aby stworzono jakąś fundację dla zapewnienia jej niewzruszalnych podstaw prawnych". Zastrzega przy tym, że sprawę powinni wziąć w ręce tylko naukowcy i nikt inny – co w ówczesnych warunkach zakrawało mimo wszystko na daleko idącą naiwność.

Pod koniec tego roku Mieroszewski poświęcił Mackiewiczowi krótki fragment swojej „Kroniki angielskiej"[158]. Autor zarzuca w nim publicyście powiązania z „Paxem", który nazywa „agenturalną instytucją". Londyńczyk uderza tym boleśniej, bo zrównuje Cata z „bergowcami", co musiało podziałać jak czerwona płachta na byka.

Mackiewicz bronił się w dłuższym liście do redakcji[159]. Uważał rewelacje Mieroszewskiego za nieprawdziwe, ale pisał: „Dlaczego pisuję w PAX'ie o tym musiałbym napisać dłuższy artykuł, na którego pisaniu i drukowaniu mi nie zależy. W ogóle muszę przyznać, że nie zależy mi na opinii rodaków o mojej osobie". Podkreślał, że nigdy się nie „sprzedał" i nigdy nie czyniono mu podobnych zarzutów.

Do polemiki włączył się po stronie Londyńczyka Z. Michałowski, który w liście do redakcji skrytykował „Pax" i Cata-Mackiewicza[160]. Autor odsłaniał polityczną rolę organizacji, dążącej „do podważania wszystkiego co stanowić może przeszkodę dla partii, dla komunizmu w kompletnym zawładnięciu Polską i narodem polskim".

W 1960 r. Wiesław Wohnout opublikował na łamach paryskiego miesięcznika artykuł na marginesie książki Cata pt. „Zielone oczy", nazywając ją „naturalistycznym obrazem naszej emigracji" i wyrażając się o niej w sposób

[158] Londyńczyk [J. Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K", nr 9/131 (1958).
[159] S. Mackiewicz, List do Redakcji, „K", nr 10/132 (1959).
[160] Z. Michałowski, List do Redakcji, „K", nr 11/133 (1959).

kurtuazyjny i raczej przychylny[161]. Uprzejmości kończą się jednak w miejscu, kiedy autor zaczyna pisać o „sprawie Bergu". Wohnout sprzeciwia się poglądowi jakoby Mackiewicz miał być tym, który „wytoczył sprawę Bergu przed sąd polskiej opinii publicznej", ponieważ według niego została ona „rozegrana politycznie" zanim Cat w ogóle się o niej dowiedział. Zasługi na tym polu autor przyznaje Kazimierzowi Tychocie[162], Polskiej Agencji Telegraficznej i ministrowi sprawiedliwości Kazimierzowi Okuliczowi, który przygotował akt oskarżenia przeciwko „bergowcom". Natomiast „Mackiewicz przyszedł już do gotowego. Dwie, czy trzy jego broszury o Bergu, nie były «początkiem» akcji przeciwko bergowcom, ale jej publicystycznym «epilogiem»". Zresztą Wohnout przyznaje, że broszur tych nie czytał, nazywając je pobłażliwie „thrillerami", których jedyną korzyścią była ta wyciągnięta przez samego autora – umożliwiła mu bowiem „wielki manewr" polityczny.

Odpowiedź Mackiewicza przyszła natychmiast w postaci listu do redakcji[163]. Po wymianie kurtuazji Cat przeszedł z miejsca do refutacji zarzutów Wohnouta dowodząc, że dopiero on jako premier skierował opracowany przez ministra Okulicza akt oskarżenia do Sądu Obywatelskiego, a przez to nagłośnił całą sprawę. Powoływał się przy tym na wydaną bezpośrednio przed wyjazdem (*notabene* z pomocą bezpieki, która miała w tym swój interes) broszurę „Od małego Bergu do wielkiego Bergu"[164].

III

W 1961 r. na łamach „Kultury" pojawił się drugi dopiero artykuł Cata pt. „Prof. Wł. L. Jaworski, St. Car i… de Gaulle"[165]. Autor pochyla się w nim

[161] W. Wohnout, *Mackiewicz sine ira*, „K", nr 1/147-2/148 (1960).
[162] Kazimierz Tychota (1907-2001) – przed wojną działacz narodowy we Lwowie. Kierownik placówki SN w Budapeszcie podczas wojny. Zaangażowany w „Berg" – był szefem bazy Północ. Po odwołaniu go z tej funkcji ujawnił szczegóły współpracy stronnictw emigracyjnych polskich z wywiadem USA.
[163] S. Mackiewicz, List do Redakcji, „K", nr 3/149 (1960).
[164] Zob. Idem, *Od małego Bergu do wielkiego Bergu*... Por. K. Tarka, *Mackiewicz i inni…*, s. 59–60.
[165] S. Mackiewicz, *Prof. Wł. L. Jaworski, St. Car i… de Gaulle*, „K" nr 9/167 (1961). Por. AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 27 IX 1961. Pierwszy jego tekst w „Kulturze" pt. „Mise au point" omawiam w następnym rozdziale.

nad podobieństwami polskiej konstytucji kwietniowej i francuskiej konstytucji z 1958 r., które „tworzą zupełnie nowy typ ustroju, gdzie naczelnik państwa traci swą rolę symbolu a staje się arbitrem pomiędzy chwilową koalicją stronnictw mających większość w parlamencie, a tendencjami, które może żywić rząd". Mackiewicz szkicuje jednocześnie program mocarstwowy dla Francji, która powinna stworzyć federację z krajami Afryki Północnej: Marokiem, Algierią i Tunezją.

Najgłośniejszym artykułem Mackiewicza w „Kulturze" z tego okresu, obok tekstu „Mise au point", który omawiam osobno, były „Poprawki" z 1963 r. pisane na marginesie wspomnień byłego polskiego ambasadora w Paryżu Kajetana Morawskiego[166]. Mackiewicz odnosi się do konkretnych fragmentów tych wspomnień, a nawet do konkretnych zdań, więc omawianie tego tekstu byłoby zadaniem chybionym. Napiszę tylko, że tekst utrzymany jest w formie charakterystycznej dla Cata zjadliwej polemiki, w której nie brakuje sztychów osobistych i bolesnej ironii.

Michał Pawlikowski w listach do przyjaciela chwalił ten artykuł, z czego Mackiewicz był bardzo zadowolony[167]. Ale zdaje się, że jego głos odosobniony. Konstanty A. Jeleński w liście do redakcji „Kultury" wyraził zdziwienie z powodu ukazania się tego tekstu. Uważał za niedopuszczalne insynuacje Cata pod adresem Morawskiego, jakoby miał się on dopuścić malwersacji publicznych pieniędzy[168]. Równie ciekawy był głos Dominika Morawskiego, który zrobił krótkie i krytyczne *tournée* po działalności Mackiewicza w czasie wojny, kończąc jego „osobliwą trasę polityczną" w kraju. Podsumowywał: „Istnieją – z grubsza biorąc – dwie tradycje w dziejach polskiej myśli politycznej. Pierwsza – opacznie nieraz zwana romantyczną, często warcholska i wielkopańska, antydemokratyczna i antyintelektualna. Do jej epigonów należy Cat. Druga – trzeźwa, humanistyczna i przesiąknięta duchem tolerancji. Tej linii tradycji konsekwentnie służył ambasador Morawski"[169].

[166] S. Mackiewicz, *Poprawki*, „K", nr 3/185 (1963).

[167] Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 27 IV 1963, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego…*

[168] K. A. Jeleński, List do Redakcji, „K", nr 5/187 (1963).

[169] D. Morawski, List do Redakcji, ibidem.

W połowie 1963 r. Mackiewicz opublikował jeszcze artykuł będący komentarzem do wiersza Jana Lechonia pt. „Piłsudski", nazywając go „najpiękniejszym utworem tego genialnego pisarza"[170]. Cat popisuje się tutaj szeroką wiedzą na tematy literackie i historyczne, uzupełniając swój wywód własnymi wspomnieniami.

9. Wczorajsi przyjaciele

I

W powszechnej świadomości pokutuje pogląd, że wyjazd Mackiewicza do Warszawy był powodem zerwania relacji z bratem Józefem, co nie jest prawdą. Zerwanie stosunków nastąpiło już w 1948 r., kiedy Stanisław nie chciał pomóc bratu w dochodzeniu jego praw do autorstwa publikacji „Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów". Książka opatrzona była przedmową gen. Andersa, natomiast nie odnotowano faktu, że została ona opracowana przez Józefa Mackiewicza[171].

W jednym z listów młodszy z Mackiewiczów pisał do siostry: „W tym czasie Staś kręcił się właśnie tam «na górze». Pierwszy raz zwróciłem się doń z konkretną prośbą, aby zechciał mnie poprzeć w całej sprawie. Otóż nie tylko nie poparł, ale kręcąc się jak zawsze u tronu wodza, «sprzedał» mnie (…)"[172].

Powrót Cata do Polski rzeczywiście nie przysporzył mu zwolenników na emigracji i doprowadził w konsekwencji do zerwania niektórych dawnych i zażyłych znajomości, m. in. z księdzem Walerianem Meysztowiczem i Marianem Hemarem.

II

Znajomość ks. Waleriana Meysztowicza i Stanisława Mackiewicza sięgała wojny polsko-bolszewickiej. Służyli wówczas razem w 13. Pułku Ułanów majora Władysława Dąbrowskiego. Po wojnie ksiądz Meysztowicz był jedną

[170] S. Mackiewicz, *Egzegeza „Piłsudskiego" Lechonia*, „K", nr 7/189-8/190.

[171] Zob. K. Masłoń, *Niepowtarzalna familia*, „Plus Minus" z dn. 24–26 XII 2011.

[172] List J. Mackiewicza do S. Orłosiowej z dn. 6 I 1958, [za:] K. Orłoś, *Józef Mackiewicz w świetle listów rodzinnych*, [w:] „Zmagania z historią. Życie i twórczość Józefa Mackiewicza i Barbary Toporskiej", red. N. Kozłowska, M. Ptasińska, Warszawa 2011, s. 46–48.

z osób, którzy polecili Mackiewicza na stanowisko powstającego na gruzach „Gazety Krajowej" wileńskiego „Słowa"[173].

Mackiewicz zajął się politykowaniem – najpierw biernym, na łamach pisma, potem jako poseł w Sejmie. Ksiądz Meysztowicz w 1924 r. przyjął święcenia kapłańskie, w latach 1926–1929 był sekretarzem arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego, z którym Cat żywo polemizował. Następnie pracował w ambasadzie polskiej w Watykanie, później na Uniwersytecie Stefana Batorego jako profesor prawa kanonicznego.

Emigrację spędził w Watykanie[174].

W 1956 r. Mackiewicz wrócił do kraju, zaś ks. Meysztowicz pozostał na emigracji jako zdecydowany przeciwnik systemu jałtańsko-poczdamskiego. W swoich „Gawędach o czasach i ludziach przedwojennych" ks. Meysztowicz ocenia przedwojenną działalność polityczną Cata w słowach: „Rozumiał co się dzieje"[175].

Jakże inne było zdanie Mackiewicza o swym przyjacielu!

W styczniu 1959 r. Cat przebywał na Riwierze Francuskiej celem podreperowania zdrowia. Wysłał wówczas wiadomość do ks. Meysztowicza z propozycją spotkania, na którą dostał krótką odpowiedź: „Nie, Meysztowicz"[176]. Ks. Meysztowicz tłumaczył później treść tej depeszy następująco: „Przypuszczałem, że będzie mu chodziło o dostępy do Watykanu, o wiadomości w sprawach między Watykanem a rządem polskim na wygnaniu"[177].

W kwietniu tego roku oburzony Mackiewicz opublikował brzydki artykuł pod tytułem „Mise au point", co w wolnym tłumaczeniu oznacza: wyrównanie rachunków[178]. Początek niczym uderzenie obuchem: „Przyjeżdżam z frontu [wojny polsko-bolszewickiej] do ojca Walutka, p. Aleksandra Meysztowicza,

[173] W. Meysztowicz, *Gawędy o czasach i ludziach*, Londyn 1983, s. 229.

[174] M. Paszkiewicz, *Walerian Meysztowicz (1893–1982)*, „Teki Historyczne", nr 18 (1985).

[175] W. Meysztowicz, op. cit., s. 228. O książce Mackiewicza na temat społeczeństwa sowieckiego pt. „Myśl w obcęgach" (1931) ks. Meysztowicz napisał: „Wykazywała ona pełne zrozumienie sprawy".

[176] S. Mackiewicz, *Mise au piont*, „K", nr 4/138 (1959).

[177] W. Meysztowicz, op. cit., s. 226–228.

[178] Przed wejściem w polemikę z ks. Meysztowiczem Mackiewicz zachwyca się jeszcze „Synem Zadżumionych" Tadeusza Nowakowskiego.

nawiasem mówiąc przewyższającego swego syna inteligencją w sposób zupełnie fenomenalny. Aż mi dziwne dlaczego człowiek o tak wybitnym mózgu prawdziwego męża stanu, człowiek należący do pierwszego półtuzina wielkich inteligencji w Polsce w czasach, w których żyłem, mógł spłodzić takie miłe kurczątko inteligencji, jakim był zawsze Walutek, co z serdeczności i przywiązania do niego zawsze ukrywałem starannie, a co teraz będzie ujawnione dokładnie".

Mackiewicz potraktował odpowiedź ks. Meysztowicza jako dezaprobatę swoich politycznych wyborów, przede wszystkim niekonsekwencji w formie powrotu do kraju. Wybrał najsłabszy jego zdaniem punkt w życiorysie swego dawnego przyjaciela – konsekwencję właśnie i postawił go pod publicznym pręgierzem. Oskarżał dawnego przyjaciela, że:

– zupełnie nie rozumiał wizji politycznego konserwatystów wileńskich (w tym swego ojca), ze zdziwieniem wypowiadając się jeszcze dwa lata po zamachu majowym o ewentualnym sojuszu z sanacją, kiedy sojusz ten był już konsumowany;
– opowiadał się za endecją, której program znajdował się w ostrej sprzeczności z programem konserwatywnego ziemiaństwa kresowego;
– związał się z grupą komunizujących studentów, próbujących łączyć komunizm z chrześcijaństwem, na czele z Henrykiem Dembińskim[179];
– w czasie swego pobytu w Rzymie był wielkim admiratorem Józefa Becka.

Przedstawienie niekonsekwencji politycznej drogi ks. Waleriana Meysztowicza opatrzone jest sądami podobnymi do tych, które cytowałem na początku, m. in. jakoby ks. Meysztowicz przebywając w Rzymie miał stracić cały swój czar, sympatię i serdeczność, a nawet pojedynkować się.

Artykuł Mackiewicza został bardzo źle przyjęty wśród czytelników „Kultury". Publicysta Jakub Hoffman stwierdził, że nie zdarzyło mu się przeczytać na łamach paryskiego miesięcznika równie obrzydliwego tekstu, choć czytelnikiem pisma był od samego początku ukazywania się pisma. Hoffman znał ks.

[179] Henryk Dembiński (1908–1941) – publicysta i działacz społeczny. W latach 1931–1932 publikował w dodatku do „Słowa" wileńskiego pt. „Żagary". Następnie członek KPP i PPS, więziony i sądzony za działalność komunistyczną. Po wkroczeniu Sowietów zaangażował się w działalność w oświacie. Zamordowany przez Niemców.

Meysztowicza tylko korespondencyjnie, ale stanął w jego obronie, podpierając swoją wysoką o nim opinię listą najważniejszych jego prac naukowych[180].

Z kolei Witold Gombrowicz w liście do Giedroycia pisał, że nieporozumieniem jest pranie prywatnych brudów na łamach prasy, określając tekst Cata mianem: „poniżej poziomu"[181]. Redaktor bronił się jednak: „(…) może masz rację, ale w sporach Mackiewicz-Meysztowicz odruchowo jestem po stronie Mackiewicza, a przy tym to było tak doskonale napisane"[182].

Cat ostatecznie się zreflektował, wysyłając do redakcji list, który cytuję tutaj *in extenso*: „Chciałbym zaznaczyć, że swój artykuł: «Mise au point» ogłoszony w kwietniowym numerze «Kultury» rb. atakujący księdza Meysztowicza uważam dziś za niesmaczny. Powodem jego napisania było jednak niewątpliwie obrażenie mnie przez Ks. Meysztowicza, który należy do ludzi, z których stanowiska muszę wyciągać konsekwencje. Gdyby Ksiądz Meysztowicz na moją listowną propozycję spotkania się zadepeszował: «nie mogę, Meysztowicz», ani przez chwilę nie miałbym mu tego za złe. Ale forma, której użył, mianowicie: «Nie, Meysztowicz» była obraźliwa, a własny jego ojciec uczył mnie, że należy «podejmować obrazy» skoro pochodzą od ludzi honorowych i poważnych"[183].

W „Gawędach o czasach i ludziach" ks. Meysztowicz zaczyna rozdział „Stanisław Mackiewicz" słowami: „Trudno mi o nim pisać. Przyjaźń z lat młodych nie wytrzymała próby wieku"[184]. Po powrocie Cata do kraju nie widzieli się więcej, a od pamiętnego artykułu jakiekolwiek relacje między nimi zostały przecięte – w bardzo złym wydaniu[185].

[180] J. Hoffman, List do Redakcji, „K", nr 6/140 (1959).

[181] Listy W. Gombrowicza do J. Giedroycia z dn. 3 i 18 VII 1959, [za:] J. Giedroyc, W. Gombrowicz, *Listy 1950-1969*, red. A. S. Kowalczyk, Warszawa 2006.

[182] List J. Giedroycia do W. Gombrowicza z dn. 7 VII 1959, [za:] ibidem.

[183] S. Mackiewicz, List do Redakcji, „K", nr 9/143 (1959). Artykuł opatrzony jest asekuracyjnym dopiskiem redakcji: „Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji". Dział nosi nazwę: „Wolna Trybuna".

[184] W. Meysztowicz, op. cit., s. 226.

[185] Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 13 III 1964, [w:] J. Jaruzelski, *Listy przedostatnie…* Mackiewicz pisał do przyjaciela: „Walutek mnie nienawidzi, Eddy [J. Karbowska] ode mnie uciekła i teraz się nie odzywa, o Józiu [Józef Mackiewicz] sam wiesz…"

III

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Marian Hemar był u szczytu sławy. Z jego żartów śmiała się, a piosenki znała i śpiewała cała Polska. We wrześniu 1939 r. udał się na emigrację, aby przez Rumunię, Turcję i Palestynę w 1942 r. przybyć do Londynu, gdzie przyszło mu żyć i tworzyć przez następne trzydzieści lat[186].

Twórczość emigracyjna Hemara, nie mniej intensywna niż przed wojną, miała dwie twarze: z jednej strony satyryczną, uśmiechniętą, z drugiej – wykrzywioną grymasem bólu i tęsknoty. Dość napisać, że Hemar na emigracji jako artysta odniósł sukces. Cat pisał na marginesie jednej z jego rewii w 1950 r.: „Jak dotąd każda premierowa bitwa Hemara była zwycięstwem. Każda wiodła na szczyt londyńskich możliwości artystycznych"[187].

Po powrocie Mackiewicza do kraju, kiedy cała niemal emigracja ostro krytykowała krok i osobę publicysty, Hemar opublikował artykuł pod tytułem „Harakiri", jedną z nielicznych prób spokojnego i konstruktywnego ujęcia problemu. Choć nie podzielał jego wyboru, to pisał jednocześnie: „Mechanizm harakiri jest honorowy, ma na celu ściągnięcie uwagi na rozmiar krzywdy, zniewagi, czy zawodu. Jeśli odruchy demonstracyjno-propagandowe, za którymi nie stoi żadna siła ani forma, mają na świecie jakiekolwiek znaczenie, to harakiri Cata Mackiewicza było najlepszym propagandowym osiągnięciem ostatnich lat emigracji"[188].

Z czasem poeta przestał być jednak tak wyrozumiały. Weźmy choćby satyrę „Dublet":

Góra z górą, wiadomo,
Na ogół się nie zejdzie,
Jak napisał Wergiliusz,
Zdaje się, że w Eneidzie,

[186] Na temat życia i twórczości Hemara zob. A. Mieszkowska, *Marian Hemar. Od Lwowa do Londynu*, Londyn 2001.

[187] S. Mackiewicz, *Szósty wieczór Hemara*, „Lwów i Wilno" z dn. 22 I 1950. Zob. również: A. Mieszkowska, op. cit., s. 115.

[188] M. Hemar, *Harakiri*, „Wiadomości", nr 38 (1956).

Ale człowiek z człowiekiem,
Przeciwnie, rady nima,
Jeden z drugim się zejdzie,
Nic jego nie powstrzyma,

Nima takiej przeszkody,
Nima takiego środka,
Jeden z drugim się spiknie,
Jeden z drugim się spotka,

I już z bliska: Daj pyska!
I już pada w objęcia!
I cmok cmok cmok – w charakterze
Towarzyskiego zwierzęcia

I z dubeltówki ślini
I ręce śliskie potrzącha –
Tak samo, jak na przykład,
Pies z psem – zawsze się zwącha.

Kundel z kundlem, od razu,
Bez najmniejszych wysiłków,
Zwąchają się zimnymi
Nosami u ciepłych tyłków.

Do kogo to jest pite?
Kogo to się dotycza?
Jasne, że Piaseckiego
I Cata Mackiewicza.

Dawno przepowiadałem –
Pamiętacie to sami?

Że oni się zwąchają,
Że zimnymi nosami

Stukną się wzajem w tyłki
Bez pudła, bez pomyłki,
Dwa przyjazne mołojce
Na sowieckie posyłki.

Z merdającym ogonkiem,
Z uśmiechniętym obliczem –
Cat Mackiewicz z Piaseckim,
Piasecki z Mackiewiczem.

Jeden bardziej bigocik,
Drugi bardziej szlachetka,
Jeden herbu widelec,
Drugi herbu żyletka,

Obaj pilnie klęczący
U święconych obrazów,
Dwaj bracia, nie zakonni,
Lecz bracia Karamazów.

Dwaj intelektualiści,
Dwie świetlane postacie,
Dwaj duchowi przywódcy
Narodu – w rezultacie,

Jeden lokaj sowiecki,
Drugi lokaj sowiecki,
STALINISŁAW Mackiewicz
I BOLSZEWISŁAW Piasecki.

Jeden lepszy katolik
Od samego papieża,
Drugi bardziej nieświeży,
Niż Radziwiłł z Nieświeża,

Jeden były wileński
Ozonowy wycieruch,
Drugi były warszawski
Pałkarz i oeneruch.

Obaj adoratorzy
Nieboszczyka Hitlera.
Podziwiać, jaka przyszłość!
Patrzcie, co za kariera!

Ten Piasecki za młodu
Zaczynał jako Dmowszczak,
A na starość, ciekawe,
Z Dmowszczaka Rokossowszczak.

Jako rzymski natolik,
Względnie krymski katolik,
Tak się modlił, aż dostał
Państwowy monopolik,

Rządowy święty sklepik,
Na własność jako prezencik –
Od każdego świętego
Obrazka ma procencik.

Od każdego różańca
Procencik, od serduszka,

Od świeczki, szkaplerzyka,
Krzyżyka i łańcuszka,

W Radomiu, w Mogilanach,
W Kielcach, w Lesznie, w Lidzie,
Panu Bogu dziękować,
Interes jakoś idzie.

A Mackiewicz – inaczej.
Mackiewicz belwederczyk,
Piłsudczyk bałamutczyk,
Gorliwy bebewuerczyk,

I uczeń Studnickiego
I Sikorskiego krytyk
I premier emigracyjny
I moskalofilityk.

Tak Anglii znienawidził,
Że pokochał Sowiety –
Jednym słowem, z Piaseckim
Spotkali się u mety.

Jednym słowem, że dzisiaj,
Totalniak przy totalniaku
I cwaniak przy cwaniaku
Dobrali się w korcu maku.

Na służbie Bułganina,
Chruszczowa i Mikojana,
Dobrali się w żłobie owsa,
Dobrali się w stogu siana,

Dobrali się w brogu żyta,
Dobrali się w worku złota –
Jeden z drugim, katolik,
Szlachcic i patriota.

Taki dublet to przecie
Dla satyryka gratka –
Dwie takie siedzące kaczki…
Okazja to bardzo rzadka.

Dwa koniki u mety –
Akumulator radziecki:
Stalinisław Mackiewicz
I Bolszewisław Piasecki…[189]

4 października 1962 r. Mackiewicz złożył w Sądzie Powiatowym w Warszawie oskarżenie przeciwko Marianowi Hemarowi o zniesławienie na podstawie art. 255 i art. 256 kodeksu karnego[190].

W dniu 25 sierpnia 1962 r. Hemar miał wygłosić następujący wiersz na antenie Radia Wolna Europa:

Od teraz publicznie wydaje Lwów i Wilno,
Wydaje dwie polskie Troje i krzyżyk kładzie na nie.
Wydaje się tak, jakby jakimś podstępem szatańskim
Hektor we własnej Troi sam był koniem trojańskim.

Ze zgrozą patrzą Trojanie, w oczy im świeci łuna,
Wróg w mieście z tego brzucha, hektorowego kołduna,
Tak jak kiedyś na Grecję szła barbarzyńska haszcza,
A w Termopilach Efialtes wydał Leonidasa,

[189] M. Hemar, *Termos. Wybór wierszy*, Warszawa 1996, s. 166-170.

[190] Obowiązywał wówczas przedwojenny „Kodeks Makarewicza" z 1932 r. z poprawkami, który został zastąpiony „Kodeksem Andrejewa" w 1969 r.

A świat po tych wiekach nie zapomniał szubrawca.
W sam raz jak kiedyś Judasz także taki wydawca,
Któremu zapłacili srebrem trzydzieści złociszów,
Przeliczył, schował, rzetelnie zarobił od towarzyszów.

Po piętnaście od miasta. Wy sobie wyobraźcie,
Za Lwów piętnaście złotych i za Wilno piętnaście.
I poszedł na dwie kolacje. Zjadł z apetytem obie
I wychodził. Palto wkładając w garderobie

Zobaczył swoją twarz niepodległościowca,
Szlachcica, piłsudczyka, Wilniuka, narodowca.
Przybliżył twarz do lustra i szybko po kryjomu
Sam sobie splunął w oczy. I poszedł spać do domu[191].

W audycji z września tego roku Hemar wzywał Mackiewicza, aby ten wytoczył mu proces w Warszawie, na który on się stawi, co też Mackiewicz pismem niniejszym uczynił[192].

Rozprawa została wyznaczona na dzień 30 października 1963 r., ale do niej nie doszło. Cat komunikował o tym Pawlikowskiemu[193]. Władza uznała, że zostałaby ona wykorzystana propagandowo przez emigrację i stanowiłaby reklamę dla Radia Wolna Europa[194]. Kilka dni wcześniej cenzura odrzuciła artykuł Mackiewicza, odnoszący się do konfliktu z Hemarem. Publicysta podejrzewał na tej podstawie, że jeden z cenzorów mógł mieć jakieś powiązania z poetą[224].

[191] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Pismo do M. Hemara z zawiadomieniem o terminie rozprawy z dn. 30 I 1963.

[192] Ibidem. 5 września 1963 r. Hemar w programie „Wieczór z Hemarem" w Ognisku Polskim miał ośmieszać Cata i przedstawić swoją wersję toczonego z nim sporu pt. „Moja wojna z CatemMackiewiczem". Por. AIPN, IPN BU 01251/533, Nasłuch z dn. 5 IX 1963.

[193] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 2 XI 1963, [za:] *Listy Stanisława CataMackiewicza do Michała Pawlikowskiego…* Redakcja zamieściła błędny przypis, że powodem zatargu między Mackiewiczem i Hemarem był prawdopodobnie artykuł poety pt. „Harakiri", o którym pisałem powyżej. Na dodatek podano błędny przypis do artykułu w „Wiadomościach".

[194] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka „Rafała" z dn. 5 IX 1963. [224] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533.

W każdym razie w konsekwencji powrotu Cata do kraju umarła następna przedwojenna znajomość.

10. Grzechy lekkie, grzechy ciężkie

I

Zarzuty o kontakty z bezpieką kierowane pod adresem Mackiewicza sprowadzają się zazwyczaj do okresu londyńskiego, kiedy publicysta prowadził rozmowy dotyczące powrotu do kraju. Dokumenty dostępne w Instytucie Pamięci Narodowej pozwoliły bardzo dokładnie naświetlić ich okoliczności[195]. Uważam jednak, że kontakty te były tym, co możemy określić grzechami lekkimi Mackiewicza. W tych samych teczkach w IPN znajduje się bowiem *corpus delicti*, świadectwo grzechów dużo cięższych.

Po powrocie do kraju Mackiewicz co jakiś czas spotykał się z funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa, przede wszystkim z podpułkownikiem (a następnie pułkownikiem) Wendrowskim, dzieląc się swoimi uwagami na temat polityki wewnętrznej i międzynarodowej, a przede wszystkim składając relacje z zadań, jakie otrzymywał przed wyjazdami zagranicę. Spotkania te trwały do 1963 r.

Do jednego z nich, po dłuższej przerwie, doszło na początku czerwca 1958 r. Cat mówił między innymi o nieprzyjemnościach, jakie spotykały go ze strony cenzury, która miała blokować jego antyzachodnie teksty oraz o sprawach międzynarodowych. Podkreślał znaczenie egzekucji Imre Nagy'a i jego grupy dla całego bloku komunistycznego i Polski. Dla Jugosławii – twierdził Mackiewicz – będzie to sygnał do całkowitego zerwania ze Związkiem Sowieckim. Dla Gomułki zaś taki, że realizacja „polskiej drogi" na dłuższą metę jest niemożliwa[196].

Rzeczywiście, pod koniec czerwca Gomułka przemawia w Stoczni Gdańskiej i staje po stronie polityki sowieckiej, popiera wyrok na węgierskich polityków[197].

[195] Zob. K. Tarka, *Mackiewicz i inni…*, s. 9–66.

[196] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Raport ze spotkania z Catem-Mackiewiczem w Warszawie w dn. 20 VI 1958. Ostatni kontakt Mackiewicza z SB przed tym spotkaniem odnotowałem pod koniec sierpnia 1957 r.

[197] W. Roszkowski, op. cit., s. 119.

II

We wrześniu 1960 r. Mackiewicz przebywał zagranicą z zadaniem zdobycia informacji na temat „Kultury" paryskiej, dotyczących przede wszystkim źródeł jej finansowania[198]. Rozmawiał z Giedroyciem, Karolem Zbyszewskim, Józefem Czapskim, Zofią Hertz, Miłoszem i Jeleńskim. Zaraz po powrocie złożył obszerną relację ze swej misji[199].

Giedroyc stwierdził w rozmowie z Catem, że utrzymuje „Kulturę" wyłącznie z przychodów ze sprzedaży pisma. Miało mu to wystarczać na jego własne skromne potrzeby, a także na prowadzenie wydawnictwa i otwartego domu w Maisons-Laffitte. Trzymał się tego nawet wtedy, kiedy Mackiewicz zauważył – kierowany swym doświadczeniem redaktorskim – że jest to wręcz niemożliwe. Ponadto dopytywał się o możliwości porozumienia z polskim rządem w sprawie debitu „Kultury" na kraj. Cat nie mógł dać konkretnej odpowiedzi w tej sprawie, zobowiązał się jednak poruszyć ten temat w rozmowach z władzami.

Głównym źródłem informacji Mackiewicza był Karol Zbyszewski, który udzielał bardzo obszernych i szczegółowych wiadomości. Według niego „Kultura" miała być w całości finansowana przez Amerykanów z dwóch źródeł. Przede wszystkim przez niejakiego Browna, Amerykanina z Brukseli, który nieoficjalnie zajmował się finansowaniem instytucji propagandowych w Europie. Brown miał być odpowiedzialny za „infiltrację komunizmu kanałem trockistowskim". Według Zbyszewskiego Giedroyc otrzymywał pieniądze bezpośrednio od Browna i strzegł tej tajemnicy jak oka w głowie.

Drugim źródłem, które miało być powszechnie znane, był Kongres Wolności Kultury, udzielający „doraźnych dotacji na wydawnictwa książkowe".

Zbyszewski mówił również o sprawach personalnych. Twierdził, że duszą „Kultury" jest duet Giedroyc-Zofia Hertz, szczególnie podkreślając rolę tej drugiej w związku z jej rozległymi kontaktami. Wspominał także o spra-

[198] Sam Mackiewicz interesował się źródłami finansowania „Kultury" już na emigracji. Por. Londyńczyk [J. Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K", nr 9/131 (1958).

[199] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa z rozmów ze S. Mackiewiczem przeprowadzonych 23 IX 1960 po jego powrocie z Paryża z dn. 4 X 1960. O wizycie w Paryżu i Londynie w kwietniu 1961 r. wiem z przesłuchania Zofii Staniszewskiej, sekretarki Cata, z czerwca 1965 r. Rozmowy z Giedroyciem miały charakter towarzyski. Por. Ibidem, Przesłuchanie Z. Staniszewskiej z dn. 22 VI 1965.

wach intymnych i kompromitujących. W notatce z rozmowy z Mackiewiczem czytamy: „Przy okazji, Zbyszewski sygnalizuje fakt rozejścia się Czapskiego z Giedroyciem. Czapski jest szalenie rozgoryczony na Giedroycia. Powód nieporozumień bardzo pikantny: pederasta Czapski przestał być partnerką dla Giedroycia z powodu wieku".

Cat dzielił się z funkcjonariuszem bezpieki również własnymi uwagami i wrażeniami. Zgadzał się z tezą przyjaciela, że „Kultura" jest pismem trockistowskim, choć stara się to maskować. Wniosek taki wysnuł przede wszystkim na podstawie rozmów z Miłoszem, który „operuje całkowicie trockistowskimi argumentami, zwrotami i teoriami". Zauważył przy tym, że Miłosz jest obok Giedroycia i Mieroszewskiego jednym z filarów pisma. Zasygnalizował, że zespół redakcyjny „Kultury" nieustannie podkreśla swoje oryginalne i pozytywne stanowisko wobec kraju, wymykające się ze stereotypu emigracji jako środowiska nieprzejednanego.

Giedroyc nie mógł być do końca pewien Mackiewicza, dlatego nic konkretnego nie chciał mu powiedzieć. Wszystkie właściwie informacje pochodziły od Karola Zbyszewskiego lub opierały się na własnych obserwacjach. Swoją drogą dziwię się Zbyszewskiemu, że w rozmowie z Catem poruszał beztrosko wszystkie kwestie na temat „Kultury", ale nie potrafię odpowiedzieć, czy był to zwykły brak przezorności, czy może grały tutaj rolę inne jeszcze czynniki.

W czasie tej samej wizyty na Zachodzie Mackiewicz miał wysondować poglądy co wybitniejszych emigrantów. Spotkał się z Demidowiczem-Demideckim, Bieleckim, Eustachiewiczem i Osadczukiem. W rozmowie z Wendrowskim opisał ich ówczesną sytuację prywatną, stan psychiczny, stosunek do polityki i plany na przyszłość. Przywiózł również ze sobą z zagranicy dzienniki Edwarda Raczyńskiego, byłego ambasadora w Londynie, którymi był zachwycony. Twierdził nawet, że rząd polski powinien ją sprzedawać lub nawet rozdawać darmo zagranicą dla demaskowania polityki angielskiej względem Polski w czasie drugiej wojny światowej.

III

Cat pobierał pieniądze na działania rozpoznawcze zagranicą. Tak na przykład w związku z jego wyjazdem do Francji i RFN na początku 1963 r. powierzono mu zadania operacyjne dotyczące działaczy emigracyjnych i wypłacono sto dolarów. Po powrocie zwrócił osiemdziesiąt dolarów, ale – jak czytamy w notatce: „zgodnie z tradycją" – nie dał pokwitowania na wydane dwadzieścia[200].

O wyjeździe tym Mackiewicz mówił podczas wizyty u Stefana Kisielewskiego w marcu 1963 r. Stwierdził, że spotkał się tylko z tymi osobami, które chciały się z nim zobaczyć – sam nie wysuwał żadnych propozycji „w obawie przed afrontem". Zauważył, że jego pozycja na emigracji jest nieco zachwiana, a poza tym nie chciał, aby z powodu spotkania z nim dotknęły kogoś jakiekolwiek represje. Jedynym dziennikarzem, który odnosił się do niego z pewnym zaufaniem, był Giedroyc. Proponował mu nawet pisanie do „Kultury" – Cat miał jednak ofertę odrzucić[201].

Podczas swych wizyt zagranicą w latach 1960–1963 Mackiewicz odmawiał również namowom Giedroycia i innych, aby pozostał na Zachodzie, gdyż „przykład jego działalności pisarskiej w kraju osłabia i demoralizuje emigrację"[202].

Na początku 1965 r. próbowano ożywić współpracę z Mackiewiczem. Było już po całym zamieszaniu w sprawie „Listu 34" i związanych z tym konsekwencjach[203]. Cat posyłał wtedy artykuły do „Kultury" paryskiej, podpisane pseudonimem Gaston de Cerizay. Wszystko to zmuszało go do trzymania się z daleka od współpracy z bezpieką. Wysiłki czynione przez niejakiego tow. Kłosa nie dały więc żadnych rezultatów[204].

11. Gaston de Cerizay

Z matki obcej, krew jego dawne bohatery.
A imię jego… trzydzieści i cztery[205].

[200] Ibidem, Raport z dn. 16 I 1963.

[201] Ibidem, Donos TW „Barana" z dn. 15 III 1963. Mackiewicz mówił Kisielewskiemu, że skreślił tylko recenzję książki K. Morawskiego, o której pisałem w odpowiednim rozdziale.

[202] Ibidem, Informacja dot. S. Mackiewicza z dn. 29 II 1964.

[203] O „Liście 34" i całym wokół niego zamieszaniu piszę w następnym rozdziale.

[204] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa kpta J. Nowaka z dn. 11 I 1965. W notatce wspomniane jest również o złym stanie zdrowia Mackiewicza, który po ciężkiej operacji stał się mniej aktywnym fizycznie.

[205] Wierszyk krążący po Warszawie po „Liście 34" o A. Słonimskim. Por. J. Eisler, *List 34*, Warszawa 1993, s. 91.

I

Otwieram pisane po kilkudziesięciu latach wspomnienia Jadwigi Karbowskiej, byłej recenzentki teatralnej „Słowa" wileńskiego, która towarzyszyła Mackiewiczowi w czasie drugiej wojny i w pierwszych latach powojennych.

Obrazek londyński: „Któregoś wieczoru zabawiając grono pań, a także i panów w polskiej mini-kawiarni Mackiewicz zaczął głośno obmyślać dziennikarskie pseudonimy w różnych językach świata. Musiały być dźwięczne, a nade wszystko działać na wyobraźnię. – Gdybym był Rosjaninem, to chciałbym pisywać pod nazwiskiem Białosielski-Białozierski. Właściwie powinno się dublować literę «o», żeby móc zasugerować wizję wiosek zawalonych śniegiem i dużych płaszczyzn ze skutym w lodzie sitowiem. Gdybym natomiast był Francuzem, moje nazwisko brzmiałoby Gaston de Cerizay. Jest w nim coś z sadu, a jednocześnie z koniaku"[206].

Podobne nazwisko znalazłem w jednym z listów Mackiewicza do Mieczysława Grydzewskiego, do którego był załączony krótki utwór dramatyczny niejakiego Jacquesa de Cerizay. Autorem jednoaktówki był oczywiście Cat, a list utrzymany jest od pierwszego do ostatniego zdania w formie żartu[207].

W październiku 1964 r. na łamach „Kultury" pojawił się artykuł zatytułowany „Polska Gomułki i list 34" podpisany nazwiskiem Gaston de Cerizay[208].

Pisałem w poprzednim rozdziale dużo o grzechach Mackiewicza. W tym momencie przystępuję do opisywania tego, co może być podstawą do jego rozgrzeszenia. Na marginesie wydarzeń wokół „Listu 34" będę mówił o treści artykułu Gastona de Cerizay.

[206] J. Karbowska, op. cit., s. 259–260.

[207] List S. Mackiewicza do M. Grydzewskiego z dn. 3 VI 1951, [za:] *Z listów do Mieczysława Grydzewskiego….*

[208] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Polska Gomułki i list „34"*, „K", nr 10/204 (1964). Podaję od razu poprawną wersję pseudonimu, jako że redakcja zniekształciła go w tym wypadku, pisząc: Gaston de Cerezay. Ponadto przy tekście widnieje dopisek: „Fragment większej całości". Pełny artykuł znajduje się zapewne w Archiwum w Maisons-Laffitte. Pierwotnie tekst miał nosić nazwę: „List 34 i książę Andronnikow".

II

15 października 1958 r. na XII Plenum KC PZPR Gomułka wygłosił referat pt. „Zadania organizacji partyjnych w akcji przed III Zjazdem partii"[209]. Potępił w nim pozycje rewizjonistyczne i wezwał do konsolidacji szeregów partyjnych, mówiąc między innymi:

„X Plenum[210] zakończyło okres pewnej tolerancji przejawianej poprzednio przez kierownictwo partii wobec tych, którzy systematycznie podważali linię partii bądź to z pozycji rewizjonistycznych, bądź dogmatycznych".

„W obecnym stanie rzeczy główne wysiłki partii powinny zmierzać do zupełnej likwidacji porewizjonistycznego czadu znajdującego się jeszcze w atmosferze, którą oddychają określone środowiska. Czad ten mąci dotąd twórcze umysły i ambicje szeregu pisarzy i literatów, wskutek czego rozchodzą się z klasą robotniczą, narodem, socjalizmem".

„Chwilowy, specyficzny okres bezkarnego działania podważającego linię i jedność partii należy już do przeszłości".

„Żaden redaktor i dziennikarz nie może zapominać o tym, aby popularność prasy była jednocześnie popularnością partii, tj. aby wynikała z umiejętnego propagowania polityki partii. Innej popularności prasy nie chcemy".

„Do wypełnienia zadań, jakie partia przydziela prasie w akcji przedzjazdowej, trzeba przyciągać najlepsze pióra. Ale i najlepsze pióro może pisać wodą, jeśli ślizgać się będzie tylko po powierzchni podjętego zagadnienia. Głęboka i wszechstronna znajomość rzeczy – to podstawowy warunek dobrej pracy każdego dziennikarza i korespondenta".

„Krótko mówiąc – prasa winna być wiernym, aktywnym i stojącym na wysokim poziomie umiejętności pomocnikiem partii".

W praktyce program ten wyglądał następująco.

W 1957 r. zamknięto pismo „Po Prostu", które było symbolem Października, co wywołało protesty studenckie. Udaremniono jednocześnie wejście na rynek miesięcznika „Europa", wskutek czego grupa literatów (*notabene* rów-

[209] W. Gomułka, *Zadania organizacji partyjnych w akcji przed III Zjazdem partii*, [w:] idem, „Przemówienia: wrzesień 1957–grudzień 1958", Warszawa 1959.

[210] X Plenum KC PZPR miało miejsce w październiku 1957 r.

nież przyszli sygnatariusze „Listu 34") złożyła legitymacje partyjne[211]. Powstało natomiast nowe pismo reżimowe pt. „Polityka" ze Stefanem Żółkiewskim jako redaktorem naczelnym. Do tego doszło sukcesywne zaostrzanie cenzury, ograniczenia nakładów czasopism, zmiany personalne w redakcjach: „Trybuny Ludu", „Sztandaru Młodych", „Nowej Kultury" i „Przeglądu Kulturalnego". Te dwa ostatnie pisma zostały ostatecznie połączone w jedno, które zaczęło ukazywać się pod nieprzypadkowym tytułem „Kultura" na czele z Januszem Wilhelmim[212]. Ponadto w lutym 1962 r. zamknięto Klub Krzywego Koła[213]. Ale najdonioślejszym sygnałem odwrotu od Października były procesy polityczne. Najpierw w połowie 1958 r. za posiadanie i kolportowanie „Kultury" paryskiej skazano na trzy lata więzienia Hannę Szarzyńską-Rewską – opuściła je po niespełna roku. Natomiast w 1961 r. oskarżono Annę Rudzińską za podjęcie się tłumaczenia dla tej samej „Kultury" angielskiej książki socjologicznej i skazano na roczne więzienie[214].

Raz jeszcze oddajmy głos Gomułce. Oto na XIII Plenum KC PZPR w lipcu 1963 r. wystąpił on z referatem: „O aktualnych problemach ideologicznej pracy partii", w którym odniósł się do zadań jakie powinni stawiać przed sobą przedstawiciele nauki i sztuki w państwie socjalistycznym[215]:

„Swoboda dyskusji w historycznych towarzystwach naukowych nie może być rozumiana jako zasada równorzędnej prezentacji różnorodnych poglądów, bez należytego podejmowania zdecydowanej polemiki z błędnymi poglądami".

„Nie nawołujemy, rzecz jasna, naukowców do pisania rzeczy nieobiektywnych, nieprawdziwych. Prawda naukowa o współczesnym kapitalizmie, o istocie teorii i poglądów burżuazyjnej nauki o społeczeństwie wymaga jednak pasji demaskatorskiej i konsekwentnego obnażania ich reakcyjnego oblicza politycznego. Kto z tej pasji rezygnuje, kto bojową postawę naukowca-marksisty zastępuje pseudoobiektywizmem, cofającym się przed otwartym starciem ideologicznym i politycznym, ten – zamiast dojść do obiektywnej prawdy – schodzi w rezultacie na rewizjonistyczne manowce".

[211] J. Eisler, op. cit., s. 22.

[212] Ibidem, s. 31.

[213] Ibidem, s. 229–33.

[214] A. Dudek, Z. Zblewski, *Utopia nad Wisłą. Historia Peerelu*, Warszawa-Bielsko-Biała 2008, s. 176177. Por. Londyńczyk [J. Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K", nr 9/131 (1958).

[215] W. Gomułka, *O aktualnych problemach ideologicznej pracy partii*, [w:] idem, *Przemówienia: styczeń 1963–lipiec 1964*, Warszawa 1964.

„W ostatnich latach (…) mieliśmy jednak zbyt mało dzieł literackich, filmowych czy teatralnych, które by z pełnym zaangażowaniem i pasją ukazywały obraz naszego kraju, walkę o jego rozwój gospodarczy, ofiarny trud klasy robotniczej, inteligencji, polskiej wsi, kobiet i młodzieży".

„Ta ucieczka od głównych problemów budownictwa socjalistycznego w literaturze i filmie ma swoje głębsze źródła. Wielu naszych twórców nie rozumie sytuacji, w jakiej znajduje się nasz kraj, nie rozumie istoty walki ideologicznej i społecznej, która toczy się we współczesnym świecie, poddaje się presji ideologii burżuazyjnej".

„Nasi twórcy, a zwłaszcza reprezentujący dziedziny sztuki masowej, powinni zawsze pamiętać o swojej olbrzymiej odpowiedzialności przed społeczeństwem, przed państwem ludowym, które daje im przecież do dyspozycji kosztowny aparat produkcyjny i bardzo poważne środki finansowe".

„Pragniemy, aby nasi twórcy byli jak najbardziej zaangażowani po stronie socjalizmu i pokoju, aby swoją twórczością pomagali ludziom żyć i pracować, aby rozwijali i kształtowali ich ideowość, ich wrażliwość uczuciową i moralną, aby rozszerzali ich horyzonty intelektualne, aby środkami artystycznymi ukazywali ogrom naszych dokonań na froncie budownictwa socjalistycznego i wielkości perspektyw dalszego rozwoju Polski i całego świata socjalistycznego, aby z pełną pasją demaskowali naszych wrogów, świat imperializmu, jego antyludzkie, antypokojowe oblicze". Słowem – było to wezwanie inteligencji do ideologicznego zaangażowania, do zajęcia „roli pośrednika między partią a masami".

Wszystko to doprowadziło do konfliktu między władzą i literatami, który przybrał na ostrości z początkiem 1964 r.

III

W połowie stycznia 1964 r. miało miejsce rozszerzone plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, które stało się forum dla ostrej krytyki stosunków kulturalnych w Polsce.

Mam przed sobą tekst Gastona de Cerizay pt. „Polska Gomułki i list 34". Autor streścił jedno tylko przemówienie z tego plenum: Stanisława Mackiewi-

cza, który „miał jakiś dzień wyjątkowo udany i zebrał najwięcej oklasków, co mu się już w późniejszych przemówieniach nie udawało”[216]. Mackiewicz w swojej mowie skrytykował prezesa ZLP Jarosława Iwaszkiewicza, określając przyjęcie przez niego z entuzjazmem wskazówek Gomułki z XIII Plenum z rosyjska mianem: „rad staratsia”, tj. „będę się starał z radością”. W ten sposób odzywał się carski sołdat do podoficera, kiedy otrzymywał rozkaz. Następnie podkreślił różnicę między propagandą a publicystyką: propagandysta to człowiek, który w przeciwieństwie do publicysty głosi poglądy wypracowane przez kogoś innego. Dowodził: „W Polsce obecnej (…) nie ma publicystów, są tylko propagandziści”.

Czytamy dalej: „Potem Mackiewicz wskazywał, że dziennikarstwo polega przede wszystkim na krytyce władz i na informowaniu publiczności. O krytyce władzy nie może być w Polsce Ludowej żadnej mowy. Jedynie konduktorkę autobusu można w Polsce Ludowej skrytykować, a nawet potępić, ale już nie kogoś wyżej. Dziennikarzowi, który by, Panie Boże broń, ośmielił się nie mieć zaufania do działań jakiegoś ministra, uschłaby ręka przed wypowiedzeniem swoich poglądów na piśmie, a koledzy redakcyjni odwieźliby go co najprędzej do domu wariatów. Prasa polska może tylko albo gruchać z zadowolenia, albo kwilić z zachwytu. Z roku na rok staje się to bardziej mdłe i nie do zniesienia”. Autor streszcza ponadto problemy Mackiewicza z cenzurą odnośnie jego książki „Europa in flagranti”.

Biorę teraz stenogram przemówienia Cata z tego rozszerzonego plenum… i czytam niemal słowo w słowo to samo co w artykule Gastona de Cerizay[217]. Powrócę później do tej kwestii.

IV

14 marca 1964 r. Antoni Słonimski złożył w kancelarii premiera Cyrankiewicza list o następującej treści: „Ograniczenie przydziału papieru na druk

[216] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Polska Gomułki…* M. Dąbrowska zapisała w dzienniku: „Zwłaszcza zabłysnął stary «rojalista» Cat-Mackiewicz, który mówił jak «człowiek wolny» (…)”. M. Dąbrowska, *Dzienniki*, red. T. Drewnowski, t. 5, Warszawa 1988, wpis z dn. 31 I 1964.

[217] Por. AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Stenogram przemówienia S. Cata-Mackiewicza wygłoszonego dn. 18 I 1964 podczas obrad rozszerzonego plenum ZG ZLP. Zob. rozdział pt. „Rozpoznanie”.

książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani, uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polityki kulturalnej w duchu zagwarantowanym przez konstytucję państwa i zgodnym z dobrem narodu”.

Pod listem tym znalazły się trzydzieści cztery nazwiska w kolejności następującej: Leopold Infeld, Maria Dąbrowska, Antoni Słonimski, Paweł Jasienica, Konrad Górski, Maria Ossowska, Kazimierz Wyka, Tadeusz Kotarbiński, Karol Estreicher, Stanisław Pigoń, Jerzy Turowicz, Anna Kowalska, Mieczysław Jastrun, Jerzy Andrzejewski, Adolf Rudnicki, Paweł Hertz, Stanisław Mackiewicz, Stefan Kisielewski, Jan Parandowski, Zofia Kossak, Jerzy Zagórski, Jan Kott, Wacław Sierpiński, Kazimierz Kumaniecki, Artur Sandauer, Władysław Tatarkiewicz, Edward Lipiński, Stanisław Dygat, Adam Ważyk, Marian Falski, Melchior Wańkowicz, Jan Szczepański, Aleksander Gieysztor, Julian Krzyżanowski[218]. Od liczby sygnatariuszy protest ten nazwano „Listem 34”.

W tym miejscu trzeba postawić pierwsze pytanie: kto był inicjatorem i autorem tego listu? Najczęściej rolę inicjatora przypisuje się Słonimskiemu, ale pojawiają się również inne nazwiska, w tym Stanisława Mackiewicza[219]. Wacław Zbyszewski twierdził, że „duszą” protestu był właśnie Cat[220]. Jedno jest pewne – nie był autorem jego słów. Mackiewicz uważał redakcję listu, tj. upomnienie się na pierwszym miejscu o papier, za wielki błąd, który łatwo mógł być wykorzystany w walce przeciw sygnatariuszom, np. przez otwarcie nowego pisma literackiego. Jako Gaston de Cerizay pisał: „W liście 34 chodziło o cenzurę, a nie o żaden papier”[221].

Zaraz po złożeniu protestu redaktor Henryk Korotyński usłyszał od sekretarza Komitetu Centralnego, Artura Starewicza: „Spodziewam się u nas ostrej reakcji na to wystąpienie, a trzeba by raczej działać spokojnie, aby nie zrobiła

[218] J. Eisler, op. cit., s. 48–49.

[219] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Polska Gomułki…*

[220] W. A. Zbyszewski, *Stanisław Mackiewicz,* „K”, nr 6/224 (1966).

[221] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Polska Gomułki…*

się z tego głośna sprawa i nie wybuchł nowy konflikt”[222]. Podobnie zareagował prezes Związku Literatów, Jarosław Iwaszkiewicz, choć w dużo ostrzejszej formie. Miał on powiedzieć w złości: „(…) nic mnie to nie obchodzi! W dupie mam to wszystko! Ja już jestem za stary na to…! Ach! zagranica będzie trąbić, Gomułka się wścieknie, teraz nie mamy po co do niego chodzić”[223].

W kraju władze starały się maksymalnie wyciszyć sprawę protestu, działać wyłącznie zakulisowo – jego tekst (w dodatku niepełny) opublikowano na łamach prasy dopiero w połowie maja[224]. Jednak represje wobec sygnatariuszy, przekazanie treści listu na zachód, prężna akcja emigracji i inne wydarzenia skutecznie udaremniły te plany[225].

Cała sprawa szybko wyszła poza granice Polski i odbiła się szerokim echem na Zachodzie. Wobec tego pojawia się drugie pytanie: kto i w jaki sposób przekazał informację o „Liście 34” zagranicę?

Również tutaj odpowiedź nie jest jasna.

Jerzy Robert Nowak i Jan Klaudiusz Stodolniak zgłosili się do Antoniego Słonimskiego po treść protestu. Jego odpis przekazali następnie 18 marca warszawskiemu korespondentowi Agence France Press, który pięć dni później przekazał wiadomość na Zachód[226]. Jan Nowak wspominał, że pierwsze informacje o sytuacji w Polsce przyszły 26 marca od Melchiora Wańkowicza. Wówczas do korespondenta Wolnej Europy w Londynie Zbigniewa Racięskiego zgłosiła się pewna kobieta, która natychmiast po przylocie z kraju oddała mu list od pisarza, zawierające nazwiska sygnatariuszy „Listu 34”. Nowak nie chciał, aby na literatów polskich padł cień podejrzenia o współpracę z RWE, dlatego przed upublicznieniem tej wiadomości poprosił agencje Reutera i UPI

[222] J. Eisler, op. cit., s. 50.

[223] Ibidem, s. 50–51.

[224] Ibidem, s. 60–61.

[225] Ibidem, s. 64–65. Nagłośnieniu całej sprawy służył m. in. wiec zorganizowany 14 kwietnia na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego (pierwszy wiec studencki od października 1957 r.), na którym student Józef M. Jankowski odczytał treść listu i nazwiska pod nim podpisane. Por. A. Friszke, *Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi*, Kraków 2010, s. 128.

[226] Ibidem, s. 51–52. MSW przechwyciło tę wiadomość. Tego samego dnia aresztowano Lipskiego, więc prawdopodobnie korespondent AFP wymienił jego nazwisko. Por. Ibidem, s. 52–53.

o sprawdzenie informacji o proteście w samej Warszawie. Następnie, powołując się na Reutera, podał informacje na antenie[227]. Nowak pisał dalej: „W dwa dni potem, w sam dzień Wielkanocy, przyleciała z Warszawy druga wysłanniczka, tym razem z bardzo szczegółowymi informacjami od Cata-Mackiewicza i z pełnym tekstem listu”[228].

Mackiewicz wysłał również wiadomość do Giedroycia, o czym dowiadujemy się z korespondencji tego ostatniego do Konstantego Jeleńskiego: „Załączam również tekst memoriału literatów z podpisami. Brakuje niestety 4 podpisów. Charakterystyczne, że dostaliśmy ten tekst od Stanisława Mackiewicza. Zaopatrzone to było wielka prośbą o nadanie temu jak największego rozgłosu”[229]. A ten był rzeczywiście ogólnoświatowy.

V

Wystąpienie przeciwko cenzurze przyniosło efekty dokładnie odwrotne od zamierzonych. Wraz z nagłośnieniem całej sprawy na Zachodzie władza przystąpiła do zdecydowanych kroków. Najpierw aresztowano Jana Józefa Lipskiego, który zbierał podpisy pod listem, jednak po interwencji Słonimskiego, Kisielewskiego i Ossowskiej zwolniono go przed upływem czterdziestu ośmiu godzin[230].

Pod koniec marca 1964 r. wydano wewnętrzne zarządzenie, aby blokować wszelkie wystąpienia kilkunastu z sygnatariuszy „Listu 34” w radio i telewizji[231]. Zawieszono cykl Wańkowicza poświęcony Kennedy'emu, publikowany

[227] J. Nowak-Jeziorański, *Wojna w eterze*, Kraków 2005, s. 410. W artykule „Polska Gomułki i list 34” Mackiewicz podaje datę pojawienia się wiadomości o proteście na antenie RWE już 23–23 marca. O trudnościach z ustaleniem dokładnych informacji na temat zob. J. Eisler, op. cit., s. 52–54.

[228] J. Nowak-Jeziorański, op. cit., s. 410.

[229] Listy J. Giedroycia do K. A. Jeleńskiego z dn. 2 i 3 IV 1964, [za:] J. Giedroyc, K.A. Jeleński, op. cit. Por. List J. Giedroycia do Cz. Miłosza z dn. 3 IV 1964, [za:] J. Giedroyc, z. Miłosz, *Listy 1964–1972*… J. Nowak-Jeziorański, op. cit., s. 411-413. Por. J. Eisler, op. cit., s. 75–8.

[230] J. Eisler, op. cit., s. 53. Por. M. Dąbrowska, op. cit., wpis z dn. 27 III 1964.

[231] M. F. Rakowski zapisał w swoich dziennikach po tej decyzji: „Uważam (…), że każdy ma prawo napisać taki list, ale ten – z dwóch powodów – mi nie odpowiada. Po pierwsze, jeżeli pisze się coś takiego, to należy przedstawić przykłady, słowem – nie tak lakonicznie, a po drugie – uważam za niedopuszczalne, aby postępowi pisarze występowali wspólnie z reakcją katolicką. Nie może Adam Ważyk stać w jednym rzędzie z Catem-Mackiewiczem. Poza wszystkim, daje

w „Kierunkach", z księgarń wycofano jego książki[232]. Przestano publikować felietony Słonimskiego w „Szpilkach". Zablokowano wywiad z Jasienicą, którego „Polska Jagiellonów" została okrzyknięta książką 1963 r., a od kwietnia zabroniono mu jakichkolwiek wystąpień prasowych. Zmniejszono o dziesięć tysięcy nakład „Tygodnika Powszechnego", co postawiło pismo w bardzo trudnej sytuacji finansowej. Ponadto z jego łam pościągano artykuły pisane przez sygnatariuszy protestu, a samemu Turowiczowi przez dwa lata odmawiano paszportu[233].

Nastrój Mackiewicza w przeddzień podpisania „Listu 34" można krótko określić jako wisielczy. Pisał do Pawlikowskiego o fatalnym stanie zdrowia, o swoich „straszliwych kłopotach", o zamiarze pisania wspomnień[234]. Po umieszczeniu swego nazwiska pod protestem doszły do tego poważne kłopoty finansowe. Z początkiem kwietnia „Pax" zawiesił z nim współpracę, wstrzymano sprzedaż jego książek (nie wspominając o wydaniu nowych), ponadto pozbawiono możliwości publikowania w „Słowie Powszechnym" i „Kierunkach"[235]. Zresztą na poziom tych pism narzekał od dawna, o pierwszym tytule wyrażając się „gazeta dla półinteligentów redagowana przez ćwierćinteligentów"[236], o drugim – „spłosznoje gawno", czyli dosłownie: kompletne gówno[237]. Napisał wówczas do Ameryki: „Z czego będę żyć? – Oto jest pytanie"[238].

się w ten sposób wspaniałą broń do ręki ludziom, którzy reprezentują wszystko co wsteczne w naszym ruchu, którzy pragną po wieczne czasy utrzymywać kontrolę nad każdą dziedziną naszego życia". M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1963–1966*, Warszawa 1999, wpis z dn. 27 III 1964.

[232] Por. List S. Mackiewicza do M.K. Pawlikowskiego z dn. 25 V 1964, [za:] J. Jaruzelski, *Listy przedostatnie…*

[233] J. Eisler, op. cit., s. 55–58. Por. A. Ziółkowska, *Proces Melchiora Wańkowicza 1964*, Warszawa 1990, s. 10-11.

[234] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 13 III 1964, [za:] J. Jaruzelski, *Listy przedostatnie…* Por. J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 303–304.

[235] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 304. Por. J. Eisler, op. cit., s. 56.

[236] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 27 IV 1964, [za:] J. Jaruzelski, *Listy przedostatnie…*

[237] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 2 XI 1963, [za:] *Listy Stanisława Cata Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego…*

[238] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 10 IV 1964, [za:] J. Jaruzelski, *Listy przedostatnie….*

Próbował nawiązać kontakty z prasą zagraniczną. Swoje plany przedstawiał przyjacielowi: „Co do mnie to staram się o posadę korespondenta gazety francuskiej. Monarchicznej niestety nie ma, ale szukam jakiegoś organu wyzyskiwaczy wielkiego kapitału i koniecznie pro-gaullistowskiej. Dziś wieczorem będę wiedział, czy są jakieś nadzieje w tym kierunku. Jeśli nie, to doprawdy nie wiem, co zrobię"[239].

Potwierdzenie tych zabiegów znajdujemy również w liście Giedroycia do przedstawiciela emigracji ukraińskiej, Bohdana Osadczuka: „Facet [Mackiewicz] ma odwagę. Przed 10 dniami telefonował do mnie z prośbą aby mu wyrobić korespondencję jednego z pism paryskich. Udało mi się zainteresować «Le Monde». Mackiewicz poszedł to zanotyfikować w MSZ w departamencie prasowym, a tam mu zakazali. Odwołał się do Rapackiego, a potem do Kliszki, który zakaz potwierdził. Wobec tego robi piekło na walnym zgromadzeniu Związku Literatów warszawskich, które miało miejsce parę dni temu dla wyboru delegatów na walny zjazd"[240].

VI

Wracam do artykułu „Polska Gomułki i list 34".

Autor relacjonuje spotkanie kilku sygnatariuszy protestu z Józefem Cyrankiewiczem w dniu 8 kwietnia 1964 r. Chwali inteligencję i zachowanie premiera, ale zauważa błędy logiczne w jego rozumowaniu. Cyrankiewicz miał bowiem dowodzić, że samo złożenie listu nie było przestępstwem, ale był oburzony, że o całej sprawie została powiadomiona zagranica i to jeszcze przed udzieleniem odpowiedzi przez premiera. Gaston de Cerizay pisze: „Ale jeśli tak, to jak usprawiedliwić represje, o których powyżej była mowa. Trzeba mieć chociażby jakieś poszlaki, że ci, na których represje spadły, byli czynni w przekazywaniu tego listu zagranicą". Zresztą samo ujawnienie treści listu przed za-

[239] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 25 V 1964, [za:] ibidem. W następnej korespondencji pisał: „Bezrobocie przymusowe bardzo mi ciąży. Bardzo bym chciał umrzeć; życie kaleki bezrobotnego nie jest tak przyjemne jak londyńskiego «dandy», wierzaj mi". List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 14 VI 1964, [za:] ibidem. Por. M. Ptasińska-Wójcik, *Z dziejów Biblioteki Kultury…*, s. 287.

[240] List J. Giedroycia do B. Osadczuka z dn. 18 VI 1964, [za:] J. Giedroyc, Emigracja ukraińska, *Listy 1950-1982*, red. B. Berdychowska, O. Hnatiuk, Warszawa 2004.

granicą autor uważa za mało szkodliwe, gdyż o działaniu cenzury w Polsce wiedział każdy, a sam protest przeciw niej dowiódł, że w kraju nie działały już metody stalinowskie[241].

24 kwietnia kilkunastu sygnatariuszy „Listu 34" (w tym Mackiewicz) zostało wezwanych do siedziby Związku Literatów Polskich w Warszawie, gdzie próbowano nakłonić ich do podpisania listu do redaktora naczelnego „Timesa", który brzmiał jak następuje:

„Z przykrością przeczytaliśmy na łamach «Timesa» z dnia 18 kwietnia «korespondencję z Warszawy» oraz oświadczenie 21 brytyjskich intelektualistów w sprawie sytuacji uczonych i pisarzy w Polsce.

Sprawy, które poruszyliśmy w liście do Premiera rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z dnia 14 marca br., a następnie w toku spotkania z nim 8 kwietnia br., miały charakter wewnętrzny. Odnoszą się one do niektórych postulatów kulturalnych w kraju, który w ciągu ubiegłego dwudziestolecia przeszedł głęboką rewolucję kulturalną, dzięki której oświata i nauka stały się udziałem ogółu obywateli. Ubolewamy nad tym, że sprawa ta dała okazję do zorganizowania kampanii przeciw naszemu krajowi opartych na nieprawdziwych informacjach ukazujących się zwłaszcza w prasie zachodnioniemieckiej oraz głoszonych przez radio «Wolna Europa». Stwierdzamy, że nie jest nam wiadomo, aby którakolwiek z osób, które podpisały list do Premiera, była obecnie pozbawiona prawa wykładania czy publikowania swych książek. Wyrażamy żal, że wielu naszych kolegów brytyjskich dało się zbyt pochopnie wprowadzić w błąd oraz że pańskie poważne i cenione u nas pismo uznało za stosowne ogłoszenie informacji niezgodnej z rzeczywistym stanem rzeczy"[242].

Pod listem tym, który Gaston de Cerizay określił z rosyjska jako „pokajanje", podpisało się dziesięciu profesorów: Aleksander Gieysztor, Konrad Górski, Leopold Infled, Kazimierz Kumaniecki, Julian Krzyżanowski, Edward Lipiński, Jan Szczepański, Wacław Sierpiński, Władysław Tatarkiewicz, Kazimierz Wyka. Cat wymienił również nazwiska tych profesorów, których chwalił za odwagę i konsekwencję, tj. Marię Ossowską, Tadeusza Kotarbińskiego, Stanisława Pigonia (który miał powiedzieć, że „zrzuci ze schodów tego, kto będzie go próbował nakłaniać do podpisania „pokajania"), Mariana Falskiego i Karola Estreichera.

[241] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Polska Gomułki…* O spotkaniu u J. Cyrankiewicza zob. J. Eisler, op. cit., s. 59–60.

[242] „Życie Warszawy" z dn. 10–11 V 1964.

Teraz Jerzy Putrament wzywał zebranych w siedzibie ZLP sygnatariuszy „Listu 34" do podobnego oświadczenia, jednak żaden z nich nie złożył swego podpisu pod listem do redaktora „Timesa"[243].

Jednocześnie władza przystąpiła do kontry na polu krajowym. W prasie warszawskiej pojawiło się następujące oświadczenie:

„My, niżej podpisani pisarze polscy, wyrażamy stanowczy protest przeciwko uprawianej na łamach prasy zachodniej oraz na falach dywersyjnej rozgłośni radiowej «Wolnej Europy» zorganizowanej kampanii oczerniającej Polskę Ludową.

Sprzeciwiamy się obcej ingerencji w nasze problemy wewnętrzne, w naszą politykę kulturalną, która jest wspólną sprawą inteligencji twórczej oraz kierownictwa politycznego i państwowego kraju"[244].

Gaston de Cerizay określił ten kontrprotest mianem „ogólnego spędu grafomanów", jako że podpisało się pod nim kilkaset pisarzy, w olbrzymiej większości niewielkiego kalibru[245]. Ale pojawiły się również nazwiska pierwszorzędne.

Mackiewicz pisał w tych dniach do Kazimierza Okulicza: „Stan zdrowia mego znakomicie się pogorszył a to z powodu tego, że 388 polskich pisarzy i grafomanów podpisało protest rzekomo przeciw «Free Europe» a de facto w obronie utrzymania cenzury w Polsce. Wśród tych podpisów znajduję takie nazwiska jak Aleksander Bocheński (tak!), Michał Choromański, Arkady Fiedler, Kazimierz Iłłakowicz, Zofja Jachimecka, Eugenja Kobylińska-Masiejewska, Jan Meysztowicz, Ludwik Hieronim Morstin, Ewa Szelburg-Zarembina, Magdalena Samozwaniec, Wiech, Waśkowski itd. itd. To nieprawda, że ktoś ich zmuszał, groził Sybirem czy kajdanami. Ot po prostu Dostojewski miał

[243] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Polska Gomułki…* Por. J. Eisler, op. cit., s. 69–73.

[244] „Życie Warszawy" z dn. 10-11 V 1964. Dąbrowska trzeźwo zauważyła: „List, co podobnie jak list profesorów do «Timesa» rozdmucha na nowo kampanię przeciwpolską". M. Dąbrowska, op. cit., wpis z dn. 14 V 1964. Por. J. Eisler, op. cit., 87–91.

[245] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Polska Gomułki…*

rację pisząc o polaczyszkach. Do mnie nikt z propozycją nie ośmielił się zwrócić”[246].

Jako Gaston de Cerizay pisał o znanych pisarzach, którzy wzięli udział w całej akcji: „Miejmy dla nich współczucie. Nie można o nich sądzić, że chcieli bronić cenzury. Po prostu okupacja hitlerowska i czasy stalinowskie nie przechodzą bez śladów na systemach nerwowych. Represje w formie wstrzymania druku artykułów swoje zrobiły”[247].

Najważniejszym jednak faktem związanym z kontrprotestem była według autora odmowa złożenia pod nim swego podpisu 57 literatów, którzy należeli do partii, a których rola miała być szczególnie istotna. Wydarzenie to – udowadniał – należy traktować jako poparcie sprzeciwu wobec działalności cenzury w Polsce.

12 czerwca miało miejsce zebranie warszawskiego oddziału ZLP w celu wybrania delegatów na wrześniowy zjazd walny w Lublinie. Na zebraniu tym mowę w obronie „34” wygłosiła Maria Dąbrowska. Gaston de Cerizay określił ją „arcydziełem polemiki”. Dalej przemawiali Putrament, Iwaszkiewicz, Kisielewski i Wańkowicz. Temperatura spotkania rosła z minuty na minutę. Koźniewski ostro starł się z Jasienicą. Głos zabrał również Mackiewicz, który mówił „o stosunku rządu do cenzury”. Przewodniczący obradom Jerzy Zawieyski, znając temperament Cata apelował do niego, aby „był łaskaw liczyć się z tym, że chcemy w duchu spokoju i życzliwości rozważyć, jak znaleźć wyjście z tej sytuacji”[248].

[246] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Odpis listu S. Mackiewicza do K. Okulicza z V 1964.

[247] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Polska Gomułki…* P. Hertz korespondował z tym głosem po latach: „Rok 64 – ludzie jeszcze zastraszeni, mieli różne doświadczenia po roku 45, zwłaszcza koledzy na prowincji, byli akowcy. A Wolna Europa była rodzajem straszydła. Trafnie władze wybrały moment – nie sam list – jako rzecz naganną. (…) Którzy zrobili to con amore, którzy zmuszeni istotnymi czy nawet wyobrażonymi okolicznościami? Nie myślę, abym miał prawo ich sądzić”. Za: J. Eisler, op. cit., s. 91. Dąbrowska napisała w dziennikach o tym zebraniu: „Ostateczną zgrozę wywołało we mnie, gdy zabrał głos Mackiewicz. Zobowiązał się i przyrzekł, że nie będzie mówił. Wychwalił pod niebiosy, o Boże, strzeż nas od «sprzymierzeńców». Wolę tysiąc razy przeciwników. (…) Właściwie powinnam była wyjść, kiedy zaczął mówić Mackiewicz, któremu przerywano najbardziej wrogimi okrzykami. Ale zrobiło mi się jakoś bardzo słabo, bałam się, że mnie nogi nie wyniosą”. M. Dąbrowska, op. cit., wpis z dn. 15 VI 1964.

[248] J. Eisler, op. cit., s. 97.

Następnie przystąpiono do wyboru delegatów. Już wcześniej Natalia Modzelewska, wdowa po ministrze spraw zagranicznych i matka Karola Modzelewskiego, demonstracyjnie zaproponowała kandydatury sygnatariuszy „Listu 34”, określając te osoby mianem: „najlepsi wśród nas”, ale wszyscy oni zrzekli się kandydowania. Ostatecznie większość wśród delegatów na wrześniowy zjazd w Lublinie stanowili ci pisarze, którzy należąc do partii oparli się podpisaniu kontrprotestu przeciw Wolnej Europie[249].

Artykuł „Polska Gomułki i List 34” kończy się słowami: „Ale poparcie, które wołaniu o złagodzenie cenzury dało 57 wybitnych pisarzy-członków partii powinno zwolenników cenzury przekonać, że chodzi tu nie o knowania takiego czy innego zaczinszczika [ros. inicjatora], lecz o sprawę zasadniczą, dziś może najważniejszą z możliwych do zrealizowania spraw dla dobra Polski”.

VII

Po kilku miesiącach od całego zamieszania związanego z „Listem 34” zaczęto powoli drukować Mackiewicza w prasie. W 1965 r. wypuszczono nawet na rynek jego „Europę in flagranti”, o którą toczył boje z cenzurą, ale książka została przemilczana przez recenzentów[250]. Natomiast „Polityka Becka”, której wydanie utknęło na dobre w martwym punkcie, miała inną, wartą całego rozdziału historię.

12. Historia jednej książki

I

Wczesna wiosna 1964 r. Wit Kaczanowski, młody malarz mający udać się zaraz na stypendium do Paryża umówił się w restauracji Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich na ul. Foksal z Józefem Prutkowskim[251]. Kaczanowski dosiadł

[249] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Polska Gomułki…*

[250] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 304. Por. W. A. Zbyszewski, *„Europa in flagranti” – St. Mackiewicza*, „K”, nr 12/218 (1965). W liście do Ameryki Cat pisał: „Jestem we wręcz rozpaczliwej sytuacji finansowej. Wyobraź sobie, że PAX nie zapłacił mi tego co mi się należało z okazji wydania *Europy in flagranti* powołując się na to, że im nie wykończyłem książki o hrabinie Zofji”. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 27 X 1965, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego…*

[251] Józef Prutkowski (1915–1981) – właśc. Józef Nacht. Pisarz, aktor i poeta pochodzący

się do stolika, przy którym oprócz Prutkowskiego siedział Cat-Mackiewicz. W pewnej chwili ten ostatni odezwał się do niego: „Proszę pana, jedzie pan do Paryża. Czy nie wziąłby pan moich rękopisów? Nie chcą mnie wydać!”[252]

Chodziło o książkę na temat polityki byłego ministra spraw zagranicznych Józefa Becka w ostatnich latach przed wybuchem drugiej wojny. Pierwsza jej wersja ukazała się na emigracji pt. „O jedenastej – powiada aktor – sztuka jest skończona”. „Polityka Becka” była gotowa już w r. 1960, jednak spotkała się – właściwie jako pierwsza spośród książek Cata drukowanych w kraju – z poważnymi zastrzeżeniami cenzury[253].

W latach 1963–1964 Mackiewicz miał kilka wystąpień w różnych miastach, na których przy pełnej sali i obecności agentów bezpieki otwarcie chwalił Piłsudskiego i krytykował Becka za sprzeniewierzenie się testamentowi Marszałka[254]. Na jednym z tych spotkań w Olsztynie miał powiedzieć wprost, że jego książka o Becku „z pewnych względów” nie może być wydana w kraju, dlatego będzie wydana we Francji po francusku[255].

Kiedy „Polityka Becka” przeszła przez cenzurę, Mackiewicz podjął za nią honorarium, a jedna z firm zagranicznych uzyskała zgodę na tłumaczenie, przyszła cała sprawa „Listu 34” i konsekwencje jakie spadły na jego sygnatariuszy. Książki Cata zostały wycofane z księgarni, „Pax” zawiesił z nim współpracę – w związku z tym „Polityka Becka” nie mogła się więc ukazać[256]. Wówczas Mackiewicz poprosił Kaczanowskiego o przewiezienie maszynopisu zagranicę i przekazanie go Giedroyciowi, a ten podjął się zadania.

Zagrał – trzeba powiedzieć – bardzo odważnie. Na lotnisku miał ze sobą trzy walizki, z których jedną wypełniał maszynopis. W czasie kontroli celnej

ze Lwowa. W 1944 r. wstąpił do (Ludowego) Wojska Polskiego. Od 1949 r. zamieszkały w Warszawie.

[252] Zapis rozmowy z W. Kaczanowskim z dn. 14 V 2013 (w posiadaniu autora). Na jednym z przesłuchań Mackiewicz twierdził, że żona Kaczanowskiego poprosiła go o rekomendację dla męża do Czapskiego, w zamian za co miał on przewieźć maszynopis „Polityki Becka”. Por. AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Protokół rozpytania z dn. 22 VI 1965.

[253] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz*…, s. 307.

[254] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Akt oskarżenia z XI 1965.

[255] Ibidem, Notatka ze spotkania z S. Mackiewiczem w Olsztynie ze stycznia 1964.

[256] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 27 IV 1964, [za:] J. Jaruzelski, *Listy przedostatnie*…

natychmiast rzucił na stół tę z „Polityką Becka”. Strażnik popatrzył na niego i rzekł: „Nie ta, nie ta. Tamta…” – wskazując na walizkę wypełnioną pędzlami, szmatami i farbami[257]. Kaczanowski wylądował w Paryżu na początku maja 1964 r. i przekazał maszynopis Konstantemu Jeleńskiemu. Książka została wydana przez Instytut Literacki w rekordowym czasie – kilka tygodni później Giedroyc mógł ją już posłać Bohdanowi Osadczukowi[258]. Jeszcze w maju na rachunek Mackiewicza wpłynęło 300 dolarów – zapewne jako honorarium za „Politykę Becka”[259].

II

Habent sua fata libelli. Ale książki bardzo często wpływają też znacznie na losy poszczególnych osób – i nie mówię w tym miejscu o czytelnikach.

Jeśli chodzi o Mackiewicza, to jego historia z „Polityką Becka” kończy się właściwie w tym momencie – jeśli nie liczyć tego, że wydanie jej na emigracji stanowiło jeden z punktów oskarżenia na przygotowywany proces, ale przecież wcale nie jeden z głównych.

Natomiast co do Kaczanowskiego…

W czasie rewizji w mieszkaniu Mackiewicza na ul. Jezuickiej pod koniec czerwca 1965 r. znaleziono list, który zaczynał się od zdania: „Tak się właśnie dziwnie złożyło, że 4-go bm. dostałem prawie równocześnie list z 19 maja oraz drugi bez daty od Pana Kaczanowskiego z więcej niż ciekawym fragmentem”[260]. List ten nie posiadał podpisu, ale z treści można było wywnioskować, że jego autorem był Giedroyc. Żona Kaczanowskiego dowiedziała się od pielęgniarki

[257] Zapis rozmowy z W. Kaczanowskim…

[258] List J. Giedroycia do B. Osadczuka z dn. 18 VI 1965, [za:] J. Giedroyc, B. Osadczuk, op. cit.

[259] AIPN, sygn. BU IPN 01251/533, Wyciąg z konta bankowego Cata-Mackiewicza za lata 1964-1965.

[260] Ibidem, List anonimowego autora [J. Giedroycia] do S. Mackiewicza z dn. 10 VIII 1964. Ponadto Giedroyc pisał o fragmencie innej książki, który dostał od Kaczanowskiego (prawdopodobnie chodzi o „Europę in flagranti”, z wydaniem której w kraju były duże problemy) zaznaczając, że jest zainteresowany całością i stałą, odpłatną współpracą z Gastonem de Cerizay, którego dla ostrożności traktuje jako zupełnie inną osobę, znajomego Mackiewicza. Prosił także, aby wszelką korespondencję wysyłać wyłącznie na jego nazwisko.

Mackiewicza, że podczas przesłuchania Cata padło nazwisko jej męża i natychmiast go o tym zawiadomiła, przekazując gryps w paczce papierosów[261].

Kaczanowski zdecydował się pozostać na emigracji, przenosząc się następnie z Francji do Ameryki. Do dziś na stałe mieszka w Kolorado, przyjeżdżając od czasu do czasu do Polski.

Oto przykład, jak jedna książka – może nawet nieprzeczytana – jest w stanie całkowicie zmienić losy człowieka.

III

W „Kulturze" pojawiła się krótka recenzja „Polityki Becka" pióra Juliusza Mieroszewskiego[262]. „Londyńczyk" dostrzegał w tej książce wszystkie cechy pisarstwa Cata – kontrowersyjność, oryginalność, niesprawiedliwość, ciekawość[263]. Miejscami „działająca na nerwy", w całości natomiast „romantyczna" – z „romantycznego pojmowania dziejów" ma wynikać „absurdalizm" tez podnoszonych przez Mackiewicza.

Główny zarzut jaki Mieroszewski wysuwa pod adresem książki to przecenianie roli Józefa Becka. Według niego nie miał on realnego wpływu na bieg wydarzeń – był jedynie aktorem, nie reżyserem: „Gdyby jutro na skutek zatargu amerykańsko-sowieckiego zaczęły spadać bomby na Warszawę i Leningrad – cóż za zarzuty można by postawić biednemu Rapackiemu?"

Mieroszewski uważa, że ostatnią szansą na rozprawę z Hitlerem był r. 1934, „lecz 2-ga Rzeczpospolita była niepomiernie mniej historio-twórczym mocarstwem niż Polska przedrozbiorowa". Nasz los – udowadnia – był zdeterminowany, znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia.

Kończy słowami: „Nasza podmiotowość historyczna uległa redukcji i dziś «winy ojców» w znacznie mniejszym stopniu niż dawniej decydują o czymkolwiek. Zwiększyć swoją podmiotowość historyczną małe i średnie narody mogą

[261] Na jednym z przesłuchań Cat przyznał się, że przekazał Giedroyciowi maszynopis „Polityki Becka" przez Kaczanowskiego. Zob. Ibidem, Akt oskarżenia z XI 1965 r.

[262] Londyńczyk [J. Mieroszewski], *„Polityka Becka"*, „K", nr 7/201-8/202 (1964).

[263] Podobnie oceniał książkę Giedroyc: „(…) ta książka to cały Mackiewicz. Są świetne strony i zupełnie puszczone, czy wręcz maniakalne. Zresztą widać, że są rzeczy, których się boi dopowiedzieć". List J. Giedroycia do J. Mieroszewskiego z dn. 2 VI 1964, [za:] M. Ptasińska-Wójcik, *Z dziejów Biblioteki Kultury…*, s. 287.

tylko na drodze związków państwowych – a nie na drodze «roztapiających» sojuszów małych z gigantami (Polska-Sowiety)"[264].

13. Rozpoznanie

I

Karbowska nie wierzyła własnym oczom, kiedy po latach zobaczyła francuski pseudonim w „Kulturze". Stwierdziła, że użycie go było dość lekkomyślnym posunięciem jak na kogoś, kto za wszelką cenę chciał zachować anonimowość[265].

Mackiewicz podjął ryzykowną grę, ale twierdził, że miał przewagę i próbował ją utrzymać. Domyślał się oczywiście, że korespondencja posyłana przez niego do Ameryki była uważnie czytana nie tylko przez nadawcę i adresata, dlatego w jednym z listów pytał wprost: kto może kryć się pod francuskim pseudonimem?

Jerzy Niezbrzycki, który rozstał się z „Kulturą" po „sprawie Miłosza", przebywał wówczas w Stanach Zjednoczonych. Mackiewicz wskazał na niego: „Raz, że tylko on może mieć tyle wiadomości, a po drugie, że tylko on siedział w obozie Cerizay we Francji, gdzie go osadził Sikorski i był z tego bardzo dumny"[266].

Kiedy kilka miesięcy później Cat ponownie próbował podobnego zabiegu w kolejnym liście do Pawlikowskiego, bezpieka od dawna znała już rozwiązanie zagadki[267]. Kluczem do niej było jedno nazwisko: Kazimierz Koźniewski.

[264] Mieroszewski nawiązuje też do książki brytyjskiego historyka A.J.P. Taylora pt. „The Origins of the Second World War" (1961).

[265] J. Karbowska, *Z Mackiewiczem na ty…*, s. 260.

[266] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 20 X 1964, [za:] J. Jaruzelski, *Listy przedostatnie…*

[267] Czytamy w nim: „Pisałem do Wacka [Zbyszewskiego] kto to jest ten Gaston de Cerizay. Odpisał mi, że Watt i że to sam Giedroyc mu powiedział. Ale skąd Watt mógłby mieć tyle szczegółów. W każdym razie tego informatora czy też informatorów tego Watta tutaj po główce nie pogładzą". List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 19 II 1965, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego…*

II

Koźniewski urodził się w 1919 r. w inteligenckiej i dość zamożnej rodzinie[268].

Ukończył Gimnazjum im. Staszica, następnie studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Przed wojną był związany z harcerstwem oraz lewicującymi pismami typu „Orka na ugorze"[269].

Na początku wojny współzałożył Polską Ludową Akcję Niepodległościową (PLAN), następnie przedostał się do armii polskiej we Francji, a po kapitulacji Paryża trafił do Anglii. W 1941 r. został wysłany do kraju jako kurier. W Budapeszcie przez własną nieostrożność wpadł w ręce gestapo i półtora roku przesiedział w więzieniu[270]. Po zwolnieniu przedostał się do Polski i działał w podziemiu.

Zaraz po wojnie z własnej inicjatywy zgłosił się do Julii Brystigerowej, przeprosił za swoją reakcyjną przeszłość i wyraził szczerą chęć działania w nowych warunkach. W 1947 r. powstały pierwsze raporty tajnego współpracownika, który zasłynął następnie jako agent „33"[271].

Kazimierz Koźniewski był dziennikarzem, od 1945 r. członkiem redakcji „Przekroju", następnie od 1957 r. przez dziesięciolecia członkiem zespołu redakcyjnego „Polityki". Koźniewski donosił na swych kolegów po piórze, pisał raporty z kolegiów redakcyjnych.

Koźniewski był pisarzem. Aleksander Ford zekranizował jego socrealistyczną „Piątkę z ulicy Barskiej", która zdobyła nagrodę w Cannes. Koźniewski rozpracowywał Forda, donosił m. in. na Kisielewskiego, który nazywał go swoim

[268] Informacje o Koźniewskim przytaczam na podstawie: J. Siedlecka, *Agent „33" – na swoich i obcych*, [w:] eadem, „Kryptonim «Liryka». Bezpieka wobec literatów", Warszawa 2009.

[269] „Orka na ugorze" – pismo młodzieży związanej z Klubem Demokratycznym w Warszawie. Ukazywało się od początku 1938 do początku 1939. Upadło z powodów finansowych i konfiskat cenzury. Zob. E. Fogelzang-Adler, *Działalność wydawnicza Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej (1939–1944)*, [w:] „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia ad Bibliothecarum Scientiam Pertinentia VII", Kraków 2009.

[270] Por. Marek Celt, *Raport z podziemia – 1942*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1992.

[271] Zob. S. Cenckiewicz, P. Gontarczyk, *Konfident z wyboru*, „Wprost", nr 24/1227 (2006).

[305] Por. M. Wańkowicz, *Pitaval IX*, [w:] A. Ziółkowska, „Proces Melchiora Wańkowicza 1964 roku", Warszawa 1990. Problem ten rozwijam w następnym rozdziale.

przyjacielem, na Andrzejewskiego, który zwierzał mu się po wódce ze spraw najintymniejszych, pisał raporty na środowisko „Kultury".

Koźniewski był związany z harcerstwem, był historykiem harcerstwa i ten ruch harcerski – nie wyłączając najbliższych przyjaciół – brutalnie obsmarowywał w swych raportach.

Bezpieka miała do dyspozycji człowieka lojalnego, chętnego do współpracy, samodzielnego i kreatywnego – czytaj: wyjątkowo niebezpiecznego dla swego najbliższego otoczenia. Zwłaszcza, że nikt raczej nie podejrzewał go o podobną działalność. Chyba dopiero po zaskakującym wystąpieniu Koźniewskiego na procesie Wańkowicza oskarżony nazwał go po raz pierwszy bezpośrednio: kapusiem, kameleonem, krętaczem, kłamcą.

Koźniewski wydał w połowie lat 90-tych książkę pt. „Słownik swoich i obcych, czyli alfabet Koźniewskiego" – coś jak „Abecadło Kisiela", tylko obszerniejsze i napisane dużo gorszym językiem[272]. Na jednej z pierwszych stron widnieje motto wyciągnięte z dzienników Andrzeja Kijowskiego: „Koźniewski zabłysnął erudycją personalną. Ten mógłby prowadzić kartotekę wszystkich działaczy politycznych w Polsce. Skąd on to wszystko wie? Zapowiada pamiętniki, które wyda za pięćdziesiąt lat"[273].

III

Pod koniec października 1964 r. Koźniewski sporządził raport, w którym wskazał podobieństwa między tekstem Gastona de Cerizay a wypowiedziami i zachowaniami Stanisława Mackiewicza:

Atak na Jarosława Iwaszkiewicza za artykuł w „Twórczości" z wykorzystaniem zwrotów: „czołobitność" i „prorwało" (ros. przerwało, złamało, pękło);

Rzadko spotykana w środowisku literackim pochwała Wilhelmiego jako redaktora kosztem Gottesmana;

Anegdota o Churchillu, którą Mackiewicz często przywołuje w rozmowach prywatnych oraz teza o wielkiej odwadze polskich kobiet, którą Cat miał wygłosić na zebraniu ZLP w czerwcu 1964 r.;

[272] K. Koźniewski, *Słownik swoich i obcych, czyli alfabet Koźniewskiego*, Warszawa 1994.

[273] A. Kijowski, *Dziennik 1955–1969*, Kraków 1998, wpis z dn. 6 IX 1955.

Twierdzenie, że przywrócenie wolności prasie polskiej skutecznie zneutralizuje Wolną Europę, które pojawiło się również w rozesłanym dn. 15 VIII 1964 r. przez Mackiewicza liście do literatów przed zjazdem ZLP;

Szczegółowe relacje z zebrań ZLP, co sugeruje autorstwo osoby w nich uczestniczącej – jak to miało miejsce w przypadku Mackiewicza;

Kurtuazyjne potraktowanie przemówienia Koźniewskiego ze wspomnianego zebrania czerwcowego, co współgra z dowodami sympatii okazywanymi Koźniewskiemu przez Cata;

Oryginalne stwierdzenie o 90% złych dróg w Polsce – charakterystyczne dla ocen stawianych przez Mackiewicza;

Szczegółowe streszczenie wystąpienia Cata na rozszerzonym zebraniu plenarnym ZLP ze stycznia 1964 r., m.in. na temat publicystów i propagandystów;

Mackiewicz pozostaje w kontakcie z Giedroyciem, jego „Polityka Becka" wyszła niedawno nakładem „Kultury" paryskiej[274].

Przypominam: artykuł „Polska Gomułki i list 34" pojawił się w „Kulturze" na początku października, a już pod koniec miesiąca bezpieka wiedziała bezsprzecznie, że pod pseudonimem Gaston de Cerizay kryje się Stanisław Mackiewicz.

IV

Jaki procent winy za taki bieg wypadków spada na samego Mackiewicza? Uważam, że bardzo duży. Rozumiem, że stylu pisarskiego się nie wybiera, zwłaszcza w przypadku, kiedy mówimy o publicyście już dojrzałym, ukształtowanym, kompletnym. Ale epatowanie informacjami, do których dostęp miało ograniczone grono osób czy powtarzanie oryginalnych – więc tym łatwiejszych do zapamiętania – anegdot, porównań, ocen i zwrotów znacznie ułatwiło zadanie bezpiece.

[274] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka z dn. 29 X 1964 o rozszyfrowaniu pseudonimu Gaston de Cerizay. Cenckiewicz i Gontarczyk oraz Siedlecka korzystali w swych opracowaniach na donosie Koźniewskiego z dn. 27 X 1964, ja natomiast pracowałem na znalezionym w teczce S. Mackiewicza opracowaniu St. Borowczaka z dn. 29 X 1964 sporządzonym na podstawie tego donosu.

Natomiast próby zmylenia tropu były raczej na poziomie taniego thrillera – skąd na przykład ten biedny Wraga miał wiedzieć: kto, jak długo i jak głośno przemawiał na zebraniach Związku Literatów w Warszawie?

Moje uwagi podpieram jeszcze zdaniem Z. S. Siemaszki, który – co prawda już po śmierci Mackiewicza – pisał w swym wspomnieniu: „Pierwszy artykuł w «Kulturze» podpisany pseudonimem Gaston de Cerizay był sensacją. Takim stylem mogło pisać tylko dwóch ludzi, Wańkowicz i Mackiewicz"[275].

14. Wokół procesu Wańkowicza

I

5 października 1964 r. w Warszawie miało miejsce zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej Związku Literatów Polskich. Przemawiający Zenon Kliszko, *de facto* druga po Gomułce osoba w państwie, powiedział w pewnym momencie: „A co do «sprawy Wańkowicza», to dziwię się, że nią się nie zajął prokurator"[276].

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Melchior Wańkowicz został natychmiast po powrocie z Krakowa aresztowany i przewieziony do budynku prokuratury generalnej.

Zofia Wańkowiczowa udała się wówczas do Stefana Kisielewskiego prosząc, aby o całej sytuacji zawiadomić kogoś ze Związku Literatów. Kisiel zadzwonił do Putramenta:

„Chciałem panu powiedzieć, że Wańkowicza zamknęli".

„Słuchajcie" – odezwał się po dłuższej chwili Putrament – „miałem taki dobry dzień, słońce, łowiłem ryby, byłem zadowolony, a wy mi wszystko psujecie taką wiadomością. Co będzie jeżeli już za takie żubry się biorą"[277].

Proces Melchiora Wańkowicza należy traktować jako następny etap sprawy „Listu 34".

[275] Z. S. Siemaszko, *Spotkanie z Mackiewiczem (W drugą rocznicę śmierci)*, „K", nr 4/246 (1968), s. 53. Konstanty Jeleński twierdził w połowie 1965 r., że od dawna wiedział, kto kryje się pod pseudonimem Gaston de Cerizay. Por. AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa St. K. z sierpnia 1965.

[276] M. Dąbrowska, op. cit., wpis z dn. 24 X 1964.

[277] S. Kisielewski, *Abecadło Kisiela*, Warszawa 1990, hasło: Melchior Wańkowicz.

II

W międzywojennej Polsce Wańkowicz zajmował się raczej wydawaniem niż pisaniem książek. Jako autor zasłynął przede wszystkim pracami: „Szczenięce lata" i „Na tropach Smętka". Natomiast śledząc emigracyjne losy pisarza to jakby przekładać kolejne karty atlasu geograficznego: z Lublina trafił do Rumunii, potem Cypr, Palestyna, Iran, Irak, Syria, Liban, Egipt i Włochy – gdzie brał udział w bitwie o Monte Cassino – na podstawie swych przeżyć stworzył następnie jedno z arcydzieł reportażu wojennego[278].

Bezpośrednio po wojnie odwiedził jeszcze Niemcy, Austrię, Francję i Włochy, następnie osiadł na dwa lata w Londynie. W 1949 r. wyjechał do córki do Ameryki, gdzie pracował na kurzej farmie u swego zięcia, Jana Erdmana[279].

Wańkowicza męczyły skromne warunki materialne oraz brak czytelników, nie mówiąc o tym, że pożarł się niemal z całą emigracją. Dlatego po krótkiej wizycie w Polsce Ludowej w 1956 r. zdecydował się na stały powrót do kraju dwa lata później[280]. Przed powrotem zaproponował Giedroyciowi przysyłanie do „Kultury" korespondencji. Redaktor podziękował w słowach: „Korespondencje z Polski nie bardzo mnie interesują. Natomiast gdyby Panu się udało pojechać do Rosji, to byłoby to pasjonujące i na korespondencje z Rosji bardzo bym reflektował"[281].

Albo Giedroyc rzeczywiście nie potrzebował informacji z kraju, bo otrzymywał je z innych źródeł, albo próbował sprowokować wybitnego i doświadczonego reportażystę do drugiej w jego życiu podróży po Związku Sowieckim.

[278] A. Ziółkowska-Boehm, *Na tropach Wańkowicza po latach,* Warszawa 2009, s. 77–82. Na emigracji Wańkowicz wydał m. in.: „De profundis" (1943), „Dzieje rodziny Korzeniewskich" (1943), „Wrześniowym szlakiem" (1944), „Kundlizm" (1947), „Wrzesień żagwiący" (1947), „Klub Trzeciego miejsca" (1949), „Ziele na kraterze" (1951), „Polacy i Ameryka" (1952), „Droga do Urzędowa" (1955).

[279] A. Ziółkowska-Boehm, *Na tropach Wańkowicza…*, s. 88.

[280] Ibidem.

[281] List J. Giedroycia do M. Wańkowicza z dn. 21 IV 1958, [za:] J. Giedroyc, M. Wańkowicz, op. cit. [316] Wańkowicz przez tydzień podróżował po Związku Sowieckim w 1933 r. Na podstawie tej podróży powstała książka pt. „Opierzona rewolucja" (1934).

III

Po powrocie do kraju Wańkowicz był dosłownie rozchwytywany. Na jednym z jego odczytów w warszawskiej Sali Kongresowej brakło miejsc. Wydawał mnóstwo książek, także emigracyjnych (choć z reguły w tym czy innym miejscu cenzurowanych), udzielał się publicystycznie, występował w radio i telewizji[282]. Można powiedzieć, że był wtedy jeśli nie najpopularniejszym, to z pewnością jednym z najpopularniejszych pisarzy w kraju.

Pisałem już o represjach, jakie dotknęły Wańkowicza po złożeniu podpisu pod „Listem 34". Teraz przygotowano wobec niego akt oskarżenia i postawiono przed sądem. Zarzucono mu sporządzenie 29-stronicowego opracowania pt. „Projekt przemówienia J. A. (względnie substrat dla kolejnych przemówień 4-5 mówców)". Tekst ten został sporządzony z myślą o zjeździe Związku Literatów Polskich w Lublinie we wrześniu 1964 r.[283] Nie został wykorzystany i autor przesłał go do córki zamieszkałej w Stanach Zjednoczonych celem opublikowania przez Radio Wolna Europa. Dokument zawierał krytykę stosunków kulturalnych w kraju[284].

Wańkowicza sądzono na podstawie par. 1 art. 23 małego kodeksu karnego z 13 czerwca 1946 r. w brzmieniu: „Kto rozpowszechnia lub w celu rozpowszechnienia sporządza, przechowuje lub przewozi pisma, druki lub wizerunki, nawołujące do popełnienia zbrodni lub pochwalające zbrodnię, lub których treść ma pozostawać tajemnicą wobec władzy państwowej, albo które zawierają fałszywe wiadomości mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego, bądź obniżyć powagę jego naczelnych organów, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 3".

Pierwsza rozprawa miała miejsce 26 października 1964 r. Wańkowicz domagał się jej odroczenia, żądał spotkania z Moczarem lub Gomułką.

[282] A. Ziółkowska-Boehm, *Na tropach Wańkowicza…*, s. 201–202.

[283] Mackiewicz sporządził podobny dokument pt. „Konstatacja ogólna i wstępna" zawierający krytykę cenzury, który przedstawił delegatom warszawskim na ten zjazd. Zob. AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Odpis artykułu S. Mackiewicza pt. „Konstatacja ogólna i wstępna".

[284] Pełny tekst „Projektu przemówienia J. A." w: A. Ziółkowska, *Proces Melchiora Wańkowicza…* J. Nowak rzeczywiście wykorzystał fragmenty „Projektu przemówienia J.A." w radio i jego piśmie „Na Antenie". Por. J. Nowak-Jeziorański, *Wojna w eterze…*, s. 421.

Moczar, z którym pisarz miał pozostawać w serdecznych stosunkach, przyjechał na rozmowę, ale nie potrafił przekonać Wańkowicza do swoich racji.

„No to, kurwa mać, będzie pan siedział" – odezwał się w pewnym momencie.

„No to, kurwa mać, będę siedział" – odpowiedział pisarz[285].

Po kilku dniach proces wznowiono. Jedynym świadkiem oskarżenia był niejaki Tadeusz Cibor, zeznający przy drzwiach zamkniętych. To on sporządził fotokopię maszynopisu „Projektu przemówienia J. A.", który został mu udostępniony do wglądu[286]. Wśród świadków obrony był powołany przez Wańkowicza Kazimierz Koźniewski, który swoimi zeznaniami… obciążył pisarza, zamiast go bronić[287].

Wańkowicz został skazany na trzy lata więzienia. Karę na podstawie amnestii skrócono do półtora roku[288].

IV

Drugi artykuł Gastona de Cerizay nosi tytuł „Trzy zagadki sprawy Wańkowicza" i jest rozważaniem o sytuacji pisarza przed procesem oraz o samym procesie[289]. Do Wańkowicza Mackiewicz powracał w swych następnych tekstach podpisanych pseudonimem, komentując całą sprawę na bieżąco.

Cat stawia następujące pytania:

Po pierwsze – dlaczego latem 1963 r. Wańkowicz, który był wówczas bezsprzecznie najpopularniejszym pisarzem w kraju, „pływał jak pączek w maśle", popadł nagle w niełaskę?

Po drugie – dlaczego kartka z odręcznym dopiskiem Wańkowicza, aby nie publikować tekstu pod jego nazwiskiem, nie znalazła się w aktach rozprawy?

[285] A. Ziółkowska-Boehm, *Na tropach Wańkowicza…*, s. 214–215.

[286] A. Ziółkowska, *Proces Melchiora Wańkowicza…*, s. 38.

[287] Ibidem, s. 42-47.

[288] Pełna sentencja wyroku sądu z dn. 9 XI 1964 r. w: ibidem, s. 177–184.

[289] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Trzy zagadki sprawy Wańkowicza*, „K", nr 1/207-2/208 (1965). Mackiewicz popełnił błąd w pierwszym zdaniu, bowiem wyrok został ogłoszony nie – jak podał – 9 października, ale miesiąc później. Otrzymywał informacje z pierwszej ręki, bo od samego Wańkowicza. Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 10 II 1965, [za:] *Listy Stanisława CataMackiewicza do Michała Pawlikowskiego…*

Przy czym oskarżony utrzymywał, że napisał na niej: „proszę tego nie publikować"[290].

Po trzecie – dlaczego zamiast tekstu „Projektu przemówienia J.A." w aktach znalazła się jedynie jego fotokopia? Czy oznacza to, że sfotografowanie tekstu nastąpiło już poza granicami Polski?

Mackiewicz zauważa, że w związku z procesem popularność Wańkowicza wybuchła – cała Polska nie mówi o niczym innym: „Ktoś żartobliwie wygłosił zdanie, że gdyby teraz były wybory Prezydenta na sposób amerykański, to obrano by Wańkowicza. W kraju pozbawionym normalnego życia politycznego tego rodzaju wydarzenia organizują pseudo-opinię publiczną"[291].

W następnych tekstach Gaston de Cerizay donosił, że pisarz nie złożył apelacji i wyrok się uprawomocnił. Cat nie wierzył jednak, aby władza ośmieliła się wsadzić mocno posuniętego w latach Wańkowicza „do mamra"[292]. Wspomniał o długiej rozmowie Wańkowicza z Gomułką ze stycznia 1965 r. Nie znamy niestety jej treści. Dość, że pisarz nie poszedł do więzienia, a po jakimś czasie wrócił na łamy pism i do księgarń.

W czerwcowym numerze „Kultury" 1965 r. Gaston de Cerizay pisze: „(…) Wańkowicz otrzymał wezwanie na komisję lekarską, której zadaniem było oczywiście stwierdzenie, że Wańkowicz jest tak chory, że do mamra iść nie może. Tymczasem Wańkowicz nie idzie na tę komisję, która go wzywa w coraz uprzejmiejszych wyrazach. Pierwsze wezwanie opiewało na obywatela, teraz – trzecie już z kolei – powiadało: «Pan Redaktor najuprzejmiej jest proszony…» A Wańkowicz się nie stawia, choć według prawa powinien być już od dawna zamknięty w celi więziennej"[293].

[290] Autor zaznacza, że w związku z tajnymi zeznaniami Cibora opiera się w tej kwestii wyłącznie na plotkach.

[291] W liście do Pawlikowskiego pisał, że dzięki procesowi zrobiono Wańkowiczowi „reklamę cokolwiek niezasłużoną". List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 17 XI 1964, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego…*

[292] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Klasa najbardziej niezadowolona*, „K", nr 3/209 (1965). A. Ziółkowska, *Proces Melchiora Wańkowicza…*, s. 62.

[293] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Literaci warszawscy i prorosyjskość doktryny Hallsteina*, „K", nr 6/212 (1965).

Rozwiązuje jedną z postawionych wcześniej zagadek, pisząc w marcu 1965 r.: „Potem ogłoszono w tygodniku «Prawo i Życie» że fotokopia listu Wańkowicza, który był przedmiotem rozprawy sądowej zrobiona była w pomieszczeniu «Free Europe» w Monachium. Ta wiadomość niewątpliwie zainteresuje współpracowników radia monachijskiego (…)”[294].

Jan Nowak w korespondencji do Giedroycia dowodził, że rewelacje Gastona de Cerizay są nieprawdziwe, niepokojące i szkodliwe, że bezpieka „stara się wywołać wrażenie w Polsce i na emigracji, że wiadomo jej wszystko o kontaktach krajowych, zarówno naszego radia, jak i «Kultury»”. Pisał dalej: „Według wersji, które dotarły do nas z kilku różnych źródeł, tekst Wańkowicza został «wypożyczony» Bezpiece na dwie godziny przez Koźniewskiego w celu sporządzenia fotostatu”. Prosił jednocześnie o zamieszczenie sprostowania, które rozesłał również do polskich tytułów emigracyjnych[295].

W liście opublikowanym na łamach paryskiego miesięcznika tłumaczył, że doniesienie „Prawa i Życia” nie zawierało informacji o sfotografowaniu „Projektu przemówienia J. A.” w siedzibie Radia Wolna Europa w Monachium. Nie mogło się to zresztą zdarzyć, bo tekst Wańkowicza po prostu się tam nie znajdował. RWE podało jedynie informacje dochodzące z kraju, które częściowo pokrywały się z opisem sporządzonym przez pisarza[296].

[294] Idem, *Konwencja międzynarodowa*, „K”, 3/209 (1965).

[295] List J. Nowaka do J. Giedroycia z dn. 6 III 1965, [za:] J. Nowak-Jeziorański, J. Giedroyc, *Listy 1952–1998*, red. D. Platt, Wrocław 2001. List opatrzony dopiskiem: „OSOBISTE-POUFNE”. Giedroyc tłumaczył pomyłki w tekście G. de Cerizay i w krajowych artykułach publikowanych w „Kulturze” w ogóle trudnościami komunikacyjnymi, ryzykiem częstych kontaktów i zasadą nieingerowania w tekst autora. Por. List J. Giedroycia do J. Nowaka z dn. 9 III 1965, [za:] ibidem.

[296] J. Nowak, List do Redakcji, „K”, nr 4/210 (1965). Nowak pisze w swoich wspomnieniach: „Nie wygłoszone przemówienie [Wańkowicz] wysłał przez ambasadę USA pocztą dyplomatyczną do swojej córki, Marty Erdman w Waszyngtonie z poleceniem, by przekazała go Wolnej Europie. Dostałem tylko fragment na pięciu stronach z instrukcją, by broń Boże nie nadawać go w jednym kawałku. Zastosowałem się do niej skrupulatnie. Kilka najcelniejszych wyjątków wplecionych zostało do «Panoramy» i do «Faktów». Nadaliśmy także listę członków partii, którzy odmówili tak zwanego kontr protestu. Komentarz i listę ogłosiliśmy w naszym miesięczniku «Na Antenie». Nazwiska w liście nie były podane w porządku alfabetycznym i nikomu nie przyszło na myśl, by zmieniać ich kolejność. (…) Wańkowicz oskarżony został o dostarczenie swego przemówienia Wolnej Europie. Skąd bezpieka mogła się o tym dowiedzieć? Oprócz Marty Erdman, mnie, moich dwóch sekretarek, przyjaciela Erdmanów, Wojtka Trojanowskiego, nikt nie wiedział, że córka pisarza przekazała mi fragment jego przemówienia. Nie było też rzeczą możliwą, by do tego dokumentu mógł się dobrać w naszym budynku jakiś agent. Poufne papiery trzymałem w piwnicy, która w całości stanowiła opancerzony sejf. Jakakolwiek próba dobrania się do środka przez osobę nie znającą kombinacji otwierania wprawiała automatycznie w ruch urządzenia alarmowe. Ogłosiliśmy więc z miejsca zaprzeczenie. To samo zrobiła Erdmanowa”. J. NowakJeziorański, *Wojna w eterze…*, s. 421.

Mackiewicz odpowiedział na zarzuty Nowaka w krótkim *post scriptum* pod jednym z następnych tekstów: „Dyrektor monachijskiej rozgłośni radiowej polemizuje ze mną na łamach londyńskich «Wiadomości». Myli się jednak twierdząc, że «Prawo i Życie» warszawskie nie pisało, iż fotokopie listu Wańkowicza nie była zrobiona w Monachium. Oto co pisało «Prawo i Życie» dnia 16 stycznia br.: «Wyjaśniamy, że prywatna przesyłka nie była listem przesłanym pocztą, przesyłka dotarła bez przeszkód do adresatki. O jej istnieniu dowiedziano się dopiero po znalezieniu się tekstu w Monachium w siedzibie radia Freies Europa». *Sapienti sat*”[297].

„Sprawa Wańkowicza” odbiła się również szerokim echem zagranicą. Jej wynik najlepiej chyba streścił korespondent „New York Timesa” stwierdzając, że reżim „wygrał proces, ale przegrał sprawę”[334].

V

Nie można ulec wrażeniu, że Gaston de Cerizay odnosił się do Wańkowicza w sposób niegrzeczny czy choćby uszczypliwy. Starał się raczej zadośćuczynić bezstronnej relacji.

Natomiast w kuluarach rozmawiano już ostrzej: „Dnia 3 kwietnia w kawiarni Nowy Świat b. członek b. klubu Krzywego Koła Stanisław Cat Mackiewicz mówił o sprawie Wańkowicza. Powiedział, że Wańkowicza można właściwie uważać za człowieka wykończonego, przekreślonego i u nas, i za granicą. Gdyby czekał spokojnie, a mógł, bo na pewno ma z czego żyć, na wezwanie do odbycia kary, i nie wezwano by go, mógłby mówić, a mówiono by na pewno głośno za granicą, że w Polsce jednak nie odważyli się zamknąć starego człowieka i pisarza o znanym w świecie nazwisku, że się boją itp. Tymczasem Wańkowicz, który przez krótki czas szykował się do zajęcia roli bohatera naro-

[297] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Literaci warszawscy…* [334] A. Ziółkowska, *Proces Melchiora Wańkowicza…*, s. 56-63.

dowego – uderzony po kieszeni – nie wytrzymał i pokajał się. «Stracił twarz» dla zagranicy, a w kraju szybko zapomniano o jego sprawie, tym bardziej że zarówno jego ostatnie felietony w «Za i przeciw» były z każdym tygodniem coraz bardziej mętne, a z «Przekroju» właściwie wypchnął go Budrewicz[298], którego felietony biły wszystkie pisaniny Wańkowicza świeżością, barwnością i aktualnością. Krąży wersja, że Wańkowicz w rozmowie z I sekretarzem starał się w dodatku zrzucić winę za swój czyn na innych. Mówił jakoby, że został po prostu «napuszczony», że skorzystano z tego, że ma obywatelstwo amerykańskie, i namówiono do złego"[299].

Trzeba powiedzieć, że Mackiewicz chyba nigdy nie miał dobrego zdania o Wańkowiczu, w szczególności w ostatnich latach swego życia. Pozwolę sobie zacytować kilka tylko zdań z listów Cata do Michała K. Pawlikowskiego:

„Mel jest człowiekiem sprytnym, pełnym poczucia aktualności, gatunków wazeliny etc., ale Bóg pozbawił go całkowicie talentu, co on zastępuje pracowitością i sztucznością".

„«Tędy i owędy» uważam za książkę w ogóle nic nie wartą, a Mela za patentowaną świnię".

„Mel jako pisarz się skończył. Pisze jakieś senilia"[337].

„Tymczasem byłem na pogrzebie na Powązkach, przemawiał ten *prochwost* [ros. szubrawiec] Mel nad grobem naszego wspólnego kolegi z niepodległościowonarodowych organizacji sprzed pierwszej wojny światowej"[300].

Czy uczucie Cata do Wańkowicza było odwzajemnione? Nie mam bliższych informacji na ten temat. Jaruzelski stosunki między dwoma pisarzami po powrocie Mackiewicza do Polski określił jako zawiłe, małostkowe i nieszczere[301].

[298] Olgierd Budrewicz (1923–2011) – dziennikarz, podróżnik, pisarz, varsavianista. Żołnierz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego. Po wojnie pracował m. in. w „Tygodniku Powszechnym" i „Słowie Powszechnym". Autor wielu reportaży zagranicznych i prac poświęconych tematyce varsavianistycznej.

[299] AIPN 0192/72, Tajne doniesienie TW „Jot" dotyczące echa sprawy Wańkowicza z dn. 8 IV 1965, za: A. Ziołkowska-Boehm, *Na tropach Wańkowicza…*, s. 522–523. Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 10 II 1965, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego…* [337] M. K. Pawlikowski, op. cit.

[300] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 27 X 1965, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego…*

[301] J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz…*, s. 301.

15. Szkice o Polsce Ludowej

I

Biorę w tym miejscu na warsztat następne trzy artykuły Gastona de Cerizay. Tematem wiążącym je wszystkie są represje władzy wobec literatów: Januarego Grzędzińskiego[302] i Jana Nepomucena Millera[303]. Jest to więc kontynuacja wątku o konflikcie władzy ze środowiskiem literackim.

Pod koniec czerwca 1964 r. bezpieka przechwyciła list Grzędzińskiego adresowany do byłej żony Lidii Lisik w Maroku. Adres ten uważano za skrzynkę kontaktową „Kultury" paryskiej. Sporządzono na tej podstawie notatkę, w której zawierała się propozycja wszczęcia postępowania przeciwko Grzędzińskiemu na podstawie zapisu art. 23 małego kodeksu karnego o kolportowanie „fałszywych wiadomości mogących wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego"[304].

Postępowanie zostało wszczęte w połowie sierpnia. Oskarżony pozostawał pod stałą obserwacją, szantażowano go, wyciągano różne rzeczy z przeszłości, ale ostatecznie nie udało się zastraszyć. We wrześniu dokonano rewizji w jego mieszkaniu, konfiskując niektóre materiały[305].

Po względnie spokojnym początku 1965 r. (w związku z zamieszaniem wokół „afery mięsnej"[306]) 1 kwietnia sąd dziennikarski zawiesił Grzędzińskiego w prawach członka Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Pod koniec czerwca dokonano ponownej rewizji w jego mieszkaniu, wzywano na częste przesłuchania, wstrzymano wypłacanie renty dla zasłużonych[307].

[302] January Grzędziński (1891-1975) – polski wojskowy, inżynier, publicysta i pisarz. Współtwórca polskiego lotnictwa. Przed wojną redagował m. in. pismo „Czarno na Białem". Walczył we francuskim ruchu oporu. Po wojnie mieszkał w Casablance. Wrócił do kraju w 1957 r.

[303] Jan Nepomucen Miller (1890-1977) – poeta oraz krytyk literacki i teatralny. Członek PPS. W czasie okupacji działał w Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej (PLAN). Po wojnie był m. in. dyrektorem zielonogórskiego teatru i redaktorem pisma „Teatr".

[304] A. J. Cieślikowa, *O człowieku, który się nie zgadzał. Biografia pułkownika Januarego Grzędzińskiego 1891-1975*, Warszawa 2009, s. 369. Por. M. Ptasińska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego przez Służbę Bezpieczeństwa w czasach Gomułki*, [w:] „Aparat Bezpieczeństwa wobec emigracji politycznej i Polonii", red. R. Terlecki, Warszawa 2005, s. 160.

[305] A. J. Cieślikowa, op. cit., s. 369-371.

[306] Główny oskarżony w procesie, który miał miejsce na przełomie 1964-1965, Stanisław Wawrzecki został skazany na karę śmierci. O „aferze mięsnej" zob. M. Pasztor, D. Jarosz, *Afera mięsna. Fakty i konteksty*, Toruń 2004.

[307] A. J. Cieślikowa, op. cit., s. 374-375.

Sam Grzędziński najpierw próbował skłonić do interwencji w swojej sprawie nowego ministra kultury i sztuki Lucjana Motykę, następnie protestować przeciw cofnięciu renty, jednak nie przynosiło to żadnych efektów[308].

Giedroyc pisał o sytuacji Grzędzińskiego nie ukrywając zdziwienia: „Z Grzędzińskim jest sprawa dość tajemnicza. Ciągle siedzi[309]. Miałem od niego «grypsy». Wynika z nich, że oskarżają go o kontakt… ze mną. Grzędziński był żonaty z Giedroyciówną (żadna moja krewna i nigdy jej nie widziałem), z którą się rozwiódł. Jest ona obecnie żoną dr. Lisika i mieszka w Casablance. Stosunki jej z Grzędzińskim pozostały b. dobre i korespondowali ze sobą. Grzędziński czasami przesyłał za jej pośrednictwem pozdrowienia dla mnie. Z tego wyszła historia, że jest ona jakąś łączniczką między «Kulturą» a Grzędzińskim. Dom wariatów"[310].

Mackiewicz w artykule „Literaci warszawscy i prorosyjskość doktryny Hallsteina" odniósł się do listu Grzędzińskiego, w którym miały znajdować się pozdrowienia dla Jerzego: „Oskarżenie twierdziło, że jeśli Jerzy to na pewno Giedroyć, redaktor «Kultury», którego się tutaj obawiają prawie na równi z bombą atomową"[311]. Nawiązuje również do wyroku sądu zawieszającego Grzędzińskiego w prawach członka SDP: „Dziennikarski sąd honorowy powinien był przecież wpierw samego siebie zapytać czy jest rzeczą przyzwoitą otwierać listy człowieka piszącego do swojej byłej żony i w żadnym razie do publikacji nie przeznaczone. W każdym razie w normalnych warunkach nie znalazłoby się trzech dziennikarzy, którzy by się zgodzili wziąć udział w zespole «honorowym», zastanawiającym się nad takimi materiałami oskarżycielskodowodowymi".

[308] Ibidem, s. 372-373. Śledztwo przeciw Grzędzińskiemu zawieszono w październiku 1965 r. „z uwagi na stwierdzone u Grzędzińskiego chorobowe zmiany starcze, niepozwalające mu uczestniczyć w rozprawie sądowej". Por. M. Ptasińska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego…*, s. 161.

[309] W rzeczywistości J. Grzędziński pozostawał cały czas na wolności. Por. A. J. Cieślikowa, op. cit., s.

[310] List J. Giedroycia do W. Weintrauba z dn. 12 XII 1964, [za:] M. Ptasińska-Wójcik, *Z dziejów Biblioteki Kultury…,* s. 289. W podobnych słowach redaktor pisał w liście do Mieroszewskiego. Por. M. Ptasińska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego…*, s. 161.

[311] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Klasa najbardziej niezadowolona…* Idem, *Literaci warszawscy…*

Jan Nepomucen Miller został z kolei oskarżony o publikowanie artykułów w londyńskich „Wiadomościach" Grydzewskiego pod pseudonimem Stanisław Niemira. Mackiewicz wyrażał się o tych tekstach: „Artykuły były ostre, nie tak jednak ostre jak te, które ukazują się często we Francji w stosunku do rządów generała de Gaulle, lub te które napadały na «rządy sanacyjne» w przedwojennej Polsce. Dopuścił się Niemira szargania świętości. Czy uwierzycie, że o ostatnim dziele Jarosława Iwaszkiewicza wydanym pod triumfalnym tytułem «Sława i chwała» ośmielił się napisać «Sława bez chwały». Okropne!"[312].

Millera postawiono przed sąd koleżeński Związku Literatów Polskich – Mackiewicz zaproponował podjęcie się jego obrony[313]. Wstrzymano mu rentę, pozostawiając *de facto* bez środków do życia, ponadto nieustannie atakowano w prasie warszawskiej bez możliwości odpowiedzi na zarzuty[314]. Wypominano mu również, że w swych artykułach publikowanych na emigracji atakował ten sam rząd, który przyznawał mu swego czasu nagrody literackie, co Cat komentował: „Nagroda literacka uważana jest [za] coś w rodzaju łapówki, którą jeśli się raz weźmie, to już do końca życia trzeba być swemu łaskawcy wiernym, oddanym i posłusznym"[315].

Jednak za bardziej interesujące od oskarżeń pod adresem Grzędzińskiego i Millera Mackiewicz uznawał aresztowanie w marcu 1965 r. „grupy Modzelewskiego"[316]. Po pierwsze dlatego, że byli to ludzie młodzi, po drugie – że byli to „komuniści, ale komuniści niezadowoleni z obowiązującego ustroju i chcący go poprawić na bardziej wzniosłe kopyto, jeśli wolno się tak wyrazić"[317]. Tematu tego jednak nie rozwija.

[312] Idem, *Konwencja międzynarodowa…*

[313] List J. Giedroycia do J. Stempowskiego z dn. 15 I 1965, [za:] J. Giedroyc, J. Stempowski, op. cit.

[314] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Konwencja międzynarodowa...* Por. List J. Gieroycia do Cz. Miłosza z dn. 15 I 1965, [za:] J. Giedroyc, Cz. Miłosz, *Listy 1964-1972…* O J. N. Millerze zob. również: A. Steinsbergowa, *Ze wspomnień obrońcy. (Kariera artykułu 23)*, „Zapis", nr 8 (1978).

[315] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Klasa najbardziej niezadowolona…*

[316] Zob. A. Friszke, *Anatomia buntu…*, s. 226-235.

[317] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Literaci warszawscy…*

II

W marcowym numerze „Kultury" z 1965 r. znajdujemy dwa artykuły Gastona de Cerizay: „Klasa najbardziej niezadowolona" oraz „Konwencja międzynarodowa"[318]. W pierwszym z nich autor pochyla się na sytuacją klas społecznych w Polsce Ludowej oraz ich stosunku do reżimu komunistycznego.

Mackiewicz pisze:

Położenie geopolityczne Polski wyklucza dziś możliwość sprawowania rządów przez nie-komunistów. Komuniści zawsze stanowili w Polsce margines, tak w czasach międzywojennych, jak po wojnie. Ale choć rząd sprawuje władzę w jak najgorszym wydaniu, a przytłaczająca większość społeczeństwa jest mu przeciwna, to powojenny układ międzynarodowy nie daje póki co jakichkolwiek szans na jego zmianę.

Szczęściem w nieszczęściu jest natomiast to, że władzę sprawują komuniści, którzy w jakimś stopniu czują się przecież Polakami. Niewątpliwą zasługą Gomułki jest sprzeciw wobec kolektywizacji wsi, bo inaczej „Warszawa musiałaby zdechnąć z głodu, tak jak głód panuje w wielkiej ojczyźnie Lenina".

Spośród wszystkich klas społecznych: inteligencji, chłopstwa, i robotników zdecydowanie najbardziej wroga władzy socjalistycznej jest klasa robotnicza. Robotnicy – podobnie jak chłopi – nie mają w Polsce nic do powiedzenia. Robotnik nienawidzi słowa „socjalizm", który oznacza jedynie całkowite upaństwowienie gospodarki. Sytuacja przedstawiałby się może inaczej, kiedy położenie robotnika polskiego odpowiadało położeniu robotnika w krajach zachodnioeuropejskich, z którego robotnik polski zdaje sobie sprawę, że jest dużo lepsze.

Inteligencja jest klasą rządzącą i w ogromnej większości należy do PZPR, ale nie wynika z tego, że przyswoiła sobie ona treści komunistyczne: „Członkostwo Partii to jest sytuacja osobista, zwłaszcza ważna dla inteligenta pracującego w biurze. Dlatego nikt się jej nie wyrzeka, a potem śpi na zebraniach partyjnych, o ile oczywiście nie zajmuje się jakimiś partyjnymi intrygami lub pieniężnymi spekulacjami załatwianymi via stosunki partyjne".

[318] Kwestie, które będę tu opisywał, takie jak: niemożność zmiany niepopularnego rządu czy złe położenie robotnika w państwie socjalistycznym Mackiewicz powtarza również w jednym z następnych artykułów pt. „Literaci warszawscy i prorosyjskość doktryny Hallsteina".

Zarobki inteligenta są śmiesznie niskie, dlatego musi zajmować się on „organizowaniem", które występuje powszechnie w społeczeństwie, a bez którego „nędza kraju byłaby jeszcze o wiele nędzniejsza".

Chłop jest o tyle uprzywilejowany, o ile może swobodnie dysponować owocami swojej pracy. Klasa chłopska jest jednak klasą zamkniętą, w ogromnej mierze uzależnioną od kościoła. Większość kleru rekrutuje się ze stanu chłopskiego, co przyczynia się do tego, że „chłop i ksiądz rozumieją się doskonale".

III

W drugim tekście z tego samego numeru Gaston de Cerizay pochyla się nad „Konwencją w sprawie zwalczania dyskryminacji w dziedzinie oświaty"[319], a w szczególności nad jej art. 5 pkt. b w treści: „Rodzice i w odpowiednich przypadkach prawni opiekunowie powinni mieć możność, po pierwsze – w granicach zakreślonych ustawodawstwem każdego państwa – swobodnego posyłania swoich dzieci nie do państwowych, lecz do innych zakładów nauczania, odpowiadających minimalnym wymaganiom ustalonym lub zatwierdzonym przez właściwe organy oświatowe i po drugie – zapewnienia religijnego i moralnego wychowania dzieci zgodnie z ich osobistymi przekonaniami; nikomu indywidualnie, ani żadnej grupie osób jako całości nie należy narzucać religijnego wychowania, niezgodnego z ich przekonaniami"[320].

Autor analizuje powyższy zapis z perspektywy możliwego konfliktu na linii państwo-Kościół. Jego zdaniem władze upaństwowiły w kraju wszystko: od działalności gospodarczej przez działalność związkową, aż do działalności politycznej. Kościół katolicki jest w Polsce jedyną instytucją, która prowadzi względnie swobodną, niezależną od rządu politykę i która może skutecznie z tym rządem rywalizować. Państwo ograniczając swobodę kultu i nauki religii w szkołach otrzymuje efekty zupełnie przeciwne od zamierzonych. Dzieci mimo zakazów uczęszczają na nabożeństwa niekoniecznie z czystej gorliwości

[319] Konwencja została przyjęta na XI sesji Konferencji Generalnej Organizacji Narodów Zjednoczonych dla Wychowania, Nauki i Kultury dn. 14 XII 1960 r. w Paryżu i weszła w życie z dn. 22 V 1962 r.

[320] Pełen tekst konwencji dostępny w Internecie: www.libr.sejm.gov.pl/tek01/txt/onz/1960.html [30 VII 2013].

religijnej, ale dlatego, że widzą w Kościele poważną siłę opozycyjną w stosunku do reżimu.

Rząd polski ratyfikował i ogłosił „Konwencję w sprawie zwalczania dyskryminacji w dziedzinie oświaty" dopiero w czwartym roku po jej podpisaniu[321]. Gaston de Cerizay twierdzi na tej podstawie: rząd widocznie „spostrzegł, że konwencja ta stwarza mu poważne trudności". Ostatecznie władze zadeklarowały jednak, że będą się do niej stosować bez żadnych wyjątków.

Konwencja – dowodzi dalej Mackiewicz – obliguje władze do dopuszczenia funkcjonowania na terenie kraju szkół niepaństwowych w stopniu zaspokajającym potrzeby społeczeństwa. Próby obchodzenia tego nakazu przez powoływanie się na „granice zakreślone ustawodawstwem każdego państwa" byłoby działaniem „niezgodnym z elementarnym rozumowaniem prawniczym".

Gaston de Cerizay uważa, że na podstawie rozbieżności w interpretacji tej konwencji może w najbliższej przyszłości wyniknąć konflikt między Kościołem i rządem, choć zaznacza, że do tego konfliktu nie nawołuje. Kościół katolicki powinien bowiem pamiętać, że „naród polski został w ostatnich czasach osłabiony przez najrozmaitsze zrywy", natomiast władza musi zdać sobie sprawę, że wojna z Kościołem będzie wojną przegraną bez jeszcze większego uzależnienia się od Związku Sowieckiego.

IV

Z trzeciego artykułu pod tytułem „Literaci warszawscy i prorosyjskość doktryny Hallsteina" interesuje nas teraz druga jego część. Autor zaznacza na wstępie: „W dziedzinie polityki zagranicznej należy uchwycić to, co jest główne, istotne, co ciąży na całym systemie politycznym rządów i co nie tylko odpowiada Gomułce, lecz czymś, w czym solidaryzuje się Gomułka z kardynałem Wyszyńskim, w czym wódz znakomitej mniejszości w Polsce – to jest Gomułka, będzie poparty przez wodza znakomitej większości w Polaków – to jest kardynała Wyszyńskiego. Myślę o sprawie niemieckiej". Mackiewicz zauważa, że polityka Niemiec względem Polski jest „łańcuchem, który przykuwa Polaków do rydwanu rosyjskiego", ponieważ traktują one Polskę jako kartę

[321] Konwencja weszła w życie w stosunku do Polski dn. 16 XII 1964 r.

przetargową w rozgrywce z Rosją. Dowodzi tego w oparciu o tzw. „doktrynę Hallsteina".

Doktryna sformułowana w 1955 r. przez wiceministra RFN Waltera Hallsteina mówiła o wyłącznym prawie do reprezentowania Niemiec na arenie międzynarodowej przez Republikę Federalną. Konsekwencją prowadzenia polityki w myśl tej doktryny było zrywanie stosunków dyplomatycznych z każdym krajem, które uznałoby Niemiecką Republikę Demokratyczną. Ale w tym samym 1955 r. kanclerz Adenauer odwiedził Moskwę, nawiązując stosunki dyplomatyczne ze Związkiem Sowieckim, co było oczywistym odstąpieniem od doktryny Hallsteina, choć w stosunku do innych państw – w tym Polski – była ona konsekwentnie realizowana[322].

Cat dowodzi, że wobec odzywających się głosów niemieckich o rewizji granicy z Polską prowadzenie polityki według doktryny Hallsteina z wyłączeniem Związku Sowieckiego jest zabiegiem wybitnie prosowieckim, wzmacniającym pozycję sowiecką w Europie Środkowej. Pisze, że stanowisko niemieckie „wyraża nadzieję, że kiedyś [Niemcy] będą mogły dojść z Rosją do porozumienia i to właśnie kosztem Polski".

16. Rozwiązuję zagadkę pewnego artykułu

I

W połowie lipca 1965 r., kiedy Cat przebywał w uzdrowisku w Solcu-Zdroju, w Ministerstwie Kultury i Sztuki odbyła się konferencja, w której prócz ministra Lucjana Motyki wziął udział również prokurator generalny Kazimierz Kosztirko. Przedstawiono na niej zarzuty pod adresem Stanisława Mackiewicza, Januarego Grzędzińskiego i Jana Nepomucena Millera w związku w publikowaniem w prasie emigracyjnej „opracowań-paszkwilów wymierzonych przeciwko Polsce Ludowej, szkalujących nasz kraj, stosunki gospodarcze i kulturalne w Polsce". Przypomniano ponadto majową uchwałę warszawskiego Związku Literatów „uznającą współpracę z wrogimi Polsce ośrodkami propagandy za granicą – za nie licujące z godnością pisarza polskiego"[323].

[322] W. Roszkowski, op. cit., s. 93. Stosunki dyplomatyczne między Polską a RFN zostały nawiązane dopiero 14 września 1972 r.

[323] [Bez autora], *Sprawa Cata-Mackiewicza, J. Grzędzińskiego i J. N. Millera*, „Trybuna

Mackiewicz napisał wówczas do Pawlikowskiego: „Co mi teraz pozostaje? – Podobno mogę zabiegać o paszport zagraniczny, ale przecież nie dlatego wracałem do kraju, aby powracać na emigrację. Najlepiej byłoby umrzeć i nie mam żadnego strachu przed śmiercią , ale nie stać mnie na popełnienie samobójstwa”[324].

II

Bezpośrednio przed konferencją ukazał się w „Kulturze” następny artykuł podpisany nazwiskiem Gaston de Cerizay pod tytułem „Adwokatura po roku – czyli zbędni ludzie w służbie przemocy”[325].

W grudniu 1963 r., po wcześniejszym przypuszczeniu ostrego ataku na palestrę, przyjęto ustawę o nowym ustroju adwokatury. Na jej podstawie zwiększono uprawnienia ministra sprawiedliwości, ograniczono samorząd adwokacki i zniesiono Zjazdy Adwokatury[326].

Ustawa ta wraz z wywiadem udzielonym przez prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej Stanisława Godlewskiego[327] są główną osią rozważań autora.

Artykuł opatrzony jest mottem: „Gdzie rząd łotrów używa za swoje narzędzie,/ tam sądzony cnotliwszy aniżeli sędzie”.

Czytamy:

W każdym cywilizowanym kraju adwokatura predestynowana jest do zajmowania szczególnego miejsca wśród jego elity i dlatego jest obiektem żywego zainteresowania rządu. W państwie polskim, gdzie wolności nie ma w ogóle, zainteresowanie to przejawia się z wyjątkową siłą. Względny spokój pierwszych lat powojennych połączony z zapewnieniami władzy o normalnym rozwoju

Ludu” z dn. 16 VII 1965. Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 23 VII 1965, [za:] *Listy Stanisława Cata-Mackiewicza do Michała Pawlikowskiego…*

[324] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 23 VII 1965, [za:] *Listy Stanisława CataMackiewicza do Michała Pawlikowskiego…* Por. List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 27 X 1965, [za:] ibidem.

[325] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Adwokatura po roku – czyli zbędni ludzie w służbie przemocy*, „K”, nr 7/213-8/214 (1965).

[326] F. Sadurski, *Adwokatura polska w latach 1944-1988*, „Palestra”, nr 11/371-12/372 (1988), s. 97-98. Więcej na ten temat zob. Z. Wasik, Z. Witkowski, *Problem podporządkowania adwokatury w Polsce Ludowej*, „Palestra”, nr 1/301-2/302 (1983).

[327] Wywiad wydrukowany w: „Prawo i Życie”, nr 2/228 (1965).

adwokatury podyktowane były wyłącznie taktyką. Władze zbierały informacje na temat członków palestry i przygotowywały się do wprowadzenia nowego ustroju adwokackiego.

Pod przykrywką tzw. „akcji weryfikacyjnej” zaczęto zmuszać adwokatów do podejmowania współpracy z bezpieką, grożąc m.in. odmową weryfikacji. W konsekwencji doprowadzono do całkowitej infiltracji palestry. Ponadto władze zaczęły wpisywać na listy adwokatów ludzi nieposiadających wykształcenia prawniczego, ale „rzekomo wykształconych działaczy w tej dziedzinie”.

„Październik” przyniósł co prawda chwilowe wytchnienie, ale Gomułka dość szybko rozwiał złudzenia tych, którzy liczyli na trwałą liberalizację stosunków w Polsce Ludowej. Występujący tylko w Polsce i nigdzie indziej w krajach satelickich tak zwany „immunitet praworządności” polega na tym, że „nikomu (…) nie wolno ingerować w poczynania danego organu czy urzędu, który wykonując swoją «autonomiczną» władzę, na zasadzie jemu tylko dostępnej interpretacji przepisów prawa, dopuszcza się w istocie grubego naruszenia prawa”. Funkcjonujący w Polsce „mit praworządności” całkowicie uniemożliwia obywatelowi dochodzenia swoich praw, blokuje wszelką inicjatywę.

Środowisko adwokackie jest zbiorem ludzi wysoce inteligentnych i wyrobionych, środowiskiem o mocnych tradycjach wolnościowych i z tego powodu władze nie mogły brutalnie go pacyfikować bez narażania się na powszechny opór społeczeństwa polskiego i środowisk kulturalnych zagranicą. Dlatego też rozpętano kampanię oskarżeń przeciw palestrze, mającą na celu jej dyskredytację w oczach społeczeństwa i milczące przyzwolenie na pacyfikację adwokatury. Wszystko to doprowadzało do ekstremalnych sytuacji w postaci prób odebrania sobie życia przez adwokatów i samobójczych śmierci.

Na zakończenie autor daje charakterystykę wspomnianego Stanisława Godlewskiego – najpierw sędziego wojskowego, następnie pracownika wydziału prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, nie posiadającego odpowiedniej praktyki w zawodzie adwokata, wyniesionego z poparciem władzy do najwyższych stanowisk kierowniczych, które obejmują tylko „posłuszne kreatury”.

Tyle treść – przejdźmy do krytyki.

III

Ośrodek Myśli Politycznej wydał jakiś czas temu pracę zbiorową pt. „Patriotyzm i zdrada". Znajdujemy tam rozważania Macieja Zakrzewskiego o Stanisławie Mackiewiczu, w których nawiązuje do omawianej tu przeze mnie publicystyki Gastona de Cerizay i cytuje jego opinię o Gomułce zaczerpniętą z artykułu „Adwokatura po roku"[328].

Nie myślę znęcać się tu nad autorem, ale wystarczyło sumiennie przeczytać – przywoływaną zresztą przez niego – biografię pióra Jaruzelskiego i spojrzeć na tekst Gastona de Cerizay krytycznie, aby skonstatować, że nie wyszedł on spod ręki Mackiewicza.

Pod koniec lipca 1965 r. Cat pisał do Pawlikowskiego: „Obecnie, jak pewnie słyszałeś, zostałem oskarżony z 23 art. małego kodeksu karnego przewidującego karę od 3 do 15 lat więzienia bez prawa korzystania z instytucji zawieszenia kary. Chodzi o artykuły podpisane Gaston de Cerizay w «Kulturze», do autorstwa których się przyznałem[329]. Ale już po wszczęciu sprawy ukazał się w lipcowym numerze «Kultury» artykuł: «Adwokatura po roku, czyli zbędni ludzie w służbie przemocy». Artykuł ten nie jest mego pióra, nic o nim nie wiedziałem, okazany mi został dopiero na policji. Poza tym oburza mnie, że «Kultura» nie poznała, że ta szmira nie jest pisana moim stylem i moim językiem. Jest to coś co można nazwać skurwysyństwem, jeśli się chce szukać «le mot juste» [fr. odpowiedniego słowa]"[330].

[328] M. Zakrzewski, *Polityczne (roz)grzeszenie Cata*, [w:] „Patriotyzm i zdrada. Granice realizmu i idealizmu w polityce i myśli polskiej", red. J. Kloczkowski, M. Szułdrzyński, Kraków 2008, s. 174–175.

[329] Cat powiedział na przesłuchaniu: „Do publikowania moich artykułów w «Kulturze» pod wskazanym powyżej pseudonimem skłoniło mnie zaostrzenie cenzury w kraju oraz nie wydanie w Polsce mojej książki o Becku, która wydana została w Paryżu przez Giedroycia". AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Przesłuchanie S. Mackiewicza z dn. 22 VI 1965.

[330] List S. Mackiewicza do M. K. Pawlikowskiego z dn. 23 VII 1965, [za:] *Listy Stanisława CataMackiewicza…*. M. F. Rakowski zapisał w swoich dziennikach: „Cat-Mackiewicz drukował w paryskiej «Kulturze», oczywiście pod pseudonimem, artykuły o sytuacji politycznej kraju. Ostatni artykuł oskarżający władze polskie o wprowadzenie hitlerowskich metod do wymiaru sprawiedliwości stał się podstawą wszczęcia śledztwa przeciwko niemu. Ciekawym szczegółem jest dementi Cata, który twierdzi, że tego artykułu nie napisał i w zawoalowanej formie oskarża władze bezpieczeństwa o prowokację. Podobno prowokatorem jest adwokat, niejaki Ketling. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale wydaje mi się, że cała ta heca jest niepotrzebna. Po co urządzamy

Kiedy pierwszy raz zetknąłem się z tym listem pomyślałem, że Mackiewicz próbował ponownie zmylić bezpiekę. Doszedłem do wniosku, że byłoby to posunięcie chybione, bo przecież materiału dla oskarżenia było wystarczająco dużo, ale nie mogłem tego wykluczyć. Dalsze jednak zgłębianie problemu potwierdziło, że mój początkowy trop był całkowicie błędny.

Sama już analiza literacka „Adwokatury po roku" budzi poważne wątpliwości. Nie znajdziemy tutaj tak charakterystycznych dla stylu Cata: anegdot, dialogów, analogii czy dygresji. Artykuł napisany jest – jak zechciał wyrazić się swego czasu Czesław Miłosz – martwym językiem dziennikarskim, pozbawionym temperamentu i żywości. Na sześciu stronach tekstu znajdujemy tylko pięć akapitów – układ całkowicie obcy publicystyce Mackiewicza.

Czytelnik może jednak wątpić w moje umiejętności krytycznoliterackie. Jestem przygotowany również i na taki zarzut.

Jan Nowak-Jeziorański po konsultacji telefonicznej z Grydzewskim i analizie tekstu definitywnie odrzucił autorstwo Mackiewicza. Nowak otrzymał od Grydzewskiego kopię oryginału artykułu, który był opatrzony odręcznymi dopiskami, nie przypominającymi charakteru pisma ani Cata, ani Jana Nepomucena Millera. Odrzucił jednocześnie prowokację ze strony reżimu, gdyż ujawnienie tych niewygodnych informacji nie byłoby mu na rękę. Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej „jakiemuś adwokatowi zależało na umieszczeniu tego tekstu w prasie emigracyjnej"[331]. Mackiewicz był oburzony. Chciał koniecznie zamieścić sprostowanie w prasie polskiej[332], ale jej łamy nie zostały mu udostępnione, więc wściekał się: „Każdy to przyzna, kto zna mnie i mój sposób pisania. W artykule tym zaatakowane zostały osoby prywatne. Posłał to jakiś adwokacina, a redakcja «Kultury» dała się nabrać". Twierdził ponadto, że tekst opatrzony jest „idiotycznym tytułem"[333].

takie szopki ze starymi ludźmi, którym należałoby dać spokój? Tym bardziej, że wojny z nimi nie wygramy". M. F. Rakowski, op. cit., wpis z dn. 1 IX 1965.

[331] List J. Nowaka do J. Giedroycia z dn. 31 VII 1965, [za:] J. Nowak-Jeziorański, J. Giedroyc, op. cit.

[332] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Donos A. Dutlingera z dn. 21 VII 1965.

[333] Ibidem.

Cat dzwonił do Giedroycia celem wyjaśnienia sprawy. Zaprotestował, aby był autorem artykułu oraz pobierał za swoje teksty honoraria w dolarach. Rozmowa miała mieć charakter „bojowy”[334].

Giedroyc zauważył, że artykuł został napisany na tej samej maszynie i tym samym papierze co poprzednie teksty Gastona de Cerizay oraz był opatrzony wyraźnym podpisem. Na tej podstawie nie miał wątpliwości, że wyszedł spod ręki Cata. Obiecał przygotować sprostowanie dla prasy emigracyjnej i francuskiej oraz dla francuskiego radio[335].

W kolejnym numerze „Kultury” Mieroszewski pisał, że redakcja padła ofiarą ubeckiej prowokacji i nie ma najmniejszej wątpliwości, że Mackiewicz nie jest autorem „Adwokatury po roku”[336].

IV

Do powyższych wniosków doszedłem już dawno, natomiast długo nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie: kto jest autorem tego tekstu? Udałem się więc do Instytutu Pamięci Narodowej i tam znalazłem rozwiązanie zagadki.

Przeglądam oto protokoły przesłuchań Cezarego Ketlinga-Szemleya[337], który twierdził, że artykuł „Adwokatury po roku” został mu okazany w rękopisie przez Januarego Grzędzińskiego. Kiedy zaproponował naniesienie poprawek, Grzędziński miał odpowiedzieć, że nie można tego robić bez zgody Stanisława Mackiewicza[338]. Ketling-Szemley otrzymał następnie od Grzędzińskiego dwa

[334] Ibidem, Notatka służbowa St. K. z sierpnia 1965. Por. Ibidem, Notatka służbowa z rozmowy z „Januszem” z VIII 1965. Rozmówcy „Janusza”, którzy nie za bardzo lubią Cata, uważają jego protesty za kłamstwo.

[335] Ibidem.

[336] Londyńczyk [J. Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K”, nr 9/215 (1965), s. 81. Myli się M. Ptasińska-Wójcik pisząc, że artykuł „został przez funkcjonariuszy [SB] przesłany do redakcji miesięcznika jako tekst Mackiewicza”. Autorka bazuje wyłącznie na źródłach paryskich. Poniżej wyjaśniam całą sprawę. Por. M. Ptasińska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego*…, s. 166.

[337] Cezary Ketling-Szemley (1915-1979) – od 1939 r. członek lewicowej Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej (PLAN). Po jej rozbiciu przez Gestapo w 1940 r. reaktywował organizację i stanął na jej czele (PLAN II). Posługiwał się pseudonimami „Janusz” i „Ketling”. Organizował pomoc dla powstańców w getcie. 21 lutego 1943 r. skazany przez sąd AK na karę śmierci. Po wojnie zmienił nazwisko na Janusz Ketling-Szemley.

[338] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Protokół z przesłuchania Ketlinga-Szemley'a z dn. 15 VII 1965. [378] Ibidem, Protokół z przesłuchania Ketlinga-Szemley'a z dn. 8 VII 1965.

egzemplarze „Adwokatury po roku”. Wcześniej przekazywał mu on także inne teksty Gastona de Cerizay, z których robił odpisy. Po wprowadzeniu odręcznych poprawek, Ketling przesłał egzemplarze zagranicę. Pierwszy – do niejakiej pani Rozen z Paryża, z odręcznym dopiskiem Grzędzińskiego „Monsieur – Vemlles”, co miało oznaczać, aby adresatka posłała przesyłkę do Mieczysława Grydzewskiego. Drugi – do swego znajomego Bazylego Winniczka mieszkającego w Brukseli, z prośbą o przekazanie artykułu Giedroyciowi.

Ketling-Szemley podejrzewał, że autorem „Adwokatury po roku” jest prawdopodobnie January Grzędziński. Wskazywałoby na to kilka okoliczności. Miał się on żywo interesować stanem polskiej adwokatury i od dawna nosić się z napisaniem tekstu na ten temat, w którym bardzo dobrze się orientował. Ponadto otrzymał od Ketlinga dokumenty uzyskane przez niego od znajomych adwokatów. Treść tych dokumentów miała zostać wykorzystana w omawianym artykule[339].

Grzędziński stwierdził na przesłuchaniu, że może i dawał do wglądu pewne opracowania swoje i swych znajomych, natomiast ani on sam niczego nie wysyłał zagranicę, ani nie prosił o to Ketlinga[340].

Jeżeli wierzyć zeznaniom Ketlinga-Szemleya, to rozwiązanie zagadki jest jasne: artykuł „Adwokatura po roku – czyli zbędni ludzie w służbie przemocy” wyszedł spod ręki Januarego Grzędzińskiego[341].

17. Artykuły ostatnie i nieznane

I

W przeprowadzonej pod koniec sierpnia 1965 r. rozmowie ze Stefanem Olszewskim i Stanisławem Nadzinem – odpowiednio sekretarzem Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i rzecznikiem Zarządu Głównego SDP – zdenerwowany i rozgoryczony Mackiewicz odgrażał się, że

[339] Ibidem. Ketling nie wykluczał, że artykuł powstał przy współpracy Cata-Mackiewicza.

[340] Ibidem, Protokół z przesłuchania Ketlinga-Szemley'a z VII 1965. Por. A. J. Cieślikowa, op. cit., 376381.

[341] Nie widzę podstaw, aby twierdzić, że zeznania Ketlinga były nieprawdziwe, a tym bardziej, że artykuł „Adwokatura po roku” był prowokacją bezpieki. Nie znalazłem żadnych dokumentów w IPN, które by to potwierdzały – wręcz przeciwnie, zamieszanie wokół tekstu widoczne w tych dokumentach sugeruje, że bezpieka nie miała z nim nic wspólnego.

we wrześniowym numerze „Kultury" ukaże się jego następny tekst. Mówił przy tym: „dopiero zobaczycie co ja jestem, nawet oko wam zbieleje"[342].

Mackiewicz zdecydował się pójść na ostry konflikt z władzą. Artykuł ukazał się rzeczywiście, nosił tytuł: „Podziemie gospodarcze" i był podpisany wszystko już wtedy mówiącym pseudonimem Gaston de Cerizay[343].

Tekst jest naświetleniem wybranych zakłamań, jakich autor dopatrywał się w Polsce Ludowej:

Zakłamanie symboliczne – nazwa Polska Rzeczpospolita Ludowa sugeruje wyraźnie, że klasą uprzywilejowaną powinien być lud wiejski, podczas gdy nie posiada on żadnych praw.

Zakłamanie klasyczne – opisane na przykładzie kazusu Juliana Haraschina, do którego wrócę za chwilę.

Zakłamanie przemyślne i celowe – w 1965 r. założono w Warszawie tygodnik „Forum", na łamach którego ukazują się przedruki z prasy światowej. Zakłamaniem ma być wybieranie artykułów dotyczących państw zachodnich według klucza, które państwa te ma przedstawiać w jak najgorszym świetle.

Zakłamanie prawne – opisane na podstawie rozmijania się zapisów dotyczących wyborów z praktyką wyborczą oraz łamania przez państwo prawa do tajemnicy korespondencji.

Zakłamanie gospodarcze[344] – Polska jest całkowicie uzależniona gospodarczo od Rosji, a jakiekolwiek bliższe informacje o wymianie towarowej między tymi krajami jest pilnie strzeżoną tajemnicą. Rosja „wyzyskuje nasze możliwości gospodarcze jak tylko chce", choć poziom życia w Polsce jest cały czas lepszy niż w Rosji.

Dalej autor zadaje pytanie: skoro zarobki w Polsce są godne pożałowania, to jakim sposobem Polaków stać nierzadko na całkiem przyzwoite życie? Odpowiedź zawiera się jego zdaniem w słowach: podziemie gospodarcze. Ludzie, którzy brzydzą się zwykłą kradzieżą przestają za nią postrzegać dobra uzyskane od państwa na podstawie wszelkich kombinacji i przekrętów – rozróżniają „organizowanie" od „kradzieży".

[342] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa z rozmowy „O. S." z Catem-Mackiewiczem z dn. 4 IX 1965. Por. Ibidem, Notatka z rozmowy S. Olszewskiego i S. Nadzina z Catem-Mackiewiczem z dn. 23 VIII 1965.

[343] G. de Cerizay [S. Mackiewicz], *Podziemie gospodarcze*, „K", nr 9/215 (1965).

[344] Określenie „zakłamanie gospodarcze" pochodzi ode mnie, reszta – od autora tekstu.

Mackiewicz pisze: „Pod względem gospodarczym to podziemie gospodarcze jest czynnikiem dodatnim. Inaczej jest jednak pod względem moralnym. Tutaj ma to skutki wręcz katastrofalne. I dlatego z największym niepokojem i troską myśleć należy o moralnym zdrowiu młodego pokolenia w Polsce".

II

Julian Haraschin urodził się w 1912 r. w Krakowie[345]. Na krótko przed wybuchem drugiej wojny ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego i podjął pracę jako urzędnik cywilny. W czasie kampanii wrześniowej dwukrotnie pojmany przez Niemców (z czego raz uciekł), osadzony w obozie dla oficerów, choć oficerem nie był – nosząc jako komendant poczty polowej umundurowanie podobne do wojskowego doszył elementy sugerujące funkcję kapitana.

Po zwolnieniu w sierpniu 1940 r. do końca wojny pracował w Biurze Budowy Telefonów, później w Biurze Transportu Dyrekcji Monopoli w Krakowie. W tym okresie był dwukrotnie aresztowany przez gestapo i dwukrotnie zwalniany. Posługując się sfałszowanymi dokumentami będzie w przyszłości przypisywał sobie działalność w AK w latach 1940-1945. W grudniu 1945 r. zmobilizowany do Ludowego Wojska Polskiego i skierowany do wymiaru sprawiedliwości. W latach 1946-1951 był zastępcą szefa Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie. Wsławił się wtedy szczególną bezwzględnością, wydając kilkadziesiąt wyroków śmierci i zyskując sobie wśród działaczy niepodległościowych przydomek „Krwawy Julek".

Na początku 1950 r. doktoryzował się na Wydziale Prawa UJ. W 1951 r. został zwolniony z wojska. Od początku swej kariery w Polsce Ludowej był pod stałą obserwacją jako „element przypadkowy". Podejrzewano go m.in. o niepewne kontakty czy przywłaszczanie korzyści materialnych.

[345] Informacje biograficzne przytaczam na podstawie: F. Musiał, *Julian Polan-Haraschin (1912-1984), sędzia WSR w Krakowie*, [w:] „Aparat represji w Polsce Ludowej 1944-1989", nr 1 (2004).

Na przełomie lat 40-tych i 50-tych pisał „doniesienia obywatelskie" dla bezpieki, nie podejmując przy tym formalnej współpracy. Cały czas pozostawał pod obserwacją. Po zwolnieniu z wojska zajął się m. in. wykładami w dziedzinie prawa karnego. Od początku marca 1952 r. był etatowym pracownikiem Katedry Postępowania Karnego Wydziału Prawa UJ. Wspinając się w hierarchii doszedł w 1961 r. do stopnia stałego wykładowcy. Ponadto w latach 1955–1962 był kierownikiem Studium Zaocznego na Wydziale Prawa UJ. W połowie czerwca 1962 r. Haraschin został po dłuższym rozpracowywaniu aresztowany i skazany na 9 lat więzienia i 35 tys. złotych grzywny za łapownictwo, fałszowanie wyników egzaminów i sprzedawanie dyplomów. Następnie podjął współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa w zamian za wcześniejsze zwolnienie z więzienia. Ale dalsze jego losy nie będą nas w tym miejscu interesować.

W artykule „Podziemie gospodarcze" Mackiewicz zajmuje się sprzedawaniem przez Haraschina dyplomów w czasie, kiedy kierował on Studium Zaocznym, ale piętnuje nie tyle samego Haraschina, którego wina była w tym wypadku oczywista, a profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy pod tymi haraschinowskimi dyplomami składali swoje podpisy. Autor przytacza bardzo szczegółowe informacje. Czytamy na przykład wymianę zdań jaka miała miejsce podczas rozprawy zamkniętej przeciw Haraschinowi, kiedy przesłuchiwany był jeden z tych, który zakupili u niego dyplom:

– „Czy pan może mi powiedzieć kto to jest? (tutaj przewodniczący wskazuje na osobistość o reprezentacyjnej powierzchowności, siedzącą na ławie świadków)".

– „Nie, obywatelu przewodniczący, nie znam tego pana, nigdy go nie widziałem".

– „Czy jest pan zupełnie pewny, że widzi go pan po raz pierwszy?"

– „Tak jest, obywatelu przewodniczący".

– „A przecie to jest dziekan Wydziału Prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, profesor Wolter, który jest na pierwszym miejscu podpisany na pańskim dyplomie magisterskim, który tam stwierdza, że egzaminował pana…"

Mackiewicz pisze: „Oczywiste jest, że ten profesor Wolter powinien być oskarżony na równi z Haraschinem i siedzieć dzisiaj w więzieniu, ale wtedy wszyscy profesorowie prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego z wyjątkiem tych,

którzy odmówili Haraschinowi swych podpisów, powinni siedzieć dziś w więzieniu". Cat uważa za karygodne, że „w obawie zbyt wielkiego skandalu" profesorowie uniknęli odpowiedzialności i mają jeszcze czelność – tu daje przykład prof. Konstantego Grzybowskiego – „pouczać nadal biedną młodzież i starsze społeczeństwo o prawie i moralności".

Konstatacje Mackiewicza spotkały się z kontrą anonimowego autora, który na początku 1966 r. opublikował w „Kulturze" artykuł pt. „Historia Haraschina". Jest on poprzedzony wstępem, w którym autor bezpośrednio odnosi się do artykuły Gastona de Cerizay twierdząc, że jest on oparty przede wszystkim na niesprawdzonych, często krzywdzących plotkach. Natomiast swój tekst traktował jako „rekompensatę moralną dla osób pokrzywdzonych przez artykuł G. de Cerizay"[346].

Autor swym rozbudowanym, szczegółowym i napisanym nienajgorszym językiem artykułem ściąga winę z prof. Grzybowskiego i prof. Woltera (choć, co ciekawe, nie staje *explicite* w ich obronie), przerzucając ją m. in. na „niewątpliwych wspólników" Haraschina: Opałka, dziekana Wydziału Prawnego UJ i docenta Walasa. Obaj autorzy powołują się wyłącznie na nikomu więcej nieznane źródła, więc krytyka tych głosów jest bardzo trudna. W takiej też formie Mackiewicz odpowiada autorowi artykułu „Historia Haraschina" w liście do redakcji: „Niestety bogactwo zapewne prawdziwych szczegółów w artykule o Haraschinie robi na mnie przykre wrażenie, jakby ich celem było «zagadanie» czy też rzucenie woalu, odwrócenie przy pomocy jaskrawych reflektorów, uwagi czytelnika od tego faktu, że kilkunastu profesorów wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego podpisywało fałszywe świadectwa na skutek prośby, czy też presji ze strony Haraschina. Profesorowie ci nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej, a tylko zeznawali w charakterze świadków. Znajdowali się wśród nich ludzie, którzy nadal piszą artykuły pouczające. Toteż autor artykułu *pisze nieprawdę*, gdy na wstępie do swoich rewelacji twierdzi o mnie: «jest rzeczą ubolewania godną, że autor dysponując powodzią niesprawdzonych pogłosek i plotek» itd. Informacje o profesorach kładących swe podpisy

[346] [Bez autora], *Historia Haraschina*, „K", nr 1/219-2/220 (1966). [387] S. Mackiewicz, List do Redakcji, „K", nr 3/221 (1966).

pod fałszerstwami otrzymałem ze źródeł pierwszorzędnych i niestety są one zupełnie ścisłe”[387].

III

Podczas rewizji w mieszkaniu Mackiewicza przeprowadzonej pod koniec czerwca 1965 r. skonfiskowano między innymi artykuły, które miały dopiero zostać wysłane do „Kultury”[347]. Jednocześnie bezpieka przejmowała wysłane już teksty, zaadresowane na nazwisko Karola Zbyszewskiego w Londynie. W rozdziale niniejszym omawiam część z tych artykułów, resztę dotyczącą kard. Stefana Wyszyńskiego i listu biskupów polskich do biskupów niemieckich – w rozdziale następnym.

W czerwcu 1965 r. powstał tekst pt. „Koncentracja wszelkiego kapitału w rękach państwa”, podpisany znów pseudonimem Gaston de Cerizay[348]. Mackiewicz pisze o mającej rozgrywać się na najwyższym szczeblu władzy walce klik. Plotki mówią nawet o ewentualnym zamachu stanu, który mógłby przeprowadzić Moczar, w co jednak – wobec mocnej pozycji Gomułki – Mackiewicz w ogóle nie wierzy. Pisze jednak: „Stosunki pomiędzy Gomułką a Moczarem – oto jest właściwy klucz do zrozumienia naszej teraźniejszości i poniekąd naszej najbliższej przyszłości”. Przedstawiając wyobrażenia na temat kraju Polaków, którzy od 1939 r. pozostawali na emigracji, opowiada następującą anegdotę: pewnego razu Chruszczow przyjechał do Francji. Jego tłumacz gdzieś się zgubił, więc skorzystał z usług urzędnika francuskiego. Kiedy wyraził podziw wobec posługiwania się przez niego rosyjskim, ten odpowiedział: „Bo ja jestem książę Andronnikow, przyjechałem do Francji z rodzicami, kiedy miałem dwa lata”.

Podobnie Polacy – pisze autor – którzy od czasów wojny pozostają na emigracji nie mogą mieć większego pojęcia o stosunkach panujących w Polsce Ludowej. A stosunki te sprowadzają się do tytułowej koncentracji kapitału w rękach państwa.

Związki zawodowe, odgrywające w państwach kapitalistycznych formę obrony praw robotników wobec pracodawcy są w państwie socjalistycznym

[347] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Protokół rozpytania z dn. 22 VI 1965.

[348] Ibidem, Odpis artykułu G. de Cerizay pt. „Koncentracja wszelkiego kapitału w rękach państwa”.

niczym innym jak państwową agenturą. Państwo socjalistyczne, koncentrując w swych rękach cały kapitał, może przeznaczyć go na przykład na zbrojenia. Położenie Rosjanina tym jednak różni się od położenia Polaka, że posiada on satysfakcję pozostawania obywatelem państwa potężnego.

Mackiewicz powraca ponownie do kwestii podziemia gospodarczego. Zaznacza: „W każdym razie zmienił się zupełnie stosunek społeczeństwa do osób skazanych za przestępstwa gospodarcze. (…) Oburza mnie to, jako moralistę, widzę w tym deprawację, za którą naród później będzie ciężko pokutował, ale jako socjolog widzę w tym zrozumiałą reakcję na ten stan bzdurstw i nonsensów, który się nazywa gospodarką socjalistyczną”.

Na zakończenie obala pogląd, jakoby członkowie partii należeli do niej z powodów ideowych. Partia to przede wszystkim elita, przynależność do niej daje określone korzyści. Ale już zwykli, szeregowi członkowie, przede wszystkim pochodzenia chłopskiego, uczestniczą jak najbardziej w obrzędach religijnych, a komuniści każdego szczebla mają otwarcie opowiadać sobie niewybredne dowcipy polityczne.

IV

Na początku grudnia 1965 r. Mackiewicz wysłał na adres Karola Zbyszewskiego w Londynie polemikę pt. „Marksem w marksizm”, napisaną w związku z wydaniem przez prof. Adama Schaffa książki „Marksizm a jednostka ludzka”[349]. Artykuł ten również nigdy nie ujrzał światła dziennego, został skonfiskowany przez bezpiekę zanim dotarł do adresata[350].

Po prześledzeniu drogi ideowej prof. Schaffa od oddanego budowniczego Polski Ludowej na pozycje rewizjonistyczne Mackiewicz polemizuje z jego twierdzeniem, że społeczeństwa polskie i rosyjskie nie doświadczyły w swych dziejach poważniejszego okresu demokratyczno-parlamentarnego. O ile można zgodzić się co do Rosji, to wypowiedzenie podobnych słów w stosunku do

[349] Ibidem, Odpis artykułu G. de Cerizay pt. „Marksem w marksizm”. Zob. A. Schaff, *Marksizm a jednostka ludzka. Przyczynek do marksistowskiej filozofii człowieka*, Warszawa 1965.

[350] Bezpieka skonfiskowała również następny list Mackiewicza do Zbyszewskiego, w którym prosił o wprowadzeniu do tekstu „Marksem w marksizm” poprawek, w tym skreślenie całego ostatniego rozdziału, w którym pisze o przemilczaniu przez władzę strajków, przestępstw itd.

Polski, jednego z krajów o najstarszych tradycjach demokratycznych, zakrawa zdaniem Cata na śmieszność.

Mackiewicz zauważa, że Schaff swoimi wywodami mimochodem ośmiesza samego Marksa, który jako uczony należy już do historii: „Życie i doświadczenie wykazało całą śmieszność jego teorii. Nauką jest tylko to, co jest potwierdzone przez doświadczenie, przez eksperyment". Marksizm w praktyce okazał się natomiast całkowitą porażką.

Prof. Schaff twierdzi, że marksizm dąży do ustroju zapewniającego jednostce swobodny rozwój, a w konsekwencji szczęśliwą egzystencję. Pisze nawet: „Dlatego właśnie najkrótsza a zarazem chwytająca istotę rzeczy definicja komunizmu marksistowskiego brzmi: komunizm – humanizm w praktyce". Mackiewicz odpowiada: komunizm jest praktykowany od prawie pół wieku i jedyne co przyniósł to nie rozwój jednostki i jej szczęście, ale zniewolenie oraz pozbawienie wszelkich praw.

Dyskusję na temat książki prof. Schaffa, jak odbyła się w redakcji „Nowych Dróg" Mackiewicz uważa za nudną i przefilozofowaną, w dodatku oderwaną od rzeczywistości, bo o żadnej wolności jednostki w państwie socjalistycznym nie może być mowy[351]. O wszelkich strajkach, nawet o morderstwach i rabunkach społeczeństwo w ogóle nie jest informowane „w imię zasady, że dziecko powinno wiedzieć tylko to, co mu mama powie, a czytelnik polski jest tym dzieckiem".

V

W teczkach Mackiewicza w Instytucie Pamięci Narodowej znalazłem inny jeszcze artykuł, skonfiskowany na początku 1966 r. – bez tytułu, podpisany nazwiskiem Antoni Antoniewicz i zaadresowany na nazwisko Karola Zbyszewskiego z prośbą o przekazanie Giedroyciowi[352].

[351] Mackiewicz pisze o „trzymaniu ludzkiej myśli w obcęgach" w Polsce Ludowej, nawiązując wyraźnie do tytułu swej wydanej przed wojną książki. Zob. S. Mackiewicz, *Myśl w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa Sowietów*, Kraków 2012.

[352] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Odpis listu S. Mackiewicza do K. Zbyszewskiego z dn. 26 I 1966 i załączonego do niego artykułu (bez tytułu). Antoni miał na imię ojciec Mackiewicza, Antoniewicz to *otczestwo*. Autorstwo Mackiewicza ustaliłem na podstawie treści listu do Zbyszewskiego.

Artykuł napisany został na marginesie przygotowań do państwowych obchodów „Tysiąclecia Państwa Polskiego". Mackiewicz zajmuje się w nim podręcznikami do historii dla klas liceum, które otrzymał od pewnego znajomego ucznia: „Myślałem, że te kilka tomów przeczytam z łatwością. Tymczasem przeglądałem je przez kilka tygodni, do tego stopnia jest to lektura odrażająca, szkaradna, a przede wszystkim smutna".

Na kartach tych podręczników gloryfikuje się Marksa i Lenina, choć – jak zauważa Cat – obecna sytuacja w Związku Sowieckim i w Polsce nie ma nic wspólnego z poglądami przez nich wyrażanymi. W każdym opisie danego konfliktu międzynarodowego książki biorą stronę rosyjską, w opisie każdego konfliktu społecznego – stronę robotników, w każdej awanturze uniwersyteckiej – stronę studentów. Wszystko to miejscami upodabniać się ma do humoru z zeszytów szkolnych typu: „Konopnicka dopiero po zamążpójściu poznała ciężką pracę chłopa". Zdanie to Mackiewicz zestawia z przykładem z podręcznika do „Historii Polski 1795-1864": „Ksawery Drucki Lubecki działając w interesie wielkich właścicieli folwarków starał się zaszczepić w Królestwie kapitalistyczny przemysł na feudalnym podłożu".

O ile jednak podręczniki gloryfikują wszelkie strajki i wystąpienia studenckie, o tyle współczesnym robotnikom polskim „wyraz strajk jest znany tylko i wyłącznie dlatego, że w prasie krajowej spotyka się ciągle z entuzjastycznymi opisami strajków w krajach kapitalistycznych". Najmniejsze próby strajku są natychmiast brutalnie pacyfikowane. Natomiast sytuację wystąpień studenckich najlepiej widać było zdaniem autora na przykładzie Karola Modzelewskiego, który za krytykę „stosowania komunizmu w sposób doktrynalny" został „zakuty w kajdany".

18. Kardynał Wyszyński i list biskupów

I

Spośród artykułów, które nigdy nie zostały opublikowane, a które omawiałem w poprzednim rozdziale, wyłączyłem te dotyczące kardynała Stefana Wyszyńskiego i spraw kościelnych. Problem ten wymaga osobnego omówienia.

Ewolucja poglądu Mackiewicza na działalność publiczną kard. Wyszyńskiego przedstawia się bardzo interesująco. W czerwcu 1958 r. Cat po dłuższej

przerwie w kontaktach spotkał się z funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa. Scharakteryzował wówczas kard. Wyszyńskiego w słowach: „Panie, to żaden polityk, to żaden realista, to księżyna pokornie słuchający swego zwierzchnictwa. Uważałem go kiedyś za męża stanu. Dziś widzę, że daleko mu do podobnej rangi”[353].

W połowie 1959 r. razem z Januszem Radziwiłłem i Aleksandrem Bocheńskim podjął decyzję o próbie powołania komitetu doradczego przy kard. Wyszyńskim, który miałby charakter mediacyjny i opierałby się na przedstawicielach wszystkich grup katolickich w Polsce. Mackiewicz uważał za konieczne powołanie takiego ciała w sytuacji, kiedy ówczesny komitet doradczy, złożony – jak zechciał się wyrazić publicysta – z „durniów” prowadzić miał „politykę sztywną, bez perspektyw, szkodliwą dla narodu i nawet dla samych katolików”. Nowi doradcy kard. Wyszyńskiego mieliby przekonywać go do bardziej elastycznego zachowania.

Cat zdawał sobie sprawę z przeszkód, jakie musiałyby napotkać taką próbę, ale uważał, że „jest to kwestia perswazji i różnorakich nacisków, które przy ich kontaktach i wpływach winno spowodować dojście do skutku całej koncepcji”.

W momencie relacjonowania pomysłu przedsięwzięcie było już na dość zaawansowanym etapie. Prowadzono rozmowy z potencjalnymi członkami takiego komitetu, na którego czele miała stanąć Zofia Kossak-Szczucka. Mackiewicz zaznaczył przy tym: „Jej powiązania z «Paxem» byłyby przeszkodą, to jest oczywiste, ale z drugiej strony wydaje się najlepiej pasować do całości tej koncepcji”.

Cat mówił na marginesie również o niechęci, jaką miał przejawiać kard. Wyszyński w stosunku do Stanisława Stommy i ks. Władysława Padacza[354]. Zwłaszcza ta druga informacja bardzo zdziwiła i zainteresowała funkcjonariusza bezpieki[355].

[353] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Raport ze spotkania z Catem-Mackiewiczem w Warszawie z dn. 20 VI 1958.

[354] Władysław Padacz (1900-1972) – ksiądz katolicki. Od 1952 r. najbliższy współpracownik i domownik kard. S. Wyszyńskiego.

[355] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Raport z rozmowy z Catem-Mackiewiczem z dn. 1 VII 1959. [397] Ibidem, Notatka służbowa z rozmowy z Catem-Mackiewiczem z dn. 15 I 1960. Wendrowski zaznaczył w notatce: „CM wyraźnie oczekiwał ode mnie pochwały za swoją inicjatywę.

Na początku 1960 r. Mackiewicz mówił już o całym pomyśle z większa rezerwą, powołując się przede wszystkim na zły stan swojego zdrowia. Samą koncepcję zmiany doradców kard. Wyszyńskiego dalej uważał za konieczną, bo „inaczej Watykan może spowodować nieobliczalne szkody swoimi poleceniami, które mają może na celu dobro Kościoła, ale nie dobro narodu polskiego”. Wystąpienia kard. Wyszyńskiego prowadzące do napięcia w relacjach z rządem określił jako „idiotyczne”, a samego hierarchę nazwał „niebezpiecznym fanatykiem”.

Mackiewicz podkreślał coraz wyraźniejsze rozejście się episkopatu i świeckich działaczy katolickich. W jego mieszkaniu przeprowadzono narady w sprawie wystąpienia kard. Wyszyńskiego przeciw regulacji urodzeń w Polsce. Za namową Cata posłowie koła „Znak” mieli pilnować, aby nie poruszano tych spraw z mównicy sejmowej[397].

Po tych wszystkich słowach krytyki Mackiewicz wysłał pod koniec 1965 r. do kard. Wyszyńskiego następujące pismo: „Ośmielam się prosić Eminencję o łaskawe udzielenie mi audiencji. Przede wszystkim chciałbym ponowić hołd, który Eminencji złożyłem w czasie mej ostatniej audiencji. Wielkość rozumu Eminencji zajaśniała w czasach ostatnich”[398].

Mackiewicz pisał te słowa pod wrażeniem listu biskupów polskich do biskupów niemieckich i odpowiedzi tych ostatnich.

II

W maju 1965 r. doszło do co najmniej dwóch spotkań Stanisława Mackiewicza z Józefem Falkowskim[356]. Ten drugi miał zaproponować „opracowanie «programu», który by poderwał naród polski przeciwko polityce władz PRL.

Grzecznie mu też podziękowałem i stwierdziłem, że jest to wysoce pozytywny krok w zakresie współpracy z rządem”. [398] Ibidem, Odpis listu S. Mackiewicza do kard. S. Wyszyńskiego z dn. 13 XII 1965. M. F. Rakowski zanotował w swoim dzienniku na początku 1966 r.: „Podobno kardynał Wyszyński czuje się nieszczególnie. Prawdopodobnie nie spodziewał się, że władze odbiorą mu paszport. W jego środowisku sporo jest niezadowolonych. Mówią o pysze, o zadzieraniu nosa. Opowiadano mi, że kiedy Stomma i Zawieyski zgłosili się do niego, wyrzucił ich za drzwi. Przyjął natomiast Cata-Mackiewicza”. M. F. Rakowski, op. cit., wpis z dn. 23 I 1966.

[356] Józef Falkowski – inżynier-architekt, do 1939 r. członek Stronnictwa Narodowego. W 1955 r. został skazany na 3 lata więzienia za „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości oraz opracowań o treści antypaństwowej i szkalującej przywódców i naczelne organy władzy państwowej”. Za: AIPN, sygn. IPN BU 01251/533.

Sugerował przy tym wykorzystanie programu politycznego Romana Dmowskiego i oparcie się w dalszej działalności o kardynała Wyszyńskiego”[357].

Mackiewicz miał przyjąć propozycję i zobowiązać się do napisania takiego programu, w których zawarte byłyby „najbardziej zasadnicze problemy jak: kwestia granic, stosunki z Rosją, sprawy gospodarcze i inne”[401].

Brakuje mi materiałów. Nie potrafię powiedzieć, czy mowa była o artykule „Interrex”, w którym część z tych tematów jest poruszana, a którego odpis znalazłem w teczkach Mackiewicza, czy może chodziło o zupełnie inny tekst[358]. Podchodzę jednak do powyższej informacji dość ostrożnie, kiedy czytam, że Mackiewicz, ten piłsudczyk *par excellence* i krytyk polskich zrywów miał urodzić jakiś program w oparciu o myśl Dmowskiego (którego *notabene* szanował, ale z jego programem zawsze się kłócił), aby „poderwać naród polski”.

W każdym razie ani Falkowski, ani Mackiewicz nie przyznawali się do autorstwa tekstu „Interrex”, który był podpisany nazwiskiem Antoni Antoniewicz i po opracowaniu został wysłany kard. Wyszyńskiemu[359]. Ekspertyza wykazała, że artykuł został sporządzony na maszynie Mackiewicza. Cat zeznawał, że Falkowski przyszedł do niego z odręcznie napisanym tekstem, poprosił o przeczytanie i wprowadzenie stylistycznych poprawek oraz możliwość przepisania artykułu na jego maszynie. Dodał przy tym: „(…) nie widziałem czy napisał na maszynie, gdyż ja w tym czasie kąpałem się”[360].

Jeżeli mogę polegać na moich ocenach krytycznoliterackich, które raz mnie już nie zawiodły, to wydaje się, że autorem opracowania pt. „Interrex” był jednak Mackiewicz. Wskazuje na to także jego treść, odzwierciedlająca poglądy Cata prezentowane w innych miejscach.

Mackiewicz pisze o liście biskupów polskich do niemieckich jako o „jednym z najważniejszych wydarzeń politycznych w historii Europy od czasów ukończenia drugiej wojny światowej”, które ma udowadniać, że „cały naród

[357] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Informacja Nr 103 dot. S. Cata-Mackiewicza i J. Falkowskiego z dn. 26 V 1965. [401] Ibidem.

[358] Ibidem, Odpis artykułu pt. „Interrex”. Artykuł skonfiskowany podczas rewizji w mieszkaniu Mackiewicza.

[359] Por. przypis nr 393.

[360] Ibidem, Przesłuchanie S. Mackiewicza z dn. 22 VI 1965. Cat zeznał, że uznał artykuł za naiwny, ale przez grzeczność nie powiedział tego Falkowskiemu.

polski poczuwa się do europejskiej jedności kulturalnej, pojęciowej i moralnej”. Relacjonuje reakcję rządu na to wystąpienie i odsłania przeinaczenia, jakich dopuściła się władza w publikacji treści listu i odpowiedzi na łamach „Forum”, gdzie opuszczenie jednego wyrazu całkowicie zmieniał sens oświadczenia biskupów niemieckich na antypolski.

Zdaniem Mackiewicza polityka zagraniczna Polski przez ciągłe okrzyki: „nie damy Odry i Nysy” idzie wbrew polskiemu interesowi państwowemu i jest całkowicie prorosyjska. Autor zaznacza: „Stanowisko rządu Polski Ludowej i prasy krajowej w sprawie Odry i Nysy polega na wmawianiu opinii publicznej, że Polsce od Niemiec grozi niebezpieczeństwo wcześniejsze niż to, które grozi Rosji, co jest oczywiście absurdem”.

Ale według autora to nie sprawy polityki zagranicznej są w tym wypadku najważniejsze, ale polityka wewnętrzna. Kościół przyciąga do siebie nie tylko katolików, którzy stanowią olbrzymia większość w Polsce, ale również ludzi niewierzących i stojących w opozycji do rządu. Rola i siła Kościoła katolickiego jako reprezentanta polskiej opinii publicznej podyktowała przypuszczenie przez reżim atak na biskupów po wypowiedzeniu przez nich słów: „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”, oskarżając ich o proniemieckość i grając tym samym na doświadczeniach ludności z czasów okupacji hitlerowskiej.

Mackiewicz zaznacza w związku z powyższym: „Można istotnie uważać Prymasa za interrexa, które to stanowisko obciążało Prymasa za dawnych czasów”.

Odcięcie się przez koło poselskie „Znak” od listu biskupów i wyrażenie ubolewania, że nie został on skonsultowany z rządem Cat nazywa „niesmacznym incydentem”. Dowodzi przy tym, że uzgadnianie przez episkopat swych posunięć z rządem „to byłby koniec kościoła katolickiego, którego cechą najbardziej istotną jest to, że jest instytucją międzynarodową i niezależną”.

Następna część tekstu „Interrex” powinna rozwiać wszelkie wątpliwości co do jego autorstwa. Jest to bowiem krytyka książki prof. Schaffa, o której pisałem w poprzednim rozdziale – niemal słowo w słowo jak w artykule Mackiewicza pt. „Marksem w marksizm”.

Na zakończenie czytamy jeszcze o krakowskim zjeździe literatów z końca listopada 1965 r., na którym słowem nie wspomniano o cenzurze. Autor odnosi się tutaj również do osobistych krzywd: „Literat piszący nieodpowiednio, albo

w ogóle nie ma wydanych książek, albo jeśli jakimś cudem zostały wydane, to nie ma o nich recenzji, a nawet zwykłych wzmianek bibliograficznych".

Mowa oczywiście o książce „Europa in flagranti", o której już wspominałem.

III

Ostatnim tekstem Mackiewicza w „Kulturze" były „Zapiski z kraju niewoli". Zostały opublikowane już po śmierci publicysty obok wspomnienia jego osoby pióra Kazimierza Okulicza[361]. Artykuł złożony jest z trzech części, pisanych od końca grudnia 1965 r. do początku lutego roku następnego i jest poświęcony przede wszystkim zamieszaniu w związku z listem biskupów polskich do biskupów niemieckich.

Czytamy we wstępie: „Co do samego tytułu: kraj w którym nie ma swobody myśli i swobody pracy, zasługuje niestety na nazwę kraju niewoli".

Autor pisze o prowokowaniu przez władzę konfliktu z Kościołem. Służyć temu miały rozsiewane pod adresem arcybiskupa krakowskiego Karola Wojtyły plotki, jakoby miał się on „dystansować" od listu biskupów polskich. Reżim miał inspirować robotników zakładów „Solvay", w których niegdyś pracował abp Wojtyła, do wystosowania do niego listu, aby wypowiedział się w tej sprawie.

Arcybiskup krakowski rozesłał swoją „wspaniałą odpowiedź" do wszystkich kościołów krakowskich, która została odczytana z ambon w Boże Narodzenie 1965 r.. Tłumaczył w niej, że list biskupów polskich „był wypełnieniem wskazań Soboru, który stosując naukę Chrystusa kazał najbardziej prześladowanym darować winy swoim najgorszym prześladowcom". Ponadto przedstawił prawdziwą treść odpowiedzi biskupów niemieckich, która została sfałszowana przez władzę.

Mackiewicz podkreśla znaczenie odpowiedzi arcybiskupa krakowskiego: „Społeczeństwo polskie jest uczulone na wspomnienie okupacji niemieckiej. Demagogia przeciw listowi biskupów ma taki grunt, jakiego dotychczas komuniści ani przez chwilę nie posiadali. Toteż kolportowanie pogłoski, że część biskupów z Wojtyłą na czele nie jest zadowolona z listu znajdywały posłuch".

[361] S. Mackiewicz, *Zapiski z kraju niewoli*, „K", nr 3/221 (1966).

List abpa Wojtyły – twierdzi Mackiewicz – te pogłoski przeciął i rzucił właściwe światło na całą sprawę.

Dalej Cat zajmuje się „Komunikatem Urzędu Rady Ministrów" z 9 stycznia 1966 r., skierowanym pod adresem Episkopatu, zapowiadającym pozbawienie prymasa polski możliwości uzyskania paszportu. W komunikacie tym podnoszony jest zarzut, że list biskupów został wysłany bez wcześniejszego porozumienia z rządem polskim. Autor charakteryzuje taki sposób myślenia jako arcyrosyjski. Zaznacza, że Kościół „zawsze był instytucją wolną, międzynarodową i samodzielną", a żądanie od episkopatu jakiegokolwiek kraju uzgadniania swych posunięć z danym rządem „byłoby oczywiście końcem Kościoła Katolickiego, jako Kościoła Powszechnego".

Jest to dokładnie ta sama teza ubrana w podobne nawet słowa, jaką przedstawił autor w artykule „Interrex".

Komunikat mówi też, że „ks. Kardynał wykorzystał swój ostatni pobyt w Rzymie nie tylko dla celów religijnych, ale również dla działań politycznych szkodliwych z punktu widzenia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej". Na tej podstawie Cat przechodzi do spraw międzynarodowych podkreślając, że nie istnieje obecnie coś takiego, jak samodzielna polityka zagraniczna Polski: „Rząd Polski Ludowej spełnia tylko pewną ilość wskazówek rządu Związku Radzieckiego. Powiedziałbym, że polityka rządu Polski Ludowej da się porównać do roli naganiaczy na polowaniu. Panowie polują, naganiacze zajęci są przy napędzaniu zwierzyny. Porównanie to szwankuje o tyle, że nagonka idzie cicho, nasza polityka wyraża się w nieustannych hałasach".

Krytykuje następnie zjazd między polskim Związkiem Bojowników o Wolność i Demokrację oraz niemiecką Antifą, która w gazetach warszawskich nazywana jest „organizacją braterską". Mackiewicz wytyka niekonsekwencję reżimu: „A więc biskupom nie wolno jest powiedzieć, że wybaczają biskupom niemieckim, a tu należy nazywać Niemców z «Antify» braćmi, tak samo zresztą jak wszystkich Niemców z Niemiec Wschodnich".

„Zapiski z kraju niewoli" kończą uwagi na temat cenzury, która nawet za najgorszych czasów carskich miała być mniejsza niż obecnie. Pisze autor: „Cenzura w Polsce nie jest żadną cenzurą, lecz redakcją, a nawet nie redakcją, lecz nauczycielem i dyrygentem tego co pisać należy". Zauważa jednocześnie,

że zniesienie cenzury jest rzeczą właściwie niemożliwą, bo system polityczny i gospodarczy Polski Ludowej „nie wytrzymałby jednego roku swobodnej dyskusji".

19. Spóźniona pomoc

I

Kłopoty Mackiewicza nie pozostawały bez echa zagranicą. Co więcej, były pomysły, aby go z tej ciężkiej sytuacji wyciągnąć lub przynajmniej w jakiejś mierze pomóc.

W połowie lipca 1965 r. Giedroyc nawiązywał w swej korespondencji do konferencji w Ministerstwie Kultury i Sztuki, na którym oskarżono Cata, Grzędzińskiego i Millera o współpracę z ośrodkami emigracyjnymi. Prosił Konstantego Jeleńskiego o ewentualną pomoc przy organizowaniu listu protestacyjnego[362].

Natomiast do Mieroszewskiego pisał: „Trzeba możliwie z miejsca organizować maksymalny hałas koło tej sprawy. Trzeba, ma się rozumieć, bić w samą historię i podnieść odwagę Mackiewicza etc., nie precyzując, czy zarzut jest ścisły. (…) jeśli się uda doprowadzić na skutek rozpędzonej kampanii na Zachodzie do kapitulacji reżymu, jak w sprawie Wańkowicza czy «34», to będzie to wielki sukces. No i reklama dla nas"[363].

Giedroyc od słów przeszedł natychmiast do czynu. W drugiej połowie lipca udał się do Londynu celem szukania pomocy dla Mackiewicza. Ponadto poprosił Wacława Zbyszewskiego, aby spróbował telefonicznie skontaktować się z Catem – niewiadomo jednak w jakim dokładnie celu. Zbyszewski dzwonił

[362] List J. Giedroycia do K. A. Jeleńskiego z dn. 14 VII 1965, [za:] J. Giedroyc, K. A. Jeleński, op. cit.

Podobne listy Giedroyc wysłał m. in. do Gombrowicza (z dn. 16 VII 1965) i Osadczuka (16 VII).

[363] List J. Giedroycia do J. Mieroszewskiego z dn. 16 VII 1965, [za:] M. Ptasińska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego…*, s. 165. Autorka przytacza również głos M. Hłaski: „Mackiewicz – rzeczywiście dzielny. W jego wieku narażać się na nędzę, to nie łatwe. Tym bardziej, że znam jego tryb życia – raczej chyba książęcy". Por. List J. Giedroycia do A. Janty-Połczyńskiego z dn. 23 VII 1965 i odpowiedź Janty-Połczyńskiego z dn. 18 i 19 VIII 1965, [za:] J. Giedroyc, A. Janta-Połczyński, op. cit.

22 lipca, ale do rozmowy nie doszło. W centrali telefonicznej powiedziano mu, że „istnieje zakaz połączeń" z wybranym numerem[364].

Doniesienia prasowe oskarżały Mackiewicza o pobieranie pieniędzy za teksty publikowane w „Kulturze"[365]. Giedroyc próbował uciąć również te głosy, sugerując w liście do Mieroszewskiego publikację wyjaśnień, że nic takiego nie miało miejsca: „Możemy to tym łatwiej zrobić, że pieniądze mu wysyłane przez PKO były wysyłane pod nazwiskiem Wacka Zbyszewskiego, który zgodził się to firmować. Wiadomo wszystkim, jak bliskie były i są stosunki Zbyszewskiego z Mackiewiczem, więc pomoc nikogo nie zdziwi. Zresztą na temat tych pieniędzy Mackiewicz szereg razy pisał do Zbyszewskiego, a nawet telefonował, z wielką efuzją mu dziękując za przyjacielską pomoc"[366].

W ślad za tym listem Giedroyc wysłał wiadomość do Wacława Zbyszewskiego, prosząc go o napisanie listu do redakcji, w którym zawarłby informacje, że „od ubiegłego roku, dowiedziawszy się, że po «manifeście 34» Mackiewicz nie ma prawa publikacji i jest odcięty od możliwości zarabiania, posyłałeś mu i posyłasz pieniądze wraz z kilkoma przyjaciółmi. Jest to kwota skromna, ale etc. Nie żadne dolary, ale przyzwoite funty i drogą najbardziej normalną, bo przez PKO. Dobrze by było, by list był dowcipny, ze swadą etc. Liczę, że nie odmówisz, gdyż to dla Mackiewicza jest gardłowa sprawa"[367].

Zbyszewski rzeczywiście napisał list i artykuł, w których zawarł stosowne wiadomości[368].

Redaktor „Kultury" martwił się jednocześnie o wpływ „sprawy Mackiewicza" na swoje kontakty krajowe. Polscy stypendyści i stażyści obawiali się kontaktów z „Kulturą", które stawały się dla nich coraz bardziej niebezpieczne[369].

[364] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa St. K. z sierpnia 1965.

[365] J. K. *Gaston de Cerizay pisze o Polsce*, „Życie Warszawy" z dn. 17 lipca 1965

[366] List J. Giedroycia do J. Mieroszewskiego z dn. 30 VII 1965, [za:] M. Ptasińska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego…*, s. 166. Por. Londyńczyk [Juliusz Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K", nr 9/215 (1965).

[367] List J. Giedroycia do W. A. Zbyszewskiego z dn. 2 VIII 1965, [za:] M. Ptasińska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego..*, s. 166..

[368] W. A. Zbyszewski, List do Redakcji, „K", nr 9/215 (1965), idem, *Mackiewicz i wolność prasy w Polsce*, „K", nr 10/216.

[369] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa St. K. z sierpnia 1965.

We wrześniu Giedroyc przesłał Jerzemu Stempowskiemu projekt utworzenia funduszu dla pisarzy i dziennikarzy z krajów totalitarnych za walkę o wolność słowa. Jego zdaniem pomysł mógłby liczyć na poparcie ze strony poważnych wydawnictw czy redakcji pism zachodnich. W związku z tym prosił Stempowskiego o kontakt ze Zbindenem[370]. Zauważył przy tym, że w przypadku, kiedy Mackiewicz *et consortes* pozbawieni są możliwości zarobku, przyznanie im nagród byłoby „wielką pomocą zarówno moralną, jak i materialną". Najbardziej obawiał się o stan zdrowia Cata. Optymalnym rozwiązaniem byłoby zaproszenie go przez „poważną instytucję szwajcarską" na kurację, jednak duże koszty takiego przedsięwzięcia czyniły je mało realnym[371].

Na łamach „Kultury" głos w „sprawie Mackiewicza" zabrał Mieroszewski. Zauważył, że gdyby w Polsce znalazło się więcej literatów z odwagą cywilną, do żadnego procesu w ogóle by nie doszło – władza „nie mogłaby bowiem ryzykować międzynarodowego skandalu wywołanego masowymi aresztowaniami w środowisku literackim". Z Mackiewiczem reżim miał już i tak duży problem, gdyż ciężko zrobić z człowieka, który tyle czasu poświęcił walce z „Bergiem", agenta amerykańskiego.

Mieroszewski skreślił przy tym sąd uniwersalny: „Funkcjonowanie demokracji nawet w ustroju demokratycznym zależy bezpośrednio od procentu ludzi z cywilną odwagą. W ustroju totalnym ludzie odważni są jedyną nadzieją i ostoją wolności"[372].

Również Zygmunt Hertz rozumiał specjalne położenie Cata. W jednym z listów do Miłosza pisał: „Ze [Stanisławem – red.] Mackiewiczem przycichło na razie: nic mu nie zrobią, bo grozi im, że wykituje w więzieniu, a tego nie chcieliby. Myślę, że wpętają go w trudności finansowe i skażą w ten sposób na śmierć głodową. Wszystko w rękach [Bolesława – red.] Piaseckiego: on jeden

[370] Hans Zbinden (1893-1971) – szwajcarski pisarz i podróżnik, prof. socjologii kultury na Uniwersytecie w Brnie. Prezes Związki Pisarzy Szwajcarskich. Prywatnie przyjaciel J. Stempowskiego.

[371] List J. Giedroycia do J. Stempowskiego z dn. 27 IX 1965, [za:] J. Giedroyc, J. Stempowski, op. cit.

[372] Londyńczyk [J. Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K", nr 9/215 (1965).

jest w stanie legalnie utrzymać Mac[kiewicza – red.] przy życiu, pielęgniarce, butelce wina do kolacji i dużym befsztyku"[373].

W październiku 1965 r. Giedroyc powrócił do pomysłu zorganizowania funduszu dla represjonowanych pisarzy. List do Stempowskiego pisany był już jednak bez wiary w powodzenie całego przedsięwzięcia: „Dziś byłby świetny moment dla zorganizowania funduszu pomocy dla prześladowanych intelektualistów. Jest obraz atrakcyjny: Rosja – Sianiawski i Daniel; Polska – grupa Modzelewskiego, Mackiewicz, Grzędziński; Jugosławia – Mihajlov. No, ale zdaje się, że poczciwemu Zbindenowi brakuje energii do takich inicjatyw"[374].

Kiedy 11 listopada usunięto Mackiewicza ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Giedroyc ponownie pisał do Stempowskiego: „Może coś Zbinden będzie mógł zrobić?"[419].

Mieroszewski zwracał uwagę, że dosłownie nikt nie miał ochoty zasiadać w składzie sędziowskim, mającym wykluczyć Mackiewicza z SDP. Do brudnej roboty wyciągnięto trzech nieznanych nikomu z nazwiska polskich Żydów. Mieroszewski pisze w związku z tym: „Żydzi polscy, z których większość to wartościowi i zasłużeni dla polskości obywatele – nie powinni z rozkazu partii podejmować się obrzydliwych, antypolskich gestów. Szkodzą tym bowiem dobremu imieniu polskich Żydów i żywią do dziś niestety aktywny antysemityzm". Autor twierdzi, że pozbawienie Cata możliwości zarabiania piórem jest w rzeczywistości „zemstą znacznie bardziej perfidną", niż wsadzenie go do więzienia. Kończy zaś zdaniem: „Obowiązkiem tzw. «politycznej emigracji» jest nie tylko wziąć go w obronę lecz zorganizować dla niego konkretną pomoc"[375].

Mieroszewski nie mógł oczywiście przewidzieć, że w momencie, kiedy jego następne teksty ukażą się w „Kulturze", Cata nie będzie już wśród żywych.

[373] List Z. Hertza do Cz. Miłosza z dn. 3 X 1965, [za:] Z. Hertz, *Listy do Czesława Miłosza 1952-1979*, red. R. Gorczyńska, Paryż 1992.

[374] List J. Giedroycia do J. Stempowskiego z dn. 28 X 1965, [za:] J. Giedroyc, J. Stempowski, op. cit. [419] List J. Giedroycia do J. Stempowskiego z dn. 30 XI 1965, [za:] ibidem. Catowi zresztą było wszystko jedno, czy zostanie wykluczony z SDP, czy nie. Twierdził ponadto, że nie ma podstaw do takiego ruchu.

[Por.] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Notatka służbowa z rozmowy „O. S." z Catem-Mackiewiczem z dn. 4 IX 1965.

[375] Londyńczyk [J. Mieroszewski], *Kronika angielska*, „K", nr 1/219-2/220 (1966).

W grudniowym numerze „Kultury" opublikowano recenzję książki „Europa in flagranti" pióra Wacława Zbyszewskiego, gdzie czytamy: „Obowiązkiem emigracji jest zaszczutemu Mackiewiczowi pomóc. Prasa emigracyjna powinna drukować o jego książce recenzje (…). Emigracja może również solidaryzować się z Mackiewiczem przez kupowanie jego *Europy in flagranti*. (…) To też jest plebiscyt"[376].

II

W listopadzie 1965 r. akt oskarżenia przeciw Mackiewiczowi został skierowany do sądu, po czym cała sprawa stanęła w miejscu[377]. Władza nie spieszyła się z procesem, pamiętając jeszcze dobrze echo jakie rozniosło się po Europie z sali sądowej, kiedy oskarżonym był Melchior Wańkowicz.

Mackiewicz nie przyznał się do winy tłumacząc, że w swych artykułach publikowanych w „Kulturze" nie podawał fałszywych wiadomości[378].

III

Stanisław Mackiewicz zmarł w nocy z 18 na 19 lutego 1966 r. Pogrzeb miał miejsce na Powązkach kilka dni później, wzięło w nim udział ok. 700 osób[379]. Na pogrzebie tym, na którym nie zabrakło agenta bezpieki, przemawiał odważnie Paweł Jasienica. Mówił między innymi:

„Ten człowiek nigdy nie wzbudzał uczuć letnich i wzbudzać ich nie chciał. Ma się w uszach pogłos naszych zebrań literackich, podczas których Jego wspaniałym oracjom odpowiadały fale oklasków, lecz i okrzyki protestu, potępienia i wrogości. Tak jest dobrze i tak być powinno".

„Jeszcze jednej łaski doznał Stanisław Mackiewicz. Łaski wielkiej, lecz bardzo okrutnej. Odszedł w pełni sił twórczych. Nie doczekał rzeczy dla pisarza najstraszniejszej: nie przeżył własnego talentu".

[376] W. A. Zbyszewski, *„Europa in flagranti"…*

[377] Por. M. Ptasińska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego…*, s. 166.

[378] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Akt oskarżenia przeciw S. Mackiewiczowi z XI 1965.

[379] Ibidem, Informacja dot. przebiegu pogrzebu S. Cata-Mackiewicza z dn. 4 III 1966. Por. M. Ptasińska-Wójcik, *Inwigilacja Instytutu Literackiego…*, s. 167.

„Praca i talent gustują w swym towarzystwie, lubią chadzać razem. Stanisław Mackiewicz pracował do końca"[380].

Zygmunt Hertz napisał po śmierci Cata do Miłosza: „*A propos* – biedny Cat – nie lubiłem go, był nieznośny, warchoł, brudas, szeroka natura, ale to był ktoś przy tych wszystkich gówniarach"[381]. Michał K. Pawlikowski otrzymał wiadomość z Polski: „Trudno uwierzyć, że ten wulkan przestał wybuchać"[428].

W kolejnych numerach „Kultury" pojawiły się jeszcze wspomnienia zmarłego publicysty różnych autorów, po czym nazwisko Stanisława Cata-Mackiewicza zeszło z łam paryskiego miesięcznika[382].

IV

W połowie marca 1990 r. Sąd Najwyższy na wniosek ministra sprawiedliwości Aleksandra Bentkowskiego uznał, że zarzuty pod adresem Mackiewicza o publikowanie artykułów w prasie emigracyjnej „nie zawierały w istocie znamion przestępstwa". Sąd uniewinnił jednocześnie skazanego w 1964 r. Melchiora Wańkowicza[383].

20. Nieznany memoriał

W listopadzie 1965 r. na granicy w Kunowicach zatrzymano w drodze do Francji Bohdana Pilarskiego[384]. Przewoził on zamówiony u Giedroycia artykuł Cata o Władysławie Studnickim. Pilarski miał ponadto rozmówić się z re-

[380] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Odpis listu L. Beynara do S. Orłosiowej z przemówieniem na pogrzebie S. Mackiewicza.

[381] List Z. Hertza do Cz. Miłosza z dn. 24 II 1966, [za:] Z. Hertz, op. cit. [428] M. K. Pawlikowski, op. cit.

[382] Ibidem; Z. S. Siemaszko, op. cit.; W. A. Zbyszewski, *Stanisław Mackiewicz*, „K", 6/224 (1996); K. Okulicz, *Stanisław Mackiewicz*, „K", nr 3/221 (1966). Ze wspomnieniem Zbyszewskiego polemizował J. Mackiewicz: idem, List do Redakcji, „K", nr 7/225-8/226 (1966).

[383] [Bez autora], *Uniewinnienie Wańkowicza i Cata-Mackiewicza*, „Życie Warszawy" z dn. 17–18 III 1990. Pełny tekst wyroku SN zob. A. Ziółkowska, *Proces Melchiora Wańkowicza…*, s. 201–207.

[384] Bohdan Pilarski (ur. 1931) – muzykolog i polityk. W 1962 r. wyjechał jako stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki do Francji. W latach 1970–1972 kierownik programowy Filharmonii Narodowej w Warszawie. Od lat 80-tych udzielał się w życiu społeczno-politycznym.

daktorem na temat dalszej współpracy Mackiewicza z „Kulturą". Zabrano mu paszport i „dokonano zastrzeżenia odnośnie jego wyjazdu do Francji"[385].

Artykuł jakimś sposobem przedostał się zagranicę. Został opublikowany już po śmierci Mackiewicza w paryskich „Zeszytach Historycznych"[386]. Lektura tekstu w niczym nie sugeruje, że jego autor stał nad grobem. Wręcz przeciwnie – odznacza się on najlepszymi cechami publicystyki Cata.

W tych samych „Zeszytach Historycznych" ukazał się jeszcze jeden tekst Mackiewicza pod zagadkowym tytułem: „Memoriał w sprawie polskiej Afryki Północnej", opatrzony rozbudowanym komentarzem Adama Ciołkosza, który dokument ten udostępnił[434]. Tekst memoriału powstał w marcu 1943 r. i został wręczony przez Cata trzydziestu osobom, prócz Ciołkosza nieznanym z nazwiska.

Mackiewicz pisał:

Polska nie może zgodzić się na podział świata między Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone, Rosję i Chiny, bo w tym wypadku znajdzie się w strefie wpływów sowieckich, tracąc automatycznie swoje terytoria na wschodzie z Wilnem i Lwowem na czele. W przypadku zwycięstwa aliantów Polska znajdzie się pod okupacją Rosji, a jest mało prawdopodobne, aby po zakończeniu wojny z Niemcami Anglia i Stany Zjednoczone chciały wojować ze Związkiem Sowieckim w jej interesie. Ponadto Stalin cały czas podkreśla, że nie prowadzi wojny z Niemcami, lecz z Niemcami hitlerowskimi, więc sojusz sowiecko-niemiecki po zakończeniu wojny nie jest wcale wykluczony. Położenie Polski w takim wypadku byłoby tragiczne.

Najważniejszym zadaniem dla Polski jest niedopuszczenie do tego, aby jej terytorium było wyzwalane przez wojska sowieckie. Wobec okoliczności, że z oczywistych względów nie mogą tego zrobić wojska polskie, a porozumienie z Czechami czy Finlandią jest niemożliwe, Polska powinna próbować wygrać dla siebie Węgry i Rumunię.

[385] AIPN, sygn. IPN BU 01251/533, Informacja dot. artykułu S. Mackiewicza dla „Kultury" o Studnickim.

[386] S. Mackiewicz, *Stulecie urodzin Władysława Studnickiego*, „ZH", nr 9 (1966). Autor podaje błędną datę urodzin Studnickiego (1865), podczas gdy urodził się on dwa lata później.

[434] Idem, *Memoriał w sprawie polskiej Afryki północnej*, „ZH", nr 11 (1967).

Działania polskie powinny iść w tym samym kierunku co działania amerykańskie w Afryce Północnej, tj. w kierunku „skaptowaniu Quislingów": „Nasze względy wojskowe przemawiają za odwróceniem aliansów Węgier i Rumunii, kiedy Niemcy będą już dostatecznie słabe. Nam przede wszystkim powinno zależeć na tym, aby Węgry i Rumunia porzuciły obóz niemiecki i przerzuciły się na stronę angielską uderzając na wojska niemieckie stojące w Polsce".

Plan ten – podkreśla Cat – jest arcytrudny, ale nie niemożliwy. Polska musi rzecz jasna działać z przyzwoleniem Anglii, ale również w jej interesie będzie stworzenie potęgi środkowoeuropejskiej, opartej na współpracy Polski, Węgier i Rumunii[387]. Ciołkosz uważał „plan Mackiewicza" za kompletnie nierealny i nie myślał, aby ktoś wziął go na poważnie. Twierdził, że błędem Cata było przypisanie Węgrom i Rumunii roli samodzielnej, podczas gdy ich akcja mogłaby być realna tylko przy współdziałaniu z wojskami aliantów uderzającymi od strony Bałkanów[388].

Swój komentarz skończył słowami: „Mackiewicz już nie żyje, więc opublikowanie jego memoriału z r. 1943 nie może go narazić na żadne przykrości w Warszawie. Sądzę, że go warto mimo wszystko opublikować jako przyczynek do odtworzenia sobie jego sylwety".

21. Zakończenie

Wspomnienie osobiste. Na pierwszym roku studiów uczęszczałem na zajęcia doktora Jerzego Jaruzelskiego o wybitnych redaktorach i dziennikarzach XX wieku. Zajęcia przyciągnęły ok. 40 osób, przede wszystkim studentów dziennikarstwa starszych lat. Na pierwszym wykładzie Jaruzelski wyciągnął plik małych karteluszek i kazał każdemu z uczestników wypisać anonimowo na jednej z nich znane sobie nazwiska redaktorów i dziennikarzy minionego stulecia, którym można przypisać rolę wybitną.

[387] Uzupełnieniem poglądów Mackiewicza wyrażonych w „Memoriale" była broszura pt. „Kryzys Rządu" (Londyn 1943).

[388] Propozycję otwarcia frontu bałkańskiego składał prezydentowi Rooseveltowi na przełomie 1942 i 1943 r. gen. Sikorski, o czym również wspomina Ciołkosz.

Wyniki tego testu były zatrważające. Niemal wszystkie odpowiedzi ograniczały się do nazwiska Ryszarda Kapuścińskiego. Było to zapewne podyktowane przede wszystkim tym, że niedługo wcześniej pod adresem pisarza pojawiły się głośne zarzuty o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa.

Śledząc komentarze na temat Mackiewicza i jego poglądów, czułem się niejednokrotnie zupełnie jak doktor Jaruzelski, mający przed sobą mało rozgarniętych studentów. Był to jeden z impulsów, dla których postanowiłem sięgnąć głębiej w ten barwny i skomplikowany życiorys.

Kontakty Mackiewicza z „Kulturą" paryską były początkowo bardzo ograniczone, raczej nie brane prze niego na serio. Pierwsze teksty, jakie posyłał do Giedroycia, to przecież utwory dramatyczne i artykuły, które można nazwać półoficjalnymi, związane z zajmowanymi funkcjami w rządzie emigracyjnym: premiera i ministra spraw zagranicznych. Dopiero przed powrotem do Polski Mackiewicz zaproponował Giedroyciowi przysyłanie korespondencji z kraju, z czego jednak się nie wywiązał. Ale wybrał on wówczas to, a nie inne pismo emigracyjne, które widocznie traktował wtedy jako najpoważniejsze.

Okres współpracy z „Kulturą" w latach 1952–1963 uchodzi – co zrozumiałe – za mniej zajmujący w biografii Cata pod kątem jego publikacji. Co interesujące w tym czasie, to jego kontakty ze Służbą Bezpieczeństwa, której przekazywał informacje o środowisku paryskim. Tak jak napisałem wyżej – uważam to za dużo większy grzech Mackiewicza niż to, co najczęściej podnosi się dzisiaj w oskarżeniach pod jego adresem, tj. kontakty z bezpieką przed powrotem do kraju.

Podobnie jak wyjazd do Polski, tak zwrot Cata w 1964 r. był podyktowany w jakiejś mierze względami osobistymi. Nie można jednak zapominać, że pod koniec życia Mackiewicz zaczął walczyć z reżimem, kierując się również swoimi przekonaniami, czego niezbitym dowodem były artykuły publikowane pod pseudonimem Gaston de Cerizay.

Skrytykowany przeze mnie wcześniej Maciej Zakrzewski zechciał określić to postępowanie „rozgrzeszeniem".

W niniejszej pracy przedstawiłem sytuację niczym z sali sądowej. Oskarżeniem były dokumenty Instytutu Pamięci Narodowej, obroną – artykuły Cata

słane pod koniec życia do „Kultury", a szerzej konflikt z władzą w ogóle. Mam oczywiście swój prywatny pogląd, jak w takim wypadku powinien brzmieć wyrok, ale nie chcę go tutaj prezentować. Rolę sędziego przewidziałem bowiem dla każdego czytelnika z osobna.

Właśnie to naświetlenie kontaktów Mackiewicza z „Kulturą" z dwóch stron uważam nieskromnie za największą zaletę tej pracy.

Drugi obieg na Uchodźstwie*

Piotr Ciompa rozmawia z ostatnim premierem Rządu RP na Uchodźstwie prof. Edwardem Szczepanikiem

Piotr Ciompa: Panie Profesorze nic tak nie przybliża człowieka, jak karty jego biografii. Czy mógłby Pan w skrócie nam je przedstawić?

Edward Szczepanik: Suwalczanin wychowany tamże. Ukończyłem studia ekonomiczne w Warszawie, wtedy przed wojną nazywała się ta szkoła SGH, obecnie SGPiS. Odbyłem kampanię wrześniową jako podchorąży. Zostałem internowany na Litwie, a potem wywieziony po zagarnięciu Litwy przez Sowietów do Rosji sowieckiej. Tam spędziłem prawie dwa lata jako jeniec wojenny w ciężkich warunkach. Po utworzeniu Armii Polskiej w Rosji sowieckiej pod dowództwem gen. Andersa, poszedłem do 5. Dywizji Kresowej. Już jako oficer artylerii brałem potem udział w szkoleniu mojego oddziału, a po wejściu z korpusu do walk we Włoszech brałem udział we wszystkich działaniach, od Monte Cassino począwszy na Bolonii skończywszy. Po wojnie osiedliłem się w Londynie. Byłem najpierw wykładowcą potem profesorem w tzw. Polskim Collegium

* Od dra Andrzeja Anusza: Latem 1987 roku mój kolega z podziemnej redakcji „Kuriera Akademickiego", Piotr Ciompa, przebywał na wakacyjnej pracy w Londynie. Podczas swojego pobytu nagrał rozmowę z prof. Edwardem Szczepanikiem, ówczesnym Premierem Rządu RP na emigracji. Po powrocie do Polski przekazał mi nagraną kasetę. Przepisałem i zredagowałem wywiad, który publikuję. Warto dodać, że Edward Szczepanik urodził się 22 sierpnia 1915 roku w Suwałkach, zmarł 11 października 2005 roku w Worcester w Anglii. Jego prochy zostały złożone na cmentarzu w rodzinnych Suwałkach. Pełną biografię opublikował Adam Sudoł pt. *„Edward Franciszek Szczepanik. Ostatni premier rządu RP na uchodźstwie."* Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz2009.

Uniwersyteckim, które było częścią Uniwersytetu Londyńskiego. Potem, gdy ta praca się skończyła, przeniosłem się aż do Hong-Kongu na stanowisko kierownika wydziału ekonomicznego w uniwersytecie tamtejszym. Potem pracowałem przez pewien czas w Pakistanie jako doradca głównej misji planowania gospodarczego. Następnie przez dłuższy okres, blisko 14 lat pracowałem w Organizacji Narodów Zjednoczonych w tzw. FAO – Międzynarodowej Organizacji do spraw Rolnictwa i Wyżywienia. Od blisko 10 lat jestem z powrotem w Anglii. Przez szereg lat pracowałem w Uniwersytecie w Sussex. Teraz jeszcze trochę naukowo pracuję w Polskim Uniwersytecie na obczyźnie, ale większość czasu, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, gdy zostałem prezesem Rady Ministrów poświęcam pracy politycznej.

Panie Profesorze, jakie znaczenie ma rząd, który praktycznie nie może rządzić krajem?

Najważniejsze znaczenie naszego rządu jest kontynuacja idei niepodległej, suwerennej, wolnej Rzeczpospolitej. W tym sensie oczywiście nie aspirujemy do rządzenia krajem, w sensie administracyjnym, gospodarczym, społecznym, a w sensie ideowym. Nam zależy na tym, aby z jednej strony mobilizować emigrację niepodległościową znajdującą się na obczyźnie na rzecz obrony praw polskich do wolności, a z drugiej strony zależy nam na tym, aby w kraju wiedziano, że swego rodzaju kontynuacja idei wolnej, niepodległej Rzeczpospolitej istnieje od 1939 roku, czyli praktycznie już 48 lat.

Czy będąc odcięci od kraju, często z góry 40 lat, sądzicie, że w dalszym ciągu jesteście w stanie wyrobić sobie jakąś wiarygodną opinię o tym jak naprawdę w Polsce wygląda sytuacja polityczna?

Ja myślę, że tą opinię mamy dosyć dobrą, nie chwaląc się. Czasami wydaje się nam, że my wiemy więcej niż wielu wybitnych działaczy w kraju. Ze zrozumiałych względów oni pracują w swego rodzaju konspiracji i często nie wiedzą nawet, że obok, nieraz w tym samym mieście, działa inna grupa, o której nic nie słyszeli, bo po prostu ze względów konspiracyjnych tak się rzeczy tam układają. Do nas natomiast dochodzą wiadomości o prawie wszystkich ruchach wolnościowych w kraju, o ośrodkach wydawniczych, o ośrodkach kultural-

nych, naukowych. Do tego dochodzą bardzo dobre reportaże od dziennikarzy zagranicznych, którzy nieraz długie lata w Polsce spędzają, tacy jak Roger Boyes z ,,Times'a", czy jak swego czasu Tim Sebastian, który zdobył duże zaufanie nawet wśród Polaków z kraju i inni. To wszystko do nas dochodzi w bardzo łatwy sposób, poprzez telewizję, radio, kontakty osobiste. Jeżdżą delegacje parlamentarne: kanadyjskie, brytyjskie, francuskie, belgijskie, te wiadomości do nas przychodzą. Tak więc, wydaje mi się, że obraz jaki my sobie układamy w odniesieniu do kraju jest obrazem w miarę pewnym. Nie twierdzę, że całkowicie pewnym, bo to jest w obecnej sytuacji niemożliwe. Ale obrazem wystarczającym do tego, żeby na tej podstawie kształtować nasze poczynania.

Czy istnieje jakakolwiek możliwość ze strony rządu emigracyjnego lub agend wolnej Polski przebywających obecnie na Zachodzie pomocy materialnej dla Podziemia w Polsce. I czy Panowie widzą celowość tego?

My tą pomoc stosujemy od szeregu lat. Przynajmniej bardziej aktywnie od 1976 roku. Od kilku lat te nasze wysiłki zostały scentralizowane w formie funduszu pomocy krajowi, któremu przewodniczy każdorazowy prezydent Rzeczpospolitej, do którego wchodzi grono wybitniejszych działaczy politycznych znajdujących się w Londynie. Ta pomoc w niektórych wypadkach jest bardzo pokaźna, w niektórych wypadkach może nawet decydująca, dająca możliwości dość intensywnej akcji wydawniczej, nie mówiąc o zwięzłej działalności politycznej. Pomoc dla ofiar prześladowań w kraju, pomoc dla ruchów oświatowych, kulturalnych, w niektórych wypadkach pomoc indywidualna.

Jeśli chodzi o samo funkcjonowanie agend władz Wolnej Polski na obczyźnie, w jaki sposób działalność urzędu prezydenta, rządu RP i innych agend, politycznych, społecznych i kulturalnych jest finansowana?

Właściwie główne organy tej władzy to jak Pan słusznie powiedział jest prezydent, rząd, Rada Narodowa jest jeszcze Najwyższa Izba Kontroli Państwa. Ciało, które praktycznie bez żadnego wynagrodzenia przeprowadza rewizję finansową, okresową naszego skarbu. Finanse na naszą działalność dostarcza społeczeństwo polskie znajdujące się na obczyźnie, głównie poprzez Skarb

Narodowy, który założył blisko 40 lat temu generał Władysław Anders, jego były adiutant. Pan Ludwik Kubowicz jest obecnie przewodniczącym komisji Skarbu Narodowego. To jest główne źródło finansów działalności prezydenta, rządu, Rady Narodowej. Oprócz tego od czasu do czasu rząd dostaje bezpośrednio jakieś dary, zapisy testamentowe, czy drobne przekazy z racji dla przykładu uczczenia śmierci bliskiej osoby albo dla wyrażenia osobistego uznania dla naszej działalności. Wszystkie te źródła są darami przez Polaków dla Polaków. Nie mamy żadnych, innych obcych funduszów, które by finansowały naszą działalność.

Od czasu zerwania przez Watykan na początku lat sześćdziesiątych i wycofania statusu ambasadzie Rzeczpospolitej przy Watykanie. Rząd RP nie utrzymuje oficjalnych stosunków z żadnym z rządów na świecie sprawujących praktyczną władzę. Czy to w jakiś sposób nie stawia pod znakiem zapytania skuteczność, czy nawet celowości jego pracy?

Oczywiście, że jest to duża trudność w działalności naszego rządu, ale to nie wyklucza możliwości innych kanałów w szczególności poprzez parlamentarzystów. Dla przykładu tutaj w Parlamencie Brytyjskim w ubiegłym roku mieliśmy tzw. Early Day Motions w sprawie potępienia Jałty. Ten wniosek potępiający podpisało ponad dwustu posłów tzn. prawie 1/3 posłów. To świadczy o możliwościach naszego działania i o naszej prężności. Coś podobnego robi się w Stanach Zjednoczonych, Francji czy też nawet w Parlamencie Europejskim, gdzie jest grupa ,,Friends of Poland", gdzie jest jeden Polak, inni to cudzoziemcy, ale działają w interesie pomocy dla Polski.

Czy samo istnienie rządu RP stanowi jakiś fakt, który by tym akcjom pomagał?

Jak najbardziej. Przede wszystkim koordynowałem tą działalność. Jak0 nie w bezpośredni sposób to w pośredni. Mając cały szereg komitetów, do których członkowie rządu wchodzą, które są w kontakcie z organami cudzoziemskimi, są takie inicjatywy jak Anglo-Polish Society, czy w Ameryce Kongres Polonii Amerykańskiej, czy podobne instytucje w Szwecji i innych krajach.

Jak duże są uposażenia związane ze sprawowaniem funkcji w rządzie emigracyjnym?

Świetne pytanie. Odpowiedź też bardzo prosta. Zero, żadnych uposażeń nie mamy pracujemy wszyscy honorowo. Jedyne wydatki jakie mamy są to wydatki lokalowe. Musimy opłacić za gaz, elektryczność, za czyszczenie budynku, opłacić telefony, opłacić porta pocztowe, opłacić druki. Wydajemy na przykład ,,Rzeczpospolitą" raz na miesiąc, która rozchodzi się coraz szerzej również w kraju, przedrukowywana przez najrozmaitsze ośrodki wydawnicze. Oprócz tego wydajemy od czasu do czasu nawet książki, np. dokumenty dotyczące Jałty i okresu pojałtańskiego, która rozeszła się w kilku tysiącach egzemplarzy już całkowicie. Teraz robimy nowe wydanie tej dużej pracy.

Czy rząd RP ma konkretną koncepcję, jak będzie wyglądało miejsce Polski po uzyskaniu niepodległości?

Opcja Polski to opcja bloku państw Europy środkowo – wschodniej tzn. opcja pewnej wspólnoty narodów ujarzmionych obecnie przez Sowiety. Polska, Ukraina, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Białoruś, kraje nadbałtyckie to jest olbrzymi potencjał, który przy dobrze postawionej gospodarce może być niemal równy tego co nazywamy ,,wspólnotą europejską", która jest praktycznie wspólnotą zachodnio – europejską. Przy tej koncepcji, dalszy krok to współpraca między tymi dwoma wspólnotami. Wspólnotą zachodnio – europejską i wspólnotą wschodnio – europejską. Wtedy następuje ta koncepcja, o której papież często mówi o połączonej Europie w sensie gospodarczym, a nawet tym politycznym, kulturalnym, współpraca narodów całej, wolnej Europy od Atlantyku aż do Uralu.

Na koniec pytanie. Praktycznie biorąc, jak to widać z kraju. Wydawało się, że zarówno władze Rzeczpospolitej na emigracji, jak i fizycznie rzecz biorąc sami emigranci w Anglii nie widzą już pewnej kontynuacji między sobą a tym, co się dzieje w kraju. Jak gdyby rozbicie przez aparat bezpieczeństwa, a w końcu lat 40. i początku 50. PSL-u i oddziałów leśnych, rozbiło pewną tkankę, nić niepodległościową. Praktycznie tzw. „odwilż" była widziana w kategoriach przesunięć wewnątrz aparatu komunistycznego, co później Dubczek określił komunizm z ludzką twarzą? Czy w tej chwili widzicie jakieś nawiązanie pewnej nici z tym co się dzieje w Polsce, jeśli tak to z jaką funkcją tej Polski? Czy widzicie możliwości, że pewne sprawy jeśli chodzi o rozwiązania przyszłości, rozegrają się politycznie i społecznie również w kraju?

Mnie się wydaje, że ta więź, szczególnie w ostatnich latach bardziej się wzmogła, że my mamy o wiele lepszy kontakt między ruchami wolnościowymi w kraju, pod tą nazwą rozumiem również „Solidarność" niż nawet dwa, czy trzy lata temu. Jest zupełne wyraźne zrozumienie wśród tego młodego pokolenia, że kontynuacją tej ciągłości państwowej, wolnej Rzeczpospolitej, której jest zapewniony niepodległy byt państwowy, podstawowe prawa człowieka, obywatela, że kontynuatorem jest ten nasz skromny rząd polski na uchodźctwie, gdzie nas jest może mało, gdzie może jesteśmy biedni materialnie, ale wydaje mnie się duchowo my jesteśmy bogaci i to z dumą przyznaję. To mówię na podstawie chociażby tego wielkiego wysiłku jaki zrobiłem dwa lata temu: Kongresu Kultury Polski, gdzie około 600 uczonych polskich z całego świata się zjechało i czuliśmy się wszyscy Polakami. Takimi poważnymi Polakami, dobrymi jak i Polacy w kraju. Ta więź z krajem, powtarzam, powiększa się, zacieśnia się i całą moją nadzieją jest, żeby te związki przybierały coraz bardziej konkretne formy i stawały się coraz bardziej częstotliwe. Bo tylko przez wzajemne kontaktowanie się możemy doprowadzić do jedności poglądów. Jeżeli tego nie ma następuje, oczywiście, brak zrozumienia. Pan wspomina o październiku 1956 roku. To był typowy przykład braku tej więzi. Dlaczego? To było prawie bezpośrednio po okresie stalinowskim, gdzie te kontakty prawie zupełnie były zerwane i niemożliwe. W tej chwili sytuacja jest zupełnie inna. Jeżeli bym mógł zakończyć tę wypowiedź to jest podwójny apel do Polaków w kraju: róbcie wszystko co możecie, bo wy jesteście na czołowej linii frontu w kraju, walczcie o wolną Polskę! My jesteśmy do waszej dyspozycji jako siła pomocnicza. W sensie ideowym, koncepcyjnym nawet i w sensie kulturalnym. Mniej w sensie materialnym, bo nas na to nie stać. Ale pośrednio możemy też o tym myśleć, przez wskazywanie możliwości wykorzystania tych potencjałów finansowych, o których poprzednio mówiłem. My nie mamy ambicji, jak to się kiedyś mówiło powrotu do Polski na „białych koniach". Jest to mrzonka, której właściwie nigdy nie mieliśmy, ale o to nas oskarżano. My mamy w na-

szych wypowiedziach politycznych wyraźnie postawione, że jak tylko wyłoni się w Polsce możliwość utworzenia wolnego przedstawicielstwa parlamentu, Sejmu to wszystkie symbole ciągłości Rzeczpospolitej, które są w naszych rękach: pieczęć, sztandar, konstytucja oddajemy w najbardziej powołane ręce tzn. w ręce narodu, który znajduje się w kraju.

Dziękuje bardzo za rozmowę.

Zbigniew Jacek Jackiewicz

W 100-lecie urodzin Prezydenta RP Ryszarda Kaczorowskiego

26 listopada 2019 roku to dzień setnej rocznicy urodzin Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej śp. Ryszarda Kaczorowskiego. Obchody tej uroczystości trwają już od września, a to za sprawą dzielnych, jak zawsze w takich okolicznościach, Braci Kurkowych, w szczególny sposób związanych z osobą Prezydenta Kaczorowskiego.

Kwartalnik *„Opinia”* w aktualnym numerze odnotowuje rocznicę ważną dla środowiska nurtu niepodległościowego. Jednocześnie sygnalizujemy nasze zaangażowanie w prace na udostępnieniem niepublikowanych jeszcze materiałów dokumentujących życie i działalność śp. Ryszarda Kaczorowskiego. W jednym z najbliższych numerów naszego kwartalnika pozyskane materiały źródłowe opublikujemy.

Wagę rocznicy, którą celebrujemy, tworzy to, kim jest i kim był śp. Prezydent Ryszard Kaczorowski. A jest On:

– wzorem cnót obywatelskich (jak to pięknie ujęła w swoim tytule Gazeta Samorządność nr 45 włączając się do obchodów rocznicy)
– współautorem pokoleniowego transferu narodowych imponderabiliów (tak to wyraził prof. Wiesław Wysocki w Księdze Jubileuszowej 25 rocznicy powrotu Prezydenta II Rzeczypospolitej do Ojczyzny, 2015)
– symbolem wolności (to z kolei słowa papieża Benedykta XVI skierowane osobiście do Ryszarda Kaczorowskiego podczas audiencji w dniu 1 sierpnia (!) 2007 r.
– ikoną patriotyzmu polskiego (czego wyrazem jest fakt uzyskania tytułu Honorowego Obywatela ponad trzydziestu miast polskich, od Krakowa poczynając, na Warszawie kończąc),
– jednym z najznakomitszych reprezentantów środowisk emigracji polskiej XX wieku (za co królowa brytyjska przyznała mu tytuł Rycerza Wielkiego Krzyża Orderu św. Michała i św. Jerzego).
– zasłużonym współtwórcą harcerstwa polskiego (jak sam Prezydent mawiał harcerstwa wiernego przyrzeczeniu służby Bogu, Polsce i bliźnim).

Najważniejsze fakty z życia śp. Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego dają nam poznać kim był:

– najpierw chłopcem, któremu zdarzyło się na dworcu kolejowym w Białymstoku osobiście spotkać i rozmawiać z Józefem Piłsudskim i który słowa Marszałka wziął sobie jako zobowiązanie na całe swoje życie,
– dalej harcerzem, Pogotowia Harcerskiego w 1939 roku wspierającym walczące z najeźdźcą oddziały Wojska Polskiego,
– zaraz potem, aresztantem NKWD w Białymstoku, skazanym na wyrok śmierci, po 100 dniach pobytu w celi śmierci, zamieniony na 10 lat łagrów,

– żołnierzem Armii Andersa, ze słynnej 3 Dywizji Strzelców Karpackich, z którą przeszedł szlak bojowy Monte Cassino – Ankona – Apeniny – Linia Gotów – Bolonia,
– po zakończeniu II Wojny Światowej, przez ponad 20 lat był naczelnikiem ZHP poza granicami kraju
– wreszcie, od 1986r. pełnił w rządzie RP na Uchodźctwie funkcję ministra ds. krajowych, a w 1989r.został Prezydentem RP tym, któremu w grudniu 1990r. dane było zakończyć misję Władz Polskich na Uchodźctwie i przekazać insygnia władzy II RP do Polski,
– po złożeniu urzędu Prezydenta II RP, po 20 latach aktywnej działalności publicznej w Polsce, 10 kwietnia 2010r. zginął pod Smoleńskiem.

To kim był i kim jest dla nurtu niepodległościowego w Polsce śp. Prezydent Ryszard Kaczorowski sprawia, że z wdzięcznością będziemy pamiętać Jego osobę i czcić kolejne rocznice Jemu przypisane.

Cześć i chwała śp. Prezydentowi Ryszardowi Kaczorowskiemu!!!

Leszek Moczulski

Wspomnienie o Ryszardzie Kaczorowskim

Na ofiarowanym mi egzemplarzu książki Adama Dobrońskiego „Ryszard Kaczorowski. Dziewięć wieczorów z prezydentem" jej bohater wpisał najprostszą dedykację: „Leszkowi Moczulskiemu, który w zniewolonej Polsce pierwszy wprowadził w polityczną rzeczywistość słowo niepodległość". To właśnie słowo, a właściwie treści, jakie zawiera, stało się spoiwem naszej przyjaźni. Ale nie tylko.

Na Londyn spoglądaliśmy z nadzieją od tragicznego czerwca 1940 roku. Tam był nasz rząd, nasz Prezydent – i pozostali naszym rządem, naszym Prezydentem po lipcu 1945 r., gdy mocarstwa zachodnie cofnęły uznanie władzom Rzeczypospolitej – legalnym i cieszącym się poparciem całego społeczeństwa, z pełną determinacją wypełniającemu obowiązki sojusznicze. Jako piętnastoletni chłopak, z pełnym zrozumieniem, czytałem przerzucone do Kraju wrześniowe orędzie Prezydenta RP Władysława Raczkiewicza, deklarującego, że zgodnie z konstytucją swój wysoki urząd będzie pełnił aż do chwili, gdy w wolnych wyborach Polacy w Kraju wybiorą nowego Prezydenta; tak też byłem przekonany, aż do chwili, kiedy to nastąpiło. W następnych latach przybywali z Uchodźstwa różni ludzie do kraju, a inni wyjeżdżali za żelazną kurtynę, powiadamiając o szczęśliwym dotarciu do celu; przez pewien czas, w latach 1945-1946 moja Matka prowadziła ośrodek przerzutowy w Sopocie, a ja niektórych podróżników znałam przynajmniej z widzenia. Później, po latach, to już ja odbierałem i odprawiałem przybywających stamtąd gości, z czasem coraz liczniejszych kurierów i emisariuszy. Przez cały okres PRL polski Londyn był nam

nie tylko bliski emocjonalnie, ale wydawał się na odległość ręki, choć przez kolczaste, raz po raz zamykające się kraty.

Ryszarda Kaczorowskiego poznałem względnie późno, ale zaprzyjaźniliśmy się prawie natychmiast po pierwszym spotkaniu. Na odległość znaliśmy się dopiero od paru miesięcy. Kontakt z polskim Londynem utrzymywałem przez wiele lat, z różnymi ludźmi i na różnych kanałach, a także na różnych poziomach konspiracji. Głównie była to łączność z osobami tkwiącymi w środowisku piłsudczykowskim – nn-nie, ale z czasem również bezpośrednio z Rządem na Wychodźstwie. Fakt utworzenia KPN ogłosiliśmy równocześnie i w tym samym czasie 1 września 1979 w Warszawie na pl. Piłsudskiego przed Grobem Nieznanego Żołnierza oraz w Londynie, na odbywającym się właśnie Kongresie Jedności z Walczącym Krajem; tam dokonał tego Jerzy Zaleski – emigracyjny minister spraw krajowych, a równocześnie działacz Ligi Niepodległości Polski, starszego siostrzanego odpowiednika KPN na Obczyźnie. Z Jurkiem byłem bardzo blisko; jako emisariusz LNP przybył on do Polski pod cudzym nazwiskiem i z fałszywym brytyjskim paszportem (do śmierci był obywatelem RP), a później utrzymywaliśmy kontakt, wykorzystując różne środki łączności. Po objęciu Prezydentury przez Edwarda Raczyńskiego, Zaleski został ministrem spraw krajowych, a podstawowym – bo najszybszym środkiem wzajemnej łączności był telefon. Jurek posługiwał się pseudonimem „Ryś", gdy ja, od momentu ujawnienia w demokratycznej opozycji, przedstawiałem się zawsze imieniem i nazwiskiem. Stało się to powodem pewnego nieporozumienia. Otóż, gdy wkrótce po wyjściu z więzienia we wrześniu 1986 r. zadzwoniłem pod znany mi londyński numer i poprosiłem o rozmowę z „Rysiem" – zdziwiłem się, gdy nieznany mi bliżej, raczej tubalny męski głos odparł: – Tak, „Ryś" przy telefonie. Zaskoczony, wbrew wszelkim regułom konspiracji, zapytałem – Jurek?, po czym usłyszałem krótki śmiech i wyjaśnienie: Nie jestem Jurkiem, ale niewątpliwym Rysiem, teraz ja przejąłem jego obowiązki. Następnie rozmówca wyjaśnił, że się bardzo cieszy, że mnie słyszy, gdyż do Londynu dotarła już wiadomość, że jestem już na wolności, ale z moim zdrowiem są kłopoty.

Rzeczywiście, miałem jakieś kłopoty z sercem, zdaniem prof. Zosi Kuratowskiej wymagające leczenia na Zachodzie – i z pewnymi kłopotami załatwiono mi paszport. 30 grudnia 1986 r. późnym wieczorem wraz z żoną wylądowaliśmy w Heatrow, a pierwszą osobą, która nas powitała był postawny, mocno siwiejący mężczyzna, wąsaty i przyjaźnie uśmiechnięty. – To ja jestem „Ryś", a bardziej poprawnie Ryszard Kaczorowski.

Tak zaczęła się nasza znajomość i przyjaźń, 22 lata częstych spotkań w Kraju i w Londynie, długich – bardzo długich, często trudnych, pełnych niepokoju rozmów. Ryszard Kaczorowski był wybitnym człowiekiem. Miał wszystkie najlepsze cechy charakteru i intelektu, których potrzebuje prawdziwy mąż stanu. Kazimierz Sabbat, jego poprzednik na urzędzie Prezydenta II RP, wiedział, kogo wybiera na swojego następcę. Ryszard (wypiliśmy bruderszaft, ale zawsze zwracałem się do niego Panie Prezydencie) patrzył na świat z bardzo wysokiej perspektywy, dostrzegał zróżnicowane procesy wpływające na losy Polski i Europy. Miał jakiś wewnętrzny, naturalny autorytet. Nie dopuszczał, że uprawianie polityki musi być na bakier z moralnością. Znakomicie kierował zespołami ludzkimi. Miał rzadki dar wpływania na spierających się polityków, łagodnie prowadząc ich do rozumnego kompromisu. Wraz z Kazimierzem Sabbatem wprowadził do polityki zupełnie nowe element. Światek emigracyjny z racji swej specyfiki bywa bardzo drastycznie podzielony politycznie; gdyby nie kultura osobista osób, uczestniczących w publicznych rozhoworach, polski Londyn mógłby spaść nawet do poziomu, który z takim niesmakiem dzisiaj obserwujemy w Polsce. Sabbat i Kaczorowski wywodzili się z harcerstwa, działali tam przez wiele dziesięcioleci. Było to harcerstwo kultywujące najlepsze tradycje, uszlachetnione jeszcze żalem za utraconą ojczyzną. Czego żądano najbardziej – to łączenia się, jedności. Sabbat z Kaczorowskim oraz kilkoma innymi osobami stworzyli Niezależną Grupę Społeczną – programowo niepartyjną, stawiającą sobie za cel łagodzenie podziałów. I z sukcesem. Patrząc na dramatyczne dzieje tej II Wielkiej Emigracji, pełne nagłych zwrotów, rozdarć i konfliktów, lata '80. zdają się tchnąć spokojem i konstruktywnym działaniem. Nie wolnym od

potknięć i nieporozumień, ale mieszczących się w granicach przyzwoitej polityki.

Szczególne warunki sprawiły, że Polska nie mogła wykorzystać wspaniałych i tak potrzebnych cech osobowościowych, jakie reprezentował Ryszard Kaczorowski. Godny był najwyższych urzędów. Ale sam uzasadniał, że na tej najzupełniej nowej drodze, Rzeczpospolitą powinni prowadzić ludzie, który poprzednie półwiecze żyli w kraju i odczuli na własnej skórze. On sam, wbrew własnej woli, znalazł się na obczyźnie. Aresztowany przez Sowietów za udział w konspiracji, skazany na śmierć, trafił na katorgę do Magadanu, w Duskanaja – Dolinie Śmierci, pracował w kopalni złota. Szczęśliwie przeżył, wraz z armią Andersa opuścił ZSRR, w 2. Brygadzie Strzelców Karpackich walczył pod Monte Cassino, po wojnie poświęcił się harcerstwu, od 1967 jako przewodniczący ZHP na Uchodźstwie. Do polityki trafił późno, wraz z przejściem na emeryturę w 1986 r., od razu jako członek rządu, a trzy lata później Prezydent. Spełnieniem jego największych marzeń, było przekazanie w grudniu 1990 r. urzędu i insygniów władzy Rzeczypospolitej Prezydentowi, właśnie wybranemu w wolnych wyborach powszechnych. W sprawach publicznych uczestniczył aktywnie nadal, wraz z żoną – Panią Karoliną, autentyczną Pierwszą Damą. Starannie unikał opowiadania się po stronie jakiejkolwiek opcji politycznej, do wszystkiego i wszystkich podchodził z ogromną życzliwością. W Trzeciej Rzeczypospolitej dostrzegał tylko to, co najlepsze, nie pozwalał sobie na jakąkolwiek publiczną krytykę. Co nie znaczy, że nie dostrzegał spraw niedobrych. Nasze długie rozmowy prawie zawsze poświęcone były temu, co martwi, a nie cieszy.

Nie sposób opisać wszystkie spotkania, rozmowy i wspólne doznania z tylu lat przyjaźni, niektóre godne są jednak upamiętnienia. W kilka dni po przyjeździe do Londynu, 1 stycznia 1987 r. uczestniczyłem w uroczystościach noworocznych Prezydenta RP na Wychodźstwie, w polskim Zamku przy 43, Eaton Place. Miałem ten ogromny i niepowtarzalny zaszczyt, że jako pierwszy przywódca opozycyjny przybyły z Kraju, jawnie, publicznie i bez osłonek, przed najbardziej szacownym gronem II Wielkiej Emigracji, mogłem w imieniu Walczącej Polski złożyć hołd naszemu Prezydento-

wi i naszemu Rządowi, który od 47 lat, trwając w najtrudniejszych, często upokarzających warunkach – bronił istnienia Niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej. Dziękowałem za ich heroiczny wysiłek, który żywił naszą nadzieję, nadawał sens i uzasadniał wysiłki na rzecz niepodległości. Czas zniewolenia przez barbarzyńskiego sowieckiego satrapę i jego komunistycznych pachołków zbliżał się jednak do końca, Polska powstaje by żyć, mówiłem, jeszcze dwa – trzy lata i satelicki PRL rozsypie się w proch; Polacy zrywają kajdany niewoli, już bliski jest dzień, w którym po raz trzeci odrodzi się niepodległość i powstanie – tym razem na zawsze – Trzecia Rzeczypospolita.

Otoczyło mnie wówczas grono wzruszonych, silnie poruszonych osób, przede wszystkim pytając, czy rzeczywiście jestem przekonany, że jeszcze za ich życia może to nastąpić. Gdy uspokoiło się trochę, podszedł do mnie Ryszard, nic nie mówił, o nic nie pytał, z oczami pełnymi łez objął mnie tylko – i długo trzymał w tym najbardziej braterskim, najbardziej polskim uścisku.

Następnym razem przybyłem do Londynu wiosną 1990 r. i uczestniczyłem w kwietniowych uroczystościach w półwiecze zbrodni katyńskiej. Na jednym z londyńskich cmentarzy, na gruncie prywatnym (na udostępnienie terenu publicznego rząd brytyjski, w obawie komplikacji dyplomatycznych, nie wyraził zgody) stoi wyniosły obelisk z Orłem Białym i napisem KATYŃ 1940. Przybyłem tam, w towarzystwie Majki – mojej żony, oraz kilku osób z londyńskiego KPN, złożyć rzeczywiście skromny, niezbyt wielki wieniec. Podchodząc do pomnika, najpierw zwróciłem się do Prezydenta RP Ryszarda Kaczorowskiego, siedzącego na honorowym miejscy i głęboko skłoniłem się, na następnie złożyłem kwiaty. Zgromadzony był ogromny tłum. W pierwszym rzędzie, ale skromnie, z boku znajdował się świeżo mianowany ambasador polski, Tadeusz de Virion, prywatnie mój wspaniały obrońca na procesach KPN. Po złożeniu kwiatów, podszedłem do niego, wziąłem za rękę i podprowadziłem do Prezydenta. Sytuacja była delikatna. Po przejęciu ambasady przez jakiegoś reżimowego funkcjonariusza w lipcu 1945, żadnych kontaktów z nią nie utrzymywano. De Virion przedstawił Elżbiecie II listy uwierzytelniające podpisane przez Wojciecha Jaruzelskiego; reprezentował rząd Tadeusza Mazowieckiego – ale ciągle jeszcze kluczowe stanowiska zajmowali

w nim ministrowie z b. PZPR (rozwiązanego trzy miesiące wcześniej). – Panie Prezydencie – powiedziałem – przedstawiam Panu ambasadora Polski już niepodległej. Trwa wprawdzie jeszcze okres przejściowy, dopiero przystępujemy do budowy Trzeciej Rzeczypospolitej, ale do Tadeusza de Virion może Pan mieć takie samo zaufanie, jak ja miałem do niego, gdy bronił mnie przed komunistycznymi sądami. Prezydent powstał, obaj panowie podali sobie ręce i rozpoczęli serdeczną rozmowę; później nie tylko współpraca pomiędzy nimi układała się znakomicie, lecz zaprzyjaźnili się osobiście.

Upłynęło kilka miesięcy i Prezydent Ryszard Kaczorowski – ostatni Prezydent Drugiej Rzeczypospolitej powiadomił mnie telefonicznie, że zgodnie z dyspozycją jego poprzednika – prezydenta Władysława Raczkiewicza – bezpośredniego następcy Ignacego Mościckiego, postanowił przekazać urząd i insygnia władzy nowo wybranemu pierwszemu Prezydentowi Trzeciej Rzeczypospolitej – Lechowi Wałęsie. Odpowiedział, że czekaliśmy na to długie pięćdziesiąt lat – i że jestem szczęśliwy.

Minął jeszcze rok. Po pierwszych wolnych wyborach parlamentarnych posłowie Konfederacji Polski Niepodległej mieli zaszczyt powitać naszych londyńskich przyjaciół. Jeszcze nie mieliśmy lokalu klubowego, 51 posłów i spora grupa działaczy Konfederacji zebrała się w kącie jednego z sejmowych korytarzy (zbiegiem okoliczności, później tutaj przydzielono nam pomieszczenia). Na czele członków byłego już rządu wychodźczego i Rady Narodowej – emigracyjnego parlamentu przybyli Prezydent Ryszard Kaczorowski, premier prof. Edward Szczepanik, ministrowie – a wśród nich Przewodniczący Ligi Niepodległości Polski – Jerzy Zaleski oraz jej sekretarz generalny, a zarazem członek Rady Politycznej KPN z ramienia LNP – Jerzy Ostoja – Koźniewski. Radosną, długą – choć nazbyt krótką uroczystość zakończyliśmy odśpiewaniem naszej wspólnej, najdumniejszej pieśni – „Pierwszej Brygady…", po raz pierwszy w gmach sejmowym od 2 września 1939 r. I to jakiego odśpiewania! Nikt głosu nie żałował, konfederaci potrafią również śpiewać, huczało w najodleglejszych sejmowych korytarzach. W budynku przebywało wiele osób, ludzie cicho przemykali się na korytarzach, niektórzy chyłkiem skrywali

się w pokojach. „Cicho – mówiono – to kapeenowcy świętują". Nie tylko KPN; to była chwila triumfu całego nurtu niepodległościowego.

Minęło blisko dwadzieścia lat. Od dłuższego czasu zamierzaliśmy trochę więcej czasu poświęcić na poważą rozmowę, ale jakoś się nie składało, a w Warszawie było wręcz niemożliwe. Latem ubiegłego roku wspólny pobyt w jakimś uroczym pensjonacie w Szklarskiej Porębie zorganizował nam Tadeusz Demecki – zaprzyjaźniony kanclerz jednej z prywatnych wyższych uczelni. Pierwszego wieczora, zapadał właśnie zmierzch, spotkaliśmy się z Prezydentem na alejce prowadzącej do parku, weszliśmy w gęstniejący cień drzew, rozjaśniany blaskiem jego siwych, jakby rozjarzonych włosów. Prezydent mówił cicho, ale znać było jakieś wewnętrzne napięcie. Szczegóły nieważne, była to rozmowa wyłącznie pomiędzy nami dwoma, ale nie wolno mi ukryć, że Jego troska o sprawy Rzeczypospolitej była ogromna, niepokój coraz większy – oceny trafne, a wnioski wnikliwe. Choć spotykaliśmy się jeszcze później – w następnych dniach i miesiącach, lecz takim właśnie, prześwitującym w ciemnościach, całym swoim jestestwem skupionym na polskich sprawach Go zapamiętałem.

Właśnie doniosło radio, że Prezydent RP Ryszard Kaczorowski zostanie pochowany w Świątyni Opatrzności Boskiej w Warszawie. Nikt godniejszy nie mógł zająć tego pierwszego miejsca w nowopowstającej nekropolii narodowej.

Znam wszystkich dotychczasowym Prezydentów Trzeciej Rzeczypospolitej, a także wszystkich kandydatów na Prezydenta w poprzednich oraz – zapewne – w przyszłych wyborach. Znam również większość z tych, którzy chcieli kandydować, a nie mogli, oraz tych, którzy mogli, a nie chcieli. Jak i inni, mam prawo ich oceniać i między nimi wybierać. Otóż, jeśli weźmiemy pod uwagę cechy osobowościowe, indywidualną biografię, zaangażowanie i aktywność społeczną oraz polityczną, kwalifikacje profesjonalne, poczucie odpowiedzialności, skromność na urzędzie, wreszcie przygotowanie rzeczowe i moralne do pełnienia tak wyjątkowej funkcji – żaden z całej tej, licznej przecież grupy, nie dorósł do Ryszarda Kaczorowskiego. Człowieka, którego po 70 latach od wydania zbrodniczego wyroku, spotkała śmierć na nieludzkiej ziemi".

Zbigniew Jacek Jackiewicz

Prezydent Ryszard Kaczorowski
niezwykła historia niezwykłej dzielności obywatelskiej

Tekst ten dedykuję
Aleksandrze, Zofii, Adamowi
– apelując w ten sposób do Ich obywatelskiej dzielności.

Jeżeli można uznać rok 2019 roku za spełniony, to między innymi dlatego, że w sposób cechujący się należytą publiczną powagą i dostojnością uczczona została w Polsce pamięć o śp. Prezydencie II RP Ryszardzie Kaczorowskim. Okazja ku temu była znakomita – 100 rocznica urodzin. Wszystkim, którzy w organizacji tych uroczystości mieli swój udział należą się za to serdeczne dzięki.[1]

Tak się złożyło – i mowy tu być nie może o przypadku – że rok 2020 przynosi nam kolejną wielką rocznicę dotyczącą Prezydenta Kaczorowskiego. Tym razem to **10 rocznica tragicznej śmierci w Smoleńsku**. Tak samo jak rocznica urodzin warta pamięci. Wraz z kwartalnikiem *„Opinia"* staję na warcie Tej Pamięci!!!.

Pozwólmy sobie na luksus starożytnych odniesień. Sięgnijmy do wzorów kultury greckiej. Poświęćmy uwagę ważnemu, tak dla starożytnych Greków kiedyś, jak i dla nas dzisiaj , zagadnieniu: ARETE – DZIELNOŚCI OBYWATELSKIEJ. Mam przekonanie, że w takim kontekście

[1] Najserdeczniej podziękować należy Ojcu Eustachemu Rakoczemu za Jego album „U boku Prezydenta II Rzeczypospolitej" Jasna Góra 2019, bo to najbardziej wzruszająca pamiątka obchodów 100 rocznicy urodzin Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego. Teraz obdarowywani nią powinni być Ci, co w uroczystościach rocznicowych nie brali udziału.

trafnie wspominać można osobę śp. Ryszarda Kaczorowskiego, całe Jego życie i dokonania. Ryszard Kaczorowski edukował się w czasach, kiedy kultura starożytnej Grecji i Rzymu była żywym źródłem dla naszej kultury rodzimej. Filozofia i sztuka grecka mieściła się w szkolnych ramach programowych, a łacina była przedmiotem obowiązkowym na poziomie ogólnokształcącym. Z pewnością znał On dialog Platona „Menon", w którym autor przypisuje – jak to lubił najbardziej – Sokratesowi następujące słowa:

„Myślę Anytosie, że mamy wielu dobrych polityków i że również poprzednio było ich wielu. ***Ale czy potrafili oni przekazać innym te obywatelskie zalety, które sami posiadali?*** *Bo właśnie o tym dyskutujemy…"*

Fenomen Ryszarda Kaczorowskiego polega na tym, że Jego życie i działalność ma przede wszystkim wymiar pracy obywatelskiej nad samych sobą i potomnymi. Działalność stricte polityczna to stosunkowo krótki epizod w Jego długim życiu. Dorastał do wypełnienia szczególnej misji politycznej bardzo długo w służbie harcerskiej i wojskowej. Przez krótki okres bo zaledwie kilku lat, najpierw był ministrem, potem prezydentem. Okres Jego prezydentury (złożył przysięgę prezydencką w dniu 19 lipca 1989 roku i wypełniał ją do 22 grudnia 1990roku) wyjątkowy, ale symboliczny i o historycznym znaczeniu. Po złożeniu urzędu Prezydenta RP przez lat dwadzieścia, między siedemdziesiątym a dziewięćdziesiątym rokiem swojego życia (!!!), Ryszard Kaczorowski samodzielnie, w sposób energiczny i metodyczny, zajmował się działalnością społeczną, którą opisać można cytowanymi wyżej słowami Platona: ***przekazywał innym te obywatelskie zalety, które sam posiadał.***

Dla tych wszystkich, którym w ćwiczeniu swojej obywatelskiej dzielności potrzeba dobrych wzorów (a dobrych wzorów trzeba tu zawsze i absolutnie) miłą być powinna lektura przemówień Ryszarda Kaczorowskiego. To najwierniejszy przekaz i uważam, że *dobrze jest pamięć o Prezydencie Ryszardzie Kaczorowskim czcić polegając na Jego własnych słowach*. Co powiedziawszy, niech będę usprawiedliwiony w tym, że moje własne słowa ograniczam tu do minimum.

PRZEMÓWIENIA PREZYDENTA RYSZARDA KACZOROWSKIEGO:

1. *Przemówienie Prezydenta Rzeczypospolitej na Uchodźctwie Ryszarda Kaczorowskiego na uroczystości przekazania insygniów prezydenckich nowoobranemu Prezydentowi Lechowi Wałęsie na Zamku Królewskim w Warszawie w dniu 22 grudnia 1990 r.*[2]

Dostojny Panie Prezydencie!

Trudno uniknąć patosu w tej historycznej Sali, która przypomina o odwiecznym majestacie Rzeczypospolitej.

Przybywam z Londynu na Zamek Królewski w Warszawie, zniszczony przez obcą przemoc, lecz odbudowany z gruzów wysiłkiem nieugiętego narodu. ***Przybywam w otoczeniu towarzyszy broni walczących o ojczyznę naprawdę wolną i suwerenną, szczerze demokratyczną, sprawiedliwą dla wszystkich.***

Przybywam do odradzającej się Polski, by wybranemu w wolnych wyborach Prezydentowi Lechowi Wałęsie przekazać insygnia państwowe II Rzeczypospolitej.

Przez długie lata od tragicznego roku 1939, insygnia te były zarówno naszym atutem prawnym, jak i symbolem wiary w odbudowę umęczonego kraju.

Prawowite władze polskie poza granicami kraju przestały być uznawane przez obce kancelarie dyplomatyczne, były one jednak akredytowane w sercach polskich w ojczyźnie i na emigracji. Ten klejnot patriotycznej wierności dla Tej, która nie zginęła, szczególnym blaskiem świecił w głębi narodowej nocy.

[2] Cytuję za: Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej Londyn, dnia 22.12.1990 r. nr 5 poz. 61 str. 113. Kolejne przemówienia pochodzą z tego samego źródła. Wyróżnienia tekstu w tym i następnych przemówieniach pochodzą od autora i stanowią ów deklarowany na wstępie minimalistyczny komentarz autorski.

Przekazując te insygnia wraz z chorągwią Rzeczypospolitej, która powiewała niegdyś na tym Zamku, upatruję w nich złoty klucz do lepszej przyszłości naszej ponad wszystko umiłowanej ziemi rodzinnej.

Powinniśmy podać sobie ręce i pamiętać, że nie ma alternatywy dla nadziei. Nasz naród jest skazany na własne siły i wierzę, że dobry Bóg nam pomoże.

Życzę Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej aby prowadził naszą ojczyznę ku lepszej Polsce.

Boże błogosław Polsce.

2. *Posłanie prezydenta Rzeczypospolitej Ryszarda Kaczorowskiego na Pierwszy Krajowy Zjazd Żołnierzy Armii Krajowej (na ręce ppłk. Dypl. Wojciecha Borzobohatego), Londyn 14.03.1990 r.*

Żołnierze Armii Krajowej, Koleżanki i Koledzy!

Pół wieku minęło od dnia, w którym po klęsce na polach bitew, niezłomny w swym dążeniu do wolności Naród Polski powołał swoje państwo podziemne.

Polska Walcząca, którą symbolizował znak kotwicy, prowadziła walkę z okupantem na wszystkich odcinkach życia.

W walkę tę włączeni byli Polacy wszystkich stanów. Obok żołnierzy, kobiety i młodzież bronili patriotycznego i kulturalnego dziedzictwa naszych ojców.

Straty poniesione w imię prawa Polski do niepodległości bytu i całości jej granic, były ogromne. ***Za swoją postawę żołnierze Polski Walczącej płacili życiem w akcjach bojowych, rozstrzeliwani w więzieniach, zamęczani w obozach koncentracyjnych niemieckich i łagrach sowieckich.***

Po zakończeniu wojny doszły jakże bolesne, bo zadane przez współobywateli, pozostających na usługach sowieckich mocodawców, dalsze mordy i prześladowania.

Dziś, kiedy po raz pierwszy doszło do Zjazdu uczestników walk o niepodległość, ***składamy hołd bohaterskim dowódcom i żołnierzom Armii Krajowej, którzy w imię najświętszej sprawy życie swoje Polsce oddali. Pozostał po nich Testament Polski Walczącej i przykład żołnierskiego obowiązku spełnionego do końca.***

Testament Polski Walczącej nie został zapomniany. W sztafecie pokoleń wznieśli płomień wolności robotnicy Poznania, Szczecina, Gdańska i wielu miast polskich, składając ofiarę swojego życia na ołtarzu, któremu na imię Polska.

Wśród nich nie zabrakło też starszych braci i sióstr z pokolenia Polski Podziemnej.

Pozdrawiam uczestników Zjazdu, który ma połączyć w jedną organizację byłych żołnierzy Armii Krajowej. Ślę wyrazy uznania dla tych wszystkich, którzy pozostali wierni ideałom Polski Walczącej.

Życzę zebranym, by hasło wypisane na naszych sztandarach bojowych: Bóg Honor i Ojczyzna było myślą przewodnią Waszych poczynań.

3. *Przemówienie Prezydenta Rzeczypospolitej Ryszarda Kaczorowskiego na uroczystości 75-lecia powstania 1 Pułku Ułanów Krechowieckich. Londyn, 22.07.1990 r.*

Panie Generale, Panie Pułkowniku Prezesie. Panie i Panowie – Krechowiacy !

Do najpiękniejszych kart historii Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej należą karty zapisane przez jazdę polską. Minęło 50 lat od ostatniego jej zbrojnego wystąpienia. Schodzą powoli ze sceny dziejowej uczestnicy tych wydarzeń. Pozostają po nich zapisy wspomnień czy też przekaz ustny.

Naród nie otaczający czcią swej przeszłości i kultury nie zasługuje na miano narodu. My, Polacy, najlepiej chyba o tym wiemy, bo gdyby nie nasze umiłowanie wolności, historii, języka, kultury narodowej – dawno zniknęlibyśmy z mapy Europy.

Jednym z najważniejszych elementów naszej narodowej spuścizny, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, jest miłość żołnierza polskiego i poszanowanie dla wojskowej tradycji. *A któż tę naszą tradycję pielęgnuje lepiej i reprezentuje godniej niż Krechowiacy, obchodzący właśnie 75-lecie powstania sławą okrytego oddziału Wojska Polskiego, bo choć nieco wcześniej od Waszego powstały pułki legionowe, to jednak nie doszło do ich odtworzenia na Zachodzie.*

Nie zamierzam przytaczać wspaniałych dziejów ***1-szego Pułku Ułanów Krechowieckich im. Płk. Bolesława Mościckiego.*** *Chcę tylko przypomnieć kilka faktów z Waszej długiej i wiernej służby: jesień 1914 roku – utworzenia oddziału konnego tak zwanego Legionu Puławskiego; kwiecień 1915 roku – przekształcenie oddziału w Dywizjon Ułański i wreszcie marzec 1917 roku powstanie Pierwszego Polskiego Pułku Ułańskiego (bo tak brzmiała jego nazwa) i objęcie dowództwa nad nim przez wspaniałego żołnierza i patriotę, płk. Mościckiego.*

On to właśnie wiódł dzielnie i mądrze Krechowiaków, gdy w drugiej połowie lipca 17 roku przypadło im w udziale bicie się niemal równoczesne z trzema zaborcami Polski. W Stanisławowie pułk broni ludności cywilnej przed tłuszczą zrewolucjonizowanego żołdactwa rosyjskiego, a wkrótce – pod słynnymi Krechowcami – bije się wspaniale z Austriakami i Niemcami.

Później pułk dołącza do I Korpusu Polskiego gen. Dowbora – Muśnickiego i choć po jego rozwiązaniu przestaje istnieć na kilka miesięcy, już w listopadzie 1918 roku broni Lwowa a potem walczy z bolszewikami w Małopolsce Wschodniej, na Ukrainie i na Wołyniu. Za wykazane w tych bojach męstwo, sztandar pułkowy zostaje 20 marca 1921 roku odznaczony orderem Virtuti Militari przez Marszałka Józefa Piłsudskiego.

W okresie międzywojennym jesteście wzorowym pułkiem przodującym w wyszkoleniu, dyscyplinie i przywiązaniu do pułkowej tradycji. Opiekujecie się też Osadą Krechowiecką na Wołyniu, zapoczątkowaną przez 120 żołnierzy pułku.

W pamiętny wrzesień 39 roku – Krechowiacy, w ramach Suwalskiej Brygady Kawalerii, przechodzą szlak bojowy wiodący przez Głębosz Wielki,

Długobrzeg Szlachecki, Dąbrowe Wielką i Kijany, by 4 i 5 października wziąć udział w ostatniej bitwie kampanii, pod Kockiem.

Zdawałoby się, że pułk przestał istnieć. Ale, jak Feniks powstający z popiołów, już w listopadzie 1941 roku w Buzułuku, w ramach tworzącej się Armii Polskiej w Rosji Sowieckiej – pojawiają się krechowieckie, amarantowe proporczyki na kołnierzach żołnierzy 6 Dyonu Rozpoznawczego, który w styczniu następnego roku otrzymuje oficjalnie nazwę 1Pułku Ułanów Krechowieckich. Pułk – oczywiście już nie konny ale pancerny – przechodzi w ramach Drugiego Korpusu całą kampanię włoską, zapisując złotymi zgłoskami w swej historii takie nazwy jak: rzeka Chieti, Castelfidardo, Osimo, Ankona, Linia Gotów, rzeki Senio i Idice i wreszcie – Bolonia. Za wybitne męstwo, wykazane w tych walkach przez pułk, sztandar przywieziony potajemnie z Polski na Zachód zostaje udekorowany przez Naczelnego Wodza, gen. Władysława Andersa, specjalną wstęgą zawieszoną obok niebiesko – czarnej wstęgi Virtuti Militari.

Krechowiacy! Jako były żołnierz Drugiego Korpusu jestem dumny, że miałem takich jak Wy towarzyszy broni! Jako Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej wyrażam Wam podziękowanie za wzorowe spełnienie żołnierskiego obowiązku. Gratuluję Wam postawy, koleżeństwa oraz przywiązania do tradycji i barw pułkowych. ***Życzę żebyście doczekali chwili, gdy na ulicach tak z Wami związanego Augustowa pojawią się znowu amarantowo – białe, krechowieckie proporczyki!***

Kiedy to nastąpi? Nie wiem, ale myślę, że szybciej niż się niejednemu z nas wydaje. ***Ojczyzna nasza nie jest jeszcze niepodległa, nie ma demokratycznie wybranych władz, a decydujący głos co do jej losów mają ciągle ludzie oddani Moskwie.*** *Ale idziemy dobrą drogą i postępu tego nic nie zdoła powstrzymać.*

Miejmy cierpliwość, pomagajmy Krajowi jak możemy i nie traćmy wiary, a nade wszystko – bądźmy stale gotowi – tak jak to było w przeszłości – do najwyższych ofiar, mając w pamięci ***słynne wskazówki Krechowiaka****, opracowane przez Waszego szefa Pułku, z których pierwsza głosi:* ***„Pułk jest cząstką Ojczyzny i nasze najgłębsze uczucia winny zawsze być skierowane ku Niej”*** *oraz druga, która brzmi:* ***„Ułan Krechowiecki winien pamiętać, że przez pułk pracuje dla Polski”.***

Jestem przekonany, że w odrodzonej Ojczyźnie wraz z powrotem do pięknych tradycji Wojska Polskiego nastąpi odtworzenie pułku jazdy i że ten pułk powinien przejąć tradycje 1 Pułku Ułanów Krechowieckich.”

4. Przemówienie Prezydenta Rzeczypospolitej na Zjeździe Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, 15.09.1990 r. w Perth Amboy.

Panie Przewodniczący, Panie i Panowie,
Uczestnicy Zjazdu SPK w Stanach Zjednoczonych!

Przed zaledwie miesiącem obchodziliśmy 70 rocznicę zwycięstwa oręża polskiego nad bolszewickim najeźdźcą. Polska stoczyła bój o swoje być albo nie być. Zwycięstwo pod Warszawą i potem decydująca bitwa nad Niemnem uwolniły Polskę na lat dwadzieścia od zmory komunistycznych rządów. Zapewniły Europie spokój i bezpieczeństwo od wschodu, które dawało silne państwo polskie.

Drugą rocznicę sierpniową obchodziliśmy na pamiątkę 10-lecia powstania „Solidarności”, ruchu, który stał się początkiem końca komunizmu w Polsce i całej wschodniej Europie. Tak to ***w jednym półwieczu uchroniliśmy dwukrotnie Europę przed zalewem komunistycznym.*** *Naszą postawą w 1939 roku daliśmy świadectwo, że naród polski gotów jest do największych poświęceń i ofiar w obronie wolności i niepodległości Polski. Kiedy ucichły zmagania na frontach,* ***emigracja żołnierska stała się podstawą emigracji niepodległościowej prowadzącej w zmienionych warunkach swoją walkę o Polskę wolną niepodległą i w pełni suwerenną****. Na czoło emigracji wysunęła się organizacja byłych żołnierzy Stowarzyszenie Polskich Kombatantów. Po 45 latach naszej działalności zadajemy sobie pytanie: czy nasza emigracja, emigracja polityczna, miała sens? Próbujemy odpowiedzieć na pytanie, czy wykonaliśmy zadanie, jakie na nas*

spadło. Nie sposób samemu znaleźć pełną odpowiedź. Pozostawimy ją historii i myślę, że będzie ona dla nas dobra. Wykazaliśmy niezwykłą gotowość do służby narodowej i pomimo różnic wśród nas byliśmy zjednoczeni w sprawie najważniejszej: wolności i niepodległości Polski. Zachowaliśmy służebny charakter tej niezwykłej i niepowtarzalnej emigracji – sprawie narodowej. Wpływaliśmy na opinię publiczną krajów zachodnich z wielkim skutkiem, by sprawa polska nie poszła w zapomnienie. Narodowi polskiemu w kraju byliśmy, że są wolni Polacy, którzy komunizmu nie przyjmą, co na pewno dodawało sił do przetrwania w okresie stalinizmu. Rodzącym się ruchom wolnościowym w Polsce dawaliśmy wsparcie i pomoc.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że ciężar odpowiedzialności za Ojczyznę spoczywał na naszych rodakach w Kraju, którzy swoim twardym oporem przeciwko sowietyzacji byli żołnierzami pierwszej linii. Ten opór, który przeradzał się w pierwszych okresach w bolesne i krwawe zrywy, był oporem przeciwko komunizmowi, który z kolei został wykorzystany jako narzędzie imperializmu sowieckiego. Był to system okrutny i bezwzględny, który strachem i szantażem upodlił 3 miliony Polaków, członków Partii. To nie był na szczęście pełny obraz Polski. ***Prawdziwy duch narodu objawił się w 10-milionowym zrywie Solidarności w 1980 r. Brutalnie stłumiony w grudniu 1981r., ponownie wybuchł po ośmiu latach, dając początek rozpadu komunizmu i zmienił oblicze Europy.***

Wypadki te poprzedziły kolejne pielgrzymki do Ojczyzny Papieża Polaka, bo za Jego to Papieskiej posługi biskup Rzymu stał się przywódcą moralnym nie tylko chrześcijan, ale całego nawet nie-chrześcijańskiego świata.

Zmiany, jakie zachodzą w Kraju przyjęliśmy z radością. Były one zaskoczeniem. Nikt z nas nie przewidywał i nie byliśmy przygotowani do tego rozwoju sytuacji, jaka miała miejsce po umowie „okrągłego stołu". Umowie, którą część narodu uważała za niemoralną, bo zawartą pod przymusem, ale która stała się początkiem demokratyzacji życia polskiego w Kraju.

Polska jest na drodze do samostanowienia i wolności. Nie ma wątpliwości, że Polska nie zrezygnuje z prawa do suwerenności, do swojej tysiącletniej tradycji chrześcijańskiej.

Ten cel nie został jeszcze osiągnięty.

Wprowadzenie Polski na drogę demokratyzacji i wolności napotyka na trudności, a nasza niecierpliwość, jakże zrozumiała, po tych latach pracy i wyczekiwania by cel, dla którego pozostaliśmy poza krajem został osiągnięty przez Naród jeszcze za naszego życia.

Ale jak mówi deklaracja ideowa IV Zjazdu Federacji Światowej SPK: „rola organizacji kombatanckich poza granicami Kraju nie skończyła się".

Za wcześnie byłoby schodzić z pola walki. Nasza obecność polityczna poza Krajem to nie nasz wymysł tylko. Tego od nas żądają autorytety w Kraju, z których zdaniem liczyliśmy się zawsze.

Wielu z nas zadaje pytanie, czy tempo zmian zachodzących w Polsce jest wystarczające i jak się ustosunkować do sporów i walk politycznych, jakie mają miejsce w Kraju.

Emigracja polityczna zawsze uznawała rozdział ról między walczącym krajem a emigracją. Emigracja niepodległościowa prowadziła swą działalność na rzecz wolności Polski, a Kraj dostępnymi tam środkami zakres wolności poszerzał.

W dalszym ciągu należy do naszych obowiązków pilnowanie i ostrożność w ocenie sytuacji w Kraju. Gdybyśmy zawiedli to nigdy by nam tego nie przebaczono, że mając całkowitą wolność i możność obserwacji nie ostrzegliśmy o niebezpieczeństwach.

Powrót do pełnej demokracji najeżony jest trudnościami w dużym stopniu wynikłymi z 45 lat rządów totalitarnych komunizmu. Zniszczył on poczucie odpowiedzialności obywateli za państwo i umiejętności współżycia ludzi. Sukces jeszcze nie będzie pełny, jeżeli nie zastosuje się demokracji w życiu i nie nauczy, że „demokracja to dużo więcej niż przeprowadzenie wyborów, czy rządzenie większością głosów, że to także formy bycia, takt, poczucie odpowiedzialności obywatelskiej i uszanowanie przeciwnika.

O taką demokrację w wolnej Polsce walczył Rząd Polski w Londynie, *który nieprzerwanie działał pomimo, że z biegiem lat stawał się coraz mniej znany na terenie Kraju. Ośmieszany i lekceważony nie znajdował dużego odzewu. Dopiero bankructwo ekonomiczne, społeczne i polityczne oraz zmiana pokolenia spowodowało, że odżyła idea legalnego Rządu Pol-*

skiego. Po wyborze Polaka Papieża i powstaniu Solidarności upowszechniła się świadomość o roli Rządu Polskiego na uchodźctwie, wyrazu ciągłości Polskiej Suwerennej Władzy Państwowej.

Moi poprzednicy i ja podkreślaliśmy w naszych wystąpieniach, że pieczę nad symbolem suwerenności państwowej i urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej będziemy sprawować do dnia, w których Naród Polski w wolnych od wszelkiego przymusu wyborach powszechnych wyłoni swoją reprezentację polityczną. Wierzę, że ten moment nastąpi w niedługim już czasie.

Koledzy Kombatanci – Szanowni Państwo!

Z dużą radością przyjąłem Wasze zaproszenie na ten Zjazd, odbywający się na pięknej ziemi amerykańskiej. Od wielu już lat Stany Zjednoczone stały się przystanią wolności i nadziei dla bojowników o niepodległość opuszczających swoje ujarzmione kraje.

Znaleźli oni tutaj nie tylko schronienie, ale i warunki do rozwoju swoich talentów, pogłębienie wiedzy i dla zastosowania swoich humanitarnych ideałów.

Myślę teraz rzecz prosta także o Waszym poprzedniku, Naczelniku Kościuszce, który w najcięższych chwilach swej ojczyzny decydował się dwukrotnie szukać w tym kraju siły do wytrwania wśród przeciwności i zawodów, jakich nie szczędziły mu dzieje jego walk o wolność.

Należymy wszyscy do ciężko doświadczonego pokolenia. Pokolenia, które też było skazane tak często na ważne i odpowiedzialne decyzje.

I tak ***podjęliśmy wspólną nam wszystkim decyzję pozostania w wolnym świecie, aby z tych bastionów emigracji toczyć dalszą walkę polityczną, społeczną i wychowawczą o zachowanie naszych wartości kulturalnych i o przywrócenie naszej ojczyźnie wolnych i sprawiedliwych warunków dla jej suwerenności rozwoju.***

Oczy nas wszystkich są dzisiaj zwrócone na Polskę i dla niej biją nasze serca. Przez wiele lat z naszych terenów emigracyjnych i osiedleńczych staramy się nieść pomoc narodowi w walce o zachowanie naszych wartości moralnych i kulturalnych. Dzisiaj oczekujemy tej przełomowej chwili, dla której wielu z nas poświęciło swoje życie.

Raz jeszcze dziękuję Kolegom za zaproszenie do udziału w tym ciekawym Zjeździe. Tym bardziej, że spotykamy się w tak ważnych czasach w historii naszego Kraju.

Przywodzi to na myśl zakończenie jednego z wierszy znanego poety:

„Co serce w prostocie wyzna
Tego nie trzeba kryć.
Gdy padnie słowo Ojczyzna
Znów będzie warto żyć”

/-/ Ryszard Kaczorowski

5. Przemówienie Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego na spotkaniu z Oddziałem Rady Narodowej w Stanach Zjednoczonych, w Boulder, Colorado dn. 27.10.1990r.

Przed siedemdziesięciu laty na zrujnowane wojną pola wyjechały pługi, by z nowego siewu wyrosły nowe łany, które będą odtąd żywić obywateli przywróconej do życia Polski. Dla nas urodzonych w wolności była to rzecz oczywista, ale dla pokolenia czekającego na wyzwolenie było to spełnienie snów i marzeń dziadów i ojców. My i oni jednako uznaliśmy, że lata upokorzeń już więcej nie wrócą, że Polska będzie rozwijać się szczęśliwa i bogata.

Nie braliśmy pod uwagę zakusów naszych sąsiadów, którzy mieli inne i wcale nie pokojowe rozwiązanie dla naszego narodu.

Ze zmagań drugiej wojny światowej wyszliśmy pokonani, ale jak mówił Józef Piłsudski „być pokonanym a nie ulec – to zwycięstwo”. W tym też kontekście odczytywaliśmy wiersz poety, który między innymi mówił, że „gdyby zawiódł miecz i spiż niech ducha wróg nie zmoże…”. I tego ducha narodowego strzegliśmy pod nazwą legalizmu Rzeczypospolitej. Jej symbole władzy stały się relikwiami. Mówiliśmy o nich z czcią i wzruszeniem.

Urząd Prezydenta Rzeczypospolitej uznano za kamień węgielny całej naszej struktury państwowej na obczyźnie. Była ona o tyle

trudniejsza do utrzymania, że to państwo na obczyźnie pozbawione jest wszelkiej siły wykonawczej i opiera się wyłącznie na dyscyplinie obywatelskiej.

Słabość tego państwa na obczyźnie stała się równocześnie jego siłą.

Mimo cofnięcia uznania rządów państw alianckich Rządowi Polskiemu w Londynie, nie zmieniła się postawa żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w liczbie 250 tysięcy. Pozostali również inni Polacy w krajach wolnego świata. Z tych dwu zgrupowań ludzkich powstała nasza emigracja polityczna, emigracja niepodległościowa.

Jej postawa powodowała, że rząd konstytucyjny w Londynie trwał mimo trudnych warunków, mimo że z biegiem lat zmniejszała się ilość rządów, które w pierwszym okresie go uznawały.

Przetrwaliśmy 50 lat i nie tylko nie osłabły nasze wpływy na bieg wypadków w Polsce, ale ten dotychczas przemilczany i wyszydzany Rząd w Londynie jest coraz powszechniej uznawany w kraju, o czym świadczą rozliczne notatki i dyskusje prasowe.

Panowie i Panie, Członkowie Oddziału Rady Narodowej w Stanach Zjednoczonych.

Ustalając cele emigracji politycznej przed 45 laty, za podstawę przyjęliśmy oświadczenie Prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza, który w dniu 29 czerwca 45 roku oświadczył:

„Prawo Rzeczypospolitej włożyło na mnie obowiązki przekazania urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej w ręce następcy powołanego przez Naród w wolnych od wszelkiego przymusu i wszelkiej groźby, demokratycznych wyborach. Uczynię to niezwłocznie, gdy będzie w stanie wyboru takiego dokonać.

Długo czekaliśmy na ten dzień. Na urzędzie Prezydenta moich pięciu poprzedników z największą uwagą śledziło przemiany zachodzące w kraju, ale tam nie zaistniał żaden wyraźny znak, że czas ten się zbliża.

Dopiero wybuch „Solidarności" po wizycie Ojca Świętego Jana Pawła Drugiego wzniecił nowe nadzieje, które mimo stanu wojennego przetrwały i przerodziły się w tak powszechny nacisk na system, że nie wytrzymał on tej bezkrwawej konfrontacji.

Wiemy wszyscy czym to się zakończyło i kompletną porażką komunistów w zeszłorocznych wyborach – do Sejmu częściową i całkowitą do Senatu.

Przed emigracją polityczną stanął dylemat: w którym miejscu uznać, że dopełniony został cel stawiany przez nas. Oczekiwaliśmy, że zgodnie z życzeniem narodu wojska sowieckie opuszczą nasz kraj, że rozpisane zostaną wybory do obu Izb Ustawodawczych, że zwołana zostanie Konstytuanta, która z kolei dokona nowelizacji Konstytucji lub uchwali nową. Ta z kolei da podstawy do wyboru Prezydenta rzeczypospolitej.

Od czasu oświadczenia Prezydenta Władysława Raczkiewicza upłynęło 45 lat i znaleźliśmy się w zupełnie innej konfiguracji politycznej, której on nie był w stanie przewidzieć.

Łatwo powiedzieć, że zawsze należy wybrać dobro przed złem, ale jakże często trudno jest to dobrze rozróżnić wśród kłamliwych pokus i fałszywych obietnic w otaczającym nas świecie.

Co gorsza, złudzenia, które rodzą się z naszej własnej słabości, samolubstwa, fałszywych ambicji i chęci zysku czy obojętności na wyższe wartości społeczne i moralne.

W życiu człowieka wybór decyzji jest aktem wolnej woli i stanowi też często o jego wartości.

Na szlaku naszego życia każdy znajdzie dużo chwil trudnych, wiele sytuacji, gdzie decyzje były ciężkie, wątpliwe i pogmatwane.

Po wielokroć rada czy pomoc otoczenia dopomogły w ważnych decyzjach. Zwłaszcza, gdy przychodziły ze strony ludzi, którym ufamy, których jednoczą te same ideały i ten sam system wartości.

Stąd łatwo mi dzisiaj mówić do tego wybitnego zgromadzenia, gdzie tyle wspólnego łączy nas wszystkich, a przede wszystkim umiłowanie wolności i troska o Polskę.

Oczekujemy tej przełomowej chwili, kiedy całkowicie wolne, demokratyczne wybory wyłonią w pełni reprezentacyjne ciała ustawodawcze narodu, jego Sejm i Senat.

Ale przed tym zostały zapowiedziane wolne i powszechne wybory na

urząd Prezydenta. Zmieniono porządek rzeczy i to postawi nas wobec nowej, nie planowanej przez nas sytuacji.

Wkrótce zajdzie konieczność podjęcia ważnych decyzji. Wiem, że ostateczna decyzja będzie moja, bo to wynika z uprawnień Konstytucji. Będę zawsze szukał rady wśród instytucji i osób. Podstawową cechą każdej decyzji jest jednak samotność. Jako wierzący odwołam się także do Bożej pomocy szukając rady i natchnienia w kontakcie ze Stwórcą.

Wiem, że od mojej decyzji nie będzie odwołania.

Prezydent, który ten urząd przekaże nowoobranemu nie tylko będzie odpowiadał przed Bogiem i Historią, ale jego nazwisko będzie znane narodowi.

Z tą myślą przybyłem do Państwa wraz z moim zapewnieniem, że tylko dobro Polski będę miał na względzie.

/-/ Ryszard Kaczorowski

6. Orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej Na Dzień Święta 11 listopada 1990 r.

Dzień 11 listopada był w dziejach naszego narodu świętem radości. W 1918 roku był dniem odzyskania przez Polskę wolności. W roku 1941 przypadł w okresie gdy liczne rzesze naszych rodaków, których Bóg ocalił od tragicznej śmierci, opuszczając więzienia, katorgi i zesłanie, spływały poprzez tajgi Sybiru i stepy Kazachstanu do stacji zbiorczych naszego odradzającego się wojska. Witali oni ze łzami w oczach nasze mundury, nasze orzełki i biało-czerwone sztandary.

W siedemdziesiątą rocznicę niepodległości społeczeństwo polskie powszechnym naciskiem spowodowało upadek rządu komunistycznego*. Oby więc i dzisiaj ten dzień zbliżył nas do momentu, w którym naród w wolnych i nieskrępowanych wyborach wybierze swoje przedstawicielstwo narodowe, jedyne źródło władzy na ziemi polskiej.*

Dzień święta niepodległości to dzień pamięci o tych obywatelach, którzy za wierność Rzeczypospolitej życiem zapłacili.

Tych, których grobów nie znamy, wspominamy w modlitwie dziękując im za służbę Polsce. Mogiły poległych na cmentarzach w Ojczyźnie i na całym świecie, gdziekolwiek walczono o wolność, zdobimy kwiatami.

„Wojny będą istnieć dopóki ludzie nie wynajdą lepszego skrótu dziejowego" przestrzegał ongiś Józef Piłsudski.

My świadkowie tak szybko zmieniających się czasów, czyżbyśmy nie potrafili spostrzec już nowych form „skrótów dziejowych" i co więcej brać w nich swój odważny udział?

Dzień święta niepodległości to także przypomnienie obowiązków obywatelskich.

W nowych warunkach politycznych musimy przestawić nasz sposób myślenia. Współczesna polska rzeczywistość wymaga młodych umysłów. Niekoniecznie młodych wiekiem, ale młodszych sposobem myślenia, zdolnych do otrząśnięcia się ze smutnych nawyków przeszłości, zdolnych do pozbycia się ponurej trezury totalitaryzmów i ich skutków.

Dla Polski otwiera się droga do lepszej przyszłości. Starajmy się sprostać nowym zadaniom i uczyńmy naszą Ojczyznę krajem niepodległym i w pełni suwerennym.

Urząd, który Bóg pozwolił mi dzisiaj piastować, oparty jest o naszą ostatnią wolną konstytucję. Jej art.1 w par.3 mówi: „każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę Państwa". Z tego moralnego obowiązku nikt nas zwolnić nie jest w stanie.

Musimy świadomie i odważnie odrzucić dziedzictwo krzywd, które zalewały nasz kraj i nasze życie, budować Polskę i wzmacniać duch odradzającej się z niewoli ojczyzny.

Londyn , dnia 11.11.1990 r.

Zakończenie

Niech zaprezentowany tu, skromny wybór przemówień Ryszarda Kaczorowskiego z okresu Jego prezydentury będzie przyczynkiem do dalszych prac, które zaowocują publikacją stanowiącą opracowanie w tej mierze kompletne, opracowanie, w którym nie zabraknie na przykład wystąpienia Ryszarda Kaczorowskiego w Ramsau w maju1989 roku na spotkaniu krajowych grup niepodległościowych z przedstawicielami niepodległościowej emigracji.[3]

Śp. Ryszard Kaczorowski jest osobą, od której można uczyć się obywatelskiej dzielności. Ta możliwość ma wymiar moralnej powinności dla tych, którzy przez czas sobie dany, chcą być depozytariuszami tej narodowej spuścizny, która realizuje się w ofiarnej trosce – *jak to ujął śp. Prezydent Ryszard Kaczorowski* – ***o ojczyznę naprawdę wolną i suwerenną, szczerze demokratyczną, sprawiedliwą dla wszystkich.***

[3] Dziś znamy to przemówienie jedynie z opowieści uczestników spotkania w Ramsau. Pisze o nim Jan Parys w artykule „Wokół spotkania w Ramsau" W: Gen wolności. Koncepcje polityczne opozycji niepodległościowej w latach 1975–1989, Warszawa 2019. Sam chciałbym je przeczytać, wierzę, że nie zginęło bezpowrotnie…

Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia"

W grudniu 2021 roku Minister Edukacji Narodowej przydzielił Kwartalnikowi Nurtu Niepodległościowego „OPINIA" 40 punktów naukowych.

Lp.	Unikatowy Identyfikator Czasopisma	Tytuł, numer ISSN/numer eISSN	Liczba punktów	Przypisane dyscypliny naukowe
32650	201466	**Opinia 2352-5725**	40	historia

Zapraszamy do współpracy.

Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia"

1. Redakcja „Opinii" przyjmuje teksty w języku polskim nadesłane wyłącznie drogą elektroniczną, zgodne z instrukcją wydawniczą „Opinii", w formatach *.doc, *.docx lub *.rtf. W przypadkach szczególnych, po uprzednim uzgodnieniu z redakcją, mogą być dopuszczone inne formy dostarczenia tekstu.

Przesłanie artykułu oznacza, że autor poświadcza, że zapoznał się z zasadami etycznymi obowiązującymi w „Opinii", a jego tekst spełnia normy w nich zawarte.

Preferowaną objętością dla artykułu naukowego jest 60 tys. znaków, a objętość maksymalna wynosi 80 tys. znaków. Preferowana objętość dla recenzji to 25 tys. znaków, a maksymalna 40 tys. znaków. Objętość liczona jest z włącze-

niem przypisów i spacji, znaków w tabelach, bez bibliografii, streszczeń i podpisów pod fotografiami.

Wiadomość z elektroniczną wersją tekstu powinna zawierać ponadto podpisane skany oświadczeń o oryginalności tekstu i o „ghostwritingu” i „guest authorship”. Papierowe wersje oświadczeń należy przesłać na adres redakcji. Podpisanie oświadczeń oznacza, że autor zapoznał się z klauzulą informacyjną dotyczącą zbierania i przetwarzania danych osobowych oraz dobrowolnie przekazuje dane osobowe i zgadza się na ich przetwarzanie.

Plik zawierający artykuł powinien zostać nazwany według następującego wzoru: nazwisko autora, inicjał imienia, pełny tytuł artykułu (np. Kowalski J., Polska sztuka wojenna w dobie średniowiecza). Plik z artykułem nie powinien w metadanych być podpisany nazwiskiem autora lub innym podpisem pozwalającym na identyfikację autora.

Tekst powinien zostać wykonany z zachowaniem stylu normalnego programu MS Word – bez użycia stylów nagłówkowych, podziałów stron i sekcji – czcionką Times New Roman pkt. 12 w tekście głównym i pkt. 10 w przypisach. Stosujemy przypisy dolne. Interlinia tekstu głównego pkt. 1,5, przypisów pkt. 1.

2. W pliku z artykułem powinny znajdować się w lewym górnym rogu następujące informacje:

pełne imię i nazwisko autora, numer orcid i afiliacja, adres do korespondencji tradycyjnej, adres e-mailowy, numer telefonu. Pod tekstem artykułu powinna znaleźć się bibliografia wykonana zgodnie z modelem bibliografii zawartym w instrukcji wydawniczej „Opinii”.

W osobnym pliku Autor powinien dostarczyć streszczenie artykułu (Nazwa pliku powinna być zgodna z przykładem: Streszczenie i nota, Polska sztuka wojenna w dobie średniowiecza).

Streszczenie w języku polskim powinno mieć objętość do 1,5 tys. znaków. Opcjonalnie Autor może dostarczyć streszczenia w języku angielskim i rosyjskim o objętości do 1,5 tys. znaków każde.

Autor zobowiązany jest również do przygotowania abstraktu o objętości do 500 znaków w jęz. polskim lub angielskim. W pliku powinna znaleźć się również krótka notka dotycząca autora o objętości do 500 znaków oraz słowa kluczowe w języku polskim i angielskim, opcjonalnie rosyjskim.

Niezamawianych tekstów redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów.

Tekst główny:

Zasady opracowania maszynopisu wydawniczego dla wydawnictwa „Opinia”

Część I. Zasady ogólne

A. Tekst główny, wstęp, zakończenie

I. Daty

1. Rozwijamy nazwy miesięcy, skracamy natomiast słowo „rok”:

• 10 kwietnia 1945 r.; 10 maja br.; w lipcu tr.

2. Stosujemy zapis:

• w latach dziewięćdziesiątych (nie: w latach 90., w l. 90.)

• w XX w. (nie: w dwudziestym wieku, w 20. wieku)

• w drugiej połowie XIX w. (nie: w 2 poł. XIX w.).

3. Daty łączymy pauzą łączącą (półpauzą): 1945–1947. Nie stosujemy tu dywizu (-).

II. Miary, stopnie, tytuły

• Stosujemy skróty słownikowe, takie jak: godz., kg, ha, km, km kw., m sześc., proc., gen., płk, kpt., prof., doc., mgr, dr hab., m.in., tzw., tj., np., itd., itp.

• W przypadkach zależnych stosujemy zapis: płk (= pułkownika), dr (= doktora).

• Piszemy: II Rzeczpospolita Polska, III Rzesza, p.o. delegat

III. Nazwy własne

1. Organizacje i instytucje

• Przy pierwszym wystąpieniu podajemy pełną nazwę, dalej – ewentualnie skrót. W przypadku nazw powszechnie znanych (np. PRL, ZSRR, PPR, PZPR) dopuszcza się stosowanie skrótów bez ich rozwijania przy pierwszym wystąpieniu.

2. Osoby

• Przy pierwszym wystąpieniu podajemy pełne imię i nazwisko, dalej – samo nazwisko bez inicjału imienia lub imię i nazwisko (dopuszczalne jest stosowanie inicjału, jeśli nie znamy pełnego imienia); nie podajemy otczestwa.

IV. Cytaty i tytuły

• Cytaty ze źródeł i literatury przedmiotu podajemy w cudzysłowie, antykwą.

• Tytuły prac naukowych, utworów literackich, muzycznych, dramatycznych, obrazów wyróżniamy kursywą. Nazwy ustaw podajemy bez cudzysłowu, antykwą.2

• Tytuły wystaw, konferencji, sesji naukowych, konkursów podajemy w cudzysłowie, antykwą.

V. Liczebniki

• Piszemy słownie, gdy możemy zapisać jednym słowem, zwłaszcza w odniesieniu do osób. Przy wyliczeniach – cyframi.

• Stosujemy skróty: mld, mln, tys. (jeżeli występują pełne tysiące, w innym wypadku cyframi: 75 345, 43 009).

VI. Wyrażenia obcojęzyczne

• Słowa i wyrażenia obcojęzyczne użyte w tekście polskim zapisujemy kursywą, np.: sui generis, last but not least, ancien régime.

B. Przypisy

I. Stosujemy oznaczenia: ibidem, idem (eadem), passim, op. cit., loc. cit. (kursywą). W bardzo obszernych publikacjach zamiast oznaczenia op. cit. można stosować zapis: inicjał i nazwisko, skrót tytułu..., s. X.

II. Stosujemy skróty: t., cz., z., nr, R., a także pozostałe, jak w punkcie A II.

III. Daty

• Jeśli data jest pełna, miesiąc zapisujemy cyframi rzymskimi: 25 VI 1999 r., jeśli data jest niepełna miesiąc zapisujemy słownie: 25 czerwca, w czerwcu 1999 r.

IV. Odsyłacze

• Używamy skrótów: zob., por., cyt. za:

• Odsyłacze do innych fragmentów tekstu, np.:

zob. dok. nr 24, przyp. 7;

zob. rozdz. II, przyp. 8;

por. s. 38; por. dok. nr 12 i 17.

V. Liczebniki – jak w tekście głównym

VI. Informacje biograficzne

1. Informacje biograficzne zamieszczamy w przypisach. Biogram powinien być zwięzły. W szczególnych przypadkach można biogramy umieścić osobno, np. w części nazwanej „Biogramy”.

2. Kolejność elementów biogramu:

• Imię i nazwisko

• Pseudonimy, przybrane nazwiska, przydomki

• Daty życia

• Pozostałe informacje życiorysowe

3. Przykłady:

Julian Bartuś „Bojko”, „Julek”, „Zbyszek”, „Romański”, „Krajewski” (1922–1962), żołnierz AK i działacz WiN. Kierownik Rady WiN Przeworsk, kierownik informacji (wywiadu i kontrwywiadu) krakowskiego Wydziału i p.o. kierownik łączności krakowskiego Wydziału. 3Mieczysław Kawalec „Kałuski”, „Żbik”, „Iza”, „Psarski” (1916–1951), oficer AK i działacz WiN. Komendant Obwodu AK Rzeszów, kierownik informacji (wywiadu i kontrwywiadu) Wydziału WiN Rzeszów, zastępca prezesa krakowskiego Wydziału, kierownik Wydziału Wywiadu w IV ZG WiN i p.o. prezes ostatniego zarządu. Aresztowany 1 II 1948 r., skazany na karę śmierci, stracony 1 III 1951 r.

VII. Cytowanie źródeł i literatury przedmiotu

1. Kolejność elementów w opisie cytowanej pozycji bibliograficznej:

• Inicjał imienia i nazwisko,

• Dalej jak w opisie bibliograficznym, zob. D. Bibliografia ,

• Numer cytowanej strony (pomijamy w wypadku dzienników i tygodników); stosujemy skrót s., nie ss.

Przykłady:

J. Kochanowski, W polskiej niewoli. Niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950, Warszawa 2001, s. 285.

A. Grajewski, Oskarżony ks. Franciszek Blachnicki, „Więź” 2001, nr 5, s. 94.

W. Władyka, Robotnicy wyszli na ulice, „Polityka” 2001, nr 26.

A. Kaczyński, Oczyszczanie pamięci, „Rzeczpospolita”, 19 V 2000.

2. Kolejność elementów w opisie materiału archiwalnego (poszczególne elementy oddzielamy przecinkami):

• Nazwa archiwum (skrót),

• Nazwa zespołu archiwalnego (ewentualnie skrót); stosowanie skrótu zesp. dopuszcza się tylko wtedy, kiedy nazwa zespołu jest zapisana cyframi lub symbolami,

• Sygnatura jednostki archiwalnej; jeśli sygnatura jednostki archiwalnej składa się z kilku symboli, dopuszcza się stosowanie skrótu sygn., wtedy jednak skrót należy stosować konsekwentnie w całej pracy,

• Opis dokumentu pozwalający na jego identyfikację – rodzaj dokumentu, kto, do kogo (jeśli tytuł dokumentu zawiera te informacje, można się nim posłużyć). Należy podawać pełne imiona nadawców i adresatów, nie inicjał.

Opis dokumentu (lub przytaczanej relacji) podawany jest antykwą,

• Data powstania dokumentu po przecinku lub data przybliżona w nawiasie kwadratowym; jeśli nie można ustalić daty, stosujemy skrót b.d.

• Numer karty (gdy przywoływany jest fragment dokumentu, numer karty, na której znajduje się ten fragment). Jeżeli jednostka archiwalna nie jest spaginowana, używamy skrótu b.p.

UWAGA 1. Jeżeli dokument był opublikowany, powołujemy się na wersję opublikowaną, a nie archiwalną.

UWAGA 2. Cytując dokumenty z Archiwum IPN (i archiwów oddziałów IPN), stosujemy skróty: AIPN, AIPN Bi, AIPN Gd, AIPN Ka, AIPN Kr, AIPN 4 Lu, AIPN Łd, AIPN Po, AIPN Rz, AIPN Wr. W wykazie skrótów rozwijamy je następująco: AIPN – Archiwum IPN w Warszawie; AIPN Bi – Archiwum

IPN Oddział w Białymstoku itd. Nie stosujemy zapisów typu BUiAD IPN,

OBUiAD, OBUiAD Kat, OBUiAD IPN-Wr, AIPN Kraków, OBUiAD Lublin, OBUiAD IPN w Poznaniu, Archiwum IPN Warszawa itd.

Przykłady:

AAN, KC PZPR, XI A/102, List Nikity Chruszczowa do Bolesława Bieruta w sprawie redukcji sił zbrojnych PRL, 12 VIII 1955 r., k. 3.

AAN, KC PZPR, 237/V-757, Notatka dotycząca analizy aparatu partyjnego

KW, KP/KM, KD/KZ, [sierpień 1968 r.], k. 10–20.

AIPN Kr, Akta operacyjne, 010/12061, Analiza materiałów sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim „Naprawiacz”, 8 VI 1978 r., k. 37.

AIPN, MSW II, 4183, Notatka ze spotkania wiceministra Franciszka

Szlachcica z aktywem SB KW MO w Białymstoku, 13 XI 1962 r., k. 18.

Archiwum MSZ, Zesp. 12, w. 14, t. 331, Raport polityczny poselstwa PRL w Tel Awiwie, 28 III 1956 r., k. 36.

3. Jeżeli w przypisie podajemy kilka źródeł, ich opisy rozdzielamy średnikiem.

C. Wykaz skrótów

1. W wykazie umieszczamy skróty występujące w tekście głównym i przypisach.

2. Podajemy jedynie skróty „rzeczowe” (instytucji, organizacji itp.).

D. Bibliografia

1. Tytuły dzieł obcych podajemy w języku oryginału (z cyrylicy w transkrypcji na łacinkę); opis (red., oprac., t., cz.) w języku polskim; miejsce wydania w tym języku, w jakim zostało podane na karcie tytułowej.

2. Kolejność elementów w zapisie bibliograficznym. UWAGA: kolejność powinna być zachowana bez względu na to, ile elementów zawiera opis.

a) Wydawnictwa zwarte (jedno- lub wielotomowe; dzieło jednego, dwóch lub trzech autorów; dzieło zbiorowe, tj. więcej niż trzech autorów):

• Nazwisko i inicjał imienia,

• Tytuł. Podtytuł (kursywą),

• Numer tomu i części (z dwukropkiem – t. 1:):

• Tytuł tomu i części (kursywą),

• Przekład (tłum.),

• Współpracownicy (red., oprac.),

• Które wydanie (jeśli jest istotne),

• Miejsce i rok wydania (b.m.w., b.d.w., umieszczamy po przecinku),

• Nazwa serii wydawniczej w cudzysłowie, numer tomu w serii (zapisane w nawiasie),

• Informacje dodatkowe (np. rkps, mps).5

b) Artykuły w pracach zbiorowych:

• Nazwisko i inicjał imienia,
• Tytuł (kursywą)
• [w:] (bez poprzedzającego przecinka)
• Dalej jak w opisie bibliograficznym wydawnictwa zwartego.

c) Czasopisma:
• Nazwisko i inicjał imienia,
• Tytuł artykułu. Podtytuł (kursywą),
• Tytuł czasopisma (antykwą, w cudzysłowie)
• Rok wydania czasopisma (można poprzedzić miejscem wydania, jeżeli jest to konieczne do zidentyfikowania publikacji),
• Część rocznika (numer, zeszyt; numer podwójny: 1/2 , numery kolejne: 1–2),

d) Prasa codzienna:
• Nazwisko i inicjał imienia,
• Tytuł artykułu. Podtytuł (kursywą),
• Tytuł czasopisma (antykwą, w cudzysłowie),
• Data wydania (a nie numer).

Przykłady:

– Kochanowski J., W polskiej niewoli. Niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950, Warszawa 2001.

– The Kissinger Transcripts. The Top Secret Talks with Beijing and Moscow, oprac. W. Burr, New York 1998.

– Anderson S., A Cold War in the Soviet Bloc. Polish-East German Relations, 1945–1962, Boulder 2001.

– Wołkogonow D., Stalin, t. 2, tłum. M. Antosiewicz, Warszawa 1998.

– Albert A. [Roszkowski W.], Najnowsza historia Polski 1918–1980, wyd. 2, Londyn 1989.

– Dąbrowska M., Dzienniki powojenne, t. 2: 1950–1954, oprac. T. Drewnowski, Warszawa 1996.

– Zakrzewska J., Mołdawa T., Historia sejmu polskiego, t. 3: Polska Ludowa, red. A. Ajnenkiel, Warszawa 1989.

– Dzierzgowska A. i in., Supliki do najwyższej władzy, red. M. Kula, Warszawa 1996.

– Centrum władzy. Protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970, oprac. A. Dudek, A. Kochański, K. Persak, Warszawa 2000 („Dokumenty do dziejów PRL”, z. 13).

– Gluchowski L., Nalepa E., The Soviet-Polish Confrontation of October 1956. The Situation in the Polish Internal Security Corps, Washington D.C. 1997 („Cold War International History Project Working Paper”, nr 17).6

– Wrzesiński W., Postawy i nastroje Polaków po klęsce wrześniowej na terenie okupacji sowieckiej [w:] Komunizm. Ideologia, system, ludzie, red. T. Szarota, Warszawa 2001.

– Romek Z., Droga Leszka Kołakowskiego ku antykomunistycznej opozycji. Od ortodoksyjnej ideologii ku wolności myślenia, „Dzieje Najnowsze” 1999, nr 4.

– Grajewski A., Oskarżony ks. Franciszek Blachnicki, „Więź” 2001, nr 5.

– Matis J. [Kozłowski M.], Dżuma, „Kultura” (Paryż) 1969, nr 3.

– Władyka W., Robotnicy wyszli na ulice, „Polityka” 2001, nr 26.

– Kaczyński A., Oczyszczanie pamięci, „Rzeczpospolita”, 19 V 2000.

– Nowak M., Wspomnienia z mojej młodości, Kraków 1962, mps w zbiorach Jana Kowalskiego.

– Lityński A., O prawie i sądach początków Polski Ludowej, Białystok, b.d.w.

E. Indeksy

1. W indeksie osób zamieszczamy tylko nazwiska występujące w tekście głównym i przypisach (bez karty tytułowej, spisu treści, bibliografii). Nie indeksujemy nazwisk występujących w tytułach książek i nazwach własnych.

2. Od pseudonimów i nazwisk przybranych odsyłamy do właściwego nazwiska za pomocą skrótu: zob. „Mietek” zob. Podhorodecki Tadeusz Szwarc Czesław zob. Naleziński Czesław

3. W indeksie nazw geograficznych zamieszczamy tylko nazwy występujące w tekście głównym i przypisach (bez karty tytułowej, spisu treści, bibliografii). Nie indeksujemy nazw występujących w tytułach książek i nazwach własnych, miejsc wydania publikacji, nazw państw oraz nazw typu Europa Środkowo-Wschodnia.

Część II. Opracowanie tekstów źródłowych

1. Numer dokumentu

Wyśrodkowany, kursywa, czcionka wytłuszczona.

2. Nagłówek dokumentu

Kursywa, obustronnie wyjustowany.

Nagłówek składa się z daty powstania dokumentu, miejsca powstania dokumentu oraz – po myślniku – regestu dokumentu.

Data powstania dokumentu ma następujący zapis: rok, miesiąc (słownie), dzień.

Brakujące elementy daty należy uzupełnić w nawiasie kwadratowym.

3. Ogólne zasady edycji dokumentu

• Uwspółcześniamy ortografię i interpunkcję tekstu. Odstępstwa od tej reguły wymagają przekonującego uzasadnienia.

• Stosowane w dokumentach różne sposoby zapisu daty (np. 12.08.1946,

12/8 1946, 12.VIII.1946, 12/8/1946) ujednolicamy następująco: 12 VIII 1946;

nie zamieniamy na liczbę rzymską nazw miesięcy pisanych słownie.7

• Wszelkie wyróżnienia w oryginalnym tekście dokumentu, dokonane przez jego twórcę (s p a c j o w a n i e ; WERSALIKI; podkreślenia) oddajemy za pomocą czcionki wytłuszczonej. W uzasadnionych przypadkach dopuszcza się pomijanie wyróżnień (np. nazwisk zapisanych wersalikami w dokumentach proweniencji policyjnej) i zapisywanie tych fragmentów tekstu czcionką podstawową.

• Nawiasy ukośne // zamieniamy na nawiasy półokrągłe ( ).

• Skróty słownikowe (ob., np., wg, ww., tj., ...) pozostawiamy bez rozwinięcia.

• Skróty niekonwencjonalne rozwijamy w nawiasach kwadratowych antykwą

• Towarzyszące nazwiskom inicjały imion rozwijamy w nawiasach kwadratowych antykwą. Dopuszczalne jest pozostawienie inicjału, jeśli nie znamy pełnego imienia.

• Należy ograniczyć do minimum użycie znaku [sic!]; kwestie wymagające komentarza omawiać w przypisach.

• Opuszczenia pochodzące od wydawcy zaznaczamy trzema kropkami w nawiasie kwadratowym i opatrujemy przypisem tekstowym, na przykład:

[...] e

4. Układ tekstu dokumentu

W edycji dokumentu nie odtwarzamy układu graficznego oryginału.

a) miejsce i data powstania dokumentu – wyjustowane do prawego marginesu

b) nagłówek nadawcy – wyjustowany do lewego marginesu

c) nazwa adresata dokumentu – wcięta i wyjustowana do prawego marginesu

d) tytuł dokumentu – wyśrodkowany

e) treść dokumentu – obustronnie wyjustowany, akapity zaznaczone wcięciem pierwszego wiersza

f) podpis pod dokumentem – wyjustowany do prawego marginesu; w wypadku dwóch podpisów – lewy podpis wyjustowany do lewego marginesu, a prawy do prawego.

5. Informacja o miejscu przechowywania dokumentu

Kursywa, czcionka o 1 pkt mniejsza od tekstu dokumentu, od akapitu.

Po słowie „Źródło” i dwukropku podajemy: skrót nazwy archiwum, nazwę zespołu archiwalnego (lub jej skrót), sygnaturę jednostki archiwalnej, numer karty oraz informację o formie dokumentu będącego podstawą edycji (oryginał/kopia; rkps/mps).

W przypadku przedruku zamiast adresu archiwalnego podajemy opis bibliograficzny pierwodruku.

6. Przypisy tekstowe

Oznaczone literami. Do części odredakcyjnej przypisu stosujemy kursywę, do tekstu źródłowego – antykwę. Numerację przypisów tekstowych rozpoczynamy od nowa dla każdego dokumentu.

Przypisami tekstowymi opatrujemy:

• lekcję wątpliwą;

• lekcję błędną – do tekstu wprowadzamy lekcję poprawną, a niepoprawną umieszczamy w przypisie tekstowym. W wypadku błędu powtarzającego się w całym tekście lub jego większym fragmencie, przypisem tekstowym oznacza-

my tylko pierwsze wystąpienie tego błędu. Błędy maszynowe korygujemy bez zaznaczenia;

• brakujące bądź nieczytelne fragmenty tekstu – przypis tekstowy należy ująć w nawias kwadratowy, na przykład: [d];

• niejasności tekstu, błędy składniowe i gramatyczne;

• treść pieczęci, podpisów, rękopiśmienne adnotacje w tekście;

• dopiski, nadpisania, przekreślenia;

• podkreślenia tekstu dokonane przez odbiorcę.

7. Przypisy rzeczowe

Numerowane cyframi arabskimi; antykwa. Umieszczone pod stroną, poniżej przypisów tekstowych. Numerację rozpoczynamy od nowa dla każdego dokumentu.

W przypisach rzeczowych umieszczamy wszelkie merytoryczne komentarze i wyjaśnienia do dokumentu. W razie konieczności opatrzenia lekcji błędnej komentarzem merytorycznym, umieszczamy go – wyjątkowo – w dotyczącym jej przypisie tekstowym.

8. Przykład

Nr 8

1945 luty 27, Białystok – Pismo naczelnika Wydziału Śledczego KW MO w Białymstoku do wojewody białostockiego w sprawie konieczności wzmocnienia posterunku MO w Milejczycach, pow. Bielsk Podlaski

Wydział Śledczy Białystok, dnia 27 II 1945 r.

Wojew[ódzkiej] Kom[endy]

Mil[icji] Obyw[atelskiej]

Do Ob. Wojewody Białostockiego w Białymstoku

Stosownie do polecenia Komendy Głównej [MO] z dnia 16 XII 1944 r. za L. 652 S/44, melduję, że dnia 24 II 1945 r. wieczorem zgłosił się do posterunku MO w Milejczycach leśniczy i jego zastępca z leśnictwa Milejczyce i oświadczyli, że są posłuchy od rodz[in] Małaszków i Korzeniowskich, mieszk[ańców] wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk, że wkrótce ma być napad przez bandę na Pow[iatową] Kom[endę] MO w Bielsku i więzienie w Białymstoku. Również oświadczyli, że przechodząc, czy też przejeżdżając w okolicach wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk, trzeba być ostrożnym, gdyż ta wieś

[f] jest zagrożona. Wobec czego komendant posterunku MO Milejczyce prosi o zwiększenie siły oraz większy przydział broni i amunicji, aby można zapobiec wypadkom i zlikwidować bandę, której jest we wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk.

Nacz[elnik] Urz[ędu] Śled[czego]

chor. S[tefan] Kufer

Źródło: APB, Urząd Wojewódzki w Białymstoku, 285, k. 12, oryginał, mps.

a Poniżej pieczęć prostokątna Urząd Wojewódzki w Białymstoku. Wpłynęło 28 II 1945 r. (datawpisana odręcznie).

b Poniżej odręcznie wpisana sygnatura pisma Nr S. 49/45.

c Tak w tekście.

d Korzeniewskich?

e W oryginale tu i dalej Libiejki. Niewątpliwie mowa o Lubiejkach w pow. bielskopodlaskim, nie zaś o Libiejkach w pow. zambrowskim.

f W maszynopisie dwa słowa przekreślone, niemożliwe do odczytania.

g–g Fragment napisany odręcznie.

h–h Fragment podkreślony odręcznie czerwonym ołówkiem.

i Tak w tekście.

j Powyżej nieczytelny podpis odręczny.

Tu i dalej mowa o Bielsku Podlaskim.

Chodzi o Wydział Śledczy KW MO w Białymstoku.

Podstawą powyższego przykładu jest autentyczny dokument ze zbioru Białostocczyzna 1944–1945 w dokumentach podziemia i oficjalnych władz, pod red. J. Kułaka (Warszawa 1998), który na potrzeby niniejszej instrukcji został odpowiednio spreparowany.

9. Uwagi techniczne

Poniższe porady mają ułatwić użytkownikom edytora MS Word stosowanie w praktyce zasad edycji dokumentów źródłowych. Ponieważ edytor tekstu nie powinien udawać mądrzejszego od swego użytkownika, przed przystąpieniem do pracy warto wyłączyć następujące opcje:

• Narzędzia→Autokorekta→Autoformatowanie podczas pisania→Stosujw trakcie pisania oraz W trakcie pisania automatycznie (wszystkie opcje)

• Narzędzia→Opcje→Edycja→Dokonywanie wcięć z lewej klawiszami Tab i Backspace

1) Wstawianie przypisów rzeczowych

• Uruchomić polecenie Wstaw→Przypis10

• W otwartym oknie dialogowym zaznaczyć opcje: Wstaw: Przypis dolny oraz Numerowanie: Automatyczne (lub Autonumerowanie)

• Wcisnąć klawisz OK

2) Wstawianie przypisów tekstowych

• Uruchomić polecenie Wstaw→Przypis

• W otwartym oknie dialogowym zaznaczyć opcje: Wstaw: przypis dolny oraz Numerowanie: Znak niestandardowy

• W sąsiednim okienku wpisać odpowiednią literę, którą zostanie oznaczony przypis tekstowy

• Wcisnąć klawisz OK

W razie konieczności zastosowania „podwójnego” przypisu, obejmującego fragment tekstu (typu: axxxxxa), przypis zamykający należy wstawić zgodnie z powyższą instrukcją, zaś przypis otwierający zamarkować odpowiednią literą we frakcji górnej (polecenie: Format→Czcionka→Indeks górny). Analogicznie za pomocą litery i myślnika we frakcji górnej należy zamarkować część oznaczenia przypisu pod stroną (np. a–a).

3) Prawidłowa numeracja przypisów

Numeracja przypisów rzeczowych i tekstowych powinna się rozpoczynać od nowa dla każdego dokumentu. Aby to zrobić, należy:

• Przed przystąpieniem do edycji dokumentów uruchomić polecenie Wstaw→Przypis→Opcje, następnie w otwartym oknie dialogowym na karcie Wszystkie przypisy dolne wybrać opcję Numerowanie: Każda sekcja od nowa. Następnie wcisnąć klawisze OK oraz Zamknij.

• Po każdym zakończonym dokumencie wstawić znak końca sekcji od nowej strony (polecenie: Wstaw→Znak podziału→Typy podziału sekcji:

Następna strona→OK).

Uwaga: Ponieważ edytor MS Word nie umożliwia rozdzielenia przypisów tekstowych od rzeczowych, pozostaną one „przemieszane”. Zasada umieszczania przypisów tekstowych pod stroną powyżej przypisów rzeczowych będzie

mogła zostać spełniona dopiero na etapie łamania tekstu w profesjonalnym programie do składu komputerowego.

4) Wcięcia tekstu

Wszelkich wcięć w tekście (zarówno wcięć pierwszego wiersza akapitu, jak i całych akapitów) należy dokonywać za pomocą tabulatorów, a nie spacji.